

ELIZABETH MOON

ZMIANA DOWÓDZTWA



Elizabeth Moon

Zmiana Dowództwa

(Change Of Command)

Tłumaczenie: Marek Pawelec

Spis treści

STRONA TYTUŁOWA

ROZDZIAŁ PIERWSZY

ROZDZIAŁ DRUGI

ROZDZIAŁ TRZECI

ROZDZIAŁ CZWARTY

ROZDZIAŁ PIĄTY

ROZDZIAŁ SZÓSTY

ROZDZIAŁ SIÓDMY

ROZDZIAŁ ÓSMY

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

ROZDZIAŁ JEDENASTY

ROZDZIAŁ DWUNASTY

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

ROZDZIAŁ SZESNASTY

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Castle Rock

Wiadomość dnia: „W dniu dzisiejszym Mówca Rady Ministrów i Wielkiej Rady Familii Regnant został zamordowany w trakcie przejazdu z portu promowego do Pałacu. Jego bliski przyjaciel i doradca prawny, Kevil Mahoney, został ciężko ranny i przebywa na leczeniu w bezpiecznej placówce medycznej. Zginęło również trzech pracowników ochrony. Najmłodsza córka Mówcy Thornbuckle’a, podróżująca osobnym pojazdem, nie została ranna, jednak przebywa teraz pod ochroną...”.

Pawilon medyczny Breitis

Kevil, świadom niepokojących snów, próbował przebić się do świadomości. Czuł się zeszywniały, jakby zbyt długo leżał w jednej pozycji, i miał wrażenie, że gdzieś w oddali kogoś coś naprawdę mocno boli. Przed oczami przesuwwały mu się czerwone i różowe spirale. Zamrugał, ale efektem było tylko pojawienie się dodatkowych zielonych smug. Wydawało mu się, że coś usłyszał, ale – tak samo jak kształty przed oczami – dźwięki były rozmyte i niewyraźne.

Zdwoił wysiłki i w końcu udało mu się wyodrębnić głos mówiący jakimś tajemnym, nie znanym mu językiem. Co to jest sub-coś czegoś-tam-innego? Co to jest linia teta? Jego otepiały umysł próbował podsunąć mu obraz ustawionych w rzędy liter.

– ...potrzebować pełnego odmłodzenia, jeśli przeżyje dostatecznie długo... – dotarło do niego nagle z pełną ostrością.

Ogarnął go lodowaty chłód, a potem ogień. Nie miał pojęcia, czy była to reakcja na coś, co z nim zrobiono, czy ciało zareagowało na usłyszane słowa. Otworzył oczy i zobaczył rozmyte plamy. Próbował otworzyć usta, ale uświadomił sobie, że już są otwarte i tkwi w nich jakieś urządzenie.

– Leż nieruchomo – powiedział ktoś. – Zamknij oczy.

Nie był w nastroju do podporządkowywania się poleceniom. Zaczął się dławić rzeczą tkwiącą w jego ustach, i wtedy ktoś ją wyciągnął.

– Co się stało? – zaskrzeczał głosem, którego sam nie rozpoznawał, choć czuł go boleśnie w gardle.

I wtedy, dokładnie w chwili, gdy pytał, wróciła pamięć. Choć niewidoczni ludzie zawahali się, już wiedział, co się stało.

On i Bunny w samochodzie naziemnym. Twarz Bunny’ego, przez tyle miesięcy napięta i pobrużdżona, w końcu spokojna. Rozmawiali o trwających dalej problemach z fabrykami farmaceutycznymi Morellinów na Patchcock, o rosnących cenach środków

do odmładzania i politycznych implikacjach...

A potem błysk jakiejś broni i twarz Bunny'ego niknąca w masie czerwieni, szarości i różu...

Musiał zginąć. Nikt by tego nie przeżył. A on, Kevil Mahoney, żyje – przynajmniej na razie – ponieważ głowa jego przyjaciela przyjęła główne uderzenie.

Bogobojna Milicja Nowego Teksasu poprzysięgła im zemstę. Jak widać, to nie była tylko pusta groźba.

Musi wiedzieć, co się stało. Kto tym wszystkim kierował?

Co robiła Flota? Ale poczuł ogarniającą go zimną mgłę i osunął się w mrok, niepewny, czy to śmierć, czy skutek działania leku.

* * *

Hobart Conselline nie chciał, by przepełniające go emocje odbiły się na jego twarzy lub w zachowaniu. Bijąca z postawy jego sekretarza ostrożna powaga dowodziła, że to mu się udało. To dobrze.

– Milordzie, to zostało potwierdzone przez trzy niezależne agencje – powiedział sekretarz.

– To okropne! – Hobart potrząsnął głową. – Przypuszczam, że to ci terroryści w odwecie za egzekucje...

– Takie są w tej chwili spekulacje, milordzie.

– Ile osób zginęło bądź jest rannych?

– Zginął lord Thornbuckle i trzech pracowników ochrony. Ser Mahoney ocalał, ale jest w stanie krytycznym; prawdopodobnie nie przeżyje.

– Co za okropna, niesamowicie okropna sytuacja. – Hobart znów potrząsnął głową. Z pewnością dla niektórych okropna. Krewni i przyjaciele Bunny'ego Thornbuckle'a bez wątpienia nie mogą otrząsnąć się z szoku. Podobnie będzie zachowywać się Rada, jeśli ktoś nie przejmie nad nią kontroli i nie poprowadzi jej tak, jak należało już od kilku lat. Gdyby Kevil Mahoney nie był ranny, mogliby zwrócić się do niego, ale bez Bunny'ego i Kevila Familie będą zachowywać się jak spanikowane owce, beczące bezradnie na otaczające je wilki. Doskonale wiedział, że teraz powinien przejąć władzę dalekowzroczny, silny i decyzyjny przywódca.

– Wyślij Mirandzie nasze kondolencje – nakazał sekretarzowi. – Poinformuj sekretarkę mojej żony, że z pewnością małżonka będzie chciała zadzwonić do Mirandy. – Biedna, piękna i inteligentna Miranda, tak nieszczęśliwie wybierająca mężczyzn i dzieci...

I biedna Brun. Podobnie jak wszystkim, którzy spotkali to dziecko, bardzo podobała mu się jej ekscentryczna uroda. Potrzebowała dobrego męża, aby się

ustatkować, ale Bunny upierał się, żeby pozwalać jej na swobodę, z katastrofalnym zresztą skutkiem. Kolejny przykład godnego pożałowania braku stanowczości Bunny'ego. Nic takiego nie przytrafiło się córkom Consellinów i nigdy sienie wydarzy. Starsze dzieci Bunny'ego okazały się wystarczająco udane, choć młody Buttons nie był drugim Bunnym.

Miał sztywność ojca i nic z jego błyskotliwości. Tym lepiej; ostatnia rzecz, jakiej potrzebują Consellinowie, to kolejny Bunny Thornbuckle zasiadający w tym samym Fotelu.

– Ma pan wiadomości od kilku Familii – odezwał się sekretarz.

– To oczywiste – odpowiedział Hobart. Ci, z którymi rozmawiał, przygotowując się do tegorocznego zebrania Wielkiej Rady, będą chcieli poznać jego aktualne plany. Na krótką chwilę wizja tych planów oślepiła go. Bez Bunny'ego i Kevila Mahoney'a – przy zdeorganizowanych i zszokowanych zwolennikach Bunny'ego – człowiek wiedzący czego chce i działający szybko i zdecydowanie może bardzo daleko zajść.

Zerknął na dostarczone wiadomości. Tak, jak się spodziewał: szok, troska, strach, szok... Z każdą mijającą chwilą był coraz bardziej pewny, że to właśnie on, nikt inny, będzie musiał poradzić sobie z tym kryzysem. Jakie to szczęście, że nie opuścił Castle Rock wraz z innymi.

– Przygotuj listę wszystkich zasiadających w Fotelach, którzy wciąż są obecni na planecie – rozkazał. Sekretarz kiwnął głową. – I rozmowę konferencyjną dla klanu Consellinów.

– Sir, mam gotową listę; trzymam aktualne dane na temat wszystkich zasiadających w Radzie...

– Doskonale. – Podczas gdy sekretarz przygotowywał skomplikowane połączenie ansibla ze zwykłym systemem komunikacyjnym do rozmowy konferencyjnej, przejrzał uważnie listę. Zdał sobie sprawę, że nigdy nie będzie miał większej szansy.

Klan Barraclough, do którego zaliczały się pomniejsze klany Aranlake i Padualenare, nie zebrał się, by wesprzeć Bunny'ego po jego powrocie. Aranlake'owie, z wyjątkiem lady Cecelii de Marktos, forsowali na stanowisko Głowy Familii swojego kandydata, Huberta Roscoe Millandera, i gdy przegrali, wrócili obrażeni do domów. Padualenaresowie faworyzowali brata Bunny'ego, Harlisa, który popierał ich roszczenia wobec Aranlake'ów i ambicje kolonialne. W ten sposób na planecie pozostało tylko kilku Barracloughów, tych najbliższych Bunny'emu, którzy doznali najsilniejszego wstrząsu na wieść o jego śmierci.

Hobart rozejrzał się po pokoju, zastanawiając się, czy jego rodzina byłaby załamana, gdyby to jego zamordowano. Delphine na pewno; płakałaby i płakała tak długo, aż jej śliczna twarz zapuchłaby i przybrała brzydki kolor. Dziewczynki też by płakały, ale był pewien, że tylko przez chwilę. Potem poszukałyby innego patrona, innego źródła łask i luksusów. Kobiety są zmienne, jeśli ich się dobrze nie wytresuje,

tak jak on wyszkolił Delphine. Jednak chłopcy – ich dobrze wychował – prawdopodobnie już planowaliby, jak go pomścić i zdobyć więcej władzy.

Ale on nie zostanie zamordowany. Będzie ostrożniejszy niż Bunny, będzie staranniej wypatrywał ukrytych zagrożeń. Będzie mniej... nie, nie mniej odważny, ale mniej lekkomyślny. Brun bez wątpienia właśnie po ojcu odziedziczyła lekkomyślność, a nie po rozważnej Mirandzie.

W miarę jak przebiegał wzrokiem listę, jego podniecenie rosło. Gdyby to on miał zamordować Bunny'ego – a taka myśl nie raz przeszła mu przez głowę w ciągu roku, kiedy zdawało się, że nic nie usunie tego głupca z zajmowanego przez niego stanowiska – nie mógłby wybrać lepszego czasu. Co najważniejsze, nie miał z tym zupełnie nic wspólnego, a mimo to los w końcu stanął po jego stronie. Dowiódł, że potrafi osiągnąć sukces wbrew największym przeciwnościom losu, a teraz opatrność – jak kobieta – wybrała go dzięki jego energii, uporowi i woli zwycięstwa.

Zamknął oczy, pozwalając sobie na luksus wyobrażania sobie chwili, gdy zostanie zatwierdzony jako Mówca, kiedy twarze dotąd ignorujące go lub odwracające się od niego zwrócą się ku niemu – będą musiały się zwrócić – i w końcu będzie mógł się wykazać swoimi prawdziwymi umiejętnościami. Uczynię Familie wielkimi i wszyscy będą wiedzieli, kto ocalił je przed upadkiem, pomyślał.

OSK Gryfalcon

– Nie wiedziałem, że potracą to z mojej pensji – powiedział chorąży Barin Serrano. Jego głos był niemal piskliwy, ale nic na to nie mógł poradzić. Przepadł cały jego żołd... Nie ma niczego na kostce kredytowej, a on już zamówił tradycyjne prezenty zaręczynowe i ślubne.

No cóż, a kto twoim zdaniem miał za to zapłacić? Ci ludzie zużyli już cały fundusz awaryjny sektora oraz większość rezerwy rekreacyjnej. I nawet nie obciążono cię za wszystkich, tylko za tych, za których jesteś w stanie zapłacić ze swojej pensji.

– Dziesięć utrzymanek... – wymamrotał Barin. To pochłonie cały jego żołd również po promocji. Pewnie powinien się cieszyć, że przepisy Floty zabraniają oficjalnego zadłużenia. – A przecież nawet nie jestem żonaty. Jak oni mogli mi to zrobić?

– Niech pan na to spojrzysz w ten sposób, sir: przynajmniej nie wpakuje się pan w kłopoty.

– No... niezupełnie. Zdążyłem już wysłać zaproszenia na ślub.

– No cóż, sir...

– Uwaga, cała załoga... Uwaga, cała załoga... – Nastąpiła przerwa, w trakcie której Barin próbował wymyślić, jak wygrzebać się z finansowego dołka, a potem rozległ się

głos kapitana: – Moim smutnym obowiązkiem jest poinformować was, że Mówca Rady Ministrów został zamordowany. Proszę pozostać w gotowości...

Barin spojrzał na bosmana, a ten odpowiedział mu tym samym. Mówca zamordowany? Gdzie? Jak?

I co się stanie z Brun i tymi wszystkimi kobietami?

OSK Shrike

– Porucznik Suiza, dostaliśmy priorytetową wiadomość. Kodowanie kobalt.

– Hmm... – Myśli Esmay Suizy, jak to zdarzało się jej coraz częściej, pomknęły ku Barinowi. – Dobrze, proszę utrzymać połączenie z ansiblem, a ja pójdę po kapitana. – Ostatnia priorytetowa wiadomość kazała im zwolnić ze służby starszych podoficerów po procedurze odmłodzenia, ale nie mieli takich na pokładzie. Może ta będzie bardziej praktyczna. Tak naprawdę chciałyby otrzymać wiadomości od Barina, najlepiej o życzliwej reakcji jego rodziny. Przebywanie na dwóch różnych statkach bardzo utrudniało komunikację; miała nadzieję, że będą mogli spotkać się chociaż na kilka dni. Kapitan Solis wiedział, że należy jej się urlop, i obiecał, że będzie mogła wziąć przepustkę.

Kapitan Solis, zawsze niezbyt rozmowny o tak wczesnej porze, po odczytaniu przekazanej do jego konsoli wiadomości zrobił się jeszcze bardziej milczący.

– Sir?

Spojrzał jej w oczy. – Lord Thornbuckle nie żyje. Zamordowany. Prawdopodobnie... – Jego wzrok padł na deszyfrator. – Prawdopodobnie przez Milicję Nowego Teksasu w odwecie za rozprawienie się z ich Rangersami. – Przerwał, a Esmay starała się nie zadać pytania, które samo się narzucało, lecz kapitan i tak na nie odpowiedział. – Poruczniku, może pani się spodziewać odwołania wszystkich urlopów. Przykro mi. Są sprawy pilniejsze od ślubu.

– Ale nie zaszkodzi wypełnić formularze – stwierdziła odruchowo Esmay. Solis rzucił jej przeciągłe spojrzenie, po czym kiwnął głową.

– Dobry pomysł. Wtedy będziecie mieli szansę... Ale na razie chcę dostać ocenę sytuacji. Proszę się za nią zabrać, a ja ogłoszę to załódze.

Altiplano

Wiadomość: „Generał Casimir Suiza ogłosił dzisiaj, że Oblubienica Ziemi Suiza zamierza poślubić cudzoziemca, Barina Serrano, tak samo jak ona oficera Zawodowej Służby Kosmicznej. Spodziewany jest opór wobec tego małżeństwa ze strony Gildii Ziemiańskiej; padły już pytania o sukcesję, jako że Oblubienica Suiza wciąż przebywa poza planetą i służy w Zawodowej Służbie Kosmicznej. Z innych wiadomości: na

Castle Rock zginął w zamachu Mówca Rady Ministrów...”.

Agencja Informacyjna Republiki Guernesii

Wiadomość: „...bardziej znacząca jest groźba wznowienia aktów przemocy ze strony odłamów Milicji Nowego Teksasu, które nie zostały zniszczone przez Familie Regnant podczas ekstrawaganckiej próby ratowania córki Mówcy. W parlamencie padły pytania o zaangażowanie się w te działania pracowników wywiadu Guernesii i o to, czy tego rodzaju współpraca z Familiami Regnant nie zaszkodziła interesom Guernesii...”.

Notatka do Przewodniczącego Benignity:

„Cokolwiek Familie Regnant miały nadzieję zyskać atakiem na Teksasną Milicję i udaną akcją odzyskania córki Mówcy, przekonają się, że rozgrzebały gniazdo szerszeni. Choć pomysł wykorzystania tej sytuacji jest kuszący, obawiam się, że wszelkie kontakty z Milicją zagroziłyby naszej długotrwałej polityce i mogłyby doprowadzić do alienacji Ojca Świętego.

Nasze raporty wywiadowcze wskazują jednak na trwałe i powiększające się rozdźwięki między elementami rządzącymi, które można by wykorzystać bez wiązania nas z Nowym Teksasem. Projekt Taniec dostarczył jak dotąd najcelniejszych ocen zachowań głównych klanów Familii. Jeśli chodzi o Projekt Emeryt, ostatnie dane wskazują, że u około 15-23 procent korpusu starszych podoficerów ZSK w ciągu najbliższych 180 dni pojawią się pierwsze poważne objawy, a ich maksymalne nasilenie wystąpi za około 250 do 300 dni. Trochę zdumiewa fakt, że Familie nie wstrzymały produkcji i dystrybucji medykamentów...”.

Notatka do admirała Floty:

„Na żądanie Rady Ministrów i Wielkiej Rady wszystkie jednostki nie postawione w stan alarmu zachowają minutę ciszy o godzinie 12:00 w dniu pogrzebu lorda Thornbuckle’a. Nie należy przeprowadzać żadnych dodatkowych ceremonii, a w szczególności oddawać salw honorowych.”

* * *

– Minuta ciszy dla uczczenia Mówcy Wielkiej Rady.

Cisza przeciągała się. Esmay miała wrażenie, że trwa dłużej niż minutę, i zastanawiała się, jak Brun to znosi. Nie miała jeszcze czasu dojść do siebie po uwolnieniu, a już straciła ojca. Dziewczyna zaczęła mamrotać modlitwy, o których nie myślała już od wielu lat.

Notatka do szefa personelu od szefa służb medycznych:

„Należy pilnie skierować na badania medyczne wszystkich podoficerów, którzy w ciągu ostatnich dziesięciu lat przeszli zabieg odmładzania. Żadnych wyjątków. W razie konieczności należy kierować się kolejnością odmładzania.”

* * *

Admirał Vida Serrano, bezpiecznie piastująca stanowisko dowódcy Sektora Siedem, przeczytała notatkę w milczeniu, świadoma napięcia mięśni ramion starszego bosmana Valdosa. Osobiście, z zachowaniem najściślejszej tajemnicy, przekazała wyżej niepokoje Barina i kapitana Escovara odnośnie do stanu umysłu starszych podoficerów. Obserwowała przebieg śledztwa, ale umykały jej szczegóły. Neurobiologia procesu odmładzania nie była jej specjalnością. Potrzebowała raportów, ale jak dotąd – pomimo coraz bardziej stanowczych listów do Kwatery Głównej – niczego takiego nie przygotowano.

Jak może więc uspokoić Valdosa i innych podkomendnych bez potrzebnych jej informacji?

– Sprowadź mi szefów personelu i medycznego – rozkazała. – Mamy tu sytuację, której nie rozumiem, i chcę być pewna, że potraktują ją zarówno dyskretnie, jak i uczciwie.

– Sir. Jeśli admirał pozwoli...

– Mów.

– Czy to prawda, że chcą wyrzucić starszych podoficerów i że szukają wymówki, żeby nie przeprowadzać już żadnych odmłodeń?

Właśnie takich opinii się obawiała.

– Moim zdaniem, bosmanie – ale jest to tylko moja opinia, choć dysponuję pewnymi informacjami – może to być związane z problemami zdrowotnymi, które powstały w wyniku użycia partii wadliwych leków do odmładzania.

– Problemami...

– Tak. Nie zamierzam podawać żadnych nazwisk, ponieważ nie znam wszystkich faktów. Nie jestem oficerem medycznym. Wiem, że śledztwo w innej sprawie ujawniło źródło zanieczyszczonych środków do odmładzania, i istnieje obawa, że mogły one trafić do naszego łańcucha zaopatrzeniowego. Tymczasem u kilku starszych podoficerów pojawiły się objawy zaburzeń neurologicznych, choć wszyscy oni byli na różnych stanowiskach, rozrzucony po różnych wydziałach.

– Czy... mogli nam dać złe leki po to, żeby później odmówić przeprowadzenia dalszych odmłodeń?

– Świadomie? – Kiwnął głową. – Absolutnie nie. Podejrzewałabym raczej zwykłą

pomyłkę, a jeśli nie, to działanie przeciwnika chcącego pozbawić nas najcenniejszych starszych podoficerów.

– Mam nadzieję, że ma pani rację, sir. – Bosman wyszedł, potrząsając głową.

Ona też miała nadzieję... że jej uwierzył. Jeśli starsi podoficerowie zaczną się martwić, czy Flota celowo dała im wadliwe leki, gęsta tkanina społeczności Floty może rozpruć się z zabójczą prędkością.

* * *

Notatka wewnętrzna, MorCon Pharmaceuticals:

„Pomimo wysiłków naszego działu reklamy, mających na celu przywrócenie zaufania do naszych produktów, nasz udział w obrotach rynku wciąż jest znacznie ograniczony w porównaniu z 68 procentami sprzed skandalu w Patchcock. Nasza konkurencja w pełni wykorzystała rewelacje na temat złej jakości naszych produktów; wydział prawny donosi, że liczba pozwów wciąż rośnie. Wpłynęło to znacząco na nasze zyski, które wcześniej stanowiły do 20 procent całkowitych dochodów klanu Conselline. Działania pozapolityczne, mające na celu poprawę naszej pozycji, okazały się nieskuteczne; potrzeba nam uwolnienia od ograniczających nas przepisów prawa, abyśmy mogli szczerze i uczciwie uporać się z konsekwencjami cudzych błędów. Uważamy, że teraz najważniejszym zadaniem jest odzyskanie naszej pozycji na rynku. Lady Venezia Morrelline wciąż się temu sprzeciwia i nie jesteśmy w stanie jej przekonać, że nie możemy odpowiadać za akcje sabotażowe obcego agenta...”

Więzienie wojskowe Zawodowej Służby Kosmicznej, Wyspy Czubate, Copper Mountain

W zimny, wietrzny jesienny dzień pensjonariusze wojskowego więzienia na Wyspach Czubatych zostali ustawieni w szeregach, by zza barier ze stali i pól siłowych mogli obserwować kolejną ceremonię przejęcia dowództwa. Przed nimi, na niewielkim zamkniętym placu apelowym, stali w szeregu prawie wszyscy strażnicy, nieprzyjemnie świadomi wbitych w ich plecy spojrzeń więźniów. Nie miała znaczenia oddzielająca ich bariera siłowa; nic nie chroniło ich przed nienawiścią.

Iosep Tolin z ulgą przekazywał dowództwo Pilar Bacarion. Ani chwili nie cieszył się swoim pobytem tutaj i chętnie zgodził się na wcześniejszą emeryturę, byle się od tego uwolnić. Za to teraz najchętniej oddzieliłby się całym Wielkim Oceanem, a później jeszcze przestrzenią międzygwiazdą, od kobiety, która była blisko admirała Lepescu.

Komandor Pilar Bacarion natomiast czuła prawie fizyczną przyjemność na widok napięcia na twarzy Tolina. Nie tylko jej nie lubił, ale bał się jej. Powinien. Wszyscy powinni i będą się bać, już niedługo. Uśmiechnęła się do Tolina, dając mu znać, że

zauważyła jego strach, że dostrzegła błysk potu na jego czole, nawet w tym zimnie. Potem uwolniła go od swego spojrzenia i zwróciła je na podwładnych.

Nie zadrżeli. Nie sądziła, że to zrobią. Ich spojrzenia były twarde. Była pierwszą kobietą na stanowisku kierownika tego więzienia i ich spojrzenia świadczyły, że chcą wiedzieć, czy jest wystarczająco nieugięta. Czy poradzi sobie z pracą. Inni – których tożsamość już знаła – nie wątpili w jej twardość. Wszyscy byli świadomi, że jej mentorem był Lepescu i że popierała jego plany. W swoim worku zawsze miała starannie schowane odcięte przez nią osobiście uszy; kiedy przechowywanie tych dowodów jej statusu stało się niebezpieczne, pocięła je na wąskie paski i dobrze poukrywała.

Brała udział w najstarszych ze wszystkich łowach – zabijała. Po łowach na Serialis udało jej się odlecieć, aby przejąć dowodzenie nad statkiem, zanim polowanie zakończyło się śmiercią Lepescu, a Heris Serrano znów znalazła się w łaskach dowództwa Floty. Ale nikt o tym nie wiedział. Wszyscy byli martwi, a więźniowie, na których polowała, nigdy nie widzieli jej twarzy. Miała dużo szczęścia, a jej umiejętności... Kiedyś jeszcze zmierzy się z Serrano i na pewno wygra.

Spojrzała ponad głowami strażników, ponad polem siłowym, na stojących w szeregach więźniów. Tam też ma potencjalnych sprzymierzeńców. Z czasem.

Tolin w końcu odleciał wyjąłym pojazdem powietrznym. Życzyła mu paskudnego sztormu po drodze na kontynent, ale tak naprawdę lepiej niech żyje i któregoś dnia uświadomi sobie, co widział w jej spojrzeniu.

Kiedy ceremonia dobiegła końca, Pilar wezwała do siebie personel. Byli tak niemądrzy, że rzucili jej zdziwione spojrzenia. Po drodze do biura pozwoliła sobie na uśmiech, myśląc o tym, jak szybko przekonają się, jaka ona jest.

* * *

Na kontynencie, w Bazie Głównej, jesień nie złagodziła jeszcze skutków okropnie gorącego i suchego lata. Drobną czerwony pył przysłonił niebo brązową oponą, gdy wiatr unióśł go wysoko w górę.

Przy takiej pogodzie wszyscy, którzy mogli wyrwać się z bazy, spędzali czas w barach Q-town, pijąc to, co najzimniejsze. Nawet weterani walk akceptowali tłumy w ich ulubionej knajpie. Było zbyt gorąco i smętnie, by narzekać.

Margiu Pardalt, jedyna Xavieranka w swojej klasie w Akademii, miała zwyczaj zdawania jako jedna z najlepszych w swoim roczniku. Musiała. Musiała czymś zrekompensować nieobecność jej siostry Masiu, przed laty zabitej przez piratów. Masiu – błyskotliwa, dzielna – była rodzinnym geniuszem, uosabiała wszystko to, na co rodzina mogła mieć nadzieję. Margiu wiedziała, że jest tylko kiepską kopią poległej bohaterki, więc aby coś znaczyć, musiała bardzo się starać. Jej miejsce w Akademii

było prezentem od Familii dla uhonorowania Masiu. Jej miejsce we wszechświecie musiało być czymś podobnym.

Dostała wolny wieczór, gdyż po raz kolejny zdobyła w Copper Mountain pierwsze miejsce w grupie. Wprawdzie dostała wolne godziny w porze, kiedy nikt rozsądny by się nimi nie cieszył, i najchętniej zostałaaby w swoim pokoju, ale nadzorujący ich grupę oficer powiedział jej, żeby wynosiła się z bazy, a rozkaz to rozkaz.

Kolejny podmuch wiatru przeleciał główną ulicą Q-town, wypełniając jej nos gryzącym pyłem, a oczy łzami. Zbyt mocno przypominało jej to spalenie Xaviera przez Benignity, kiedy to musieli całymi tygodniami osłaniać głowy pasami z podartych prześcieradeł przed pyłem i popiołem.

Po prawej stronie zauważyła otwarte drzwi, przez które ktoś właśnie wychodził, a na twarzy poczuła powiew chłodniejszego powietrza. Zatrzymała się.

Było tam tylko umiarkowanie tłoczno – mniej niż w dwóch barach, do których wcześniej zaglądała – i pachniało nie tylko alkoholem, ale i jedzeniem. Margiu podeszła do jednego z otwartych boksów i zajęła miejsce za stołem, po czym rozejrzała się. Stoły i siedzenia wyglądały trochę dziwnie; uświadomiła sobie, że przypominają części statków. Nie, to były części okrętów. Szybkim spojrzeniem omiotła długi ciemny bar – ewidentnie zrobiony z pokrycia kadłuba. Pod sufitem wisiały modele okrętów wojennych, a na ścianach ordery i fotografie.

A więc trafiła do świątyni. Margiu poczuła spokój i opuściła głowę, by pomodlić się za martwych i tych, co przeżyli. Jej rodzina była Synrohinami, więc od wczesnego dzieciństwa znała odpowiednie formuły mów pożegnalnych i upamiętniających.

– Potrzebujesz pomocy? – zapytał ktoś. Margiu podniosła wzrok i znalazła się twarzą w twarz z mężczyzną na wózku inwalidzkim.

– Nie, sir, wyrażałam tylko hołd zmarłym – wyjaśniła.

Uniósł brwi, marszcząc przy tym skórę wokół blizn na łysej czaszce.

– Wiedziałaś o tym miejscu?

– Nie, sir... ale to oczywiste.

– Hraram... Czy mogę poznać twoje nazwisko?

– Chorąży Pardalt z Xaviera – odpowiedziała.

– Ach, Xavier. – Uważnie jej się przyjrzał. – I byłaś w Akademii, gdy...

– Nie, sir, byłam w domu. To znaczy na Xavierze. – Wiedziała już, że dla personelu Floty to ona jest domem, a planeta pochodzenia jest tylko miejscem urodzenia.

– I przeżyłaś Benignity. Twoja rodzina także?

– W większości.

– Zawsze będziesz tu mile widziana, chorąży. Zasłużyłaś na to. Jednak ona czuła, że na nic nie zasłużyła. To Masiu zasłużyła na wszystko, co miała. Mimo to nie

zamierzała sprzeczać się z kimś takim jak on, z weteranem wojennym.

– Dziękuję – powiedziała, a potem ostrożnie, mając nadzieję, że właściwie odczytała sygnały, zapytała: – Czy mogę postawić panu drinka?

– Ponieważ jesteś pierwszy raz w moim lokalu – rzekł mężczyzna – mam nadzieję, że zrobisz mi honor, przyjmując ode mnie drinka.

Skłoniła głowę.

– Będę zaszczycona. – Mężczyzna dalej siedział nieruchomo; uświadomiła sobie, że czeka, by złożyć zamówienie. Nie była do tego przyzwyczajona, ale zerknęła na wyświetlone menu i wybrała ciemne piwo z dodatkiem imbiru.

Razem z kuflem, mocno oszronionym, pojawiła się na stole miseczka warzywnych słupków na potłuczonym lodzie.

– Skoro lubisz przyprawione piwo, pomyślałem, że możesz zasmakować i w tym – wyjaśnił mężczyzna. Margiu przegryzła jeden kawałek; miał przyjemny smak. Mężczyzna napił się drinka, przyglądając się jej znad krawędzi szklanki.

– Odwiedziła nas tu porucznik Suiza, gdy była na kursie – powiedział w końcu.

Oczywiście Margiu znała to nazwisko. Włączono je do rodzinnych modlitw, a później wiele słyszała o niej również na Akademii.

– Nigdy jej nie spotkałam – powiedziała. – Ale wiele jej zawdzięczamy.

– Przypominasz mi ją – stwierdził mężczyzna. – Ona też jest taka cicha.

– Jest prawdziwą bohaterką. A ja jestem tylko bardzo młodym chorążym.

– Jeszcze sama siebie zadziwisz – odpowiedział.

Czasem fantazjowała sobie na ten temat, ale wiedziała, że to niedorzeczne. Była poważna, ostrożna, pilna i roztropna, ale to nie były cnoty bohatera, nie tak rozumiała heroizm.

Zenebra; Wieczorne Sporty z Angh Dior. Chauncy Network

– Lady Cecelia de Marktos, która kilka lat temu wróciła do zawodów na jednym ze zwierząt ze stajni D’Amerosia, zakwalifikowała się w tym sezonie do Wyścigów Starszych Wierzchowców na Wherrin. Pojedzie na koniu Seniority, wyhodowanym w jej własnych stajniach. Wraz ze swoim właścicielem Seniority wygrała zawody Challenge dla nowicjuszy, następnie Stavenge. Oczekuje się, że para ta może zagrozić aktualnemu czempionowi, Liamowi Ardahi, i jego doświadczonemu rumakowi Plantagenetowi, startującymi w barwach Orregiemos Combine.

Widzowie oglądali przyjemną, kościstą i nieco końską twarz Lady Cecelii oraz jej rozczochrane złotorude loki... a potem Seniority przeskakującą przez przeszkody. Maść klaczy była tylko o stopień ciemniejsza od włosów właścicielki. Po skoku przez ostatnią barierkę w Stavenge na ekranie pojawił się Liam Ardahi, jadący na Plantagenecie w

drugim biegu zawodów Wherrin rok wcześniej. Przeskakując nad zwodzonym mostem, jakby na ułamek sekundy znieruchomiał przed lądowaniem...

Cecelia skrzywiła się. Jak każdy doświadczony jeździec, dostrzegła niedoskonałości we wszystkim, co zrobiła, i znacznie bardziej wolałaby, żeby pokazano, jak przeskakiwała nad siedemnastą przeszkodą – gdzie razem z Seniority elegancko pokonały trudną kombinację – niż ostatni płotek, gdzie Seniority skoczyła płasko, a jej pozycja zdradzała, że na kilka kluczowych sekund straciła koncentrację.

Dlaczego myślała o Pedarze Orregiosie i Odmłodzeńcach, a nie o płotku numer trzydzieści?

Park koński Wherrin

Dwa dni później Cecelia wyprowadziła Seniority z galopu dokładnie w takiej formie, jak chciała – idealny puls i oddech; czuła, że mogłaby bez problemu przebiec jeszcze milę. Ale dodatkowe ćwiczenia sprawiłyby, że osiągnęłaby szczytową formę jeszcze przed zawodami.

– Cece! Słyszałaś? – Colum czekał na nią przy bramie stajni, tak jak zazwyczaj, ale tym razem to on odezwał się pierwszy.

– Co jest? – Poluzowała pasek przy kasku i zepchnęła go do tyłu wraz z kosmykiem włosów, który zawsze spadał jej na czoło.

– Lord Thornbuckle nie żyje. Mówią o tym we wszystkich wiadomościach.

Poczuła jakby uderzenie w klatkę piersiową.

– Bunny? – Przed jej oczami przemknął szybko ciąg obrazów: Bunny u szczytu stołu, Bunny na grzbiecie konia w dniu otwarcia sezonu łowieckiego, przejmujący władzę po abdykacji Kemtre’a w Wielkiej Radzie, Bunny i Kevil, niemal złączeni głowami, rozmawiający o czymś... – To niemożliwe... – Był młodszy od niej o ponad dwadzieścia lat, zdrów jak koń...

– Mówią, że to mogli być ci terroryści.

Rzeczywistość wróciła do niej, gdy Seniority pochyliła się, by potrzeć łbem o jej nogę, i szarpnęła za wodze. Cecelia zamrugnęła i rozejrzała się; dostrzegła niewielki ruch w pobliżu stodoły. W miejsce szoku pojawił się smutek. Jeśli to prawda, będzie bardzo bolało. Colum zdawał się rozumieć, co Cecelia czuje, więc narzucił koniowi na grzbiet derkę i sięgnął ręką po wodze. Cecelia siedziała nieruchomo, gdy prowadził Seniority do stajni. Wyraz twarzy stajennych powiedział jej, że do nich też już dotarły wiadomości.

– Słyszała pani? – zapytała Roz, główny stajenny.

– Tak. – Zsunęła się z siodła i automatycznie zaczęła zdejmować uprzęż i oporządzać konia po biegu.

– Znała go pani, prawda?

Już czas przeszedł. Cecelia zadrżała.

– Tak. Bardzo długo.

– To okropne. W wiadomościach powiedzieli, że to, co z niego zostało, nie starczy nawet na neuroskan. Żadnych szans...

Nie chciała tego słuchać, nie chciała o tym myśleć. Jej odmłodzone ciało nagle zaczęło sprawiać wrażenie obcego. Poczła się uwięziona w ciele, które nie potrafi odczuwać tego, co ona czuje emocjonalnie.

– Myśli pani, że odwołają zawody?

Cecelia spojrzała na Roz; na jej twarzy pojawiły się nieeleganckie czerwone plamy.

– Wątpię – odpowiedziała. – Nie odwołali zawodów, gdy abdykował Kemtre.

Ale mówiąc to, poczuła się niepewnie. Niezależnie od tego, czy zawody się odbędą, czy nie, czy ona powinna brać w nich udział? Czy to będzie właściwe? Przestała szcztokować muskularny zad Seniority i zaczęła obliczać, ile czasu zajmie jej podróż. Nie ma szans dotrzeć na Castle Rock na ceremonię pogrzebową, nawet gdyby zrezygnowała z zawodów. W takim razie jaki sens ma wycofanie się z wyścigu?

Stała, przyglądając się, jak Roz i Geny wycierają konia gąbkami, i zastanawiała się, czemu przyszło jej do głowy... że nie wierzy, iż Bunny'ego zabiła ta okropna Milicja. Ale w takim razie kto? I jak mogłaby się tego dowiedzieć?

– Cece... – Dale, jej trener, prowadził Maxa. – Wiem, że to okropne, ale musisz na nim pojechać.

Chciała powiedzieć, że nie może, ale wiedziała, że to nieprawda. Cokolwiek dzieje się z ludźmi, konie potrzebują niezmiennej rutyny. Pozwoliła stajennemu podsadzić się na Maxa i skierowała się z powrotem na tor.

Jak zwykle sam fakt siedzenia na koniu oczyścił jej umysł. Max to nie Seniority, ale wyrastał na bardzo miłego wierzchowca do krótkich dystansów; we właściwym czasie dostanie za niego dobrą cenę.

O ile po śmierci Bunny'ego nadejdzie taki czas. Kto wie, jakie mogą być polityczne konsekwencje jego śmierci? Ostatnio zwracała większą niż zwykle uwagę na politykę. Bunny był dobrym przywódcą, może poza tym okresem szaleństwa po porwaniu Brun, ale nikt nie mógł o to mieć do niego pretensji. Jej inwestycje miały się bardzo dobrze, a to znaczyło, że gospodarka kwitnie. No, może poza niestabilnością na rynku środków do odmładzania, ale przez ostatni rok sytuacja mocno się uspokoiła. Consellinowie stracili twarz – i udziały rynkowe – ale z pewnością nie zostali zrujnowani.

Ciekawe, co będzie z Mirandą i Brun? Czy wrócą na Sirialis?

Czy – nienawidziła siebie za to, że w ogóle przyszło jej to do głowy – wciąż będą

urządzać polowania na lisy?

Oczywiście to nie było ważne. Liczyło się tylko to, żeby znaleźć winnego zabicia Bunny'ego i odpowiednio go ukarać.

Max wyrwał ją z zamyślenia, gdy spłoszył go szelest w krzakach rosnących obok drogi. Cecelia opanowała konia, zanim wystartował do biegu. Lepiej myśleć o koniach; to coś, co może kontrolować. Przez resztę dwugodzinnej przejażdżki udało jej się nie dopuścić do siebie smutku i trosk.

Powróciły, gdy oddała Maxa stajennym. Roz wyglądała prawie tak samo ponuro, jak ona się czuła; Cecelia przypomniała sobie, że dziewczyna pracowała dwa sezony na Sirialis i bardzo lubiła rodzinę Thornbuckle'ów.

– Już nigdy nie będzie tak samo – powiedziała cicho do Cecelii. – Młody Buttons to dobry człowiek, ale on nie jest taki jak ojciec.

– Nie, ale Kevil mu pomoże.

– Wie pani, on też jest ranny. Bardzo ciężko, może umrzeć.

– Kevil Mahoney?

– Tak powiedzieli w wiadomościach. O ile można im ufać. Niech szlag trafi tych terrorystów. Nie mam pojęcia, dlaczego stwarzają na świecie tyle problemów, jakby już nie było ich dosyć.

– Lady Cecelio... – odezwał się Dale bardziej oficjalnie niż zwykle. – Ktoś do pani.

To ostatnia rzecz, jakiej chciała. Odwróciła się, zostawiając Roz i nową dziewczynę zajmującą się Maxem, ściągnęła rękawiczki i wsunęła je za pasek.

Siedział rozparty w biurze stajni i przeglądał rejestry karmienia zwierząt.

– Nie ruszaj tego – rzekła Cecelia, ale bez większego przekonania. Sama korzystała z okazji, aby zerknąć do przepisów na mieszanki innych właścicieli, zastanawiając się, czy mają jakieś lepsze źródła zaopatrzenia. W biurach stajni wszyscy próbowali coś wywąchać.

– Cudownie wyglądasz – odezwał się Pedar Orregimos. – Mimo wszystko to okropna wiadomość, okropna.

– Tak, to prawda. – Cecelia usiadła ciężko na jednym z wytartych skórzanych foteli. – Wciąż nie do końca to do mnie dotarło.

– Przyszedłem, bo wiem, że byłaś blisko ich obu.

Cecelia spojrzała na niego ostro.

– Obu?

– To znaczy Bunny'ego i Kevila. Przynajmniej tak się mówiło przez ostatnie parę lat. Ludzie plotkowali o tym z młodym Georgem.

– O mnie i Kevilu?

– Wzruszył ramionami.

– Czemu nie?

– Jesteśmy z Kevilem przyjaciółmi – oświadczyła Cecelia, niemal wypluwając słowa. – Przyjaciółmi, nie kochankami. – Cóż, byli kochankami, ale tylko dwukrotnie, po czym oboje zgodzili się, że nie było tak dobrze, jak mieli nadzieję. – Tak, po moim odmłodzeniu spędzałam z nim wiele czasu, ponieważ potrzebowałam porad prawnych, by uporządkować swoje sprawy. Ale to wszystko. – Była świadoma, że się zaczerwieniła w poczuciu gniewu i wstydu.

– Cóż, w takim razie przyjaciel. Mimo wszystko... byłem pewien, że będziesz wstrząśnięta, więc wpadłem cię odwiedzić.

Obrzydliwy mały nuworysz. Tak, był bogaty, i owszem, jego rodzina miała Fotel w Radzie, ale był tylko drobną gałązką na wielkim i bardzo starym wiązcie Consellinów, podczas gdy jej klan Aranlake tworzył znacznie grubszą gałąź jeszcze większego i starszego dębu Barracloughów.

Cecelia odgoniła te myśli. Nie była osobą, która czci drzewo pokoleń; w końcu ludzie nie wybierają sobie rodziców. Manieryzm Pedara, bardziej wyraźny na starość pomimo kilku odmłodeń, rzucał się w oczy już za pierwszym razem, gdy go spotkała na czyimś przyjęciu urodzinowym. Teraz chce być jej obrońcą... Ma pecha, bo ona wcale nie potrzebuje opieki.

– Nic mi nie jest, Pedar. I nic mi nie będzie. Będę go opłakiwać, ale potem to przejdzie.

– Może pozwolisz mi zabrać cię na kolację?

Jak zwykle postępuje dokładnie wbrew temu, czego ona potrzebuje.

– Proszę, nie dzisiaj. Chcę wrócić do siebie i trochę popłakać. Może innym razem.

– Trzymam cię za słowo – stwierdził Pedar i ukłonił się uprzejmie. Wynosząc się, pomyślała Cecelia, siląc się przy tym na uprzejmy uśmiech. Jeszcze raz się skłonił i wyszedł.

Czasami razem z Bunnym naśmiewali się z Pedara, ufając sobie na tyle, by robić to wspólnie. Jego sztywne ukłony, przesadna uprzejmość, zamiłowanie do starożytnych strojów i sportów jeszcze bardziej abstrakcyjnych niż polowanie na lisy i wyścigi konne...

Nigdy już nie będzie się śmiać razem z Bunnym. Nigdy nie zobaczy, jak ta długa, niby głupia twarz rozświecila się inteligencją i dowcipem. Już nigdy nie ogrzeje jej miłość Bunny'ego i Mirandy... Miłość, której świadkiem była od samego początku, przez wszystkie dziesięciolecia ich znajomości.

Po jej twarzy popłynęły łzy. Gdy Dale wrócił do biura, Cecelia siedziała zwinięta w fotelu; nawet nie słyszała, jak wchodzi, po czym cicho zamyka za sobą drzwi i znów wychodzi.

ROZDZIAŁ DRUGI

Castle Rock, stary pałac

Dzień pogrzebu Bunny'ego był czysty i zimny. Miranda obudziła się jeszcze przed wschodem słońca i przyglądała się, jak światło wpełza na niebo. Leżała nieruchomo pod okryciami, czując ich ciężar. Nie miała ochoty opuszczać ciepłego kokonu i wychodzić naprzeciw trudom czekającego ją długiego dnia. Ich pokój – jej pokój – nie był zimny, ale nie czuła ciepła od tamtej koszarnej chwili, gdy powiedziano jej, że Bunny nie żyje.

Rozległo się delikatne stuknięcie i popłynęła muzyka tak cicha, że ledwie ją słyszała, muzyka przez nią osobiście wybrana. Skoro i tak nie spała, sięgnęła i zwiększyła głośność, po czym jednym gniewnym gestem zrzuciła z siebie okrycia.

Bunny nie żyje. Nic tego nie zmieni, ani muzyka, ani świt, ani nawet jej nastrój. Dywan pod jej stopami wciąż jest gruby i miękki. Ramiona nadal ogrzewa puszysty szlafrok.

Bunny nie żyje. Ona żyje i jest piękna (słyszała, jak ludzie szepczą, zresztą to była prawda) i bardzo, bardzo bogata.

Przez zamknięte drzwi niewyraźnie usłyszała płacz głodnego dziecka.

Bogata – i babka dwóch bękartów, których ojcowie, jeśli żyją, są kryminalistami i zapewne pomocnikami morderców Bunny'ego.

Miranda nigdy nie powiedziała mężowi, co czuje do tych dzieci. Babki podobno czują naturalną miłość do wnuków, jednak ona nie potrafiła dostrzec w tych chłopcach niczego, poza tym, że są owocem gwałtu zadanego jej córce.

Bunny patrzył na to inaczej. Miał nadzieję, że będzie je kochała, skoro Brun tego nie potrafiła, wierzył, że zajmie się zorganizowaniem im opieki.

Bunny nie żyje.

Stała, przez dłuższą chwilę niezdolna się poruszyć. To wcale nie tak miało być. Ludzie w ich wieku powinni być dojrzały, stateczni... przyzwyczajeni do strat i pełni rezygnacji. Tak przynajmniej wyczytała w książkach.

A ona wcale nie była zrezygnowana. Chciała zacisnąć pięści i krzyknąć w niebo. Chciała skoczyć z urwiska i utonąć. Kochała Bunny'ego tak, jak opisuje się miłość w romansach dla dziewcząt, i nie zmieniło tego czterdzieści lat małżeństwa.

A teraz jest martwy.

Tymczasem ona żyje, z dziećmi i wnukami oraz wnukami-bękartami, które nie są winne grzechów swoich ojców, oraz z córką wciąż leczącą się po tym, co jej uczyniono. A wokół niej padają strzaskane wszystkie nadzieje i marzenia Bunny'ego o pokoju na świecie.

Kiedy pokojówka zapukała do drzwi, Miranda uśmiechnęła się i spokojnie przyjęła filiżankę herbaty, którą wypila z idealnym opanowaniem, podczas gdy pokojówka zajmowała się jej toaletą.

Brun Meager obudziła się jeszcze wcześniej, w środku nocy, kiedy bliźniaki zaczęły płakać. Opiekunka powiedziała, że powinny przesypiać całą noc, ale od kiedy zostały zabrane z Nowego Teksasu, nie zdarzało im się to częściej niż co czwartą noc. A Brun ku swej irytacji odkryła, że kiedy one nie spały, i ona się budziła, nawet jeśli zajmował się nimi ktoś inny.

Wykorzystała ten czas na ćwiczenia, których nigdy nie opuszczała. Zanim zapukała pokojówka, zdążyła już pokryć się potem i splukać go z siebie pod prysznicem. Z łazienkowych luster patrzyła na nią jej własna twarz, obca po prawie dwóch latach. Starsza, twardsza, ale – pomimo wszystko – twarz o uderzającej urodzie.

Coś trzeba będzie z tym zrobić... ale nie dzisiaj. Dzisiaj będzie szła z matką, braćmi i starszą siostrą w procesji pogrzebowej. Dzisiaj będzie wysoko trzymać głowę wobec całego wszechświata. Zmusili ją do urodzenia dzieci. Ale nie mogą jej zmusić do ukrywania się.

Ochrona pałacu, Castle Rock

Pułkownik Bai-Darlin nie spał przez całą noc. Organizacja pogrzebu państwowego zawsze była – i zawsze będzie – koszmarem protokołów i nie kończących się skomplikowanych szczegółów, jednak zwykły pogrzeb państwowy, nawet w przypadku zabójstwa głowy państwa, nie był połączony z dużym zagrożeniem bezpieczeństwa. W ciągu ostatnich pięciuset lat tylko w przypadku 23,87 procent zabójstw politycznych następowały po nich kolejne zamachy.

Teraz jednak sytuacja wyglądała inaczej. Różne odłamy Bogobojnej Milicji Nowego Teksasu wysyłały groźby pod adresem rodziny lorda Thornbuckle'a, Hazel Takeris, żon Rangersów, a także kilku członków Zawodowej Służby Kosmicznej, włącznie z admirał Vidą Serrano. Pułkownik Bai-Darlin uważał, że Flota mogłaby sama chronić swoich ludzi. Na nim spoczywa odpowiedzialność za bezpieczeństwo cywilów, w szczególności biorących udział w procesji pogrzebowej.

Jego poprzednik, pułkownik Harris, próbował mu wyjaśnić, dlaczego nie podjęto wystarczających środków ostrożności, dlaczego lord Thornbuckle zginął i czemu nie udało się schwytać żadnego członka czy choćby sympatyka Milicji.

Postanowił, że spróbują jeszcze raz. Będzie musiał przyjąć, że wszystko, co zrobił Harris, było błędne, że Harris przeoczył coś kluczowego.

Chyba że to wcale nie była Bogobojna Milicja Nowego Teksasu. Bai-Darlin uniósł głowę, jakby węszył trop. A jeśli zrobił to ktoś inny, ktoś, kto próbował wykorzystać

rozgorączkowanych Teksańczyków jako parawan?

W takim przypadku pogrzeb prawdopodobnie przebiegnie bez najmniejszych zakłóceń. A to w tej chwili jedyna sprawa, która go obchodzi.

* * *

Kiedy wyszły na ganek, w zimne światło słońca, Brun spojrzała na matkę. Wokół nich krążyli ochroniarze w ciemnych mundurach, obwieszeni bronią. Czekają na nich pięć identycznych, błyszczących czernią i burgundem samochodów.

– Pięć? – zapytała Brun.

– Dla bezpieczeństwa – odpowiedziała matka.

– Aha. – Cztery limuzyny zostawią fałszywe ślady, ale przecież i tak wszyscy wiedzą, gdzie odbędzie się pogrzeb, więc nie bardzo rozumiała, jaki to miało sens.

Rozejrzała się, aby stwierdzić, kto jest obecny, a kto nie był w stanie – lub nie chciał – przybyć. Nie było lady Cecelii... Cóż, w końcu była pora zawodów na Wherrin i mogła nawet jeszcze o niczym nie wiedzieć. Była za to jej siostra Berenice z bratem Abelardem. Nie było Raffy i Ronniego, których jej wyjątkowo brakowało. Ciotka Raffy, Marta Saenz, będąca taką podporą dla ojca w trakcie jej nieobecności – raport matki na ten temat miał w sobie kropelkę jadu – wróciła na swoją planetę zaraz po powrocie Brun. Nie było też George'a, ale oczywiście wstrętny George musiał opiekować się śmiertelnie rannym ojcem. Z ich klanu był młodszy brat ojca, Harlis, jego syn Kell, który wcale nie wyglądał lepiej niż jej ostatnie wspomnienie o nim, całe stado Consellinów, których imion nawet nie знаła, oraz Venezia Morrelline.

Normalnie – nie żeby śmierć jej ojca była czymś normalnym – mowę pożegnalną wygłosiłby Kevil Mahoney. Zamiast niego zrobił to wuj Harlis, i przemieniła się ona w subtelny krytykę polityki jej ojca. Wielki człowiek, mocno związany ze swoją rodziną... ze swoimi dziećmi. Człowiek wielkich talentów, który może nie do końca je wykorzystywał...

– Pieprzenie! – wymamrotał któryś z dalekich krewnych z linii Barracloughów. On właśnie przemówił jako następny, wychwalając Bunny'ego w taki sposób, jakiego oczekiwała Brun. Mówił właśnie o takim ojcu, jakiego zapamiętała: hojnym, lojalnym, inteligentnym i uzdolnionym.

Później mówili inni. Sojusznicy polityczni opisujący, jak taktowna, lecz pewna ręka lorda Thorabuckle'a utrzymywała wszystko w porządku po abdykacji Kentre'a, i polityczni wrogowie, delikatnie wytykający okazjonalne pomyłki ojca i taktownie pomijający tę najbardziej oczywistą. W czasie wszystkich tych wystąpień Brun widziała wiele skierowanych na nią spojrzeń.

Gdyby nie ona, gdyby nie jej idiotyczna porywczość, jej ojciec wciąż by żył, wciąż by miał władzę, a ci chytry krytycy musieliby milczeć. Spojrzała w dół, na dłonie

matki, i zobaczyła, jak bieleją jej kostki, choć twarz Mirandy niczego nie zdradzała. Poczula żal, wstyd... i głęboki, bardzo głęboki gniew. To była jej wina – w części, ale nie wyłącznie. Te ich manewry, wykorzystywanie jej nieszczęścia i śmierci ojca – to była ich wina.

Była zdecydowana odejść stąd, stać się kimś innym i zerwać wszystkie więzy łączące ją z porywczą młodą Brun, która dostała się do niewoli, jednak teraz, przyglądając się wrogom ojca – wrogom, o których istnieniu nawet nie wiedziała – czuła, że jej motywacja słabnie.

* * *

Prima Bowie wyszywała kołnierz rzędem drobniutkich zielonych liści i od czasu do czasu obrzucała gospodarstwo uważnym spojrzeniem. Trudno uwierzyć, że jeszcze tak niedawno była prawdziwą Primą Bowie, pierwszą żoną Mitcha i matką dziewięciorga dzieci, zarządzała prawdziwym domostwem z ogrodem i warsztatem tkackim, służącymi i nauczycielami. Teraz na nowej karcie identyfikacyjnej Familii była Primą Bowie tylko dlatego, że tak właśnie powiedziała im Hazel; dziewczyna nie wiedziała, że to nie nazwisko, tylko tytuł. W dzieciństwie, na długo przedtem, zanim została Primą jakiegokolwiek mężczyzny, nazywano ją Ruth Ann, ale nikt nie wołał tak na nią od śmierci jej ojca. A Mitch nie nazywał się Bowie, tak brzmiał jego tytuł. Naprawdę nazywał się Pardue, więc ona powinna się nazywać Ruth Ann Pardue.

Czy powinna komuś o tym powiedzieć? Nie byłoby właściwe, żeby nazywali ją Prima Serrano, kiedy już niedługo ta młoda kobieta zostanie jego żoną. Wiedziała o tym, choć nienawidziła myśli o zostaniu drugą czy trzecią w kolejności za kimś tak młodym, a co gorsza, za tym niewiernym ohydztwem, które wciąż służy w wojsku.

Podniosła wzrok i zobaczyła stojącą w drzwiach Prostotę. – Jest tu Hazel, mammo... Prima...

Prostota nigdy nie nauczyła się, by nie nazywać jej mamą. Mitch robił z tego taki problem, że musiała wysłać dziewczynę do kwater dla służących, zanim jeszcze wyrosła z alkierza dziewic. Prima pomyślała, że teraz mogłaby naprawić tamtą decyzję.

– Możesz nazywać mnie mamą, Prostoto – powiedziała łagodnie. Twarz dziewczyny wygładziła się.

– Mammo! Ale Ranger...

– Nie ma go tutaj. Możesz mówić „mama”.

Prostota podbiegła jak małe dziecko i niezgrabnie objęła Primę.

– Kocham cię, mammo.

– Ja też cię kocham, Prostoto – powiedziała odważnie Prima i poklepała dziewczynę po ramieniu. – No już. Idź do kuchni i przynieś nam trochę lemoniady.

– Tak, mammo. – Prostota zawsze była posłuszna i słodka, a Prima miała nadzieję,

że Mitch kiedyś doceni tę jej słodycz.

Rozległo się pukanie i w drzwiach pojawiła się Hazel.

– Prima?

Prima wbiła igłę w robótkę i odłożyła ją na bok. – Wejdz i usiądź, proszę. Jakie masz wieści?

– Mogłabyś włączyć odbiornik.

– Pełno w nim bzdur – odpowiedziała Prima. – Same kłótnie i mnóstwo brzydkich słów. – Nie wspomniała o innych rzeczach, które znalazła tam przez przypadek. Mężczyźni i kobiety bez ubrań, robiący rzeczy, których nigdy sobie nie wyobrażała.

– Dzisiaj odbył się pogrzeb lorda Thornbuckle’a – powiedziała Hazel.

Prima wiedziała o tym. Wszyscy wiedzieli. Nawet bez włączania odbiornika nie można było nie wiedzieć, że Mówca Rady Ministrów, którego córka była przyczyną wszystkich kłopotów, zginął i był dzisiaj... chowany, jak to tutaj nazywali.

Tak naprawdę to była jego wina. Prima wierzyła, że gdyby ten arogancki blondyn nie był złym ojcem, jego córka nie popadłaby w niewolę, a ona wciąż byłaby Prima Bowie, pierwszą żoną Rangera, bezpieczną i szczęśliwą w domu, który знаła i pomagała tworzyć od dnia swojego ślubu.

Ta myśl była bardzo wygodna. To wszystko jego wina, a Mitch był niewinną ofiarą niewiernych. Ona sama jest niewinną ofiarą. Dzieci... Prima westchnęła. Choć bardzo się starała, nie potrafiła przekonać samej siebie – do końca – że wszystko to było winą lorda Thornbuckle’a czyjego córki, choć ta wysoka żółtowołosa kobieta wywoływała w niej nienawiść.

– Primo... – Hazel nachyliła się do niej. – Przykro mi, ale... naprawdę muszę porozmawiać z tobą o twoich planach.

– Moich planach? – Prima zeszywniała, a jej palce na chwilę przerwały pracę. – Co masz na myśli?

– Wszyscy chcieliby wiedzieć, co zamierzacie zrobić w sprawie nauki dzieci, utrzymywania się...

– Utrzymywania się! – Prima postanowiła skupić się na tym; nie zamierzała rozmawiać na temat wysłania dzieci do jednej ze szkół dla niewiernych. – Przecież Serrano obiecali nam ochronę...

– Tak, ale ich nie stać na utrzymywanie was wszystkich w taki sposób...

„W taki sposób” znaczy w labiryncie pokojów, których okna wychodzą wyłącznie na inne wysokie budynki. Prima dałaby wszystko za odrobinę miejsca do spacerów i kawałek nieba do patrzenia.

– No i są przepisy dotyczące nauczania dzieci.

Na to mogła odpowiedzieć.

– Nie wyślę moich dzieci do jakiejś szkoły dla niewiernych, gdzie będą je uczyć

nieprawości...

– Istnieją szkoły religijne – zauważyła Hazel. – Przyniosłam ci kostkę...

Kostkę, którą mogła przejrzeć wyłącznie za pomocą czytnika. Maszyny. Pleban zawsze mówił, że maszyny czynią kobiety leniwymi.

– Muszę zmienić nazwisko – powiedziała ostro. Hazel wyglądała na zaskoczoną. – Nie jestem już Prima Mitcha – wyjaśniła. – Przy narodzinach nazwano mnie Ruth Ann i teraz znów powinnam nią być.

– Ruth Ann – powiedziała cicho Hazel. – To ładne imię.

– Dla mnie brzmi dziwnie; nie nazywał mnie tak nikt oprócz rodziców, długie lata temu.

– Nie nazywali cię tak?

– Nie, to byłoby nieodpowiednie. W dniu, kiedy wyszłam za Mitcha, stałam się Prima Pardue, a kiedy on został Rangerem – Prima Bowie. – Przez chwilę wierciła się w miejscu, żałując, że musi o to zapytać. – Hazel... Nigdy nie widziałam tutaj nikogo takiego jak Prostota, nawet w odbiorniku, który oglądam. Wasi ludzie z pewnością mają dzieci, które są... nie do końca... zdrowe?

– Niewiele – odpowiedziała Hazel i zaczerwieniła się; Prima czuła, że dziewczyna myśli o czymś niedozwolonym. – Wiem, że nie lubisz o tym słuchać, ale zanim urodzą się dzieci, ludzie wykonują testy medyczne, żeby upewnić się, że nic im nie jest. A jeśli coś się zdarzy w trakcie ciąży lub porodu, naprawiają to.

– Naprawiają? – Jak drzwi? Przecież ludzie nie są drzwiami, okiennicami czy butami... – Jak można naprawić umysł? – zapytała odważnie.

– Nie wiem. – Rumieniec Hazel zniknął. – Wciąż jestem młoda; nie skończyłam jeszcze szkoły, a nigdy nie studiowałam medycyny.

– Czy mogliby naprawić... Prostopotę? Teraz?

– Nie wydaje mi się – odpowiedziała Hazel. – Mogę zapytać, ale myślę, że musiałaby być młodsza. – Przechyliła głowę. – Ale, Prima... to znaczy Ruth, nie ma potrzeby „naprawiać” Prostopoty. Jest uroczą, kochającą dziewczyną.

– Twój ludzie nie cenią słodyczy – odpowiedziała Prima. – Cenią inteligencję.

Hazel zamysliła się.

– W Familiach jest wiele takich miejsc, w których ceniono by Prostopotę za jej łagodność i uprzejmość. Myślę, że źle nas oceniasz. Gdybyś chciała znaleźć takie miejsce...

– Nie! Nie chcę jej odsyłać! Mitch powiedział to samo co ty! – I właśnie tak zrobił. Wciąż ją bolało, że Prostota musiała wytrzymać całe miesiące w żłobku, z dala od domu, który kochała.

– Nie myślałam o odsyłaniu jej. Chodziło mi o udanie się z nią w miejsce, gdzie byłaby doceniona.

- Nie mogę polecieć nigdzie bez mojego... bez pozwolenia chorążego Serrano.
- Mogłabyś powiedzieć mu, czego chcesz.
- Hazel, wiesz, że nie mogę tego zrobić. Jest moim... cóż, nie mężem, tak jak powinien, ale naszym obrońcą. To on musi zdecydować, co z nami zrobić.
- Tutaj jest inaczej – powiedziała Hazel. Prima już to słyszała, ale trudno było jej uwierzyć. Chorąży Serrano był jej opiekunem i miał prawo decydować, gdzie i jak mają żyć. – Prawdopodobnie byłby zadowolony, gdybyś znalazła się w takim miejscu, gdzie wraz z pozostałymi kobietami byłybyście szczęśliwe.
- Nie wiem, jak to zrobić – powiedziała Prima. – Nie wiem nawet, od czego zacząć.
- Mogłabyś zapytać profesor Meyerson.
- Waltraude? – O tym Prima nie pomyślała; wiedziała, że Meyerson zna historię Teksasu – choć według Primy bardzo dziwną wersję – ale co mogła wiedzieć o innych planetach?
- Jest profesorem i najlepiej umie znajdować informacje.
- Czy mogłabyś to z nią wyjaśnić? – zapytała Prima. Znacznie swobodniej rozmawiało się jej z Hazel, nawet w spodniach, niż z Waltraude w sukience. Profesor zawsze patrzyła na nie tak, jakby były marchewkami, burakami czy ziemniakami na kuchennym stole, jakby zastanawiała się, jaką przygotować z nich potrawę.
- Jeśli zdąży wrócić. Prima, chciałam ci powiedzieć, że dzisiaj wyjeżdżam. Powinnam już być w drodze na statek; przejście przez odprawę celną zajmie więcej czasu niż zwykle. Wracam do mojej rodziny.
- Och. – Prima właściwie wiedziała, że Hazel kiedyś odejdzie, podobnie jak inne schwyte przez ich mężów kobiety. Wciąż się o nie martwiła, ale one były zdecydowane wrócić – niektóre po operacjach, inne z syntezatorami głosu – do swoich rodzin, jeśli je miały, lub aby wieść niezależne życie, którego Prima nie potrafiła sobie wyobrazić. – Będzie mi ciebie brakować, Hazel – powiedziała, czując wzbierające łzy.
- Byłaś dla mnie dobra – rzekła dziewczyna i podeszła, by ją objąć. Prima poczuła jej młode piersi. Hazel była już w wieku rozrodczym, ale nie zamierzała rodzić dzieci. Mogła zrobić – może nawet już zrobiła – swojemu ciału okropne rzeczy, żeby nie mieć dzieci jeszcze przez długi czas. Może już stała się ohydztwem.
- A jednak Hazel była dobrą dziewczyną – szczerą, uprzejmą, łagodną. Tak bardzo martwiła się o dwie małe dziewczynki, była taka dobra dla wszystkich dzieci. Gdyby była córką Primy, byłaby z niej bardzo dumna. Jednak teraz odejdzie do jakiejś szkoły czy odleci na statku... Jak takie dziecko może wiedzieć, czego chce, co jest właściwe?
- Niech Bóg cię błogosławi. – Odważyła się udzielić błogosławieństwa niewiernej... Chciała powiedzieć Hazel, by nie używała żadnej ohydnej techniki, ale wiedziała, że na nic się to nie zda. Dziewczyna była produktem tej techniki; używała jej cała jej rodzina i ona też będzie. Pomodliła się więc tylko cicho do Boga, by zadbał o jej

bezpieczeństwo.

Kwatera Główna Sektora Siódmego

– Wiemy już, co się stało, admirale. – Szef służb medycznych dotknął kontrolek wyświetlacza i pojawiły się na nim rozmyte plamki barw. – Przesłało nam to ansiblem biuro głównego chirurga. Laboratoria badawcze w końcu to rozgryzły. W normalnym odmładzaniu, jak widać po lewej stronie, metabolity leków odmładzających wychwytyują się wzajemnie w specyficznych reakcjach, ulegając w końcu degradacji.

– Mógłby pan to powiedzieć ludzkim językiem? – zapytała Vida Serrano. Wiedziała, co to znaczy, ale była zdecydowana zmusić ich do powiedzenia tego językiem zrozumiałym dla każdego. Sama w wielkiej tajemnicy została już wprowadzona przez Martę Katerinę Saenz.

– Lekarstwa odmładzające rozkładają się w ciele na inne związki chemiczne, a te – zwane metabolitami – wiążą się i usuwają związki charakterystyczne dla starzenia się.

– Bardzo dobrze.

– W normalnym procesie odmładzania pozostają wyłącznie zdrowe, nie zdegradowane tkanki, które stanowią podstawę replikacji, czyli drugiego etapu procesu odmładzania.

– Czyli w pierwszym etapie odrzuca się to, co się zestarzało, a w drugim odtwarza się to na nowo?

– Tak, admirale. Ale po prawej, jeśli spojrzą państwo tutaj, widać, że te tkanki, zabarwione na zielono, nie zostają usunięte. Po lewej nie ma zieleni, a po prawej...

– Po prawej jest. Zakładam, iż to oznacza, że uszkodzone przez starzenie się tkanki zostały w matrycy i biorą udział w następnym etapie odmładzania. – Właśnie. Następuje powielenie uszkodzonych tkanek, więc po paru latach – to zależy od stopnia rozkładu w pierwotnych tkankach i ilości wadliwego leku – skutki rozkładu zaczynają wpływać na funkcjonowanie mózgu, podobnie jak w przypadku starczej demencji.

– A więc jak to naprawić?

– Niestety, tego nie wiemy. Wydaje się, że jeśli nie doszło do faktycznej degradacji funkcjonalnej, odmłodzenie dobrymi lekami powinno wyeliminować wszelkie wady. Jednak kiedy spróbowaliśmy tego na jednym z pierwszych pacjentów, nie zadziałało. Ciało uległo odmłodzeniu, ale funkcje umysłowe pozostały na tym samym poziomie. Obserwujemy pacjenta już od miesięcy, i choć rozkład został zatrzymany, nie nastąpiła też poprawa.

– A co z innymi formami leczenia? Chyba mieliście już tego rodzaju problemy przed odmładzaniem?

– Nie, właściwie nie. Admirale, choć nikomu to się nie podoba, cuda medyczne naprawdę są tylko cudami.

Marta powiedziała jej to samo, ale mimo to miała nadzieję na lepsze wieści.

– Jak wcześniej możecie wykryć problem? – Jeśli nie można tego odwrócić, może przynajmniej zadziała wczesne wykrycie.

– W ciągu roku od wadliwego odmłodzenia, co daje mnóstwo czasu na poprawienie procesu. Ale testy zajmują tygodnie – może później uda nam się to przyspieszyć – i mamy mnóstwo ludzi do przebadania.

Co mają zrobić z tymi, których odmładzanie nie udało się, którzy już zaczęli odczuwać jego skutki? Vida zadrżała. Dać im ciała dwudziestolatków z umysłami starszków? Kto miałby się nimi opiekować? Jak długo? Czy... pozwolić im umrzeć? Żadne z tych rozwiązań nie wyglądało pociągająco, i cieszyła się, że choć raz to nie ona musi podjąć decyzję. Niech głowią się nad tym Głównodowodzący i główny chirurg; ona nie radzi sobie z matematyką etyki.

Zenebra, dwa dni przed wyścigami seniorów

Pedar zabrał Cecelię na kolację do modnej w tym roku restauracji u Raymonda. Nie dała się wciągnąć w rozmowę na temat wyścigów i wszystkich swoich przeciwników.

– Tak nie można. Sanie tylko współzawodnikami, ale i moimi przyjaciółmi. To nieuczciwe omawiać ich słabości. – Dotknęła kontrolek na stole i wywołała szachownicę. – Zagrajmy.

– Nie bądź naiwna, Cecelio – rzekł Pedar. Czy znów poddał się odmładzaniu? Nie potrafiła stwierdzić. Wciąż ubierał się bardziej jak aktor z historycznej sztuki. Jej zainteresowanie historią nie obejmowało stylów ubioru, więc nie była pewna, z jakiego okresu mógłby pochodzić jego strój. – W prawdziwym życiu nie ma miejsca na honor. Może w sporcie... – Podniósł czarnego i białego króla i sprawił, że się sobie pokłonili. – Ale nawet ty wiesz, że tak naprawdę liczy się tylko wygrywanie. – Zderzył ze sobą figury.

– Jeśli złamiesz zasady – powiedziała Cecelia – wyeliminują cię z gry.

– W takim razie mogłabyś powiedzieć, że Bunny złamał zasady.

Nie mogła uwierzyć w to, co słyszy.

– Ty...

– Cecelio... Kiedy mówimy o rzeczywistości, mamy na myśli zupełnie inne zasady. Na pewno zdajesz sobie z tego sprawę. – Mówił uspokajającym tonem, jak wykształcony dorosły do niedouczzonego dziecka. – Ludzie tacy jak Bunny tworzą zasady... które obowiązują do czasu, aż ktoś je zmieni. – Przesuwał białego króla po szachownicy, odpychając na bok inne figury, aż dotarł nim na krawędź planszy. – Zawsze istnieją zasady ponad zasadami... Reguły, które pozwalają człowiekowi utrzymać się na miejscu... lub go eliminują. – Popchnął lekko figurę, która przez chwilę

chwiała się na krawędzi szachownicy, a potem spadła.

Cecelia zeszywniała, jakby niespodziewanie zobaczyła rów za przeszkodą, która wydawała się jej znajoma. Wyraz jego twarzy zmienił się, a ona była wściekła, że zauważył jej emocje. Wciąż jednak się uśmiechał, czekając na odpowiedź. Nie potrafiła żadnej wymyślić, a jego uśmiech powoli tężał jak zbyt długo ubijane białka.

– Rozumiem – powiedziała, by zyskać na czasie. Jednak nie rozumiała, jakie zasady złamał Bunny, że pozwolił temu człowiekowi i jego frakcji posunąć się do tak desperackich działań. Nie rozumiała, czemu Pedar tak otwarcie się do tego przyznawał i czego się po niej spodziewał. Wiedziała jednak, że nic nie było przypadkowe, ani śmierć Bunny’ego, ani ta kolacja, ani to wszystko, co robił Pedar od czasu wyścigów kilka lat temu. Próbował wtedy rozmawiać z nią na temat Odmłodzeńców, ale ona potraktowała to jako zwykłą modę. – Zastanawiam się – odezwała się po dłuższej chwili – czy i co Bogobojna Milicja Nowego Teksasu ma wspólnego z Odmłodzeńcami.

Odprężył się odrobinę, co utwierdziło ją w przekonaniu, że w tej słownej szermierce wybrała bezpieczną alternatywę.

– Ludzie potrzebują czegoś, na co mogą zwalić winę za swoje niepowodzenia – stwierdził. – Skoro niektóre możliwości zostają ograniczone, inne muszą wydawać się dostępne. W przeciwnym razie może dojść do powszechnych niepokojów.

Cecelia zastanawiała się, co miały znaczyć jego słowa. Pedar czekał z pobłażliwym uśmiechem, który zdradzał, że nie spodziewa się po niej szybkiego zrozumienia. Nienawidziła tej jego cierpliwości; jeśli jako Odmłodzeniec miałyby stać się właśnie kimś takim, może równie dobrze popędzić swojego konia nad urwisko... i dać sobie z tym spokój. Ograniczone możliwości... Pewnie chodzi o to, że Odmłodzeńcy mogą żyć praktycznie w nieskończoność, a kto chciałby rezygnować z władzy i przywilejów, wciąż będąc młodym i w pełni sił? Przeniosła to na problem rozmnażania koni, gdyż było to dla niej bardziej zrozumiałe. Gdyby stare konie nie umierały, a rozmnażanie odbywałoby się w takim samym tempie... Cóż, no tak.

– Zastanawiam się, czy środki do odmładzania działałyby na konie – powiedziała, zanim zdążyła się powstrzymać.

Pedar wybuchnął tak głośnym śmiechem, że siedzący przy sąsiednim stole mężczyzna obejrzał się.

– Cecelio, moja droga! Tylko ty mogłaś pomyśleć o odmładzaniu konia!

Poczuła na twarzy ogień. Jeśli śmieje się z niej w ten sposób, to znaczy, że się jej nie boi. Pozwoliła, by w jej głos wkradło się trochę jadu.

– Rozumiem, co masz na myśli, Pedar. Ci, których nie stać na odmłodzenie lub po prostu są zbyt niecierpliwi, widzą przed sobą życie pełne ograniczeń, a winę za to ponoszą Odmłodzeńcy. Ale przecież wszechświat jest duży, i jeśli są tak bardzo niezadowoleni, są kolonie...

– Złodziejstwo zawsze jest bardziej opłacalne do chwili złapania złodzieja – wymamrotał Pedar.

– To... – Chciała powiedzieć, że to śmieszne, ale napięcie na twarzy Pedara powstrzymało ją.

Sama wielokrotnie myślała o tym, na co przyda jej się bogactwo, jej umiejętności i odmłodzone ciało, jeśli nie będzie mogła robić tego, co lubi, bez troski o resztę wszechświata. To, czego chciała, to długie życie pełne przyjemności... które zaczęło się, lecz bynajmniej nie skończyło w stajni na Rotterdamie. Które związane było z końmi i ludźmi, którzy nazywali siebie koniarzami, na długo przedtem, zanim ludzie opuścili Starą Ziemię.

Teraz już ma na to czas. Nie musi obawiać się nadchodzących lat, starzenia się, które uczyni ją spowolnioną i niedołązną. Może poświęcić kilka miesięcy na zajęcie się komplikacjami, o których mówił Pedar, nie tracąc przy tym czasu.

Ale ona wcale tego nie chciała.

A Pedar o tym wiedział. Przez cały czas, gdy zanurzała niesymetryczną łyżkę używaną do chłodziaków Biaristi, a potem, po odświeżeniu ust łykiem eranskiego piwa, przeszła do usmażonych na chrupko pasków przyprawionej kuropatwy, była świadoma, że Pedar spodziewał się, iż będzie chciała uciec od tego tematu, dlatego skierował rozmowę z powrotem na wyścigi i jej oraz jego szanse. Odpowiadała automatycznie, ale cały czas przyglądała się subtelnyemu sygnałom na jego twarzy.

Okazał się strasznym gadem. Opowiedział jej dla własnej przyjemności o jakimś spisku, pewien, że nie interesuje jej nic innego poza końmi, dlatego nawet nie będzie próbowała czegoś się dowiedzieć, a tym bardziej zrobić...

– A swoją drogą myślę, że dobrze zrobiłaś, decydując się na udział w wyścigach – powiedział w pewnej chwili. – W końcu jest już za późno na udział w ceremonii pogrzebowej.

– Koń jest gotów – odpowiedziała Cecelia, tłumiąc chęć zmiany decyzji i wycofania się z zawodów. – Tak samo jak ja. Ty też zostajesz.

– Z tych samych powodów. Jestem gotów, mój koń jest gotowy, a moja konkurencja... siedzi tu razem ze mną.

A także dlatego, że dawało mu to bardzo mocne alibi. Podczas gdy ktoś zaplanował zabójstwo Bunny'ego, Pedar był bardzo daleko i bardzo widoczny, i nadzorował przygotowanie koni do Wyścigów Seniorów. Cecelia wiedziała – wszyscy wiedzieli – że dało się to zaaranżować, ale odkrycie i udowodnienie tego byłoby trudne. I niebezpieczne.

Kiedy nadszedł ten dzień, okazało się, że jest bardziej gotowa do zawodów niż sądziła. Choć wyścigi nie były łatwe, niemal nie była świadoma wysiłku, jakiego wymagały. Seniority bardzo dobrze zareagowała na jej spokój i bezbłędnie pokonała trasy terenowe oraz bieżnię... co wystarczyło, aby wygrać, kiedy lider ujeżdżalni (również bezbłędny w jeździe terenowej) następnego dnia zleciał z siodła. Liam Ardahi musiał się wycofać w trakcie jazdy terenowej, kiedy Plantagenet odmówił wejścia do wody. Cecelia zastanawiała się, czy faktycznie mógł to być przypadek; Plantagenet nigdy nie bał się wody. Ale jeśli Pedar chciał odciągnąć jej uwagę główną wygraną... to mógł być bezwzględny, zwłaszcza że we własnych oczach zdobył znacznie większą nagrodę.

Uśmiechała się dla prasy w trakcie zwycięskiego galopu i pamiętała, by podziękować wszystkim swoim pracownikom, dołączając osobistą notkę do każdego bonusu kredytowego. Tego wieczoru na przyjęciu miała na sobie bursztynowy naszyjnik wyrzeźbiony na podobieństwo Epony. Tak jak ta tajemnicza bogini, uśmiechała się i przyjmowała gratulacje, wycofując się w końcu przed północą pod pretekstem bolącego łokcia.

Godzinę później, ubrana w strój stajennego, Cecelia pędziła ciemną drogą w stronę portu kosmicznego na Maksie, którego czujne uszy i żywe ruchy zdradzały, że uważa to za świetny pomysł. Gdyby ktokolwiek o nią pytał, jej samochód stał zaparkowany na podwórzu stajni, a wszyscy wiedzieli, że najprawdopodobniej udała się do stajni, by tam kontynuować świętowanie. Colum osiodłał dla niej Maxa, po czym znikł, gdy wyprowadzała konia na zewnątrz.

– Pięć kilometrów dalej, gdzie boczna droga dochodzi do głównej trasy, czekał na nią Dale z ciężarówką i przyczepą, z której dochodziły odgłosy wydawane przez zniecierpliwionego wierzchowca, i Roz, która przyjechała własnym samochodem. Cecelia zsiadła z Maxa, pomogła załadować go do przyczepy razem z Dulcy Max mogliby opierać się przy wchodzeniu do pustej przyczepy a potem przez chwilę zmagala się z zacinającymi się bocznymi drzwiami samochodu. Roz zatrzasnęła je od zewnątrz i wspięła się do ciężarówki, a Cece odjechała samotnie w stronę regionalnego lotniska.

* * *

Zaletą osobistego pilotowania własnego statku było to, że plan lotu i jego prawdziwy cel wcale nie musiały się pokrywać. Omówiła ze swoimi pracownikami harmonogram treningów dla Seniority i Maxa na resztę sezonu i powiedziała im, że leci odwiedzić laboratoria EquiSite, po czym wróci na Rotterdam, żeby sprawdzić techniki rzeźbienia genetycznego koni, które ostatnio się pojawiły.

Potem wypełniła plan lotu na Rotterdam, wiedząc, że jej pracownicy nie będą tego komentować.

Jej nowy statek, który potrafił lądować na planecie, ominął zatłoczoną stację

Zenebra. Spodziewała się, że Pedar sprawdzi plan jej lotu i wektor skokowy. Dobrze, niech sprawdza. Wektor na Rotterdam tak naprawdę prowadził do pierwszego skoku pośredniego, a stamtąd łatwo mogła skrócić na Castle Rock. Poświęciła chwilę na podziękowanie Heris za sugestię, by zdobyła licencję i nauczyła się pilotować własny statek.

Trochę brakowało jej luksusów *Sweet Delight* i szacunku, jaki wzbudzał pełnych rozmiarów jacht. Marzyła o długiej, gorącej kąpieli i masażu. Przez to, że wepchnęła w mały kadłub urządzenia do kąpieli wodnej i sprzęt do recyklingu, całkowicie straciła możliwość zabrania kogoś ze sobą na pokład. A więc czeka ją tylko prysznic, bez żadnego masażu, zatem rano pewnie obudzi się cała zesztywniała. Nawet odmłodzone ciało nie mogło nie odczuwać skutków Wyścigów Seniorów.

Ale mimo tych wszystkich niedogodności *Pounce* był szybszy od jej starego jachtu i mógł lądować na planetach. Minęła już stację orbitalną i skierowała się, prowadzona sygnałami boi, do punktu skokowego systemu.

ROZDZIAŁ TRZECI

Po dwóch całkiem zwykłych przelotach tranzytowych po opuszczeniu Zenebry Cecelia znalazła się w przestrzeni Castle Rock, gdzie uzyskała potwierdzenie, że Miranda wciąż znajduje się w swoich apartamentach w Starym Pałacu. Kiedy zadzwoniła, pracownik odbierający połączenie poinformował ją, że Miranda faktycznie chętnie się z nią zobaczy. Czekaając na holownik, który miał umieścić jej statek w doku stacji, Cecelia dokonała rezerwacji miejsca na promie. Papierkowa robota wymagana do przejścia przez odprawę celną i zarząd doków zdawała się ciągnąć w nieskończoność (czy Heris naprawdę musi przedzierać się przez to wszystko, czy procedury zaostrożono z powodu zabójstwa?), ale gdy dotarła na prom, okazało się, że ma jeszcze kilkuminutowy margines. Na Rockhouse Major nie spotkała nikogo znajomego, podobnie jak na promie. Odpowiadało jej to; nie była w nastroju do rozmowy ze znajomymi.

Kiedy wyszła z bramy portu, rozglądając się za wynajętym samochodem, zobaczyła długi czarny pojazd z symbolami Familii na drzwiach; kierowca najwyraźniej ją rozpoznał.

– Lady Cecelia?

– Tak.

– Wysłała nas po panią lady Miranda. Pani bagaż?

– Na podajniku – odpowiedziała Cecelia, podając mu pasek identyfikacyjny. Kierowca skinął głową swojemu pomocnikowi, który wziął pasek i ruszył w stronę podajników. Poniewczasie Cecelia pomyślała, że powinna była upewnić się co do ich tożsamości; gdyby tu była Heris, zrobiłaby jej za to awanturę. Ale w tym momencie kierowca podał jej jakiś płaski pakunek.

– Lady Miranda chciała, by to pani przekazać – powiedział. Była to notatka od Mirandy i zdjęcia kierowcy i jego pomocnika.

– Nie musisz się obawiać – napisała w liściku – gdyż nauczyliśmy się podejmować wszelkie środki ostrożności. Czekam na nasze spotkanie.

Po paru minutach pomocnik wrócił z bagażami Cecelii oznaczonymi paskowaną taśmą, co znaczyło, że przeszły przez ręce celników. Kobieta wsiadła do samochodu, i podczas gdy kierowca próbował włączyć się do ruchu, zaczęła się zastanawiać, czy wybrali tę samą drogę, którą jechał Bunny w dniu śmierci. Ale nie spytała o to.

* * *

W Pałacu na początku wszystko zdawało się normalne. Te same mundury przy bramie i drzwiach. Ta sama cicha i sprawna służba, która poprowadziła ją najpierw do

pokoju gościnnego wychodzącego na mały ogród, a potem, gdy już się wykąpała i przebrała, do apartamentów Mirandy. W tym cichym i wdzięcznym pałacu aż trudno było uwierzyć, że Bunny nie żyje, a pokój na planecie jest zagrożony. Wydawało jej się, że w każdej chwili może natknąć się na niego w korytarzu, zobaczyć jego przyjemną, lekko głupawą twarz rozświetloną promiennym uśmiechem.

Myślała tak do chwili, gdy znalazła się twarzą w twarz z Mirandą i zobaczyła spustoszenia, jakich dokonała tragedia w tej legendarnej piękności. Cecelia zaczęła się nawet zastanawiać, jak to możliwe, że nieskazitelne rysy i idealna skóra mogły teraz wyrażać taką dewastację. Po rytuałach powitań, kiedy służba ustawiła na niskim stoliku zestaw do herbaty i wycofała się, Cecelia nie mogła już dłużej czekać. Zresztą nie było potrzeby, skoro ta piękna porcelana już była strzaskana.

– Mirando, co powiedzieli ci o tym... kto to zrobił?

– Nic. – Miranda naląła filiżankę herbaty i podała ją Cecelii. Filiżanka nawet nie zadrżała na podstawce. – W wiadomościach mówią, że to Milicja Nowego Teksasu w odwecie za egzekucje. Wiem, że zwolniono byłego szefa ochrony. Ale bardzo delikatnie dano mi do zrozumienia, że prowadzone jest śledztwo i zostaną poinformowana o jego postępach we właściwym czasie. Poczęstuj się ciastkiem; zawsze lubiłaś te zakręcone, prawda?

Cecelia zignorowała ciastka.

– Mirando... Nie sądzę, żeby to była Milicja Nuteksu.

– Czemu? – Twarz Mirandy nie wyrażała więcej uczuć niż kamienne popiersie.

– Myślę, że to zrobił ktoś... stąd.

– Rodzina? – Głos miała spokojny. Czemu nie jest zdenerwowana? Wystraszona? Czy przeszła zbyt wiele?

Cecelia odczekała chwilę, po czym mówiła dalej.

– Pedar powiedział... że Bunny złamał zasady.

Usta Mirandy zadrżały; mógł to być grymas lub uśmiech.

– Zawsze to robił. Zdawał się taki... cichy, taki... uległy. Ale już od pierwszego razu, gdy przyniósł mi ciastko ukradzione kucharzowi, gdy jeszcze byliśmy dziećmi, i pokazał, gdzie możemy ukryć się przed guwernantkami... łamał zasady.

– Mówię o ważniejszych niż te zasadach – powiedziała Cecelia.

– Wiem. – Miranda patrzyła przed siebie, jakby zobaczyła coś gdzieś dużo dalej, ale była zbyt zmęczona, by zwracać na to większą uwagę.

– Miranda! – Zanim jednak kobieta przeniosła na nią wzrok, Cecelia postanowiła nie mówić jej tego, co chciała powiedzieć. Że teraz nie może się poddać, że musi dalej działać, bo ma rodzinę...

– Mam rodzinę – powiedziała Miranda chłodnym, bezbarwnym głosem. – Mam obowiązki. Dzieci. Wnuki. Nie chcesz, żebym o tym zapomniała.

– Tak.

– Nie obchodzi mnie to. – Miranda obróciła marmurową twarz w stronę Cecelii. – Nie obchodzą mnie dzieci, nawet Brun. Nie obchodzą mnie wnuki, te bękarcie bachory mojej córki... – Gwałtownie wciągnęła powietrze, zaprzeczając wcześniej wypowiedzianym słowom. Cecelia milczała; nie miała nic do powiedzenia. – Nic mnie nie obchodzi – mówiła dalej Miranda – oprócz Branthcomba. Bunny’ego, którego pomimo odmłodeń, selekcji genetycznej i wszystkiego tego, co wymyśliliśmy, by oszczędzić sobie cierpień, przez całe życie kochałam. Całe moje życie od chwili, gdy przyniósł mi to ciastko wiśniowe i siedząc na schodach z tyłu domu, zjedliśmy je, gryząc na przemian, kochałam go. Cudem było dla mnie to, że i on mnie kochał. Że przeżył sezon polowań, przez który wciąż muszą przechodzić młodzi ludzie, że pamiętał mnie po latach odosobnienia w Cypress Hill, że ożenił się ze mną. I że został ojcem moich dzieci, i że niezależnie od wszystkiego zawsze był lojalny, przyzwoity i... – W końcu głos jej się załamał i zaczęła szlochać.

– Moja droga... – Cecelia nieśmiało przytuliła ją. Miranda przez długi czas była jeszcze jedną piękną porcelanową figurką w jej mentalnej kolekcji pięknych kobiet – tak jak jej siostra, jak wszystkie kobiety tego rodzaju – które dotykała tak, jak tego wymagały rytuały klasowych spotkań – czubki palców, policzki... Ale Miranda nie cofnęła się, oparła się na niej tak, jakby Cecelia była jej matką czy ciotką.

Łkania trwały długi czas, ale w końcu Miranda uspokoiła się.

– Niech to szlag – powiedziała w końcu. – Myślałam, że mam to już za sobą.

– Nie wydaje mi się, żeby to było możliwe – stwierdziła Cecelia.

– Nie, nie do końca. Ale wystarczająco, by funkcjonować. Masz rację, mam wiele do zrobienia. Ale naprawdę nie wiem jak.

– Twoi doradcy...

– To hieny. – Miranda rzuciła Cecelii ostre spojrzenie i odrobinę się cofnęła. Ta natychmiast zrozumiała sugestię i wstała, przeciągając się.

– Ponieważ nigdy nie wyszłaś za mąż, możesz nie zdawać sobie sprawy, jak skomplikowana jest moja sytuacja – ciągnęła Miranda. – Twoje posiadłości należą wyłącznie do ciebie i możesz sama nimi dysponować...

– Jeśli nie wtrąca się moja grubiańska rodzina – odpowiedziała Cecelia. Bezskutecznie próbowała nie myśleć o ingerencji siostry w jej testament. Skutki prawne ciągnęły się przez kilka lat.

– To prawda. Ale mnie została spuścizna po Bunnym w kilku różnych dziedzinach, a od niektórych z nich trzymałam się dotąd z daleka. Na przykład polityka...

– Chyba nikt nie spodziewa się, że przejmiesz funkcję Mówcy?

– Nie. – Głos Mirandy stał się ostry. – Wszyscy są pewni, że akurat o polityce wiem najmniej. A szkoda, ponieważ ja naprawdę ją rozumiem i mogłabym go zastąpić,

gdyby tylko mi pozwolili.

Cecelia z trudem opanowała się, by nie okazać zdziwienia. Miranda i zdolności polityczne? Potem pomyślała o Lorenzy... Znowu usiadła i naląła sobie filiżankę herbaty.

– Lorenza. – Miranda ponownie wypowiedziała na głos myśli Cecelii. – To kolejny przykład osoby trzymającej się w cieniu mistrza. Grałyśmy ze sobą w bardzo wysublimowaną grę o władzę... Żeby cię nie zanudzać, Cecelio, pomyśl o tym w kategoriach jazdy konnej. Wyobraź sobie siebie na wspaniałym koniu, który tobą gardzi, lecz z jakiegoś powodu zgadza się dokładnie wykonywać twoje polecenia.

– Miałam kiedyś takiego. – Cecelia miała nadzieję, że uda jej się skierować uwagę Mirandy na przyjemniejszy temat, ale uciszył ją jej zirytowany syk.

– Nie rozmawiamy o koniach. Czy kiedykolwiek próbowałaś fechtunku?

Fechtunek. Przez głowę Cecelii przebiegły wszystkie możliwe znaczenia tego słowa, z których ostatnie wiązało się z *Glosariuszem terminów okrętowych*, ale jakoś nie potrafiła sobie wyobrazić Mirandy zajmującej się załadunkiem statku kosmicznego.

– To starożytny sport – wyjaśniła Miranda – wywodzący się z dawnej metody prowadzenia wojen. To walka na miecze, inaczej nazywana szermierką lub fechtunkiem.

– Nie – odpowiedziała nieco zdenerwowana Cecelia. Właśnie przez pół godziny uspokajała załamaną kobietę, a teraz jest przepytywana jak uczennica o sport, który zawsze uważała za nadzwyczaj głupi. Nie miał też choćby najmniejszego związku z końmi. – Nie próbowałam tego... fechtunku.

– A powinnaś. – Miranda wstała i zaczęła nerwowo chodzić po pokoju, dotykając różnych przedmiotów, jakby wyczuwała drogę dotykiem, a nie za pomocą wzroku. Zasłona, biurko, krzesło, zasłona... – To wspaniała dyscyplina; można ją uprawiać na przykład na pokładach statków kosmicznych.

– Miecze? – Cecelia nie potrafiła ukryć zdumienia. Czy Miranda traci rozum? Łzy, potem polityka, a teraz miecze...

– Trudno nimi uszkodzić kadłub – wyjaśniła Miranda. – Ale jeśli chce się tylko zabić ludzi, po co niszczyć statek?

Musiała oszaleć. Cecelia pomyślała, że to może być skutek działania tego, co tak długo utrzymywało ją w dobrej formie. Czyżby dostała wadliwe środki do odmładzania?

– Cecelio, nie jestem szalona. Czuję żal, frustrację i gniew, ale nie w taki sposób, jak zazwyczaj się uważa. Szermierka stanowi idealną metaforę tego, co robiłyśmy z Lorenzą, podobnie jak Bunny i jej brat Piercy, ale ty tego nie znasz.

Cecelia poczuła, jak narasta w niej złość. Mocno zacisnęła oczy.

– Mirando, wiem, że jesteś w rozpacz, i dobrze, że się wypłakałaś. Ale proszę,

przestań mnie traktować jak głupią uczennicę z bzikiem na punkcie koni...

– Bo nią jesteś – stwierdziła Miranda tym samym bezbarwnym i chłodnym tonem.
– Zawsze nią byłaś. Nie chciałaś dorosnąć, tak samo jak Brun. To niedorzeczne, że Bunny wysłał Brun do ciebie, że ze wszystkich ludzi wybrał akurat ciebie.

– Ty... mnie obwiniasz? Za Brun?

– Nie... To znaczy wiem, że sami wybraliśmy jej taki typ genetyczny: skłonność do ryzykanctwa i duża wrażliwość. Ale ty byłaś doskonałym wzorem dla takiej dziewczyny. W każdym sezonie łowieckim namawiałaś ją do przeskakiwania coraz wyższych przeszkód, tak jakby liczyły się wyłącznie konie. I dokąd ją zaprowadziło to, że wybrała sobie za wzór kogoś takiego jak ty?!

Zdumienie na chwilę zastąpiło gniew.

– Ona wcale nie jest taka jak ja – powiedziała Cecelia.

– Nie, nie wariuje na punkcie koni. Ale ten jej... upór, niefrasobliwość, chęć pozbycia się wszelkiej odpowiedzialności...

Cecelia znów poczuła wzbierający gniew.

– Nie wiedziałam, że uważasz mnie za nieodpowiedzialną – powiedziała cicho.

Miranda machnęła lekceważąco dłonią.

– Oczywiście, nie we wszystkim jest taka jak ty. Ale nie ma żadnego przywiązania do rodziny, lojalności wobec Familii... – Machnęła gwałtownie głową, tak że lok złotych włosów opadł jej na czoło. – I wymyśliła tamten szalony trik, żeby ciebie uratować. Mogli ją wtedy zabić...

– Nie prosiłam jej o to. – Cecelia poczuła, że w jej mózgu rozlega się cichy dzwonek alarmowy. – Nie mogłam. Ona po prostu...

– Cię kochała – dokończyła Miranda. Uniosła ramiona osłonięte zielonym jedwabiem i ciężko westchnęła.

– Kochała swoją rodzinę – rzekła Cecelia. – Ale wy nie potrzebowaliście ratunku.

– Nie. – Teraz Miranda znowu była spokojna. – Nie, nigdy nie potrzebowałam. – Przez dłuższą chwilę milczała. Potem znów wzruszyła ramionami. – Kata Saenz powiedziała, że dostarczyliśmy Brun niewłaściwych wzorców. Powiedziała to Bunny'emu w czasie przygotowywania akcji ratunkowej. Ja zawsze wiedziałam, że coś zrobiliśmy źle, choć inne nasze dzieci wyrosły na całkiem dobrych ludzi. A szok spowodowany usłyszeniem, że to w części jego wina, pomógł Bunny'emu pozbyć się nienawiści do tej dziewczyny, Suizy, która później uratowała Brun życie. Po prostu nie potrafię jej zrozumieć, choć to moje dziecko.

– A co z resztą rodziny? Buttonsem, Sarah?

– Pomagają mi, na ile potrafią. Buttons oczywiście spodziewa się przejąć dziedzictwo ojca. Ale młodszy brat Bunny'ego, Harlis... Pamiętasz go?

Cecelia przytaknęła. Harlis miał całą arogancję i arystokratyczną fircykowatość

Bunny'ego, ale tylko jedną trzecią jego rozumu. Bunny w jednej chwili potrafił przemienić się z głupawego, polującego na lisy pana na włościach w rozsądnego, praktycznego i bardzo zdolnego polityka. Harlis zaś... Ten jego wygląd i brak kręgosłupa...

– Harlis kwestionuje strukturę Rodziny, i nie jestem pewna, czy Buttons zdoła go powstrzymać. Już trzy lata temu mówiłam Bunny'emu, że powinien wyjaśnić tę sytuację, i nawet pracowali nad tym z Kevilem, ale potem Bubbles... Brun zniknęła.

– I oczywiście Bunny już o tym nie myślał.

– Ani o niczym innym. Harlis zdołał przekonać część dalszych krewnych, że Bunny stracił rozum i że wszystkim jego dzieciom grozi to samo. Niektórzy z nich w to uwierzyli i poparli Harlisa swoimi wpływami. Zdobył zdumiewająco duże udziały w kilku korporacjach; przekonał nawet starą Treme, żeby zostawiła mu swoje udziały...

– Co z tobą będzie?

– Prawdopodobnie dużo stracę. A chciałam tego wszystkiego dla Bnin, dla niej i dla bliźniaków. Potrzebuje bezpiecznego miejsca; Sirealis byłoby idealne...

– Harlis nie zabierze Sirealis! – W pierwszej chwili Cecelia pomyślała, że Harlis nigdy nie lubił polowania na lisy i może chcieć skończyć z tradycją corocznych polowań, ale zawstydzona szybko odgoniła tę myśl. Może faktycznie jest tak samolubna i zwariowana na punkcie koni, jak sądzi Miranda.

– Już próbuje zabrać. – Miranda obniżyła głos, naśladując Harlisa. – „Och, oczywiście zawsze będziesz mile widziana, Mirando. Zawsze będzie tam dla ciebie miejsce. Ale to rodzinna posiadłość, nie tylko Bunny'ego.” Jakżeby mogła siedzieć w tak hojnie zaoferowanym mi apartamencie, podczas gdy on puszyłby się, udając pana na włościach!

Cecelia wolała nie mówić, że nie musiałyby udawać, gdyż faktycznie byłby tam panem, gdyby udało mu się zrealizować swoje plany.

– I co w związku z tym zrobisz? Zakładam, że masz jakiś plan.

– Tak, ale jeszcze się nie zdecydowałam. Oznaczałoby to zniszczenie sporej części tego, co zbudował Bunny. Stosunków rodzinnych, przyjaźni, sojuszy. Mogę wezwać swoją rodzinę... – Rodzina Mirandy znana była przede wszystkim z zarządzania informacją a w dalszej kolejności z produkcji różnorodnych urządzeń, mających się tak do zwykłych komputerów, jak najwyższej klasy koń wyścigowy do dziecięcego kucyka.

– Ale to jest... było Bunny'ego i prawnie należy się tobie. – Dziedziczenie było jedną z nienaruszalnych zasad, podstawą potęgi Rodzin. Cecelia była zła na swoją siostrę za kwestionowanie jej testamentu, ale wiedziała, że gdyby rozdysponowała swój majątek w ramach rodziny, dała go nawet dalekiemu krewnemu, nikt nie próbowałby podważyć testamentu.

– Cece, nie rozumiesz, co się stało, od kiedy ujawniłaś sprawę Kemtre'a i Lorenzy. Podejrzewam, że zaczęło się już wcześniej, ale dopiero wtedy stało się to oczywiste. –

Miranda przerwała na chwilę, marszcząc w zamyśleniu brwi. – Bunny, ja i Kevil utrzymywaliśmy sojusz Familii na włosku dzięki naszym kontaktom społecznym i handlowym oraz dzięki umiejętnościom i intuicji Kevila. Przysięgłabym, że on wiedział o szkieletach w rodzinnych szafach więcej niż ktokolwiek mógłby się domyślać. Bunny ze wszystkimi rozmawiał, a ja uśmiechałam się i wdzięczyłam do żon i kochanek. Trzymaliśmy to z trudem w całości, ale ciągle wytrącały nas z równowagi kolejne kryzysy. Abdykacja Kemtre’a, bałagan z Patchcock, panika z powodu leków do odmładzania i upadek rodziny Morelline/Conselline, a potem porwanie Bnin...

– A ja wróciłam na Rotterdam, aby bawić się swoimi końmi – stwierdziła Cecelia.

– Tak. Nawet na swój sposób to rozumiem. Venezia Morrelline miała swoje garncarstwo, ty konie, a Kata Saenz swoje badania. Większość ludzi ma jakieś zainteresowania, i w końcu dobry system polityczny właśnie powinien zostawiać ludziom swobodę zajmowania się tym, w czym są najlepsi, cokolwiek to jest. Ludzie chcą robić rzeczy, które lubią, żenić się i mieć dzieci, czerpać z życia przyjemności. Ale jeśli robi to zbyt wielu ludzi, Cecelio, pozostają szczeliny dla tych, którzy chcą władzy dla niej samej i którzy mogą użyć jej w sposób, który zagraża naszemu życiu.

Jak na przykład Bunny, pomyślała Cecelia, który używał zasobów Floty tak, jakby należały do niego, by uratować Brun. Ale nie powiedziała tego. Zdawała sobie sprawę, że Miranda wie, co ludzie o tym myślą.

– Jak się ma Kevil? – zapytała zamiast tego.

– Żyje. – Sądząc po tonie, trudno było stwierdzić, czy Miranda się z tego cieszy. Potem westchnęła. – Kevil został ciężko ranny; całe dni przebywa w zbiorniku regeneracyjnym, a do tego jeszcze rana głowy powoduje, że wciąż nie jest sobą. Lekarze mówią, że może już nigdy nie będzie. A bez Bunny’ego lub beze mnie nie będzie miał wystarczającego wsparcia, by robić to, czym zajmował się wcześniej.

– Powinam go odwiedzić – powiedziała Cecelia.

– Tak, powinnaś. Powinnaś powiedzieć mu to samo, co mnie, łącznie ze wszystkimi znanymi ci nazwiskami. Może wiesz coś, co dałoby nam przewagę.

– A Brun?

– Brun... ma szalony pomysł zmiany tożsamości. Chce polecieć do Guernesii, dokonać odmłodzenia i biorzeźbienia, które zrobiłyby z niej całkowicie nową osobę.

– Nie chce tych dzieci – stwierdziła Cecelia, nawet nie pytając – A ty chciałabyś? – Miranda zadrżała, potem westchnęła. – Nie, nie chce ich. Tak naprawdę ja też ich nie chcę. Tylko Bunny chciał. Wierzył, że gdy dorosną, będą mogły dowieść, że fakt ich istnienia nie jest klęską, ale to przecież nieprawda.

– Spoczywa na nich spory ciężar.

– Tak, i to jest niesprawiedliwe. Wiem o tym. Ale nic nie może sprawić, żeby przestały być tym, kim są: bękartami. Klęską Brun, klęską wszystkich nadziei Familii. Biedne małe bachory są jak zapalony lont.

– Jakie one są?

– Jak to dzieci. Właściwie w tej chwili jeszcze niemowlaki. Żaden z nich nie przypomina wyglądem nikogo z naszej rodziny. Nie są identyczne. Jeden ma najjaśniejsze rude włosy, jakie kiedykolwiek widziałam, a drugi jest ciemny. Brun mówiła, że jeden z mężczyzn był rudy...

Cecelia zauważyła, że Miranda nie używa imion dzieci, ale zanim zdążyła zapytać, ta mówiła dalej.

– Skan genowy wykazał trochę interesujących anomalii. Według jednego z genetyków, który badał kobiety i pozostałe dzieci, ci ludzie są blisko spokrewnieni, co powoduje silne skupienie wielu cech recesywnych. Zauważył, że dzieci urodzone przez schwytane kobiety znacznie rzadziej były niesprawne. Oni uważali, że to dowód błogosławieństwa ich Boga dla faktu porwania kobiet. Oczywiście natychmiast poddaliśmy chłopców leczeniu, lecz było już zbyt późno na całkowite usunięcie negatywnych cech.

– Jak ich nazwałyście? – zdołała w końcu zapytać Cecelia.

Miranda zaczerwieniła się.

– Właściwie nie... nadaliśmy im imion. Brun nigdy tego nie zrobiła i odmawia rozmowy na ten temat. Pielęgniarki mówią na nich Rudy i Brązowy. Wiem. – Podniosła rękę. – To imiona dla psów czy kucyków, a nie dla chłopców. W najlepszym razie przydomki. Ja akurat... rozmawiałam o tym z Bunnym, gdy został zabity. – Podniosła nerwowo filizankę. – Chciałabyś ich zobaczyć?

– Oczywiście. – Cecelia wstała.

Już w korytarzu słyhać było radosne gaworzenie dziecka i śmiech drugiego. Miranda zatrzymała się przed otwartymi drzwiami. Cecelia zajrzała do środka. Ujrzała dwie młode kobiety w kolorowych fartuchach, podłogę usianą zabawkami i dwa niemowlaki. Jeden, rudowłosy, podskakiwał, klaszcząc. Drugi, siedząc w środku rozsypanych klocków, z uśmiechem patrzył w stronę drzwi.

Były to normalne dzieci, nie potwory. Szczęśliwe dzieci. Dzieci, które mogłyby być czymś więcej niż tylko „zapalonymi lontami”, gdyby pozwolić im wyrosnąć bez obciążania ich przeszłością, której nie były winne.

– Musisz ich gdzieś wysłać – oświadczyła Cecelia, zaskakując samą siebie. – Są ludzie, którzy chcą mieć dzieci, a nie mogą; są takie miejsca, gdzie ci chłopcy będą traktowani tak, jak powinni być.

– Bunny powiedział...

– Bunny nie żyje. Ale oni żyją. I mogą mieć wspaniałą przyszłość; wszechświat jest wystarczająco duży, by nie musiały być pionkami w jakiejś grze o władzę.

– A czy ty wiesz, kto... – W głosie Mirandy słyhać było sarkazm i nadzieję.

– Nie, ale mogę się dowiedzieć. Pozwolisz mi znaleźć im dom, w którym będą

mieli szansę?

– Ja... nie wiem.

– Mirando. Masz inne wnuki i będziesz ich miała więcej. Dzieci, które możesz normalnie kochać. Nawet nie nadałaś tym chłopcom imion. Sama wiesz, że to niewłaściwe. Oddaj ich, daj im szansę.

– Brun chce... Powiedziała... że nie chce ich nienawidzić, lecz nie potrafi żyć, mając ich przy sobie. Ale żadna z nas nie potrafi znieść myśli o przytułku.

– Ma rację – zgodziła się Cecelia. – Powiedziałaś, że jesteśmy podobne, i może faktycznie tak jest. Gdybym to ja je urodziła w takich samych okolicznościach, także musiałabym je oddać.

To duży wszechświat, dzieci nie muszą o tym wiedzieć.

Zostawiła Mirandę w drzwiach i weszła do pokoju, kłaniając się lekko pielęgniarce, po czym usiadła na podłodze. Rudy, z włosami jak pomarańczowy płomień, wsadził w usta gruby kciuk, a brązowowłosy uśmiechnął się do niej. Cecelia wyciągnęła kółko z kluczami do stajni i zadzwoniła nimi. Jego uśmiech poszerzył się i chłopiec podszedł do niej, wyciągając rączkę po klucze. Choć wyglądem niezbyt przypominał Brun, jego odwaga i błysk w niebieskich oczach wskazywały na więzy krwi.

Cecelia nigdy nie uważała siebie za osobę religijną, ale teraz stwierdziła, że modli się do kogoś, gdzieś, żeby dał tym chłopcom lepsze niż dotychczas życie.

– Lady Cecelia! – wykrzyknęła Brun. Kobieta odwróciła się.

– Dobrze wyglądasz – powiedziała. Faktycznie, pod względem fizycznym Brun wyglądała dobrze. Ciało szczupłe i wysportowane, burza złotych loków wokół głowy. Ale jej spojrzenie przesłaniał cień, gdy patrzyła na chłopców.

– Nic mi nie jest – stwierdziła dziewczyna. – Biorąc pod uwagę okoliczności...

– Zgadza się z tobą i twoją matką – oznajmiła Cecelia. – Ci chłopcy potrzebują porządnego domu, nie wspominając już o imionach.

Twarz Brun zeszywniała, potem uśmiechnęła się.

– Jak widzę, wciąż pełna taktu.

– Jak zawsze – zgodziła się Cecelia. – Moja droga, mam prawie dziewięćdziesiątkę, a odmłodzenie w żaden sposób nie poprawiło mojej osobowości. Czemu nie zrobimy tego jeszcze dzisiaj?

– Dzisiaj? – Zarówno Brun, jak i Miranda wyglądały na zaszokowane, podobnie jak pielęgniarki.

– Zaczynają już mówić, a rozumieją znacznie więcej. Każdy dzień czekania sprawi, że to będzie dla nich coraz trudniejsze.

– Ja... chcę być pewna, że będą miały dobre domy. Że niczego nie będzie im brakować.

– Dobry dom to taki, w którym będą kochane – odpowiedziała Cecelia z całym przekonaniem kogoś, kto nie ma własnych dzieci. – A w tej chwili brakuje im najpotrzebniejszych rzeczy – imion, rodziców...

– Ale co z nimi zrobisz?

– Zabiorę je do bezpiecznego i kochającego domu. Brun, znasz mnie całe swoje życie. Czy kiedykolwiek cię okłamałam? – Brun ze łzami w oczach pokręciła głową. Miranda zaczęła coś mówić, ale Cecelia uciszyła ją gestem. – Mówiłam ci prawdę nawet wtedy, kiedy nie chciałaś jej słyszeć. Powiem ją i teraz. Jeśli oddasz mi tych chłopców, dopilnuję, żeby trafili do dobrego domu. Zrobię to osobiście.

– Ale twoje plany...

– Są wyłącznie moje. Miranda, dopiero co beształaś mnie za brak obowiązków. W takiej sytuacji jak ta to się przydaje. Mogę wam pomóc już, w tej chwili, bo nie mam żadnych pilnych spraw. – Jej głos złagodniał. – Proszę, pozwólcie mi.

Brun spuściła wzrok, potem kiwnęła głową. Cecelia dostrzegła w jej oczach łzy.

Miranda przez dłuższą chwilę wpatrywała się w Cecelię, po czym powiedziała:

– Dobrze. Wciąż mam dla nich pieniądze na początek nowego życia...

– W porządku. – Cecelia zaczęła się zastanawiać, co teraz. Powiedziała „dzisiaj”, nie myśląc, co to tak naprawdę oznacza, a tymczasem pielęgniarki już patrzyły na nią, czekając na polecenia. Nie miała pojęcia, ile czasu potrzeba na spakowanie dwójki dzieci ani dokąd mają zabrać, ale wiedziała, że nie może się wahać.

– Jesteście zatrudnione na pełny etat. Czy byłybyście w stanie wyjechać na mniej więcej miesiąc? – zwróciła się do pielęgniarek.

– Tak, proszę pani – odpowiedziała jedna z nich. – Jesteśmy z Sirialis, ale myślałyśmy, że zostaniemy tu na całe lata...

– W takim razie zacznijcie pakowanie albo poproście kogoś o spakowanie rzeczy chłopców. Muszę porozmawiać z Mirandą i dokonać pewnych przygotowań. – Będzie potrzebowała większego statku... Poczula chwilowy żal na myśl o tym, jak dobrze byłoby zabrać bliźniaki i ich opiekunki na *Sweet Delight* razem z Heris Serrano. Czy ma zrobić rezerwację na komercyjnym liniowcu? Nie. Na początek będzie też potrzebowała dodatkowego pokoju – całego apartamentu – w swoim hotelu. A może w innym hotelu? Pomysły zawirowały w jej głowie jak liście na wietrze. – Mirando, chodźmy do twojego pokoju, mamy sprawy do omówienia.

– Tak, Cecelio. – Miranda kiwnęła głową opiekunkom, które zaczęły już zbierać zabawki. – Przyślę służącą do pakowania, a wy dopilnujcie tylko, by chłopcy byli czysti i ubrani. I zajmę się waszymi pensjami i referencjami.

Potem poprowadziła Cecelię do swojego gabinetu. Brun, z twarzą wykrzywioną żalem, poszła razem z nimi.

– Czy masz pojęcie, dokąd z nimi polecisz? – zapytała Miranda, gdy znów

siedziały w jej bawialni.

– Tak. – Pomysł pojawił się, gdy szły korytarzem. – Znam idealną planetę i prawdopodobnie idealną parę. Chcecie wiedzieć?

– Nie... teraz. Może później. – Brun skuliła się w fotelu ze wzrokiem wbitym w dywan.

– No dobrze. Mirando, muszę skorzystać z twojego telefonu.

– Zadzwoń do Poissona...

– Nie, sama dokonam rezerwacji. – Najpierw zajmę się hotelem, pomyślała, a później transportem. Nie chcę żadnych zapisów w komputerach Pałacu, do których mogliby mieć dostęp reporterzy.

– Mam środki...

– Powiedziałaś, że walczysz z bratem Bunny'ego.

– To moja sprawa. Przynajmniej pozwól mi sobie pomóc.

– Oczywiście. – Podczas gdy Miranda otwierała połączenie z bankiem, Cecelia zwróciła się do Brun. – Brun, kontaktowałaś się ostatnio z tamtą dziewczyną? Hazel, prawda?

Brun podniosła wzrok.

– Martwię się o nią. Wydaje się, że dobrze sobie radzi jak na kogoś, kto tyle przeszedł, ale nigdy nie przyznała się, jak jej było ciężko. Wciąż chce, żebym spotkała się z żoną tego Rangera, Prima Bowie.

– Czemu?

– Nie wiem. Wydaje mi się, że Hazel ją lubi i jest jej żal tej kobiety, bo jest w naszym społeczeństwie obca. Ale ona sama się na to zdecydowała, nie została porwana.

– Te wszystkie kobiety wciąż są razem? – zapytała Cecelia.

– Z tego, co wiem, tak. Właściwie... mnie to nie obchodzi.

– Przekazałam na twoje konto przyzwoitą sumę, Cecelio – wtrąciła się Miranda. – Później mogę przesłać więcej, jeśli...

– Nie martw się o to. Powiedz mi, czy opiekunki wychodzą z chłopcami na powietrze? Do parku czy gdzie indziej?

– Nie, nie wychodzą poza teren Pałacu. Reporterzy i tak są wystarczająco nachalni.

– W takim razie może są tu jacyś pracownicy Pałacu, którzy mają dzieci?

– Jestem pewna, że tak, ale nie wiem kto.

– Może służące będą wiedzieć. Nie chcemy publiczności, gdy będziemy wywozić stąd dzieci.

* * *

Niewielki wąż dzieci ze szkoły podstawowej Briary Meadows, przesuwał się przez dostępne dla publiczności pokoje Pałacu, odrobinę się wydłużył. Ale nikt nie zwrócił na to uwagi; dzieci miały już dosyć osłoniętych pancernym szkłem gablot z trofeami, listami i podarunkami od jednej słynnej osoby dla drugiej, pokojów pełnych mebli, których nie wolno dotykać, jedwabnych lin, których nie należy huścić, i ciągłych napomnień, by uważać, nie rozmawiać i niczego nie ruszać.

Uczniom obiecano, że jeśli będą się dobrze zachowywać, na koniec zostaną zaprowadzeni do słynnej lodziarni u Ziffry, więc gdy wychodzili, tylko ciągłe napomnienia uchroniły je przed zdeptaniem się nawzajem. Pochód zamykały dwie opiekunki, każda z niemowlakiem na biodrze, ubrane w zielone mundurki szkolnych pomocników, do których przyczepiono przepustki.

Grupka wytrwałych reporterów czatujących na zewnątrz na Brun lub jej dzieci zignorowała stado głośnych uczniów, wciąż upominanych przez dorosłych. Każdego dnia widzieli, jak jasnozielone autobusy szkolne przywożą grupy uczniów, ustawianych następnie w równy rząd przez nauczycieli i dorosłych wolontariuszy. Pałac zawsze stanowił atrakcję turystyczną i autobusy pełne szkolnej młodzieży, emerytów i uczestników konferencji pojawiały się tutaj tak często, że nikt z reporterów nie zwracał już na nie uwagi.

Za to zainteresowała ich limuzyna lady Cecelii, czekająca na drugim końcu parkingu.

Pół godziny później Cecelia wyszła, uśmiechając się do obiektywów holograficznych kamer i przyjmując gratulacje z okazji zwycięstwa w Wyścigach Seniorów. Odpowiedziała na kilka pytań odnośnie do swojego programu rozrodczego i wyraziła współczucie dla rodziny Bunny'ego, a potem wsiadła do czekającej na nią limuzyny i pojechała do centrum medycznego, gdzie wciąż przebywał będący w stanie krytycznym Kevil Mahoney.

Później tego samego popołudnia dwie wolontariuszki szkolne, których zielone mundurki i plakietki zostały na jakiś czas pożyczone, wyszły drzwiami dla personelu w towarzystwie innych pracowników Pałacu. Również nikt nie zwrócił na nie uwagi.

* * *

Miranda wsłuchiwała się w ciszę i czuła, jak coś przestawia się w jej umyśle. Świadomość, że bliźniaków już tutaj nie ma, że nie usłyszy ich głosów, nawet jeśli przejdzie korytarzem, przeniosła ją ku jakiemuś odległemu horyzontowi. Zerknęła na zegar. Naprawdę wciąż jest tak wcześnie? Cecelia na pewno jeszcze nie odleciała z planety. Może sprawdzić... Znieruchomiała z ręką wyciągniętą w stronę telefonu, a potem tak, jakby kierowała mechanicznym ramieniem robota, położyła ją z powrotem na kolana.

Odeszli. Odeszli na zawsze.

Wypełniła ją lekkość, jakby stała się przejrzystą powłoką samej siebie. A potem poczuła, że jest zmęczona, bardzo zmęczona.

– Mamo?

Wróciła tak gwałtownie do rzeczywistości, że aż miała problemy z odetchnięciem.

– Tak, Brun?

– Myślisz, że nic im nie będzie?

– Oczywiście. Na swój sposób na Cecelii można polegać. Dopilnuje tego.

– To dobrze. – Brun niechętnie weszła do jej pokoju, jakby nie była pewna, czy powinna. – Czuję się... dziwnie.

Oczywiście, że czuje się dziwnie. Nikt nie mógł przeżyć tego, przez co ona przeszła, i nie czuć się dziwnie, gdy tylko życie daje mu chwilę na zastanowienie się.

– Usiądź – poprosiła Miranda. – Napij się herbaty. – Cecelia nie wypła nawet do końca swojej. Brun usiadła równie niechętnie, jak weszła do pokoju. Przez chwilę w milczeniu pogryzały ciasteczka, po czym Brun odstawiła swój talerzyk.

– Co się stanie z naszą rodziną?

Nie takiego pytania Miranda się spodziewała, ale chętnie na nie odpowie.

– To będzie bardzo trudne – rzekła. – Kiedy twój ojciec zmobilizował całą Flotę do akcji ratowania ciebie, zantagonizował wielu ludzi, łącznie z własną rodziną.

– Zrobił zbyt wiele dla jednej osoby – wymamrotała Brun.

– To nie była ich córka – stwierdziła Miranda. – I to nie była twoja decyzja, tylko jego. Harlis zdobył wtedy poparcie pozostałej części rodziny, zwłaszcza że już wcześniej nad tym pracował, twierdząc, że Bunny poświęca zbyt wiele czasu i energii na sprawy Rady, zaniedbując interesy rodziny. Mówił, że Buttons jest zbyt młody i niedoświadczony, aby go zastąpić. Domagał się głupich raportów, których przygotowanie było stratą czasu, i czepiał się każdego szczegółu. Buttons musiał wiele się nauczyć w ciągu zaledwie kilku lat, ale bardzo dobrze sobie radzi. Ale Harlis obiecuje wszystkim, że on będzie lepszy. A teraz... Cóż, jest zdecydowany zdobyć Sirealis.

– To głupie – stwierdziła Brun dawnym aroganckim tonem. – Sirealis nie przynosi dochodów; zawsze tak było.

– No właśnie. Harlis twierdzi, że mogłoby, gdyby było właściwie zarządzane. Oczywiście nie mieści się w tym polowanie na lisy... chyba że jako przedsięwzięcie komercyjne. Bardzo zależy mu na komercji. Nie wiem, czy zwróciłaś uwagę na zarządzane przez niego oddziały.

– Nie – powiedziała Brun.

– W takim razie możesz to później przejrzeć. Harlis uważa, że Sirealis mogłoby się stać planetą przeznaczoną do kolonizacji.

– Chce sprowadzić tam kolonistów!?

– Tak. Jego zdaniem na planecie jest mnóstwo przestrzeni, z której należałoby czerpać zyski. Buttons wskazuje na obszary rolnicze, ale on upiera się, że to nie wystarczy, i uważa, że własność Bunny’ego była wyłącznie dożywotnia. Kevil pracował nad tym przed zamachem, ale... teraz on też nie może nam pomóc.

Brun zmarszczyła brwi.

– Zastanawiam się, czy kochany wujek Harlis nie miał czegoś wspólnego z zabójstwem.

– Nie, kochanie. To nie był Harlis. – Powiedziała to z większym naciskiem niż zamierzała. Brun popatrzyła na nią ze zdziwieniem.

– Mamo, ty coś wiesz. Wiesz, kto to zrobił?

– Wiem, że to nie Harlis. – Niech to szlag, musi coś wymyślić, bo Brun znów narazi się na niebezpieczeństwo.

– Nie wierzysz chyba, że to Nowy Teksas?

– Nie. Nie wierzę, choć wciąż taka jest oficjalna wersja.

– W takim razie kto?

– Brun, nie chcę o tym z tobą rozmawiać. Przynajmniej nie w tej chwili. Musimy porozmawiać o rodzinie twojego ojca i ich zamiarach oraz o innych kwestiach ekonomicznych. Trzeba się tym natychmiast zająć. Mordercy twojego ojca... mogą poczekać.

– Ślad...

– Brun, proszę, choć raz w życiu mnie posłuchaj. Musimy być ostrożne.

Brun zbladła, ale i mocniej zacisnęła szczękę.

– Chcę polecieć do Republiki Guernesii.

– Nie, potrzebuję cię tutaj.

– Po co?

– Jako sojusznika. Jeśli mamy obronić naszą pozycję, musimy wszyscy sobie pomagać. Twoje siostry już mają pełne ręce roboty; podejmują obowiązki rodzinne i próbują uzyskać wsparcie. Potrzebuję pomocy kogoś, w czyją lojalność nie będę wątpić. Potrzebuję ciebie.

– Och...

– Nie wahałaś się, gdy chodziło o pomoc dla Cecelii – powiedziała Miranda i znienawidziła sama siebie za ten ostry ton.

– Naprawdę mnie potrzebujesz?

Miranda rzuciła córce ostre spojrzenie.

– Oczywiście. Pozwól, że powiem to wprost. Tak, potrzebuję cię, bo nikt inny nie może zrobić tego, co ty, nikt inny w tej rodzinie nie ma odpowiedniego przeszkolenia i

doświadczenia.

– Ty naprawdę mówisz poważnie. Ale przecież nigdy mnie nie potrzebowałaś. Ja tylko sprawiam kłopoty... – Mimo wszystko w jej głosie pojawiło się wahanie.

– Nie, ty właśnie potrafisz przetrwać kłopoty. Brun, proszę, pomóż mi.

Brun skrzywiła się.

– Nie wiem, czy potrafię.

– Potrafisz, jeśli tylko zechcesz – oświadczyła stanowczo Miranda. – Chcę, żebyś ustaliła, kto zabił twojego ojca i kto próbuje rozbić Familie Regnant oraz z jakiego powodu. Nie jestem pewna, czy to ta sama osoba lub organizacja, ale istnieje taka możliwość.

* * *

Brun ze zdumieniem przyglądała się swojej pięknej, nieskazitelnej matce. Przez całe życie widziała w niej ikonę; właściwie wszyscy tak ją postrzegali. To ojciec był tym, który nadawał kształt wydarzeniom, matka zaś zawsze tylko była z nim, uśmiechała się i schodziła mu z drogi.

Teraz w osobie „matki” i „żony Bunny’ego Thornbuckle zobaczyła... kobietę równie inteligentną, twardą i wykształconą jak jej ojciec. A może i równie niebezpieczną jak Lorenza. Sądząc po błysku w oczach Mirandy, nie tylko zauważyła jej zaskoczenie, ale i rozbawiło ją to. Matka uśmiechnęła się.

– No to co, jesteś ze mną?

– Tak. Jeśli potrafię...

– Potrafisz. Pozwól mi wszystko opowiedzieć. Po tej haniebnej aferze na Patchcock ostrzegałam twojego ojca, żeby uważał na swoich krewnych, którzy robią to, co ta kobieta Morellinów. Trzeba przyznać, że jej bracia na to zasłużyli, ale ci mogli zrobić coś podobnego, nie mając ku temu powodów. Ale twój ojciec był pewien, że zabezpieczył się przed tego rodzaju działaniami, po części dzięki temu, że stary Viktor Barraclough zawsze był jego przyjacielem i mentorem. Mniej więcej w czasie inwazji na Xaviera wykryli razem z Kevilem jakieś nieprawidłowości. Zakupy akcji nieznanymi kompanii, zupełnie bezsensowne zmiany w niektórych radach nadzorczych... Oczywiście kryzys wojskowy był wtedy ważniejszy, a potem, po znalezieniu dowodów na obecność zdrajców w szeregach Floty, zajęli się tym i sprawami Wielkiej Rady. W efekcie tego Harlis ma teraz dość udziałów i wystarczającą liczbę głosów w różnych radach nadzorczych, żeby twierdzić, że większość posiadłości twojego ojca faktycznie nie należała do niego. Myślę, że podrobił też zapisy, ale nie miałam czasu tym się zająć. I nie mogę tego zrobić tutaj.

– Mogłabyś zająć się tym w Appledale?

– Właściwie nie. Muszę polecieć na Sirialis. Tam trzymaliśmy kopie dokumentów.

Twój ojciec czasami uważał, że to niedorzeczne, ale ja upierałam się, żeby co pół roku robić kopię i ją archiwizować. Myślę, że właśnie dlatego Harlisowi tak bardzo zależy na Sirialis; podejrzewa, że dokumenty są właśnie tam.

– W takim razie powinnaś tam polecieć – stwierdziła Brun. – Nie może cię tam nie wpuścić, prawda?

– Jeszcze nie. Ale nie mogę zostawić ciebie samej...

– Chciałaś mojej pomocy, więc pozwól mi jej udzielić – przerwała jej Brun. – Na następnym spotkaniu Wielkiej Rady i tak raczej nic nie powinno się dziać. Prawdopodobnie wciąż są w szoku i całymi dniami będą mówić o niczym.

– Nie jestem tego taka pewna. Ten człowiek od Consellinów dał się wybrać na tymczasowego Mówcę...

– Cokolwiek się stanie, nie może to być ważniejsze niż powstrzymanie Harlisa. Leć na Sirialis. Ja pójdę na spotkanie Rady i dam ci znać, jeśli coś się stanie. Obiecuję. – Brun poklepała matkę po ramieniu. – Nie damy Harlisowi wszystkiego zabrać i nie pozwolimy, by jakiś durny Conselline zrujnował Familie, jeśli właśnie o to chodzi.

Matka rzuciła jej pełne uznania spojrzenie.

– Czasami, Brun, zdumiewająco przypominasz swojego ojca.

– Przepraszam...

– Nie, nie przepraszaj. No dobrze, najpierw wynieśmy się stąd. – Szerokim gestem ręki wskazała na Pałac. – Potem polecę na Sirialis.

* * *

Po drodze do szpitala Cecelia zatrzymała się i skontaktowała z hotelem, zapewniając pracowników, że dwie młode kobiety z dziećmi są upoważnione do zarejestrowania się pod jej nazwiskiem. Jeszcze dwie sypialnie? Żaden problem. Cecelia uśmiechnęła się do siebie; mądrze zrobiła, inwestując w hotel na Castle Rock, zamiast polegać wyłącznie na gościnności przyjaciół.

Kiedy dotarła do szpitala, powiedziano jej, że właśnie rozminęła się z Georgem. Poszła na górę i stanęła przed salą intensywnej opieki, patrząc na leżącą w łóżku bezwładną postać.

Pomyślała, że wygląda żałośnie. Ciekawe, czy ona podobnie wyglądała. Powiedziano jej, że lekarze wciąż walczą o opanowanie ciśnienia w jego mózgu, w związku z czym poza okresowymi testami funkcji neurologicznych poddawany jest działaniu środków usypiających. Cecelia mruganiem powstrzymała łzy, przypominając sobie, jak sama była w wymuszonej lekami śpiączce... i zastanawiając się, czy Kevil nie jest czasem bardziej świadomy niż wszyscy myślą. Cicho obiecała mu, że wróci tu i niezależnie od wszystkiego wydobędzie go stąd. Trudno jej było opuścić przyjaciela, ale

miała do zrobienia coś bardzo pilnego.

W Laurels poprosiła w recepcji o pomoc w wynajęciu jachtu. Hotel najwyraźniej spodziewał się tego rodzaju próśb, gdyż recepcjonista potrzebował tylko chwili, by połączyć Cecelię z agentem Allsystems Leasing.

Pomyślała o siostrzeńcu Ronniem. Razem z Raffaele jako nowożeńcy polecili za granicę, na Excet-24, planetę nowo otwartą dla kolonizacji. Cecelia miała nadzieję, że zanim planeta zostanie pełnoprawnym członkiem Familii, dorobi się jakiejś miłszej dla ucha nazwy. Z tego, co ostatnio słyszała, Ronnie i Raffa nie mieli jeszcze dzieci, ale „mieli nadzieję”. Cecelia nie była pewna, kto faktycznie „ma nadzieję” – młodzi czy ich rodzice – ale znała umiejętności Raffy w zakresie rozwiązywania problemów i była pewna, że jeśli dziewczyna nie będzie chciała zatrzymać dzieci dla siebie, znajdzie im jakiś dobry dom.

Podróż na Excet-24 była długa, trwała przynajmniej sześć tygodni. Omówiła trasę z agentem biura i zamówiła platynowy pakiet żywności. Nie miała nic przeciwko przysłużeniu się rodzinie Bunny’ego, ale czemu miałyby przy tym sama cierpieć? Chciała znów posmakować świeżej żywności.

Zgodnie z radą Mirandy Cecelia wynajęła jeszcze trzy opiekunki. Jedna z nich chciała wyemigrować i chętnie przyjęła zamiast wypłaty udział w kolonii. Wzięła ze sobą własne dzieci, dwu- i czterolatka. Cecelia pomyślała, że pięć osób do opieki nad dwójką dzieci to może przesada, ale osobiście nie zamierzała prać pieluch czy wycierać zasmarkanych nosów.

Oczywiście jacht nie był gotów od ręki; nawet mimo dużej kwoty pieniędzy potrzeba było czasu na przygotowanie statku kosmicznego do wygodnej podróży. Cecelia wysłała jedną z opiekunek razem z nowo wynajętą pracownicą i jej dziećmi do parku, dzięki czemu miała spokój przynajmniej na parę godzin. Była pewna, że nikt nie zauważy w parku pełnym dzieci jeszcze dwóch kobiet z maluchami. Omówiła z opiekunkami, jakie ubrania będą potrzebne chłopcom na podróż i następne sześć miesięcy, gdyż nie wiedziała, jak będzie wyglądać ta kwestia w nowej kolonii. Potem przygotowała linie kredytowe tak, by zakupy dokonane przez opiekunki nie doprowadziły nikogo do niej lub do Mirandy.

Wreszcie padła na łóżko z poczuciem spełnienia dobrego uczynku. Kiedy o drugiej w nocy bliźniaki obudziły się z płaczem, przykryła głowę poduszką i z powrotem usnęła. Na szczęście nie musiała się tym zajmować.

* * *

Cecelia była pewna, że aż do samego odlotu z Rockhouse Major nikt niczego nie podejrzał. Wszyscy spoza Pałacu przypuszczali, że bliźniaki nadal tam są.

Wiadomości nie przejawiały żadnego zainteresowania jej poczynaniami; zdaje się, że przyjęły rzuconą luźno uwagę, że wynajęła większy jacht, bo była już zmęczona robieniem wszystkiego osobiście i chciała mieć ze sobą kogoś, kto będzie gotował i sprzątał.

Chłopcy bardzo ucieszyli się z towarzystwa starszych dzieci. Cecelia uważnie przestudiowała ich dokumentację medyczną i doszła do tych samych wniosków, co lekarze i psychologowie: to normalne dzieci, które mają prawo do normalnego życia. Nie wiedziała tylko, czy powinna powiedzieć Raffaele i Ronniemu, czyje to są dzieci. Jej zdaniem chłopcy powinni wiedzieć, że zostali adoptowani, ale nie wolno im powiedzieć, że ich ojcowie zgwałcili matkę i trzymali ją potem w niewoli. Oczywiście kiedyś trzeba będzie uzyskać dostęp do ich akt medycznych; postęp w medycynie z czasem może pozwoli na całkowite oczyszczenie ich genomu.

Cecelia widziała mnóstwo piętrzących się przed nią emocjonalnych i moralnych problemów.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Kolonia Excet-24 wyglądała z kosmosu jak raj: szafirowe morza i szmaragdowe lasy, płowe suche tereny i oliwkowe sawanny, a wszystko to upstrzone białymi plamami chmur. Dwieście lat wcześniej kolonia została obsiana zwykłymi inwazyjnymi gatunkami i od tej pory była ściśle monitorowana. Pierwotnie kolonizację zaplanowano o wiek później, kiedy ekosystemy staną się bardziej stabilne, ale okazało się, że poziom tlenu nigdy nie spadł poniżej niebezpiecznego poziomu, ponieważ oryginalny ekosystem planety bazował na tlenie i węglu.

Dla kontrastu port kosmiczny kolonii wyglądał w oczach Cecelii jak brudny śmietnik. Wynajęty przez nią jacht dysponował własnym promem, z którego przez panoramiczne szyby mogła uważnie przyjrzeć się lądowisku. Po obu stronach pasa startowego leżały porzucone w nieładzie kontenery. Pas był tylko jeden. Zabudowę portu stanowiły brzydkie baraki, zbyt przypominające port na Patchcock. Na tle ciemnej zieleni lasu ostro odcinały się dymy z kominów cementowni, w której na potrzeby budownictwa przerabiano wapień i łupki.

Odprawy celnej dokonywała znękana młoda kobieta mówiąca z prawie niezrozumiałym akcentem, której jedyną troską było to, czy nowo przybyli mają udziały w kolonii.

– Nie potrzebuję udziałów w kolonii – oświadczyła Cecelia. – Nie zostaję tutaj. Przyleciałam tylko z wizytą.

Młoda kobieta wbiła w nią ciężkie spojrzenie, wzięła identyfikatory Cecelii i wsadziła je do maszyny. Po chwili odwróciła się i rzuciła jej długie spojrzenie.

– Puni ni zostai.

– Tak, nie zostaję. Przyleciałam odwiedzić siostrzeńca i jego żonę. Ronald Vandormer.

– Aj! Ronnie! Czymu puni tego ni pedziała?

– Próbowałam – odpowiedziała Cecelia.

– Teraz pywnie bydzie w biurze – rzekła kobieta. – Niby guber. – Wskazała na „biuro”, czyli dwupiętrową kostkę z betonu.

Miasto przy porcie kosmicznym przecinała sieć ulic wylanych betonem i z utwardzanego żwiru. Pierwsza setka budynków została zmontowana z trwałych materiałów, w tym przypadku z betonowych bloków. Reszta to były chwiejne konstrukcje, które Cecelia mogła określić jedynie mianem szałasów. Wszędzie widać było ludzi noszących w rękach różne rzeczy. A więc brak tutaj wózków ręcznych, nie mówiąc już o pojazdach.

Z jednej strony dwupiętrowego budynku nazywanego biurem był placyk otoczony niskim murkiem, na którym siedziała grupa mężczyzn zajmujących się jakimś

urządzeniem, którego nie znała. Już chciała ich zapytać o Ronniego, kiedy nagle jedna z twarzy wydała jej się znajoma. Ronnie? Zamrugła w ostrym świetle słońca. Tak, to... jego twarz. Ten wymuskany młody arystokrata, niemal dandys, miał na sobie brązową koszulę i spodnie, całe w błocie czy smarze. Nie potrafiłaby nawet powiedzieć, jakiego koloru były jego buty. Ale nie miała wątpliwości, że to Ronnie – przystojny jak zwykle, a może nawet bardziej.

Zanim zdążyła go zawołać, odwrócił się i wszedł do środka budynku, a mężczyźni z powrotem zajęli się nie znaną jej maszyną i kawałkami drewna. Weszła więc za nim do pomieszczenia o betonowych ścianach i takiej samej podłodze, gdzie zastała go zapisującego coś w komputerze.

– Ronnie...

Podniósł wzrok, potem szerzej otworzył oczy.

– Ciocia Cecelia!

– Wysłałam wam wiadomość.

– Nie dostaliśmy jej. – Wzruszył ramionami. – Prawdopodobnie tkwi gdzieś w kolejce, ale wszyscy byli tacy zajęci... – Wyjrzał przez okno na krzątanicę na placu.

– Macie tu mnóstwo pracy – stwierdziła Cecelia, przyglądając się młodemu mężczyźnie. Takiej zmiany nigdy się nie spodziewała. Dlaczego nie powiedział nic na temat śmierci Bunny’ego?

Dlaczego nie zapytał o Brun?

– To prawda. Szczerze mówiąc, nigdy nie sądziłem, że będę robił coś takiego.

– Kto jest gubernatorem kolonii?

– Hmm... Ja nim jestem po tym, jak Misktov uciekł.

– Uciekł?

– Tak. To nie było trudne. Wsiadł na odlatujący stąd statek z większością naszych aktywów.

– Ale... to przestępstwo.

– Faktycznie – zgodził się Ronnie. – Jednak nie widziałem w okolicy żadnej policji, która mogłaby go zatrzymać, a nie mamy tu dostępu do ansibla. Nie ma pieniędzy, nie ma komunikacji.

– Och. – A więc prawdopodobnie nie wie o zamordowaniu Bunny’ego. Cecelia jeszcze raz rozejrzała się po pokoju. Właściwie nie było to biuro; dostrzegła meble, które pochodziły z letniego domku matki Raffy. Stół z jadalni zawalony był kostkami danych i książkami. Na sofie piętrzyła się jeszcze większa ilość książek i arkuszy plastiku i papieru wyglądającego na rysunki techniczne. Wszystko to przykryte było warstwą pyłu i kurzu.

– Ale całkiem dobrze sobie radzimy jak na te warunki – powiedział Ronnie, zanim zdążyła pozbierać myśli. – Po prostu... jest mnóstwo rzeczy, których nie wiedziałem.

Których jeszcze nie wiem. Wiesz, ciociu, niezależnie od tego, ile kostek przestudujesz, zawsze jeszcze coś...

– Na przykład?

– No cóż... Cementownie pracują całkiem sprawnie i mamy mnóstwo piasku i żwiru, więc nie ma problemu z niewzmacnianymi konstrukcjami. Ale według moich kostek taki beton może być niebezpieczny.

– A co mówi wasza grupa inżynierska?

– Grupa inżynierska? Nie mamy takiej. Wiem, że prospekty mówią coś innego, ale taka jest prawda. Ciociu, dziewięćdziesiąt procent naszych mieszkańców to wykwalifikowani robotnicy... ale oni pochodzą z zaawansowanego technologicznie systemu. Przywykli do wysoko rozwiniętej infrastruktury. Wiedzą, jak wykonywać swoją pracę w świecie, gdzie wszystko jest dobrze przygotowane, ale nie potrafią pracować od zera. Farmerzy wiedzą, jak obsiewać duże pola, ale nie mają pojęcia, jak je wyrównać. Hydraulicy potrafią łączyć rury w standardowych budynkach, ale nie wiedzą, jak zbudować od podstaw kanalizację. To właśnie powinna robić ekipa inżynierska: dostosować standardowe techniki do lokalnych warunków. Ale tutaj nie mamy takiej ekipy.

– Skoro jest tak źle, czemu stąd nie odleciecie?

– Nie chcemy stąd uciekać, ciociu. Chcemy sprawić, żeby to wszystko działało. Utopiliśmy w tym wszystkie nasze pieniądze, nawet prezenty ślubne.

– Nawet rezerwy?

Ronie zaczerwienił się.

– Z początku nie, ale kiedy Misktov uciekł, coś musieliśmy zrobić. Mogliśmy się wykupić i uciec do domu jak wystraszone dzieci, ale... kolonia potrzebuje nas. Więc daliśmy wszystko, co mogliśmy, żeby przetrwać i dalej nad nią pracować.

Jakże bardzo różni się ten Ronnie od zepsutego chłopca, którego znała. W jego głosie i zachowaniu nie było ani cienia frustracji czy niezadowolenia; wrzucono go w kłopoty i zamierzał się z nimi uporać.

– Jak się ma Raffa? – zapytała.

– Dobrze... choć jest zmęczona. – Ronnie wyszczerzył zęby w uśmiechu, ale jego oczy były smutne. – Próbuje uruchomić szkołę, ale to trudne. Rodzice mówią, że są zbyt zajęci i potrzebują dzieci w domu.

– Czy w grupach kolonijnych nie powinno być wykwalifikowanych nauczycieli?

– Na papierze mieli być. – Ronnie skrzywił się. – Zresztą o wielu rzeczach wcześniej nie wiedziałem. Myślałem, że każda standardowa kolonia dysponuje prefabrykowanymi domami, grupą inżynierską na pięcioletnim kontrakcie i zapleczem medycznym i edukacyjnym.

– A tak nie jest?

– Nie. Tuż przed odlotem Misktova, gdy wciąż jeszcze mieliśmy kredyt, przeprowadziłem małe dochodzenie i dowiedziałem się, że wiele kolonii jest niedostatecznie zorganizowanych. W większości przypadków wygląda to tak, że ludzie trafiający na planetę nie mają nawet pojęcia, z kim należy kontaktować się w Biurze Kolonialnym. Nikt tego nie wie. Nawet ja wysyłałem wiadomości, ale nigdy nie dostałem odpowiedzi. Od ponad roku nie mieliśmy żadnych wieści od naszych rodzin.

– Cóż, Ronnie, nie chcę dokładać ci trosk, ale...

– Cecelia! – Raffa wpadła przez drzwi jak powiew wiosennej bryzy. – Tak się cieszę, że cię widzę! Jedyna rzecz, jakiej mi tu brakuje, to spotkania z przyjaciółmi!

Dziewczyna – a właściwie już młoda kobieta – wyglądała na szczerze ucieszoną jej wizytą. Cecelia odetchnęła głęboko, zanim zaczęła mówić.

– Raffaele, Ronnie... Czy słyszeliście o Bunnym?

– O Bunnym? Nie. Czy coś się stało?

– Kilka miesięcy temu został zamordowany, rzekomo przez sojuszników ludzi, na których wykonano wyrok śmierci za porwanie Brun.

– Czekaj. Brun została porwana? Przez kogo? Nic jej nie jest?

Jak długo pozbawieni byli kontaktu ze światem? Cecelii aż trudno było uwierzyć, że nic nie wiedzą. Szybko streściła im ostatnie wydarzenia.

– Sami widzicie, że kiedy zaczęłam się zastanawiać nad dachem nad głową dla dzieci, pomyślałam o was. Byłam pewna, że będziecie mogli znaleźć im dobry dom.

– To dzieci Brun?

– Tak.

– Ależ oczywiście, że je chcę – stwierdziła zdecydowanie Raffa. Potem rzuciła spojrzenie na Ronniego. – Chcemy. Prawda, Ron?

– Oczywiście – potwierdził Ronnie, ale znów wyglądał na zmęczonego. – Niezupełnie wiem jak, ale jakoś sobie poradzimy.

– Przywiozłam ze sobą opiekunki, włącznie z jedną, która ma dwójkę własnych dzieci i chce tu zostać. I część pieniędzy przekazanych przez Mirandę na ich późniejszą edukację.

– Jeśli to wystarczy na wynajęcie nauczyciela – powiedziała Raffa – to możemy uruchomić tę szkołę...

Cecelia nie miała pojęcia, czy to wystarczy, ale jeśli będzie musiała, wydusi potrzebne środki z rodziców Raffy i Ronniego. Pomyślała, że będzie musiała też sprawdzić, czemu nie docierały tutaj wiadomości, łącznie z tymi od niej.

– Gdzie są dzieci? – zapytała Raffa, rozglądając się.

– Wciąż na promie – wyjaśniła Cecelia. – Wątpię, żeby ta... osoba w terminalu przepuściła mnie z nimi.

– Och, Ganner. Była przyjaciółką Misktova, a on zostawił ją tu na lodzie. Myślała,

że będzie żoną gubernatora i pierwszą damą a skończyła w ten sposób. Wszystkich nienawidzi.

– Oprócz przystojnych mężczyzn – dodała złośliwie Raffa. – Lady Cecelio, powinna pani zobaczyć, jak ona się ślini na widok Ronniego. Wiem, że jest na to odporny, ale czasem jest to trochę niesmaczne.

– Przydaje się, gdy czegoś potrzebuję – zażartował Ronnie. – Chodźmy, wyciągnijmy te dzieci z promu. Założę się, że jeśli będę cały obwieszony dziećmi, Ganner uzna mnie za mniej atrakcyjnego.

* * *

Cecelia bardzo szybko przekonała się, że Excet-24 jest w jeszcze gorszej sytuacji niż na początku, gdy rządził tu drań gubernator i brak było ekipy inżynierskiej. Nigdy nie interesowała się koloniami – po co wybierać trudne życie, jeśli nie ma takiej potrzeby – ani polityką kolonizacyjną, ale wiedziała, że z pewnością nie tak miało to wyglądać. Nic dziwnego, że opiekunki z dużym zdziwieniem przyglądały się warunkom życia na planecie i Cecelia miała trochę problemów z namówieniem ich do pozostania tutaj.

– Dowiem się, czemu nie docierają do was wiadomości – obiecała Ronniemu. – I znajdę wam trochę potrzebnych ekspertów. Wspaniale sobie radzicie... – Tak naprawdę wcale w to nie wierzyła, ale młodzi próbowali ze wszystkich sił i nie narzekali, a to w jej oczach bardzo się liczyło. – Rozumiecie, że to potrwa kilka miesięcy...

– Wszyscy tak mówili – stwierdził Ronnie, ale bez złośliwości.

* * *

Przez całą drogę na Sirialis Miranda zastanawiała się, co ma zrobić. Jeśli spróbuje wezwać na pomoc rodzinnych ekspertów, Harlis może się dowiedzieć i będzie się starał uniemożliwić jej dostęp do potrzebnych jej danych.

Kiedy upierała się przy stworzeniu własnego archiwum i wykorzystaniu maszyn zasilanych jedynie energią słoneczną, Bunny z początku naśmiewał się z niej. Twierdził, że paranoja dziedziczona jest w linii Meagerów. Zaciśnęła mocno usta, przypominając sobie jego śmiech i jej ostrą odpowiedź... Była taka młoda i tak pewna siebie.

I miała rację. W końcu jej rodzina od stuleci zajmowała się technikami informatycznymi. Wreszcie Bunny się poddał. Jej osobiste archiwum mieściło się nie w dużym domu – choć trzymała tam dla zmylenia nieprzyjaciół jedną kopię – ale w domku myśliwskim. Co roku, w czasie sezonu łowieckiego – a także wtedy, gdy byli w rezydencji – dodawała kolejny pakiet dokumentów i jego kopię.

Byłoby jej teraz łatwiej, gdyby miała do pomocy Kevila, ale mając wystarczającą ilość czasu, może sama sobie z tym poradzić.

Pracownicy na Sirialis przywitali ją z sympatią i szacunkiem, jakiego się spodziewała. Harlis mógł mieć lokalnych popleczników i szpiegów, ale jeszcze się nie ujawnili. Pierwsze kilka dni spędziła tak, jak można było się spodziewać, przyjmując kondolencje i odpowiadając na pytania o przyszłość ich świata.

Pomimo obecności całej służby wielki dom wydawał się pusty... Ciężka jej świadomość, że Bunny już nigdy nie zejdzie po schodach, nigdy nie wejdzie do biblioteki i nie usiądzie u szczytu długiego stołu. W stajniach i psiarniach brakowało jej go równie mocno; choć co roku brała udział w polowaniu, pogoń za lisem nigdy nie była jej ulubionym sportem. Robiła to, ponieważ Bunny to lubił, a jej towarzystwo sprawiało mu przyjemność.

Pierwszego wieczoru, gdy znalazła się w pokoju, który wcześniej wspólnie zajmowali, jej myśli powróciły do wizyty Cecelii. Dokąd zabrała bliźniaki? Zdawała się doskonale wiedzieć, dokąd poleci... Cóż, taka właśnie jest Cecelia i to się nigdy nie zmienia; zazwyczaj ma to jakiś związek z końmi.

Ale co takiego powiedziała o zabójcach Bunny'ego, o jakimś spisku? Miranda usiłowała sobie przypomnieć, ale przeszkadzało jej w tym zamieszanie ostatnich tygodni, troska o posiadłość i ból głowy spowodowany podróżą.

Nazwisko przypomniało jej się dopiero wtedy, gdy dotarła do domku myśliwskiego leżącego daleko na północ od głównego domu, gdzie zacienione zbocza gór wciąż przykrywała gruba warstwa śniegu. Wykonała kopię wszystkich dokumentów – była zdziwiona ilością kostek, które były do tego potrzebne – i spakowała je elegancko do swojego podróżnego nesesera. Było już za późno – nie chciała ryzykować nocnego lotu przy takim zmęczeniu – więc odgrzała zamrożoną zupę i puszkę kakao. Była zadowolona z siebie. Miała zapasowe kopie danych, na których mogła pracować w głównej posiadłości, a jej łącze bezpieczeństwa nie wykazywało obecności w systemie żadnych innych statków. Oznaczało to, że Harlis nie mógł tu dotrzeć na czas, by odkryć miejsce, w którym ukrywała dane.

Myśli Mirandy pobiegły z powrotem do bliźniaków, a potem do Cecelii i – jakby odtwarzała kostkę – pamięć podsunęła jej pierwszą część ich rozmowy. To nie Milicja Nowego Teksasu... Cóż, sama w to wątpiła, choć z pewnością byli zdolni do zabijania i okaleczania. Ale... Pedar Orregiemos?

Cecelia pewnie nawet nie wiedziała o tym, że Pedar kiedyś chciał się z nią ożenić. Nie kochała go – był starszy od Bunny'ego, a jego pompatyczność nigdy jej nie pociągała – ale on był przekonany, że wyszła za Bunny'ego wyłącznie dla jego pieniędzy. Powiedział to wprost któregoś popołudnia w ogrodzie różanym. Nie spoliczkowała go wtedy, ale miała na to dużą ochotę.

Pedar? Czy to możliwe? Nie potrafiła wyobrazić sobie, że mógłby to zrobić

osobiście, chyba że za pomocą szpady; niegdyś był całkiem dobrym szermierzem i prawdopodobnie wciąż jeszcze ćwiczył. Ale Cecelia mogła coś źle zrozumieć. Jaki mógłby mieć powód? Co Pedar mógł zyskać, zabijając Bunny'ego lub każąc go zamordować?

Dopiero kiedy pękło uszko trzymanego przez nią kubka z kakao, uświadomiła sobie, jak bardzo jest przejęta. Na szczęście napój zdążył ostygnąć; uprzątnęła rozlane kakao, zebrała resztki kubka do kubła i spróbowała uspokoić szalejące serce.

Pedar był Odmłodzeńcem i czuł się zagrożony przez wszystkich tych, którzy się nie odmładzali. Pamięta, jak sześć... nie, przynajmniej siedem-osiem lat temu na przyjęciu u Kemtre'a wybuchła sprzeczka na temat Odmłodzeńców i Aegistów. Pedar bardzo głośno upierał się, że odmładzanie skończy się rozlewem krwi. „Zabiją nas z zazdrości albo my ich zabijemy w samoobronie”, powiedział, a potem ktoś go stamtąd zabrał, aby wytrzeźwiać.

Czy mógł zabić z tego powodu Bunny'ego? Czy był członkiem grupy, która to przygotowała? I kto jeszcze do niej należał?

Próbowała wyłączyć myśli; potrzebowała odpoczynku. Następnego dnia czekał ją długi lot, a potem mnóstwo pracy, ale długo nie mogła zasnąć, czując szalejący w niej gniew.

Następnego dnia, gdy w głównej posiadłości przechodziła obok szafek ze starożytną bronią, tak jak to robiła tyle razy wcześniej, zatrzymała się. Bunny uprawiał szermierkę wyłącznie dlatego, że tak wypadało, a ponadto chciał dotrzymać jej towarzystwa w sali treningowej, tak jak ona towarzyszyła mu na polowaniach. Odczuwał jednak dziwną pasję do starej broni, zarówno białej, jak i palnej.

Była to mieszana kolekcja, wyeksponowana z zachowaniem porządku: w jednej szafce były długie ostrza, w drugiej krótkie, w następnej broń palna długolufowa, a w jeszcze innej pistolety. Były tu także przeszklone szafki z hełmami, napierśnikami i rękawicami kolczymi.

Miranda zatrzymała się przed wiszącą na ścianie gablotą z mieczami. Na dole umieszczono najszerze ostrza: szeroki miecz, pałasz i szablę o niewielkiej krzywiźnie, a także dwa tasaki, rapier, pięć szpad i cztery florety; te ostatnie zawieszono parami naprzeciwko siebie.

Miranda otworzyła gablotę i wyjęła miecz, zwracając klingę w stronę światła, by przyjrzeć się nierównym wzorom wielokrotnie zgrzewanych warstw stali. Kiedy stuknęła w nią palcami, zadźwięczała cicho; krawędź miecza wciąż była wystarczająco ostra, aby ciąć.

Żałowała, że nie zna jego historii. Bunny podejrzewał, że jest to stara kopia z epoki wczesnych lotów kosmicznych, a nie prawdziwy relikw z czasów prekosmicznych. Kiedy jednak przeprowadzono skanowanie, w nierównościach ostrza odkryto ślady ludzkiej krwi. Ich analiza wskazywała, że miecz liczy nie więcej niż kilkaset lat, ale...

mimo to zawsze ją ciekawił.

Szable łatwiej było datować. Jedna z nich, z inskrypcją na ostrzu, była bronią ceremonialną wykonaną jako prezent na pięćdziesiątą rocznicę ślubu jednego z przodków Bunny'ego. Niesiono ją klingą do góry na procesjach lub kładziono na trumnach w trakcie pogrzebów. Pałasz, również ceremonialny, należał do oficera, i jak przypuszczała, został odziedziczony przez małżeństwo z kobietą z jakiejś zupełnie nieznanej jej rodziny ponad dwieście lat temu.

Za to tasaki były stare – jeden z pewnością pochodził z dwudziestego wieku według starej rachuby – ale choć ćwiczyła tego rodzaju klingami, nigdy nie interesowały jej tak jak rapiery. Uniosła tasak z wdzięczną osłoną koszową, doskonale wyważony, i zamachnęła się.

Odłożyła go na miejsce niemal z poczuciem winy. O czym myślała? O niczym, absolutnie o niczym. Zamknęła gablotę i zablokowała ją. To są bezcenne antyki, a nie zabawki; jeśli ma ochotę na trening, w sali czeka na nią współczesna broń i sprzęt znacznie lepiej dostosowany do jej wymiarów i umiejętności.

Ale nie miała czasu. Skierowała się do dużego kwadratowego gabinetu, w którym wcześniej mieściło się biuro Bunny'ego, a który teraz stał się jej miejscem pracy. Postanowiła, że spróbuje odkryć, co takiego zrobił Harlis.

Altiplano

Luci Suiza spodziewała się, że poruszenie spowodowane związkiem jej kuzynki Esmay z mężczyzną spoza planety osłabi zainteresowanie jej planami, ale rozmowa przy stole jednak zeszła na jej temat. Miała właśnie pełne usta zupy kukurydzianej, gdy Papa Stefan zaczął narzekać na raport kwartalny.

– ...I ten niedorzeczny wydatek na niepotrzebny nam sprzęt do rozwijania zagranicznego handlu, bez którego od wieków doskonale sobie radziliśmy. Takie jest moje zdanie. Luci! Powiedz mi, że to wszystko jest pomysłem Esmay!

Luci szybko przełknęła, parząc sobie gardło zupą, ale udało jej się nie zadławić.

– Nie, Papo Stefanie. Rozmawialiśmy o przyszłości jej stada i odkryłam...

– Odkryłam! – Papa Stefan potrafił przerwać nawet generałom; niezamężne dziewczyny nie miały żadnych szans. – Nie wiesz, czym są prawdziwe odkrycia. Zostałaś uwiedziona przez te wszystkie zagraniczne magazyny, które zaczęłaś czytać. Gdyby moja matka wciąż żyła...

Luci nagle odkryła, że i ona odziedziczyła gen przerywania rozmówcy.

– Ale nie żyje. Oblubienicą jest Esmay, i ona to zatwierdziła. Obcokrajowcy potrzebują świeżych genów, a my potrzebujemy obcokrajowców.

– Przerwałaś mi! – ryknął Papa Stefan.

– Ty pierwszy mi przerwałś – odpowiedziała Luci. Słyszała szepty zaszokowanych rodziców, ale zignorowała je w podnieceniu wywołanym atakiem. – Sprzęt genetyczny był moim pomysłem i ja za niego odpowiadam. Skonsultowałam się z Oblubienicą, która zrozumiała potrzebę poniesienia wydatków i je zatwierdziła.

– Wcale nie zachowała się jak Oblubienica – burknął Papa Stefan. – Oblubienica powinna oszczędzać zasoby, a nie tracić je na jakieś szalone pomysły...

– Jak projekt irygacji rzeki Barley? – rzuciła Sanni, która nie potrafiła oprzeć się pokusie przypominania przy każdej okazji wielkiej pomyłki Papy Stefana. Jako młody człowiek był przekonany, że nawodnienie suchych nadbrzeżnych terenów wodą z rzeki Barley byłoby praktyczne i opłacalne. Jego matka, wtedy całkiem nowa Oblubienica, pozwoliła mu wydać tyle pieniędzy, że na dekadę zdestabilizowała budżet estanzy.

– To zupełnie co innego – stwierdził Papa Stefan.

– Faktycznie – zgodziła się Luci. – Moje pomysły zostały uwzględnione w harmonogramie i budżecie, i prawdę mówiąc, kosztują nas mniej niż zgodziła się wydać Oblubienica, ponieważ dostałam wsparcie ze strony innych hodowców.

– To kolejna sprawa – rzucił Papa Stefan, ignorując jej słowa o budżecie i harmonogramie. – Zwróciłaś się o pomoc do ludzi z zewnątrz, spoza rodziny...

– Do naszych sojuszników od pokoleń – znów przerwała mu Luci. – W końcu wychodzę za Phila... – Wymknęło jej się to wcale nie wtedy, kiedy planowała.

– Philipa? Jakiego Philipa?

– Philipa Vicariosa – powiedziała cicho Sanni. Papa Stefan przez chwilę wbijał wzrok w Luci, po czym obrócił się, by spojrzeć na Casimira i Bertholda.

– Wychodzi za Vicariosa?

– Berthol wzruszył ramionami.

– Z tego, co wiem, dostała zgodę Esmay.

– A ty, Casi?

Casimir kiwnął głową.

– Ta rodzina jest naszym sojusznikiem. Paul to mój przyjaciel.

– Czy ona wie?

– Dzieci, możecie już iść – wtrąciła się Sanni. Młodszy kuzyni, słuchający rozmowy z szeroko otwartymi oczami, podnieśli się od stołu, składając starszym lekkie ukłony. Młodszy brat Luci rzucił jej spojrzenie, które znaczyło, że później zostanie napadnięta i będzie musiała wszystko mu powiedzieć. Kiedy drzwi zamknęły się za nimi, odezwała się Luci.

– Wiem, Esmaya mi powiedziała. Powiedziała też, że to nie ma znaczenia, że nie ma urazy do rodziny Philipa i jeśli tylko jest dobry...

– Dobry! W małżeństwie nie chodzi o dobroć! – Twarz Papy Stefana przybrała barwę brzydkiej czerwieni.

– Nieprawda – zaprzeczyła Sanni. – Nie sędzę, żebyś coś o tym wiedział...

– Cisza! – Casimir rzadko wtrącał się w rodzinne kłótnie, ale tym razem zrobił to tak, jak przystało na wojskowego dowódcę z wieloletnią praktyką. – Stawka jest zbyt wysoka, by odgrzebywać stare urazy i tracić czas na kłótnie. Jako powiernik Oblubienicy wiem, że faktycznie zatwierdziła wydatki Luci na sprzęt, który pozwoli nam eksportować geny zwierząt z naszych stad, a przemawiające za tym argumenty były wystarczająco mocne, by przekonać mnie i innych powierników, że to dobry pomysł. Ale tak naprawdę prawdziwym problemem jest to, że Oblubienica chce wyjść za mąż za cudzoziemca i dalej żyć poza planetą, a inni właściciele ziemscy chcieliby wykorzystać to jako pretekst, by ograniczyć nasze wpływy w Gildii. Nie widzę szans na zmianę decyzji Esmay – z powodów, które wszyscy znamy – więc proponuję, żebyśmy zastanowili się nad zminimalizowaniem strat, jakie poniesie rodzina Suiza, i przestali ze sobą walczyć.

Luci nie spodziewała się, że jej wuj Casimir okaże się tak rozsądny. Ku jej zaskoczeniu Papa Stefan zajął się jedzeniem, dżgając plastry mięsa, jakby to był wróg. Sanni w milczeniu jadła resztę zupy, a Berthol nałożył sobie stos ziemniaków z czerwonym sosem i zaczął je szybko pochłaniać. Casimir spojrzał na Luci.

– Luci, czy masz jeszcze jakieś bomby do rzucenia?

– Nie, wujku.

– Czy Esmaya wspominała coś o rezygnacji z obowiązków Oblubienicy?

Luci poczuła, że się czerwieni.

– Mówiła... dość luźno... ale...

– Mówiła o tobie. – To nie było pytanie. Casimir złożył dłonie i spojrzał na nią. – Zgodziłaś się?

– Powiedziałam jej, że jest zbyt wcześnie. Mam dopiero...

– Jesteś w wieku, w którym dawniej zaprzysiężono dwie Oblubienice. Właściwie jesteś nawet o rok starsza od Sihii. – Luci nigdy o niej nie słyszała, choć jak wszystkie dzieci uczyła się o setkach lat historii Oblubienic Suizów. – Może oficjalne wyznaczenie cię na dziedziczkę Oblubienicy, w połączeniu z twoim wyjściem za mąż za Vicario, dowiodłoby, że Suizowie nie angażują się w politykę międzygwiazdową.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Hobart patrzył gniewnie na Oskara Morrelline, byłego przywódcę gałęzi Morrellinów jego klanu.

– Dałeś się wymanewrować Venezii – powiedział. – Ta twoja głupia siostra kosztowała nas spadek udziałów w rynku i dochodów o dwadzieścia osiem procent.

– To nie moja wina – odciął się Oskar. – Gdyby...

– Twoja, twoja – przerwał mu Hobart. – Twoja córka Ottala – co takiego jest w kobietach z twojej rodziny? – leci zabawić się na Patchcock i daje się zabić. To było początkiem wszystkiego – córka, której wcale nie pilnowałeś lepiej niż Bunny swojej Brun.

Oskar zaczerwienił się, a Hobartowi sprawiło to przyjemność, jak zawsze, gdy mógł wykazać swoją władzę.

– Nie, Oskarze. Nie wierzę, że cokolwiek potrafisz zrobić właściwie. Nie dam ci teki ministra. Sądzę, że za kilka lat klimat ulegnie zmianie i może wtedy będę mógł coś dla ciebie znaleźć.

– Oczekujesz, że będę na ciebie głosować, choć niczego mi nie dajesz?

– Spodziewam się twojego głosu, ponieważ wiesz, co jest dla ciebie dobre. Nawet jeśli byś mnie nie poparł, nie dostaniesz niczego od kliku, której przewodził Bunny. Oni nie mają już niczego do zaoferowania.

Oskar spojrzał gniewnie, ale widać było, że się poddaje; Hobart doskonale wiedział, że tak właśnie będzie. Oskar był awanturnikiem, ale jeśli to nie pomagało, nie dysponował żadną dodatkową bronią. Hobart zaś zawsze miał coś w rękawie... i za pasem, a nawet w nogawce. Zmienił ton i mówił dalej. Jeśli Oskar zdoła zrozumieć, na czym polega prawdziwy problem, może się przydać.

– Kto kontroluje proces odmładzania, kontroluje wszystko tak długo, jak długo ludność nie zbuntuje się przeciwko odmłodzonym. Musimy pomieszać szyki Aegistom, gdyż w tej chwili znacznie przeważają liczebnie i mogą stać się niebezpieczni.

– Ale Venezia mówi...

– Venezia jest głupia. Tak, doszło do poważnych zaniedbań, ale jeśli dobrze zrozumiałem to, co zostało odtajnione, działał tam szpieg Benignity. Kobiety są egzaltowane, żeby nie wspominać o sentymentalizmie, a Venezia w szczególności.

Oskar energicznie pokiwał głową. Hobart uśmiechnął się do siebie; jakże ci bracia Morrelline nienawidzą siedzącej u steru Venezii!

– Wszystko, co kiedykolwiek robiła, to zabawa porcelaną – powiedział Oskar.

– No właśnie. Skąd miałyby wiedzieć cokolwiek o prawdziwym świecie? Nie można oczekiwać, by zdawała sobie sprawę, ilu ludzi może mieć problemy – a nawet zginąć – z braku środków do odmładzania, bo ona upiera się przy stosowaniu ścisłych

procedur.

– Ale, Hobarcie, jak mamy ją stamtąd wyrzucić?

Właśnie na to pytanie czekał.

– Robiąc dokładnie to, co ci powiem – odpowiedział. – Potrzebuję twojego poparcia na sesjach Wielkiej Rady. Dam ci znać, co masz mówić i jak głosować. Razem z bardziej chętnymi do współpracy ministrami powinniśmy łatwo zepchnąć naszą drogą Wenezię do podrzędnej roli.

– To się jej nie spodoba – stwierdził Oskar, wydymając obfite policzki.

– Nie obchodzi mnie, czy to jej się spodoba, czy nie – odpowiedział Hobart. – Nie zamierzam pozwolić jednej kobiecie stawać na drodze rozwoju klanu Consellinów. – Nie mógł już doczekać się tej chwili, prawdopodobnie nawet bardziej niż Oskar. Venezia nieustannie przeszkadzała w zebraniach Rady, pchając we wszystko swój nos. Już nie raz musiał wyganiać ją ze swojego biura, gdzie rozmawiała z jego urzędnikami, próbując z nich wyciągnąć jakieś informacje. Zdawała się sądzić, że ma misję moralnego oczyszczenia całego klanu.

„Nasza odpowiedzialność wobec Familii...”, mawiała, podczas gdy Hobart zaciskał zęby. Nie odpowiadali za całe Familie, odpowiadali jedynie przed udziałowcami Rodziny. Nie nalegał, aby wypuścić na rynek wadliwe leki, gdyż to mogło zaszkodzić ich interesom i spowodować, że ludzie zaczęliby uważniej im się przyglądać. Jednak poza tym nie mieli zamiaru udawać świętych, jeśli to właśnie miała na myśli.

– Gdyby Kemtre nie był słabym człowiekiem, żadna z tych katastrof nie mogłaby się wydarzyć. Spowodował chemikaliami głupotę własnego syna, a potem stworzył te cholerne klony.

– Nie wydaje mi się, żeby klonowanie było takie złe.

– Mnie też nie, tylko że i tak mamy zbyt szybko rosnącą populację. Nie potrzebujemy klonów; potrzebni nam są rozsądni, silni ludzie, a nie histerycy. – Zerknął na Oskara, ale ten, jak widać, nie miał nic przeciwko nazywaniu jego siostry histeryczką. – No dobrze, Oskarze, chcę, żebyś porozmawiał z Instytutem Brodericka i powiedział im, żeby nieco lepiej wykonywali swoje zadania.

– Instytut Brodericka? Co takiego zrobili?

Czasami zastanawiał się, czy Oskar w ogóle ma mózg. Venezia, przy wszystkich jej wadach, przynajmniej miała dość rozumu.

– Oskarze, Instytut Brodericka to miejsce, w którym pracuje doktor Margulis. – Oskar wciąż nie rozumiał. – Ten sam doktor Margulis, którego raport na temat wadliwych leków z fabryk na Patchcock wywołał na rynku niemal panikę.

– Ach, ten doktor Margulis. Myślałem...

– Jestem pewien, że ten człowiek jest zatwardziałym Aegistą i tylko szuka jakiegoś powodu, żeby zniechęcić ludzi do odmładzania. Broderick od piętnastu lat daje mu

wolną rękę, i zobacz, do czego doprowadziły te tak zwane niezależne badania. Zbyt wiele kosztują mnie, ciebie i całe Familie. Trzeba zacząć go kontrolować, a przynajmniej ktoś musi przeprowadzić bezstronne badania, które wykażą, jakie są korzyści z odmładzania. A ponieważ klan Consellinów dostarcza więcej niż dwie trzecie środków na utrzymanie Instytutu Brodericka...

– A nie zaczną narzekać na tłumienie akademickiej wolności?

– Oni nie są uniwersytetem, tylko placówką badawczą utrzymywaną z prywatnych funduszy. Jeśli będziesz taktowny, zrozumieją sugestię bez przesadnej reakcji. To twoje zadanie.

Kiedy Oskar w końcu wyszedł, Hobart gwałtownie wypuścił powietrze. Idioci. Otaczają go sami idioci i niekompetentni ludzie, a na dodatek wszyscy czegoś od niego chcą. Usiadł za biurkiem i przekazał sekretarce, by przysłała Pedara Orregiemosa. Kolejny idiota. Pochodzi z pomniejszej rodziny i jest bardzo uciążliwy, ale to także urodzony wazeliniarz, a tacy mogą być przydatni.

Pedar wyglądał na zadowolonego z siebie. Hobart nie miał ochoty znosić jego samouwielbienia.

– Będziemy mieli problem – powiedział. Na twarzy Pedara natychmiast pojawiła się troska. – Jak wiesz, na nadzwyczajnym zebraniu Rady zaraz po zamordowaniu lorda Thornbuckle’a zostałem wybrany tymczasowym Mówcą. – Pedar kiwnął głową. – Następne spotkanie będzie miało kluczowe znaczenie. Jeśli mamy skończyć z niezdecydowaniem poprzedniej administracji i zareagować na stojące przed nami wyzwania, musimy szybko działać. Pomożesz mi?

– Oczywiście – odpowiedział Pedar. – Co mogę zrobić?

– W przyszłości możesz zostać moim ministrem spraw zagranicznych. – Hobart zrobił pauzę i ucieszył się na widok choć raz całkowicie zaskoczonego Pedara. Nie spodziewał się aż takiego zaszczytu... To dobrze, będzie bardziej się starać, aby na niego zasłużyć. – Ale nie od razu, najpierw trzeba będzie zatwierdzić zmiany w przepisach. Dam ci teksty; chcę dostać od ciebie analizę prawdopodobnych reakcji.

– Oczywiście. Natychmiast.

– Następne zebranie zwołam jak najszybciej; zwlekanie z tym byłoby nieetyczne. – Pedar kiwnął głową jak dziecięca zabawka. Czy on w ogóle rozumie znaczenie tego faktu? Czy zdaje sobie sprawę, jak ważne jest szybkie działanie dla pomyślnej przyszłości Consellinów? Przez chwilę nawet myślał o wyjaśnieniu mu tego, podzieleniu się informacjami o działaniach Rodzin, o ludziach, którzy pojawią się na zebraniu, i o prognozach rozkładu głosów. Ale nie, lepiej nie zdradzać swojej wiedzy nawet Pedarowi.

– Po tym zebraniu – mówił dalej – przeprowadzę pewne zmiany na stanowiskach ministrów. Sprawy zagraniczne są wysoko na liście priorytetów, ale nie mogę podać ci dokładnej daty, kiedy zostaniesz ministrem. Musisz zdawać sobie sprawę, gdzie kryje

się prawdziwe zagrożenie. – Hobart nachylił się bliżej. – To nie wojna, niezależnie od tego, co mówią ludzie. Jesteśmy wielcy, silni i zdrowi, mamy dobrą armię... przynajmniej w większości. Anton Lepescu był szalony, ale to nie oznacza, że wszystkie jego pomysły były złe. Na przykład miał właściwe podejście do wojskowych i spraw wojny. Czy myślisz, że gdyby został przydzielony do misji ratunkowej, mielibyśmy teraz jakieś problemy z pozostałymi przy życiu terrorystami?

Pedar pokręcił głową. Hobart pozwolił sobie na uśmiezek.

– Oczywiście, że nie. Przede wszystkim upewniłby się, że nikt z nich nie ocalał. Nie doszłoby też do tego kretyńskiego sprowadzenia setek kobiet i dzieci; każde z nich to urodzony wichrzyciel. A komu zawdzięczamy ten dyplomatyczny i polityczny problem? Przyjaciołom Bunny'ego Thornbuckle'a, Serrano, którzy, jak wszyscy doskonale wiedzą, nie są lojalni wobec Rządzących Rodzin.

– No cóż, podobnie jak wszystkie rodziny Floty...

– Teraz tak, ale w przeszłości było inaczej. Studiowałem historię i wiem, jak to kiedyś wyglądało. Dlatego skąd mamy wiedzieć, że Serrano nie byli zaangażowani w masakrę rodziny swojego patrona? Jakie mamy dowody?

Pedar wyglądał na zaskoczonego.

– Nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Są potężni...

– Tak, i solidnie okopani. Jestem pewien, że są między nimi przyzwoici, lojalni żołnierze, lecz ich wpływ jest niewielki. A my potrzebujemy Floty, na którą możemy liczyć, która pokona każdego przeciwnika, będzie strzec naszych dostaw i ochroni nowe światy, które musimy otworzyć dla kolonizacji.

* * *

Po wyjściu Pedara Hobart stanął w zadumie przed oknem. Jego brat Guilliam zawsze był ulubieńcem rodziny, wszyscy go kochali. Hobart podejrzewał, że rodzice wbudowali w jego geny wdzięk, podczas gdy jemu dali stalowy kręgosłup, którego brakowało Guilliadowi. On miał być niekochanym koniem roboczym, który stoi w cieniu, na uboczu, i wykonuje wszystkie ciężkie zadania, zbyt trudne dla Guilliama.

Ludzie wciąż rozmawiali o Guilliadowie. Szkoda biednego Guilliama, mówili. Hobart wiedział, co naprawdę myślą: szkoda, że musimy teraz kontaktować się z Hobartem, a nie z jego bratem. Guilliam nie zajmował się interesami Rodziny; nie robił tego od chwili śmierci rodziców, kiedy uzależnienie od żywicy gwiazdodrzewa doprowadziło do trwałego uszkodzenia jego mózgu, którego nie dało się wyleczyć nawet za pomocą odmładzania.

Guilliam zatem nie pojawi się, jak zwykle, na następnym zebraniu Rady. Hobart jeszcze raz przebiegł wzrokiem listę, odznaczając na niej nazwiska. Mniejsze Famille – Derringerowie, Hochlitowie, Tassi-Lioti i cała reszta – domagają się nowego

przywódcy i prawdopodobnie pójdą za każdym, kto będzie wystarczająco silny. Harlis Thornbuckle, brat Bunny'ego, tak bardzo pragnie kontroli nad byłymi posiadłościami brata, że pójdzie na układy... choć na dłuższą metę prawdopodobnie nie można mu zaufać. Gdyby Kevil Mahoney był na nogach, mógłby przekonać część wahających się do przystąpienia do jego obozu, ale wciąż przebywał w centrum medycznym, a opozycja nie miała nic do zaoferowania, oprócz Barracloughów, bardziej zajętych wewnętrzną walką o przywództwo niż zagrożeniami z zewnątrz. Skoro Mahoney nie jest po jego stronie, to lepiej, że wcale nie bierze udziału w grze. W przyszłości spodziewał się przekonać go do siebie. Prawnik będzie potrzebował oparcia we władzy, więc zaprzyjaźni się z Hobartem.

Przy odrobinie szczęścia na zebraniu nie pojawi się nikt z rodziny Bunny'ego. Pewnie myślą, że sesja nie jest ważna, a słaby Mówca został wybrany jedynie na dokończenie kadencji Bunny'ego. To będzie jego wielka szansa. Przejmie osłabiony i pozbawiony steru okręt państwa, złapie wiatr historii i poprowadzi wszystkich ku lepszej przyszłości.

I tym razem zostanie potraktowany poważnie. Nie jako substytut Guilliama, a jako wielki przywódca. Młody i pełen energii, nawet bez odmłodzenia, a kiedy do tego dojdzie, będzie doskonale wiedział, z jakiego źródła leków należy skorzystać.

Zadzwoił jego przypominacz; uciszył go, strzelając palcami. Przez chwilę myślał o opuszczeniu treningu, ale zwyciężyło poczucie obowiązku. Iagin, Mistrz Miecza nadzorujący jego trenera, przyleciał na odbywającą się co pół roku kontrolę postępów Hobarta.

Wypełniający przebieralnię aromat drewna sandałowego i sosny zmienił jego nastrój i spowodował, tak jak powinien, że zajął się swoim ciałem. Hobart zdjął z siebie oficjalny strój i wrzucił go do kosza. Ubrania treningowe wisały na wieszakach. Wybrał gładki, przywierający do ciała kombinezon i skórzaną zbroję. Jego trener niechętnie widział go w skórze, ale dzisiaj nie miał nastroju do dogadzania trenerowi.

Z satysfakcją zerknął w lustro. Wypięta klatka piersiowa, płaski brzuch, silnie umięśnione nogi, wyprostowana postawa, jędrne usta. Ani jednego zwiotczałego i osłabionego mięśnia. Idealny przywódca.

Rozpoczął trening serią standardowych ćwiczeń rozgrzewających, po czym zaczął się rozciągać. Gdy właśnie skręcał się w precla – nie znosił rozciągania, gdyż uważał, że wygląda wtedy w najlepszym razie niegodnie – otworzyły się drzwi i wszedł Mistrz Miecza. Jego trener nigdy by się na to nie odważył – Hobart jasno dał mu do zrozumienia, że nie potrzebuje nadzoru w trakcie rozgrzewki – jednak Mistrzowie Miecza byli starzy i bardzo dumni, i aby korzystać z ich umiejętności, musiał pogodzić się z ich arogancją. Bunny nigdy nie zajmował się szermierką i uparcie odmawiał zatrudnienia Mistrza Miecza, mimo że tak robiła większość Familii.

– Lordzie Conselline – odezwał się Mistrz Miecza. – Pańska forma wymaga poprawy.

– Udziel mi więc potrzebnych porad – odpowiedział Hobart, dumny, że potrafił stłumić gniew.

Mistrz skręcił własne ciało w jakąś skomplikowaną figurę.

– Nie prostujesz kolan – powiedział gdzieś spod ramienia. – I zbyt mocno wyginasz kręgosłup w odcinku piersiowym, a za słabo w lędźwiowym. – Rozplatał kończyny i wyprostował się; nie był nawet zaczerwieniony ani nie brakowało mu tchu. – Spróbuj jeszcze raz.

Hobart skręcił ciało w wymagany supeł. Wiedział, czemu to służy, ale ponieważ nie lubił tych ćwiczeń, odpuszczał je sobie od wielu miesięcy. Dłonie Mistrza Miecza docisnęły go i pociągnęły... Hobart poczuł w kręgosłupie pyknięcie i kurcz, z którego istnienia nawet nie zdawał sobie sprawy, puścił.

– W ten sposób – powiedział Mistrz Miecza. – Powinieneś być przez ostatnie kilka miesięcy pozwolić Orrisowi pomagać sobie.

– Wezmę to pod uwagę – odpowiedział Hobart, ostrożnie się prostując.

– Dobrze. Jeśli jesteś gotów... – Mistrz wskazał głową w stronę sali.

– Czy to prawda – zapytał Hobart – że wszyscy Mistrzowie muszą zabijać ostrzem?

– Taka jest tradycja.

Hobart był ciekaw, jakie to uczucie, ale nie wiedział, jak uprzejmie o to zapytać. I jakim ostrzem? Mistrzowie Miecza używali wszystkich rodzajów kling i opanowali wszystkie style walki.

Orris wyciągnął maski treningowe wykonane ze wzmocnionej przezroczystej ceramiki, z wbudowanymi układami sygnalizacyjnymi, i ostrza do rozgrzewki. Hobart zerknął na niego, zastanawiając się, co mógł powiedzieć Mistrzowi Iaginowi; podejrzewał, że mówił nie tylko o jego umiejętnościach szermierczych. Czasami zdarzało mu się odbierać telefony w czasie lekcji, i wtedy Orris mógł podsłuchiwać jego rozmowy. Uważał jednak, że to nie było nic ważnego, nic, co mogłoby zainteresować Mistrza Miecza.

Założył maskę i rękawiczki, i z klingą w dłoni stanął na planszy naprzeciw Mistrza Iagina. Oddał salut – staromodny, oficjalny – który nadawał emocjonalny ton temu, co następowało potem. Pierwszy kontakt był tak nudny, że Hobart myślał tylko o tym, że chciałby już wrócić do swoich spisków.

A potem czubek broni Mistrza Iagina uderzył w jego maskę, rozświetlając ją na czerwono. Przez ułamek sekundy nie mógł się odezwać z gniewu, po czym burknął:

– Punkt.

– Twoje myśli gdzieś odplynęły, lordzie Conselline – powiedział Mistrz Iagin. Zasłonięta błyszczącą maską twarz nie zdradzała żadnych emocji – ani złości, ani strachu.

– Przepraszam – powiedział Hobart. W końcu jedną z przyczyn, dla których wciąż zajmował się szermierką, była potrzeba całkowitego skupienia się na tym, co w danej chwili robił. Jednak Orris zazwyczaj dawał mu kilka minut na rozgrzanie się, nigdy nie uderzał tak wcześnie. Ale Mistrz prawdopodobnie uważa, że szermierka jest najważniejszą sprawą w całym wszechświecie. Hobart zebrał rozproszone myśli, zablokował je i skupił się na klindze Mistrza Iagina.

W samą porę, ponieważ Mistrz znów go zaatakował i ledwie zdążył z zasłoną. Nie zdołał odpowiedzieć, ale następnym razem zadał ripostę, która nadzieiała się na tak potężną odpowiedź, że ostrze Mistrza przebiło się przez jego obronę i uderzyło go lekko w pierś.

– Punkt – powiedział tym razem radośniej; przecież nikt nie oczekuje od niego pokonania Mistrza Miecza.

Jego następny atak trafił w cel. W duchu zaręczał z radości. Nigdy dotąd nie udało mu się trafić Mistrza Miecza. Cała ta praca z ciężarkami wreszcie musiała zaowocować. Po dwudziestu trafieniach – szesnastu dla Mistrza i czterech dla niego – nastąpiła przerwa na rozciąganie, a potem przeszli na cięższe ostrza.

– Twoje prawe ramię jest wyraźnie silniejsze, lordzie Conselline – zauważył Mistrz.

– Orris kazał mi podnosić ciężarki.

– To dobrze. Ale zauważyłem, że lewe ramię masz wciąż znacznie słabsze, a nie powinno być między nimi więcej niż pięć procent różnicy siły, chyba że doznałeś jakichś obrażeń. Czy tak było?

Hobart skrzywił się.

– Jest silniejsze niż zeszłego roku.

– Rzeczywiście, jednak taka nierównowaga wpływa nie tylko na sposób szermierki, milordzie, ale także na ustawienie kręgosłupa i krok. Musisz zrównoważyć siłę obu rąk, tak samo jak równoważysz pracę i rozrywki.

Zmarszczki na twarzy Hobarta pogłębiły się, poczuł napięcie w karku.

– Nie mam czasu na rozrywki, Mistrzu. Z pewnością słyszałeś o okropnym kryzysie, jaki nas dotknął? Lord Thornbuckle został zabity przez terrorystów.

– Tak, oczywiście – odpowiedział Mistrz Iagin. – Ale to tylko dowodzi mojej tezy. Potrzeba zrównowżenia, aby być odpornym na ciosy. To właśnie brak równowagi w waszym społeczeństwie czyni je bezbronnym, powoduje, że zataczacie się i padacie po każdym ciosie.

– Nie zamierzam padać – oświadczył Hobart. Kątem oka zauważył swoje odbicie w lustrach otaczających salę; był zaczerwieniony i rozgniewany. Niebezpieczny.

– I jestem pewien, że do tego nie dojdzie, milordzie. Twoja praca tutaj – dyscyplina konieczna do osiągnięcia poziomu, na jaki się wspiąłeś – wspomaga twoje

wrodzone talenty. Jednak tak jak każdy ruch powoduje skrócenie jednej grupy mięśni i rozciągnięcie innej, tak obciążenie musi zostać zrównoważone odprężeniem.

– Odprężenie odnajduję w tym. – Hobart objął gestem ręki całą salę treningową.

– To dobrze – odpowiedział Mistrz Iagin. – Masz serce wojownika, które walcząc, odpoczywa.

Ucieszyła go ta pochwała. Wiedział, że ma serce wojownika, i czuł, że staje się coraz silniejszy.

Kiedy lekcja dobiegła końca, Hobart zaprosił Mistrza Iagina na obiad przy rodzinnym stole, ale ten odmówił.

– Za twoim pozwoleniem, milordzie, przespaceruję się po twoich ogrodach. Jutro muszę odlecieć, a nieczęsto mam okazję przebywać w otoczeniu takiego piękna.

– Oczywiście. – Nie rozumiał fascynacji Mistrza Iagina jego ogrodem, tym bardziej że dyskretne śledztwo wykazało – wbrew jego podejrzeniom – że mężczyzna nie chodzi tam po to, aby obściskiwać pokojówki albo z kimś się kontaktować za pomocą jakichś urządzeń. Po prostu spacerował wysypanymi żwirem ścieżkami, zatrzymując się i wachając kwiaty, udawał pojedynek z przypominającymi rycerzy roślinami, a jeśli pojawiał się kot ogrodnika, podnosił go i głaskał. Zawsze zatrzymywał się na drugim końcu ogrodu, by przyjrzeć się pływającym w stawie z liliami czarnopłetwym rybom. Było to dziwne zachowanie jak na Mistrza Miecza, ale oni znani byli z dziwacznych zwyczajów i większość z nich lubiła ogrody.

* * *

Przy kolacji Delphine zapytała, czy Mistrz Miecza wciąż jest obecny. Hobart rzucił jej spojrzenie, które natychmiast ją uciszyło.

– Jest, ale jutro odlatuje. Czemu pytasz?

– Po prostu chciałam się z nim spotkać...

– Nie masz powodu się z nim spotykać, nie traktujesz szermierki poważnie. – Delphine potrafiła przybrać ładną pozę z floretem w ręce, a na tle klombu z różami wyglądała w stroju do szermierki nawet dosyć podniecająco. Jednak brzydtko pracowała nogami i nigdy nie wykazała ochoty, by nauczyć się tego lepiej. Nie byłby zbyt zadowolony, gdyby to zrobiła, ale jej niechęć do przeciwstawienia się jemu nawet w tej sprawie była kolejnym dowodem jej słabości. Na szczęście mógł wybrać dla swoich synów inne linie genowe.

Delphine podłubała w rybie i zmieniła temat.

– Zadzwoiłam dzisiaj do Mirandy, ale jej prywatny sekretarz nie chciał mnie połączyć. Umówiłam się na jutro, gdy będzie przyjmować kondolencje.

– To dobrze – stwierdził Hobart, choć przez chwilę poczuł gniew na sekretarza,

który nie połączył jego żony – jego żony, lady Conselline – z Mirandą Thornbuckle. Ale i tak nie miało to znaczenia. Miranda już wkrótce przekona się, że władza, jaką miała dzięki Bunny’emu, przepadła jak woda wsiąkająca w piasek.

– Hobarcie, czy tobie grozi jakieś niebezpieczeństwo?

– Mnie?! – Uśmiechnął się, zaskoczony i podbechtany jej troską. – Nie, moja droga. Bunny miał wrogów, aleja ich nie mam. – Miał innych, ale ci nie odważyliby się go zabić. – Zresztą jestem ostrożniejszy. Mamy doskonałą ochronę. Nie martw się o mnie, o siebie czy o dzieci.

– To wszystko jest takie straszne – powiedziała Delphine, odkładając widelec. – Piraci porywają Brun, potem ci terroryści...

– To się więcej nie powtórzy – zapewnił ją stanowczo Hobart. – Dopilnuję tego.

Otworzyła szerzej oczy, te fiołkowe oczy, które tak kochał.

– Ale jak? Przecież nie jesteś...

Jeśli powiedziałyby, że nie jest nikim ważnym, zabiłby ją na miejscu. Widząc, jak mąż sztywnieje, zacisnęła usta i jej oczy wypełniły się łzami. Wbiła wzrok w talerz.

– Wiem, że trudno ci w to uwierzyć – powiedział cicho przez zaciśnięte zęby – ale nie jestem nikim.

– Och, Hobarcie, nie powiedziałam... Nie myślałam...

– I zapewnię ci bezpieczeństwo. A także innym. To mój obowiązek, a ja nigdy nie zawahałem się przed wypełnianiem obowiązków.

– Oczywiście, że nie – powiedziała i wytarła chusteczką łzy.

– Doszło do demoralizacji naszej władzy – oświadczył stanowczo Hobart, smakując wypowiedane słowa. – Z całym szacunkiem dla lorda Thornbuckle’a – a znałem Bunny’ego całe swoje życie – po prostu nie miał... kręgosłupa moralnego, by zrobić to, co konieczne. Ale ja nie popełnię tego błędu. Kiedy zostanę Pierwszym Mówcą – a nastąpi to, Delphine, za kilka dni – wszystko się zmieni. Żadnej pobłażliwości dla biurokracji, która zawsze boi się cokolwiek zmienić, bo mogłoby to zagrozić jej wpływom. Podejmę odpowiednie decyzje i uratuję państwo. – Podniósł wzrok i zobaczył wpatrzony w niego szeroko otwarte oczy żony. – A ty, moja droga, nie powtórzysz tego nikomu. Nie mam wątpliwości, że Wielka Rada chętnie wybierze kogoś z jasną wizją tego, co trzeba zrobić, ale nie chcę, żeby przeszkodziła im w tym twoja wersja wydarzeń. Czy to jasne?

– Tak, Hobarcie.

– Nie powiesz jutro niczego Mirandzie?

– Nie, Hobarcie.

– Przestań wreszcie bawić się tą rybą i jedz porządnie.

– Tak, Hobarcie.

Tak jest o wiele lepiej. Jeśli ograniczy się do robienia tylko tego, co jej każe, i nie

będzie protestować, okaże się przykładną żoną. Już sobie wyobrażał, jak w Pałacu wita osoby, które będzie zapraszał na przyjęcia. Delphine będzie dobrą gospodynią; jest efektowna, taktowna, ma łagodny głos. Pod tym względem przypomina Mirandę, wdowę po Bunnym. Ale to jego żona, jego narzędzie.

OSK Gryfalcon

Barin Serrano jeszcze raz przejrzał się w lustrze. Podobnie jak wszyscy z jego klasy, którzy czymś nie podpadli, miał być dzisiaj promowany na pepeka. Za godzinę chorąży mieli zjawić się na ceremonii promocyjnej w biurze kapitana. Jego rodzice, zgodnie z tradycją, przysłali mu swoje stare insygnia i kostkę kredytową na pokrycie kosztów udziału w imprezie w mesie młodszych oficerów. To było szczególnie miłe, biorąc pod uwagę jego puste konto. W towarzyszącym prezentom liście nic o tym nie wspomnieli. Zastanawiał się, czy został wysłany, zanim się dowiedzieli, czy po prostu nie wiedzieli, co mogliby na ten temat napisać.

Jego myśli jak zwykle powędrowały do Esmay Suizy, której niesforne włosy denerwowały ją tak samo, jak jego pociągały. Był pewien, że dziewczyna nigdy nie zrozumie, co czuł na ich widok.

Od tygodni nie miał od Esmay żadnych wiadomości, ale oboje byli na pokładzie statków i mogli się tego spodziewać. Nie myślał jednak, że wszystko będzie mu ją przypominać, ale miał nadzieję, że to minie.

– No chodź, Barin! – rozległo się wołanie od drzwi. Rzucił ostatnie spojrzenie w lustro (nie, na uszach nie wyrosły mu nagle włosy), odwrócił się i wyszedł.

Sama uroczystość była krótka, w przeciwieństwie do tego, co po niej nastąpiło. Zgodnie z tradycją, każdy z nowo promowanych pepeków musiał umieścić w puli tuzin żetonów do baru, a potem dostawało je pierwszych dwunastu marynarzy, którzy otrzymali nowy stopień. Barin, jako jeden z ostatnich na alfabetycznej liście, był wielokrotnie zaczepiany, zanim wydał ostatni żeton.

Cztery godziny później na pokład weszli pierwsi nowo przydzieleni chorąży, przywiezieni z Dowództwa Sektora na statku *Cape Hay*. Dwóch z nich było już wcześniej promowanych na pepeków, a trzech było tegorocznymi, zupełnie zielonymi, absolwentami szkoły. Barin, jako najpóźniej promowany wśród pepeków, miał ich eskortować do kwater. Starszych znał z Akademii; Cordas Stettin był nawet odległym kuzynem ze strony matki, a Indi Khas był w jego jednostce kadetów. Trzej pozostali wyglądali niemożliwie młodo; nie mógł uwierzyć, że kiedyś sam był tak zielony, i bardzo się zdziwił, gdy jeden z nich powiedział do niego „sir”.

Gdyby nie nieustanny strach przed tym, że kolonie Nowego Teksasu mogą coś szykować, można by uznać, że *Gryfalcon* dokonywał rutynowego patrolu. Normalnie Sektor Siedem był dość spokojny, a punkty skokowe prowadzące w przestrzeń Benignity sprawiały, że inwazja ich głównego przeciwnika była mało prawdopodobna. Wszystkie działania na statku prowadzono w ramach alarmu drugiego stopnia. Barin uważał, że jeszcze kilka takich dni i wszyscy zaczną sobie odpuszczać: nie będą domykać grodzi i pamiętać o zamknięciu po prysznicu kratek odpływowych czy o innych uciążliwych szczegółach, które w krytycznej sytuacji mogą ocalić życie lub doprowadzić do katastrofy.

Jedynie młodszy oficerowie i starsi podoficerowie byliby w stanie zapobiec rozprężeniu, ale w związku z badaniami medycznymi w sprawie odmłodzeń statek stracił ośmiu starszych podoficerów. Barin poświęcał cały swój czas na inspekcje, doskonale rozumiejąc ich kluczowe znaczenie dla bezpieczeństwa statku i załogi. W końcu sam stracił wujka tylko dlatego, że ktoś zapomniał zamknąć grodz.

Okazało się, że *Cape Hay* przywiózł im nowe rozkazy, więc kapitan Escovar wezwał Barina, by je przedyskutować.

– Pamięta pan tę profesor, która została z pańskimi żonami... to jest tymi kobietami?

– Tak jest, sir.

– Cóż, zatrzymamy się i weźmiemy ją, aby zawieźć do Dowództwa Sektora Jeden, gdzie z kolei mamy się spotkać z jakąś dyplomatką z Konfederacji Samotnej Gwiazdy i przetransportować ją na Castle Rock. Dobrze byłoby spróbować przekonać te kobiety, żeby czymś się zajęły, zamiast przejadać zasoby Floty. Mogą nas nie posłuchać, ale wciąż mówią profesor Meyerson, że nie zrobią niczego bez pańskiej zgody. Aha, ma pan pocztę.

* * *

Barin przeczytał kostkę, gdy tylko miał wolną chwilę, czyli wiele godzin później. Nagrali ją jego rodzice, ale kryła się za nią pełna powagi cała dynastia Serrano.

Jest jeszcze młody, a na dodatek Flota obciążyła go odpowiedzialnością za tak wiele kobiet, więc jak może w ogóle myśleć o ślubie? Oczywiście są pewni, że porucznik Suiza zrozumie, i jeśli naprawdę obchodzi ją jego los, nie będzie mu niczego utrudniać. Nie ma sensu niepotrzebnie się spieszyć...

Barin po cichu spierał się ze słowami z kostki. Jak może myśleć o ślubie? A jak może nie myśleć? Niepotrzebny pośpiech?

Znali się już od lat; przeżyli razem atak Krwawej Hordy, machinacje zazdrosnych wichrzycieli, bardzo trudne uwolnienie zakładników. Nie pozwoli mówić, że jest za młody i zbyt niedoświadczony, żeby się ożenić. Jest pepekami, a nie jakimś świeżym

chorążym prosto po Akademii.

Kocha ją. Ona kocha jego. To byłoby takie proste, gdyby tylko inni dali im spokój. Może mógłby dostać urlop i gdzieś by się spotkali... prywatnie. Przez chwilę myślał nawet o ucieczce i potajemnym ślubie, wbrew woli rodziny. To jednak nie byłoby uczciwe wobec Esmay. Oblubienica Ziemi Suiza miała prawo oczekiwać – a nawet wymagać – czegoś więcej niż pospiesznej ceremonii przed jakimś lokalnym urzędnikiem. Może mimo wszystko uda im się spotkać na statku wydzielonym dla służby dyplomatycznej.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

OSK *Shrike*

– Poruczniku, poczta. – Bosman Conway podał Esmay wydruk listów. Z trudem powstrzymała się, aby nie westchnąć. Te nowe procedury bezpieczeństwa pochłaniały dużo czasu, ponieważ miała obowiązek sprawdzić i zatwierdzić każdą listę przesyłek. (Nie potrafiła jakoś uwierzyć, że jest to konieczne na tak małej jednostce). Na szczęście pocztę mogli odbierać tylko wtedy, gdy byli wystarczająco blisko przekaźników Floty. Przebiegła wzrokiem po liście; zauważyła, że bosman zaznaczył na niej trzy nazwiska: starszego szeryfa i dwóch młodszych sierżantów.

Otrzymywali znacznie więcej wiadomości niż inni, i to z różnych źródeł.

– Żadnych paczek – mruknęła Esmay, sprawdzając kolumny.

– Dla nich nie ma, sir, ale jest jedna dla pani. Starszy szeryf Gunderson po zakończeniu tego patrolu będzie się żenił. Adresy zwrotne odpowiadają adresom jego rodziców, przyszłych teściów i centrum medycznego na Rockhouse Major.

– Centrum medyczne? – Nagle ją oświeciło. – Och, oczywiście. – Gunderson był neurowspomagany. – Czy jego narzeczona też jest NEM?

– Nie, to cywil. Gunderson próbuje dostać zgodę na kontrolny implant.

To ma sens – nie chciałby przypadkiem skrzywdzić swojej ukochanej.

– A więc jednak... cywilne małżeństwo?

– Bezpieka bardzo starannie to prześwietliła – stwierdził bosman, właściwie interpretując jej pytanie. – Jej rodzina nie jest z Floty, ale od dwóch pokoleń są podwykonawcami.

Esmay przeniosła wzrok na następne nazwisko.

– Rodzice Farley napuścili na nią całą rodzinę, żeby skłoniła ją do opuszczenia Floty i podjęcia pracy w ich firmie wysyłkowej. Mówi, że męczą ją o to od lat, więc po prostu wyrzuca listy.

Kostkę z wiadomością od Barina Esmay odłożyła na później. Miała nalepkę oznaczającą, że już ją obejrzał cenzor z Dowództwa. Pewnie już opowiedział całej swojej rodzinie o Esmay. Wciąż nie dostała niczego od swoich najbliższych, choć przy tak dużej odległości i nowych procedurach bezpieczeństwa nie było to wcale takie dziwne. Miała nadzieję, że niedługo odpiszą. Będą mieli razem z Barinem niewiele okazji do zawarcia ślubu, i choć chcieli, by ceremonia była niewielka i skromna, pragnęła, aby jej rodzina była przy tym obecna.

Pozostała poczta dla niej miała charakter oficjalny i skierowana była do jej stanowiska na *Shrike'u*... poza jedną paczką, mocno powgniataną po przejściu przez niezliczone punkty kontrolne. W miejscu nadawcy widniało nazwisko Brun Meager.

Przesyłka od Brun? Esmay nie miała z nią kontaktu, odkąd odleciała z dziećmi na Castle Rock. Zauważyła taśmę pogiętą w miejscu, gdzie безпеka próbowała ją otworzyć. Przyłożyła dłoń do płytki identyfikacyjnej, zastanawiając się przez chwilę, skąd Brun zdobyła wzór odcisku jej dłoni. Taśma szczelnie zamykająca paczkę odskoczyła. Esmay odwinęła pakunek, świadoma obecności przyglądającego się jej podoficera.

Usunęła resztki papieru i zobaczyła... pas tak wyszukanej koronki, że nie potrafiła stłumić okrzyku zaskoczenia. Był szerokości jej dłoni, a każdy centymetr kwadratowy pokrywał biały haft. Miała wrażenie, że nie powinna go dotykać gołymi dłońmi. Delikatnie położyła pas na kolanach i zajrzała do pudełka.

Leżała tam jakaś śnieżnobiała tkanina przypominająca siateczkę, inkrustowana drobnymi perłami. A pod tym kilka arkuszy z rysunkami; były to szkice sukni ślubnej, z długimi rękawami i wysokim kołnierzem, bardziej surowej niż by się spodziewała po Brun, trochę przypominającej krojem wojskowy mundur.

Wyjaśnienie tego wszystkiego znalazła w załączonej kostce.

– Hazel powiedziała mi, że sprowadzone przez Barina kobiety potrzebują jakiegoś źródła dochodów, a tobie potrzebna jest suknia ślubna. Pozwoliłam więc sobie porozmawiać z paroma projektantami. Zakładałam, że nie chcesz wyłożyć na suknię całej rocznej pensji. Goran Hiel zgodził się zaprojektować strój dla bohaterki Floty, która mnie uratowała, a który jednocześnie reklamowałby rzemieślników produkujących takiej jakości towary. Nie jest wprawdzie aż tak dobry jak Marice Limited, ale spodobała mi się w jego projekcie lekko wojskowa nuta.

Nie pierwszy raz Brun próbuje kierować jej życiem. To już... czwarty raz, pomyślała Esmay, starając się nie mieć o to pretensji. Brun dorastała w przekonaniu, że wszystko będzie toczyło się zgodnie z jej życzeniami; pieniądze, uroda i szczęście zawiodły ją tylko raz. Esmay miała nadzieję, że jej obecne zachowanie oznacza tylko chęć powrotu do normalności, a nie zmanifestowania swojej władzy.

Jeszcze raz obejrzała rysunki i koronkę. Przez chwilę wyobraziła sobie siebie w sukni zrobionej z tak cudownych materiałów. Wyglądałaby... Nie, nie może o tym myśleć, nie teraz. To zdecydowanie zbyt wspaniała suknia dla zwykłego porucznika Floty pragnącego cichego, rodzinnego ślubu.

A dla Oblubienicy Ziemi Suizy?

Nie byłaby zbyt wyszukana dla Oblubienicy Suizy, ale przecież ona nie wychodzi za Barina jako Oblubienica... Znieruchomiała z na wpół złożonym haftem w dłoniach. Czy faktycznie nie?

Oczywiście wyobraźni zobaczyła całą masę trudności wynikających z jej pozycji Oblubienicy Ziemi. Co by było, gdyby ktoś pomyślał, że jej ślub z Barinem ma jakkolwiek związek z historią Suizów, Zawodową Służbą Kosmiczną czy niepewną pozycją Altiplano w ramach Familii Regnant?

Co by było, gdyby tak sądził jej ojciec? A jeśli – nie podobało jej się myślenie o więzi z ziemią, która powinna była zrodzić się w trakcie ceremonii Zaślubin Ziemi – sama ziemia, Ziemia Suizów, uważa jej ślub z Barinem za coś więcej niż tylko wyraz miłości?

A ona nawet nie złożyła jeszcze formalnego podania o zmianę statusu... Szybko wywołała odpowiednie formularze.

„Podanie oficera o zgodę na poślubienie partnera życiowego. Procedury i wymagania”.

Choć zdawała sobie sprawę z istnienia oficjalnych formularzy, załadowanie ich do własnego komputera spowodowało, że odebrała je jako coś... bardzo poważnego. Na początku znajdowała się długa lista ostrzeżeń, ograniczeń i zniechęcającej statystyki. Musiała zaznaczać przeczytanie każdego paragrafu z osobna. Formalne partnerstwo życiowe (znane również jako małżeństwo, jak sucho informował tekst) zawodzi nawet w przypadku osób z długotrwałą tradycją służby we Flocie. W raporcie wymieniono wszystkie możliwe powody, włącznie z takimi, o których Esmay nigdy by nie pomyślała (naprawdę są takie dorosłe osoby, które mają problemy ze swoją płcią? I ile osób przechodzi po ślubie na religie nakazujące celibat?).

Czytała dalej, niechętnie odznaczając akapit po akapicie, aż dotarła do rozdziału, w którym ostrzegano oficerów przed angażowaniem się w związki z osobami o znaczeniu w skali planetarnej. I właśnie tam, między gubernatorami tego, głównymi sekretarzami tamtego i dowódcami czegoś innego znalazła: „Ahiplano: Komendanci sektorów, ich najbliższe rodziny oraz Oblubienice/Oblubieńcy Ziemi”.

Oblubieńcy? Na Altiplano nie ma takiego tytułu. Znów spojrzała na początek rozdziału. „Oficerów ostrzega się, by unikali zarówno czasowych, jak i trwałych kontaktów z następującymi kategoriami osób”.

Co to oznacza dla Barina? Jest zaprzysiężonym oficerem Zawodowej Służby Kosmicznej i z pewnością nie mogą mieć do niej pretensji o jej status Oblubienicy...

Ale gdyby nawet mieli, to nie była jeszcze Oblubienicą, kiedy zakochała się w Barinie. Była wtedy zwykłym chorążym – zwykłym chorążym, który przeżył bunt i ocalił planetę – i nie zrobiła nic złego, zakochując się w Barinie, ani on, zakochując się w niej.

Co z tego, że potem stała się również Oblubienicą Suizą?

Skoro już o tym mowa, czy kiedykolwiek oficjalnie poinformowała Flotę, że została Oblubienicą Ziemi? Wiedziała o tym lady Katerina Saenz, ale tak bardzo była zajęta uwolnieniem Brun – co było znacznie ważniejsze – że wcale nie wiadomo, czy wypełniła odpowiedni formularz. Esmay wywołała w komputerze informacje na swój temat. Planeta pochodzenia, rodzina, wyznanie, lokalne nagrody i odznaczenia, w tym Order Gwiazdy... To wszystko zostało tam umieszczone, ale nic nie wspomniano o Oblubienicy.

Z poczuciem winy zaczęła przeglądać bazę danych procedur personalnych w poszukiwaniu odpowiedniego formularza, ale go nie znalazła. Cóż, nie tak wielu oficerów zostaje Oblubienicą Ziemi. Prawdę mówiąc, była jedyną. Oznacza to rozmowę z kapitanem Solisem; nie chciałby być później zaskoczony taką informacją.

* * *

– Kapitanie, czy mogę z panem porozmawiać?

– Oczywiście. – Podniósł wzrok znad swojej pracy. Wyglądał znacznie mniej groźnie niż kiedyś sądziła.

– Chodzi o te formularze o zmianie statusu – zaczęła Esmay. – Ostrzeżenia dla personelu...

Uniósł brew.

– Nie wyobrażam sobie, żeby miała pani jakieś kłopoty. Oboje jesteście oficerami Floty. Chyba że wciąż się pani wydaje, że porywa go z przedszkola.

– Nie, sir. Jednak fragment o osobach znaczących w skali planetarnej...

– Wiem, że pani ojciec jest ważną osobą, ale pani jest oficerem Floty.

– I Oblubienicą Ziemi.

– Oblubienicą Ziemi? Cóż to takiego?

– Tutaj napisano, że należy wystrzegać się takich osób. – Esmay podała mu wydruk. – Nie wiem, czy to mnie dotyczy; w końcu jestem oficerem Floty, a kiedy się spotkaliśmy, nie byłam Oblubienicą.

– Hmm... Oblubienica Ziemi musi być kimś wyjątkowym. Co taka osoba robi, poruczniku?

Trudno będzie mu to wyjaśnić, skoro ona sama nie do końca to rozumie.

– Oblubienica... uosabia przywiązanie rodziny do ziemi. Stanowi symbol poświęcenia się ziemi.

– Nie wiedziałem nawet, że jest pani Oblubienicą – zauważył.

– To się stało w czasie mojego urlopu po śmierci prababki – wyjaśniła Esmay. – Kiedy wróciłam, byliśmy tak zajęci misją ratunkową, że zapomniałam to zgłosić. Nie wydawało mi się to takie ważne.

– Tak, wszyscy byliśmy wtedy nieco zajęci. Ale teraz musi to pani zgłosić. Personel będzie chciał o tym wiedzieć. Mogą być zaniepokojeni pani obowiązkami. Będą na przykład chcieli wiedzieć, ile czasu będzie pani musiała spędzać poza Flotą, i inne tego typu rzeczy.

– Nie będę musiała – odpowiedziała Esmay. – Tak powiedział mój ojciec.

– Ale religia... – Zamyślił się. – Stanowiska religijne zazwyczaj wymagają

poświęcenia czasu i wysiłków, poruczniku. Jeśli pani tam nie będzie...

Esmay pomyślała nagle o wiosennych i jesiennych Zrównaniach, kiedy to jej prababka wyjeżdżała na pola, aby coś – nie wiedziała co – tam robić. Nikt jej o tym nie wspominał, ale...

– To wszystko stało się tak szybko – powiedziała. – A potem wróciłam... – Nie znosiła żalostnego tonu, który przebijał w jej głosie.

– Musi to pani wyjaśnić, zanim wyjdzie pani za młodego Serrano. Nie tylko z powodu przepisów, ale dlatego, że oboje musicie wiedzieć, w co się pakujecie. Poza tym sądzę, że grozi pani niebezpieczeństwo także dlatego, że pani ojciec jest komendantem sektora.

– Tak jest, sir – odpowiedziała Esmay. – Ale wiedzieli o tym, kiedy szłam do szkoły wstępnej.

– Jednak wtedy nie miała pani wejść w jedną z najstarszych rodzin we Flocie – powiedział kapitan. Jego ton nie zdradzał żadnej urazy, po prostu stwierdzał fakt istnienia stalowej bariery między nią a jej marzeniami. Esmay kiwnęła głową i wyszła. Starszy bosman Cattaro, która przegrzebała bazę danych administracji w poszukiwaniu odpowiedniego formularza, zagryzła wargę.

– Jest taka procedura, poruczniku, zawsze jest odpowiednia procedura. Niech no sprawdzę... – Znowu zaczęła przeszukiwać bazę danych. – Myślę, że w tym przypadku skorzystamy z 7653, „Podanie o wyjątek nie sprecyzowany” i 78B-4, „Zgłoszenie zdarzenia, naruszenie przepisów nie sprecyzowane”, a potem jeszcze 9245... Nie, właściwie dwa, jako dodatek do każdego z tamtych. – Bosman Cattaro wyszczerzyła zęby, jakby wraz z każdym dodatkowym formularzem była coraz bardziej szczęśliwa. – I równie dobrze może pani wypełnić 8813, „Podanie o wyrażenie zgody na stały związek” razem z oznaczeniem kodowym pani dokumentów wstępnych, ponieważ one umożliwią odszukanie pani klasyfikacji ze szkoły wstępnej. Oczywiście będzie też pani potrzebować...

– Bosmanie, nie będę miała czasu wypełnić tego wszystkiego.

– W takim razie lepiej zacząć od razu – stwierdziła Cattaro. Promieniała cichą radością starszego podoficera, który właśnie zrzucił mnóstwo roboty na oficera. – Prześlę to pani do komputera, dobrze? Czy woli pani tutaj pracować?

Mogła wypełniać formularze, jednocześnie zajmując się czymś innym.

– Proszę przesłać do mnie, bosmanie.

– Tak jest, sir.

Wypełnianie formularzy zgodnie z wymaganiami bosman Cattaro zajęło jej resztę tej wachty i część następnej. Z powodów znanych wyłącznie twórcom formularzy każdy z nich wymagał wprowadzania danych w innej kolejności, a nawet w różnych formatach, co nie pozwalało na zwykłe przekopiowanie danych z jednego formularza do drugiego. W jednym formularzu nazwisko było na pierwszym miejscu, a w innym na

ostatnim. W jednym wystarczyło podać tylko inicjały, a w innym należało wpisać imię w pełnym brzmieniu. Planetę pochodzenia trzeba było zakodować zgodnie z załączoną tabelą, ale gdzie indziej ten sam kod już nie pasował.

Esmay uznała, że Flota naprawdę bardzo nie chce, aby Oblubienice wychodziły za mąż za wojskowych.

* * *

Kostka z listem od Barina – kiedy w końcu miała czas, aby umieścić ją w czytniku – zawierała mniej informacji niż oczekiwała. Kocha ją – nie słyszała tego zbyt często – i wciąż czeka na wiadomość od swoich rodziców. Obawia się, że będą zirytowani decyzją administracyjną obciążającą go utrzymaniem kobiet przywiezionych z Naszego Teksasu. Trudno będzie przekonać Personel do zatwierdzenia dokumentów zmiany statusu, skoro najwyraźniej nie stać go na utrzymanie zależnych od niego osób.

Esmay zaczęła się zastanawiać, czy komuś w Administracji nie odbiło. Czemu upierają się, że Barin ma płacić za utrzymanie tych kobiet? Załączył także dane, które jego zdaniem mogły jej być potrzebne; najwyraźniej nie znalazł jeszcze rozdziału, w którym jej zabraniają istnieć, a jemu zabraniają ślubu z taką jak ona osobą. Obiecał znów napisać, ale podkreślił, że ponieważ cała jego pensja idzie na utrzymanie kobiet z Nowego Teksasu, musi ograniczyć się do transferów międzyokrętowych w ramach systemu pocztowego Floty.

Esmay dołączyła informacje od niego do swoich formularzy, a potem skończyła wypełniać dokument zatytułowany „Informacje o związku”. To wszystko jest takie głupie. Kiedy przyjmowali ją do Floty, wiedzieli, że jest córką regionalnego komendanta, a Altiplano nie ma ambicji wpływania na Wielką Radę Familii. Nigdy nawet nie próbowało zdobyć w niej miejsca. Czemu zatem to stanowisko znajduje się na liście zakazanych? I skoro dodali do niej Oblubienicę Ziemi, czemu nie zdobyli się na sprawdzenie, czy jest coś takiego jak Oblubieniec? Przeklinając anonimowych „onych”, Esmay skończyła wypełniać druczki, potwierdziła ich zawartość odciskiem kciuka i zaniósła do biura kapitana, by jego asystent wykonał wymagane kopie i przygotował je do wysłania.

Później wróciła do odczytania pozostałej części kostki z wiadomościami. Byłe żony Rangersów, przebywające teraz w apartamentach na Rockhouse Major, wciąż domagają się od Barina gwarancji opieki, której on nie może im dać.

– Babka wie, czemu to zrobiłem – i zgadza się, że w tych okolicznościach było to usprawiedliwione – ale ostrzegła mnie, że Flota nie będzie zadowolona, niezależnie od tego, co ona napisze w raporcie. Dowództwo uważa, że przekroczyłem swoje uprawnienia i naraziłem ich na znaczne wydatki, nie wspominając o koszmarnej odbiorze przez opinię publiczną. Upierają się, że powinienem mieć udział w kosztach, choć cała moja pensja nie wystarcza nawet na pokrycie rachunków za żywność.

Wszyscy – od tych kobiet aż do admirałów – zdają się uważać, że to ja powinienem wymyślić jakieś rozwiązanie tej sytuacji. A ja jestem w kropce. Te kobiety nie są zdolne do niczego innego poza siedzeniem i narzekaniem, a teraz władze cywilne mają jeszcze do mnie pretensje, bo one nie chcą wysłać swoich dzieci do szkoły.

Esmay przypomniała sobie kobiety, które widziała na promie podczas ewakuacji: suknie do kostek z długimi rękawami, chustki na głowach, spracowane dłonie... Jeśli są tak religijne jak Starowiercy na Altiplano, muszą bardzo źle czuć się na stacji kosmicznej czy nawet na jednej z bardziej – jej umysł przez chwilę szukał odpowiedniego słowa – zaawansowanych w rozwoju planet.

Od czasu opuszczenia grupy uderzeniowej nie myślała zbyt wiele o kobietach i dzieciach zabranych – czy uratowanych – w trakcie tamtej misji. Sądziła, że kobiety będące więźniami zostały wyleczone, i że ktoś „zajął się” pozostałymi.

Najwyraźniej tak się nie stało. Trudno uznać za uczciwe zrzucenie całej odpowiedzialności na Barina, ale jeśli ma być wyplącamy, ona sama musi coś w tej sprawie zrobić. To duże utrudnienie, że przebywają na dwóch różnych statkach! Nie mogą nawet o tym porozmawiać, podzielić się pomysłami i razem dojść do jakiegoś rozwiązania.

Przygotowała odpowiedź dla Barina i sieci bibliotecznej Floty, po czym wysłała je przy najbliższym wyjściu ze skoku.

Kilka godzin później obudziła się z głębokiego snu. Leżała z szeroko otwartymi oczami, zdumiona pomysłem, który przyszedł jej do głowy. Kobiety potrzebują miejsca do życia i wychowywania dzieci, najlepiej na jakiejś planecie. Potrzebują środków do życia. Brun podsunęła jej rozwiązanie drugiego problemu, pisząc o ich umiejętności wykonywania robótek ręcznych, a teraz ona wymyśliła rozwiązanie pierwszego problemu. Altiplano. Jako Oblubienica Ziemi może pozwolić im zamieszkać na ziemiach Suizów, a nawet we własnej wiosce, gdzie mogłyby żyć w zgodzie z ich zwyczajami. Ich rękodzieło można by eksportować razem z materiałem genetycznym, by uzupełnić dochody z uprawy ziemi. Na początek mogłaby im dać zwierzęta gospodarcze z własnych stad. Ich dzieci mogłyby dorastać jako Altiplañczycy, a po upływie kilku pokoleń zostałyby całkowicie zasymilowane.

Im więcej o tym myślała, tym bardziej jej się to podobało. Kobiety mogłyby nawet znaleźć na Altiplano mężów, gdyby tylko chciały. Ponieważ ich wiara mieściła się gdzieś między wyznaniem wywodzącym się z ziemskiego chrześcijaństwa, z pewnością spodobałaby im się religia Starowierców. Próbowwała nie myśleć o tych fragmentach podręczników do historii, które dotyczyły sporów religijnych. Jej prababka upierała się, że wszystkie one były wynikiem braku pokory i arogancji. Zresztą wolność wyznania stanowiła teraz element systemu prawnego Altiplano, choć na planecie nie było takiego różnicowania kulturowego, jak we Flocie czy na bardziej kosmopolitycznych planetach.

Nie mogła usnąć, więc usiadła przy biurku i nagrała kostkę dla Barina z opisem swojego pomysłu, a potem drugą dla Luci. Opowiedziała kuzynce o swoich planach ślubnych i problemach Barina, i zapytała o wolne miejsca na ziemiach Suizów. Oczyma duszy już widziała kobiety mieszkające gdzieś na południu, w kamiennych domach z ogródkami, bardzo przypominających domostwa z miejsca ich pochodzenia.

Gdy wreszcie zapełniła ich pastwiska kozami Cateri i bydłem, i wyobraziła sobie radośnie pracujące kobiety i dzieci bawiące się w ogródkach, znów zrobiła się śpiąca. Wróciła do łóżka, pewna, że wszystkie problemy mają swoje rozwiązanie, a ten właśnie udało jej się załatwić.

Altiplano, estanza Suiza

Luci Suiza szła przez hol po zakończonym meczu polo; potrzebowała wziąć prysznic, zanim na obiedzie pojawi się rodzina Vicario. Nagle zauważyła podjeżdżającą pod dom czerwoną furgonetkę pocztową. Philip codziennie wysyłał jej liścik, i jeśli miała szczęście, docierała do poczty przed wszystkimi innymi. Wzięła list i kostkę z wiadomością od Esmay i poszła do swojego pokoju.

Przeczytała list jeszcze przed wejściem pod prysznic, gdy ściągała z siebie przepecone ubranie. Była zachwycona wszystkimi użytymi przez Philipa sformułowaniami oraz chłodnym powietrzem wpadającym przez okno. Dziś wieczorem odbędzie się ostateczne spotkanie rodziców, a po nim dojdzie do zaręczyn.

Po prysznicu, owinięta w puszysty szlafrok, Luci wsunęła kostkę od Esmay do czytnika i zaczęła rozczesywać włosy. Esmay dobrze sobie radziła. Nie dostała jeszcze wiadomości od Barina na temat reakcji jego rodziny. Brun przysłała jej cudowne próbki koronek i projekt sukni ślubnej. Flota ma wiele głupich przepisów odnośnie do tego, z kim wolno się żenić, a z kim nie, więc musiała wypełnić mnóstwo formularzy... Luci zatrzymała odtwarzanie, spięła włosy i zerknęła na zegar. Wciąż miała czas. Przysunęła kosmetyki do czytnika kostek i zaczęła robić makijaż, słuchając równocześnie wiadomości.

Flota nie chce, by oficerowie żenili się z Oblubienicami Ziemi. Więc zrezygnuj, pomyślała Luci, i oczywiście zaraz potem wysłuchała rozważań Esmay na temat rezygnacji. Czy Luci byłaby zainteresowana?

Owszem, byłaby. Luci westchnęła nad swoją kuzynką i pomalowała wargi. Niezależnie od tego, co mówią inni, to niemożliwe, by po grze w polo zachować miękkie, wilgotne wargi, bez użycia kosmetyków. Luci znowu spojrzała na zegar. Lubiła swoją kuzynkę i podziwiała jej poświęcenie, ale Phil zjawi się tu za dwadzieścia minut.

Wspaniały pomysł Esmay, aby kobiety z Naszego Teksasu zamieszkały wraz z dziećmi na ziemiach Suizów, zaskoczył ją. Starannie rysowana kredką do oczu linia

odjechała w bok, zostawiając ciemną krechę na twarzy. Co?! Dziewiętnaście kobiet z dziećmi – tuzinami dzieci – na ziemiach Suizów? Nie uznający kontroli urodzin, z planety o barbarzyńskim kulcie religijnym... Mogła sobie wyobrazić, co powiedzieliby o tym kapłani! Esmay paplała coś na temat ich umiejętności w zakresie robótek ręcznych i życia na planetach o niskim poziomie techniki. Nie mamy niskiego poziomu techniki, pomyślała gniewnie Luci. Idiotka.

Potem spojrzała w lustro i na zegar, i gniew zapłonął w niej jak pożar stepu. Esmay nie ma prawa! Nie jest odpowiednią Oblubienicą – kimś, kto naprawdę rozumie, dba, może w jednej chwili ocenić...

Wpadła do łazienki, niemal tratując dwójkę młodszych dzieci.

– Luci, co ci się stało...

– Cicho! – warknęła i zaczęła zmywać makijaż z twarzy, zostawiając plamy na ręczniku. Głupia Esmay. Dobrze zrobiła, odlatując stąd, i dobrze, że chce zrezygnować z tytułu Oblubienicy. Gdyby Luci miała okazję, osobiście powyrywałaby jej włosy z głowy.

Kiedy wróciła do pokoju i wyjrzała przez okno, by sprawdzić, czy pojawił się już samochód Vicariów, jej serce drgnęło na widok złotych i niebieskich pasów cienia padającego na boiska do gry w polo. Jest tak pięknie, tak cudownie, że aż boli. Jak Esmay może tego nie chcieć? Jak może tak mało ją to obchodzić, że jest w stanie myśleć o skażeniu tej ziemi grupą obcych?

Oparła się o parapet i chłonęła powietrze pachnące wczesnymi różami i kwiatami jabłoni. Gdzieś w oddali zarżały konie; to stajenni przygotowywali wieczorne mieszanki pokarmu. Tego właśnie chciała, tego zawsze pragnęła... No i Philipa, z którym mogłaby to dzielić.

Światło odbiło się od poruszającego się po drodze pojazdu, po czym błysnęło jej prosto w oczy, gdy wóz skręcił na ich podjazd. To bez wątplenia Vicariowie, chyba że ojciec tak późno wraca z miasta. Nie miała już czasu na makijaż, więc tylko przejechała szminką po ustach. Założyła biało-niebieską bluzę i białą spódnicę dziewczyny mającej przystąpić do zaręczyn. Po dzisiejszym wieczorze będzie nosić błękitną spódnicę narzeczonej.

Esmay, ty idiotko, pomyślała, gdy zamykała drzwi i zbiegała po schodach.

Rodzina Vicariów wróciła do swojego domu w mieście przed północą. W trakcie tego trzeciego z formalnych spotkań (odbywających się na zmianę w obu domach) rodzice byli przyjemnie zrelaksowani. Wymiana podarunków, rytualne mowy, „nieoczekiwana” wizyta kapłana, który położył jej dłoń na dłoni Philipa i obwiązał je jedwabną chustą... Wszystko poszło gładko. Luci i Philip mieli kilka minut dla siebie w ogrodzie różanym; rodzice, stojąc w drzwiach, przyglądali się, jak narzeczony całuje ją z szacunkiem w czoło i szepcze jej imię.

Philip oczywiście odjechał wraz ze swoimi rodzicami. Od tej pory nie będą już mieli wspólnych chwil. Okres narzeczeństwa przebiegał na Altiplano według ściśle określonych zasad; było to szalenie denerwujące, ale prawdopodobnie celowe. Luci wzięła faszerowanego daktyla z tacy, którą śpiąca służąca odnosiła do kuchni, i poszła za ojcem do biblioteki. Byli tam już wuj i dziadek, siedzący wygodnie w fotelach przy kominku.

– Luci, powinnaś już być w łóżku.

– Papo, nie jestem śpiącą. – Ojciec uniósł brwi, ale nie ruszyła się. – Papo, dostałam dzisiaj kostkę z wiadomością od Esmay.

Wuj Casimir westchnął.

– Esmay... to kolejny problem. Bertholdzie, czy udało ci się coś załatwić z Gildią Ziemi?

– Nic. Vicario nie będzie się sprzeciwiał, ale tylko z powodu Luci, gdyż nie jest do końca przekonany. Wydaje mi się, że wyglądałoby to inaczej, gdyby nie odleciała stąd w tak młodym wieku. Tak naprawdę wcale jej nie pamiętają, i choć przyznali jej Order Gwiazdy i uważają ją za bohaterkę, nie chcą Oblubienicy – żadnej, a naszej w szczególności – związanej z jakąkolwiek rodziną spoza planety. Costa wprost mi powiedział, że nawet gdyby chciała tu zamieszkać razem ze swoim mężem, byłby przeciwny. Twierdzi, że „z gwiazd nigdy nie przyszło nic dobrego”.

– A głosowanie?

– Nie, jedynym sposobem na wyjście z tej sytuacji jest powrót Esmay i rozmowa z nimi.

– Lub rezygnacja.

– Lub rezygnacja, ale czy to zrobi?

– Wspomniała o tym w swojej kostce – odezwała się Luci.

– Co, o rezygnacji? Czemu?

– Jej ukochana Flota ma na nasz temat takie samo zdanie, jak Gildia Ziemi o niej. Mówi, że mają jakieś przepisy zabraniające oficerom ożenku z Oblubienicą Ziemi.

– A mają jakiś przepis zabraniający oficerom bycia Oblubienicą? – prychnął ojciec. – To niedorzeczne!

– Mówisz poważnie? – zapytał Casimir. – Mają coś konkretnie przeciwko Oblubienicom?

– Nie wiem – odpowiedziała Luci – ale tak właśnie powiedziała Esmay. I zaproponowała też, żebyśmy przyjęli do siebie te wszystkie kobiety zabrane z Nowego Teksasu; jest pewna, że dobrze się tu zaaklimatyzują.

Zapadła cisza, głęboka i długa.

– Co takiego?! – zapytał wreszcie Casimir. – Czy te kobiety nie są...

– Fanatyczkami religijnymi opowiadającymi się za swobodnym rodzeniem dzieci –

przyznała z satysfakcją Luci.

– Ale... przecież kapłani będą protestować – powiedział Berthol.

– Nie tak głośno jak Gildia. Dobry Boże, myślałem, że Esmay ma więcej rozumu!

– Jest zakochana – zauważyła wielkodusznie Luci. – Flota kazała Barinowi płacić za utrzymanie tych kobiet – przynajmniej częściowo – i Esmay próbuje mu pomóc.

– Naszym kosztem. – Casimir potrząsnął głową. – Cóż, to przesądza sprawę. Będzie musiała zrezygnować, jak tylko się z nią skontaktuję. Powiernicy z pewnością tego nie zatwierdzą, jeśli pozwolimy, by sprawa się wydała. – Rzucił Luci twarde spojrzenie. – Mam nadzieję, że nie powiedziałaś Philipowi.

– Oczywiście, że nie. – Spojrzała ostro na wuja. Esmay mogła stracić rozum, ale ona wie, czego wymaga honor rodziny.

– Mam nadzieję, Luci, że to ciebie wyznaczy na Oblubienicę Ziemi – stwierdził Casimir. – Nadajesz się do tego.

Luci poczuła nagły przyływ wątpliwości. Czy po tym wszystkim, co Esmay dla niej zrobiła, była wobec niej uczciwa? Jednak pod wątpliwościami szalała ta sama euforia, którą czuła, gdy Esmay dała jej klacz... „Moja, jest moja, zaopiekuję się nią, nikt jej nie skrzywdzi...”.

– Zastanawiam się, czy moglibyśmy wykupić połączenie ansiblowe – odezwał się Casimir.

– Chyba to nie jest aż tak pilne – odpowiedział Berthol.

– A jeśli po prostu spakuje i do nas wyśle? Lepiej uważać.

– Nie robi tego – oświadczyła Luci. – Jestem pewna, że nie. – Nie wiedziała, skąd się bierze jej przekonanie, ale czuła, że Esmay już sama doszła do wniosku, że to nie jest dobry pomysł, i następna przesyłka będzie zawierać przeprosiny.

– Mam nadzieję – stwierdził ojciec i ziewnął. – Idź do łóżka Luci! Jestem wykończony.

Luci pocałowała go w policzek i poszła do sypialni, pewna, że nie uśnie z powodu szalejących w niej emocji. Szybko się rozebrała, powiesiła ubranie i wsunęła się naga pod przykrycie, wciągając w płuca pachnące nocne powietrze. Miała nadzieję, że Esmay żywi prawdziwe uczucie do Barina... Jeśli jej biedna kuzynka nie może być Oblubienicą, zasługuje przynajmniej na wielką miłość.

OSK Shrike

Esmay weszła na mostek, gdzie zastała niezadowolonego kapitana Solisa. Co tym razem zrobiła lub czego nie dopilnowała?

– Boję się, że panią tracę – powiedział.

– Traci mnie pan?

– Nowe rozkazy. Przysyłają mi nowego pierwszego oficera, a panią znów przenoszą na okręt liniowy. Wiedziałem, że w końcu to zrobią. Chociaż zawsze możemy wykorzystać pani talenty w PIR, oni uważają, że je marnujemy.

Podał jej kostkę.

– Wszystko tam jest; wysadzimy panią na Topaz.

– Topaz... – Stacja cywilna.

– W trakcie przejścia na inny statek może pani wykorzystać kilka dni urlopu, poruczniku. Zakładając, że na coś się to pani przyda.

Barin. Jej serce mocno zabiło. Musi tylko wymyślić sposób...

– *Navarino* jest w Sektorze Sześć. Z tego, co słyszałem, *Gryfalcon* zostanie wysłany z patrolu na Castle Rock do Sektora Jeden. – Na twarzy Solisa nie pojawił się nawet cień uśmiechu, ale ona uśmiechnęła się za nich oboje. Znała przepisy. Wszystko, co teraz musi zrobić, to zjawić się na czas, a nikogo nie będzie interesować trasa, jaką pokona z Topaz do dowództwa Sektora Sześć. Istnieje przynajmniej szansa, że będzie mogła spotkać się z Barinem na jakiejś stacji pośredniej. Jeśli będzie w stanie wysłać mu wiadomość. I jeśli dostanie urlop.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Benignity Współczującej Dłoni Nuovo Venitza, Santa Luzia

Hostite Fieddi, Mistrz Miecza i dyrektor trupy, pokłonił się Przewodniczącemu, a potem obu stronom łoży, w której siedziały znaczące postacie polityki i przemysłu, a w końcu – czując na kręgosłupie zimny dreszcz – odwrócił się plecami do najniebezpieczniejszego człowieka w jego wszechświecie, by oddać hołd śmiertelnym przedstawicielom Świętości, jeszcze bardziej niebezpiecznej, ponieważ posiadającej władzę nad wszystkimi wszechświatami.

Pomyślał cierpko, że ten protokół został wymyślony przez diabła ku pogębieniu niewinnych serc.

Zagrzmiały trąby i kątem oka Hostite zauważył otwierające się niczym czarne paszcze bramy. W każdej z nich pojawiła się błyszcząca postać. Rozległ się niski werbel... i postacie ruszyły do przodu, a za nimi pojawiły się następne.

Teraz było ich już osiem, każda uosabiająca jedną z Postaw. Bębny przeszły w subtelny rytm; postacie szły krok za krokiem do przodu, w stronę czekającego Hostite'a. Cztery kobiety i czterech mężczyzn. Czworo – czyste złoto, miedź, bogaty brąz i mosiądz – należało do słońca.. Czworo – srebro, stal, ołów i platyna – należało do księżyca. A on, Cień Tańca, błyszczał w świetle obsydianem.

Taniec z szablami miał swoje korzenie w starożytności, powstał na długo przedtem, zanim pierwszy człowiek opuścił Ziemię. Niejedna używająca mieczy kultura miała swoje tańce z bronią i traktowała je jako trening. Podobnie wiele kultur urządzało przedstawienia, w których potężni i bogaci przyglądali się, jak ich słudzy tańczą i krwawią dla ich rozrywki. Niektórzy odczuwali to jako związek pożądania i ryzyka.

Jednak to dopiero Benignity utkała z tych starych wątków linię życia i śmierci. Hostite uśmiechnął się pod maską. Oto imperialny cyrk, święci wojownicy i tancerze... a on nimi rządzi.

Błyszczące postacie utworzyły wokół niego tak zwany krąg hiszpański, przybierając wyszukane pozy. Obrócił się wolno, odczuwając taką samą przyjemność jak Przewodniczący na widok tych błyszczących w ciemności doskonałych ciał. W przeciwieństwie do jego maski, ich maski były przezroczyste, wręcz niewidoczne. Ich twarze – dzięki biorzeźbieniu równie piękne jak ciała – wpatrywały się w niego beznamiętnie.

Na dzisiejszy wieczór Przewodniczący wybrał „Kadryl na wieczór nad morzem” Imetziny. Przewodniczący skinął głową i rozbrzmiała muzyka. Hostite wskazał na Cztery i Siedem – mosiądz i ołów – tak bowiem nakazywała tradycja. Rozpoczął się taniec.

Wdzięcznie, choć z surowością wymuszoną przez broń, Cztery i Siedem wkroczyli do środka kręgu. Na treningu byli nadzy, mieli tylko osłony na nadgarstki, łokcie i kolana, ale tutaj – w czasie oficjalnego przedstawienia – Cztery miała na piersiach małe medaliony z metalowych łańcuchów i krótką spódniczkę z kolczej plecionki, która wirowała przy każdym obrocie, a Siedem miał przepaskę biodrową z przymocowanym sznurkami sączkiem.

Wszystkie klingi zrobione były ze stali, lecz pokryto je barwami odpowiadającymi barwom tancerzy. Tylko ostrze Hostite'a było zrobione z obsydianu, kruchego, lecz ostrzejszego od stali.

Tradycyjny kadryl wymagał, by tancerze ustawili się naprzeciw siebie, najpierw parami, potem czwórkami. Hostite martwił się nieco o Cztery; był to jej pierwszy występ w Grande, i choć nie robiła błędów w czasie treningu, wiedział, że podniecenie związane z pierwszym występem może spowodować śmiertelną pomyłkę. Caris, która zazwyczaj tańczyła Cztery, uszkodziła sobie kolano w czasie lekcji dla młodszej klasy, gdy jakiś nieostrożny student – w tej chwili już były student – zostawił na podłodze bryłkę wosku.

Hostite pomyślał, że Pelinn powinna spędzić jeszcze pół roku w drugiej grupie, ale była bardzo utalentowana i całkowicie oddana sztuce, i miał nadzieję, że nie zostanie dzisiaj zbyt mocno okaleczona.

Muzyka przywiodła tańczących do siebie, ostrze naprzeciw ostrza, i zaraz potem ich rozdzieliła. Cztery poruszała się zgodnie z rytmem, i w miarę jak figury przechodziły jedna w drugą, włącznie z trudną zmianą ręki podczas piruetu, Hostite coraz bardziej się odprężał. Mimo że mosiądz i ołów tańczyły fałszywą sztukę, znacznie bardziej bezpieczną niż prawdziwa, mogły zostawić na swych ciałach trwałe znaki.

W ślad za Cztery i Siedem ruszyły Osiem i Dwa – platyna i miedź – genetyczne bliźniaczki, różniące się wyłącznie makijażem i kostiumem. Hostite uśmiechnął się z pobłażaniem. Były w tej chwili u szczytu swoich możliwości; po wielu latach wspólnego treningu bezbłędnie wirowały, skakały i wyprowadzały kopnięcia, pchnięcia i gwałtowne cięcia. Zdawało się, że muszą posiekać siebie nawzajem na kawałki... ale nigdy tego nie robiły.

Następnie pojawiły się brąz i stal – Trzy i Sześć – tym razem dwaj mężczyźni. Stalowy Sześć był o cztery centymetry wyższy od brązowego Trzy, ale Trzy, urodzony w rodzinie akrobatów, z łatwością mierzył się z nim w tańcu. Ich mięśnie napinały się jak postronki, ich broń głośno dźwięczała – i zawsze idealnie w rytmie muzyki.

Hostite zasygnalizował następnej parze – Jeden i Pięć – że zatańczą samotnie na sam koniec, ale teraz mają dołączyć do Cztery i Siedem. Złoto i mosiądz, ołów i srebro... Fałszywa sztuka i prawdziwy taniec... Dla wielu patronów była to najlepsza część tańca, przepojona symbolizmem. W finale Jeden i Pięć muszą zademonstrować Prawdę i jej wyższość nad Fałszem. Hostite znów zaczął się martwić o Cztery; musi pokazać, że jest gorsza, nie raniąc Pięć i zarazem nie pozwalając zbyt mocno siebie

skaleczyć.

Znów uspokoił go stały, równy rytm, w jakim się poruszała. Miała prawdziwie dramatyczny temperament; kiedy napała na nią prawdziwa sztuka, skrzywiła się i odchyliła, zdając się balansować na krawędzi upadku... a jednak nie wywróciła się. Kilka czerwonych kresiek na jej miedzianej skórze jedynie ją upiększało; nie były to poważne rany, które wpłynęłyby na jej zdolność wykonywania tańca.

Taniec trwał dalej i na miejsce tych par weszły dwie inne: Dwa i Osiem naprzeciwko Sześć i Trzy. Choć Hostite nie spodziewał się tutaj problemów, Sześć pośliznął się przy obrocie – może podłoga była w tym miejscu śliska od potu, a może się zdekoncentrował – i przesunął nogę w bok, a wtedy Dwa – byli w trakcie drugiej figury – rozciął ją od kolana aż do pośladka. Przez chwilę widać było kość, a potem zalała ją fontanna krwi z przeciętej tętnicy. Na widowni rozległo się coś w rodzaju jęku. Hostite wykonał gest w stronę swoich tancerzy. Trzy i Osiem odsunęły się na bok, nie gubiąc rytmu, a Dwa cofnął się i przyklęknął z wyciągniętą bronią. Hostite spojrział w stronę łoża Przewodniczącego. Jaka zapadnie decyzja?

Wyciągnięta ręka. Muzyka umilkła w pół tonu, tancerze znieruchomieli, nie zmieniając poz. Ciszę przerywał jedynie ciężki oddech Szóstki. Leżał tam, gdzie upadł, w powiększającej się kałuży krwi, starając się nie wydawać żadnych odgłosów. Hostite nie miał wątpliwości, że cios uczynił go kaleką. Może przeżyje, może nawet będzie chodził, ale już nigdy nie będzie tańczył.

– Stal – odezwał się Przewodniczący – dziękujemy za twoją służbę, która właśnie dobiegła końca.

Zanim ktokolwiek zdążył zareagować, Hostite wyciągnął obsydianowe ostrze i przeciął gardło Szóstki, a potem skłonił się przed łożem Przewodniczącego.

– Kontynuujcie – padła komenda. Hostite wrócił na swoje miejsce, a muzyka rozbrzmiała od tego momentu, w którym ją przerwano. Pozbawiony partnera Dwa wciąż klęczał. Trzy i Osiem tańczyły, starając się omijać Dwójkę i niebezpieczną kałużę krwi. Taniec wokół nieżyjącego był wyrazem szacunku dla jego honorowej śmierci.

Po chwili na znak Przewodniczącego taniec ponownie został przerwany. Teraz Hostite zamknął oczy trupa, po czym wykonał gesty i wypowiedział słowa, które miały wysłać duszę Szóstki w drogę. Nadeszli słudzy, położyli ciało na nosze i wynieśli je przy akompaniamencie werbli. Inni oczyścili i wysuszyli arenę.

Końcowe figury były najpiękniejszymi, jakie Hostite kiedykolwiek widział; połączenie srebra i złota, słońca i księżyca wkraczało w krainę ducha, gdzie ponad śmiercią i życiem płoną wieczne ognie.

Później, w Sali Tancerzy, wszyscy przyklękli, by uczcić pamięć stali, po czym każdy po kolei po nacięciu palca krawędzią ostrej klingi upuszczał na całun kilka kropli krwi. Pelinn była blada, ale nic dziwnego, to był jej pierwszy występ. Hostite objął ją i przytulał tak długo, aż przestała drżeć.

– Dobrze tańczyłaś – wyszeptał. – Bardzo dobrze.

Caskadar, rezydencja rodziny Terakian

Goonar Terakian i Basil Terakian-Junos byli wyjątkowo uzdolnionymi i dyskretnymi detektywami. Ich dochody pochodziły nie z ujawniania informacji, lecz z ich ukrywania. Nie potrzebowali szczególnie wiele czasu, by odkryć, że pijak, który zaczepił ich na stacji Zenebra, był członkiem Bogobojnej Milicji Nowego Teksasu, i że Nowi Teksaszczykowie (jak nazywali ich Terakianowie), w przeciwieństwie do Teksaszczyków z Konfederacji Samotnej Gwiazdy, będących przyzwoitymi, choć wrednymi w „prowadzeniu interesów” obywatelami, zaangażowani byli w terroryzm skierowany przeciwko Familiom Regnant.

Goonar i Basil zgłosili to swoim ojcom, jak tylko wrócili na pokład statków Terakianów, i rodzina zaczęła dyskretnie, z pewnej odległości, przyglądać się przygotowaniom Floty do akcji ratowania Brun Meager... i oczywistym dowodom zaburzeń umysłowych jej ojca.

Teraz Goonar i Basil spotkali się ponownie, tym razem w posiadłości rodzinnej na Caskadarze. Ich daleki kuzyn Kaim, aktualnie jedyny członek rodziny służący we Flocie, wziął sobie zaległy urlop i teraz siedział rozwalony na kanapie na szerokiej werandzie Nadmorskiej Bryzy, ponuro przyglądając się nieustannie padającemu deszczowi.

– Mój pierwszy urlop od czterech lat i oczywiście musi padać!

– Jest jesień – zauważył Goonar. – To właśnie pora deszczu.

– Nienawidzę planet – stwierdził Kaim. Goonar zerknął na Basila, który wzruszył ramionami. Wyglądał niemal równie ponuro jak Kaim.

– Sam wybrałaś porę – powiedział Goonar ostrzej niż zamierzał. – Wiesz, jak wygląda tutejszy klimat.

– Wiem znacznie więcej. – Kaim westchnął, przeciągnął się i spojrzał na pozostałą dwójkę. – Słuchajcie, co wiecie na temat nieudanych odmłodeń?

– Cóż... Leki wyprodukowane na Patchcock są niedobre. Z tego, co słyszałem, to skutek spisku Benignity; podobno w fabryce odkryto szpiega. O to ci chodzi?

Kaim machnął lekceważąco ręką, jakby spadek udziału w rynku oraz hańba i ruina finansowa Rodziny, która miała więcej niż dwanaście Foteli w Radzie, nic dla niego nie znaczyły.

– Ja mam dowody na to, że sam proces może być wadliwy. To jeszcze nic pewnego. Wciąż zrzucają winę na dostawę niewłaściwych leków, ale według moich źródeł część ludzi, którzy poddawali się wielokrotnym odmłodzeniom, zaczyna wykazywać objawy zaburzeń umysłowych. Na przykład lord Thornbuckle.

– Jakoś nie zauważyłem – stwierdził Basil. – To z powodu jego córki; w jego reakcji nie ma niczego nadzwyczajnego. – Jego własna córka, w tej chwili trzyletnia, zostawiła mu na piersi ślady dżemu. Goonarowi żal było jej przyszłych zalotników.

– Wiem, nie jestem ojcem – zgodził się Kaim – ale mimo wszystko ryzykować bezpieczeństwo całej Familii...

Goonar automatycznie wyciągnął rękę, by klepnąć Basila po ramieniu; jak zwykle musiał robić za mediatora.

– Rzecz w tym – powiedział – że partia złych leków to zupełnie co innego niż wady samego procesu. Kaim, czy przypadkiem nie odmładzano też części starszych oficerów Floty?

– Tak, ale tylko raz. Nikt z nich nie przeszedł wielokrotnego procesu, chyba że zrobił to prywatnie, a nie przez oddział medyczny. Z początku, ponad czterdzieści lat temu, kiedy mieli już dość doświadczeń na cywilach, brali samych ochotników. Dopiero dwadzieścia lat później stało się to normą dla admirałów. Potem, jakieś dziesięć lat temu, zaczęli odmładzać starszych podoficerów.

– I co, widziałeś ostatnio jakichś szalonych admirałów?

– Chociażby Lepescu – odpowiedział Kaim.

– On już taki się urodził – stwierdził Goonar. – Tacy ludzie istnieli na długo przed odmładzaniem.

– Wiem o tym. – Kaim poruszył się nerwowo. – Słuchajcie, to jest bardzo, bardzo tajne.

– No jasne – odpowiedział Basil, złożył palce w wyszukany sposób i splunął w lewo.

– Nie chodzi o admirałów. Nie widziałem żadnych szalonych admirałów, choć wcale niewielu ich widuję. Ale pojawiła się dyrektywa medyczna w sprawie starszych podoficerów. Każdy odmłodzony w ciągu ostatnich dziesięciu lat jest wzywany na badania. I mam informacje, że w ciągu ostatniego półrocza przynajmniej ośmiu starszych bosmanów w naszym sektorze dostało negatywne oceny.

– Wygląda mi to na partię wadliwych leków – stwierdził Goonar.

– Właśnie, jeśli odmłodzeni dawniej admirałowie nie powariowali, czemu uważasz, że jest inaczej? – zapytał Basil.

– Głównie z powodu lorda Thornbuckle’a – wyjaśnił Kaim. – Po prostu nie mogę sobie wyobrazić, by człowiek jego kalibru – przynajmniej teoretycznie – miał nas wpakować w wojnę tylko po to, by ocalić swoją głupią córkę.

Goonar znów sięgnął do ramienia Basila; tak jak się spodziewał, każdy jego mięsień był napięty.

– Zaufaj nam – powiedział łagodnie. – Ojcowie już tacy są.

– Ale to mogło być również celowe – zauważył Kaim. – Jeśli ktoś chciałby

zniszczyć Flotę, mógł sprawić, by starsi bosmani powariowali.

– A kto miałby to zrobić? Kto miałby dostęp do procesu odmładzania?

– Jeśli faktycznie jest to tak powszechne, wymagałoby to sabotażu w zaopatrzeniu albo gdzieś jeszcze wyżej. Kolejny zdrajca...

Goonar wzruszył ramionami. Kaim, tak samo jak jego ojciec, zawsze był wyznawcą teorii spiskowych.

– We wszystkich organizacjach są jacyś zdrajcy... – zauważył Goonar.

– Tak, ale... podoficerowie martwią się, że to od samego początku był spisek, po to, żeby ich nie odmładzać. Myślę, że to nieprawda. Admirałowie więcej kosztują, a mniej robią; wszyscy wiedzą, że starsi podoficerowie są cenniejsi, ale mimo to są przerażeni. A to z kolei cieszy naszych wrogów. Wcale bym się nie dziwił, gdyby to była sprawka Benignity. Dowództwo Floty martwi się zdrajcami w działalności operacyjnej, takimi jak Garrivay i Hearne, ale czemu Benignity nie miałyby zinfiltrować również zaopatrzenia?

– Może i tak. – Goonar był znacznie mniej zainteresowany tym, kto mógłby być agentem Benignity, niż sposobem zarobienia na tej informacji. – Czyli... albo okaże się, że to były złe leki i cena pozostałych akcji Morrellinów/Consellinów spadnie na łeb, a całe konsorcjum zbankrutuje, albo okaże się, że sam proces jest wadliwy i spadną ceny wszystkich produktów związanych z odmładzaniem?

– Ty draniu! – Kaim patrzył na niego z wściekłością. – Tylko zyski cię interesują? Czy nic dla ciebie nie znaczy, że jeśli ześwirują wszyscy starsi bosmani, nie mamy żadnych szans w przypadku następnej inwazji Benignity czy Nowego Teksasu?

– Nowoteksańczycy to amatorzy – rzucił lekko Goonar. – Ten głupi pijak...

– Sam powiedziałaś, że w każdej organizacji są zdrajcy, i w każdej są też durnie, którzy mogą się upić.

– Mimo wszystko – Basil powiedział to aksamitnym tonem, który zaalarmował Goonara – nie wydaje mi się, żeby ujawnianie waszych zdrajców – zakładając, że ich macie – było naszą powinnością. Z drugiej strony ciąży na nas odpowiedzialność za naszą rodzinę, która, płacąc podatki, płaci również twoją pensję, Kaim, więc nie powinieneś być tak przekonany o swojej wyższości moralnej.

Goonar rozłożył ręce.

– Przestańcie już. Nikt z nas nie chce stać się świadkiem upadku Familii i nikt z nas nie chce, by rodzina Terakian zbankrutowała. Jesteśmy jednej krwi. – Która, jeśli ci dwaj nie przestaną się kłócić, może niedługo rozlać się po podłodze.

– Tatusiu! – Do pokoju wpadła córka Basila, o dobre dziesięć stóp wyprzedzając matkę. – Znalazłam cię! – Basil podniósł ją, a dziewczynka uśmiechnęła się szeroko do pozostałych mężczyzn. – Pora na obiad! – oświadczyła.

– Brzmi nieźle – stwierdził Goonar i podniósł się z miejsca. – Choć do mnie,

małeńka, i pozwól ojcu wstać. – Dziecko przeskoczyło z kolan taty w ramiona Goonara i przytuliło się, zadowolone. – Nie zapomnij...

– Schylić głowy w drzwiach – dokończyła. W jadalni czekała jej matka.

– Przepraszam, Goonarze, ale Jon Lydii wrzucił coś do toalety w dziecięcej ubikacji i próbujemy to teraz przetkać. A Jessie w tym czasie nam uciekła.

– W dobrym momencie – odpowiedział półgłosem Goonar. Berish była niemal równie ładna jak mała Jessie, i przy takich okazjach zazdrościł Basilowi, przypominając sobie pierwsze lata małżeństwa, kiedy jego dzieci przypominały urocze grudki brązowego cukru, a żona niewyczerpaną jaskinię uroku. Czasem myślał o ponownym ożenku, ale ból po stracie Seli i dzieci wciąż był zbyt silny. Opuścił Jessie na ziemię i podszedł za resztą towarzystwa do wielkiego stołu.

Po obiedzie deszcz na chwilę ustał i Goonar pogonił mężczyzn na spacer wzdłuż wybrzeża, poza pomarańczowe kwadraty rybich zagród. Tam, zajęci patrzeniem pod nogi, na nierówne podłoże, i bryzę zmieniającą się chwilami w bardziej porywisty wiatr, Basil i Kaim byli mniej skłonni do kłótni. Kaim otworzył swój umysł niczym sieć rybacką, wysypując z niego różne informacje, w których Basil i Goonar mogli do woli przebierać. Pod wieczór, gdy wiatr przegonił chmury na południe, Kaim wyraźnie był zadowolony z pobytu na znienawidzonej dotąd planecie.

Goonar niczego nie pragnął bardziej niż wrócić na pokład statku rodziny Terakian, najlepiej któregoś z nowymi algorytmami deszyfrującymi, który mógłby przechwytywać transmisje finansowe z ansibli. Próbował spokojnie zająć się po kolacji grami słownymi, ale nie potrafił się skoncentrować. Po tym, jak Kaim trzeci raz przebił jego słowo dziesięciopunktowym bonusem, zrezygnował.

– Mam dość – oznajmił. – Idę do łóżka.

– Do łóżka? – zapytał Basil. – Nie jest jeszcze tak późno.

– Nie, ale jestem zmęczony. – Goonar ziewnął i ruszył po schodach do swojego pokoju w wieży. Był pewien, że Basil nie dopuści, by Kaim mu teraz przeszkadzał. Problem polegał jednak na tym, że żaden system zabezpieczeń nie chronił całkowicie jego komunikacji przed podsłuchem. Otworzył linię do kwatery rodziny na Caskadarze, poprosił o przesłanie raportów rynkowych z ostatnich dwóch tygodni i powiedział dyżurnemu operatorowi, że następnego dnia będzie miał coś do umieszczenia w kolejce do ansibla.

– Do południa, Sir – poinformował go operator. – Transmisja wychodzi o trzynastej, a musimy jeszcze zakodować wszystkie dane.

– Będę gotów na dziesiątą – obiecał Goonar.

Kiedy Basil przyszedł kilka godzin później, Goonar wciąż studiował otrzymane dane.

– Myślałem, że jesteś śpiący – stwierdził.

– Jestem. – Tym razem ziewnięcie nie było udawane. – Ale także się martwię. Coś

się dzieje z Consellinami. Spójrz na to...

– Nie teraz, rano. Musiałem spoić Kaima brandy, żeby zatrzymać go na dole, i jeśli teraz nie pójde spać, rano bardzo tego pożałuję.

– Będziesz żałował jeszcze bardziej, jeśli na to nie spojrzysz. Mówię poważnie, Bas. Coś się dzieje, i to coś poważnego. Popatrz na fluktuacje indeksu odmlodzeń.

– Chwieje się od czasu tamtej afery z Patchcock – stwierdził Basil. – Potrzeba było sześciu miesięcy, żeby w ogóle odbić się od dna, i wciąż wystarczy drobna plotka, żeby mocno nim zachwiać.

– Przestań gadać i spójrz. – Goonar postukał w wykres.

– Och. – Basil wciągnął powietrze, a potem z powrotem wydał wargi. – A co z czystym...

– Przebił sufit – odpowiedział Goonar, grzebiąc w pliku, by odnaleźć potrzebny wykres. – Masz. Nie mogę mieć pewności bez podpięcia się do jednej z grubszych linii, ale założę się, że to z fabryk Consellinów.

– A stracili udziały w rynku... Niech to szlag, kuzynie, żałuję, że nie mogę obejrzeć danych o zatrudnieniu.

– Czyli... powiemy...

– Ojcom – potwierdził Goonar. – I nic nie powiemy Kaimowi. Przygotowuję na jutro raport do ansibla.

– O której godzinie musi być gotowy? Potrzebujesz pomocy?

– Po prostu trzymaj Kaima z dala ode mnie.

* * *

Goonarem dowodził ojciec Basila, a nie jego – co było typowe dla organizacji rodziny Terakian – kiedy więc następna wiadomość przyszła od jego własnego ojca, był mocno zaskoczony.

– Goonarze, każ Basilowi zatrzymać Kaima na planecie jeszcze przez 48 godzin. Potem wsiądź na najbliższy prom na górę.

– Wola Boża – odpowiedział Goonar; był to rodzinny kod oznaczający „Co się dzieje?”.

– I łaska jego – rzekł ojciec i się rozłączył. A więc wsadził palec w oko lwa. Cóż, teraz musi tylko przekonać Basila, żeby uwieził Kaima i pozwolił mu odlecieć.

* * *

Lot promem na stację orbitalną zdawał się trwać wieczność, choć wiedział, że standardowy lot zajmuje tyle czasu. Po przylocie udał się wprost do biura Terakianów,

gdzie pracownicy kręcili się tak energicznie, jakby właśnie miał przybyć statek.

– Ktoś przylatuje?

– Właśnie dostaliśmy ansiblem wiadomość. W drodze jest *Flavor*, szybki przelot z czymś pilnym. Jeśli pan chce się zabrać, myślę, że będą mieli jakieś miejsce.

Favored-of-God, nazywany zazwyczaj *Flavorem*, był najszybszą jednostką kurierską Terakianów... i najlepszym statkiem zwiadowczym, naszpikowanym najnowocześniejszym sprzętem do skanowania, jaki można było zdobyć dzięki pieniądзом, wpływom i naciskom. – Jest – rzekł jeden z techników, wskazując na panel wyświetlacza. Jasna plamka na ekranie oznaczała, że statek wyszedł z punktu skokowego z maksymalną prędkością, a zmiana barwy oznaczała niebezpiecznie szybki lot.

A więc ojcowie nie mają nic przeciwko temu, by wszyscy dowiedzieli się, że mają jakąś pilną sprawę. Zazwyczaj statki Terakianów poruszały się z taką samą prędkością, jak wszystkie jednostki komercyjne, nie ujawniając pełni swoich możliwości, o ile nie znalazły się w kłopotach.

– Jaki jest szacunkowy czas przylotu? – zapytał Goonar.

– Przy tej prędkości? Poniżej dwudziestu godzin. Dwadzieścia godzin... Czemu więc ojciec kazał mu natychmiast odlecieć z planety?

Żeby zniknął, zanim na powierzchnię dotrze wiadomość o pojawieniu się *Flavor*. Żeby Kaim nie połączył ze sobą tych dwóch faktów? Żeby nie było żadnych transmisji na powierzchnię, które Kaim mógłby przechwycić?

Goonar westchnął. Choć stacja dysponowała bardzo wygodnymi pomieszczeniami mieszkalnymi, a on miał dość pieniędzy, by z nich skorzystać, wiedział – nawet bez pytania – że ojciec oczekuje od niego pozostania w biurze, w sypialni dla pracowników niższego szczebla, wyposażonej tylko w wąskie prycze.

– Gdyby ktoś mnie szukał, idę do Cętkowanej Owcy na obiad – oświadczył.

Niemal już skończył deser – figi w miodzie, faszerowane siekanymi orzechami bitsai – kiedy przyszło połączenie. Przesłany wiązką pakiet z *Flavora*.

Adhem, kierownik biura, rzucił mu spojrzenie, które Goonar bez problemów zinterpretował. Nie jest zbyt wysoko w hierarchii rodzinnej; jest po prostu jeszcze jednym z młodych ludzi wspinających się w górę... więc czemu nagle znajduje się w biurze dokładnie w chwili pojawienia się pędzącego *Flavora* i czemu to właśnie on odbiera tę przesyłkę, a nie ktoś starszy? Ale on szedł w górę między innymi dlatego, że miał dość rozumu, by nie przekazywać Adhemowi żadnych informacji.

* * *

Dowodząca *Flavorem* spotkała się z nim przy włączu i rzuciła mu się na szyję. Laisa, siostra Basila, była tak samo pełna niebezpiecznej energii, jak jej brat. I tak jak

Goonar podlegał swojemu wujowi, tak Laisa podlegała ojcu Goonara.

– Lecisz z nami – wyszeptała mu do ucha.

– To miłe – odpowiedział, odrywając się od niej. – Basil kazał przekazać ci pozdrowienia.

– Uzupełniamy tylko paliwo i odlatujemy – oświadczyła Laisa. Goonar kiwnął głową i przeszedł przez właz.

W ciągu następnych kilku godzin wprowadził ją w to, czego dowiedział się od Kaima i z bardziej dostępnych źródeł danych.

– A teraz ja ci powiem to, czego nie wiesz – rzekła Laisa, kiedy skończył. – Z *Elias Madero* porwana została nasza daleka krewna – młoda dziewczyna, Hazel Takeris. Jakies siedemdziesiąt lat temu chłopak Terakianów zakochał się w dziewczynie Chapapasów...

– Greczynka!

– Tak, z Delphi Duetti. Oczywiście nie podobało się to żadnej z rodzin, więc zmienili nazwisko na Takeris. Mieli mnóstwo dzieci, w tym sześciu chłopców, którzy nie poszli w ślady rodziców i stali się całkiem zwyczajnymi członkami załóg statków kupieckich, którzy żenili się w późnym wieku i mieli mało dzieci. Ta dziewczyna jest praprawnuczką Terakiana; jej ojciec był synem jego wnuka. Jego żona umarła młodo, pozostawiając go z córką. Został zabity przez Nowych Teksaszczyków, którzy porwali *Elias Madero* i schwytali dziewczynę.

Goonar słuchał, próbując odnaleźć jakiś związek z tym, czego dowiedział się od Kaima.

– Kiedy usłyszeliśmy o porwaniu, nie wiedzieliśmy tego wszystkiego. Oryginalnego nazwiska nie było już w księgach. Potem ciotka Herdiona zobaczyła raport w wiadomościach i pomyślała, że przekręcili nazwisko Terakian. Znasz ją, dorwała się do telefonu i tak ich męczyła, że podali jej wszystkie informacje, jakie mieli, żeby tylko się odczepiła. Krótco po akcji ratunkowej, kiedy reporterzy donieśli o tym, że dziewczyna przeżyła, ciotka wparowała na spotkanie rodzinne Takerisów dotyczące przyszłości dziewczyny. Była gotowa ją zaadoptować. Krewni nie byli zbyt zadowoleni, ale ponieważ nie są bogaci, jej oferta opłacenia edukacji Hazel przypieczętowała umowę.

– No dobrze, ale co to ma wspólnego z lekami do odmładzania i związaną z tym psychozą?

– Niewiele, ale musisz o tym wiedzieć, żeby zrozumieć niektóre ostatnie decyzje Rady Rodziny, które będą miały wpływ na wszystko, poczynając od zawieranych przez nas kontraktów, na kryteriach doboru załogi kończąc. Rada Rodziny nie przejęła się twoim raportem z Zenebry na temat tamtejszych sabotażystów z Nowego Teksasu, ale teraz uważają, że Nowy Teksas może stanowić poważne zagrożenie dla naszej firmy przewozowej, bo zbyt niefrasobliwie potraktowaliśmy nabór pracowników. No i

ponieważ ty i Basil złapaliście tego agenta na Zenebrze. Martwią się też obecnością szpiegów wśród pracowników agencji. Są przekonani, że piraci wiedzieli o tym, że *Elias Madero* zboczył ze zgłoszonej trasy.

Goonar parsknął.

– Powiedziałbym, że połowa kupców operujących w tym rejonie wie o tym skrócie.

– Już nie. Przynajmniej nie statki Terakianów. Nie wolno nam używać żadnych innych tras oprócz zielonych.

– To ograniczy nasze możliwości wysyłania szybkich przesyłek kurierskich.

– Tak, ale za to nie staniemy się celem ataku piratów. A przynajmniej nie tego rodzaju piratów.

– No dobrze, a co z tą sprawą odmładzania? Wciąż uważam, że powinniśmy ściągnąć trochę danych z ansibli finansowych...

– Zrobiliśmy to, ale rozumiem, co to wszystko znaczy. – Laisa podała mu kilka kostek. – Ta jest z *Benedictusa*, a ta z *Caskadara* sprzed trzech tygodni. Ściągniemy więcej, gdy wylecimy stąd.

– Dokąd lecimy?

– Gdzie zechce Bóg i ojcowie. Jeszcze mi tego nie powiedziano.

Goonar zajął się analizą danych. O ile cena środków do odmładzania skakała w górę i w dół wraz z pojawieniem się każdej plotki o zanieczyszczeniu leków lub niedoborach rynkowych, o tyle ceny surowców rosły – początkowo powoli – od czasu afery *Patchcock*. Ktoś kupował te rzeczy, i to w dużych ilościach. Produkcja środków do odmładzania bazowała częściowo na tych samych surowcach, co inne środki farmaceutyczne, ale niektóre były typowe jedynie dla tego procesu. Ceny rosły równomiernie, czyli... ktoś kupował i prawdopodobnie zużywał surowce do produkcji gotowych leków, na które miał – lub spodziewał się mieć – zbyt.

Kiedy zrobił sobie przerwę na posiłek i chwilę snu, obudził go telefon Laisy.

– Mamy nowe rozkazy.

Przetarł oczy i jęknął.

– A cel, o piękności?

– *Marfalk*.

Marfalk. Poza nazwą był to mało mu znany świat.

– Jak długo?

– Około ośmiu dni.

– Idę spać.

Ale nie usnął; nowe dane nie pozwoliły mu na to. W końcu sturlał się z koi, mrużąc pod nosem przekleństwa w czterech językach, i wczytał dane do konsoli.

– Nie powiedziałaś mi, że przechwyciliśmy notatkę – powiedział do Laisy przez komunikator.

– Byłeś śpiący – odpowiedziała.

– Już nie. – Wiadomość była zaszyfrowana, ale systemy *Flavora* zaprojektowano z myślą o łamaniu standardowych szyfrów handlowych. Pod pierwszym poziomem szyfru krył się drugi, jak zwykle prostszy. Deszyfrator szybko sobie z nim poradził i w końcu Goonar dostał kod. Patrzył na niego i pozwalał myślom swobodnie płynąć. Do kogo należy ten kod? Wydawał się znajomy... Wreszcie sobie skojarzył. Starszy odłam rodziny Consellinów. Ostro wciągnął powietrze. – Laisa, czy mamy chip kodowy starszej gałęzi Consellinów?

– Nie na pokładzie. Myślisz, że to ich kod?

– Na to wygląda. Możemy zacząć to puszczać przez inne chipy, ale założę się, że to ten. – Miał wrażenie, że notatka Consellinów da się odczytać, ale wiedział, że to może być złudzenie. Nic nigdy nie jest takie proste. Ale potem nagle pojawił się wzór, tak wyraźny, jakby ktoś podkreślił słowa na czerwono.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Castle Rock

Brun zadzwoniła do rezydencji Mahoneyów; telefon odebrał George.

– George, tu Brun.

– Och, jeśli chcesz rozmawiać z moim ojcem, to on wciąż...

– Nie, wiem o tym. Szukałam ciebie.

– Brun, przepraszam, że nie przyszedłem się z tobą zobaczyć po tym, jak twój ojciec... To znaczy byłem tak zajęty tatą w szpitalu...

– Wiem, George, i nie jest mi przykro. Chciałam tylko z tobą porozmawiać.

– Hmm... Muszę ci powiedzieć, że spotykam się z twoją kuzynką. – Proszę, oto George sprawiający wrażenie zakłopotanego. I co to ma wspólnego z ranami jego ojca, zamordowaniem jej taty czy sytuacją polityczną?

– Poważnie?

– Na to wygląda. Oboje studiujemy prawo.

– Którą kuzynką? – Brun poczuła nagle zimne ukłucie strachu, że to właśnie jest źródło przecieku informacji dla Harlisa.

– Nie Harlisa, Jessaminy.

Córka siostry jej matki. Ta, którą tak zignorowała, kiedy dziewczyna pierwszy raz przyjechała na Sirialis na polowanie.

– Sydney?

George roześmiał się.

– Nie, to jej starsza siostra, Veronica. O co chodzi, Brun?

– Oczywiście o informacje. Gdzie są wszyscy z naszej grupy i co się dzieje? Odkąd wróciłam... wszystko działo się tak szybko, a ty jesteś jedynym, którego mogę zapytać, nie dostając w odpowiedzi całego wykładu.

– Ronnie i Raffa polecieli tworzyć kolonię. Wiedziałaś o tym, prawda?

– Tak, choć nadal uważam, że oszaleli. Wiesz, gdzie to jest?

– To jakaś ponura planeta na obrzeżach; mogę sprawdzić, jeśli chcesz. Wysłałam im listy przez Biuro Rozwoju, a raczej robiłem to na początku, ale nie odpowiadali. Co do studiów prawniczych...

– Nieważne, George. Mam nadzieję, że twój tata szybko wydobrzeje.

– On wcale nie przypomina siebie, Brun. Pamiętam, jak wydostawałaś lady Cecelię... Nigdy nie zdawałem sobie sprawy, jak to jest, kiedy ktoś, kogo znasz, nawet cię nie poznaje. I nie może mówić; wydaje tylko jakieś dźwięki.

Nie mogła o tym myśleć, jeśli chciała zachować zdrowy rozsądek.

– George, przykro mi. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, jeszcze zadzwonię. Powinniśmy pozostawać w kontakcie.

– Dobrze. – Sprawiał wrażenie zmęczonego, zmartwionego i w ogóle żalnego. Brun przez chwilę poczuła wyrzuty sumienia, ale przecież musi się dowiedzieć, co się dzieje w polityce. Wciąż nie spodziewała się, żeby na spotkaniu Wielkiej Rady miało się cokolwiek zdarzyć, ale zawsze lepiej być przygotowanym. Sprawdziła pozostawioną jej przez mamę listę, krzywiąc się, gdyż wiele osób z tej listy było nieobecnych. Najwyraźniej uważali, że nic się nie wydarzy, i nie zawracali sobie głowy pozostaniem na Castle Rock, by się o tym przekonać.

* * *

Brun wsunęła do czytnika swoją kartę, odblokowując wyświetlacze i konsole komunikacyjne, po czym usiadła na swoim miejscu. Oprócz formalnej prezentacji, gdy stała się wystarczająco dorosła, by objąć Fotel, nigdy nie była obecna na żadnych zebraniach i nigdy nie sądziła, że kiedykolwiek weźmie udział w rutynowym spotkaniu Rady.

Siedzący na drugim końcu rodzinnego stołu wuj Harlis przyglądał się jej ponuro, po czym pochylił się i zaczął rozmawiać z kuzynem Kellem. Cóż, i tak wie, że nie może liczyć na żadną pomoc z jego strony. Uśmiechnęła się lekko.

Wkroczyli ministrowie, tym razem nie w oficjalnych togach, które pamiętała. Ciekawe, kiedy przestali je nosić? Czy to jej ojciec z tym skończył?

Na podium Mówcy stanął Hobart Conselline. Brun zamrużyła, zaskoczona. Rodzina Conselline wiele straciła na skutek skandalu z Patchcock. I choć nikt nie był w stanie dowieść, że Consellinowie o wszystkim wiedzieli, inne Famille skorzystały z okazji, aby wyrwać największemu i najbogatszemu z klanów udziały w rynku. Kiedy odzyskali swoje wpływy? I co to znaczy? Przebiegła wzrokiem protokół z zebrania zwołanego pospiesznie po śmierci jej ojca.

Gdy ustawiła ekran tak, by widzieć wszystkie twarze, zauważyła coś dziwnego. Twarze ministrów siedzących po prawej stronie Mówcy wyrażały tłumioną radość zmieszaną z niecierpliwością czy nawet gniewem. Twarze po jego lewej stronie zdawały się pozbawione życia.

Co się tu dzieje? Rozejrzała się za kimś znajomym, kto mógłby udzielić jej jakichś informacji, ale zbyt długo jej tu nie było i wszyscy siedzieli nie tam, gdzie się ich spodziewała. Wywołała schemat przydziału miejsc. Starsza siostra Sary, Linnet, siedziała o jeden rząd w bok i cztery miejsca wyżej. Brun wprowadziła kod wywoławczy i własne imię. Ekran rozjarzył się i pojawiły się na nim litery. „Dobrze, że wróciłaś, Brun”.

„Dzięki”, wpisała, a potem zerknęła na Linnet, która uśmiechnęła się i kiwnęła jej głową. „Masz jakieś pojęcie, co się tutaj dzisiaj dzieje?”.

„Tak, ale nie napiszę tego na ekranie. Porozmawiamy w czasie przerwy”.

Znów się obejrzała. Linnet kiwnęła głową, tym razem bez uśmiechu. Cóż, będzie musiała sama to rozgryźć. Ponownie zajrzała do bazy danych. Najpierw ci niezadowoleni ministrowie... Zostali wyznaczeni przez jej ojca, co uświadomiła sobie, sprawdzając daty, i najdłużej zajmowali swoje stanowiska. Sprawy zagraniczne – Cabby DeLancre. Pomniejsza rodzina, ale dobry, przyzwoity człowiek, którego jej ojciec szanował. Obrona – Irion Solinari. Kolejna pomniejsza rodzina; tata od dawna uważał, że mniejsze rodziny także powinny dostawać ważniejsze stanowiska. Minister administracji – Emilia Sante-Foin, nadzorująca pracę urzędników.

Wszyscy zadowoleni byli nowymi ministrami. Jej ojciec powołał jednego z nich – Elory Sa-Consell, ministra prawa – na zebraniu Rady tuż przed swoją śmiercią. Wprawdzie to Conselline, ale zarekomendowana przez Kevila; znalazła to w dokumentach ojca. Pozostali objęli stanowiska w czasie nadzwyczajnej sesji po śmierci taty. Nowy minister bezpieczeństwa wewnętrznego – Bristar Anston Conselline – zajął miejsce Pauli de Marktos, która jakoby zawiodła i której oferta rezygnacji została błyskawicznie przyjęta. Nowym doradcą prawnym, na miejsce Kevila Mahoneya, została Sera Vesell, z domu Conselline, co ujawnił rzut oka na jej dane biograficzne. Sprawy sądowe – zamiast Clari Withlow, która objęła to stanowisko jeszcze przed abdykacją Kemtre’a – trafiły w ręce Noruma Radsina, o którym nawet Brun słyszała jako o bardzo kłopotliwym prawniku. Kolonizacja – Davor Vraimont.

A więc... to wygląda na przewrót Consellinów. W takim razie dlaczego jej wuj jest taki spokojny? Nie wie o tym czy może wiedział już wcześniej?

Emocje zaczęły się jeszcze przed zebraniem, kiedy wstał Kemtre Altmann, były król. Najwyraźniej znów się odmłodził. Twarz miał gładką i tryskał zdrowiem; zostawił sobie we włosach tylko jedno ozdobne pasmo siwizny. W jego postawie wciąż było coś, co przypominało czujnego orła. Na sali rozległy się szepty, które jednak szybko umilkły.

– Oddaję głos naszemu ukochanemu byłemu królowi – rzekł Hobart Conselline głosem, z którego aż kapła wazelina.

– Dziękuję – odpowiedział Kemtre. – Chciałem tylko prosić was wszystkich, byście, myśląc o czekających nas problemach, pamiętali, by na pierwszym miejscu stawiać dobro państwa – Familii. Ostatnio pojawiło się między nami wiele tarć, niezadowolenia i konfliktów...

Tak? Brun nie słyszała o niczym takim od ojca, ale może ukrywał to przed nią.

– Musimy mieć na uwadze dobro całych Familii Regnant – mówił dalej Kemtre. – Wobec grożącej państwu destabilizacji nie wolno nam popaść w wewnętrzne spory. Dobrobyt nas wszystkich jest znacznie ważniejszy od osobistych uraz.

Gdzieś z tyłu sali rozległy się gniewne okrzyki, a po chwili jakiś mężczyzna wstał z miejsca i krzyknął:

– Ty się nie odzywaj, Viktor!

Brun sięgnęła do konsoli bazy danych, próbując sprawdzić, kim są ci ludzie; w tym czasie Kemtre uklonił się i wrócił na swoje miejsce. Towarzyszyła mu burza oklasków, choć w niektórych miejscach sali wyraźnie słabszych. Viktor to musiał być Viktor Barraclough, daleki krewny, najstarszy ze starszej gałęzi klanu, choć nie został wybrany na głowę Rodziny. Ten drugi człowiek – znów spojrzała na schemat miejsc – to Alfred Sebastian Morelline-Contin.

Instynkt polityczny, o którego istnieniu dotąd nie miała pojęcia, podpowiedział jej, że to wszystko było zaaranżowane. Hobart Conselline przygotował przewrót, a Kemtre zaapelował o jedność, bo wiedział, że jej nie ma. A jej wuj Harlis nie był zaskoczony czy niezadowolony, tak jak powinien, gdy rywalizująca Familia przejmuje władzę, a to znaczy, że wiedział o tym już wcześniej. Został kupiony; sądziła, że nawet zna cenę.

Sprawy dotyczące dziedziczenia prowadzone były w Sądzie Spadkowym, a minister sądownictwa miał prawo wyznaczać sędziów tego sądu. Nowy minister na pewno obiecał Harlisowi korzystny wyrok.

Wzrok Brun na chwilę przesłoniła wściekłość, gdy Hobart wstał i zaczął mówić... coś o smutnej okazji i potrzebie określenia wyraźnego kierunku. Głos Hobarta miał nieprzyjemne brzmienie, a mówił tak monotennie, że trudno było wyłapać sens. Brun przez cały czas uważnie obserwowała emocje widoczne na twarzach ministrów. Jeszcze nigdy tak bardzo nie brakowało jej Kevila. On wiedziałby, czemu Emilie Sante-Foin ma kamienną twarz, a Davor Yraimont uśmiecha się pod nosem. Kilkoma wypowiedzianymi cichym głosem zdaniem wyjaśniłby jej związek między należącym do Vraimonta Industrial Arts a korzyściami wynikającymi z piastowania stanowiska ministra do spraw kolonii.

W przejściu między stołami pojawił się Buttons. Harlis rzucił mu ponure spojrzenie, na które młodzieniec odpowiedział ukłonem. Potem uśmiechnął się z rezygnacją do Brun; sprawiał wrażenie, że jest zbyt zmęczony, by walczyć.

– Przepraszam, zatrzymały mnie interesy – wyszeptał.

– To nie twoja wina – odpowiedziała Brun. – Ktoś musi tego wszystkiego pilnować. Cieszę się, że ty to robisz.

Wyglądał na zaskoczonego jej słowami. Czego się po niej spodziewał? Reprimendy za spóźnienie?

– Co to za szept? – odezwał się surowo Harlis. – Już czas rozpoczynać. – Spojrzenie, które rzucił Brun, nie miało w sobie nic z sympatii, którą okazywał jej, gdy była młodsza. Wątpiła, by mogła przeciągnąć go teraz do swojego obozu. Za to jego syn Kell patrzył na nią pożądliwie; jego wykrzywiona twarz jasno zdradzała, o czym myśli.

– Wymienialiśmy z bratem pozdrowienia – odpowiedziała Brun. – Masz coś

przeciwno temu?

Buttons położył dłoń na jej ręce, ale zignorowała to.

– Cóż, powinien zjawić się wcześniej – stwierdził Harlis.

– Ty wcale nie przyszedłeś – odpowiedziała Brun.

– Byłem na pogrzebie! – niemal wykrzyknął Harlis. Kilka głów obróciło się w jego stronę, a Hobart Conselline urwał przemowę i spojrzał gniewnie.

– Nie mówiłam o pogrzebie. Wcześniej, kiedy wróciłam do domu.

– Nie było takiej potrzeby – wymamrotał Harlis, czerwieniąc się.

Brun patrzyła na niego bez słowa tak długo, aż na podium stuknął młotek i dzwonek obwieścił koniec wstępnej mowy.

– Pierwszym punktem obrad – oznajmił Hobart – jest głosowanie nad proponowanymi zmianami w przepisach korporacyjnych.

– Sprzeciw! – krzyknął znów Viktor Barraclough. – Propozycje nie zostały wysłane do wszystkich członków Rady z należyтым wyprzedzeniem!

– Nie ma pan teraz głosu – stwierdził Hobart. Brun słyszała triumf w jego głosie. – Zresztą zmiany nie są niczym nowym, przedstawiałem je na ostatniej sesji...

– I w głosowaniu zostały odrzucone – przerwał mu Viktor.

– Nie ma pan teraz głosu – powtórzył Hobart. – Jeśli jeszcze raz pan mi przerwie, będę musiał pana wyrzucić. Proszę usiąść. Jeśli ma pan coś do powiedzenia, proszę to zrobić w czasie przeznaczonym na dyskusję.

Brun poczuła, jak napinają się jej mięśnie, i głęboko odetchnęła. Nigdy nie widziała czegoś takiego na zebraniu Wielkiej Rady. Sądząc po zdziwionych twarzach wokół niej, nie tylko ona jedna.

– Pełny tekst dostępny jest pod numerem 34-888-16 – kontynuował Hobart. – Uwagi pod 35-888-29. Proszę je śledzić w miarę, jak będę je omawiał.

Zupełnie jakby byli małymi dziećmi, a Hobart Conselline ich nauczycielem. Brun wywołała oba pliki i zaczęła je czytać z rosnącym przerażeniem. Propozycja ograniczenia prawa głosu do osób aktualnie zasiadających w Radzie; ich potomkowie zajmowałiby zwalniane miejsca w ścisłym porządku starszeństwa. Propozycja podjęcia „stosownych kroków” w odpowiedzi na zagrożenie ze strony Aegistów... Jakie zagrożenie? Propozycja powołania dwóch specjalnych komisji: do zbadania wpływów Aegistów w Zawodowej Służbie Kosmicznej oraz zajęcia się niewłaściwym wykorzystywaniem zasobów Służby Kosmicznej do prywatnych celów. Brun uświadomiła sobie, że było to wymierzone w akcję jej ratowania. Propozycja ograniczenia dostępu prasy do zapisów posiedzeń Wielkiej Rady... oraz ograniczenia kworum potrzebnego do głosowania nad przepisami korporacyjnymi.

Każda z tych propozycji była już zgłaszana – odnośniki umożliwiały sprawdzenie, kiedy i przez kogo – i odrzucana. Ale wtedy przewidziano czas na dyskusję z ludźmi

takimi jak jej ojciec i Kevil Mahoney, którzy mogli wyjaśnić, czemu proponowane działania nie leżą w interesie Familii jako całości. Teraz przypomniała sobie, że kiedy obejmowała Fotel, Hobart Conselline zaproponował ograniczenie prawa głosowania. Powiedział, że Wielka Rada straciła autorytet, gdyż osoby zasiadające w Fotelach uważają, że aby znaleźć się w Wielkiej Radzie, wystarczy urodzić się w odpowiedniej rodzinie.

Wysłała pytanie do Buttonsa: „On zawsze taki był?”.

„Od kiedy biorę udział w posiedzeniach”, odpowiedział Buttons.

Brun z powrotem skupiła się na słowach Hobarta.

– Choć nikt nikomu nie życzy tego rodzaju zamachów, może dobrze się stało, że lord Thornbuckle nie może stanąć przed nami, by wytłumaczyć się ze swoich działań.

Brun zeszywniała i spojrzała na Buttonsa. Wyraz jego twarzy nie uległ zmianie, ale tak mocno nacisnął stylus, że na marginesie zapaliło się czerwone światełko.

– Bardzo mi przykro – kontynuował Hobart – jeśli to zaboli jego córkę, która skorzystała z okazji, by zająć miejsce między nami... – Najwyraźniej chciał dać jej do zrozumienia, że jej zachowanie było przejawem najgorszego smaku. – Ale prywatne odczucia muszą w tym przypadku ustąpić przed dobrem publicznym. – Spojrzał na nią z taką miną, że miała ochotę natychmiast umyć twarz. Spodziewała się, że sala stanie w jej obronie, ale nikt się nie poruszył ani nie odezwał. Hobart sztywno uśmiechnął się do niej i lekko skinął głową, po czym wrócił do przemowy.

– Ponieważ lord Thornbuckle nie żyje i nie może odpowiedzieć, niektórzy mogą uznać za niepotrzebne szczegółowe wyliczanie oskarżeń pod jego adresem. Wierzę jednak w sens pełnej jawności. Zaproponowane przeze mnie zmiany przepisów nie są trywialne, i musicie wiedzieć, czemu proponuję coś tak drastycznego. Problem w tym, że Familie Regnant toczy choroba, wręcz śmiertelna choroba, i jeśli nie podejmiemy szybkich działań, pacjent może umrzeć. Obawiam się, że bez naszej interwencji umrze.

Buttons wymamrotał coś, czego Brun nie dosłyszała. Z zaciśniętymi ustami wyglądał przez chwilę dokładnie tak jak ojciec, gdy był wściekły.

Na panelu błysnęło światełko; ktoś prosił o głos. Hobart pokręcił głową.

– Nie ma teraz czasu na dyskusje, musimy to załatwić, żebyśmy mogli iść dalej.

– Zawsze był czas na dyskusje! – krzyknął głośno ktoś siedzący kilka rzędów wyżej. Brun sprawdziła na panelu. To mniejsza gałąź klanu Dakkersów, w rodzinnej bazie danych oznaczona turkusowym kodem.

– W tym problem, że wszystko, co robimy, to gadanie! – krzyknął ktoś inny. To Conselline, pomniejsza gałąź, kuzyn Hobarta trzeciego stopnia.

Rozległy się kolejne głosy i na panelu błysnęły następne światła. Hobart zaczął walić młotkiem w blat i w końcu głosy ucichły. Rozglądając się, Brun zobaczyła wszędzie zaczerwienione twarze, patrzące na siebie nawzajem z gniewem.

Jak to się stało, że Hobart Conselline został wybrany Mówcą? Brun zaczęła pospiesznie grzebać w bazie, próbując zrozumieć kryjące się za tym machinacje. To było na trzecim nadzwyczajnym posiedzeniu, zwołanym w parę godzin po morderstwie. Nadzwyczajne zebrania nie wymagały kworum... czyli odpowiedzialni za wybór byli tylko obecni osobiście lub ci, z którymi można było niezwłocznie porozumieć się za pomocą ansibla. Głosowało tylko 23,2 procenta Wielkiej Rady. Oczywiście nie było nikogo z rodziny lorda Thornbuckle'a, podobnie jak większości jego przyjaciół. Hobart Conselline dostał większość głosów, ale stanowiło to zaledwie 15,8 procenta całości. A zachowywał się tak, jakby dysponował zdecydowaną większością głosów Rady.

„Patrz na to, co jest oczywiste”, uczył Brun jeden z jej instruktorów. „Kto na tym zyskuje?”. Oczywiście Consellinowie, ale jak? I tak są już niemożliwie bogaci – tak samo lub nawet bardziej niż klan Barracloughów – więc po co im władza? Czego jeszcze chcą?

– Będziemy teraz głosować – oznajmił Hobart – żebyśmy mieli to za sobą i mogli przejść do ważnych spraw zagranicznych.

W całej sali rozbrzmiały dzwonki ostrzegawcze i na ekranie Brun pojawiły się propozycje. Czy Hobart naprawdę to wszystko przeczytał? Usiłowała przebić się przez zawłóści prawne, próbując zrozumieć, co naprawdę oznaczają. Część propozycji nie wyglądała źle; przedstawiona argumentacja miała dość rozsądne brzmienie. Zagryzła wargę, próbując odszukać ukryte znaczenia.

Najbezpieczniej będzie głosować przeciwko wszystkiemu, tak na wszelki wypadek. Wprowadziła swoje głosy i oparła się wygodnie, przyglądając się pozostałym. Kell z wysuniętym czubkiem języka wolno odznaczał swoje głosy. Harlis już skończył. A Hobart Conselline... Hobart przyglądał się jej.

Czas dłużył się niemożliwie. Większość podjęła decyzję już wcześniej, ale kilka szczerych dusz pochylało się nad swoimi ekranami, starannie sprawdzając każde słowo każdej kolejnej propozycji i porównując je z innymi tekstami.

Wynik głosowania nie był zaskakujący. Zmiany przepisów zostały zatwierdzone, a w następnym głosowaniu wybrano Hobarta Conselline'a na Mówcę na pełną kadencję. Potem nastąpiły przemowy. Mówcy reprezentujący obie strony coraz wyraźniejszego podziału wręcz dławili się gniewem. Brun milczała, uważnie przyglądając się i robiąc notatki. Zauważyła, że Buttons robi to samo.

Po zakończeniu zebrania wrócili tym samym pojazdem do Appledale, rozmawiając po drodze wyłącznie o rzeczach, które widzieli przez okna. Dopiero po kolacji zajęli się interesami i starszy brat Brun wreszcie potraktował ją jak równą sobie.

– Muszę przyznać, że zaimponowało mi twoje dzisiejsze zachowanie.

– Niczego nie zrobiłam.

– Nie dąsałaś się, nie wściekałaś ani nie flirtowałaś. Siedziałaś i z uwagą słuchałaś. Wyglądałaś inteligentnie i zarazem groźnie.

– Groźnie?

– Widziałaś, jak nasz nowy Mówca przyglądał ci się w trakcie głosowania?

– Tak, wszystko mnie od tego swędziało.

– I powinno. Brun, ten człowiek jest dziwny. No cóż, z tego, co słyszałem, matka odleciała na Sirialis. Zostajesz tutaj?

– Na razie tak. Planowałam, że będę na miejscu, by zajmować się Wielką Radą, chyba że ty chcesz się tym zająć.

– Jesteś pewna? Bo jeśli możesz mieć oko na Radę, ja mógłbym zająć się tym, co nasz drogi wuj zrobił z różnymi rodzinnymi firmami. Nie jest to łatwe bez Kevila...

– Przepraszam – powiedziała Brun.

Przyglądał się jej przez dłuższą chwilę; wiedziała, że zrozumiał, co miała na myśli. Przepraszała za to, że z jej powodu Rodzina tak wiele straciła i zabito ich ojca.

– Nie przepraszaj za bycie sobą – odpowiedział w końcu Buttons. – I nie przepraszaj za swój powrót; bez ciebie byłoby jeszcze gorzej.

– Nie bardzo widzę jak – stwierdziła Brun.

– Przychodzi mi do głowy z tuzin pomysłów. I tobie też przyjdzie, jeśli zechcesz się wysilić. Ale teraz to nie jest istotne. Atakują nas na wszystkich frontach... A tak przy okazji, co zrobiłaś z dziećmi? Nie chciałbym, żeby zostały wykorzystane przeciwko nam.

– Zabrała je Cecelia de Marktos. Można na niej polegać.

– Cóż, miejmy nadzieję, że nie umieści ich w stajni i nie spróbuje zamienić w konie wyścigowe – zauważył z uśmiechem Buttons; był to pierwszy uśmiech, jaki zobaczyła tego dnia na jego twarzy.

Brun roześmiała się.

– Nie sądzę, żeby zatrzymała je u siebie.

– Dobrze. Jak długo nie będą sprawiać kłopotów...

– Nie będą przynajmniej przez jakieś dziesięć czy dwanaście lat. Nie chcę myśleć o tym, co będzie, gdy staną się nastolatkami.

– Jeśli za dziesięć lat będziemy jeszcze mieli Familie Regnant, wtedy będziemy się martwić. – Brun zerknęła na brata. Spoważniał i wyglądał teraz na więcej lat niż faktycznie miał.

– Buttons, zgadzasz się z Hobartem?

– Że Familiom grozi niebezpieczeństwo? Tak. Ale nie zgadzam się, że z powodu nieudolnego przywództwa w przeszłości. To jego polityka najbardziej nam zagraża. Ta sprawa z ograniczeniem prawa głosu... Jeden ze sposobów rozładowywania napięcia między Familiami polega na tym, że mali mogą zyskać więcej władzy przez zajęcie większej liczby Foteli. Tata mówił, że przepływ władzy między poszczególnymi klanami jest ważnym czynnikiem stabilizującym Familie. Dlatego właśnie pierwotnie

wprowadzono instytucję króla.

– Czemu Hobart tego nie rozumie? – zapytała Brun.

– Nie wiem. Kiedy byłem może dziesięcioletnim chłopcem – a ty wciąż byłaś w żłobku – podsłuchałem dorosłych rozmawiających o tym, jak nowe metody odmładzania mogą wpływać na politykę. Ale oczywiście byłem zbyt mały, żeby to zrozumieć. Pamiętam jednak kłótnię taty i wuja Harlisa. Później, gdy byłem już w Królewskich, wszyscy mówili, że powtarzalne odmłodzenia są tylko sposobem na pozostanie młodym przez całe życie, a nie przedłużeniem życia. Pamiętam, jak tego roku, gdy Lepescu zjawił się na Sirialis, Charlie Windetsson upił się podczas uroczystego obiadu i powiedział, że jeśli nasi rodzice nigdy się nie zestarzeją, nie mamy powodu, by dorastać. Nie mamy przyszłości. Wszyscy się śmiali i pili, ale mnie ogarnęło przerażenie. Wszedłem wcześniej z przyjęcia, zadzwoniłem do Sarah i wtedy postanowiliśmy się pobrać.

– Nie wiedziałam o tym.

– Cóż, byłaś wtedy dość szalona, podobnie jak większość naszej grupy. Wróciłem do domu i porozmawiałem o tym z tatą. Obiecał, że razem z matką zrezygnują ze swoich obowiązków, gdy wciąż jeszcze będę młody. I rzeczywiście zaraz po tym balu myśliwskim przekazał mi udziały w firmach i zachęcił mnie do aktywnego uczestniczenia w posiedzeniach Rady. Ale ja nie chciałem się odmładzać i przez całe życie mieć dwadzieścia czy trzydzieści lat i nic do roboty. To nie jest sposób na życie.

– Ale wuj Harlis... – przypomniała Brun. – Co z nim?

– Uważa, że wielokrotne odmłodzenia to droga do zachowania potęgi rodziny. Z początku chciał, by odmładzanie ograniczono wyłącznie do Rodzin Rządzących, ale to nie przeszło.

Potem próbował wprowadzić ograniczenia wieku: nikt poniżej osiemdziesiątki nie powinien się odmładzać. To oczywiście również odrzucono. Aegiści, którzy dzięki problemom biologicznym z wcześniejszą procedurą doprowadzili do delegalizacji wielokrotnego odmładzania, spodziewali się jego poparcia, ale on nie poszedł razem z nimi.

– Zatem... mówisz, że populacja wzrosła?

– Nie tylko to. Współczynnik urodzin w naszej klasie nawet się zmniejszył, ponieważ ludzie mogą sobie pozwolić na posiadanie dzieci w wieku pięćdziesięciu, sześćdziesięciu lat i później. Tak naprawdę zmienił się kształt populacji i struktura władzy. Wiek zawsze szedł w parze z doświadczeniem, a teraz można być doświadczonym bez utraty sił fizycznych i energii. Młodszy ludzie wciąż muszą szukać nowych możliwości rozwoju, bo starzy nie umierają ani nawet nie odchodzą na emeryturę. Oczywiście ludzie chcą odmłodeń, zwłaszcza kiedy dowiedzieli się, jak to jest przydatne w razie niektórych chorób i ciężkich ran. Wszyscy, którzy są wystarczająco bogaci, chcą się odmładzać. A Consellinowie chcą na tym zarobić.

– Hmm... A to oznacza ekspansję... Stąd propozycja taty otwarcia nowych kolonii?

– Jako tymczasowe rozwiązanie. Niektórzy chcieli aneksji przyległych terytoriów, ale tata przeciwstawiał się temu, argumentując, że nie będziemy w stanie obronić tego wszystkiego, co już mamy. I po co zrażać sobie sąsiadów, skoro sami mamy planety nadające się do zasiedlenia? Ale chciał też większego wsparcia dla kolonii; naciskał na Biuro Kolonialne, by pozwalało otwierać kolonie na planetach o mniej stabilnych ekosystemach. To przekładało się na koncesje dla firm – i rodzin – kupujących licencje osiedleńcze.

Brun pokręciła głową.

– Za mało wiem, by zrozumieć to wszystko.

– Cóż, możesz się doksztalić. Zasadniczo im dłużej planeta stabilizuje się po terraformacji, tym łatwiej ją skolonizować. Jeszcze do niedawna wymagało to długoterminowych inwestycji, na które mogło się zdecydować bardzo niewiele rodzin. Kiedy powstały Familie Regnant, Rada zgodziła się inwestować w jedną planetę rocznie. Wiemy, że planety zagospodarowane dawno temu dzięki Zagubionym Światom są o wiele lepsze.

– Raj, Babilon i Oaza – powiedziała Brun, by dowieść, że słucha.

– Tak. Wszystkie one pochodzą z drugiej fazy ekspansji, miały więc siedemset czy osiemset lat na stabilizację po terraformacji. Nie jest to wprawdzie dojrzały ekosystem planetarny w stanie naturalnym, ale dla celów kolonizacji znacznie lepszy niż większość planet... które dopiero teraz zbliżają się do tego poziomu. Zwiadowcy, którzy odkryli Raj, znaleźli lasy z trzystuletnimi drzewami, stepy z grubą warstwą gleby, zbiorniki pełne ryb. I stabilny klimat, który dość łatwo daje się przewidywać. Gdybyśmy mogli pozwolić wszystkim terraformowanym planetom czekać tak długo, koloniści mieliby znacznie łatwiejsze życie. Nie łatwe – nigdy takie nie jest – ale łatwiejsze.

– Powiedziałaś, że to było tylko tymczasowe rozwiązanie. Czy ojciec myślał o ograniczeniu reprodukcji, czy odmładzania?

– Nie jestem pewien. Od czasu do czasu mówił o obu możliwościach. Ale Familie są tak złożonym organizmem... Wiesz, mamy planety zamieszkane w większości przez ludzi nie kontrolujących narodzin, podczas gdy na innych panuje ścisła kontrola i pewnie z osiem tuzinów religii. Polityka zatwierdzona przez jedną grupę jest dla innej nie do przyjęcia. A w tym czasie procent odmłodzonej populacji z każdym rokiem rośnie. Wszystkie badania wykazywały, że Odmłodzeńcy chcą i spodziewają się kolejnych procesów odmładzania.

– Zastanawiam się, jak radzą sobie z tym Guernesi – zauważyła Brun. – Znają odmładzanie równie długo jak my, a mimo to nie następuje u nich rozpad społeczeństwa.

– Nie wiem... ale to dobre pytanie. Czy oni mają takie samo jak my zróżnicowanie

wyznań?

– Tego też nie wiem. – Brun potrząsnęła głową. – To bardzo skomplikowane sprawy, Buttons.

– To bardzo skomplikowany wszechświat, i jeśli czegoś nie zrobimy, znajdziemy się w samym środku huraganu. – Rzucił jej długie, twarde spojrzenie. – Dorosłaś i zgłosiłaś się na ochotnika do roli rodzinnego strażnika Rady. Sama tego chciałaś.

– A bycie durną blondynką było takie zabawne – westchnęła Brun, jednak bez przekonania.

Jessamyn Essence, Essential Transport Ltd.

W mesie dla pracujących pasażerów mężczyźni już trzeci raz odtwarzali kostkę z nagraniem o zabójstwie i jego następstwach, komentując je kilkoma cichymi przekleństwami. W końcu jeden z nich, najstarszy, wyłączył odtwarzacz.

– A więc jesteśmy za późno i ktoś go dorwał pierwszy. Co teraz zrobimy?

– Dopadniemy pozostałych. Skoro ten nie żyje, może nie będą ich tak pilnować. Ja mógłbym wziąć tę żółtowłosą zdzirę.

– Wciąż myślę o dzieciach, Dan. Według prawa powinny być nasze.

– Ben ma rację – stwierdził inny mężczyzna. – Ktoś przydeptał zmił głowę, i mimo że bardzo się rzuca, nikogo już nie ukąsi. Nie musimy ganiać i zabijać ludzi jak jacyś bandyci. Ale odzyskanie naszych dzieci jest słuszne.

– Ale jak mamy je znaleźć? A jeśli wysłali je już do nowych domów?

Dan podniósł rękę.

– Tego jeszcze nie wiemy. Najpierw musimy ich poszukać. Pewnie coś usłyszymy, jeśli będziemy nadstawiać uszu w każdym porcie, do którego zawiniemy. Ale pamiętajcie, niech nikt się nie upije jak ten kretyn na Zenebrze. – Wszyscy wiedzieli, że schwytano tam cały statek z załogą. – Żadnych bójek ani kłótni. Mamy misję – nową misję – i takie są zasady. Kumacie?

– Tajest.

Następnego dnia *Jessy* przyleciała do stacji Goldwyn, gdzie po odmeldowaniu się u kapitana pracujący pasażerowie wysiedli. Oficer pomyślał, że byli pierwszymi pasażerami, którzy pracowali bez narzekania, i na pożegnanie dał im żetony pieniężne.

Cokolwiek by mówić o fanatykach, zawsze lubił zatrudniać wierzące bractwa, bo mógł liczyć na to, że będą ciężko pracować, a nie dobierać się do ładunku.

Sekcja usługowa stacji Goldwyn, czyli S-3, oferowała załogom statków tanie miejsca noclegowe, jedzenie i napoje. Stacja była w całości cywilna – rzadko odwiedzały ją jednostki OSK – i w pełni odzwierciedlała różnorodność kultur składających się na Familie Regnant. Mężczyźni podążyli do lokalu, z którego

dochodził znajomy zapach wędzonego mięsa, i usiedli przy długim stole. Na umieszczonym na ścianie ekranie pokazywano sceny z jakiegoś spotkania biznesowego, ale nie potrafili rozpoznać żadnej twarzy ani zrozumieć poruszanych tam tematów. Potem pojawiła się twarz, którą znali: blondynki z krótko przyciętymi lokami.

– Jakieś komentarze na temat wyników spotkania, Sera Meager Thornbuckle? – Akcent dziennikarza sprawiał, że trudno było go zrozumieć.

– Nie, zdaje pan sobie sprawę, że nasza rodzina wciąż pogrążona jest w żałobie... – Akcent blondynki był, jeśli to w ogóle możliwe, jeszcze gorszy.

– Tak, Sera, ale co pani sądzi o Conselline w roli Mówcy?

– Proszę wybaczyć... – Odwróciła się i odeszła, a po chwili kamera pokazała, jak wsiada do długiego ciemnoczerwonego samochodu.

– A niech to szlag trafi – odezwał się jeden z mężczyzn. – To ona!

– Mężczyźni... Wszyscy tacy sami – rzekła kelnerka w czerwonej bluzie i niebieskich džinsach, rzucając na stół menu. – Tylko dlatego, że jest młoda, bogata i ładna...

– Poprosimy o chili – zamówił Dan. – Dla każdego po misce chili i jakieś krakersy. – Jego spojrzenie uciszyło pozostałych.

– Jakieś piwo? – zapytała kelnerka.

– Nie, przynajmniej na razie. – Nie będą pili, dopóki nie dowiedzą się, gdzie są ich kobiety i dzieci. Gdyby mogli je znaleźć i sprowadzić do domu – choćby tylko część – ludzie by ich poważali, może nawet bardziej niż gdyby zdołali zabić samego Mówcę. Rangersi z Prawdziwego Teksasu przestaliby ich nazywać bandą bezzennych nieudaczników, którzy sprawiają tylko kłopoty.

– Patrz... – Ben dotknął ramienia Dana i wskazał na ekran. Znów był tam obraz, który doprowadził ich do furii: kobiety i dzieci w tradycyjnych strojach, wychodzące z wjazdu statku pod ochroną żołnierzy Floty Familii w kombinezonach bojowych.

Dan miał problemy ze zrozumieniem dziennikarza, ale zdołał wyłapać nazwę stacji Baskar. Czy pokazywane kobiety tam się znajdują, czy tam się wybierają? Nie wiadomo, ale zawsze można się tego dowiedzieć. Gdzieś tam będzie bar i ludzie, a wśród nich ktoś, kto powie, jeśli tylko zada mu się właściwe pytania.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Castle Rock, stary pałac

Hobart Conselline pogładził dłonią błyszczącą powierzchnię biurka – jego biurka, które wcześniej należało do Bunny’ego Thornbuckle’a, a jeszcze wcześniej do Kemtre’a Altmanna – i poczuł ogromną satysfakcję. Jego Delphine zajmowała teraz apartamenty należące uprzednio do Mirandy, a on sam czerpał wszystkie korzyści, których tak kiedyś im zazdrościł, poczynając od sprawnej i cichej obsługi, a kończąc na poważaniu ludzi, którzy jeszcze niedawno byli mu równi, a teraz byli jego poddanyami.

Zmartwił się, widząc Brun i Buttonsa razem przy stole Thornbuckle’ów, ale żadne z nich nie próbowało się odzywać. I choć głosowali przeciwko, wynik był po jego myśli. Wspierał go ich własny wuj – wprawdzie z konkretnego powodu, ale to nie miało znaczenia. I tak będzie musiał mianować nowych ministrów sprawiedliwości i spraw wewnętrznych, a także nowych sędziów. W jego własnym klanie trwały procesy prawne, z powodu których tak będzie lepiej.

Rozparł się wygodnie w fotelu i na kilka minut popadł w zadumę. Jest stosunkowo młody, a dzięki powtarzalnemu odmładzaniu pozostanie zawsze młody... i potężny. Wszyscy widzieli, co się działo z kolejnymi Mówcami przez całe pokolenia, i co było potem, gdy nastąpiła władza dziedziczna Altmannów. Ale nikt jeszcze nie widział tego, co on ma do pokazania: stabilizacji i bogactwa, które zapewni im tylko jeden przywódca, który nigdy nie popadnie w demencję. Rok po roku, dekada po dekadzie, będzie im służyć i ich chronić... kierować i prowadzić...

Rozległ się dzwonek. Hobart wyprostował się, marszcząc czoło. Taka będzie przyszłość, ale w tej chwili musi poradzić sobie z problemami pozostawionymi mu przez poprzedników.

– Milordzie, chciałby się z panem spotkać pułkownik Bai-Darlin, dowódca Specjalnej Jednostki Ochrony.

– Proszę go przysłać. – Pokaże im, jak ciężko haruje prawdziwy przywódca. Będzie nieustannie pracował dla dobra kraju, tak samo jak nigdy nie ustawał w pracy dla dobra rodziny i klanu. A biorąc pod uwagę znaczenie jego klanu dla gospodarki państwa, można powiedzieć, że to, co jest dobre dla Consellinów, nie może nie być pożyteczne także dla innych... przynajmniej dla większości.

Bai-Darlin wszedł z energicznym salutem i stuknięciem obcasów, które świadczyło, że mężczyzna jest skuteczny. Ale czy jest inteligentny? Czy jest pracowity?

– Milordzie, pomyślałem, że może zechce pan otrzymać informacje o aktualnym stanie śledztwa w sprawie śmierci lorda Thornbuckle’a...

– To byli terroryści z Nowego Teksasu – przerwał mu Hobart. – Nie rozumiem, czemu jeszcze ich nie schwytaliście.

– Milordzie, wstępne śledztwo nie pozwoliło na znalezienie jakichkolwiek śladów Rangersów na Castle Rock.

– W takim razie prowadzący śledztwo są niekompetentni! Czego im potrzeba? Czerwonego kółka wymalowanego na czyjejś głowie? Zagrozili zabiciem Mówcy i Mówca został zastrzelony. Czego jeszcze pan chce?

Bai-Darlin spojrzał na niego w taki sposób, że aż poczuł się nieswojo.

– Na początek dowodów.

– Ma pan dowody: trup lorda Thornbuckle’a, rany Ser Mahoneya i zniszczony pojazd.

– Tak, milordzie, ale nic z tego nie wskazuje na Bogobojną Milicję Nowego Teksasu. Nie ma żadnych śladów ich obecności, na przykład w rejestrach hotelowych czy manifestach pasażerów.

– Jeśli ich tu nie było, musieli kogoś wynająć.

– Według naszych źródeł oni nie wynajmują kryminalistów, żeby dla nich pracowali, a użyta w zamachu broń też do nich nie pasuje. Rangersi lubią bezpośrednią konfrontację; znacznie bardziej prawdopodobne jest to, że mogą podejść i próbować zabić ofiarę na ulicy.

– Jeśli to nie była Milicja – oświadczył stanowczo Hobart – przychodzi mi na myśl ktoś inny, kto mógł to zrobić.

– Tak, milordzie?

– Aegiści. Lord Thornbuckle, podobnie jak jego żona, był Odmłodzeńcem, i to wielokrotnym. – Wzrok Bai-Darlina spoczął na jego uchu. Hobart potrząsnął głową. – To biżuteria, pułkownika. Oczywiście popieram odmładzanie, podobnie jak każdy rozsądny człowiek, tym bardziej że człowiek na moim stanowisku musi odpowiednio wyglądać. Poddam się odmłodzeniu, kiedy nadejdzie czas, prawdopodobnie gdzieś za dziesięć lat. Jestem znacznie młodszy od lorda Thornbuckle’a. A tymczasem te pierścienie... – dotknął ucha – są sygnałem dla Odmłodzeńców, że popieram ich interesy.

– Rozumiem, sir. I uważa pan, że Aegiści zamordowali lorda Thornbuckle’a, ponieważ był odmłodzony? Czy to oznacza, że zaatakują także pana?

– Nie sądzę, że to byli Aegiści. Uważam, że to dzieło Milicji Nowego Teksasu, jak już panu powiedziałem. Ale jeśli się mylę, to w następnej kolejności przyjrzałbym się Aegistom.

Bai-Darlin nie sprawiał wrażenia przekonanego.

– Miałem nadzieję, milordzie, że podzieli się pan ze mną uwagami na temat rozdźwięków między Rodzinami. Może lord Thornbuckle wzbudzał czyjąś szczególną

wrogość? Wydawał się popularnym Mówcą, ale zawsze istnieją pewne...

Hobart machnął ręką.

– Może były jakieś drobne urazy. Z pewnością byli tacy, którzy uważali, że nadużywa zasobów Floty do poszukiwania swojej córki. Ale nic mi nie wiadomo – chociaż mam niewiele wspólnego z wewnętrznymi podziałami klanu Barracloughów – by ktoś miał powód, aby go zamordować.

– Bardzo dobrze, sir. Dziękuję, milordzie, za poświęcony mi czas.

– Niech pan złapie tych morderców, pułkowniku, a dopilnuję, by dostał pan nagrodę. – Zamiast spodziewanego uśmiechu Hobart zobaczył mroczne spojrzenie Bai-Darlina. Dziwny facet. Może wcale nie jest tak skuteczny, jak się zdawało.

* * *

Kilka dni później Hobart siedział wpatrzony ponuro w biurko, którego tak bardzo pragnął. Tak to jest, gdy trzeba współpracować z niechętnymi do pomocy durkami, pomyślał. Człowiek ma prawo wyznaczać ministrów, z którymi chce pracować. Czemu ludzie desygnowani przez Bunny'ego Thornbuckle'a spodziewali się zostać na swoich stanowiskach, skoro zamierzali sprawiać mu kłopoty? Powinni nauczyć się już po pierwszych zwolnieniach, że będą musieli odejść, co do ostatniego człowieka. Nie zamierza dłużej znosić niesubordynacji.

Kogo najpierw powinien wymienić? Ministerstwo obrony robiło ostatnio wiele hałasu o odmłodzenia wśród podoficerów, mówiąc coś na temat wariujących bosmanów czy czegoś takiego. Ich dumny wydział medyczny wstrzymał wszystkie odmłodzenia i postanowił dokładnie to zbadać. Hobart mówił Irionowi Solinariemu, że prowadzenie długotrwałego śledztwa w tego rodzaju sprawie byłoby kosztowne i nieskuteczne, i że lepiej pogodzić się ze stratami i po prostu zwolnić uszkodzony personel jako niezdolny do służby ze względów zdrowotnych. Jednak Solinari protestował; zresztą nie robił nic innego, pomyślał Hobart, przypominając sobie, jak Solinari kłócił się również z Bunnym, który go mianował. To trudna osobowość, nie pasująca na odpowiedzialne stanowisko ministra obrony.

Jeśli Solinari odejdzie, będzie mógł pozbyć się również innych admirałów sprawiających kłopoty. Może ich odmłodzenia nie będą udane? Wszyscy oni zostali poddani procesowi z użyciem oryginalnych leków Guernesii, więc gdyby okazało się, że proces zawiódł, odciągnęłoby to uwagę opinii publicznej od powiązań z Patchcock. Właściwie odmłodzenia wcale nie musiałyby się okazać zawodne, wystarczyłoby, gdyby udało się przekonać Flotę, by usunęła ich z aktywnej służby z powodu troski o skutki ich odmłodzenia. Ale wydział medyczny i starsi oficerowie są tak beznadziejni, a Solinari ich popiera... albo podburza, nie ma co do tego pewności. Solinari zdecydowanie musi odejść.

Otworzył prywatny notatnik i przygotował wstępną wersję listu do Solinariego, wyjaśniając powody. Nie chciał pisać ostro, ale tamten musi sobie uświadomić, że nie ma odpowiednich kwalifikacji. A nawet gdyby je miał, jego negatywne nastawienie i kłótniwa natura całkowicie go dyskwalifikują. List powinien być napisany bardziej w tonie smutku niż złości. Nie żeby Solinari miał jakichś przyjaciół, o których Hobart musiałby się martwić. To tylko stadko chętnych do obgadywania zer z pomniejszych rodzin. Szybko przekonają się, z kim mają do czynienia.

* * *

Admirał Vida Serrano rzadko interesowała się cywilnymi sprawami, chyba że mogłyby być przyczyną wojny. Zmiana jednego przywódcy państwa na innego powinna być – i zazwyczaj była – kwestią ceremonii i przemówień, nie mającą większego wpływu na Zawodową Służbę Kosmiczną niż zmiana jednego Głównodowodzącego na innego.

Zamordowanie lorda Thornbuckle'a bez wątpienia było szokujące, ale oczekiwała, że na dłuższą metę nic się nie zmieni. Na jego miejsce zostanie wybrany ktoś inny, może zmieni się paru ministrów, a inercja bardzo dużej organizacji sprawi, że wszystko potoczy się dotychczasowym torem. Do jej obowiązków należy dopilnowanie, by jej podwładni byli gotowi radzić sobie z zewnętrznymi wrogami, którzy mogliby uznać chwilową dezorganizację za dobry moment do ataku.

Z tego względu umieściła swoje nazwisko na liście osób, które powinny być informowane o postępach śledztwa w sprawie odmłodeń. Doszła do tych samych wniosków, co pierwszy oficer prowadzący śledztwo. Wadliwe leki do odmładzania zostały zakupione, ponieważ były odrobinę tańsze, i prawie z całą pewnością pochodziły z fabryki na Patchcock. Rozwiązanie problemu też było oczywiste: powtórzyć odmłodeń – czystymi lekami – tych, którzy nie doznali jeszcze znaczących uszkodzeń, oraz zaopiekować się tymi, dla których jest już za późno, a kolejne odmłodeń oznaczałoby przedłużenie starczych udreń. Podpisała się pod raportem, który przekazano wyżej, podobnie jak pod listem sugerującym, że kosztem całej operacji należy obciążyć producenta wadliwych leków.

Jednak niczego nie zrobiono. Raport zniknął. Zapytała o niego w dowództwie i powiedziano jej, że „zatrzymano go z powodu śledztwa dotyczącego spraw bezpieczeństwa”. Słyszała plotki, że jedno z dużych niezależnych laboratoriów badawczych oskarżono o fałszowanie dowodów i niewłaściwe wykorzystywanie funduszy publicznych. Dowództwo nagle ucięło finansowanie powtórnych odmłodeń, nie tłumacząc powodów. A przecież z pewnością rozumieją, jak to jest ważne – Flota potrzebuje tych ludzi z powrotem w pracy, nie wspominając już o potrzebie ocalenia ich przed starzeniem się i śmiercią. Vida zatwierdziła tyle odmłodeń, ile mogła z własnego funduszu, ale nie miała dość pieniędzy dla wszystkich. Pomyślała o skontaktowaniu się

z Martą Kateriną Saenz, jednak dowództwo stanowczo zabroniło odmładzania, i wyjście z tym na zewnątrz mogłoby się skończyć sądem wojennym, gdyby się wydało.

Chciałaby wiedzieć, kto stoi za tymi wszystkimi nonsensownymi działaniami. Ktoś we Flocie? Ktoś w rządzie? Wielka Rada na spotkaniu w dzień po pogrzebie wybrała na szefa rządu Hobarta Merethala Conselline, a on obsadził różne komitety związane z obronnością nowymi ludźmi. Jednak Irion Solinari wciąż jest ministrem obrony, a na nim zawsze można polegać. Przez chwilę rozważała pomysł skontaktowania się bezpośrednio z nim, ale z jej doświadczenia wynikało, że admirałowie, którzy zadawali się z ministrami, albo szli w górę jak rakietą, albo w dół jak meteoryt. Było to dla kariery niemal równie fatalne jak wżenie się w rodzinę zasiadającą w Fotelu.

Większości nowych ludzi Vida Serrano nie znała. Consellinowie i Morrellinowie byli zaangażowani w aferę Patchcock – o tym wszyscy wiedzieli – ale długo musiała przeszukiwać bazy danych, by odnaleźć coś o Hobarcie Merethalu Conselline, a i tak znalazła tylko krótką oficjalną biografię, umieszczoną tu z okazji zajęcia przez niego Fotela w Radzie. Nic nie wskazywało na to, czemu inne rodziny go wybrały, chyba że zapanowała powszechna niechęć do Thornbuckle'a i wszystkich jego przyjaciół. Jej rozmyślenia przerwał telefon od sekretarza.

– Admirale, jest tu kurier z dowództwa z przesyłką do rąk własnych.

Tego rodzaju przesyłki były zdaniem Vidy staromodnym i niepotrzebnym utrudnieniem, ale część starszków z dowództwa wierzyła w nie, zwłaszcza szef personelu. Może to informacje, których zażądała, na temat przywracania odmłodzonych starszych podoficerów do aktywnej służby w innych sektorach.

– Przyślijcie go – powiedziała.

Ku jej zaskoczeniu do biura wszedł z teczką pod pachą znajomy Heris Serrano, komandor Livadhi. Arash? Aram? Zauważyła nową gwiazdkę na jego kołnierzu. Już nie komandor, młodszy admirał.

– Gratulacje – powiedziała. – Nie słyszałam o pańskiej promocji. – Nie wiedziała wcale, że komisja promocyjna już się spotkała. A powinna o tym wiedzieć. W jej głowie rozległ się dzwonek alarmowy.

– Admirale, przykro mi, że przynoszę złe wieści, i dziękuję za gratulacje. – Wyglądał na zawstydzonego.

– Słucham.

– Nie wiem, czy słyszała już pani, że mamy nowego ministra obrony.

– Nie! Solinari wyleciał? – Alarm zdecydowanie przybrał na sile.

– Tak, i to błyskawicznie; nikt nie miał szansy z nim porozmawiać. Mówi się, że opuścił Castle Rock i poleciał do domu, z nikim się nie spotykając.

– Rozumiem. – Co oni zrobili z Solinarim, który nigdy nie odmawiał żadnych wywiadów i zawsze mówił to, co myślał? Dlaczego wysłali go z powrotem na... z jakiej planety on pochodzi?... i zamknęli mu usta? Poczła chłód.

W skrócie wygląda to tak, że nowemu Mówcy nie spodobało się to, co Solinari powiedział mu na temat problemów z odmładzaniem, dlatego wyznaczył kogoś, kto bez pytania będzie robił to, co mu się każe. Nowy Mówca nie wierzy, że nieudane odmładzanie podoficerów spowodowane było wyłącznie farmaceutykami.

– Oczywiście, że tak – wtrąciła się Vida. – Dane jasno pokazują...

– Danymi można manipulować – przerwał jej Livadhi. – Mówca jest przekonany, że dane zostały sfałszowane przez grupy ludzi chcących mieć wpływ na naukowców w laboratoriach badawczych.

– On chce, żeby dane były sfałszowane – powiedziała Vida, czując w sobie rosnącą wściekłość.

– Nie mnie o tym mówić – odpowiedział Livadhi; Vida pojęła ukryte w jego słowach ostrzeżenie.

– A co jeszcze?

– Mówi się także o tym, że nieudane odmłodzenia nie są spowodowane wyłącznie problemami z lekami, lecz jakąś specyficzną reakcją... z tego, co wiem, chodzi o bliskie pokrewieństwo rodzin Floty, ale pani nie usłyszała tego ode mnie.

– Zupełnie jakby ich rodziny nie łączyły się ze sobą!

– Nie jesteśmy Zarejestrowanymi Embrionami, tak przynajmniej mówią. – Odczekał chwilę, aż minie jej wściekłość, po czym mówił dalej. – W związku z tym pojawiło się pytanie o odmłodzenia również starszych oficerów. Podjęto decyzję, aby cały personel Floty, który przeszedł odmładzanie, został poddany gruntownym badaniom, poczynając od oficerów flagowych.

– Chyba nie mówią tego poważnie! – Vida Serrano zeszywniała w fotelu.

– Niestety, sir, bardzo poważnie. Cały personel, którego odmłodzenie odbyło się więcej niż dziesięć lat temu – łącznie z oficerami, ze szczególnym uwzględnieniem admirałów – został zawieszony w pełnieniu obowiązków do czasu zakończenia badań medycznych.

– Ale...

– Admirale, wiem, że to sprawa bez precedensu. – Trzeba przyznać, że Livadhi sprawiał wrażenie równie nieszczęśliwego jak ona. Jeśli odczuwał triumf, dobrze go ukrywał. – Cały ten bałagan nie ma precedensu. To płatny urlop – pełna pensja dla osób poniżej stopnia komandora i połowa dla tych powyżej.

– Czyli dla niemal każdego oficera. – Vida zmarszczyła brwi. – Oni wiedzą, że moje odmłodzenie jest stabilne. Byłam jedną z pierwszych; to już ponad dwadzieścia pięć lat...

– Tak jest, sir, ale...

– I kto ich zdaniem tak nagle przejmie to wszystko? Nieudacznicy, których nie chciano odmłodzić, a nawet promować? Nie, proszę nie odpowiadać na to pytanie.

Zresztą pan tego nie słyszał. Niech to szlag! – A więc w taki sposób Livadhi został promowany... Była pewna, że nawet w tej chwili inni komandorzy przypinają sobie gwiazdki, których nie spodziewali się otrzymać jeszcze przez przynajmniej pięć lat. Przez głowę przeleciała jej myśl, czy przypadkiem Heris nie stała się najnowszą admirałką Serrano.

Vida odsunęła fotel od biurka. Przed jej oczami przeleciała cała dekada wspomnień: panorama za panoramą, twarze, nazwiska, związki... Mylą się, muszą się mylić. – No dobrze. Opuszczę stanowisko, przejdę się do medycznego, gdzie mnie obejrzą, i wrócę.

– Nie, sir. Czy admirał zechciałaby spojrzeć na rozkazy?

– Które nie pan przygotował, jak sądzę. No dobrze. – Przeczytała uważnie każde słowo wypisane na staromodnym arkuszu papieru.

GORZEJ NIŻ ŹLE. Natychmiastowe zwolnienie z aktywnej służby. Natychmiastowe zastąpienie przez wyszczególnionych oficerów – w jej przypadku młodszego admirała Livadhi. Natychmiastowe zdanie wszystkich urządzeń komunikacyjnych, szyfrujących/deszzyfrujących, dostępu do danych...

– Ja nie... Przykro mi, admirał. Uważam, że to niedorzeczne zmuszać admirałów do tak szybkiego opuszczenia swoich kwater i stanowisk.

– Ma to sens, jeśli ktoś naprawdę chce, żebyśmy odeszli – stwierdziła Vida. Pierwsza fala gniewu minęła i jej mózg przeszedł teraz w tryb obliczeń bojowych. – Wygonić nas, upewnić się, że nie możemy skontaktować się z przyjaciółmi wciąż pełniącymi aktywną służbę, chyba że za pomocą monitorowanych kanałów, uniemożliwić nam dostęp do plików...

– Mam pokój w kwaterach tranzytowych dla oficerów – stwierdził Livadhi. – Nie widzę powodu, żeby to egzekwować co do litery...

Vida podniosła wzrok na jego pełną współczucia twarz.

– Nie widzi pan tego? W takim razie jest pan większym głupcem niż mogłam sądzić, młody człowieku. Kiedy wiatr się zmienia, to samo muszą zrobić żagle. Jeśli nie wykona pan rozkazów, nie usiedzi pan tu długo. Wyjdę stąd przed upływem wyznaczonego czasu.

– Tak, ale ja nawet nie wiem, co powinienem robić... – Zabrzmiało to niemal żałościwie. Vida posłała mu szeroki uśmiech Serrano, a on zbladł tak, że aż uwidoczniły się wszystkie piegi.

– Będziesz wykonywał swoją pracę, synu, tak, jak ja wykonywałam swoją. To przerażające dostać to, czego zawsze się chciało, prawda? A teraz, jeśli mi pan wybaczy, muszę opróżnić swoje biurko. – Wcisnęła klawisz interkomu do sekretarza. – Sandy, przyjdź tu, proszę.

W ciągu godziny admirał Vida Serrano rozpoczęła przekazywanie dowodzenia Sektorem Siedem młodszemu admirałowi Livadhi. Obyło się bez wielkiej ceremonii, bo nie było na to czasu. Wezwała swoich urzędników, poinformowała ich o nowych rozkazach i kazała im wprowadzić Livadhiego, który przybył właśnie z Sektora Pięć, w warunki działania Sektora Siedem. Podczas gdy tym się zajmowali, ona zaczęła wyciągać swoje osobiste pliki trzymane pod jej kodami wśród oficjalnych dokumentów. Zamierzała na przykład zabrać dokumentację dotyczącą odmłodeń. Czy powinna dać Livadhiemu kopię? Nie. Jeśli ją u niego znajdą może mieć kłopoty. A skąd informacje, które udało jej się zebrać na temat nowych sił w Wielkiej Radzie? Może. Listy członków rodziny w aktywnej służbie, od których mogła legalnie... no cóż, prawie legalnie otrzymywać informacje... Wszyscy admirałowie Serrano poddani zostali odmłodzeniu, więc wszyscy zostaną odsunięci. Od Davora, będącego teraz na trzecim roku Akademii, do Gossina; skrzywiła się na myśl o konieczności pracy z Gossinem, który stanowił rzadki wśród Serrano przypadek jasnej skóry (choć to był tylko najbardziej widoczny z jego problemów). Na liście znajdowało się teraz siedemnaście nazwisk, bo rodzice Heris właśnie przeszli na emeryturę. Matka Barina wciąż pełniła aktywną służbę, ale jego ojciec wycofał się, by przejąć stanowisko rodzinnego agenta.

* * *

Zadzwoił jej komunikator.

– Vida? Tu Gadar Livadhi. Słyszałaś o tym niedorzecznym rozkazie odwołującym ze służby wszystkich odmłodzonych admirałów?

– Właśnie dostałam rozkazy, Gadar – odpowiedziała. – Prawdę mówiąc, dostarczył mi je jeden z twoich. Młody Arash dostał śliczną nową gwiazdkę.

– Cóż... Co z tym zrobimy?

– Nie wiem, jak ty, aleja zamierzam odejść z aktywnej służby. Ty też byłeś jednym z eksperymentalnych?

– Tak, ale mojemu mózgowi absolutnie nic nie dolega, poza dymem bijącym mi w tej chwili z uszu od tych wszystkich bzdur.

– Gadar, to nie jest czas...

– Na robienie kłopotów. Wiem. Ale teraz, po śmierci Thornbuckle’a, potrzebujemy doświadczonych dowódców.

– Jeśli dobrze wykonywaliś naszą pracę, młodzież może przejąć nasze stanowiska. – Wiedziała, że sama w to nie wierzy, a parsknięcie Gadara zdradziło, że z nim jest podobnie.

– Jesteś optymistką. A przy okazji, co słyszałaś ostatnio z Copper Mountain?

– Nic – odpowiedziała Vida. – A co powinnam?

– No cóż... Wiesz, że mój brat Arkad siedzi w wydziale sądowym.

– Tak.

– Zajmował się aktami skazańców wysłanych do więzienia na Copper Mountain – tego na Czubatych Wyspach – ponieważ to jedno z miejsc, gdzie Lepescu upchnął załogę twojej siostrzenicy.

To cały Livadhi. Nigdy nie bawił się w subtelności.

– I co?

– I odkrył coś ciekawego. Młodszy oficerowie Lepescu – ci zbyt nisko w strukturze, by ich złapać na gorącym uczynku, gdy został zabity – przechodzili przez archipelag. Nie jako więźniowie, ale jako strażnicy. Oczywiście nie wszyscy, ale spora ich część.

– O rety.

– Gdybyś chciała rekrutować zdesperowanych i niebezpiecznych kryminalistów – nawet takich, którzy odsiedzieli już swoje wyroki i zostali zwolnieni, mając w aktach krechę – trudno byłoby znaleźć lepsze miejsce.

– I oczywiście uważasz, że oni coś szykują. Ale co?

– Kolejny bunt, może ucieczkę...

– W czyjej służbie? Jakim wsparciem finansowym dysponują?

– Nie byłem w stanie niczego się dowiedzieć. Zawsze zastanawiałem się, czy Lepescu nie był blisko związany z Morellinami, biorąc pod uwagę jego zaangażowanie w Patchcock.

– On tylko pogorszył sytuację; cała sprawa obróciła się przeciwko...

– Tak, ale na dłuższą metę scementowała Morrellinów, a zepsuła opinię Familii jako całości.

– Wtedy nic nie powiedziałeś na ten temat – zauważyła Vida.

– Wtedy nie zdawałem sobie z tego sprawy. Byłem w Sektorze Jeden, gdzie rozmawiałem z dyplomatami z Konfederacji Samotnej Gwiazdy. Jak ja nienawidzę rotacji stanowisk. – Vida nie dała się złapać na przynętę, więc Livadhi wrócił w końcu do tematu. – Dopiero niedawno, po twojej... hmm... przygodzie zacząłem się przyglądać całej sprawie.

– Cóż, nie możemy teraz nic zrobić, musimy udać się do domu jak grzeczne dzieci – stwierdziła Vida. – Mam nadzieję, że zdają sobie sprawę, jaka to okazja dla obcych sił. Nie chcę mówić nic złego o członku twojej rodziny, Gadar, ale twój nowy młodszy admirał niemal uciekł, kiedy uświadomił sobie, że stanie się odpowiedzialny za sektor, któremu najbardziej zagraża atak ze strony Milicji Nowego Teksasu, a on ma zaledwie trzydzieści sześć godzin na zapoznanie się ze swoimi obowiązkami.

– Serce mi pęka – rzekł Gadar. – Mam nadzieję, że to tylko tymczasowe przydziały, bo gdy skończą nas badać, zamierzam wrócić do swojego biura.

– Ja też mam nadzieję, że to nie potrwa długo – zgodziła się Vida. – Ale gdyby

ktoś chciał się nas pozbyć – lub choćby części z nas – wystarczy, że opóźni badania.

– Wy, Serrano, jesteście takimi optymistami! – powiedział.

– A wy, Livadhi, jesteście tacy pełni życia – odpowiedziała i rozłączyła się.

* * *

Vida nie pamiętała, aby kiedykolwiek w dorosłym życiu całe dni nie miała niczego konkretnego do zrobienia. Oczywiście brała urlopy, ale zawsze miała wtedy jakieś plany. Odbyć podróż, zaliczyć kurs czy rozwiązać kryzys rodzinny wymagający jej czasu i talentów. Miała dość pieniędzy – nie wydawała całej pensji od czasu, gdy została porucznikiem, a jej inwestycje dobrze prosperowały – i mogła żyć całkiem komfortowo, ale martwiła ją bezczynność, miała wrażenie odcięcia od rodziny.

Wreszcie postanowiła, że poleci do domu, do rezydencji na Melander, kolebki całej – a przynajmniej większości – rodziny Serrano.

Dokonanie rezerwacji na statku cywilnym okazało się irytujące; próbowała śmiać się z tego, że oczekiwała, iż ludzie będą skakać na każdy jej rozkaz, ale nie było to łatwe. Bezustannie narzekała, przygotowując wysłanie tego i przechowanie tamtego, czy decydując, co nieść osobiście, a co wysłać w ładowni.

Już pierwszego dnia na statku rozpoznała innych admirałów; zgodnie z nie wypowiedzianym porozumieniem unikali swojego towarzystwa. Choć z początku wszyscy nosili mundury – i oczywiście mieli do tego prawo, będąc na urlopie – dość szybko przebrali się w cywilne stroje.

Stacja orbitalna Melander rozrosła się od czasu jej ostatniej wizyty, ale wciąż była mniejsza od potężnych stacji cywilno-wojskowych, do których była przyzwyczajona. Widziała mnóstwo ludzi w mundurach, którzy ją ignorowali tylko dlatego, że nie miała na sobie swojego munduru; nie dostrzegali admirała w kobiecie ubranej w czerwony cywilny strój. Przynajmniej dwójka z nich była Serrano.

Złapała prom do Northside, sprawdziła panującą u celu podróży pogodę i założyła cieplejszą kurtkę. Wczesną wiosną na Melandrze może być zimniej niż w ogrzewanych pomieszczeniach na statku czy stacji.

Rezydencja rodzinna Serrano leżała nad brzegiem jeziora niesłusznie nazywanego Łagodnym, ponieważ prawie zawsze powierzchnia wody była pomarszczona przez wiejący od morza wiatr. Rząd solidnych domów z wypłowiałych cegieł i kamienia, schludne zielone trawniki obrzeżone kwiatami, rzędy drzew wyznaczających drogę, wysypane żwirem ścieżki prowadzące do każdego z domów... Wyglądało to znacznie mniej atrakcyjnie niż ostatnim razem. To było... prawie trzydzieści lat temu, kiedy rozkwitające teraz pięknie jabłonie, zasadzone przez ciotkę, były zaledwie cienkimi patyczkami sterczącymi z ziemi. Było tu ładnie, ale wcale nie miała ochoty tutaj być.

Wszystkie rodziny Floty budowały takie same rezydencje. Osobne domy dla

strażników z małymi dziećmi i starszymi dziećmi, tymczasowe budynki dla młodszych oficerów, dla starszych oficerów na dłuższych urlopach, dla emerytów... Każdy z oficerów flagowych dysponował własnym apartamentem, który mógł być przeznaczony dla specjalnych gości, jeśli właściciela akurat nie było w rezydencji. Vida nigdy nie widziała swojego apartamentu, ponieważ przydzielono go jej już po ostatniej wizycie, ale wiedziała, że będzie na nią czekał, umeblowany rzeczami, które przez lata wysyłała do domu.

Pachniało tu woskiem, drewnem, skórą i ostrą wonią najwyższej klasy elektroniki. Był taki, jak go sobie wyobrażała, pełen pamiątek Familii, atrakcyjnie poustawianych... ale nienawidziła go. Czemu kupiła ten *Układ w błękitach*, w tej chwili bez wątplenia wart cztery razy więcej niż za niego zapłaciła? Przypominał jej o pierwszej służbie na krążowniku, a ona wcale nie chciała, by jej o tym przypomniano. Włączyła muzykę, *Andante na struny Manamash* Prescottta, i przez pół godziny odwracała obrazy frontem do ścian. Jeśli nie może być na statku, prawdziwym statku, nie zamierza pozwolić, by patrzyły na nią ze ścian. To samo dotyczy karykatury tańca promocyjnego młodego oficera czy widoku na Castle Rock z Rockhouse Major, z wieżyczkami starego *Mordanta* w tle.

Czy faktycznie dzieje się z nią coś złego z powodu jej odmłodzenia, czy to tylko frustracja? Vida nie wiedziała i właściwie jej to nie obchodziło. Apartament był większy od kwatery na stacji, ale mimo to czuła ciasnotę i osaczenie, jakiego nigdy nie zaznała w kwaterach okrętowych. Wyjrzała przez okno na jezioro. Może spacer pozwoli jej się uspokoić.

Schodząc po schodach, zauważyła Sabatino Serrano, admirała i jej dalekiego kuzyna.

– Nienawidzę planet – powiedział zamiast powitania.

– Tak samo jak ja – odpowiedziała Vida. Nigdy nie byli bliskimi przyjaciółmi, ale oboje byli admirałami i tym samym mieli wspólne zainteresowania.

– Wybieram się na jakiś tydzień w góry – poinformował ją Sabatino. – Jutro. – Przypomniało jej się, że zawsze lubił obozować w dziczy.

– Ja wybieram się na spacer – odpowiedziała Vida. – Kolacja?

– Czemu nie. – Machnął ręką i oddalił się do swojego apartamentu.

Na zewnątrz poczuła się zbyt odsłonięta. Wiatr burzył powierzchnię jeziora, tworząc niewielkie fale, i próbował zepchnąć Vidę na bok. W górze sunęły chmury, a za nimi prześwitywała przejrzysta pokrywa – zdaniem planetarnych niezwykle piękna – która ukrywała gwiazdy.

Dorastała na tej planecie, i wtedy nie miała nic przeciwko niebieskościom, szarościom, fioletom i różowi nieba czy wielu odcieniom chmur. Vida zmusiła się do szybszego marszu w dół wysypanej żwirem ścieżki, która prowadziła do jeziora. W oddali widać było odcinające się wyraźnie od wody żółte i czerwone żagle. Jedną z zalet

planety było to, że można było bardzo długo iść przed siebie i nigdy nie wracać po własnych śladach. Maszerowała szybko na wschód, daleko poza granice posiadłości Serrano. Tam, gdzie publiczna przystań dawała dostęp do wody osobom nie mającym własnych terenów, znajdowało się niewielkie skupisko sklepów.

Czekając w kolejce hałaśliwych dzieci, aby kupić sobie coś do picia i zjedzenia – wybrała herbatę i ciastko cynamonowe, a nie najchętniej kupowane przez dzieci słodkie napoje i kremy – odzyskała dobry humor. Planety wcale nie są takie złe. Usiadła na ławce pod sklepem, osłonięta przed wiatrem, i przyglądała się wzgórzom po drugiej stronie drogi. Jako dziecko wędrowała po nich, brodząc w strumieniach i badając ukryte dolinki. Potem zbiegała tutaj, rozgrzana i spragniona, by kupować te same słodkie napoje. Tak, planety nie są złe, jeśli człowiek znajdzie się na nich z własnego wyboru.

Będzie musiała znaleźć sobie jakieś pożyteczne zajęcie. Z tym postanowieniem ruszyła z powrotem w drogę; zanim dotarła do granicy rodzinnych terenów, była już gotowa zjeść kolację z Sabatino. Rozmawiali na temat muzyki i sztuki, jej kolekcji nowoczesnych obrazów i jego nagrań muzycznych. Potem kuzyn zaprosił ją do swojego apartamentu, aby wspólnie wysłuchali nowego koncertu fagotowego Malachy Vu Suby. Spędziła wieczór znacznie przyjemniej niż się spodziewała, spierając się na temat tego kontrowersyjnego dzieła. Ponieważ Vu Suba postanowił komponować na ten starożytny instrument, utwór mógł być wykonywany wyłącznie przez orkiestry posiadające instrumenty z epoki. Sabatino argumentował, że brzmienie muzyki jest wystarczająco oryginalne, by to miało sens, Vida zaś upierała się, że bardzo niewiele osób byłoby w stanie usłyszeć różnicę, gdyby wykonywano ją na innych instrumentach.

* * *

Następnego ranka Sabatino wyjechał, a ona wciąż nie wiedziała, co ma robić. Z powrotem podwracała swoje obrazy, przestawiła kilka drobiazgów i trzeci raz sprawdziła, czy wszystkie jej rzeczy zostały starannie rozłożone. Okrzyki z zewnątrz przyciągnęły ją do okna sypialni.

Najmniejsze dzieci Serrano bawiły się w ogrodzie między domami tak samo, jak kiedyś ona, krzycząc i śmiejąc się, jak to dzieci. Vida przyglądała się z góry placowi zabaw, zjeżdżalniom, wieżom i mostom, i trudno jej było uwierzyć, że kiedyś też była taka hałaśliwa. Teraz hałas zdawał się przebijać jej głowę drobnymi igiełkami.

Może będzie ciszej w archiwach. Zeszła po schodach do podziemnej biblioteki, mieszczącej najstarsze dokumenty należące do rodziny Serrano.

Po raz kolejny przeczytała biografię Rogera Xaviera, jedną z jej ulubionych (miał wszystkie przymioty bohatera, łącznie z tym, że zakochał się i zdobył serce pięknej heroiny, równie dzielnej jak on sam), i Millicenta, od urodzenia niewidomego, ale obdarzonego niezwykle zdolnościami poruszania się w przestrzeni. Zawsze chciała przeczytać o wuju dziadka, Alcandorze, jak wyrzucono go z Floty za przeschmugłowanie

na statek dla żartu młodego trójrożca... i jak przyjęto go z powrotem, ponieważ nikt inny nie był w stanie pozbyć się tego stworzenia. Ta historia wcale nie wyglądała tak dobrze w oficjalnej biografii, jak ta, którą Alcandor opowiadał jej na ganku domu dla emerytów, gdy był już emerytowanym komandorem ze sztywną nogą i dziwną zieloną plamą na ramieniu. Oficjalna biografia nie wspominała na przykład o uwielbieniu trójrożca dla kawy i szczególnych zwyczajach godowych stworzenia.

Vida spędziła kilka dni na przeglądaniu rodzinnych biografii, a kiedy ją to znudziło, rozejrzała się za czymś innym. Raporty bitewne, rejestry służby, rejestry urlopów, cienkie tomiki wierszy napisanych przez Serrano, którzy uważali się za poetów... Otworzyła jeden z nich i roześmiała się. Albo Amory David Serrano nie był szczególnie dobrym poetą, albo w ciągu ostatnich dwustu lat język mocno się zmienił. Ale za to Mercedes Esperanza pisała erotyki, które zdaniem Vidy powinny były podpalić całe archiwum... Mercedes zmarła w młodym wieku na typową gorączkę poetów. Ciekawe, jakim byłaby dowódcą?

Kilku Serrano pisało książki, w większości przeznaczone dla dzieci i przeważnie – przynajmniej według Vidy – dość kiepskie. Książka *Carlo i statek kosmiczny* mówiła o tym, jak na statku pasażerskim pojawia się dziecko i zadaje wiele oczywistych pytań, a przyjazne zwierzątko odpowiada na nie. Darowała sobie *Carlo i elektrownia* oraz *Carlo jedzie w góry*, za to przejrzała pobieżnie obrazki w *Helen to grzeczna dziewczynka* (mała Helen podaje dłoń, mała Helen siedzi prosto przy stole, mała Helen z niemożliwie słodkim uśmiechem oddaje statek kosmiczny płaczącemu dziecku; a przecież Serrano nawet w dzieciństwie nie oddawali z własnej woli statków) i omal nie przeoczyła *Dawno temu na Altiplano*.

Altiplano. Narzeczona jej wnuka pochodzi z tej planety. Wyciągnęła książeczkę spośród innych książek dla dzieci. Kartki były brązowe i kruche, a zamiast rysunków wklejono antyczne dwuwymiarowe zdjęcia.

– „Dawno temu na Altiplano rządziła wielka rodzina.”

Rodzina, której Serrano przysięgli służyć.

– „Była to piękna planeta, ze wspaniałymi górami o ośnieżonych szczytach i rozległymi równinami porośniętymi złotą trawą. Garcia-Macdonaldowie sprowadzili właśnie tam swoich ludzi, aby rozwijali się w dobrobycie i mnożyli na tej żyznej ziemi. Ich lojalni strażnicy i obrońcy, dzielni Serrano, pilnowali nieba nad nimi, chroniąc statki przed piratami.” – O tym także wiedziała. Serrano byli kosmiczną milicją. Ktoś inny zajmował się porządkiem na planecie.

– „Jednak zostali zdradzeni przez tych, którym powierzyli swoje bezpieczeństwo.”

– Vida poczuła dreszcz. Chyba nie zostali zdradzeni przez Serrano...

– „Przez swoich żołnierzy pilnujących planety.” – A więc nie Serrano, tylko ktoś inny.

– „I wszyscy zostali zabici – matki i ojcowie, i małe dzieci – z powodu

nikczemności buntowników i zdrajców. Dlatego właśnie modląc się, nie prosimy o błogosławieństwo dla mieszkańców Altiplano.”

Cóż to za dziwna książka dla dzieci! Wygląda bardziej na wspomnienia. Spojrzała na kolejną pozycję w rzędzie książek, ale znalazła tylko *Carlo odwiedza obserwatorium* i *Helen rozpoczyna szkołę* oraz *Troje młodych Serrano jedzie nad brzeg morza*. Nie było niczego więcej z taką samą brązową okładką.

Vida położyła swoje znalezisko na stole i zaczęła je oglądać. Bardzo, bardzo dziwne... Książka oczywiście była pisana ręcznie, a zdjęcia przyklejono czymś, co przebiło na drugą stronę kartek. Wszystkie zdjęcia były nieostre i wyblakłe; jedno chyba pokazywało dom, inne twarz, a reszta prawdopodobnie przedstawiała krajobrazy. Wklejone zdjęcia sprawiały, że książeczka wydawała się grubsza niż była w rzeczywistości.

Vida oglądała stronę po stronie, szukając jakichś śladów umożliwiających identyfikację. Jedno ze zdjęć odpadło i w tym miejscu papier lekko się zagiął. Przyjrzała mu się. Był cienki, prawie przezroczysty, zbrązowiały na zgięciach... Był bardzo, bardzo stary. Chyba powinna skontaktować się z rodzinnym bibliotekarzem, bo może uszkodziła książeczkę, rozkładając ją.

Ale nie mogła się powstrzymać, aby do niej nie zajrzeć.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Castle Rock

Po powrocie na Castle Rock Cecelia ze zdziwieniem stwierdziła, że Miranda opuściła nie tylko Pałac, ale i planetę. Sprawdziła w sieci i dowiedziała się, że jedynym członkiem rodziny, który pozostał na planecie, jest Brun. Dziewczyna przeprowadziła się do Appledale, posiadłości rodzinnej Thornbuckle'ów na Castle Rock. Cecelia zawsze lubiła Appledale z jego przyjemnymi widokami na pola i sady. Kiedy zadzwoniła, Brun – tak jak się spodziewała – zaoferowała jej gościnę.

Powitała ją we frontowych drzwiach i szybko wysłała służbę z jej bagażem na górę, a potem – po drodze do uroczego dziennego pokoju – zaczęła z oburzeniem opowiadać o Hobarcie Conselline, który został wybrany Mówcą Rady Ministrów.

– Hobart? – zamrugła Cecelia. – Nie jest taki zły, prawda?

– Zawsze był dla mnie uprzejmy. Nie miałam z nim wiele do czynienia, ale...

– Hobart to straszny despota – przerwała jej Brun. Usadziła Cecelię w wygodnym fotelu pokrytym perkalem i opadła na drugi. – Tylko poczekaj, aż usłyszysz... – I zaczęła wylewać z siebie potoki informacji, zaskakując Cecelię świetną znajomością stosunków panujących między rodzinami. Czy dziewczyna przypadkiem nie podsłuchiwała pod drzwiami tego, co się mówi, cały czas udając młodzieńczą bez troskę? Być może, w końcu jest to ta sama Brun, która przygotowała jej ucieczkę z domu opieki.

– Trudno mi w to wszystko uwierzyć – powiedziała w końcu Cecelia. – To znaczy... Hobart zawsze był nieco uparty, ale to się zdarza każdemu z nas. – Pokojówka przyniosła tacę z ciastkami i plastrami owoców oraz dzbanki z kawą i herbatą. Cecelia napełniła talerzyk plastrami jabłka i zaczęła je zjadać. Były tak świeże i chrupkie, jak pamiętała.

– Zbeształ na spotkaniu wuja stryjecznego Viktora. Viktora!

– A Stefan nie powiedział ani słowa. Znalazł pretekst, by pozbyć się większości ministrów, zastępując ich własnymi ludźmi, a teraz, gdy już ma głosy, nie ma dla niego znaczenia, że pozostało jeszcze kilku mianowanych przez tatę. – Brun na razie nie jadła, ale Cecelia chętnie poczęstowała się ciastkiem imbirowym.

– A co z Harlisem?

– Podejrzewam, że kupił Harlisa z pomocą nowego ministra sądownictwa, Norma Radsina. Wiesz, jak pomocne mogą być sądy w sprawach spadkowych...

– Faktycznie, wiem.

– Cóż, to zdumiewające, jak wiele rozstrzygnięć zapadło na korzyść Harlisa od czasu, gdy Norm objął ministerstwo. Bez Kevila Mahoneya lub dostępu do jego

prywatnych plików – a nikt, nawet George, nie zna jego kodów...

Ona zna. Cecelia wróciła myślami do ich ostatniej rozmowy, kiedy omawiali problemy prawne związane z orzeczeniem o jej niekompetencji. Kevil powierzył jej wtedy swoje kody, właśnie na wypadek tego rodzaju sytuacji.

– Czy ktoś próbował uznać Kevila za niezdolnego do podejmowania decyzji? – zapytała.

– Nic mi o tym nie wiadomo. Na pewno nie George. Czemu pytasz?

A czemu nie, pomyślała, skoro Kevil wciąż nie może się poruszać i korzystać z własnych plików. Czy nikt w jego biurze nie próbował się do nich dostać?

– No wiesz – mówiła dalej Brun – przydałyby nam się te informacje, ale nie będziemy naciskać, zwłaszcza po tym, co się stało z tobą.

– Jest przytomny?

– Tak, ale wydaje się niewiele pamiętać i ma problemy z koncentracją. Jego lekarze odradzają odmłodzenie z powodu rozmiarów uszkodzeń neurologicznych i odkrycia ostatnio przypadków wadliwych odmłodzeń we Flocie. – Brun naląła sobie w końcu filiżankę herbaty i wzięła ciastko.

– Nic o tym nie słyszałam.

– Bo to się wydało już po twoim odlocie. Niektórzy z podoficerów – bosmani – zaczęli wykazywać objawy demencji. Ja sama byłam świadkiem czegoś takiego na Copper Mountain, zanim... zanim odleciałam i zdarzyło się to wszystko. Utrata pamięci, irracjonalne procesy myślowe... Wspomniałam o tym Esmay, ale później się pokłóciłyśmy. W każdym razie jest ich wielu, a kiedy przeprowadzono badania, okazało się, że są jakieś błędy w samym procesie odmładzania. W tej chwili wysłali na urlopy chyba z połowę admirałów, którzy byli odmładzani, tak na wszelki wypadek. Nikt z nich nie wykazuje jeszcze żadnych niepokojących symptomów, jeśli nie liczyć Lepescu.

Cecelia skrzywiła się.

– Błędy w procesie czy niewłaściwe leki? Pamiętasz, co stało się na Patchcock...

– Ja też z początku myślałam, że to tylko partia wadliwych leków. Zapytałam o to oficjalnie na posiedzeniu Rady, ale Hobart stwierdził, że próbuję go postawić w trudnym położeniu i użyć tego jako pretekstu do rodzinnej rywalizacji. Jeden z jego wazelinarzy wstał i wygłosił bardzo długi monolog na temat genomu wsobnego u rodzin Floty.

– A co powiedziała Venezia Morrelline?

– Nie było jej tam. Nie mogę też znaleźć Heris ani Vidy Serrano. Wszyscy admirałowie Serrano zostali zawieszani w pełnieniu aktywnej służby; biura personalne Floty twierdzą, że nie wiedzą, gdzie można ich znaleźć. Heris podobno jest na statku, gdzieś na patrolu, niedostępna dla cywilów, ale to tłumaczenie nie ma sensu, bo przecież byłam w stanie skontaktować się z Esmay, która jest na PIR, gdzieś daleko na

drugim końcu przestrzeni Familii.

– Jak się ma Esmay? – zapytała Cecelia, żeby dać sobie czas na przemyślenie tych informacji.

– Tęskni za Barinem i martwi się o jego teksańskie żony, gdyż księgowość Floty zabiera całą pensję Barina na ich utrzymanie. Z tego, co się zorientowałam, nudzi się już trochę na PIR. Dowiedziała się też, że zdaniem Floty Oblubienice Ziemi nie powinny wychodzić za mąż za oficerów Floty.

– Przecież ona jest Oblubienicą!

– Tak, to właściwie jest zabawne. Esmay mówi, że wcale nie chciała nią zostać. Ale w tej chwili papierkowa robota i tak nie pozwala jej na poślubienie Barina, nawet gdyby nie obciążyli go utrzymaniem tych wszystkich kobiet z Nowego Teksasu. Biedna Esmay. – Brun roześmiała się cierpko. – Pierwszy raz w życiu jest zakochana. Pamiętam, jak tęskniłam do Tommy’ego Rakesellera, kiedy mnie pierwszy raz ostro dopadło; myślałam, że cały wszechświat sprzysiągł się przeciwko nam, bo rodzice wysłali go na obóz. Wiem, że to jest coś poważniejszego, ale dla niej jest to naprawdę trudne.

– A Barin?

– Barin jest na drugim końcu wszechświata, eskortuje tu Rangera z Konfederacji Samotnej Gwiazdy.

– Co?

– Tak. Ostrzegli mnie, a raczej zrobiła to Waltraude, ta szalona pani profesor, która kręci się przy kobietach z Nowego Teksasu. Nikomu nie przyszło do głowy, że przedstawienie mi Rangera może mnie zdenerwować. Mianowany przez Hobarta nowy minister spraw zagranicznych – zwolnił Cabby’ego Da Lancre’a za to, że odważył mu się sprzeciwić – zdecydował się zatrzaskać niewłaściwe drzwi do stajni, i to długo po tym, jak koń powrócił: zamroził wszystkie konta obywateli Konfederacji Samotnej Gwiazdy i zamknął granicę.

– Przecież Konfederacja nie miała z tym nic wspólnego.

– Ty to wiesz, mój ojciec to wiedział i nawet ja o tym wiem. Ale wszystko, czego potrzebował Hobart, to słowo „Teksas” i fakt, że są Aegistami, jak to nazywa. Konfederacja Samotnej Gwiazdy od stuleci jest naszym partnerem handlowym i nic dziwnego, że są zirytowani i przysłali kogoś, kto nas oświeci.

Cecelia rozparła się wygodnie w fotelu.

– Wiesz, Brun, trudno mi uwierzyć, że ze wszystkich ludzi właśnie ty przejawiasz zmysł polityczny.

Na chwilę pojawiła się dawna Brun.

– Mnie też. Wciąż sobie myślę „To nie ja, to moja bliźniaczka.” Ale jest jedna rzecz, której nauczyłam się w tamtym piekle: jeśli się nie uważa, człowiekowi

przytrafiają się różne złe rzeczy. Tak więc matka wróciła na Sirialis, by odszukać wszystkie pliki taty – niektóre z nich nigdy nie zostały tutaj przesłane – i spróbować odeprzeć ataki wuja Harlisa na rodzinne posiadłości. Tak więc zostałam tylko ja.

– Tak, rozumiem.

– A ty... znalazłaś dobry dom dla bliźniaków? – zapytała niemal proszącym tonem.

– Tak – odpowiedziała stanowczo Cecelia. – Bardzo dobry. Będą kochane i otoczone opieką.

– To dobrze. Kiedy już odleciałaś, pomyślałam o Raffaele, ale z drugiej strony ona już zbyt długo po mnie sprzątała. Cieszę się, że znalazłaś kogoś innego.

Cecelia nie zareagowała na jej słowa i szybko przeszła do innego tematu.

– Mówiłaś o nowym ministrze spraw zagranicznych. Kto nim jest?

– Drobną rodziną, wielką kanalia. Pedar Orregiemos. Pewnie o nim słyszałaś.

– Prawdę mówiąc, słyszałam. On... – Przerwała i zaczęła jeszcze raz. – Ma konie wyścigowe. Pokonałam go w tym roku na Wherrin.

– To dobrze. Szkoda, że go przy okazji nie stratowałaś. Powinnaś widzieć, jak się przymila do Hobarta, a ten się tym delectuje. Ten człowiek nie ma żadnego doświadczenia w dyplomacji i kontaktach z innymi państwami. Uważa, że każdy system polityczny, który nie uznaje odmładzania, jest dogłębnie zepsuty i na pewno będzie chciał nas zaatakować. Zdążył już obrazić Światy Półksiężycy, a przecież oni należą do nas. Co gorsza, uważa, że jest odpowiednią osobą do pocieszania wdów; wciąż mi sugeruje, że byłby świetnym ojczymem. – Brun wykonała gest obrazujący kneblowanie.

Cecelia znów spróbowała uciec od tematu Pedara. Nigdy jeszcze nie miała do czynienia z tyloma śliskimi tematami.

– Kto teraz kieruje ministerstwem kolonizacji?

– Kolejny pacholek Consellinów, Davor Vraimont – odpowiedziała Brun. – Dotarło do nich – cóż, pewnie tak, jak do wszystkich – że powtarzalne odmładzanie może doprowadzić do największej w dziejach eksplozji demograficznej oraz zgromadzenia bogactwa w rękach bardzo starych ludzi. A to oznacza mnóstwo ambitnych, sfrustrowanych młodych osób. Tak więc od jakiegoś czasu przyspiesza się tempo kolonizacji; nie wiedziałam o tym, ale Buttons powiedział mi, że rozmawiał na ten temat z tatą. Dowiedziałam się też, że klan Consellinów sporo zainwestował w firmy deweloperskie, lecz przewidywania co do tempa, w jakim nadmiar populacji może zostać wchłonięty przez nowo powstające kolonie, nie mają sensu. Tę informację udało mi się wyciągnąć od urzędnika ministerstwa kolonizacji, który został zwolniony za niesubordynację. To wszystko jest dość podejrzane.

– Hmm... Pamiętasz, że Ronnie jest moim siostrzeńcem – powiedziała ostrożnie Cecelia, starając się pohamować swoją gadatliwość.

– Tak, oczywiście.

– Jego rodzice martwią się sytuacją na planecie, na którą się przeniósł. Z tego, co słyszałam, nie dostarczono tam części materiałów objętych kontraktem i istnieje podejrzenie, że ktoś przechwytuje pocztę. Może Consellinowie liczą na to, że część kolonii upadnie, bo oni zarabiają na sprzedaży udziałów w zasiedlaniu nowych kolonii?

– Byłabym skłonna w to uwierzyć. Ale jak można tego dowieść?

– Nie wiem. Potrzebujemy Kevila – stwierdziła Cecelia. – Wybiorę się go odwiedzić.

– To... będzie dość trudne. Wiesz, że stracił też ramię.

– Nie, nie wiedziałam. Kiedy byłam w szpitalu, zanim odleciałam z maluchami, widziałam tylko niewyraźny kształt w łóżku. Poza tym nie miałam za wiele czasu.

– Próbują wyhodować nowe ramię, ale jak dotąd nic z tego nie wyszło, stracili już trzy zarodki. A George mówi, że on wciąż ma problemy z pamięcią i koncentracją.

– Nadal jest w szpitalu?

– Nie, przenieśli go do centrum rehabilitacyjnego, a potem George zabrał go do domu. Nasz cudowny nowy Mówca uznał, że stanowił zagrożenie dla ośrodka.

– No cóż, w takim razie odwiedzę go jutro. Może będę mogła jakoś pomóc.

– Wiesz – powiedziała wolno Brun – wuj Harlis kieruje korporacjami zagospodarowującymi planety dla klanu Barracloughów. – Pociągnęła długi łyk herbaty. – Na jakiej kolonii są Ronnie i Raffa?

– Excet-24.

– Niech to szlag. Miałam nadzieję, że na jednej z naszych kolonii, wtedy mogłabym coś popchnąć. Grupa Środowiskowa Excet to korporacja Consellinów. Ciekawe, czemu wybrali akurat tę planetę? Nie żeby teraz miało to jakieś znaczenie.

– Nie wiem – przyznała Cecelia. – Może udziały były tańsze?

– Możliwe. W każdym razie założę się, że coś się dzieje w tych nowych koloniach. Chciałabym mieć dostęp do dokumentacji Kevila, bo podejrzewam, że dane w głównych komputerach też zostały sfalszowane. – Brun przeciągnęła się. – A teraz, skoro przegadałyśmy całe popołudnie, co powiedziałaabyś na odwiedzenie stajni? Jak pewnie pamiętasz, nie mamy tu zbyt wiele koni, ale jest kilka sympatycznych klaczy, na których mogłybyśmy się przejechać po sadach, jeśli miałabyś ochotę.

Cecelia pokręciła głową.

– Nie, dziękuję, kochanie. Wszyscy uważają mnie za wariatkę z bzikami na punkcie koni, ale starym kobietom wolno czasem zaskakiwać młodzież. Przejdę się po ogrodach, jeśli można.

– Cóż, w takim razie ja pójdę popływać. Do zobaczenia na kolacji.

* * *

Drzwi do domu Mahoneyów otworzył Cecelii pielęgniarz w uniformie.

– Ser Mahoney jest w gabinecie, madame, ale... on nie jest do końca sobą.

Cecelia chciała zapytać, kim w takim razie jest – zdecydowanie nie podobały jej się te medyczne eufemizmy – ale oparła się pokusie. Poszła za pielęgniarzem szerokim, dobrze jej znanym korytarzem do domowego biura Kevila. Myślała o tym, co zobaczy, a równocześnie zastanawiała się, gdzie podzieli się ochroniarze. Jeśli obecność Kevila stanowi tak duże zagrożenie, czy nie powinien być chroniony? Ale nie widziała żadnych strażników.

– Ser George Mahoney jest na uniwersytecie – poinformował ją przez ramię pielęgniarz. – Wróci dopiero wieczorem.

Cecelia zmarszczyła brwi. Żadnej ochrony, jeden pielęgniarz na cały dzień... Coś tu jest nie tak.

Kevil spoczywał w dużym skórzanym fotelu. Jego twarz wyglądała dziwnie, jakby była wykrzywiona. Najwyraźniej zbiornik regeneracyjny nie był w stanie naprawić wszystkich uszkodzeń, gdyż brakowało mu części szczęki i skóra w tym miejscu była dziwnie wybrzuszona. W jego oczach Cecelia dostrzegła niepokój. Potem powoli – jakby szedł ciemnym korytarzem ze świecą w dłoni – pojawiła się iskierka świadcząca, że ją poznał.

– Cecelia...

– Tak.

– Wyglądasz... młodziej. Ufarbowałaś włosy?

Serce Cecelii ścisnęło się. Oczywiście, że wygląda młodziej, gdyż kilka lat temu poddała się odmłodzeniu do czterdziestki. Wiedział o tym. Spali ze sobą rok później.

– Odmłodzenie, Kevil – odpowiedziała dziarsko. Trudno jej było na niego patrzeć, ale wiedziała, że musi. – Przykro mi, że nie było mnie tutaj, kiedy zostałeś ranny – powiedziała.

– Mnie... też. Nie... pamiętam... wszystkiego.

Czyjego niewyraźny głos jest spowodowany odniesionymi ranami czy działaniem leków? Cecelia rozejrzała się po pokoju, ale nie widziała żadnych lekarstw.

– Odwiedziłam Ronniego i Raffaele – powiedziała. Ku jej radości iskra w jego oczach pojaśniała.

– Jak się... mają?

– Całkiem dobrze, jeśli nie liczyć tego, że firma zagospodarowująca planetę, na której osiedli, dopuściła się jakichś nadużyć. – Opowiedziała mu o tym, cały czas starając się ocenić jego zdolność skupienia uwagi po wyrazie twarzy. Przez kilka minut potrafił nawet być starym Kevilem – błyszczące oczy i zamyślona twarz. Potem mrugał i skupienie mijało. Przerywała wtedy i czekała, aż znów się pozbiera.

– Ty... naprawdę... mówisz do mnie. – Uśmiechnął się, tym razem szczerze.

- Oczywiście, że tak. Wiem, że potrzebujesz czymś zająć umysł.
- Tak. Wciąż zadają mi... pytania... robią testy... Nie pamiętam...
- Nienawidziłam ich. – Cecelia przypomniła sobie własną rekonwalescencję i durne pytania ze standardowych testów.
- Podaj nazwy trzech warzyw, pięciu owoców...
- Podaj nazwisko prezesa Grupy Środowiskowej Excet – powiedziała nagle Cecelia, jakby chodziło o kolejną pozycję na liście.
- Silvester Conselline – odpowiedział natychmiast Kevil, a potem spojrzał na nią ze zdziwieniem. – Co to było?
- Rozsądne pytanie. Takie, na które chciałam dostać odpowiedź. Jak już mówiłam, Ronnie i Raffa zostali praktycznie porzuceni na Excet-24, a Brun mówi, że to planeta kolonialna Grupy Excet. Chcę wiedzieć, kto jest odpowiedzialny za pozbawienie kolonii zasobów niezbędnych do zasiedlenia i personelu.
- Prawdopodobnie nie Silvester. – Kevil był coraz bardziej ożywiony. – On głównie próbuje przekonać świat, że jest wielkim kompozytorem. Ale ma skłonność do podpisywania wszystkiego, co mu się podsunie pod nos.
- Rozległo się pukanie do drzwi i do środka zajrzał pielęgniarz. Miał taki wyraz twarzy, że Cecelia nie miała ochoty go oglądać.
- Ser Mahoney potrzebuje odpoczynku, madame.
- Proszę bardzo, niech pan zrobi sobie przerwę – powiedziała Cecelia. – Mam doświadczenie, sama przechodziłam rekonwalescencję.
- Ale jego lunch... dieta...
- Potrafię gotować. Proszę iść.
- W końcu wyszedł, protestując, ostrzegając i mamrocząc coś pod nosem. Cecelia obserwowała na ekranie skanu, jak wychodzi na ulicę i wsiada do kolejki.
- Nadgorliwy – powiedziała do Kevila.
- Myślisz... że coś knuje? – zapytał.
- Pielęgniarze zawsze coś knują. – Wyciągnęła z torby szyfrator. Kevil popatrzył na nią ze zdziwieniem. – Pozostało mi to z czasów z Heris Serrano i tymi uciekinierami z Floty, których przygarnęła do mojej załogi. Dopiero po jakimś czasie doceniłam ich dobre rady. Zawsze noś ze sobą coś, czym możesz podejrzyć cudze dane, i zawsze chroń własne rozmowy.
- Kevil uśmiechnął się szeroko.
- Zawsze byłaś bystrzejsza... niż wszyscy sądzili.
- Tak, podobnie jak ty. Kevil, co się stało? Czemu jest tutaj tylko jeden pielęgniarz? Dlaczego nie masz nowego ramienia?
- Brak pieniędzy.

Cecelia popatrzyła na niego zdziwiona.

– Ależ, Kevil, zawsze miałeś pieniądze, całe mnóstwo pieniędzy.

– Już nie. Nie... mam.

– Ale co się stało?

– Nie wiem. Jednego dnia jeszcze były, następnego przepadły. George próbował, ale nie umiał ustalić...

– Ktoś zmienił bazę danych? Przecież ludzie by to zauważyli.

– Zauważyliby tylko ci, którzy normalnie zajmują się moim kontem, chyba że zostali przeniesieni.

– A to wcale nie jest trudne... – zadumała się Cecelia. – We wszystkich ministerstwach siedzą nowi szefowie i wszędzie panuje potężny bałagan.

– Tak. Wydaje mi się... że to się stało... po śmierci Bunny'ego. Jeśli to prawda, oznaczałoby to... nie, mogłoby oznaczać, że ta sama osoba lub osoby zaplanowały zamach na życie Bunny'ego i fortunę Kevila.

– To dlatego... że coś wiem... ale, Cece, nie pamiętam, co takiego miałbym wiedzieć. Nie pamiętam. Nie potrafię myśleć... – Mięśnie na jego twarzy napięły się, potrząsnął ręką.

– Kevil, uspokój się, proszę. Przygotuję ci lunch. Pójdiesz ze mną do kuchni i jeszcze porozmawiamy. Wiem, że mogę ci pomóc.

Podniesienie Kevila wymagało sporego wysiłku; Cecelia z trudem powstrzymała furię na widok jego nierównego, chwiejnego chodu. Ale w kuchni zdawał się czuć znacznie lepiej, siedząc na krześle ze zdrowym ramieniem opartym na szerokim drewnianym stole.

– Zakładam, że nie masz kucharza również z powodu pieniędzy.

– Tak.

Przygotowała mu owoce, chleb i ser. W lodówce stały budynie, ale im nie ufała – można było w nich podać leki. Kevil jadł niezgrabnie lewą ręką.

– Kevil, czy pamiętasz, że dałeś mi swoje kody dostępu?

Zwrócił na nią puste spojrzenie.

– Kody dostępu?

– To było drugiej nocy, kiedy doszliśmy do wniosku, że nic z tego nie będzie. Powiedziałeś: „Jeśli kiedyś znajdę się w takim samym stanie jak ty, chcę cię mieć po swojej stronie”. I dałeś mi je. Zapomniałeś o tym, ale ja nie.

– Cecelia...

– Kiedy George wróci do domu, weźmiemy się do pracy. Nie ma czasu do stracenia.

– Nie mogę... wiele pomóc.

– Zrobiłeś to lata temu. Teraz my zajmiemy się wszystkim. – Cecelia w myślach złażała sama siebie – znów zmienia się w pomagającą wszystkim ciotkę. No cóż, jeśli teraz jej kolej wykazać się obywatelską postawą i wspierać innych, chce to zrobić jak najlepiej. Właśnie przyszedł jej do głowy kolejny genialny pomysł.

* * *

Waltraude Meyerson, etatowy profesor studiów starożytnych, teraz wypożyczona Zawodowej Służbie Kosmicznej jako konsultant do spraw historii i kultury Teksasu, siedziała cicho w rogu pokoju z włączonym rejestratorem, przyglądając się, jak kobiety z Nowego Teksasu spierają się na temat religii i edukacji.

Miała nadzieję, że jej obecność nie wpływa na obiekt obserwacji. Był to pierwszy konflikt między kobietami, które uciekły z Nowego Teksasu, i była tym zafascynowana.

Upłynęło wiele miesięcy, a dopiero teraz zaczynała się rozpadać ich sztywna hierarchia. Domostwami kierowały pierwsze żony Rangersów, nazywane Prim. Prima Bowie, którą Waltraude poznała najlepiej, zajmowała w hierarchii drugą pozycję; przewyższała ją statusem pierwsza żona kapitana, czyli Prima Travis. Ta jednak była starsza i mniej żywotna niż Prima Bowie, więc zazwyczaj pozwalała jej podejmować decyzje. Ale nie dzisiaj.

Znów kłóciły się na temat szkół. Zgodnie z prawem Familii wszystkie dzieci powinny chodzić do szkoły. Rodzice mogli wybierać z szerokiego wachlarza szkół lub uczyć dzieci w domu, a wymagania – według Waltraude – były minimalne. Dzieci musiały opanować przynajmniej dwa języki, poznać podstawy nauk przyrodniczych i matematyki oraz kodeks obywatelski. Jednak te kobiety od samego początku odmawiały wysłania dzieci do szkoły. Nikt nie był w stanie zrozumieć powodów, ponieważ nie chciały tłumaczyć czegoś, co uznawały za oczywiste. Teraz, słuchając ich kłótni, Waltraude zaczynała pojmować problem.

– Chłopcy i dziewczynki razem! Nie ma mowy! – Prima Travis była nieugięta. – Zostaną ohydztwami!

– Przecież są także odrębne szkoły dla dziewczynek i chłopców – powiedziała Prima Bowie. – Większość szkół wyznaniowych...

– Ale nie naszej wiary! – Prima Travis pociągnęła nosem. – To poganie albo jeszcze gorzej.

– Ale...

– Nigdy nie należało odchodzić – stwierdziła Prima Travis. – Źle zrobiliśmy. Powinnyśmy wrócić. – Waltraude zauważyła, że kilka młodszych żon Travis potakuje, ale jedna z nich zacisnęła usta i przybrała uparty wyraz twarzy. Waltraude policzyła – trzecia w kolejności, czyli Tercja.

– Mężczyźni nas okłamali – odezwała się Prima Bowie. – Zabili matki...

– Ty tak powiedziałaś – przerwała jej Prima Travis. – Nigdy nie widziałam obrazów, o których opowiadałaś.

– Słyszałaś Cierpliwość... Hazel – przypomniała jej Prima Bowie. – To dobra dziewczyna...

– Ona nie jest dobrą dziewczyną, tylko jedną z nich. Primo Bowie, mózg ci wyciekł uszami czy co? Ona jest jedną z nich, ohydztwem. Chodzi w męskich spodniach, ma do czynienia z maszynami...

– Założę się, że ma implant – rzuciła szyderczo Sekunda Travis. Prima Travis odwróciła się i trzasnęła ją dłonią w twarz.

– Nie będziesz mówić takich słów, dziewczyno!

– Ja tylko...

– I nie kłóć się ze mną! Widzisz, co się dzieje, Primo Bowie? Opuściłyśmy nasze prawowite miejsce i mamy teraz kłótnie i brzydkie słowa.

– Nie możemy wrócić – zauważyła Prima Bowie. – Zabiją nas.

– I powinni – oświadczyła Prima Travis.

– A więc uważasz, że powinniśmy wrócić, zginąć i pozwolić, aby nasze dzieci zostały sierotami?

– Nie, ale musimy znaleźć właściwy sposób na życie. Jesteśmy jak stłoczone w jednym miejscu pszczoły, które nie mają gdzie zbierać miodu. – Po tych słowach Prima Travis wstała i wyprowadziła całą swoją rodzinę ze wspólnego pokoju do własnego małego ula, a Waltraude pomyślała, że w okolicy jest więcej żądań niż miodu.

Wyłączyła rejestrator i poczekała, aż pozostałe kobiety wrócą do swojej pracy.

– Prima...

– Nazywaj mnie Ruth Ann. Nie jestem już pierwszą żoną. Mitch nie żyje, a ten chłopiec nie ożeni się ze mną; teraz to rozumiem.

– Dobrze, Ruth Ann. Jak myślisz, gdzie byłabyś szczęśliwa?

– Nigdzie nie będę. – Szeroką twarz kobiety wykrzywił gniew. – Nie w takim świecie.

– W Familiach jest wiele różnych planet – zauważyła Waltraude. – Możesz mi powiedzieć, gdzie wolałabyś być? Może w jakimś mniejszym mieście?

– Hazel powiedziała, że są takie, ale jak możemy się tam dostać? Nie możemy po prostu pójść i poprosić, żeby zabrał nas jakiś statek kosmiczny. Jeśli to nie może być dom... to wolałabym jakieś ciche miejsce. Tutaj zawsze jest głośno, maszyny tak hałasują. Lubię ciszę, przestrzeń. Może gdzieś, gdzie mogłabym widzieć pola. Zawsze mi tego brakowało, gdy z Mitchem przenieśliśmy się do miasta, gdzie nie było już pól. Ogród to nie to samo. Chciałabym mieszkać gdzieś, gdzie ludzie nie śmialiby się z mojego braku wykształcenia, gdzie mogłabym robić coś wartościowego. Ale wątpię, żebyście mieli takie miejsca w waszej wymyślnej konfederacji.

Waltraude uśmiechnęła się.

– Ależ mamy, Ruth Ann. Przede wszystkim musisz znaleźć się na planecie, a nie na stacji kosmicznej. I to na takiej planecie, gdzie potrzebne są umiejętności, które wy opanowałyście. Ogrodnictwo, tkactwo, szycie, gotowanie... Powiedz mi, czy wasi chłopcy potrafią używać narzędzi?

– Starsi tak. Chłopcy robią większość mebli do domu, a potem sami je naprawiają.

– Meble z drewna? Na waszej planecie były drzewa, prawda?

– Tak, oczywiście. – Ruth Ann urwała, marszcząc brwi. – Czy są planety bez drzew?

– Tak, są takie planety. Ruth Ann, Familie mają setki zamieszkałych planet i cały czas otwierają nowe dla kolonizacji. A kolonie potrzebują pionierów. Jak sama dziś trafnie zauważyłaś, większość z nas nie potrafi bez komputera nawet zagotować wody. Wy potraficie rozpalać ogniska. Wiecie, jak zrobić chleb ze zboża, i założę się, że starsi chłopcy potrafią nawet zrobić młyn.

– Oczywiście, że tak – zapewniła Ruth Ann. Waltraude poczuła uśmiech powoli wydobywający się z pełnego trosk serca, i tak jak się spodziewała, po chwili pojawił się na twarzy kobiety. – Naprawdę wierzysz, że moglibyśmy zamieszkać w takim miejscu? Ale jak? Nie mamy pieniędzy.

– Znam kogoś, kto ma – odpowiedziała Waltraude. – I sporo wam zawdzięcza. Jedyne problem to powiązać ze sobą fakty. Ale od tego właśnie są naukowcy.

– Od wiązania ze sobą faktów?

– Tak, to nasza praca, choć większość ludzi o tym nie wie. Myślę, że jesteśmy od zbierania informacji – a przecież tym może zajmować się każdy – gdy tymczasem my odkrywamy, które informacje da się ze sobą połączyć.

– Pomożesz nam? Przecież ty uważasz, że jesteśmy ignorantkami.

– Tak, w historii, ale nie w życiu. Oczywiście, że wam pomogę. Każda przyzwoita osoba pomaga innym; to jedna z rzeczy, dla których istnieją ludzie.

– Jakiej... jesteś religii?

– Nie znasz jej, a jeśli ci powiem, będziesz się czuła zakłopotana. – Waltraude podniosła swoją torbę. – Prima... Ruth Ann, nie będzie mnie przez kilka tygodni; zostałam poproszona o eskortowanie dyplomaty z Konfederacji Samotnej Gwiazdy na Castle Rock. Ale pozwól, że pokażę ci tylko... – Wyciągnęła jakieś papierowe reklamy planet kolonizacyjnych. – Widzisz? Może coś wam się spodoba.

– Ale co powie na to nasz obrońca? Musiałby wyrazić zgodę. Waltraude przypomniała sobie o zasłyszanych plotkach na temat młodego Barina Serrano i jego problemów z kobietami.

– Myślę że będzie zachwycony, jeśli znajdziecie sobie miejsce, gdzie będziecie szczęśliwi.

– I gdzie będziemy żyć we właściwy sposób – powiedziała kobieta i na jej twarzy znów pojawiły się zmarszczki. – Szczęście to nie wszystko. To, że nasi mężczyźni robili złe rzeczy, nie znaczy, że we wszystkim się mylili. Chcę, żeby moje dzieci wyrosły na dobrych, bogobojnych mężczyzn i kobiety.

– Jestem pewna, że znajdziesz właściwe miejsce, Ruth Ann – zapewniła ją Waltraude. – Pomogę wam, jak tylko wrócę.

* * *

Esmay wiedziała, że na Rockhouse Major jest wszystko, czego może chcieć dwójka zakochanych oficerów. Musiała tylko dostać się z OSK *Shrike* w Sektorze Siedem do Dowództwa Sektora, a stamtąd do układu Castle Rock. W końcu udało jej się skontaktować z Barinem i doszli do wniosku, że Castle Rock jest jedynym rozsądnym miejscem, gdzie mogliby się spotkać, ponieważ *Gryfalcon* spędzi tam kilka dni. Castle Rock leżało przy tym na trasie do miejsca jej nowego przydziału i miało mnóstwo połączeń pasażerskich, jednak ciągle coś ją zatrzymywało. Już wyobrażała sobie z przerażeniem Barina przylatującego dokładnie na czas... po czym czekającego i pełnego wątpliwości, czy ona w ogóle się tam pojawi, a nawet odlatującego przed jej przylotem tą nędzną imitacją statku...

* * *

Barin dostrzegł Esmay chwilę przedtem, zanim ona jego zauważyła. Miała zatroskany wyraz twarzy. Kiedy ich spojrzenia się spotkały, uśmiechnęła się.

– Ile masz czasu? – zapytała, gdy usiedli przy pustym stole w hali przylotów.

– Cztery godziny – odpowiedział Barin ze złością. – Miałem mieć czterdzieści osiem godzin, ale...

– Ja tak samo – przerwała mu Esmay. – Powinam tu trafić trzy dni temu, ale ten piekielny statek miał problemy ze służą; najpierw całymi godzinami wisieliśmy przy stacji naprawczej w Dowództwie, potem przenieśli nas na starego *Bowfina*, nie dając czasu na przesłanie żadnych wiadomości, a później statek nie był w stanie wyciągnąć więcej niż siedemdziesiąt dwa procent normalnej mocy i strasznie się wlekliśmy... Bałam się, że już odleciałeś.

– Niewiele brakowało. Na wszelki wypadek zostawiłem ci wiadomość. – Barin przechylił głowę i wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Nie mogą chyba aranżować całego tego bałaganu tylko po to, żeby nas rozdzielić – stwierdził. – Byłoby to kosztowne nadużycie zasobów Floty.

– Cokolwiek to jest, strasznie mnie denerwuje. Czy twoja rodzina wciąż jest przeciwko nam?

– Tak. Uważają, że powinniśmy poczekać, aż rozwiąże się sprawa tych kobiet z Nowego Teksasu. A niby jak mam to załatwić? To może potrwać lata. A co z tobą?

Esmay pokazała mu wiadomość, która w końcu do niej dotarła z wszystkimi formalnymi pieczęciami.

– Posiadacze Ziemsy są zdenerwowani. Potrafisz czytać pismo Kurlik? Napisali, że nie mogą się zgodzić, by Oblubienica Ziemi wyszła za cudzoziemca, a w szczególności za zagranicznego oficera.

– Przecież ja nie jestem zagranicznym oficerem – zaprotestował Barin.

– Ja to wiem i ty to wiesz. Ale Altiplano...

– Nie chcę niczego cię pozbawiać – rzekł Barin. – Opowiadałaś mi, jak to jest być Oblubienicą; to cudowna rzecz.

– To utrapienie – zaprotestowała Esmay. – Nigdy nie spodziewałam się nią zostać; zgodziłam się, ponieważ myślałam, że cię straciłam... i... W każdym razie przyjąłam to w sytuacji kryzysowej, która już minęła. Mój ojciec bardzo szybko zdał sobie sprawę, że mogę zrezygnować z tytułu, choć to nie zdarza się często. – Właściwie nigdy tego nie robiono, z wyjątkiem przypadków szaleństwa czy trwałego kalectwa lub wyjątkowo podeszłego wieku. Nie miała ochoty myśleć, że małżeństwo może być taką samą przeszkodą, jak choroba psychiczna czy trwałe kalectwo. – Muszę tylko dostać urlop, żeby tam polecieć. Mogę wyznaczyć swojego pełnomocnika, ale to nie to samo, co następna Oblubienica. Mój ojciec mówi, że jeśli wyjdę za ciebie, Gildia Ziemian może unieważnić moją decyzję i próbować wtrącać się w sprawy rodziny. A wtedy byłoby bardzo źle.

– Rozumiem. Wciąż nie umiemy obejść przepisów Floty. Nawet jeśli zrezygnujesz z bycia Oblubienicą, nie możesz przestać być córką komendanta sektora. Czy nie wydaje ci się, że jest to znacznie trudniejsze niż się spodziewaliśmy?

– Tak. Gdyby to było takie trudne dla wszystkich, nikt nigdy by się nie żenił.

Przez chwilę wpatrywali się w siebie ponuro. Potem Esmay wyprostowała się.

– Nie zmarnujmy tego. Mamy cztery godziny, a raczej trzy godziny i czterdzieści dwie minuty.

– Nie sądzę, żeby udało nam się pobrać w trzy godziny i czterdzieści dwie minuty – rzekł ze smutkiem Barin. – A może wystarczy godzina na ślub i dwie na cieszenie się nim?

Esmay roześmiała się.

– To zajmuje znacznie więcej czasu, nie ma szans. Ale możemy zająć się czymś przyjemniejszym niż siedzenie w hałaśliwej sali nad kiepskim jedzeniem.

– Racja. Ale to ty będziesz musiała zapłacić. Ja nie mam ani grosza. – Reakcją na jego słowa był śmiech obojga.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

J.C. Chandler, Prezydent Konfederacji Samotnej Gwiazdy, oglądał wiadomości, zagryzając dolną wargę. Oto kłopoty przez duże K, a on nie ma pojęcia, jak sobie z nimi poradzić. Ostatnimi laty i bez tego rodzaju bzdur mieli dość problemów z Familiami Regnant.

– To źle wygląda, J.C. – stwierdził Millicent.

– Na świecie zawsze są jacyś wariaci – odpowiedział Rammie, odchylając się w fotelu z dłońmi złożonymi na brzuchu. – To nie nasza wina, że nazywają siebie Tekszańczykami.

J.C. poczekał, aż nastąpi podsumowanie wiadomości, po czym wyłączył czytnik i oparł ręce na stole. Czas na poważną rozmowę.

– Ta nowa administracja zamknęła granicę dla obywateli Samotnej Gwiazdy – powiedział bez żadnych wstępów. – Mówią, że nie mogą nam zagwarantować bezpieczeństwa, i przysłali nam to zamiast wyjaśnień. Ale nie odwołali personelu swojej ambasady.

– Przecież to nie byliśmy my – stwierdził Millicent. – Tamci idioci są po drugiej stronie przestrzeni Familii.

– Nawet na drugim końcu dłuższej osi – poprawił go Rammie. – Jeśli spojrzysz na geometrię przestrzenną...

– Liczy się tylko to – uciszył ich J.C. – że zamknęli granicę. I zamrozili nasze aktywa w bankach.

– Nie mogą tego zrobić! – wykrzyknął Rammie, prostując się tak gwałtownie, że jego fotel aż odskoczył do tyłu. – Układ z Poldek jasno stanowi...

– Ale to zrobili. – J.C. ponownie przerwał Rammiemu; starszego mężczyznę trudno było przegadać, ale tym razem chyba skutecznie usadził go w miejscu.

– Zaledwie rok temu przenieśliśmy cały ruchomy kapitał rodziny do Goodricha & Scanlona. To nierozsądne...

– Twierdzą, że możemy finansować naszych „rodaków”, jak ich nazywają, nawet jeśli sami się w to nie angażujemy. Chcą wiedzieć, co robimy z naszymi pieniędzmi.

– Pomnażamy je, tak samo jak oni swoje. – Rammie sapnął, wydymając poczerwieniałe policzki. – Za kogo oni nas mają, za durnych wieśniaków?

Prawdopodobnie tak, pomyślał J.C., ale nie o to teraz chodzi.

– Chcę powiedzieć Gabinetowi i Kongresowi – rzekł – że wysyłamy śledczych, którzy im pomogą.

– Pomogą im? W czym? Obrobić nas do czysta?

– Nie, pomogą im w sprawach dotyczących Teksasu. Oni szukają na oślep, gdyż

nie widzą różnicy między tamtymi idiotami i nami. Możemy im pomóc.

– Powiedzieli, że mają naukowca, tę kobietę Meyersonów.

– Milly, czemu mówisz o niej „ta kobieta Meyersonów”? To nie pomoże naszemu wizerunkowi.

– Lubilem profesora Lemona – przyznał szczerze Millicent.

– Przysyłał mi takie miłe listy... No dobrze, masz rację, to nie fair. Powinniśmy im pomóc – nawet Meyerson – jeśli nam pozwolą.

* * *

Z czystego przyzwyczajenia i szacunku dla tradycji Konfederacja Samotnej Gwiazdy utrzymała dla organów bezpieczeństwa wewnętrznego termin „Rangersi”. Nikomu to od stuleci nie przeszkadzało – nawet Familiom Regnant – ale w tej chwili Familie miały powód, żeby źle reagować na tę nazwę. Przywłaszczenie jej przez czubków z Bogobojnej Milicji Nowego Teksasu sprawiło, że prawdziwi Rangersi zaczęli żałować, iż nie zmienili nazwy w ubiegłych stuleciach.

Mimo wszystko to nie była wina Konfederacji Samotnej Gwiazdy. Ponieważ wszyscy Rangersi przechodzili odpowiednie szkolenie w zakresie prowadzenia śledztwa – a nie mieli zamiaru zmieniać nazwy teraz, tylko po to, żeby zadowolić Familie Regnant – postanowili, że wyślą do nich Rangera.

Początkowo nie wiedzieli, kogo wybrać... ale już wkrótce pewną kandydatką została Katherine Anne Briarly. Poznanie takiej kobiety jak Katie Anne przekona Familie, iż Rangersi Samotnej Gwiazdy różnią się od tamtych zarówno ciałem, jak i duchem. A zwłaszcza ciałem.

Ponadto pozwoli to na kilka miesięcy usunąć Katie Anne sprzed oczu wszystkich. Zaczynała już przesadnie się wywyższać, od kiedy wuj Beau przydzielił ją do Sądu Najwyższego. Zachowywała się tak bardzo teksańsko, że nawet Tekszańcy nie mogli tego znieść.

* * *

Ranger Katherine Anne Briarly przybyła do ambasady Familii Regnant ubrana w dwuczęściowy kostium, który podkreślał wszystkie jej zalety oprócz rozumu, ale w opinii Kate nie można mózgu wystawić na pokaz bez wywoływania u ludzi mdłości. Jej skłębione szaro-blond włosy spadały na ramiona, a jasnoniebieskie oczy mrugały do stojących przy bramie strażników KSK. Żaden jednak nie odpowiedział tym samym.

– Cześć – powiedziała, wyciągając swoje dokumenty. – Jestem Kate Briarly i czekacie na mnie.

Brama za strażnikami otworzyła się i stanęła oko w oko z całym oddziałem.

Przywódca – czy jak tam się nazywał – wyszedł przed front, wziął jej dokumenty i spojrzał najpierw na zdjęcie, a potem na nią.

– Pani jest Ranger Katherine Anne Briarly?

– Jasne. To oficjalne zdjęcie w mundurze, ale nie widziałam powodu, żeby wbijać się w mundur na przyjacielską wizytę. Pomyślałam, że i tak będziecie tu mieć skaner.

– Faktycznie. Proszę tędy. – Poszła za młodym mężczyzną w stronę przenośnej budki ustawionej na dziedzińcu, ignorując zgrzyt butów idącego za nią oddziału. Szykowała się niezła zabawa.

Była tym, za kogo się podawała – wzór siatkówki, odciski palców, wzór głosu, wszystkie skany... – i po dziesięciu minutach była już na górze, gdzie czekała na spotkanie z ambasadorem.

– Sera... Ranger... Briarly...

– Och, proszę mówić do mnie Kate – zaproponowała, uśmiechając się szeroko. Ambasador zamrugął.

– To wbrew przepisom – wymamrotał.

– Wiem – przyznała Kate – ale kto na pana doniesie? Ja nie.

– Otrzymałem pozwolenie na wpuszczenie w przestrzeń Familii dwóch Rangersów, którzy mają pomóc w śledztwie...

– Nie potrzebujecie dwóch – przerwała mu Kate. – Polecę sama.

– Ale...

– Tak będzie prościej. Pilnowanie jednej osoby będzie was mniej kosztować. Zresztą taka jest tradycja.

Widziała już ambasadora trzy lata temu, gdy zajmowała się ochroną balu Stowarzyszenia Hodowców Bydła, ale była wtedy w mundurze, a włosy splótła w elegancki francuski warkocz. Nie miała wątpliwości, że ambasador jej nie pamięta. Tym lepiej.

– Zdaję sobie sprawę z waszego zaniepokojenia, że możemy być w jakiś sposób powiązani z tymi czubkami z Nowego Teksasu.

– Rzeczywiście wyrażono taką troskę – powiedział ambasador. – Próbowałem zapewnić Wielką Radę, że jesteście... że wy... jesteście Konfederacją Samotnej Gwiazdy... i nie stanowicie części tamtej grupy.

– O niebiosy, oczywiście, że nie – zapewniła go Kate. – Chciałabym zobaczyć, jak ktoś nas zmusza do noszenia takich ubrań!

– I boso stopy... Niech to szlag, nigdy nie zobaczyłby mnie pan ganiającej boso. – Wskazała na swoje długie, eleganckie buty w teksańskim stylu, z wysokimi obcasami.

– Mamy nowy rząd – wyjaśnił jej ambasador. – Nowego Mówcę, nowych ministrów spraw zagranicznych i obrony. Niezręcznie mi jest zrzucać winę na ich brak doświadczenia, ale oni po prostu nie chcą mnie słuchać. Podróżowała już pani

wcześniej w przestrzeni Familii, Sera... hmmm... Rangerze?

– Kate – powtórzyła. – Nie, osobiście nie. Byłam w Bluebonnet, West i Banhandle, ale nie w Familiach. To będzie dobra zabawa.

* * *

Na granicy okazało się, że na końcu rury dokowej czeka na nią eskorta w postaci szczupłego młodzieńca o twarzy jakby wyrzeźbionej z brązu.

– Podporucznik Serrano – przedstawił się. – Rangerze Briarly, pani bagaż zostanie przeniesiony...

– Och, mów mi Kate – powiedziała, uśmiechając się. Ale on nie uśmiechnął się w odpowiedzi.

– Ma pani wejść na pokład *Gryfalcona* – powiedział. – To najszybszy transport do Castle Rock, gdzie zbiera się grupa uderzeniowa.

– Aresztuje mnie pan? – zapytała Kate. Rozejrzała się po holu doku, pomalowanym jej zdaniem nijakimi kolorami, bladym błękitem i zielenią, i zauważyła stojących przy wejściu dwóch mężczyzn i kobietę w mundurach KSK.

– Nie, proszę pani – odpowiedział młodzieniec. – Tylko panią eskortuję.

Kate przechyliła głowę, próbując go ocenić. Z jej doświadczenia wynikało, że młodzi mężczyźni w jego wieku topnieli od jednego jej uśmiechu, a tymczasem on nie reagował. Cóż, może ma inne preferencje, ale mimo wszystko...

– Dobrze – stwierdziła. – Chodźmy. – Odwrócił się równie szybko jak ona i ruszyli razem przejściem, w którym ustawiła się reszta eskorty, a następnie szerokim korytarzem prowadzącym do rury transportowej. Kate zatrzymała się.

– Nie wejdę tam – oświadczyła.

– Nie macie u siebie rur?

– Nie, my mamy podłogi w windach. Nikt nie będzie mi zaglądał pod spódnice...

– Dobrze, w takim razie pojedziemy kolejką. – Zaprowadził ją na stację, gdzie wsunął do portu jakiś rodzaj infopręta, i przejeżdżający wagonik zatrzymał się, otwierając drzwi dokładnie naprzeciwko nich. Kate była pod wrażeniem, ale nawet mimo jej zachwyty mężczyzna wciąż nie topniał. Znów uważnie mu się przyjrzała. Nie może być homo; oni wszyscy mają w sobie coś... szczególnego. Więc albo naprawdę nienawidzi Tekszańczyków, albo... opiera się jej, bo ma dziewczynę.

W czasie posiłku w mesie oficerskiej pierwszy raz miała okazję powiedzieć coś więcej niż tylko mamrotać uprzejme pozdrowienia.

– Odwiedzała już pani kiedyś przestrzeń Familii, Rangerze Briarly? – zapytał pierwszy oficer siedzący u jej boku. Nie była pewna, co robi pierwszy oficer, ale nauczyła się rozpoznawać insygnia i wiedziała, że jest komandorem porucznikiem.

– Nie, i mam nadzieję, że zobaczę coś więcej niż tylko wnętrze stacji przesiadkowej i tego statku.

– Co chciałyby pani zobaczyć?

– Och, wszystkie te miejsca, które reklamują broszury turystyczne. Lodospady Langsdon. Lasy mgielne Chuzillery. Sala Wielkiej Rady na Castle Rock. Chciałam także zobaczyć waszego króla, gdy jeszcze go mieliście.

– Czemu?

– To takie romantyczne – stwierdziła Kate. – Te wszystkie kostki dramatyczne rozgrywające się w mglistej Vaalonii czy... Jak się nazywa to miejsce, gdzie jeżdżą konno w pogoni za lisem? My mamy tylko zwykłych ludzi robiących zwykłe rzeczy... – Tak naprawdę wcale w to nie wierzyła, ale chciała zobaczyć ich reakcję.

– Eksportowane przez was kostki przygodowe także są wyjątkowe. Te Drogorogi...

– Długorogi – poprawiła go Kate. – Ale te historie są stare, pochodzą z zesłowiecznego ożywienia Dzikiego Zachodu.

– A ta kobieta z pogranicza z całą tą bronią?

– To tylko opowieści. To nie jest prawdziwa historia. A po to właśnie tu jestem, by mówić o prawdziwej historii.

– Ale jest pani... Rangerem... – Głos oficera nie pozostawiał żadnych wątpliwości: bardzo źle reagują na to słowo. I mają powód, choć zupełnie nieprawdziwy.

– Jestem Rangerem – stwierdziła stanowczo Kate. – Ale oni są tylko bandą wariatów bez żadnego związku z prawdziwymi Rangersami.

– Tak pani mówi? – rozległ się głos w drugim końcu stołu. Kate nachyliła się do przodu.

– Tak. Zarzuca, mi pan kłamstwo?

Powietrze wokół niej nagle zgęstniało. Uśmiechnęła się; cisza trwała dalej. Oficer odchrząknął.

– Panie Chesub, to było nieuprzejme. Proszę panią przeprosić.

– Przepraszam, Rangerze Briarly – powiedział młody człowiek. – Nie oskarżam pani o kłamstwo. – Jednak sądząc po jego tonie, wcale nie był o tym przekonany.

Kate spoważniała.

– Mamy tyle samo wariatów i szaleńców, co każda inna kultura – powiedziała. – Ale ludzie, którzy porwali córkę waszego premiera, nie byli od nas. Konfederacja Samotnej Gwiazdy nie tolerowałaby takiego zachowania. My, kobiety Samotnej Gwiazdy, nigdy byśmy na to nie pozwoliły. – Rozległy się nerwowe chichoty. – Nie żebyśmy były... jak by to powiedzieć... przeciwne mężczyznom czy coś takiego...

– Cóż, nie wygląda pani jak ich kobiety, ale wszyscy pochodzicie z Teksasu, prawda?

– Niezupełnie. Konfederacja Samotnej Gwiazdy powstała dla eksploracji kosmosu

jeszcze na Ziemi, a większość jej członków pochodzi z Ameryki Północnej, z terenów zwanych Teksasem. Mieszkańcy Teksasu zaś przybyli z różnych miejsc, z całej Ameryki Północnej. Oczywiście byli między nimi rdzenni Teksasczycy – ludzie, których rodziny mieszkały w Teksasie praktycznie od zawsze – ale Samotna Gwiazda zawsze przyjmowała z otwartymi ramionami imigrantów, którzy podzielali naszą filozofię.

– A jak ona wygląda?

– Bać się tylko Boga i nikogo innego, jeździć śmiało, strzelać celnie, nigdy nie kłamać, tańczyć z tym, z kim się przyszło, i nigdy nie łamać obietnic.

Znów zapadła cisza.

– Tańczyć z tym, z kim się przyszło?

– Innymi słowy, to oznacza, że należy honorować wcześniejsze zobowiązania, a nie rozglądać się tylko za zyskiem.

– Ciekawe.

– A wasza filozofia? – zapytała Kate.

Przez dłuższą chwilę nikt nic nie mówił, potem odezwał się porucznik Serrano.

– Jeśli dobrze rozumiem waszą filozofię, to nasza niezbyt się od niej różni. Mówić prawdę, dotrzymywać obietnic, pomagać przyjaciołom i nie odwracać się plecami do wroga.

– Zauważyłam, że nie wspomniał pan o Bogu. Czy to dlatego, że wystraszyli was ci wariaci z Nowego Teksasu? Czy wy w ogóle macie jakąś religię?

Tym razem odezwał się kapitan.

– Przepisy prawne Familii – i te obowiązujące w Zawodowej Służbie Kosmicznej – pozwalają na swobodę wyznania i odbywanie praktyk religijnych, które nie są szkodliwe dla innych. Z powodu dużej różnorodności wyznań zazwyczaj nie dyskutujemy na temat religii z nie znanymi osobami.

Kate przechyliła głowę i posłała mu swój najlepszy zbójcecki uśmiezek.

– Innymi słowy, rozmowa o Bogu to dowód złych manier?

– Coś w tym stylu – przyznał.

– Musicie pochodzić od Anglikanów – stwierdziła Kate. – Cóż, nie jestem tu po to, żeby was denerwować, choć nie bardzo rozumiem, czemu solidna kłótnia o Boga miałaby w czymkolwiek zaszkodzić. To jedna z naszych ulubionych rozrywek.

– Pani... hmmm... jest wierząca?

Kate spojrzała mu w oczy.

– No jasne. O ile wiem, tak samo jak każdy członek mojej rodziny jeszcze na Starej Ziemi, i nie zamierzam zrywać z tradycją.

– A jakiego, jeśli wolno spytać, jest pani wyznania?

– Baptystka. Ale rodzina mojej matki była w połowie anglikańska, a babka taty była metodystką. Gdzieś tam wśród przodków był nawet prezbiterianin.

Siedzący przy stole wymienili spojrzenia.

– Nie macie zielonego pojęcia, o czym mówię, prawda?

– No... tak – przyznała jedna z kobiet oficerów.

– Są wśród was chrześcijanie, prawda?

– Oczywiście, wiele odmian, choć nie znam wszystkich nazw.

– W takim razie po prostu nazywajcie mnie chrześcijanką i nie martwcie się tym. Bóg sam rozpozna swoich.

– Czy ma pani jakieś... hmm... wymagania kulinarne lub innego rodzaju, o których powinniśmy wiedzieć?

– Nie, mnie to nie dotyczy. Jem wszystko, co mi smakuje. Baptystyczna część mojej rodziny nie pije alkoholu, ale mnie się to czasem zdarza.

Wyczuła, że atmosfera zrobiła się nieco cieplejsza.

– Co robią wasi Rangersi?

– Zasadniczo jesteśmy czymś w rodzaju sił policyjnych; pilnujemy porządku, ścigamy przestępców, pomagamy ludziom w potrzebie.

– A skąd wiecie, kto jest przestępcą? – zapytał ktoś z końca stołu.

– Podejrzewam, że rozpoznajemy ich w taki sam sposób jak wy – odpowiedziała Kate. – Kłamcy, oszuści, zabójcy, ludzie, którzy oblaliby benzyną psa... – Poczowała, że te ostatnie słowa są dla nich całkowicie niezrozumiałe. – Macie psy, prawda?

– Psy? Te zwierzęta do polowania?

– Tak, do polowania, pilnowania stad, nawet te okropnie szczekające wycieraczki do butów. I są u was ludzie, którzy krzywdzą zwierzęta?

– Tak... – odpowiedział ostrożnie jej rozmówca, jakby nie był do końca pewien.

– Cóż, my niezbyt lubimy ludzi, którzy źle traktują zwierzęta, dzieci czy starsze damy. Czy starszych panów, skoro już o tym mowa. Znajdują się na mojej liście złych ludzi.

Pod koniec posiłku czuła już, że większość oficerów ma do niej przynajmniej neutralne, jeśli nie wręcz przyjazne nastawienie.

Następnego dnia Kate spotkała się z profesorem Meyerson od studiów starożytnych. Na jej widok westchnęła; wygląda tak, jak można było się spodziewać. Akademicka dama w tweedach i z pryszczami na twarzy... Nie żeby Meyerson faktycznie miała pryszcze, ale wyglądała tak, jakby powinny tam być w celu dopełnienia jej oficjalnego wyglądu. Nawet na Bluebonnet, znanego z urody kobiet, kobiety naukowcy wyglądają tak samo, może tylko odziane są w lepsze tweedy.

Ale za to Meyerson wiedziała więcej na temat Konfederacji Samotnej Gwiazdy niż

większość spotkanych dotąd ludzi. I była w stanie odpowiedzieć na dręczące Kate od paru dni pytanie.

– Ten młodzieniec, Barin Serrano...

– Tak? – Meyerson, jak zwykle z głową nad skanerem, zdawała się nie zwracać na nią uwagi.

– Co pani o nim wie?

– Sprawia pani kłopoty? – Meyerson podniosła głowę; na jej twarzy widać było zaskoczenie i równocześnie łobuzerski uśmieszek.

– Nie, wręcz przeciwnie. Ignoruje mnie, ale nie mogę uwierzyć, żeby był homo.

Meyerson roześmiała się na całe gardło.

– Nie jest. Po pierwsze, jest zaręczony z pewną panią porucznik, a po drugie, obciążyli go kosztami utrzymania tych wszystkich kobiet i dzieci z Nowego Teksasu.

– Czemu właśnie jego?

– One uważają go za swojego obrońcę, a dla nich to oznacza, że jest jedyną osobą, która może podejmować w ich sprawie decyzje. Zawodowa Służba Kosmiczna zabrała mu cały żołąd na ich utrzymanie, więc nie może się ożenić, dopóki czegoś z nimi nie zrobi.

– Pewnie wysłanie ich z powrotem nie wchodzi w grę?

– Nie, zabiliby je, a przynajmniej pozbawili głosu. Ma z nimi poważny problem.

– To fatalnie. – Kate zamyśliła się. – To miły chłopak, i jeśli chce się ożenić, powinien mieć szansę. Myśli pani, że te kobiety by mnie posłuchały?

Meyerson obejrzała ją od stóp do głów.

– Może jako wysłanniczki diabła. Bardzo poważnie traktują swoją religię.

– A ja poważnie traktuję swoją, Wally. – Już kilka dni wcześniej zaczęły mówić sobie po imieniu, a po pierwszych nieudanych próbach Kate przestała zmagać się z imieniem Waltraude. – Nie trzeba chodzić boso i w łachmanach, żeby być prawdziwie wierzącym człowiekiem. Powinniście przysłać te kobiety do nas, zrobilibyśmy z nich prawdziwych Teksaszczyków. Muszą mieć trochę rozsądku, skoro w ogóle zabrały się stamtąd.

* * *

Dzień za dniem oficerowie wokół niej coraz bardziej się rozkręcali, i gdyby nie to, że miała apetyt młodego konia, zagłodziłaby się z powodu nie kończących się rozmów przy stole.

Mówiła znacznie częściej niż zadawała pytania, zresztą nie było potrzeby pytać, aby zdobyć informacje. Zanim dotarli do Rockhouse Major, większość oficerów jadła jej z ręki, i to zarówno mężczyźni, jak i kobiety. Zaprosiła ich wszystkich, żeby ją

kiedyś odwiedzili, i miała wrażenie, że kilkoro faktycznie może to zrobić.

Ale nie młody podporucznik, który mimo jej wysiłków pozostawał chłodny i obojętny. Cóż, jeśli chce się wywyższać, to jego sprawa, ona ma mnóstwo innych ryb do złowienia. To właśnie oni opowiedzieli jej historię Barina Serrano i Esmay Suizy. A więc zakochał się w bohaterce – jeśli te historie były prawdziwe, Suiza byłaby dobrym Rangerem – i może martwił się, jak ona to przetrwa.

Chociaż posterunki ochrony nie pozwoliły jej zwiedzić Rockhouse Major, widziała, że jest większe niż jakakolwiek stacja orbitalna w Konfederacji Samotnej Gwiazdy. Wreszcie prom Floty zabrał ją na planetę i miała okazję zobaczyć Castle Rock.

Uznała je za nieciekawe, ale oczywiście tego nie powiedziała. Budynki rządowe, w większości z szarego kamienia, wyglądały solidnie i ponuro. W biurach ministerstwa spraw zagranicznych, do którego ją zaprowadzono, ściany wyłożone były ciemnymi panelami, a podłogi pokrywały zielone lub niebieskie dywany. Wszyscy nosili czarne garnitury – zarówno mężczyźni, jak i kobiety – i mówili w jakiś mroczny, zgaszony sposób.

– Sera Briarly... Tak mi miło – przywitał ją minister spraw zagranicznych, pierwsza spotkana w tym posępnym budynku osoba, która sprawiała wrażenie całkowicie obudzonej. Miał na sobie koszulę w zupełnie innym stylu, z małą koronką przy kołnierzu, a w uchu nosił kilka niebiesko-srebrnych kolczyków. Wiedziałyby, co to oznacza w San Antone, ale nie tutaj. – Jest pani taka... dekoracyjna, moja droga.

Już się z tym spotkała, łącznie ze zwężeniem oczu i całą resztą.

– Panie ministrze – powiedziała, wyciągając dłoń – jestem Ranger Briarly, ale może pan mówić do mnie Kate.

– Myślałem, że wasi... hmm... Rangersi... są rodzajem... no... policji?

– Tak jest – odpowiedziała ochoczo Kate. Zobaczyła, że niektórzy z pracowników skrzywili się, i do nich też się uśmiechnęła. Sądząc po ich zachowaniu, można by pomyśleć, że ten kamienny budynek rozpadnie się, jeżeli ktoś odezwie się głośniej niż szeptem.

– Ale z pewnością pani... nie jest pani... to znaczy pełni pani... hmm... honorową funkcję.

Tego już za wiele.

– Panie ministrze, jestem takim samym Rangerem jak każdy inny. Zaliczyłam te same kursy i w każdej chwili mogę zademonstrować swoje umiejętności w różnych sytuacjach. – Oczywiście nie miała broni, ale i bez niej mogła w każdej chwili skrócić mu kark.

– Och... oczywiście, oczywiście. Teraz... dziś wieczór wydajemy w pałacu przyjęcie na pani cześć. Mam nadzieję, że nie jest pani zbyt zmęczona.

– Ależ skąd. – Nigdy nie była tak zmęczona, żeby nie mogła się bawić.

Pałac sprawiał wrażenie sterty kamieni w dziwnym płowóżółtym kolorze. Pomieszczenia wewnątrz były tak samo ciemne i ponure, jak biura ministerstwa.

Kate zaliczyła już sporo tego rodzaju imprez i wiedziała, że jako honorowy gość powinna się uśmiechać i mówić wszystkim, jak bardzo jest zachwycona. Powiedziała więc nowemu Mówcy, że jest zaszczycona możliwością poznania go, ale pomyślała, że ma okropne, świńskie oczka. Jego żonę pochwaliła za uroczą sukienkę, choć tak naprawdę miała ochotę jej powiedzieć, że nigdy w życiu nie powinna nosić tego odcienia zieleni, bo wygląda, jakby była chora. Ministrowi spraw zagranicznych Pedarowi Orregimosowi powiedziała, że podoba jej się jego koronkowa koszula, choć powstrzymała się przed poinformowaniem go, że w Konfederacji Samotnej Gwiazdy osobę ubraną w taki strój i z kolczykami w uszach potraktowano by jako zdeklarowanego homo. Potem podsłuchiła fragment rozmowy i dowiedziała się, że w lokalnym slangu nazywają ich „zwierzątkami”.

Wszystko to było niemożliwie nudne, ponieważ nie rozumiała, o czym rozmawiano. Bolały ją stopy i zaczynało ją łupać w głowie. Potem pojawił się Pedar w towarzystwie wysokiej blondynki, której twarz Kate znała z odpraw.

– Ranger Briarly – oświadczył Pedar. – A to Brun Meager Thornbuckle.

Kate spojrzała na blondynkę, która tak długo była więźniem i której ojciec nie żył, a jej kłopoty były bezpośrednią przyczyną przybycia tu Kate, i zobaczyła w jej niebieskich oczach znajomy cień.

– Cześć. Mam nadzieję, że mi wybaczysz ten mój tytuł.

– Cóż... – Głos kobiety był lekko chropawy. – Nie wygląda pani tak jak tamci Rangersi.

– Skarbie, to nie Rangersi, to śmieci. Gorszi od łajna świstaków. Cegła też może nazwać się diamentem, ale to nie sprawi, że się nim stanie.

Kobieta uśmiechnęła się, nagle odprężona.

– A ty jesteś prawdziwym diamentem?

– Czysty kryształ węgla, kochana – oświadczyła Kate. – Sześcienny, ale nie cyrkon.

– Przepraszam?

– To ja przepraszam. To slang, trudny do przełożenia. Słuchaj, bolą mnie stopy. Czy mogłybyśmy gdzie usiąść? – Jeśli udałoby jej się zaprzyjaźnić z tą kobietą – a już ją polubiła – może doprowadziłaby do zniesienia embarga szybciej niż ktokolwiek sądził.

Nawet w najbardziej optymistycznych przewidywaniach nie sądziła, że uda jej się spotkać z kobietą, która była przyczyną tego wszystkiego, albo że ona będzie chciała się z nią zobaczyć. Ale wyraz jej twarzy świadczył, że przyszła tu w konkretnym celu, a

Kate jest jego częścią.

– Przyjęcie jest już prawie skończone, Sera... Ranger – powiedział Pedar. – Wkrótce przybędzie samochód, który odwiezie panią do hotelu.

– Może pojechałabyś ze mną? – Kate zapytała Brun po to, żeby zdenerwować Pedara. – Mogłybyśmy zjeść kolację...

Brun uśmiechnęła się.

– Dzięki, chętnie. – Pedar skrzywił się, a Kate uśmiechnęła się pod nosem. Czyżby sądził, że jego zaprosi? Nie ma mowy.

* * *

Jadły kolację w apartamencie Kate, równie ponurym jak wszystko, co do tej pory widziała. Po co ściany obito jedwabiem, jeśli był w brzydkim szarym kolorze? Do tego tapicerka w kolorze ciemnej zieleni i przygaszonego niebieskiego... Wszystko zimne, nieprzyjazne, ponure.

– Twój ludzie nie lubią zbyt żywych kolorów, prawda? – zapytała Kate w połowie posiłku składającego się z jakiegoś mięsa przysypanego dużą ilością wyszukanych warzyw. W menu nie mieli nawet steku.

Brun rozejrzała się.

– Rzeczywiście nie jest tu zbyt kolorowo. Pewnie się do tego przyzwyczaiłam. Castle Rock jest dość konserwatywne.

– Tak to określicie? Biuro ministerstwa spraw zagranicznych przypomina bardziej dom pogrzebowy. Jedyne kolorowe akcenty to wasz minister, ale on jest...

– Okropny – stwierdziła Brun, marszcząc nos. – Taki mały wazeliniarz.

– Wazeliniarz?

– No tak. To pomniejsza rodzina, więc podlizuje się wszystkim i przepycha, próbując stać się kimś. Cóż, dostał ministerstwo, lecz kto wie, co zrobił w zamian dla Hobarta.

– Hobart to wasz Mówca?

– Tak. Ale Pedar chce więcej. Nie uwierzysz, on usiłuje uwieść moją matkę.

– Twoją matkę? – Kate przypomniała sobie, że chodzi o wdowę po lordzie Thornbuckle'u.

– Tak. Miał czelność powiedzieć mi, kiedy matka odleciała na Srialis, że mógłby tyle ofiarować samotnej wdowie... Niemal wyrzuciłam go przez okno.

Kate potrząsnęła głową.

– Zastanawiam się, czy on nie jest... Jak to się mówi? Zwierzątkiem. Te wszystkie kolczyki...

– Nie, to znaki Odmłodzeńców. Właściwie kryją w sobie kody medyczne; można je także implantować, ale wielu ludzi lubi się nimi afiszować.

- Ile razy był piklowany?
 - Nie wiem, nie liczyłam. Kilka. Czemu nazywasz to piklowaniem?
 - No wiesz, konserwacja. – Kate wzięła zieloną, pomarszczoną rzecz, która – jak miała nadzieję – była ogórkiem.
 - Hmm... – Brun kilka chwil jadła w milczeniu, po czym zapytała: – Co sądzisz o naszym Mówcy?
 - Prosisz gościa o krytykę waszego rządu?
 - Brun zaczerwieniła się lekko.
 - On jest Conselline, a ja jestem z klanu Barraclough.
 - To rodziny czy religie?
 - Brun skrzywiła się.
 - Może jedno i drugie. Powiem tylko, że Consellinowie i Barracloughowie od bardzo dawna są rywalami, ale w dżentelmeński sposób. Nie lubię Hobarta i zastanawiałam się, czy może ktoś z zewnątrz mógłby go lepiej ocenić.
 - Nie jest kimś, od kogo kupiłabym ranczo. A w każdym razie musiałabym najpierw dokładnie obejrzeć każdy cal ziemi i sprawdzić tytuł własności. Jest fałszywy, a żona się go boi.
 - Zauważyłaś?
 - O tak, podobnie jak zauważyłam, że nie podobało ci się, jak Pedar trzymał twoją dłoń.
 - Niewiele umyka twojej uwadze, prawda?
 - Tacy są Rangersi. Może więc przejdiesz od razu do tego, o czym chciałaś ze mną rozmawiać, żebyśmy później mogły spokojnie delektować się deserem. – Kate odsunęła talerz i oparła się wygodnie, wbijając w Brun długie spojrzenie, które kiedyś zmusiło chłopców Harknessa do przyznania się.
 - Nie cierpię, gdy inni są sprytniejsi ode mnie. – Brun także odsunęła talerz.
 - Nie są, kiedy masz włączony mózg – zauważyła Kate. – Nie trzeba wielkiej inteligencji, żeby zauważyć, że chciałaś się ze mną spotkać równie mocno, jak ja ucieszyłam się z poznania ciebie.
 - Nie poznałaś Esmay. Ona jest mądrzejsza.
 - Daruj sobie. – Kate przeciągnęła dłonią po włosach, burząc je. – Słyszałam już wystarczająco dużo o Pani Geniusz po drodze tutaj. Wszyscy mówią, że jest wspaniała, i założę się, że to prawda. Ale ona to nie ty.
 - Nie, ona...
- Kate nie miała zamiaru pozwolić, aby Brun zmieniła temat rozmowy.
- Boże, dziewczyno, zachowujesz się tak, jakbyś na całym świecie nie miała żadnego przyjaciela. Nigdy nie miałaś przyjaciółki?

– Miałam, ale wyszła za mąż.

– To tak jak ze mną. Sally i ja byliśmy nierozłączne, a potem ona zwariowała na punkcie tego Carla i to był koniec. Dwoje dzieci. Mówi, że wciąż jest moją przyjaciółką, ale jedyne, o czym chce ze mną rozmawiać, to te dwa urwisy. Który wsadził dżem do procesora i jak ten drugi jest mądrzejszy od profesorów na uniwersytecie. Moja mama mówi, że przejdzie jej to za parę lat, ale na razie muszę udawać, że interesuje mnie to, co robi jakiś brudny dzieciak.

– A nie obchodzi cię?

– Nie. Jeśli istnieje instynkt macierzyński, to chyba mnie pominęli przy rozdziale. A co z tobą?

– Mnie też. Nie chcę skrzywdzić moich dzieci, ale...

– Nie chcesz też troszczyć się o nie. Dla mnie to ma sens. Gdzie są twoi chłopcy?

– Zabrała je przyjaciółka mojej matki i znalazła im dom. Ale martwię się...

Elizabeth Moort

– Nie rób tego. To znaczy nie zamartwiaj się bardziej niż musisz. Ale unikasz tematu. Nie przyjęłaś zaproszenia na kolację tylko dlatego, że uznałaś, iż mogę się poczuć samotna. A w tej chwili zachowujesz się tak, jakbyś chciała, żebym sama zgadła, o czym chcesz ze mną rozmawiać.

– Albo jakbym chciała uciec Pedarowi; usiłował wyciągnąć ode mnie numer ansiblowy mamy. No dobrze, dobrze, powiem ci. – Poskrobała jakąś plamkę na obrusie. – Chcę się dowiedzieć, kto zabił mojego ojca i jak wielką władzę ma Hobart Conselline nad moim wujem Harlisem, który pragnie przejąć posiadłości mojego taty.

– Tak już lepiej. To coś, nad czym możemy popracować.

– My?

– Oczywiście, że my. Do wszystkich diabłów, kochanie, nie zamierzam cię zostawić, żebyś samotnie polowała na tego wieprza. Poza tym potrzebuję cię, żeby precyzyjnie się przez ten labirynt protokołów, w jakim żyjecie. Zresztą jeśli uda mi się cię przekonać, że nie jestem potworem, może ty pomożesz mi nakłonić swój rząd do odblokowania funduszy Konfederacji Samotnej Gwiazdy. Wiesz o tym, że nasi obywatele nie mają dostępu do swoich pieniędzy zdeponowanych w waszych bankach, prawda?

– Nie! – Brun wyglądała na zaskoczoną. – Kiedy to się stało?

– Zaraz po zabójstwie. Do tego wyrzucono wszystkich naszych obywateli i zamknięto granicę. Nawet twój ojciec wiedział, że nie mamy nic wspólnego z tą bandą durniów, którzy cię złapali. To całe embargo może poważnie zaszkodzić naszej gospodarce, bo Familie to nasz największy partner handlowy.

– Nie wiedziałam. Nie mówiono o tym na zebraniu Rady. – Brun skrzywiła się. – Wygląda na to, że wiele dzieje się bez informowania Rady.

Kate rozejrzała się po pokoju. Uczyniła go tak bezpiecznym, jak to możliwe, ale nie ufała żadnym obiektom publicznym.

– Może powinniśmy porozmawiać na ten temat innym razem – zaproponowała. – Prawdę mówiąc, zaczynam odczuwać zmęczenie podróżą. – Zauważyła, że Brun również omiotła wzrokiem cały pokój, jakby też zdała sobie sprawę z możliwości działania podsłuchu.

– Oczywiście – odpowiedziała Brun. – Słuchaj, wiem, że niektórzy z was, z Samotnej Gwiazdy, jeżdżą konno.

Kate uśmiechnęła się szeroko. – Złotko, zaczęłam jeździć, zanim nauczyłam się siedzieć, właściwie jeszcze nawet przed urodzeniem. Nie mów mi, że macie w tym mieście konie!

– Mamy, ale myślałam raczej o naszym domu za miastem. Mamy tam tylko małą stajnię, ale w okolicy jest trochę uroczych miejsc.

– To bardzo miłe z twojej strony. Nie wiem tylko, jak bardzo będę tu zajęta; powinnam spędzać jak najwięcej czasu na przekonywaniu twojego rządu, że jesteśmy nieszkodliwi.

– Przedstawię cię odpowiednim ludziom – zaproponowała Brun. – I nie będą to takie nudne przyjęcia jak dzisiejsze.

– To wcale nie było takie złe – zaprotestowała Kate. – Zważywszy na okoliczności... – I mrugnęła do Brun.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Nie minął tydzień i Kate przeniosła się do Appledale. Brun zabrała ją na obiad z Viktorem Barraclough i urządziła przyjęcie, na którym spotkała się z grupą młodszych krewnych klanu. Kobieta z Samotnej Gwiazdy okazała się życzliwa, radosna i przyjazna. Ubierała się w krzykliwe jaskrawe kolory i każdego ranka poświęcała dużo czasu na układanie włosów, ale poza tym mogłaby być starą przyjaciółką. Brun opowiadała jej przy śniadaniu i w przerwach między różnymi spotkaniami wszystko, co wiedziała o interesach rodziny i machinacjach wuja.

Podczas następnej wizyty Harlisa Brun po raz pierwszy widziała Rangera w akcji. Schodziła właśnie po schodach, kiedy rozległ się gong przy drzwiach. Kate gestem zwolniła pokojówkę i sama podeszła do drzwi. Brun zatrzymała się na schodach, by zobaczyć, co się będzie działo.

– Cześć, jestem Kate Briarly – usłyszała, jak Kate przedstawia się Harlisowi.

– Chcę zobaczyć się z Brun – burknął Harlis.

– Być może, ale nie wiem, kim pan jest – skłamała Kate; Brun pokazała jej zdjęcia wuja.

– Harlis Thornbuckle. A teraz zawołaj tu Brun.

Rozległo się stęknienie.

– Panie Thornbuckle... – wycedziła lodowatym tonem Kate.

– Lordzie Thornbuckle.

– Tam, skąd pochodzę, dobrze wychowany gentleman nie przepycha się obok damy.

– Nie jesteś damą! I uderzyłaś mnie!

– To całkiem możliwe, ale pan mnie popchnął, a na to nie mogę pozwolić. Teraz proszę być miłym i poczekać tu chwilę, a ja pójde sprawdzic, czy Brun ma czas, żeby się z panem zobaczyć.

– Lepiej, żeby miała, bo...

– Żadnych grózb! Wie pan, że Brun wciąż jest chroniona ze względów bezpieczeństwa; nie chciałby pan chyba zostać wykopany i spędzić noc w więzieniu. – Drzwi zatrzasnęły się cicho, a kiedy Brun zeszła kilka stopni w dół, zobaczyła Kate opartą o drzwi i trzęsącą się ze śmiechu.

– Zamknęłaś drzwi przed nosem wujowi Harlisowi – stwierdziła z uśmiechem.

– Mam nadzieję, że twój ojciec był lepszy od niego, Brun, bo ten człowiek głowę ma chyba tylko do noszenia kapelusza.

– Był znacznie lepszy – zapewniła ją Brun. – Ale lepiej z nim porozmawiam. – Sięgnęła do drzwi, lecz Kate powstrzymała ją.

– Nie, idź do salonu i usiądź wygodnie. – Kiedy tam dotarła, usłyszała, jak Kate ponownie otwiera drzwi i – tym razem nad wyraz uprzejmie – zaprasza Harlisa do środka.

– Gdzie jest twoja matka? – zapytał ostro mężczyzna, gdy tylko wpadł do salonu.

– Nie jestem pewna – odpowiedziała Brun. Jej matka mogła być w łóżku, jeść, wyjść na przejażdżkę; wszystkie te odpowiedzi były lepsze od stwierdzenia, że jest na Sirialis.

– Do diabła, ona nie ma prawa zabierać rodzinnej własności, skoro testament podano w wątpliwość!

– Jakiej własności, wujku Harlisie?

– Sirialis! Założę się, że właśnie tam poleciała!

– To duży wszechświat, panie Thornbuckle – odezwała się Kate, uprzedzając Brun. – Czemu sądzi pan, że jest właśnie tam? I jaką to panu robi różnicę, jeśli faktycznie tam poleciała? Nie może zabrać całej planety.

Harlis wbił w nią wściekłe spojrzenie i zaczerwienił się. Brun ledwie powstrzymała się od śmiechu, tak niedorzecznie wyglądał.

– Lepiej, żeby niczego nie zabierała z posiadłości – oświadczył w końcu. – Mam zakaz sądowy.

Brun poczuła zimno do szpiku kości, ale znów odezwała się Kate.

– Zakaz sądowy dysponowania posiadłością? A więc nie zakwestionowanie testamentu?

– To nie pani sprawa, ale nie wolno jej dysponować żadną własnością do czasu rozstrzygnięcia sprawy przez sąd.

– Pozwoli pan, że rzucę na to okiem, panie Thornbuckle. – Kate wyciągnęła dłoń i ku zaskoczeniu Brun, wuj podał jej wydruk. Kate przejrzała go, unosząc starannie przyczerzoną brew.

– Może tutaj to legalne, alez pewnością nie u mnie w domu – oświadczyła w końcu. – Macie tu bardzo dziwny system prawny. Przypuszczam, że będzie pan musiał wysłać lady Thornbuckle wiadomość na ten temat.

– Nie wystraszycie mnie – rzucił Harlis i zerwał się z fotela, po czym wyrwał z dłoni Kate wydruk i wybiegł z salonu, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

– Nie mam zbyt dobrej opinii o twojej ochronie – stwierdziła po chwili Kate. – Dopuszcili tego człowieka do samych drzwi, nie informując nas o tym.

– To mój wuj – przypomniała jej Brun.

– Nigdy nie zdarzały się u was morderstwa popełnione przez członków rodziny? Zresztą nieważne. Już czas, żebym zabrała się do pracy.

Brun uznała, że Kate przy pracy znacznie bardziej przypomina Teksańczyków. Zdobyła kopie wszystkich stosownych materiałów inwigilacyjnych, aby móc

udowodnić, że Konfederacja Samotnej Gwiazdy nie była zaangażowana we wrogie działania. Teraz jej pokój pełen był wykresów, list i powiększeń dwuwymiarowych zdjęć.

– To lista wszystkich osób zarejestrowanych w hotelu Monos. Nie mam zbyt dobrego mniemania o waszych śledczych, skoro zadowolili się listą osób mieszkających wyłącznie od piątego piętra w górę. Jasne, strzał padł z większej wysokości, ale przecież ludzie mogą poruszać się w górę i w dół budynku. Wiadomo, że przynajmniej jeden strzelec był tutaj, w pokoju 517.

– Nie powiedzieli nam o tym.

– Cóż, to rozsądne. Ja też bym nie powiedziała, gdybym była w domu i prowadziła śledztwo. Należy przestrzegać pewnych zasad. No dobrze, pary z pokoju 517 nie było wtedy na miejscu. Brali udział w corocznym konwencie kontrahentów hydraulicznych; dysponujemy dobrymi materiałami podglądu, na których widać oboje przez pełne dwie godziny. Co więcej, są świadkowie i zapis automatycznego systemu rejestrującego ich zamówienia.

– Mogli pozwolić komuś skorzystać z ich pokoju.

– Ja też tak pomyślałam, ale tak się składa, że drzwi pokoju wysadzono, a nie otwarto. Ktoś zadał sobie trud przeładowania obwodów magnetycznych, żeby wysadzenie zamka nie uruchomiło żadnych alarmów. Nie zawracaliby sobie tym głowy, gdyby po prostu mieli klucz. Sringhaltowie mimo wszystko mogą być w to zamieszani, chociaż wątpię. W tej chwili przyglądam się ośmiu osobom. – Kate wskazała je na swojej liście. – Z tego dwóm pracownikom hotelu: asystentowi kierownika zmiany i dyrektorowi technicznemu.

– Czemu właśnie im?

– Mają dostęp do informacji, które pokoje w danej chwili są zajęte, a które wolne. Nie chcę cię zamęczać szczegółami, ale zobacz tutaj... – Kate wywołała plan hotelu i ulicy z nałożonymi na nie kolorami. – Wasz personel ochrony wykonał całkiem dobrą robotę, nawet jeśli okazała się niewystarczająca. Przenieśli wszystkich znanych obcokrajowców z pokoi wychodzących na trasę prowadzącą z sądu do Pałacu. Umieścili na dachach obserwatorów i zwykłą sieć ochrony na dole. Mieli ruchome patrole, łącznie z tym hotelem. Moi ludzie mogliby zrobić parę zmian, ale i tak nie utrzymaliby twojego taty przy życiu, skoro trasa przejazdu była wszystkim znana.

– Jedno mogę ci powiedzieć: jestem przekonana, że nie zrobił tego ktoś z zewnątrz. Myślę, że to był ktoś z Familii, kto próbował upozorować zamach dokonany przez Milicję Nuteksu.

– Cóż, chciałabym się dowiedzieć kto.

– Masz jakieś pomysły? My zazwyczaj zaczynamy od zastanowienia się, kto mógł próbować kogoś zabić.

– Wuj Harlis, ale wątpię, żeby to zrobił, mimo że chciał posiadłości mojego taty i

teraz robi wszystko, żeby odebrać jej matkę, jak sama widziałaś. Jego syn Kell, jeszcze bardziej wredny niż... Jak wy to mówicie?

– Grzechotnik.

– No właśnie. Jeden z Consellinów, choć nie bardzo wyobrażam sobie, żeby Hobart Conselline zrobił coś tak głupiego.

– Hmm, o ile to było głupie. W końcu został Mówcą. Cóż, podejźmy do tego inaczej i na razie odłóżmy na bok morderstwo. Co jeszcze odkopałyśmy? – Kate odsunęła na bok sterty papierów i wyciągnęła wydruk wypełniony kolumnami cyfr.

– Czy te liczby mają coś znaczyć? – zapytała Brun.

– Całkiem sporo. Jeśli prześledzisz przepływy pieniędzy, niemal zawsze uda ci się znaleźć przestępcę. Wyciągnęłam te liczby z publicznych źródeł, więc nie mogę ręczyć za ich dokładność, ale są tu pewne rzeczy, którym warto się przyjrzeć. Widzisz to?

– To udziały twojego wuja w firmach, które, jak mi powiedziałaś, są holdingami rodzinnymi.

Brun rozpoznała większość nazw. Wspominała o nich jej matka, choć nie podała żadnych szczegółów.

– Brun, muszę z tobą porozmawiać – oświadczyła Lady Cecelia bardzo zdenerwowanym głosem. Od kilku dni Brun nie miała od niej żadnych wiadomości, a tak pogrążyła się z Kate w śledztwie, że prawie o niej zapomniała.

– Lady Cecelio, jak...

– Natychmiast.

– Mam u siebie tę kobietę z Samotnej Gwiazdy.

– Wiem, słyszałam plotki. Ale mogę przylecieć na kilka dni?

– Oczywiście.

Kilka godzin później Cecelia wparowała do domu w stanie, który Brun określiłaby jako furję. Nawet nie spojrzała na Kate.

– Czy wiesz, że podczas pobytu w szpitalu Kevil Mahoney został okradziony?

– Nie! George nic mi nie powiedział.

– George próbował poradzić sobie z tym, nie pogrążając się głębiej w kłopotach. Ktoś oczyścił ich konta w dniu morderstwa, ale George był bardzo zajęty i dowiedział się o tym dopiero po paru tygodniach. A wtedy nie mógł już wysledzić, kto to zrobił.

– Ale jak to się stało? Myślałam, że zabezpieczenia...

– Będą wystarczające. Tak, ja też tak myślałam. George próbuje opiekować się Kevilem i ukończyć studia prawnicze, ale nie stać ich nawet na kucharza i będą musieli sprzedać dom! Rzecz w tym, Brun, że George nie zna kodów dostępu Kevila, a ten ich nie pamięta. Ale ja je znam, tylko nie wiem, jak zinterpretować to, co znalazłam w dokumentach.

– Masz kody dostępu Kevila?

– Cecelia zaczerwieniła się.

– Tak. A on... miał... moje.

– A więc to, co mówili o tobie i Kevilu...

– To były plotki. Brun, wstyd mi za ciebie! Ten człowiek został ciężko ranny, ma dziury w pamięci i okradziono go, a ty myślisz tylko o plotkach?

– Przepraszam – powiedziała Brun. – Tak mi się samo powiedziało.

Cecelia spojrzała na papiery i zdjęcia porozkładane na wszystkich stołach w bibliotece.

– Co oglądacie?

– Przeglazujemy się przez ogólnodostępne informacje finansowe, próbując odkryć, jak Harlisowi udało się dojść tak daleko. Może trafimy na ślad mordercy. Mama Brun jest na Sirialis i robi to samo – odparła Kate.

Brun spojrzała na nią.

– Musimy połączyć nasze siły. Z kodami dostępu Cecelii i twoją umiejętnością interpretacji dokumentów możemy znacznie więcej zdziałać.

– Jeśli utrzymasz z dala intruzów. Pamiętaj, co powiedziałam o waszej nieudolnej ochronie.

– Bardzo martwię się o Kevila – oświadczyła Brun. – Może sprowadziłybyśmy go tutaj?

– Świetny pomysł – zgodziła się Kate.

– Ale tak nie można, to...

– Ktoś, kto posunął się już tak daleko, nie zawaha się przed kolejną strzelaniną.

Zanim Brun wróciła z Kevilem Mahoneyem, Kate i Cecelia pogrążyły się już w pracy. Brun pomogła Kevilowi dotrzeć do biblioteki, po czym zrzuciła z fotela stertę wydruków, aby zrobić dla niego miejsce.

– To wygląda... na dobrą... zabawę – powiedział. – Pani... musi być... z Teksasu.

– Ranger Briarly – przedstawiła się dziewczyna. – Proszę mówić do mnie Kate. Ktoś faktycznie zrobił niezłą dziurę w pańskim koncercie... ale dostanę ich.

– Kate okazuje zdrowy brak szacunku dla złodziei – skomentowała Cecelia.

– Nie lubię, jak ludzie ranią innych i nieuczciwie wykorzystują swoją przewagę, zwłaszcza nad kimś, kto został postrzelony. – Kate rzuciła Kevilowi promienny uśmiech. – Założę się o najlepsze siodło, że w tym wszystkim jest więcej niż jeden czy dwa czarne charaktery, i zamierzam ich wszystkich złapać.

– W takim razie będziesz zainteresowana tym, co znalazłam u Kevila – powiedziała Brun. Wyciągnęła worek i potrząsnęła nim. – Ciekawy zestaw jak dla kogoś z uszkodzeniem mózgu.

- Tak myślałam – stwierdziła Cecelia. – Był tam ten pielęgniarz?
- Z każdą wizytą było mi coraz trudniej pozbyć się go.
- O tak. Bardzo zależało mu na tym, żeby dać Ser Mahoney’owi coś, co pozwoli mu łatwiej znieść podróż. A potem bardzo starał się oczyścić półkę z leków.
- Nie przypuszczam, żebyś miała jego kody dostępu – rzekła Kate, podnosząc wzrok.

Brun wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

- Kiedy wróciłam do domu i nigdzie nie wychodziłam, spędzałam czas na montowaniu niektórych gadżetów pokazanych mi przez Koutsoudasa. Tak, dzięki nielegalnemu ściąganiu danych mam wszystko na jego temat. Proszę. – Położyła przedmioty na stole. – Interfejsy do czytnika kostek lub komputera, co wolicie.

* * *

Trzy noce później Brun, która drzemała na długiej skórzanej sofie w bibliotece, osłaniając ramieniem oczy przed światłem, obudził radosny okrzyk Kate.

- Mam cię! – Nie była to już ta sama seksowna blondynka w czerwieni; nieustanna praca do późna w nocy spowodowała, że jej włosy oklapły, a pod oczami zrobiły się worki. Zamiast obcisłej czerwonej sukienki miała na sobie luźną bluzkę i spodnie. Jednak zmęczenie nie mogło zgasić jej uśmiechu. – To jest to, współpracownicy. Mamy to, czego szukałyśmy.

Brun otworzyła zapuchnięte oczy.

- Kogo mamy?
- Na początek twojego wuja Harlisa. Kupował akcje w sposób nielegalny, nawet u was. Muszę powiedzieć, że wasz rząd powinien bardzo stanowczo zreformować system prawny. Są w nim dziury, przez które można by przegonić stado bydła. Wystarczy jedno pokolenie durniów i tchórzy i parę czarnych charakterów, i nagle wszystko jest przeciwko wam.

Nad oparciem sąsiedniej kanapy pojawiła się ruda głowa Cecelii.

- To wszystko bardzo piękne, ale co on zrobił?
- Wymusił sprzedaż akcji, zastraszając niektórych słabszych krewnych. Pamiętasz chyba, jak mi mówiłaś ze zdziwieniem, że Trema, ciotka twojego taty, zostawiła swoje akcje Harlisowi? To nie był przypadek. Mam dowód, że Harlis zapłacił jakimś lokalnym bandytom, aby potłukli jej ulubioną porcelanę i zagrozili, że mogą również połamać jej kości. A tamtejszą policję miał w kieszeni; powiedział im, że to tylko szalona staruszka, która upuszcza przedmioty i miewa halucynacje.

– I uwierzyli w to?

- Pieniądze mają dużą siłę przekonywania. W każdym razie to nie wszystko, co

mam. Dowody powinny wystarczyć nawet waszym pokręconym sądom. Odkryłam, że Harlis całkiem sporo wydał na edukację dzieci niektórych sędziów. Jeśli macie jakieś pismo opozycyjne, to byłby dla nich pyszny kąsek.

– Mogę... pomóc napisać... apelację – odezwał się Kevil Mahoney. Mężczyzna stał, chwiejąc się, w drzwiach.

– Wstałeś – zauważyła Cecelia. – Powinieneś odpoczywać.

– Nie robiłem niczego innego... przez całe tygodnie. Dość. Pamięć wciąż mam dziurawą jak ementaler, ale jeśli podacie mi fakty, mogę pisać. – Jego mowa już wyraźnie się poprawiła.

– Dobrze – zgodziła się Kate z olśniewającym uśmiechem. – W takim razie myślę, że już czas, żeby dziewczyna z Teksasu zrobiła sobie prysznic i odpoczęła. Wyglądam pewnie jak coś, co kot przyniósł ze stodoły.

Podpis Kevila Mahoneya pod petycją o utrzymanie w mocy pierwotnego orzeczenia w sprawie testamentu lorda Thornbuckle'a mógł zrobić niewielkie wrażenie, ale gruby plik dostarczonych wraz z petycją dowodów wszystkich zaskoczył. Jeden z urzędników sądowych zadzwonił do Brun jeszcze tego samego popołudnia.

– Sędzia nie słyszał o tych sprawach. – Głos urzędnika był pełen niezadowolenia.

– Oczywiście, że nie – zgodziła się Brun. – Jak pan wie, Ser Mahoney był w stanie krytycznym, a część dokumentacji rodzinnej znajdowała się w jego archiwach. – Nie wspomniała o pozostałych problemach Kevila; urzędnik nie miał powodu, aby o nich wiedzieć.

– Czy to wszystkie dane, jakimi pani dysponuje, czy mamy jeszcze czegoś się spodziewać? – Zamiast zamierzonego sarkazmu głos urzędnika zdradzał niepokój.

– Nie, to nie wszystko. To tylko wstępne zgłoszenie. Moja mama, lady Thornbuckle, przebywa na Sirialis, gdzie ściąga dodatkowe dane z głównego archiwum rodzinnego.

– Rozumiem. Cóż, skontaktujemy się z panią.

Dwie godziny później na podjeździe pojawił się Harlis, lecz został zatrzymany przez nowych ochroniarzy Brun. Po rozbrojeniu go i uzyskaniu jej pozwolenia odprowadzili mężczyznę do drzwi. Tam wyszła mu na spotkanie Brun, wspierana przez Kate, Cecelię i Kevila opierającego się na George'u. Kate znów przybrała wygląd Teksanki, i tym razem przypięła odznakę Rangera.

– Zanim cokolwiek powiesz – odezwała się Brun – postawmy sprawę jasno: mamy dość dowodów twojej działalności kryminalnej, mającej na celu przejęcie rodzinnych firm, i zbierzemy ich jeszcze więcej.

Wuj rzucił jej gniewne spojrzenie.

– Nie wierzę w to. Niczego nie zrobiłem, wszystko było absolutnie legalne. Hobart zajmie się tobą... – Nagle przerwał i zbladł.

– To nadzwyczaj interesujące – zauważyła Cecelia. – Hobart... Czyżbyś miał na myśli Hobarta Conselline? Dlaczego ktoś z naszego klanu miałby współpracować z Consellinem?

– Nie powiedziałem „Conselline”. – Harlis zmienił się na twarzy, głos mu drżał. – Ale to moje prawo...

– Nie miałeś prawa zastraszyć biednej ciotki Tremy – powiedziała Brun. Uświadomiła sobie, że mówi zupełnie jak jej ojciec; ciekawe, czy inni też to zauważyli. – Dlatego zostaniesz oskarżony.

– Ja... Niech was diabli! – Harlis odwrócił się i ruszył alejką w towarzystwie ochroniarzy.

– To nie koniec – stwierdziła Brun. Harlis nie podda się, i nie wiadomo, co teraz może zrobić.

– Nie, ale to dobry początek – skomentowała Kate. – Daj spokój, złotko, posłuchaj o nowym pomysle Cecelii.

– Tak?

– Znalazła miejsce dla wszystkich tych kobiet i dzieci, którymi obciążony jest porucznik Serrano. Zamierza zabrać je na jakąś nowo skolonizowaną planetę, gdzie będą szczęśliwe, a ich umiejętności mogą się przydać.

– To miła wiadomość dla Barina i Esmay – powiedziała Brun. – Ale chciałabym najpierw przekazać matce, co udało nam się tu znaleźć. Ona musi wiedzieć, że mamy dowody przeciwko Harlisowi. Nie możemy skorzystać ze zwykłej komunikacji.

– Masz rację, ale skoro depczemy już Harlisowi po piętach, to nie ma pośpiechu, prawda? Twoja matka nie zrobi niczego głupiego.

Excet-24

Ruth Ann przez dłuższą chwilę wyglądała przez okno. Było chłodno i zielono, i nie wiedziała, czy jest wiosna, lato, czy zima. W kałużach odbijało się niebo z plamami błękitu i kłębam szarych jak surowa wełna chmur.

Żadnych miast, żadnych hałaśliwych tłumów. Kiedy otworzył się wjazd, do środka wdarło się chłodne i wilgotne powietrze. Czują w nim zapach roślinności. Rudowłosa kobieta ruszyła przodem, a Ruth Ann poszła za nią. Ziemia pod stopami sprawiała wrażenie, nawet przez buty, że trzyma się mocno i nie wiruje.

Rudowłosa kobieta o śmiesznym nazwisku – Cecelia jakaś tam, Odmłodzeniec – zaprowadziła je do małego kwadratowego budynku, gdzie każda z nich musiała pokazać swoje dokumenty. Należący do niej podpisany był nazwiskiem Ruth Ann Pardue.

Kiedy już wszystkie przeszły przez „odprawę celną” i zebrały nowe czerwone pieczęcie na kartach, rudowłosa kobieta poprowadziła je ulicą. Małe miasto wyglądało

jak zacofana wioska z okolic, gdzie dorastała i gdzie zostałaby zbita do krwi za chodzenie w butach i patrzenie na ludzi. Ale tutaj mężczyźni i kobiety byli ubrani prawie przyzwoicie i wszyscy nosili buty, a kobiety nie spuszczały wzroku w dół. Ludzie patrzyli na nie z nadzieją, a nie z niesmakiem. Zauważyła nawet zazdrosne spojrzenia rzucone ich dzieciom.

Skręciły w otwarte drzwi dwupiętrowego budynku i rudowłosa kobieta krzyknęła:

– Ronnie! Raffaele! – Natychmiast ktoś odkrzyknął z piętra: – Lady Cecelia! Jedną chwileczkę, już idę! – Potem na schodach pojawiła się młoda, szczupła kobieta z ciemnymi włosami i oczami. Objęła rudowłosą, a potem spojrzała na Ruth Ann. – Nastawiłam obiad. Tak się cieszę, że przyleciałyście. Mam nadzieję, że wam się tu spodoba. Ronnie wyszedł; próbuje odkryć, czemu maszyna nie chce działać. Niedługo wróci.

W kobiecie, która przedstawiła się jako Raffaele, Ruth Ann rozpoznała te same oznaki ohydztwa, które widziała w Brun. Ta kobieta nigdy nie spuszczała z szacunkiem wzroku, nigdy nie musiała milczeć, nigdy nie broniono jej dostępu do tego, czego chciała się nauczyć.

Ale – sądząc po zapachach dochodzących z kuchni – nigdy też nie nauczyła się niczego więcej niż wciskać guziki, gdy chciała zrobić coś do jedzenia.

– I mamy nadzieję...

– Co takiego próbujesz ugotować? – przerwała jej Ruth Ann.

– Tylko... trochę mięsa.

– Pozwól, że spojrzę. – Ruth Ann wpadła do kuchni, gdzie – tak jak się spodziewała – panował straszny bałagan. Na blacie – za małym, trzeba to będzie zmienić – stały brudne naczynia, a z nieszczelnych drzwiczek piekarnika wydobywał się dym.

– Sekundo... Shelly Marie, zabierz się za oczyszczenie blatu. Tercjo... Terry, posprzątaj podłogę. Benji... – Jej najstarszy syn patrzył na nią szeroko otwartymi oczami. – Benji, trzeba naprawić ten piecyk.

– Pri... Mamo?

Już. – Czują, jak wraca jej pewność siebie. – Prostoto, kochanie, zabierz maluchy do ogrodu. Macie tu ogród, prawda? – zapytała. – Tak, ale nie jest... Trochę tam bałaganu.

– Już niedługo. – Ona wie, co zrobić z bałaganem. – Prostoto, niech maluchy zajmą się pieleniem i dopilnuj, żeby nic im nie przeszkadzało.

Ciemnowłosa młoda kobieta najwyraźniej się zdenerwowała; drżała jak motyl w pajęczej sieci.

– Ale, Sera... Ruth Ann. Nie chciałam, żebyś zabierała się do pracy. Szykowałam dla was obiad.

– Ależ nie przejmuj się. Może zajmiesz się przygotowaniem stołu czy czymś takim?

– Chodź, Raffo, opowiem ci o Ruth Ann. – Wysoka tyczkowata kobieta wyprowadziła gospodynię z kuchni.

Wreszcie znowu jest w kuchni, w prawdziwej kuchni. Zdecydowanie za małej dla nich, ale większej niż te wszystkie klitki nazywane kuchniami na statkach i stacjach kosmicznych. Shelly znalazła kociołek i już grzała na piecu wodę, a Benji zdjął drzwiczki piekarnika. Wewnątrz tkwiła bryła przypalającego się z jednej strony mięsa.

Shelly podała Ruth Ann kilka złożonych ściereczek i kobieta wyciągnęła brytfannę, marszcząc nos z powodu zapachu. Mięso było surowe w środku, przypalone z wierzchu; dziewczyna najwyraźniej rozpałała zbyt wielki ogień. Prawdopodobnie nigdy nie gotowała bez prądu, a tutaj go nie było.

Ruth Ann rozejrzała się za stołem roboczym, ale go nie znalazła. Będzie musiała wystarczyć jej lada, z której Shelly zgarnęła naczynia, by zrobić dla niej miejsce, po czym zaczęła przegrzebywać szuflady w poszukiwaniu noża, który odpowiadałby Ruth Ann.

– Będziemy potrzebować stołu kuchennego – powiedziała Benjemu. – Mówią, że mają tu mnóstwo drewna, więc można już zacząć planować.

* * *

– Cecelio, czuję się okropnie, ale bliźniaki nie dały mi spać w nocy...

– Nie znalazłaś nikogo, kto by je wziął?

– Nie. – Raffa zaczerwieniła się. – Ja... my... w zasadzie zdecydowaliśmy, żeby ich u nas zatrzymać. Jedna z opiekunek uciekła z farmerem, a ta druga z dziećmi chce uruchomić szkołę, a poza tym ma własne dzieci, którymi musi się zajmować.

– Ty? – To nieoczekiwana komplikacja. – Hmm... Myślisz, że to dobry pomysł?

– To znaczy czy Brun nie będzie się gniewać, jeśli się dowie?

Raffa zawsze była zbyt bystra.

– Nie sądzę, ale jeśli tak, to jej problem. Rozumiem, że mogła nie chcieć ich zatrzymać. To musiało być okropne i chciałabym, żeby nigdy do tego nie doszło. Ale lubię... nie, kocham tych chłopców i podoba mi się nawet to, że są częścią Brun. W tej chwili sytuacja wygląda tak, że Ronnie i ja możemy nigdy nie odlecieć z tej planety. W porządku, ale brakuje mi tu pewnych rzeczy.

– Moja droga, nie musicie tu zostawać.

– Musimy i nie spieraj się ze mną. Chcieliśmy życia na własny rachunek, więc je mamy. Nie przypomina to tego, co sobie wyobrażałam, ale – czy w to uwierzysz, czy nie – jesteśmy szczęśliwi. Ale chodzi o to, że dzieci... to jeszcze długie lata, bo... cóż...

nie mam ochoty rodzić dzieci bez nowoczesnej pomocy medycznej. A w ten sposób pomagamy Brun. I sobie.

Najwyraźniej spieranie się nie miało sensu.

– Jak je nazwaliście? – zapytała Cecelia.

– Ten rudy to Peter, po stryju Ronniego, a brunet to Salomar, po bracie mojej matki.

Cecelia nieoczekiwanie poczuła wilgoć w oczach. Imiona rodzinne, i to takie, które znano również w rodzinie Brun.

– No dobrze, kiedy będę mogła zobaczyć te małe demony?

– Śpią teraz. Chorowały... Wiem, że to tylko jakieś dziecięce przypadłości, wszystkie dzieci to mają... tutaj.

– No cóż, w takim razie lepiej przygotujmy stół. Jedna rzecz, którą już wiem na temat Ruth Ann, to że jeśli już podejmiemy decyzję, sprawa zostanie załatwiona.

– Czy ona jest jedną z tych... tych, którzy skrzywdzili Brun?

– Nie. To jej mąż, ale ona dowiedziała się o tym dużo później. Gdzie masz jakieś obrusy?

– Zużyłam je na prześcieradła do dzieciennych łóżeczek. Wszystko, co możemy zrobić, to pościierać kurze. – To był elegancki stół, gdy Raffa i Ronnie sprowadzili go na planetę, ale od kilku lat służył jako stół roboczy, i to było po nim widać. Cecelia powstrzymała się od komentarza na temat stanu podłogi – jak Raffa miała odkurzać podłogę, nie mając żadnych urządzeń gospodarstwa domowego? – i pomogła wymyć poznaczony bliznami stół.

– Wciąż mam większość zastawy – powiedziała Raffa, otwierając stojący w rogu kredens i wyciągając z niego stos talerzy. – Nawet jeśli trochę głupio wygląda na gołym drewnie.

Właściwym słowem byłoby „nie na miejscu”, ale Cecelia nic nie powiedziała i zaczęła ustawiać na stole słynną „koronacyjną” porcelanę Pierce’a i Samuelsona ze złotym falistym brzegiem. W połowie pracy uświadomiła sobie, że z kuchni zamiast zapachu przypalonego mięsa dochodzi cudowna woń pieczeni i czegoś przypominającego chleb.

Nagle w drzwiach pojawiła się Ruth Ann.

– Och, nie używacie obrusów?

– Żaden nam nie został – wyjaśniła Raffa. – Musiałam ich użyć do ścielenia łóżek.

– O jejku! A my mamy ich dużo w bagażu. Cecelio, czy może wiesz, gdzie są skrzynie?

– Nie, ale dowiem się. Która to ma być?

– Ta z krzesłem i stołem na boku.

Cecelia udała się na prom, gdzie w stercie wyladowywanych skrzyń znalazła tę z

rysunkiem krzesła i stołu. Jeden z członków załogi przyniósł skrzynię, a ona ustawiła ją na stole i ostrożnie otworzyła. W środku pełno było złożonych obrusów, ozdobionych olśniewającymi ręcznymi haftami.

– Kiedy miałyście czas, żeby to utkać?

– Och, to nie nasz materiał – odpowiedziała Terry. – Nie miałyśmy miejsca na krosna. Ale Prima... Ruth powiedziała, że nie wolno nam próżnować. Poprosiła panią Waltraude, żeby zdobyła dla nas trochę materiału, a potem my go wyhaftowałyśmy. Myśli pani, że to będzie wystarczające?

Cecelia rozłożyła materiał. Na gładkiej białej tkaninie kobiety wyszyły szeroki pas kwiatów, drzew, ptaków, gwiazd i czegoś, co zapewne było symbolami religijnymi.

– To... więcej niż wystarczające. – Było wręcz wspaniałe, a porcelana wyglądała jeszcze lepiej niż przedtem.

Tymczasem zapachy z kuchni ściągnęły z góry bliźniaków. Chłopcy byli już znacznie więksi, i choć poprzedniego dnia chorowali, teraz byli pełni energii. Ruszyli prosto do stołu, ale Terry zdążyła złapać Salomara, podczas gdy Raffie to samo udało się z Peterem.

– Ale duzi chłopcy! – zaćwierkała Terry. – Pani?

– Tak – odpowiedziała Raffa. – Ale nie jestem panią, proszę mówić do mnie Raffa. Jeśli mogłabyś pomóc mi utrzymać ich z dala od stołu...

– Zabiorę ich do ogrodu i pomogę Prostocie ich przypilnować.

Kiedy odeszła, Cecelia spojrzała znacząco na Raffę.

– Wiesz, że nigdy nie uwierzą, iż urodziłaś tych chłopców. Będą wiedziały, że są adoptowani.

– Tak, ale nie będą wiedziały, od kogo – oświadczyła stanowczo Raffa.

Cecelia odważyła się zajrzeć do kuchni. Biorąc pod uwagę materiał, z jakiego wykonana była podłoga, nie mogła błyszczeć, ale za to była idealnie czysta. Ruth Ann wyrabiała potężną bryłę ciasta na blacie, który dla odmiany błyszczał. Jedna z kobiet myła naczynia, inna siekała coś, co bardzo ładnie pachniało, a starsze dzieci przynosiły z ogrodu warzywa i wносиły śmieci, a potem, gdy tylko Raffa wyraziła zgodę, zaczęły myć podłogę w jadalni.

Prąd pojawił się tuż przed powrotem Ronniego.

– Mój Boże – powiedział po wejściu do domu. Kobiety z pochylonymi głowami czekały. – To znaczy... eee... co za niespodzianka.

Ruth Ann podniosła wzrok. – Nie wypowiadamy imienia Pana nadaremno – rzekła. – Myślałam, że pan będzie się modlił.

– Wiem, ja tylko... Skąd się to wszystko wzięło?

– To tylko jedzenie – stwierdziła Ruth Ann.

– To nie jest tylko jedzenie, to uczta.

– W takim razie może pan podziękować za to Bogu. – Ruth Ann popatrzyła twardo na Ronniego, a ten zaczerwienił się i z trudem zaczął wygłaszać mowę dziękczynną, której – jak przypuszczała Cecelia – nie mówił od dekady. Na koniec kobiety z Nowego Teksasu dodały głośne, Amen”.

Pieczeń pokrojono w równe plastry, idealnie upieczone. Do tego podano puszyste rolady, leciutkie jak chmury, chrupkie na zewnątrz i soczyste w środku ziemniaki oraz świeże warzywa.

– To rzeczywiście uczta – powiedziała Raffa. – Nie potrafię sobie wyobrazić, jak wam się udało naprawić tę okropną kuchenkę. Od kiedy zaczęły się problemy z elektrycznością, wszyscy znaleźliśmy się w kropce. Nie działają maszyny chlebowe...

– Do zrobienia chleba nie potrzeba maszyn – przerwała jej Ruth Ann.

– Mnie potrzeba – stwierdziła Raffa z uśmiechem. – Nie wiem, jak inaczej można go zrobić. Próbowałam wsadzić do misy te składniki, które według przepisu umieszcza się w maszynie chlebowej, ale wyszła z tego jedynie kwaśna, zbita bryła.

– A wyrobiłaś je?

– Wyrobiłam? Co to takiego? Wymieszałam; czy nie to właśnie robi maszyna?

Terry prychnęła, a Ruth Ann rzuciła jej ostre spojrzenie.

– Nie chcę się naśmiewać... – zaczęła.

– Możesz śmiać się ze mnie, ile tylko chcesz, jeśli nauczysz mnie gotować tak jak ty – oświadczyła Raffaele. – Gdybym choć raz mogła zrobić nadający się do jedzenia bochenek chleba...

– Nie nauczysz się robić dobrego chleba po jednym razie – powiedziała Ruth Ann, z każdą chwilą czując się coraz pewniej. Cecelia miała rację. To domostwo potrzebuje jej i jej wiedzy. – Dobry chleb robi się dzięki praktyce.

– Cóż, jestem gotowa do nauki.

Ruth Ann przypomniała sobie Hazel. Ta kobieta jest od niej znacznie starsza, i jeśli nie ma wrodzonego talentu, może nigdy nie być dobrą kucharką. Ale mimo wszystko... mogłaby się nauczyć nie wpychać zbyt wiele paliwa do nieuszczelnego piecyka i nie przypalać mięsa z jednej strony.

Po obiedzie młodsze żony z własnej inicjatywy zajęły się sprzątnięciem, a Ruth Ann zaczęła opowiadać Raffaele o powodach ich przylotu i o tym, co chciałyby robić.

– Przydadzą nam się wszystkie informacje, jakie tylko możecie nam przekazać – zapewniła ją Raffa. – Powiedziałam to lady Cecelii, gdy była tu ostatnim razem. Mamy dobrych, ciężko pracujących ludzi, ale nikt z nas dotąd nie musiał radzić sobie bez elektryczności, bieżącej wody czy tych wszystkich rzeczy, które mamy w rozwiniętym świecie. To nie dotyczy tylko mnie, a praktycznie wszystkich. Nie możemy się nauczyć tego wszystkiego z książek czy kostek instruktażowych.

– W takim razie zacznijmy od ciebie. W tym domu jest dużo miejsca; możemy...

eksperymentować. – Ruth Ann była dumna z użycia tego nowego słowa. – Kiedy będziemy wiedziały, czego potrzebujesz, będziemy także wiedziały, czego potrzeba innym.

* * *

Następnego dnia praca rozpoczęła się na dobre. Ruth Ann doskonale potrafiła poruszać się w kuchni, nie wpadając na innych.

Trudno jej było tylko uwierzyć... że kieruje mężczyznami.

– Zróbcie blat takiej długości – powiedziała, i dokładnie taki zrobili. Zdawali się nie mieć nic przeciwko temu, że wydaje im polecenia, a jej to się bardzo podobało. Podobnie jak innym. Pomyślała o wszystkich tych miesiącach wysłuchiwania, jak są zacofane, miesiącach zagubienia, poczucia bezradności i niepewności... A teraz...

– Jeśli zaplanujecie zasiewy tak, żeby wysokie rośliny nie ocieniały niskich, zbierzecie większe plony – instruowała Becky. – A gdyby grządki szły w drugą stronę...

– Słuchaj, Becky, może powiesz mi, jak to powinno być, a ja narysuję schemat na następny sezon siewu.

– Dobrze.

Terry poszła na górę, aby zająć się sypialniami; choć przespały spokojnie całą noc, Ruth Ann aż nadto była świadoma obecności śmieci i kurzu. Chłopcy robili na dziedzińcu proste prycze na skręconych linach, żeby nie musieli spać na podłodze. Kiedy Ruth Ann wyjrzała przez wysokie okna jadalni, zobaczyła tłumek przyglądających się im mężczyzn. To dziwne, że mężczyźni uczą się od chłopców, pomyślała, i dobrze, że chłopcy są razem z mężczyznami. Starannie ominęła wzrokiem stojące w grupie dwie kobiety w spodniach.

Tego samego dnia w porze obiadowej prom przywiózł ze statku kosmicznego resztę ich rzeczy, łącznie z kupionymi przez lady Cecelię składanymi dziecięcymi łóżeczkami. Cały dom pachniał zupełnie inaczej, a Ronnie miał wyraz twarzy, który zdaniem Ruth Ann powinien mieć pan domu. Oczywiście nie był jej mężem – wciąż o tym pamiętała – ale cieszył ją widok mężczyzny jedzącego z wyraźną przyjemnością to, co mu ugotowała.

Kilka dni później Cecelia odleciała, ale Ruth Ann prawie tego nie zauważyła. W powiększonej kuchni miała już swój stół, a na zewnątrz urządziła letnią kuchnię do robienia przetworów.

– Potrzebujemy szkoły – oświadczyła Raffa, przyglądając się tłumkowi zebranemu wokół letniej kuchni, gdzie Shelly demonstrowała smażenie dżemów. – Naprawdę dużej kuchni, gdzie wszyscy mogliby się uczyć gotowania, i może warsztatu krawieckiego do nauki szycia.

– I warsztatu tkackiego – dodała Ruth Ann. – Ta tkanina z maszyn jest zbyt szorstka. I naprawdę dużego pieca chlebowego. Raffa rozejrzała się wokół.

– To by wystarczyło, gdybyśmy przenieśli się z Ronniem do jednego z mniejszych domów.

– Nie – zaprotestowała stanowczo Ruth Ann. – Twój mąż jest gubernatorem i potrzebujecie dużego domu. Zbudujemy nowy.

Budowa szkoły ruszyła znacznie szybciej niż ktokolwiek się spodziewał. Przywiezione przez Cecelię kostki instruktażowe i sterty wzmocnionych materiałów pozwoliły szybko wznosić trwałe ściany. Jeden z kolonistów, który na swojej planecie hobbystycznie zajmował się garncarstwem, znalazł na brzegu rzeki pokład dobrej gliny i zrobił z niej kafelki.

– Nie są jeszcze naprawdę dobre – przyznał. – Nie mamy odpowiedniego pieca do wypalania. Ale na początek lepsze to od gołego betonu czy ziemi. – Szkoła była pierwszym budynkiem, który miał podłogę ze zrobionych na miejscu kafelków.

Tak więc miały porządną szkołę, kuchnię, w której mogły uczyć się tak, jak niegdyś uczyła się Ruth Ann – przyglądając się, wykonując polecenia i czasami dostając po rękach drewnianą łyżką – duży piec do wypiekania tuzinów bochenków chleba na raz, warsztat tkacki – Ruth Ann żałowała utraty schwytanych kobiet, które były utalentowanymi tkaczkami, ale Tercja Crockett, która teraz używała imienia Anna, była prawie równie dobra – słoneczne pokoje do haftowania i ogrody dla dzieci.

Przychodząc do szkoły na lekcje gotowania – tak jak podejrzewała Ruth Ann, Raffaele nigdy nie będzie dobrym piekarzem, gdyż ma zbyt ciężką rękę do ciast i nie dość mocną do ciasta drożdżowego, choć jej paszteciki i chleby są przynajmniej jadalne – Raffaele zabierała swoje bliźniaki. Inne kobiety wkrótce poszły w jej ślady i odtąd ogród był pełen małych dzieci bawiących się pod troskliwą opieką Prostoty.

Po jakimś czasie Ruth Ann zauważyła, że czuje się dziwnie w obecności bliźniaków Raffy. Zwłaszcza Salomar wydawał się jej znajomy. To skrzywienie ust, kształt brwi i kolor oczu... Wciąż przyglądała się Raffaele i Ronniemu, próbując odnaleźć w ich twarzach rysy Salomara. To niemożliwe, żeby to była prawda, myślała. To tylko mi się wydaje.

Żeby o tym nie myśleć, coraz więcej zajmowała się szkołą. Do kilku byłych żon Rangersów zaczęli się zalecać mężczyźni, których żony umarły, ale kobiety nie chciały ponownie wychodzić za mąż, więc mogła być spokojna, że jeszcze przez długie lata nie zabraknie jej nauczycielek.

Jej starsze córki też już miały zalotników, a synowie, o których los tak bardzo się martwiła, okazali się najlepszymi rzemieślnikami wśród kolonistów, choć ci zaliczyli różne kursy i uznano ich za dobrze wyszkolonych. Ruth Ann uważała, że może i tak było, jeśli mieli do dyspozycji wymyślne narzędzia elektryczne, ale niewielu umiało się posługiwać zwykłymi, prostymi narzędziami.

W warsztacie chłopców powstawało wszystko, od łóżek i stołów aż do misek, i nikomu nie przeszkadzało, że były to proste rzeczy. Po pewnym czasie jeden z kolonistów zaczął robić z lokalnych roślin bejcę, żeby nadać drewnu żółte i czerwone zabarwienie. Nikt nie miał także nic przeciwko temu, że kilka dziewcząt również zajęło się obróbką drewna. Przez całą resztę wiosny i długie lato Ruth Ann błogosławiła serię przypadków, które sprowadziły je w to miejsce.

– Nigdy nie sądziłam, że dziewiętnaście kobiet i grupa dzieci może dokonać takich zmian – powiedział Ronnie któregoś gorącego popołudnia. Kiedy przychodził odbierać bliźniaki, często zatrzymywał się, by porozmawiać z Ruth Ann. – Ożywiłyście kolonię. Pomogły nam też dodatkowe dostawy, ale to ty, Ruth Ann, i pozostałe kobiety obudziłyście nas i tchnęłyście w nas życie.

Zerknęła na niego i zdobywając się na wielką śmiałość, sięgnęła do koszyka z narzędziami.

– Skoro pan odpoczywa... – powiedziała, wręczając mu przyrząd do pielenia i wskazując na kwietnik, o który się opierał.

Mężczyzna uśmiechnął się.

– Nigdy nie przestajesz pracować, prawda?

– Nie trzeba się spieszyć i wszystko jest zrobione na czas. Te wystające rośliny to chwasty.

– Tak jest, proszę pani. – Wyszczrzył zęby w uśmiechu. – W końcu się nauczę.

– A przy okazji... – Uznała, że łatwiej jej będzie poruszyć ten temat, gdy będzie zajęty pieleniem. – Te pańskie bliźniaki... Nie mogę uwierzyć, że Raffaele je urodziła. Jest taka drobna...

– Nie urodziła ich – powiedział krótko Ronnie i zaczerwienił się. – Są adoptowane.

– Dla Boga to nie ma znaczenia. Wiem, że jestem bezczelna, ale... Salomar kogoś mi przypomina.

Kark Ronniego zrobił się o trzy stopnie ciemniejszy, nawet pomimo opalenizny.

– Kogo? – zapytał chłodno.

– Tak sobie myślę – powiedziała Ruth Ann, odkładając igłę, bo zaczęły jej drzeć dłonie – że przypomina mi... mojego Mitcha. Myślę też, że jeśli istnieje powód, dla którego miałby mi go przypominać, możecie się nie martwić, że to zauważyłam. Byliście dla nas bardzo dobrzy, więc jeśli... jeśli to jest to, o czym myślę, to... chcę, żebyście wiedzieli, że nie mam nic przeciwko temu i cieszę się, że chłopiec jest w pobliżu mnie. Obaj chłopcy.

Ronnie napiął mocniej mięśnie ramion, odrzucając ostro ziemię.

– Nic więcej nie powiem – zapewniła go Ruth Ann.

– To... w porządku. – Odwrócił się. Oczy błyszczały mu od łez. – Ja... nie wiedzieliśmy, że tu przylecicie... Och, strasznie namieszałem i Raffa mnie zabije. Ale

jeśli sama się domyśliłaś, zauważyłaś...

– Urodziłam dziewięcioro dzieci tego mężczyzny i umiem je rozpoznać. – Ruth Ann nie wspomniała o ojcu Petera, choć doskonale wiedziała, kogo przypominają jej te rude włosy.

– Brun szukała dla nich dobrego domu, bo bała się, że chłopcy mogą zostać porwani i użyci przeciwko niej.

– Nie musisz jej przede mną usprawiedliwiać. – Wciąż nie mogła zrozumieć, że kobieta może nie chcieć zatrzymać przy sobie własnego dziecka, ale nie zamierzała teraz na ten temat dyskutować. – Nie wiesz, co to za błogosławieństwo mieć tutaj te dzieci – powiedziała. – Martwiłam się i rozpaczałam, że nigdy więcej ich nie zobaczę. Chciałam mieć pewność, że dzieci będą bezpieczne. Czy Raffaele nie będzie się gniewać? Obiecuję, że nie będę się wtrącać.

– Mnie obedrze ze skóry, ale ciebie przytuli – stwierdził Ronnie. – Ruth Ann, jesteś bardzo, bardzo wyjątkową damą.

– Próbuję być po prostu dobrą kobietą – odpowiedziała, ale jego słowa sprawiły jej przyjemność. – Chwała Bogu, że nie jesteś na mnie zły i że nie będziesz trzymał mnie z daleka od dzieci. Nigdy nie sądziłam, że będę jeszcze szczęśliwa, a oto jestem szczęśliwsza niż kiedykolwiek przedtem.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Benignity Współczującej Dłoni Nuovo Yenitza, Santa Luzia

Spowiedź członka Zakonu Miecza, który przebywał na misji, zawsze musiała odbywać się w obecności kapłana Zakonu. Ale były sprawy, do których nikt nie chciał się przyznać, jeśli miał przeżyć; księża mieli bowiem prawo – kościelne i świeckie – wyznaczać kary, łącznie z karą śmierci.

Hostite Fieddi klęczał w milczeniu, czekając na przybycie kapłana, i myślał o tym, z czego powinien się wyświadczyć, a co musi pozostać tajemnicą. Jako młody człowiek miał bardzo poważne problemy z odróżnieniem spowiedzi i odprawy, ale teraz to było jego drugą naturą.

Zabrzmiał cichy dzwonek i Hostite rozpoczął odwieczny rytuał.

– Wybacz mi... – Podczas gdy jego głos recytował formalne frazy, umysł oddzielał niczym owce od kóz prawdy, które musiał wyznać, od tych, które powinny pozostać ukryte, jak długo będzie Mistrzem Miecza.

– Upłynęło dużo czasu – powiedział kapłan.

– Udałem się z misją – wyjaśnił Hostite – na odległe planety.

– Poza dominium Kościoła?

– Wszystko należy do dominium Kościoła, jednak było to daleko od księży i Zakonu Miecza.

– Aha. A więc mów.

Powoli opowiedział wszystko, co obciążało jego duszę: pokusy, którym uległ, i te, które zaledwie pobudziły jego zmysły, rozkazy, które wypełnił, a których nie powinien był wysłuchać, i te, których nie wypełnił, choć taka była jego powinność. Szczerze żałował za wszystkie czyny, które obciążały jego sumienie; gdyby był kimś innym, mógłby żyć w pokoju i spowiadać się jedynie z pożądliwych spojrzeń na czyjąś córkę.

– A czy zgrzeszyłeś w jakiś inny sposób? Może pożądaniem?

Zawsze pytali o pożądanie, choć do tej pory powinni już wiedzieć, że warunki jego życia wykluczały takie emocje. Odpowiedział jak zawsze, i jak zwykle zadano mu pokutę, by całkowicie oczyścił swoją duszę. Kiedy Mistrz Zakonu Miecza stwierdzi, że jest już za stary napełnienie służby i wyzna swoje ostatnie grzechy, odejdzie z czystym sercem, już niejako Cień tancerzy, lecz wypełniony światłem. Tak mu obiecano i w to właśnie wierzył.

Żadne inne życie niż to nie jest możliwe i nie czeka go żadna inna przyszłość.

– Hostite! – Krzyk Mistrza wyrwał go z zadumy wywołanej długą pokutą.

– Milordzie. – Hostite podniósł się z kolan i odwrócił.

– Przewodniczący chciałby usłyszeć więcej szczegółów o sytuacji w Familiach.

– Milordzie.

– Dziś po południu udzieli nam audiencji. Będę ci towarzyszył, podobnie jak Iagin Persius. – Persius również zakończył ostatnio misję w Familiach. Hostite wiedział, że jest on kompetentnym agentem. – Zgłosisz się teraz do zakonnego garderobianego po strój.

– Tak, milordzie. – Hostite skłonił się. Mistrz wyszedł z kaplicy, a Hostite skierował się do magazynów, w których Zakon trzymał wszystkie kostiumy, jakich mogli potrzebować jego członkowie. Nie zastanawiał się nad popołudniowym spotkaniem. Słyszał wiele plotek na temat spotkań z Przewodniczącym, ale widywał się z nim już wcześniej, a poza tym i tak nie bał się niczego, nawet śmierci.

Strój dla Mistrza Miecza na taką okazję był bardzo prosty. Kombinezon z czarnego elastycznego materiału, który sprawiał wrażenie drugiej skóry i nie pozwalał ukryć broni. Szkarłatny beret z aksamitu, pasujący do pantofli w tym samym kolorze, wskazywał na jego rangę Mistrza Miecza. Przez naramienniki przeciągnięte były złote, zielone i czerwone sznury z jedwabiu; wskazywały na zdobyte doświadczenia i liczbę zabójstw popełnionych w kraju i za granicą, w ogóle obrazowały całą historię kariery, jeśli ktoś umiał to odczytać, a Przewodniczący z pewnością to potrafił. Właśnie kończył dopasowywać pantofle, gdy do pomieszczenia wszedł Iagin Persius. Ukłonił się, ale nic nie powiedział, a Hostite w odpowiedzi również się ukłonił. Nie wolno im było omawiać wyników swoich misji przed złożeniem raportu dla Przewodniczącego, aby nie być posądzonymi o ukrywanie jakichś faktów.

Aż do samego lunchu Hostite przeglądał kostkę ze swoim raportem, poprawiając drobne błędy transkrypcji z kodowanego infopreśta, a cztery miejsca dalej siedział Persius i robił to samo. Zgodnie z wymogami pokuty, Hostite ograniczył lunch do rosółu i wody z porcją „chleba grzeszników” – twardej, kwaśnej bryły dostarczającej tylko tyle składników odżywczych, by mógł wykonywać swoje obowiązki.

Przed gabinetem Przewodniczącego Mistrz Zakonu Miecza oddał odzianym w szare mundury strażnikom swoją czerwoną pelerynę i pas z mieczem. Hostite nie zastanawiał się, czemu Mistrzowi kazano założyć pełny oficjalny strój, a następnie oddać pelerynę i miecz. Tego wymagała tradycja, to wszystko. Potem on i Persius oddali do kontroli swoje aksamitne berety.

Przewodniczący siedział za potężnym biurkiem; w błyszczącym blacie z czarnego marmuru niewyraźnie odbijała się jego twarz. Po obu stronach stali jego strażnicy.

– Fieddi, zostałeś wysłany, żeby spotkać się z Barracloughami. Czego zatem się dowiedziałeś?

Hostite pokłonił się i zaczął mówić, wbijając wzrok w brązową tablicę na ścianie

powyżej głowy Przewodniczącego.

– Była to moja trzecia wizyta u starszej gałęzi Barracloughów; wystąpiłem jako instruktor tańca z szablami. Czwartego dnia mojej wizyty poinformowano mnie o zamordowaniu lorda Thornbuckle'a. Grupa taneczna składała się z obywateli Familii; ich reakcje wskazywały na to, że byli świadomi tarć między lordem Thornbucklem i jego młodszym bratem oraz między Thornbuckle'ami i niektórymi rodzinami, w szczególności klanem Conselline-Morrelline.

– Czy rozmawiałeś z członkami rodzin?

– W trakcie mojego pobytu udzieliłem lekcji sześciu członkom rodziny: Stefanowi, aktualnemu przywódcy, Mieran, jego żonie, Rudolfowi i Jamesowi, jego synom, córce Katarinie i Violi, jego bratanicy. Stefan mówił wyłącznie o sztuce fechtunku; potrafi walczyć trzema rodzajami broni, ale chciałby zostać ekspertem. Poprosił mnie o radę w sprawie najęcia stałego mistrza. Jego prośba została przewidziana przez Mistrza i zgodnie z instrukcją zarekomendowałem Alaina Detoursa. Mieran wyraziła opinię, że śmierć lorda Thornbuckle'a to okropna tragedia, ale sam to na siebie sprowadził, i że ma nadzieję, iż zabójcy z Nowego Teksasu zadowolą się jego śmiercią.

– Jak radzi sobie w szermierce? – zapytał Przewodniczący.

– Jest bardzo energiczna – odpowiedział Hostite. – Szybko reaguje na zagrożenia, ale nie widzi niczego więcej poza najbliższym pchnięciem. Większość kobiet z rodzin rządzących jest bardziej przenikliwa.

– A pozostali?

– Rudolf woli parpauna i fechtuje tylko dlatego, że tak się robi w jego sferach, zadowolając się przeciętnymi wynikami.

– Syn swojej matki... – skomentował Przewodniczący. – Mów dalej.

– James startuje w szkolnych turniejach i bardzo mu zależy na moich pochwałach. Może kiedyś wyrośnie na dobrego szermierza.

– Broń?

– Myślę, że szpada, choć może później szabla.

– Mów dalej.

– Katarin i Viola fechtują całkiem dobrze jak na kobiety.

– Nie masz nic więcej do powiedzenia na ich temat?

– Nie. Fechtują ponieważ tak należy, tak samo jak grają w siatki, piłkę czy pływają.

– Są ładne, Fieddi?

Hostite przywołał w myśli ich obraz; widział wyraźnie twarze dziewcząt, ale nie bardzo wiedział, jakie są standardy urody Przewodniczącego.

– Są młode i bogate – odpowiedział. – Nie są tancerkami.

Przewodniczący roześmiał się.

- Widzę, że masz jasno określone standardy. No cóż... Iagin Persius. Zostałeś wysłany do Consellinów. Czego się dowiedziałeś?
- Hobart Conselline wciąż narzeka, że jest niewłaściwie traktowany. Choć teraz jest przywódcą rodziny i klanu, wciąż pragnie uznania, jakim cieszył się jego brat. Ma wielkie ambicje wobec siebie i przyjaciół i chce zapewnić sobie władzę na resztę życia.
- Czy on jest Odmłodzeńcem?
- Tak, wielokrotnym. Pogardza tymi, których nie stać na odmłodzenie.
- A czy zna stanowisko Współczującej Dłoni w sprawie odmładzania?
- Tak, sir, i uważa, że to nasza jedyna słabość.
- Jego religia?
- Wierzy tylko w bogactwo i wpływy, sir.
- Tacy ludzie zwykle są przesądni. Hostite, a jak to wygląda u Barracloughów?
- Niektórzy w rodzinie są wyznawcami, ale nie naszej wiary. Ich wiara jest dekadenccka, wywodzi się z tych rebelianckich wyznań ze Starej Ziemi, które dawno temu oderwały się od Kościoła Świętego.
- Hostite! Nie wiedziałem, że potrafisz być tak elokwentny. – Hostite zaniepokoił się. Tak wielkie zdziwienie może być niebezpieczne. – A więc jesteś żarliwym wyznawcą Kościoła?
- Sir, jestem członkiem Zakonu Miecza. Od dzieciństwa poświęciłem swoje życie zakonowi.
- Wiem o tym, Hostite, ale wyczuwam w tobie głębsze emocje. Czy miałeś kiedyś wizję lub objawił ci się Nasz Pan?
- Nie, sir, moje przeżycia można by wytłumaczyć jedynie dziecięcą fantazją. Ale kontakt z niewiernymi z Familii pozwolił mi zrozumieć, jakim skarbem jest Prawdziwa Wiara. Oni bawią się swoją wiarą jak dzieci zabawką, odkładając ją do szufladki, kiedy staje się niewygodna. To nie jest prawdziwa wiara.
- Oczywiście, że nie. Ale wróćmy do tematu. Jakie jest stanowisko Barracloughów w sprawie odmładzania?
- Większość z nich po czterdziestce już się odmłodziła, sir, ale kilku starszych odmówiło. Rodzina Barracloughów ma wybieralną władzę: Stefan, ich aktualny przywódca, nie jest najstarszym synem najstarszego syna. Jego brat Viktor, który specjalizuje się w teorii prawa, odmówił odmłodzenia. Jego obiekcje były natury prawnej – chodzi o dezorganizację, jaką mogą spowodować powtarzalne odmłodzenia. Viktor przekroczył już siedemdziesiątkę. Jego córka Viviane odmłodziła się, będąc po czterdziestce. Ma teraz czterdzieści pięć lat, ale moje źródła twierdzą, że zdecydowana jest nie powtarzać procesu. Stefan ma pięćdziesiąt siedem lat i odmłodził się dwukrotnie do trzydziestki. Jednak jest przeciwny temu, co określa mianem „błahych” odmłodeń.

– Hmm... Mam pytanie do was obu: do jakiego stopnia nie należący do Rodzin obywatele Familii uważają odmłodzenie za problem prawny, społeczny lub religijny?

Hostite milczał, więc odezwał się Iagin.

– Ponieważ Hobart Conselline chętnie mówi – robi to znacznie chętniej niż cokolwiek innego – mam na ten temat pewne informacje. Bardzo martwi się opozycją przeciwko wielokrotnemu odmładzaniu. Niepokoi się zarówno o zyski – klan Consellinów bardzo dużo zainwestował w farmaceutyki do odmładzania; do czasu skandalu z Patchcock stanowiły one dwadzieścia procent ich dochodów – jak i o to, że wielokrotne odmładzanie może zostać ograniczone z powodów społecznych. Consellinowie mocno popierali zniesienie przepisów zakazujących powtarzalnych odmłodzeń. Hobart uważa, że na wielokrotne odmładzanie, dające nieograniczony czas życia, zasłużyli ci, którzy wykazali się sprytem i zebrali środki na jego opłacenie.

– A... czy stosuje tę samą filozofię do stosunków międzynarodowych?

– Najprawdopodobniej. Wykorzystuje swoją przewagę w szermierce – a jak zdążyłem zauważyć, również w innych dziedzinach – z wielką energią i bezwzględnością. Obserwowałem go przy stole i z rodziną, i powiedziałbym, że to co ma, nigdy mu nie wystarcza. Jeśli nie miałby dostępu do odmładzania i dobrej opieki medycznej, położyłby się do grobu, biorąc ze sobą jedzenie i picie.

– Zaprawdę, dyscyplina Wiary chroni nie tylko dusze – rzekł Przewodniczący, posyłając Hostite uśmiech. Przewodniczący, szczupły i sprawny w wieku sześćdziesięciu lat tak samo jak trzydzieści lat wcześniej, nie poddał się odmładzaniu i nie miał takiego zamiaru – zabraniał tego Kościół. – A więc... Hobart Conselline, który został nowym szefem rządu, jest człowiekiem pełnym zawiści i urazów, bezwzględnym intrygantem, człowiekiem, który nie będzie czuł się bezpiecznie dopóty, dopóki nie będzie miał nad wszystkim władzy. Hostite, co zrobią Barracloughowie, jeśli spróbuje ich kontrolować?

– Viktor będzie walczył, używając całej swojej wiedzy prawniczej, ale Familie Regnant niestety nie mają formalnej konstytucji. Stefan jest pełen dobrej woli, ale jeśli Hobart go rozwścieczy, znajdzie się ze swoją rodziną w opozycji. Jest jednak człowiekiem, który przeciwstawia się jawnym atakom, ale nie widzi ukrytych zagrożeń.

– Zastanawiam się, czemu wybrali go na głowę Rodziny?

Hostite odchrząknął.

– Ze wszystkich kandydatów zdawał się najmniej skłonny do wtrącania się w życie innych. Lord Thornbuckle był już Mówcą i nie chciał równocześnie przewodzić Rodzinie. Jego młodszy brat Harlis nie jest powszechnie lubiany. I choć Familie dalekie są od dyskryminacji kobiet, niewiele Rodzin kierowanych było przez kobiety. Żadna z niewiast Barracloughów nie była na tyle niezadowolona z sytuacji, by starać się o objęcie przywództwa.

– Nie mają kobiet renegatek?

– Mają, ale one interesują się błahostkami. Na przykład lady Cecelia de Marktos hoduje konie.

– Była na Xavierze – zauważył Przewodniczący z pogardą, która niemal Hostite’a zmroziła. – Może i jest tylko hodowcą koni, ale zawsze, kiedy waliły się nasze plany, ona zawsze była w pobliżu. Była na przykład na Sirialis, kiedy zniszczono Lepescu...

– Lepescu był nasz? – zapytał Iagin. Przewodniczący posłał mu spojrzenie, którego Hostite wolałby nie oglądać.

– Nie, nie skorzystałbym z usług takiego śmiecia. Co innego zabijać – nawet okaleczyć, traktując to jako nauzkę – a zupełnie co innego obejść się z wrogiem jak z czymś gorszym niż człowiek. Z tego, co pamiętam, to lady Cecelia de Marktos przywiozła księcia z powrotem do ojca. Nie dałem naszej agentce zgody na zaatakowanie jej – na kobietach nie można polegać, a poza tym zawsze podejrzewam jakąś osobistą urazę – ale znowu się pojawiła, ingerując w sytuację na Patchcock. Jakoś mało prawdopodobne wydaje mi się, że to przypadek, iż kobieta, której nigdy wcześniej nie interesowało nic innego oprócz koni, tak często pojawiała się w samym środku problemów.

– Heris Serrano – wymamrotał Hostite. – Komandor również tam była.

– Tak, ale Serrano zawsze mieli w Familiach reputację neutralnych. Wielokrotnie wiązali się z Barracloughami...

– Heris Serrano zrezygnowała ze służby i rozpoczęła współpracę z lady Cecelią jako wynajęty pracownik – przypomniał Iagin.

– To normalne, jeśli ktoś chce stworzyć duetto. – Słowo to oznaczało parę, która razem polowała.

– Dziękuję wam obu – powiedział Przewodniczący z ukłonem. – Mistrzu, zechcesz jeszcze chwilę poczekać...

Hostite cofał się od biurka Przewodniczącego tak długo, aż poczuł pod stopami brzeg dywanu, wyznaczający właściwą odległość, po czym odwrócił się do wyjścia.

O dziwo, dotarł do drzwi żywy. Kiedy wraz z Iaginem znalazł się w poczekalni, poczuł omdlewającą ulgę, która zawsze następowała po chwili śmiertelnego zagrożenia.

* * *

Przewodniczący przyglądał się Mistrzowi Zakonu.

– Hostite jest naszym najstarszym Mistrzem Miecza, nieprawdaż?

– Tak jest, sir.

– To niezwykle, że Mistrz tak długo żyje. Lecz on sam jest niezwykle, zgodzisz się chyba ze mną?

– Tak, na swój sposób.

– Ma czyste uderzenie – powiedział Przewodniczący. – Zawsze trafia w cel, i jak słyszę, jest poważny i posłuszny.

– To prawda, Przewodniczący.

– A jednak...

– A jednak nie potrafię go polubić, panie Przewodniczący.

– Tak. I to właśnie powód, dla którego uważam, że jeszcze nie nadszedł jego koniec. Muszę mieć jednego Mistrza, którego Mistrz Zakonu nie będzie lubił.

Mistrz pokłonił się. Obaj o tym wiedzieli; te słowa padły już wcześniej.

– Martwią mnie wieści o Hobarcie Conselline. Tego rodzaju człowiek, jeśli poczuje się zagrożony, może zrobić wszystko. Sądziłem, że odkrycie, iż ich środki do odmładzania tak łatwo można zanieczyścić, spowolni tempo ich odmładzania. Czemu ktoś miałby dobrowolnie narażać się na szaleństwo?

– Z powodu strachu przed śmiercią.

– Ależ oni to robią wtedy, kiedy są jeszcze dalecy od śmierci, dla czystej przyjemności. Myślałem, że to wynika z dekadentckiego charakteru ich klasy, że odmładzanie tylko wyjątkowo będzie się zdarzać na przykład wśród robotników. Ale nie. Oni nie chcą wiecznego życia, oni chcą wiecznej młodości. A to nie to samo.

– Tak, Przewodniczący.

– Z początku nie zdawaliśmy sobie z tego sprawy, nie rozumieliśmy ich pragnień. A bez tego nie można kształtować naszej polityki. Nawet Ojciec Święty ich nie rozumie; uważa, że to kolejny przykład grzesznej natury. Jest to dla nas wielki problem. – Umilkł i odwrócił się, by spojrzeć przez okno. Dzieci. Są starzejącymi się dziećmi, które nie chcą niczego się nauczyć, które czują odrazę do dyscypliny wiary. Jak mógłby wpłynąć na starzejące się dzieci? Ujrzał w myślach Hobarta Conselline takiego, jakim widywał go w kostkach danych, zepsutego i wciąż zadowolonego z siebie, nawet za sto lat, kiedy on sam już dawno będzie spoczywał w grobie.

Tak nie może być. Musi znaleźć jakieś rozwiązanie, i to szybko. Jego rodzina, wielka rodzina, na którą składa się cała Benignity Współczującej Dłoni, ufa, że zapewni im bezpieczeństwo, dobrobyt i porządek. To jego obowiązek, a jest Przewodniczącym właśnie dlatego, że zawsze wypełnia swoje obowiązki.

– Być może będę musiał jeszcze raz porozmawiać z Hostite Fieddim – powiedział. – Poinformuj go, proszę, żeby pozostał w budynku. Potrzebuję także twojej opinii... czy wśród rządzących Rodzin jest ktoś, kto odmówił wielokrotnego odmładzania, a jeśli tak to dlaczego. Czy w ich Radzie są jacyś rozsądni ludzie?

– Tak, Przewodniczący. Kiedy Mistrz Zakonu odszedł, Przewodniczący znów odwrócił się, by wyjrzeć przez okno. Starzejące się dzieci... Zniedołeźniałe dzieci, jeśli miłosierny Bóg nie pozwoli na odmładzanie, nawet pomimo najlepszych leków. Co za okropna perspektywa: imperium pełne starzejących się, niedołeźnych dzieci. A jednocześnie ta cała ich energia i wiedza... Ich wspaniała flota kosmiczna z admirałami

mądrzejszymi nawet niż jego admirałowie, nieustannie zasilana komandorami równie mądrymi jak admirałowie. Mimo wszystko... to ponura, bardzo ponura sytuacja.

Będzie musiał pomodlić się za Hobarta Conselline. Będzie musiał odmówić bardzo szczególną modlitwę za jego duszę... i być może za duszę Hostite Fieddi.

* * *

W sali zebrań Przewodniczący spotkał się ze swoim Zarządem i przekazał im, czego się dowiedział.

– A więc Familie pogrążą się w jeszcze większym chaosie?

– I będą jeszcze bardziej zaborcze. Poprosiłem Mistrza Zakonu Miecza o rozważenie możliwości dokonania zamachu stanu, ale będziemy potrzebowali odpowiedniego następcy.

– Z całym szacunkiem, panie Przewodniczący, myślałem, że nasza polityka polega na promowaniu uzależnienia...

– Źle pan zrozumiał. – Zapadła nagła cisza; wszyscy czekali na komentarz Przewodniczącego. – Nie popieramy występku; my tylko czerpiemy z niego korzyść tam, gdzie słaba natura ludzka pozwala mu rozkwitać. Ale w tym przypadku miałem szczerą nadzieję, że wycofają niebezpieczne leki, albo dobrowolnie, ze wstydu, albo pod przymusem. Oczywiście nie chodziło nam o zniszczenie ich struktury wojskowej, chcieliśmy tylko zmiany procesu odmładzania na bardziej bezpieczny, który przedłużyłoby życie o zaledwie dekadę czy coś koło tego.

– Nasze zasoby...

– Są niewystarczające, aby prowadzić otwartą wojnę z Familiami. Straciliśmy na Xavierze całą grupę bojową, a na kolejną taką stratę nie możemy sobie pozwolić. Potrzebujemy chronić siebie bez narażania się na kłopoty.

– Mamy wyeliminować Hobarta Conselline?

– To z pewnością jedna z możliwości. Zwłaszcza jeśli można będzie znaleźć odpowiedniego człowieka na jego miejsce. Kogoś, kto rozumie, że niepohamowana ekspansja prowadzi do wybuchowej dekompresji.

Cały Zarząd patrzył na niego. Wiedział, o czym myślał. Sto, tysiąc kłosów pszenicy pada z rąk żeńców i tylko Najwyższy potrafi je odróżnić... ale upadek wielkiego drzewa powala wszystkie drzewa wokoło i wstrząsa ziemią. Być może Bóg troszczy się tak samo o źdźbła trawy, jak i o wysokie cyprysy... ale zwykli ludzie zauważają tylko te drugie. Do niego należy decyzja, ale na nich spadną konsekwencje.

Sirialis

Miranda zjeżdżała ze wzgórza w zimnym wieczornym deszczu, który nie pomógł jednak ostudzić jej gniewu na tego wytwornego człowieczka, który był pewien, że jest tutaj mile widzianym gościem.

Próbowała być sprawiedliwa. Próbowała być rozsądna.

Ale Pedar Orregiemos przekroczył wszelkie granice. Najpierw napisał do niej, wyrażając zachwyt swoją teką ministra. Potem ponownie napisał, narzekając na ingerowanie jej córki w politykę zagraniczną, gdy Brun zaprosiła tę kobietę z Teksasu do Appledale. Wreszcie zadzwonił przez ansibla, aby jej powiedzieć, że powinna być „sprawiedliwa” wobec Harlisa, ponieważ, jak wyjaśnił, ona tak naprawdę nie potrzebuje tej posiadłości. On może ją utrzymywać i sam dbać o jej interesy jako minister spraw zagranicznych.

A dzisiaj przybył na Sirialis, zadowolony z siebie, aby poinformować ją o korzystnym dla niej wyniku rozprawy dotyczącej testamentu Bunny’ego, i przekonany, że będzie mile widziany. Był pewien, że będzie mógł pocieszyć potrzebującą wsparcia wdowę...

Gdyby tylko zostawił ją w spokoju... Rozejrzała się, ale zobaczyła tylko stajennych zajmujących się wieczornymi obowiązkami. Ukłonili się jej, a ona im, po czym skręciła do przejścia między biurem stajni i magazynem weterynaryjnym. Nikt nie będzie zdziwiony, widząc ją tam, bo często przychodziła wieczorami z kostkami cukru dla ulubionych wierzchowców Bunny’ego.

Gdyby tylko zostawił ją w spokoju, nic by nie zrobiła. Gdyby tylko nie afiszował się swoją władzą i kontaktami, których ona nie powinna ignorować. Co on sobie myśli? Że ona zawsze go potajemnie kochała i miała nadzieję pozbyć się niechcianego męża, aby mógł zostać jej kochankiem?

Naprawdę jest aż taki głupi?

Otworzyła drzwi do starej kuźni, gdzie czekały na naprawę strzemiona i okucia. Nad długim blatem z palnikami i kleszczami spoczywały w zgrabnych statywach rzędy butli z chemikaliami. Większą część pomieszczenia zajmował stary piec kowalski, wokół którego wzniesiono budynek, gdy na drugim dziedzińcu zbudowano nowe palenisko – znacznie większe i dostosowane do potrzeb większej liczby koni.

Informacje Brun były znacznie pełniejsze niż Cecelii. Pedar był powiązany z Odmłodzeńcami i Hobartem Conselline... ale ten, chociaż odmówił interwencji w obronie interesów rodziny Harlisa, nigdy nie przyłożyłby ręki do własnego upadku. Ani Brun, ani ta Rangerka z Teksasu nie sądziły, żeby zebrane dowody były wystarczające dla sądu, ponieważ Mówca miał prawo w każdej chwili zwalniać starych i wyznaczać nowych ministrów oraz sędziów sądów wyższych instancji.

„Jestem pewna, że to wszystko zaplanował Pedar”, napisała Brun. „Choć Cecelia mówi, że nie mógł zrobić tego osobiście, bo był wtedy na Zenebrze, nie mam wątpliwości, że wynajął jakichś zabójców. Kate znalazła ślad pieniędzy – i to dużych –

ale we wrogim nam sądzie prawdopodobnie to nie wystarczy. Nie jesteśmy w stanie stwierdzić, czy zrobił to sam, aby wkupić się w łaski Consellinów, czy na rozkaz Hobarta. Za swe usługi otrzymał w nagrodę tekę ministra – czemu ktokolwiek miałby obsadzić Pedara w ministerstwie spraw zagranicznych? – ale nie możemy tego dowieść. Jeśli ty nie znalazłaś niczego w archiwach, utknęliśmy w martwym punkcie.”

Archiwa zdecydowanie dowiodły, że Harlis Thornbuckle i jego syn Kell byli zaangażowani w mactwa finansowe, wymuszenia i wewnątrzrodzinne walki o władzę, ale nie w śmierć brata, i że nie mieli żadnych powiązań z Odmłodzeńcami. A przynajmniej niczego na ten temat jeszcze nie znalazła.

Przez chwilę Miranda krążyła po kuźni, potem podniosła złamane wędzidło i usiadła przy stole. Czy jest przekonana, że to Pedar zabił Bunny’ego?

Tak.

Czy jest pewna, że nie można go postawić przed sądem?

Nie można, jak długo Hobart Conselline jest Mówcą, a Pedar jego ministrem spraw zagranicznych. Kto uwierzy w słowa pogrążonej w żałobie wdowy?

Czy mimo to jest gotowa oskarżyć go, jeśli jej działania i tak nie mogą przywrócić Bunny’emu życia?

Gdyby Pedar oszczędził i zostawił ją w spokoju... Ale nie, on nie zrobi tego, to nie leży w jego naturze. Będzie się przymilał i narzucał, będzie działał przeciwko niej, żeby zmusić ją do uległości, tak samo jak wtedy, gdy była młodą dziewczyną i kochała kogoś innego. Ale wtedy miała Bunny’ego, a teraz jest sama i jej jedyną bronią jest własny spryt.

Nie może nic zrobić Hobartowi Conselline, który – tego była pewna – zainspirował Pedara do działania, niezależnie od tego, czy wydał mu rozkaz. Ale tutaj, w jej własnym domu, może przynajmniej poradzić sobie z jego sługusem.

Włączyła mały palnik i podgrzała trochę przedmiot tkwiący w zaciskach. Nauczyła się obróbki metalu wtedy, gdy zapragnęła mieć osłonę do floretu w określonym stylu. Przez lata uczyła się technik wzmacniania lub osłabiania metalu i nadawania mu wyglądu starszego niż był w rzeczywistości.

Możesz tego nie pochwalać, ukochany, ale na pewno to zrozumiesz, pomyślała.

Miała nadzieję, że zrozumieją to także jej dzieci.

W końcu wyłączyła palnik i zostawiła metal do wystygnięcia. Nie obrobiła go do końca, ale zrobiła pierwszy krok. Czasem to wszystko, co można zrobić.

Neil czekał na nią przy zewnętrznej bramie.

– Dobranoc, Neil – powiedziała. – Zrobiłam trochę bałaganu w starej kuźni. Miałeś rację, mały palnik nie wystarczy.

– Wszystko będzie dobrze – powiedział.

Miała nadzieję, że ma rację. Zrobi wszystko, żeby tak właśnie było.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Stacja Baskar, system Baskar

Beatta Sorin, wychowawczyni klasy Małych Owieczek szkoły podstawowej imienia Pasterza Glena na stacji Baskar, szła jako pierwsza do stacji tranzytowej. Co kilka kroków zerknęła do tyłu, na równy wężyk ubranych w mundurki uczniów, nauczycieli i pomagających im rodziców. Dorośli mieli na sobie kamizelki z napisem „Szkoła podstawowa Pasterza Glena” po lewej stronie i obrazkiem skaczącej owcy po prawej. W kieszeniach mieli oficjalne identyfikatory, chipy lokalizacyjne i zestawy awaryjne. Każdy z dorosłych miał też na szyi linkę z gwizdkiem, który miał wspomagać zestaw słuchawkowy. Młodszy nauczyciele – podobnie jak ona – ubrani byli w dorosłą wersję mundurków szkolnych, składającą się z białych bluz i kraciastych spodni. Beatta miała w ręce koniec linki, którą trzymały wszystkie dzieci. Jak dotąd były posłuszne... ale wciąż znajdowali się blisko szkoły i w każdej chwili dzieci mogły zostać odesłane z powrotem, aby spędziły nudny dzień z przedszkolakami.

Na stacji pokazała kostkę kredytową szkoły i siedemnaścioro dzieci pod opieką dziesięciu dorosłych przeszło na peron. Na tak wczesnym etapie wycieczki dzieci wciąż dobrze się zachowywały, choć jej doświadczony wzrok wyłapał, że Poro Orinios już potrzebuje skorzystać z ubikacji, a Mercy Lavenham ma w kieszeni i na palcach lewej dłoni coś lepkiego. Wysłała swojego asystenta Uri, żeby zajął się Poro, a sama opróżniła kieszeń Mercy, starannie wycierając przy tym jej palce. Wygląda na to, że matka dziewczynki nie potrafiła oprzeć się chęci wsunięcia jej w kieszeń czegoś słodkiego, choć było to surowo zabronione.

Uri wrócił i cały wężyk pomaszerował na pokład wagonika transgrawitacyjnego, który miał ich zabrać na wycieczkę wokół stacji. Beatta, zawsze doskonale zorganizowana, dokonała wcześniejszych ustaleń z zarządem kolejki; mieli wystarczająco elastyczny harmonogram, by dać dzieciom więcej czasu na wejście do wagonika. Kiedy dzieci zostały przypięte do miejsc i przyklejono im plastry przeciw nudnościom, kolejka ruszyła ze stacji.

Beatta już siedem razy prowadziła taką wycieczkę i z doświadczenia wiedziała, jak zaplanować trasę, by zapewnić dzieciom jak najwięcej emocji i nauki. Najpierw przejazd przez gęsto zaludnione rejony mieszkalne i handlowe; natychmiast rozległy się podniecone głosy dzieci wskazujących bloki, w których mieszkają czy sklep, w którym ich mama kupuje chleb. Kolejka często się zatrzymywała. Potem, gdy zaczęła się zbliżać do pierwszego segmentu transgrawitacyjnego, Beatta zadzwoniła dzwonkiem, nakazując ciszę.

– Dojeżdżamy – powiedziała. – Wszyscy mają pamiętać o oddychaniu i mocno się trzymać. – Kiedy opuściły się poręcze zabezpieczające siedzenia, Beatta skorzystała z

okazji i wsadziła do uszy zatyczki. Nic nie powstrzyma dzieci od pisku, gdy kolejka będzie pokonywać przejścia grawitacyjne, i gdyby nie była ostrożna, piski Małych Owieczek już dawno pozbawiłyby ją słuchu.

Kolejka nabrała szybkości, trzęsąc się nieco, i światła zamrugały trzykrotnie, ostrzegając przed przejściem. Potem wagonik wskoczył w ciemność i Beatta miała wrażenie, że właśnie spadła z urwiska. Wrzaski podniecenia i strachu były boleśnie głośne, nawet pomimo zatyczek w uszach.

Ciążenie stopniowo wróciło, ale nie do normalnego poziomu. Ciężki Przeładunek, ich pierwszy przystanek, utrzymywał ciężenie na poziomie zaledwie 0,25 G. Beatta z zadowoleniem stwierdziła, że nikt z klasy nie zwymiotował; przynajmniej tego roku matki wzięły pod uwagę jej uwagi dotyczące lekkiego śniadania. Kolejka wyjechała z ciemnego tunelu na olbrzymią oświetloną przestrzeń. Beatta wyjęła z uszu zatyczki i włączyła mikrofon.

– Uwaga, dzieci! Znajdujemy się na terenie przeładunku większości przychodzących towarów. Bri, twój tata pracuje w Ciężkim Przeładunku, prawda?

Bri, siedzący w połowie wagonika po prawej stronie, kiwnął głową.

– Cóż, to znaczy, że pracuje właśnie tutaj.

– Byłem tu już kiedyś, zabrał mnie ze sobą!

– Tak, Bri, ale inni nie byli. Proszę, uważajcie. Kiedy dojedziemy do stacji, będziecie mogli zobaczyć – po tej stronie, gdzie siedzi Bri – włązy wylotowe systemu transportu kontenerów oraz szyny samego systemu transportowego. Jeśli będziemy mieć szczęście, zobaczycie rzędy kontenerów z ładunkiem. – Wiedziała, że będą mieli szczęście, bo ustaliła termin wycieczki na czas, kiedy miał przylecieć jeden z dużych kontenerowców, i sprawdziła harmonogram rozładunku u szefa działu. Znała również kody barwne i kształty różnych typów kontenerów, i była przygotowana na pytania dzieci, które z nich przewoziły jedzenie, a które surowce przemysłowe czy gotowe produkty.

Bix i Xia zaczęli podskakiwać na swoich miejscach, testując niskie ciężenie i pasy bezpieczeństwa. Beatta spojrzała na nich z odwiecznym wyrazem twarzy nauczycielki i dzieci natychmiast znieruchomiały. Bliźniaki, jej zdaniem, zawsze stwarzały problemy, i bardzo irytowało ją, że dzięki popularności bliźniaków córki lorda Thornbuckle'a setki tysięcy rodziców wybierało ciężę bliźniacze; Beatta przewidywała za kilka lat mnóstwo pracy dla nauczycieli.

Kolejka zwolniła i zatrzymała się przy stacji przeładunkowej, a Beatta przypomniała dzieciom, by patrzyły przez okna po prawej stronie, gdzie zobaczą kontenery z ładunkiem. I faktycznie, z włazów zaczęły wyłaniać się olbrzymie kolorowe pojemniki, przesuwane po wyznaczonych trasach.

– Czujniki optyczne odczytują kody etykiet, a potem inne czujniki sprawdzają to dzięki kolorowym oznaczeniom. Pozwala to systemowi sztucznej inteligencji kierować

każdy kontener tam, dokąd powinien trafić.

– Gdzie jest mój tatuś? – zapytał Bri; wyglądał tak, jakby miał się rozplakać.

– Gdzieś pracuje – odpowiedziała Beatta. – Nie wiem dokładnie gdzie. – Powinna była upewnić się, że jego ojciec znajdzie się gdzieś w pobliżu.

– Tam jest! – krzyknął nagle Bri, stukając w szybę. Beatta wcale nie była pewna, czy ubrana na pomarańczowo postać, przesuwająca skaner po oznaczeniach kontenera, jest faktycznie jego tatą, ale jeśli to go uszczęśliwia... Nagle wstrzymała oddech, gdy jakaś postać w brym kombinezonie wyskoczyła z kontenera i uderzyła człowieka w pomarańczowym stroju w głowę. Przykrywa kontenera podniosła się i z wnętrza wyszło jeszcze czterech... ośmiu... dwunastu ludzi w brych ubraniach. Ten w pomarańczowym kombinezonie wciąż leżał bez ruchu na podłodze.

– Ktoś go uderzył! – krzyknął Bri. – Mój tata jest ranny!

– Jestem pewna, że wcale nie, kochanie – zapewniła go Beatta. Doświadczenie pozwoliło jej mówić spokojnym głosem i zerknąć szybko w drugą stronę w poszukiwaniu czegoś, co odwróciłoby uwagę dzieci. – Patrzcie! – zawołała, zanim zrozumiała, co widzi. – Zobaczcie, jakimi śmiesznymi małymi samochodzikami oni jeżdżą!

Było już za późno, aby cofnąć te słowa, ponieważ wszystkie dzieci oprócz Bri posłusznie odwróciły się akurat w momencie, gdy pasażerowie śmiesznych samochodzików zaatakowali bronią robotników, a potem podjechali wprost do torów kolejki.

Wagonikami szarpnęło, jakby kierujący nadepnął na hamulec, a potem zaczął ponownie przyspieszać, i kolejka znieruchomiała. Dzieci zaczęły płakać, a dorośli odwrócili się do Beatty z pobladłymi twarzami.

– No dobrze, dzieci – powiedziała, zdobywając się na najlepszy nauczycielski ton. – Nie ma powodu do płaczu, to tylko małe hamowanie. Proszę zostać na miejscach. Mag, uspokój Bri, a ty, Sivi, podejdź do Crowdera. – Dorośli natychmiast zareagowali, i gdy do drzwi podszedł mężczyzna z bronią, dzieci siedziały już cicho, słuchając Beatty opowiadającej historyjkę o Brązowym Króliczku i Cętkowanym Wężu.

– O cholera! – powiedział głośno mężczyzna. – W tej kolejce są dzieci! – Miał silny akcent, aż nazbyt znajomy dzięki transmisjom wiadomości z ostatnich dwóch lat.

– Nie używamy takiego słownictwa – oświadczyła stanowczo Beatta. Otwór lufy broni mężczyzny był tak wielki, że mógłby pomieścić cały wagonik, ale zmusiła się do patrzenia na jego twarz. – Proszę nie denerwować dzieci.

– Zostańcie tutaj – odpowiedział tamten, wycofując się. Beatta nie miała zamiaru robić nic innego.

* * *

Światelko na tablicy dwukrotnie zamrugało, a potem zmieniło kolor na czerwony.

– Dzieciopociąg ma kłopoty – powiedział Kyle. Doroczna wycieczka miała własną nazwę kodową, o której nauczycielka nie miała pojęcia.

– Co się stało!?! – Jego kierownik, Della Part, próbowała podsłuchać rozmowę między doradcą bezpieczeństwa ZSK i jej własnym szefem.

– Jeszcze nie wiem. – Kyle wcisnął klawisz komunikatora. – Transgraw 4, w czym problem? – Żadnej odpowiedzi. Jeśli kierowca opuścił kolejkę, może faktycznie potrzebują pomocy. Może coś się stało któremuś z dzieci...

– W którym przedziale jest dzieciopociąg? – zapytał z drugiego końca pokoju Sash.

– Ciężki Przeładunek Dwa.

– Mam tam niewielki, ale wyraźny wzrost stężenia CO₂ i lekki wzrost temperatury.

– Dzieci uciekły? Biegają po okolicy?

– Gdzie nasz podgląd?

– Nie działa, szwankował od paru dni.

– Połącz się z ochroną stacji.

Kyle zadzwonił do zarządcy stacji.

– Mamy problem w Ciężkim Przeładunku Dwa. Co widać na skanerach?

– Zobaczmy... CO₂ trochę wzrosło, podobnie jak zużycie tlenu i temperatura otoczenia. Kolejka stoi na stacji. Czy to nie jest dzień wycieczki dzieciopociągu?

– Tak. Przeszli na czerwony kolor i nie mogę ich wywołać.

– Wszystko wygląda normalnie. Z *Freedawn 24* przychodzą kontenery z ładunkiem. Robotnicy... Czekać, jakiego koloru kombinezony ma w tym roku Ciężki Przeładunek?

– Pomarańczowy. Zmienili z brązowych...

– Czy ktoś mógłby używać starych kombinezonów? O do diabła!

– Co?

– Nikt z załogi Przeładunku nie nosi broni. Mamy intruzów.

– Tam?! Co z dziećmi?

W ciszy, która zapadła po tym pytaniu, Kyle niemal słyszał bicie serc. Przełknął ślinę i wcisnął klawisz wywołania szefa. – Mamy sytuację awaryjną na Poziomie Pięć. Wtargnięcie wroga do Ciężkiego Przeładunku Dwa i kolejkę pełną dzieci; to wycieczka szkolna.

Oficer ZSK otworzył usta i zamknął je z powrotem, po czym popatrzył na kierownika.

– Wyłączcie wszystkie alarmy w tamtym sektorze i umieśćcie nas na alarmie Poziomu Pięć. Połączcie mnie z zarządcą stacji i grupami awaryjnymi. Wezwijcie drugą

zmianę.

Potem odwrócił się do doradcy ZSK.

– Co jeszcze?

– Ilu macie ludzi z certyfikatami personelu ratunkowego?

– Licząc ochronę, personel medyczny i kontrolę uszkodzeń – może pięć setek.

– Proszę się dowiedzieć, musimy znać dokładne liczby. Proponowałbym również poinformować wartowników. Intruzi mogą pochodzić z za granicy.

– Zarządca stacji będzie musiał się zgodzić...

– Zgadza się. – Kyle poczuł ulgę, słysząc w komunikatorze głos zarządcy.

– Proszę zebrać cały personel ZSK na stacji, sprawdzić status i specjalności. Potrzeba nam bezpieczeństwa, saperów i sanitariuszy.

* * *

Sierżant Cavallo postanowił spędzić aktualną turę w mesie, częściowo dlatego, że personel mesy i zaopatrzenia miał większą szansę spędzenia kilku godzin nudnej służby wartowniczej na stacji. Jak co tydzień wybrał się na targ po zieleninę. Lubił panujący tu zgiełk, a dzięki babcinej pasji do ogrodnictwa miał niezłe oko do produktów dobrej jakości. Wiedział, że sklep spożywczy rodziny Purcell sprowadza czasem świeże owoce z planetarnych sadów, i miał nadzieję, że znajdzie tam wiśnie lub czereśnie. Zbliżała się dziesiąta rocznica promocji pierwszego oficera, a on lubił czereśnie.

Był pięć minut od stacji, gdy na tablicy rozbłysło czerwone światło. Pilot promu skrzywił się i zmienił kanały. Cavallo zobaczył charakterystyczne napięcie szczęk, a potem dłonie pilota zaczęły przestawiać przyrządy.

– Co jest? – zapytał Cavallo.

– Mają intruzów – wyjaśnił pilot. – Nie wiedzą, kto to jest, ale w Ciężkim Przeładunku są jacyś uzbrojeni ludzie. Wzięli zakładników, pociąg pełen dzieci.

Cavallo już chciał zapytać, co robił pociąg pełen dzieci w 0,25 g panującym w Ciężkim Przeładunku, ale w tej chwili nie było to zbyt ważne.

– Mają tam kogoś z przeszkoleniem antyterrorystycznym?

– Nie wiem, ale na stacji jest major Reichart, który rozkazał zebrać cały personel Floty, dlatego zmieniają przydziały dokowania. Przepraszam, Sarge, ale wygląda na to, że my też zostaliśmy w to wciągnięci.

Cavallo nic nie odpowiedział. Doskonale zdawał sobie sprawę z ironii swego obecnego położenia. Zdecydował się na służbę w kuchni, by uwolnić się od monotonii dowodzenia Grupą Szybkiego Reagowania na statku patrolującym okolicę, w której nic się nie działo... I prosił, wrócił na swój teren, ale bez żadnego sprzętu ani wyszkolonych ludzi.

– Lepiej poinformuj majora, że przylatuję – powiedział do pilota, który rzucił mu zdziwione spojrzenie.

– Ty, Sarge? Przecież jesteś kucharzem. – Pilot znał Cavallo tylko z jego aktualnej służby i pewnie uważał, że potężna budowa jego ciała jest skutkiem poważnego traktowania obowiązków kucharza.

– Niezupełnie. Moja główna specjalność to Neurowspomagane Szybkie Reagowanie.

Pilot nerwowo przełknął ślinę; była to typowa reakcja człowieka, który właśnie dowiedział się, że siedzi obok żołnierza Floty wyszkolonego do zabijania w walce wręcz.

– Jesteś neurowspomagany?

– Tak. Zgłoś mój przylot.

– Tak jest.

Choć prom towarowy nie został wyposażony z myślą o misjach bojowych, podobnie jak wszystkie pojazdy Floty przewoził trochę podstawowego sprzętu ratunkowego. Nie było kombinezonu bojowego pasującego na Cavallo, więc zabrał największy kombinezon próżniowy i gotowy pakiet środków wybuchowych, przeznaczony do wybicia niewielkiego otworu w kadłubie na wypadek sytuacji awaryjnej, trzy kostki środka wybuchowego LUB, pięć standardowych zapalników i sygnalizatory wybuchowe. Zanim prom zadokował, był już spakowany i gotów do zanurkowania w kołnierz.

* * *

Sarknon Philios świętował udaną sprzedaż *Mindy Crickett* dostał za tę starą balię więcej pieniędzy niż za nią zapłacił, choć nie zrekompensowało to wszystkiego, co w nią wpompował – oraz swoich udziałów w minerałach, które przywieźli. Jego załoga, również zachwycona wynikami i obietnicą otrzymania nowego – a przynajmniej lepszego używanego – statku także brała udział w świętowaniu. Choć nie osuszyli *Spacer s Delight* z całego zapasu alkoholu, zdecydowanie wzbogacili jego właściciela, i gdy nadszedł ranek, Sarknon był wreszcie gotów udać się do łóżka.

Zebrał całą swoją załogę i ruszyli w stronę przystanku kolejki.

Tam człowiek w zielonym mundurze ochrony zażądał ich dokumentów, choć mieli na sobie kombinezony z wyraźnie widocznymi na lewym ramieniu plakietkami, a więc nie powinno być wątpliwości, kim są.

– O co chodzi? – zapytał Sarknon. – Byliśmy w *Delight'cie*; musiał pan widzieć, jak stamtąd wychodziliśmy. Jesteśmy ze statku i nikomu nie przeszkadzamy.

– Pańskie dokumenty, Ser. – Normalnie ochrona stacji nie była uzbrojona, ale ten miał przewieszoną przez ramię broń akustyczną. Dalej na peronie Sarknon zauważył

kolejnych ochroniarzy patrzących w ich stronę. Choć bardzo go to irytowało, nie chciał wszczynać burdy.

– Moim zdaniem to cholerny wstyd tak się rzucać na załogę statku, która przysłała wydać na stacji pieniądze. – Pogrzebał w kieszeniach kombinezonu i wyciągnął portfel z dokumentami. – Nie wystarczy, że barman ma złodziejskie ceny za alkohol, jeszcze teraz zachowujecie się tak, jakbyście nie wiedzieli, kim jesteśmy.

Nawet jeśli zdarzało się, że ochrona prosiła go o okazanie dokumentów, zawsze tylko ledwie na nie zerkali. Ale tym razem strażnik przez dłuższy czas spoglądał w dokumenty, a potem patrzył na jego twarz. W końcu Sarknon miał dość.

– Co jest, myślisz, że nie jestem Sarknon Philios? Nigdy nie słyszałeś o *Mindy Cricket* czy co? A może jestem dla ciebie za brzydki?

– Proszę się uspokoić – powiedział mężczyzna, zamykając portfel i wręczając mu go z powrotem. – Mamy kłopoty i szukamy górników próżniowych z doświadczeniem w materiałach wybuchowych. Wygląda na to, że pan pasuje.

– Kontrakt? – Sarknon zamrugał. Po pijaku nie był dobrym negocjatorem; to właśnie dlatego tak dużo zapłacił za *Mindy Cricket II*. – Nie mogę teraz rozmawiać o kontrakcie, jestem pijany. Może na następnej zmianie, jak wytrzeźwieję.

– Nie, teraz – powiedział tamten i podetknął Sarknonowi pod nos broń.

– Jakież problemy, Harv? – zapytał jeden z ochroniarzy, którzy tymczasem do nich podeszli.

– Nie, znalazłem ekipę saperską, ale są nagrzani. Pomóżcie mi zaprowadzić ich do medycznego.

Sarknon sporo zapłacił za swój obecny stan i wcale nie miał ochoty zaraz wytrzeźwieć.

– Nie pójdę do lekarza, zmarnują moje pieniądze. Zasłużyłem na to, by być pijanym, to moje prawo...

Zobaczył rękę sunącą w stronę jego twarzy, ale zabrakło mu sił, aby się odsunąć. Kiedy znów się obudził, leżał na pryczy w klinice medycznej stacji; w jednej chwili poczuł nienaturalną jasność umysłu pacjenta po detoksie.

– Szlag by to trafił – powiedział. – Kupiłem cały dzban piwa z Surnean.

– Nie przejmuj się – powiedziała młoda kobieta, wyciągająca igłę z jego żyły. – Uratuj te dzieciaki, a ja osobiście postawię ci dwa dzbany.

– No dobrze. – Sarknon usiadł, zadowolony, że detoks oszczędził mu bólu głowy, i rozejrzał się za swoją załogą. – Jeśli to tego rodzaju praca...

– To jest tego rodzaju praca. – Nie rozpoznał munduru mężczyzny, ale ton jego głosu nie budził żadnych wątpliwości. Sarknon poszedł za nim do pomieszczenia pełnego ludzi w kamizelkach służb ratunkowych, a już pięć minut później opowiadał im wszystko, co wiedział o materiałach wybuchowych.

Zamiast zorganizowanej i zdyscyplinowanej grupy planowania, do jakiej Cavallo był przyzwyczajony, zastał pokój pełen klnących, kłócących się i nawet (w przypadku jakiegoś tłuściocha w rogu) krzyczących cywilów. Od razu zauważył majora i przecisnął się do niego.

– Sir, sierżant Cavallo. Neurowspomagana Grupa Szybkiego Reagowania.

– Dobra wiadomość. Ilu was jest?

– Tylko ja, sir. Przyleciałem właśnie po zaopatrzenie; pełnię obowiązki sierżanta zaopatrzeniowego statku patrolowego.

– Neurowspomagany zaopatrzeniowiec? No dobra, później pogadamy, jak będziemy mieli czas. Mamy tu naprawdę paskudną sytuację. – Major szybko opowiedział mu o intruzach, wycieczce szkolnej i zasobach stacji. – Nie mają tu niczego, co odpowiadałoby pańskiemu wyszkoleniu – powiedział. – Są tu dobre podstawowe służby ratunkowe, ale nie poradzą sobie z akcją terrorystyczną na dużą skalę. Dlatego tu jestem. W tej chwili naszym głównym problemem są te dzieciaki. Lekarze powiedzieli mi, że są bardziej podatne na zmiany ciśnienia niż dorośli; łatwiej u nich wywołać szok płucny i trudniej go leczyć. To samo dotyczy skutków użycia chemicznych czy akustycznych środków do zwalczania zamieszek. Niezależnie od tego, co zrobimy, i tak skrzywdzimy dzieciaki, więc musimy bardzo, bardzo szybko działać.

– Negocjacje, sir?

Major wzruszył ramionami z wyrazem twarzy, którego Cavallo nie potrafił odczytać.

– Mają tu zwykłych lekarzy od zdrowia psychicznego, ale tylko dwóch z nich ma jakieś niewielkie doświadczenie w tego rodzaju sprawach; nie jestem nawet pewien, czy oni zdają sobie sprawę, jak bardzo akcje terrorystyczne różnią się od innych akcji. Podejrzewam, że nasi goście nie będą mieli ochoty rozmawiać z oficerem Floty... a jak pan sam słyszy, ja mam bardzo charakterystyczny akcent.

– To faceci z Nowego Teksasu? – zapytał Cavallo.

– Jeszcze nie wiem. Jak dotąd nie mieliśmy z nimi kontaktu. Zarządca stacji natychmiast odciął całą łączność i nie udało mi się go przekonać do otwarcia choćby jednej linii. Chyba boi się, że przełamią zabezpieczenia i wejdą do głównego komputera stacji.

– Możemy tym się zająć, sir – stwierdził Cavallo. – Mam środki wybuchowe i sprzęt komunikacyjny z promu.

– Świetnie. Zaprowadzę pana do zarządcy stacji.

* * *

– Jeśli chcieli zabić dzieci, żeby coś zamanifestować, to maluchy mogą być już martwe. Temu nie możemy zapobiec. Jedyne, co możemy, to z nimi porozmawiać.

Nasze źródła twierdzą, że oni mają bardzo silne więzi rodzinne, zwłaszcza z dziećmi. Mamy nadzieję, że nie będą chcieli zabijać dzieci i będą skłonni do negocjacji z uwagi na ich obecność.

– Przecież oni uważają nasze dzieci za pogan.

– Tak, ale przecież nie skrzywdzili dzieci z *Elias Madero*. Mało prawdopodobne, żeby celowo zaplanowali to na dzień wycieczki szkolnej.

Ireniański akcent Cavallo bawił jego kolegów z Floty. Po ponad dwudziestu latach mógł go w dowolnej chwili włączać lub wyłączać – pomagały w tym implanty – i teraz mógł się bardzo przydać.

– Jest tam kto? – zapytał, przeciągając samogłoski. Zapadła cisza. Potem odezwał się ktoś z ciężkim akcentem, który rozpowszechnił informacje o schwytaniu Brun.

– Ktoś ty?

– Szukam nauczycielki, Sery Sorin. Martwimy się o dzieciaki.

Znów zapadła cisza, ale nie na tak długo.

– Jakie dzieciaki?

– Te w kolejce. Już czas, żeby wróciły do domu, nie sądzisz?

– Dlaczego te dzieci są w kolejce transgrawitacyjnej? Nie obchodzą was?

– Oczywiście, że obchodzą. Dlatego dzwonię. Czy mógłbym porozmawiać z nauczycielką?

– Dawać dzieci – także chłopców – pod opiekę takiej kobiecie... to obrzydliwe. Nie, nie możesz z nią rozmawiać. Robi to, co jej kazaliśmy, czyli pilnuje dzieci, żeby były cicho.

– Ale nic im nie jest? No wiecie, znacie dzieci. Potrzebują ubikacji, robią się głodne i chce im się pić. Macie dla nich jedzenie?

Kolejny głos należał do kogoś starszego i bardziej rozgniewanego.

– Nie, nie mamy jedzenia dla maluchów. Pański dzieciak też tu jest, mister?

Cavallo przez chwilę zastanawiał się, czy nie udawać przejętego rodzica, ale dzieci w tym wieku niełatwo dają się oszukać. Gdyby powiedział, że jest czyimś rodzicem, a potem chłopiec stwierdziłby, że „to nie mój tatuś!”, znaleźliby się w znacznie gorszej sytuacji.

– Nie – odpowiedział. – Moje nie, ale mogłyby tutaj być. Tam, skąd pochodzę, wszyscy odpowiadają za dzieci.

– A gdzie to jest?

– Irene. – Nie wiadomo, czy wiedzą o Irene, ale jeśli tak, to powinno pomóc – Irenianie mieli opinię najlepszych w całych Familiach opiekunów dzieci.

– Och. – Cavallo żałował, że nie zdołał podłączyć obrazu; wyraz twarzy jego

rozmówcy mógłby mu wiele powiedzieć. Ale kamery dopiero pełzły przez przewody wentylacyjne; były jeszcze dobre siedemdziesiąt metrów od celu. – No cóż... Żle się stało z dziećmi, ale...

– Mogę przysłać dla nich rzeczy – wtrącił Cavallo. – Jedzenie i picie. Dla was też – dodał, jakby mu to przyszło do głowy w tej chwili, a nie było zaplanowane.

– Słuchaj no, kimkolwiek jesteś...

– Fred – przedstawił się Cavallo, wybierając pierwsze lepsze imię. – Fred Vallo.

– No dobra, Fred. Rzecz w tym, że te dzieciaki zginą, jeśli tylko zechcemy.

– Rozumiem.

– Więc lepiej dajcie nam to, czego chcemy...

– Jeśli dzieci zginą – oświadczył Cavallo stalowym tonem – żaden z was nie opuści tej stacji żywy.

– Jeśli chcecie, żeby żyły, róbcie to, co wam każemy – odpowiedział głos. Gdzieś w tle rozległ się jakiś młodszy głos. – Ależ nie możemy zabić dzieci.

Cavallo uśmiechnął się. Problemy w obozie przeciwnika i chęć rozmawiania z negocjatorem... Już przegrali. Gdyby tylko nie były w to zamieszane małe dzieci...

– Muszę porozmawiać z kimś, kto zapewni mnie, że dzieciom nic nie jest – powiedział. – Jeśli nie z nauczycielką, to z kimś dorosłym z pociągu.

– Poczekaj – powiedział starszy głos.

Cavallo wyłączył mikrofon i odwrócił się do majora.

– Słyszał pan, sir? Jest tam przynajmniej jeden, który będzie protestował, jeśli spróbują skrzywdzić dzieci, i jak na razie są gotowi rozmawiać.

– Tak, ale jak długo to potrwa? Zastanawiam się, czy naprawdę pozwolą panu rozmawiać z kimś dorosłym.

– Ja... – Błysnęło światelko, więc z powrotem włączył mikrofon.

– No dalej – usłyszał znany mu już głos. – Powiedz im, że dzieciom nic nie jest.

– Ale chcą iść do ubikacji.

– Powiedz im.

– Tu Parkop Kindisson... z wycieczki Małych Owieczek? Wiecie o niej?

– Tak, Ser Kindisson – odpowiedział Cavallo. – Czy dzieci nie są ranne?

– Cóż, nie są ranne, ale są wystraszone, zwłaszcza Bri, bo widział, jak jego tata oberwał. Muszą skorzystać z ubikacji, a oni nam na to nie pozwalają, i zaczynają być głodne, a nie wolno nam wziąć nic z baru na stacji i...

– Dość! – przerwał mu gniewny głos. Cavallo usłyszał jeszcze w tle protest drugiego mężczyzny. – Znasz tego Kindissona?

– Osobiście nie – odpowiedział Cavallo. Przejrzał kartoteki wszystkich dorosłych uczestników wycieczki i wiedział, że Kindisson jest samotnym ojcem, który pracuje

jako stacyjny powlekacz i wziął wolny dzień, żeby pomóc w opiece nad dziećmi.

– Trochę za bardzo się podnieca, nie jak normalny facet.

Martwi się o dzieci, tak samo jak ja. Co byście powiedzieli, gdybyśmy przygotowali dla nich trochę jedzenia? Albo przenośne ubikacje, żeby mogły załatwiać się w kolejce?

– W kolejce są ubikacje?

– Nie, dlatego właśnie mówię o przenośnych ubikacjach. Rodziny używają ich tutaj na wycieczkach z małymi dziećmi, jeśli w pobliżu nie ma toalet.

– Ale na stacji kolejki są ubikacje, tak?

– Jasne, ale przecież nie chcecie ich wypuszczać z wagonu. To małe dzieci – pewnie wiecie, jakie one są, wszędzie ganiają i wpadają na różne rzeczy – i całkiem słusznie zrobiliście, trzymając je bezpiecznie w jednym miejscu.

Był pewien, że pochlebstwo w niczym nie zaszkodzi.

– Chcemy rozmawiać z naszymi kobietami – oznajmił głos.

Cavallo poczuł, jak brwi wędrują mu do góry.

– Z waszymi kobietami? – zapytał ostrożnie.

– Nie udawaj, że nie wiesz. Te żony Rangersów, które ukradliście, i ich dzieci. Chcemy im powiedzieć, żeby wracały do domu.

– Chwileczkę... – Cavallo wyłączył mikrofon i połączył się z zarządcą stacji. – Czy na tej stacji są jakieś kobiety z Nowego Teksasu?

– Nie, odleciały jakiś czas temu. Czemu pan pyta?

– Bo ci faceci przylecieli tutaj, żeby je zabrać do domu. Wie pan, dokąd poleciały?

– Nie. Mogę sprawdzić na listach pasażerów, ale będzie tylko wiadomo, na jakim statku.

– Ale tego nie chcemy mówić tym gościom – stwierdził Cavallo i wyłączył mikrofon. – Właśnie skontaktowałem się z zarządcą stacji, który mówi, że ich tu nie ma. Były, ale odleciały jakiś czas temu.

– Kłamiesz! Oddajcie nam nasze dzieci albo zabierzemy wasze.

– Mogę dać wam listę... – Cavallo machnął ręką, przywołując połączenie z zarządcą. – Potrzebujemy listy pasażerów czy czegoś takiego, żeby ci ludzie wiedzieli, że nie mamy ich kobiet.

– Jest katalog dostępny w publicznych panelach w Ciężkim Przeładunku, ale odcięliśmy linie.

– To podłączcie ekranowaną.

– Jeśli nie oddacie nam naszych kobiet i dzieci, wysadzimy to miejsce w powietrze! – Tym razem głos był zdecydowanie zbyt podniecony. W tle słychać było odgłosy jakiegoś zamieszania i jęki. Cavallo miał nadzieję, że wydaje je z siebie

dorośli.

– Jedną chwileczkę – powiedział. – Nikt z nas przecież nie chce, żeby dzieciom stała się krzywda. Zobaczymy, co możemy zrobić. – Ktoś podsunął mu wyświetlacz z komunikatem „wyświetlacz na stacji kolejki aktywny do naszego użytku”. – Waszych dzieci naprawdę już tu nie ma i nie wiem, gdzie teraz są. Ty... Jak masz na imię?

– Dan – powiedział starszy głos. – Możesz do mnie mówić Dan.

– Dan, ty pewnie też uważasz, że dzieci powinny być ze swoimi rodzicami.

– Jasne, i dlatego jeśli naszych dzieci tutaj nie ma, chcemy wiedzieć, dokąd poleciały.

Pojawił się obraz z automatu, choć zniekształcony przez szerokokątną soczewkę. Specjaliści od skanu uruchomili testy, konwertując obraz do wersji 3-D. Cavallo czekał, aż skończą, a potem ktoś podsunął ekran na tyle blisko, że ujrzał twarz swojego rozmówcy.

Dan, tak jak przypuszczał, był w średnim wieku i sprawiał wrażenie człowieka, który podejmował już trudne decyzje.

– Jak chcieliście je stąd zabrać?

– Kradnąc statek. Robiliśmy już takie rzeczy.

– Dobry plan – stwierdził Cavallo i napisał na tablecie: „Znajdźcie mały, tani i prosty statek”, a potem podał go majorowi.

– Moglibyśmy zabrać wasze dzieci, jeśli nasze naprawdę stąd odleciały.

– Ale to nie to samo. Te dzieci powinny być ze swoimi rodzinami.

– Pozwolisz nam swobodnie odejść?

– A zrobilibyście to?

– Może.

Cavallo przyglądał się, jak mężczyzna odkłada mikrofon i odwraca się, aby porozmawiać z pozostałymi. Zwiększył czułość mikrofonu.

– Ty powiedziałaś, że tutaj są! – usłyszał głos innego mężczyzny; zniekształcony obraz uniemożliwiał obejrzenie rysów twarzy.

– To była najlepsza informacja, jaką mieliśmy.

– Mówię wam, mam już tego dość. Całą drogę z domu pracowaliśmy jak psy na tamtym cholernym statku, bo nie chciałeś wydać pieniędzy na bilety. Mielibyśmy forszę, gdybyśmy zabili tego starego dziada, ale ktoś inny nas wyprzedził.

– To nie miało trwać tak długo.

– A kto wybrał tamten statek? To ty powiedziałaś „Musimy odzyskać dzieciaki” – a one przecież nawet nie są nasze – i znów musieliśmy opłacić przelot pracą, a jak już tutaj dotarliśmy, to okazało się, że ich tu nie ma. Nie wiem, czy jeszcze wierzę, że one w ogóle tu były.

- Wszyscy w tamtym barze tak mówili!
- Wszyscy w tamtym barze byli pijani, Dan. Nie ma ich tu i nie było. I co, na Sama Hilla, teraz zrobimy?
- Coś wymyślę, jeno daj mi chwilę, co?
- Moglibyśmy wziąć te dzieciaki...
- Do diabła, Arnett, nie chcę tych maluchów. To nie są nasze dzieci ani Rangersów. Zresztą jak mielibyśmy je zabrać?
- No dobrze, co chcesz teraz zrobić? Poddać się i pozwolić się zabić tak, jak to zrobili z tamtymi Rangersami?
- Nie zrobiliśmy niczego, za co mieliby nas zabić.
- Nie zamierzam się poddać. – To był Arnett; Cavallo rozpoznał go po głosie.
- Cóż, ja nie zamierzam zabijać żadnych dzieci – odezwał się mężczyzna, który już wcześniej protestował. – Może wymienimy je na jakiś statek?
- Na statek? Myślisz, że ci niewierni poganie daliby nam statek za garstkę dzieciaków? Dzieci ich nie obchodzą.
- Jak idzie? – zapytał major. Cavallo wyprostował się, wciąż przyglądając się ekranowi.
- Klóć się o to, czyja to wina. Jeśli ich dobrze rozumiem, ta banda chciała zamordować lorda Thornbuckle’a, a kiedy dowiedzieli się, że zrobił to ktoś inny, postanowili odszukać kobiety i dzieci i je złapać. Nie sądzę, żeby byli Rangersami z Nowego Teksasu, to raczej grupa idealistycznych durniów, którzy działają na własną rękę. – Postukał w mikrofon i głowy na ekranie odwróciły się w stronę komunikatora. Dan podszedł i niechętnie podniósł mikrofon.
- Dan! Dan, słuchaj. Czy dzieciom nadal nic nie jest?
- Tak, tak, wszystko z nimi w porządku.
- Dan, zarządca stacji powiedział mi, że te kobiety i dzieci odleciały jednaście dni temu na statku pasażerskim *Dolphin Rider*.
- Na ekranie dwóch mężczyzn podniosło ręce, a jeden ze złością splunął na pokład.
- Dan, nie mogę tego zmienić, ale posłuchaj, co mógłbym zrobić.
- Co?
- Nie wiem, czy wy... gdybyście... no wiesz, gdybyśmy dali wam statek... a dzieciom nie stałaby się żadna krzywda...
- Mówisz o wymianie dzieci za statek? Zrobilibyście to?
- Jasne, oczywiście. Przecież mówimy o dzieciach.
- Cały statek, i to taki, który działa?
- Oczywiście. – Cavallo zerknął na tablet, który ktoś mu podał. „*Mindy CricketH*”.
- No, nie wiem. Potrzebowalibyśmy zapasów.

Cavallo odważył się posłać majorowi uśmiech i wyłączył mikrofon.

– Pójdą na to – powiedział – jeśli tylko niczego nie wykręcą, ale jestem przekonany, że tego nie zrobią. Gdzie zadokowany jest ten statek?

* * *

Potrzeba było jeszcze dwunastu godzin negocjacji, zanim dzieci wróciły do zrozpaczonych rodziców, a terroryści z Nowego Teksasu wsiedli na pokład *Mindy Cricketlli* mały statek oderwał się z wdziękiem od stacji.

– Tak naprawdę nie musieliście niczego robić – stwierdził Sarknon. – I tak nigdzie by ich nie dowiózł.

– Zwłaszcza teraz – powiedział Cavallo. Wykorzystał kostki materiału wybuchowego najlepiej jak umiał. *Mindy Cricket* linie dotrze na odległość skokową w jednym kawałku. Wybuchnie po dwóch godzinach, w bezpiecznej odległości od stacji. – Nie trzeba nam takich śmieci pałętających się po okolicy i sprawiających kłopoty. – Przeciągnął się i wyszczerzył zęby do majora. – Pójdę teraz zrobić zakupy, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

OSK Gryfalcon

– Podporucznik Serrano zgłosi się do kapitana... – Barin wystukał swój kod na ściennym panelu, by potwierdzić odebranie wiadomości, i zwrócił się do sierżanta odpowiedzialnego za pomieszczenie.

– Później dokończę inspekcję – powiedział. – Mam nadzieję, że zrobi pan coś z tymi szafkami. – Szafki okazały się nie zamknięte i Barin znalazł już trzy istotne braki na stanie.

– Tak jest, sir!

Przez całą drogę do kapitana zastanawiał się, co takiego zrobił. Nie potrafił niczego sobie przypomnieć, a major Conway poprzedniego dnia nawet go pochwalił.

Adiutant kapitana Escovara nie rzucił mu żadnych ostrzegawczych spojrzeń, tylko uśmiechnął się i gestem zaprosił go do środka. Barin stanął na baczność i czekał.

– Pomyślałem, że będzie pan chciał wiedzieć, iż znowu dostaje pan żołd. – Escovar podał mu kostkę danych.

– Sir?

– Najwyraźniej pańskie... kobiety... znalazły sobie gdzieś uczciwą pracę. Przestały być na utrzymaniu Floty.

– Gdzie one są?

– W jakiejś kolonii. Najwyraźniej profesor Meyerson i ta dyplomatką z Konfederacji Samotnej Gwiazdy znalazły im miejsce, a ktoś opłacił ich udziały kolonizacyjne. I spłacił sporą część tego, co Flota na nie wydała, a resztę dowództwo puściło w niepamięć. Czyli znów ma pan swój żołd. Przypuszczam, iż to oznacza, że będzie się pan żenił?

Barin poczuł, że się czerwieni.

– Ja... mam nadzieję, sir.

– Z deszczu pod rynnę. Lepiej niech pan da rodzinie trochę czasu na przyzwyczajenie się do tej myśli. Czy pańscy rodzice poznali już porucznik Suizę?

– Nie, sir. Ale skoro znów dostaję wypłatę, czy mógłbym poprosić o krótką przepustkę?

– Ożeni się pan?

– Nie, sir, nie od razu. Chciałbym ją przedstawić rodzicom.

Escovar namyślał się chwilę.

– Ma pan mnóstwo zaległego urlopu. Niech pan znajdzie jakiś termin, który pasowałyby pańskim rodzicom i jej, a ja zrobię wszystko, co będę mógł.

– Dziękuję, sir.

OSK Navarino

– Ma pani pocztę, poruczniku. – Esmay była ciekawa, co tym razem przyszło. Ostatnio dostała ostry list z Personelu, informujący ją, że powinna była ich zawiadomić przed przyjęciem tytułu Oblubienicy Ziemi i że wszelkie prośby o zgodę na zmianę jej statusu będą musiały przejść przez strukturę dowodzenia jej sektora, a następnie Kwatery Głównej.

Okazało się, że to coś lepszego niż list z Personelu. To kostka od Barina.

Gdy ją czytała, serce mocniej jej zabiło. Uwolniony od odpowiedzialności za te wszystkie kobiety i dzieci. Znów dostaje żołd. Rozmawiał z rodzicami i chcą ją poznać. Może dostać urlop, czy ona też? Jest pewien, że będzie mógł skorzystać z pomocy starszych Serrano, aby nagiąć przepisy dotyczące Oblubienic...

Ona również zgromadziła zaległe urlopy. Na pewno będzie mogła spotkać się z nim na kilka dni, może nawet tydzień, gdzieś na uboczu... Nie miała nic przeciwko spotkaniu z jego rodzicami, ale chciała spędzić przynajmniej parę godzin sam na sam z Barinem.

Copper Mountain

Choć Baza Szkoleniowa Floty Copper Mountain, nazwana tak od czerwonych formacji skalnych w miejscu pierwszego lądowania, dała nazwę całej planecie, Flota miała tutaj jeszcze kilka baz, gdzie nie było ani gór, ani czerwonego pyłu. Podoficerowie przylatywali na kursy szkoleniowe promem do Copper Mountain, a stamtąd dostarczano ich do innych baz rozproszonych na tym samym kontynencie: Suchoziemi na północnych równinach, Camp Engleton wśród nadbrzeżnych bagien i Wielkich Drzew daleko na zachodzie. Przebywający tu stale personel szkoleniowy miał do dyspozycji tereny rekreacyjne, których nigdy nie oglądali studenci: długie piaszczyste plaże daleko na wschód od Copper Mountain, które starannie odgrodzono od morskich drapieźników, i górski rejon zwany Osiem Szczytów, który oferował znacznie więcej rozrywek niż tylko wspinaczkę.

Wśród tych mniej znanych baz były również placówki na Czubatych Wyspach. Te stare stożki wulkaniczne wyrastały niemal pionowo z zimnych wód nazwanych przez kogoś pozbawionego wyobraźni Wielkim Oceanem. Na Czubatych Wyspach umieszczono trzy bazy Floty: dwie badawcze (biomedyczna i uzbrojenia) oraz więzienie dla najbardziej niebezpiecznych kryminalistów.

Ta bliskość baz nie była przypadkowa; choć Wielka Rada nic o tym nie wiedziała, więźniów wykorzystywano do badań neurobiologicznych, w wyniku których część z

nich otrzymywała nową tożsamość. Bazy badawcze były od siebie oddalone o zaledwie kilka kilometrów, ale więzienie leżące na wschód od głównego archipelagu było niewidoczne z obu baz i trudno było do niego dopłynąć, i to nie tylko z powodu niskiej temperatury wody i morskich drapieżników.

Personel więzienny na Trzecim Czubku, jak kolokwialnie nazywano bazę więzienną, nie starał się powstrzymywać więźniów od popełniania samobójstw, jako że powszechnie uważano, iż oszczędza to wszystkim kłopotów. Tak więc nie zapobiegano próbom ucieczki; więźniowie mogli skakać z urwiska do zimnej wody, jeśli tylko mieli na to ochotę. Jeżeli przeżyli upadek i otepiające zimno, stawali się łatwymi ofiarami miejscowych przedstawicieli życia morskiego, obficie użębionych i żarłocznych. Choć strażnicy patrolowali korytarze i place spacerowe, a pojazdy powietrzne bazy były ściśle pilnowane, urwiskami nikt się nie przejmował.

Dowodzenie tego rodzaju bazą nie pomagało w karierze, dlatego większość oficerów nie miała na to ochoty. Jednak byli i tacy, którzy na Czubatych Wyspach wręcz kwitli.

* * *

Kapral Gelan Meharry, strażnik drugiej zmiany z Trzeciego Czubka, zastanawiał się, co takiego niepokoi go w nowym dowódcy. Poprzedni nadzorca więzienia, Tolin, był miękki i zdecydowanie za bardzo cenił sobie wygodę, dlatego dawał sobą manipulować podwładnym, ale ta Bacarion była zupełnie inna. Co takiego zrobiła, że ją tu zesłali? Coś mu się w niej nie podobało...

Po ceremonii przejęcia władzy jego bezpośredni przełożony, sierżant Copans, zwolnił jego grupę na posiłek i przygotowanie się do swojej zmiany. Gelan schował mundur galowy do szafki i przebrał się w roboczy mundur. Jak zwykle przed wyjściem do mesy upewnił się, że rzeczy w szafce leżą w idealnym porządku. Potem sprawdził swoich ludzi w koszarach. Był święcie przekonany, że nowy dowódca przeprowadzi inspekcję, i zamierzał dopilnować, by jego grupa dobrze wypadła.

Po drodze do mesy zatrzymał się w centrum komunikacyjnym i wywołał listę oficerów, aby się zapoznać z oficjalną biografią nowego dowódcy. Zdjęcie na ekranie przedstawiało ją z insygniami komandora porucznika; jak widać, nie uaktualniła go od ostatniej promocji. Przejrzał zamieszczone poniżej notki. Najlepszy kwartył w Akademii, a więc nie jest głupia. Specjalizacja dowódcza, praktyka na jednostkach na linii frontu. Jako major podlegała zwykłej rotacji personelu, tym razem na okręcie flagowym *Dominion*. To na nim brała udział w walce.

Z czym kojarzy mu się *Dominion*? Zna tę nazwę... Spojrzał na nazwisko admirała. Lepescu. Bacarion była wśród personelu Lepescu? Uczestniczyła w starciu, w którym Heris Serrano odmówiła wykonania rozkazu Lepescu i wygrała bitwę, ale straciła swój stopień? Gelan zacisnął szczęki, mając nadzieję, że wyraz jego twarzy się nie zmienił.

To przez Lepescu załoga Serrano – łącznie z jego najstarszą siostrą Methlin – została osądzona i osadzona w więzieniu. Pomyślał gorzko, że Bacarion zasługuje na przydział do więzienia... ale jako więzień. Nie widział Methlin od czasu jej uwolnienia, ale dużo o tym słyszał. Lepescu na szczęście już nie żyje, ale ta Bacarion...

Wyłączył konsolę, posłał starannie wystudiowany uśmiech w stronę urzędującego w biurze podoficera i poszedł ze ściśniętym żołądkiem na lunch. Nagle znieruchomiał z widelcem uniesionym w pół drogi do ust. A jeśli ten przydział wcale nie jest dla Bacarion karą? A jeśli tego chciała? Co się stanie, jeśli tak jak Lepescu zechce bawić się więźniami?

Musi być bardzo ostrożny. Kiedy Bacarion zauważy, że w jej załodze jest Meharry, może domyślić się, że on wie...

* * *

Gelan Meharry jeszcze się nawet nie urodził, gdy jego najstarszy brat Gareth zginął we wraku *Forge'a*. Był w szkole, gdy siostra Methlin została wysłana do tego właśnie więzienia. Szkolenie rekruckie spędził w cieniu jej złej sławy, choć instruktor musztry powiedział mu – gdy już ją zaliczył – że osobiście uważa, iż jego siostra została wrobiona. Dzięki historii swojej rodziny był wrażliwszy niż większość kaprali na społeczne niuansy i żywił głębokie przekonanie, że jeśli ktoś coś przed nim ukrywa, ma ku temu nieprzyjazne powody.

Mimo że przez pierwsze kilka tygodni rządów Bacarion nic się nie wydarzyło, Gelan nie tracił czujności. Nie zadawał żadnych pytań, nie mówił niczego, co nie padło z jego ust już wcześniej, i sprawiał wrażenie, że wciąż jest tym samym spokojnym i kompetentnym podoficerem, co zawsze.

Po jakimś czasie Bacarion zaczęła wzywać do siebie po kolei wszystkich oficerów i podoficerów, poczynając od najstarszego. Każdy wychodził po takiej rozmowie mocno zamyślony, a kilku było także zmieszanych czy zmartwionych. Nikt nie komentował tego inaczej niż „to twarda baba”.

Było to nieco niepokojące. Na tego rodzaju niewielkiej placówce plotkowanie na temat innych było główną rozrywką. Z pracowicie zbieranych strzępków informacji powstawał obraz każdego z pracowników. Gelan wiedział na przykład, że ich były dowódca Iosep Tolin ma ciotkę, która hoduje długowłose koty o płaskich nosach, kuzyna handlującego winem i córkę, która zerwała z nim kontakty; Tolin obwiniał o to byłą żonę, która opuściła go dla jakiegoś historyka.

Ale nic nie mówiono o Bacarion. „Twarda baba”. Twarda była także jego siostra Methlin... Nigdy nie wyobrażał sobie, czym jest więzienie, ale teraz już wiedział, przynajmniej z drugiej strony krat. Zawsze ścisnęło go w gardle, gdy pełnił służbę po kobiecej stronie, i zastanawiał się, czy któraś z tych kobiet została, tak jak jego siostra,

niesłusznie skazana.

Niedługo nadejdzie jego kolej rozmowy z Bacarion. Ma dostęp do jego kartoteki, łącznie z listą wszystkich krewnych aktualnie i w przeszłości służących we Flocie. Co powie? O co go zapyta? I co on odpowie? Najchętniej powiedziałaby jej prawdę: Chcę, żebyś zginęła, tak jak Lepescu!

* * *

Tolin nigdy nie był flejtuchem, ale biuro Bacarion było wyjątkowo błyszczące i eleganckie. Wszystko lśniło, każdy papier na biurku adiutanta był idealnie ułożony.

Służbistka, tak jak Lepescu, pomyślał Gelan. Bacarion siedziała nieruchomo za biurkiem jak wyrzeźbiona figurka.

– Kapral Meharry zgłasza się na rozkaz, sir.

– Nie przypomina pan swojej siostry – powiedziała na powitanie. Potem westchnęła i uśmiechnęła się. – Ciekawe, czemu tak często to mężczyźni w rodzinie dziedziczą dobry wygląd?

Poczuł gorąco na karku, a potem rumieniec rozlał się na całą twarz. Jej uśmiech nabrał ciepła.

– Przepraszam, kapralu, nie chciałam pana spieszyć. Rzeczywiście, nie chciała! Gelan miał nadzieję, że najlepiej będzie dalej grać głupiego chłopca.

– Oczywiście spotkałam ją tylko kilka razy – kontynuowała gładko Bacarion, jakby czytała z kartki. Może rzeczywiście tak było. – Byłam zaszokowana, gdy dowiedziałam się, że skazano ją na więzienie, i zachwycona, gdy oczyszczono ją z zarzutów. – Na jej czole pojawiła się zmarszczka. Gelan był pewien, że było to świadome i miało oznaczać szczerłość. – Może trudno panu będzie uwierzyć, kapralu, ale kiedy służyłam w biurze admirała Lepescu, nie miałam pojęcia, że jest zdolny do kłamstwa. Zdawał się taki... oddany sprawie pokonania wroga.

Można to tak ująć, jeśli zignoruje się cenę, jaką sojusznicy i wrogowie Lepescu musieli za to zapłacić, oraz fakt, że lubił oglądać rozlew krwi, nie przejmując się zbytnio tym, czyja to krew.

– Mam nadzieję, że będziemy mogli razem pracować – mówiła dalej Bacarion z lekko zmarszczonymi brwiami, jakby nie wypełnił jakiegoś rozkazu.

– Tak jest, sir. – Gelan próbował wykrzesać z siebie trochę entuzjazmu. Bacarion odprężyła się, ale nie wiedział, czy to dobry znak.

– Poprosił pan o przydział tutaj, ponieważ tu właśnie siedziała pańska siostra? – zapytała.

– Nie, sir. – Przewidział to pytanie. – Personel zauważył, że nie miałem praktyki w mojej drugiej specjalności, więc zdjęli mnie z *Flashpointa* tuż przed wysłaniem go w

kurs. Poprosiłem o przydział do Sektora Trzy, żeby przynajmniej być w tym samym sektorze co statek, ale przysłali mnie tutaj.

– Jest tu panu trudno?

– Nie, sir.

– Co pan sądzi o lojalności oficerów i ludzi w tej placówce?

Cóż to za pytanie do kaprała?!

– Lojalności? Nie jestem pewien, czy wiem, o co pani komandor pyta.

– Nie udawaj niewiniątka, Meharry! Za każdym razem, gdy ma się do czynienia z więźniami i strażnikami, pojawia się możliwość zmywy, a nawet grupowej ucieczki. Pytam, czy wiadomo panu o tego rodzaju sytuacji tutaj.

– Nie, sir. Nic mi nie wiadomo.

Bacarion rzuciła mu kolejne badawcze spojrzenie.

– Bardzo dobrze. Możecie odejść.

* * *

Zbliżał się jesienny wieczór i nad placem unosiła się rzadka mgła. Gelan zadrżał. Dopiero za tydzień nadejdzie pora zmiany mundurów na zimowe, ale to nie chłód był przyczyną dreszczy. Dziesięć kilometrów do Drugiego Czubka i dwanaście do Pierwszego – to równie daleko, jak tysiące kilometrów oddzielające go od kontynentu. Nie potrafił sterować latającymi maszynami, nawet gdyby nie były trzymane pod ścisłą strażą. Nie było tu żadnych pływających statków, żadnych plaż czy zatok, gdzie można by przybić łodzią. Woda sięgała na wysokość dwudziestu metrów poniżej najniższego punktu szczytu, a podczas sztormów rozpryskiwała się na wysokość trzydziestu czy czterdziestu metrów w górę. Gelan potrafił pływać, ale nie przepłynąłby dziesięciu kilometrów w tak zimnej wodzie, nawet gdyby nie zjadły go żyjące tutaj stworzenia morskie.

Żadnej szansy ucieczki. Był w pułapce, uwięziony tak samo, jak ludzie po drugiej stronie krat. Nie miał wątpliwości, że Bacarion będzie próbowała go zabić, i to w taki sposób, żeby nie trzeba było przeprowadzać śledztwa. Oznacza to prawdopodobnie nie zastrzelenie, zadźganie nożem czy uderzenie w głowę – co wymagałoby wysłania jego ciała do badań kryminalistycznych, mimo że tego rodzaju morderstwem można byłoby obciążyć więźnia – ale po prostu jego zniknięcie. Gdyby bez pozwolenia zniknął ze służby – nad czym nawet przez jakiś czas się zastanawiał – Bacarion mogłaby wymyślić dowolną historię na jego temat.

Najbardziej prawdopodobne jest zrzucenie go z urwiska, żywego lub martwego. Raczej żywego, bo wtedy agenci Bacarion mogliby szczerze powiedzieć, że nic mu nie zrobili. Ale ona nie da im rozkazu, dopóki nie będzie wystarczająco pewna swoich

popleczników. A więc Gelan ma trochę czasu na przygotowanie się, choć niewiele może zrobić.

* * *

Trzeci Czubek dysponował pięćdziesięcioma planetarnymi osobistymi kombinezonami ochronnymi OKO. W teorii OKO chronił przed surowym klimatem każdej planety oraz różnego rodzaju uszkodzeniami. Wydobycie osobistego kombinezonu ochronnego z magazynu mogłoby jednak zwrócić uwagę, gdyż raz w miesiącu przeprowadzano tam inwentaryzację. Poza tym OKO nie wystarczy, aby utrzymać się przy życiu w oceanie. Potrzebuje czegoś więcej.

Pojazdy powietrzne wyposażone były w sprzęt ratunkowy. Zdarzało im się czasem spadać do oceanu, i wtedy załogi miały szansę przeżyć, korzystając z małych pontonów i innego sprzętu. Kiedyś Gelan przeczytał nawet podręcznik na temat przetrwania takiej katastrofy, stanowiący zmodyfikowaną wersję instrukcji dla żeglarzy, ale zrobił to nieuważnie, z nudów, czekając na przylot promu. Wydawało mu się, że on nigdy nie będzie tak głupi, by znaleźć się w sytuacji wymagającej skorzystania z informacji zawartych w instrukcji.

Methlin zawsze powtarzała, żeby uczyć się wszystkiego. I dzięki temu przeżyła nawet gorsze sytuacje.

Czemu starsze siostry tak często mają rację?

Zapasowy sprzęt ratunkowy dla samolotów bazujących na Trzecim Czubku – osobistego promu dowódcy, mieszczącego oprócz pilota cztery osoby, i dwóch samolotów pocztowych ogólnego użytku, mieszczących do dwudziestu osób – przechowywano w zamkniętym pomieszczeniu po nabrzeżnej stronie hangaru. Podczas pierwszego miesiąca pobytu na placówce, gdy wciąż jeszcze uczył się, gdzie co jest, został członkiem grupy przeprowadzającej coroczną inwentaryzację sprzętu. Wyraźnie pamiętał pakunki przypominające kielbasy, ustawione przy zewnętrznej ścianie. Ciężkie, nieporęczne, nie nadające się do ukrycia pod kurtką.

A więc zanim to weźmie, musi znaleźć jakąś kryjówkę. Poszukiwania zajęły mu kilka następnych dni. Na ograniczonej powierzchni Czubka wszędzie napotykał ludzi. Dwa główne kratery były regularnie wykorzystywane, a w jednym zamontowano nawet małą windę. Ludzie zjeżdżali w dół kilka razy dziennie, choć większość nie wybierała się dalej niż do stosów skrzynek z zapasami, gdzie w cieplejszych miesiącach było małe gniazdko dla zakochanych par.

Mimo wszystko... to było jedyne miejsce. Otwór mniejszego krateru znajdował się powyżej poziomu największych przypływów i zalewany był tylko w czasie sztormów. Pokolenia strażników przyglądały się stąd z bliska falom i łapały na prowizoryczną wędkę miejscowe ryby. Jeśli tylko nikt nie zobaczy, jak Gelan taszczy tratwę

ratunkową, jego obecność w kraterze nie powinna nikogo zdziwić.

Potem jednak wymyślił sprytny sposób przeniesienia tratwy przez teren budynków i do windy. Oznaczył ją kodem towarowym i po prostu kazał ją zabrać razem z innymi towarami najbliższym transportem. Dostawy zaopatrzenia były tak źle zorganizowane, że nikt nie zauważył – a przynajmniej tak mu się zdawało – wędrującego na dół dodatkowego pojemnika.

Od razu poczuł się lepiej; teraz ma szansę, choć w dalszym ciągu niewielką.

Potem postanowił zainteresować się planami Bacarion. Co takiego knuje? Był przekonany, że ona sama postarała się o ten przydział. Ale dlaczego? Przecież nie tylko z jego powodu – z pewnością zemsta na młodszym bracie Methlin nie była aż tak ważna, by spędzać trzy lata na Trzecim Czubku – więc jaki miała cel? Co może zrobić w więzieniu pełnym skazańców i strażników, na samym środku oceanu?

Najpierw próbował się zastanowić, co mogłaby zrobić w takim samym więzieniu na kontynencie czy w kosmosie. Był pewien, że protegowani Lepescu po jego śmierci nie stali się nagle uosobieniem dobra i prawości. Methlin wręcz ostrzegła rodzinę przed jakimikolwiek kontaktami z którymś z nich. Powiedziała, że są równi zdrajcom i że dla nich ich własne gry są tak ważne, że nie liczy się nic innego.

Musi więc odkryć plany Bacarion i je udaremnić. Ale jak? Nie był jednym z jej zaufanych ludzi, a zresztą i tak nie miał dostępu do biur administracyjnych.

W miarę upływu dni pozorowanie normalnego zachowania zaczynało coraz mocniej nadwierać nerwy Gelana. Inspekcje, obowiązki, stanie na straży... i zastanawianie się, który ze strażników i więźniów bierze udział w spisku i na czym on polega. Musi chodzić o coś więcej niż tylko o zabicie młodszego brata Methlin Meharry. Bacarion nie postarałaby się o przeniesienie tylko z tego powodu. Choć coraz bardziej oczywiste stawało się, że coś się kroi – zaczęto go wykluczać ze spotkań i planowania – niczego nie mógł się dowiedzieć.

Teraz, kiedy nie mógł nikomu zaufać, uświadomił sobie, że podobnie jak każdy człowiek, pragnie należeć do grupy, a nie być całkowitym outsiderem.

Kiedy Margiu Pardalt przyjęła stanowisko młodszego instruktora w Szkole, odkryła, że podoba jej się nauczanie. Pogoda się poprawiła, od czasu do czasu z dalekiej północy nadchodziły chłodne powiewy, więc jej nastrój też się poprawił. Xavier nigdy nie był aż tak gorący jak Copper Mountain w lecie, dlatego już nie mogła się doczekać tutejszej zimy. W przeciwieństwie do wielu ludzi, którzy nigdy nie interesowali się życiem na planetach, cieszyło ją poznawanie planety, na której przebywała. Placówki Zawodowej Służby Kosmicznej rozmieszczone były na całej planecie, od lodowych czap polarnych aż po najcieplejsze wyspy tropikalne. Większość z nich to były różnego rodzaju placówki szkoleniowe lub do testowania sprzętu. Margiu cieszyła się, że będzie mogła zobaczyć stepy w pobliżu Suchoziemia, tak bardzo przypominające jej rodziną

planetę, i miała nadzieję na górską wspinaczkę w czasie zbliżającego się urlopu.

Pierwsza okazja do podróży pojawiła się w przerwie między semestrami, więc nie musiała nawet wykorzystywać urlopu. Należało dostarczyć kurierem do jednej z odległych baz priorytetowe rozkazy o wysokim poziomie tajności. Oczywiście wybrano chorążego Pardalt.

Tak więc pewnego niezbyt rześkiego poranka wzięła walizeczkę pełną rozkazów, przypięła ją do pasa i weszła na pokład samolotu zaopatrzeniowego kierującego się do Camp Engelton. Przez dwie godziny siedziała na worku pełnym czegoś twardego i niewygodnego – samoloty zaopatrzeniowe nie miały foteli pasażerskich – i przyglądała się, jak czerwone piaski z wolna ustępują brudno-zielonym nadbrzeżnym sawannom i ciemnozielonym drzewom wyrastającym wprost z wody.

Miała tylko piętnaście minut na wręczenie rozkazów dowódcy bazy, ale piętnaście minut parnego upału i smrodu siarki dobiegającego z bagiennych lasów wystarczyło, aby zaspokoić jej ciekawość. Z zadowoleniem wspięła się z powrotem do samolotu, kierującego się teraz do Suchoziemi. Wór, na którym dotąd siedziała, został wyładowany, a pilot miał teraz dość miejsca, by przygotować jej coś w rodzaju siedzenia.

Lot trwał kilka godzin i Margiu usnęła. Obudziła się, gdy samolot przelatywał przez promienie popołudniowego słońca. Tak daleko na północ zimny wiatr zerwał już resztki brązowych liści z drzew rosnących wokół centralnego placu bazy, a krótka preriowa trawa przybrała różne odcienie rdzy. Wręczyła dowódcy bazy kopię rozkazów i zatrzymała się na noc w pomieszczeniu dla gości. Kiedy wybrała się na wieczorny spacer, niemal miała wrażenie, że jest na Xavierze; jedynie gwiazdy po zapadnięciu nocy wyglądały inaczej.

Następnego dnia czekał ją długodystansowy lot do baz na zachodnim wybrzeżu: Wielkich Drzew i Mrocznej Zatoki (zastanawiała się, komu pozwolono nadać tym miejscom nazwy), a potem miała wybrać się w niebezpieczną podróż do baz na Wyspach Czubatych.

Lot długodystansowy odbyła nie na pokładzie samolotu, ale w hermetycznym pojeździe lecącym niemal poza granicą atmosfery. Łąd w dole wyglądał jak niewyraźny patchwork z burych i brązowych plam, z białymi szczytami gór, które miała nadzieję kiedyś zobaczyć z bliska. Razem z nią lecieli oficerowie i żołnierze na zastępstwa. Siedziała wbita w fotel i tylko od czasu do czasu miała okazję zerknąć przez okno, gdy siedzący obok neurowspomagany marine odchyłał się do tyłu.

Była to podróż, która mogła ją wiele nauczyć, więc starała się jak najwięcej zapamiętać na temat wnętrza pojazdu.

Wylądowali w Dużych Drzewach na pasie startowym wcinającym się głęboko w las. Margiu wychowywała się wśród kęp zagajników porzrzucanych między łąkami, ale te drzewa tutaj były bardziej okrągłe i gładkie, przypominały stojące gęsto potężne

słupy. Po dostarczeniu komendantowi bazy przesyłki dowiedziała się, że najbliższy samolot do Mrocznej Zatoki odleci dopiero następnego dnia.

– Powinna pani zobaczyć nasze drzewa – powiedziano jej. – Nigdzie nie ma czegoś takiego.

Tak więc wyszła z bazy i jeszcze w popołudniowym świetle dotarła do granicy lasu. Za sobą słyszała brzęczenie kosiarek przycinających szmaragdową trawę i stukot butów na chodnikach. Stała przed potężnym ciemnym pniem, który wyglądał jak lekko zakrzywiona ściana. W pobliżu rosły wyższe od niej paprocie, przycięte od strony bazy w równą linię. Między kawałkami kory – w każdym razie myślała, że to kora – rosły inne rośliny: mech, paprocie i małe jasnożółte kwiatki przypominające fajerwerki.

Ruszyła ścieżką wokół drzewa. Grunt pod stopami sprawiał wrażenie gąbczastego, a kiedy znalazła się po drugiej stronie pnia, zdała sobie sprawę, że nie słyszy już dochodzących z bazy odgłosów... Oddzielające ją od niej drzewo pochłaniało dźwięki. Poczła się nieswojo w tej gęstej roślinności, więc szybko zawróciła i ruszyła w stronę swojej kwatery.

Następnego dnia w czasie lotu w stronę wybrzeża, znów samolotem, uświadomiła sobie, w jak niewielkim stopniu ta ziemia dotknięta była przez ludzi; potężny dziewiczy las rozciągał się od podnóża gór aż do Mrocznej Zatoki, gdzie rosły mniejsze drzewa, a następnie poszarpane kępy zarośli.

W Mrocznej Zatoce musiała poczekać kilka dni na transoceaniczny lot do baz na Czubatych Wyspach. Nadciągnął sztorm i nikt nie zamierzał ryzykować lotu w takich warunkach, zwłaszcza dla zwykłego kuriera. Postanowiła więc wykorzystać ten czas na nauczenie się technik przetrwania w zimnej oceanicznej wodzie. Na północnym Wielkim Oceanie panowała już wczesna zima. Margiu nauczyła się wciskać w OKO i zapinać jedną ręką kaptur, a ponadto przynajmniej cztery razy przećwiczyła wsiadanie do pontonu ratunkowego i opuszczanie pojazdu.

* * *

Kapral Asele Martin-Jehore pełnił służbę przy satelitach w odległej bazie na Niebieskich Wyspach. W przeciwieństwie do Wysp Czubatych, ten archipelag leżał na ciepłych wodach równikowych, a wielkie drapieżniki morskie były odgradzone barierami siłowymi od pięknych białych plaż i turkusowych lagun. Cały stały personel planety chętnie spędzał przynajmniej tydzień urlopu na Niebieskich Wyspach.

Martin-Jehore całymi latami ciężko pracował na ten przydział, ale pomógł mu też znajomy z Personelu. Wykazał już wielokrotnie, że ma talent do odpornej elektroniki – przekalibrował matrycę sygnałową numer cztery po przejściu sztormu, gdy jego szef leżał powalony gripą – dlatego przydzielono go na stałe do MetSata IV, satelity pogodowego i nadzorującego, odpowiedzialnego za północną część Wielkiego Oceanu.

MetSat IV od chwili uruchomienia stwarzał problemy. Wykonawca wymieniał go dwukrotnie, za każdym razem nie znajdując żadnej usterki. Za drugim razem szef projektu ze strony wykonawcy zasugerował, że ktoś we Flocie namieszał coś w oprogramowaniu. To musiał być Jurowski, który zajmował to stanowisko przed Martinem-Jehore. Prawdę mówiąc, Jurowski nie zrobił niczego, co mogłoby zaszkodzić satelicie, ale żeby usatysfakcjonować wykonawcę podjęciem wszelkich możliwych kroków, przeniesiono Jurowskiego na inne stanowisko.

Mimo to MetSat IV wciąż sprawiał kłopoty. Martin-Jehore był pewien – podobnie jak Jurowski – że wiąże się to z SI, a na dodatek dysponował kluczową informacją, której brakowało jego poprzednikowi: zestawem poleceń sterujących SI MetSata IV.

* * *

Teoretycznie każda transmisja z Niebieskich Wysp była logowana. W praktyce bardzo dobry technik komunikacyjny mógł wysłać do satelity niewykrywalną wiązkę. Nieczęsto, ale czasami. Martin-Jehore starannie wybierał takie chwile, stopniowo zdobywając kontrolę nad SI MetSata IV w takim zakresie, w jakim nie powinien żaden zwykły technik.

Teraz potrzebował tylko pretekstu w postaci rutynowego testu komunikacji, żeby spowodować pożądaną awarię.

SI MetSata porównała zestaw instrukcji z otrzymanymi wcześniej i ustaliła, że pasują do siebie treścią. Następnie wyłączyła swoje czujniki podczerwieni i obróciła kadłub o 30° wokół osi Z.

W obserwatorium na dole na jednym z ekranów podglądu satelitarnego wyraźny obraz sztormu przesuwanego się jak potężna biała spirala zastąpiły bolesne dla oczu białe plamy.

– Cholera, satelitę znów szlag trafił. – Martin-Jehore wpatrzył się w ekran. – Założę się, że to problemy z zegarem.

– Nieee... to się zdarza zbyt losowo. – Jurowski nie zamierzał zgadzać się z Martinem – Jehorem. Upłynęło już osiemnaście miesięcy, ale wciąż nie mógł zapomnieć utraty stanowiska starszego technika nadzoru satelitarnego.

– Cóż, zobaczymy, czy ożywi go C-28. – Czasami C-28 przywracało satelitę do życia, ale tym razem miało nie pomóc. Mimo to Martin-Jehore wystukał polecenie. Na ekranie dalej widać było tylko plamy. – Nie tym razem.

– Spróbuj zestawu 43-120 – zasugerował Jurowski. Choć czuł się rozgoryczony, był dobrodusznym człowiekiem, zawsze gotowym do pomocy. Martin-Jehore kiwnął głową i wprowadził polecenie. To też nie może zadziałać, ale zanim się to okaże, minie kilka minut. Śnieżenie na ekranie zmieniło odcień, ale nic więcej się nie stało.

– Ktoś odmłodził jego SI – rzucił Jurowski. Cały pokój zachichotał. Dowództwo

mogło nie wiedzieć o związku między odmłodzeniem a problemami umysłowymi, ale niżsi rangą już dawno do tego doszli.

Zgodnie z przepisami Martin-Jehore zgłosił przełożonej, że MetSat IV już od godziny nie funkcjonuje i że nie pomogły trzy standardowe interwencje. Jego szefowa, Gumach, westchnęła i kazała mu próbować dalej. Martin-Jehore widział, że tak naprawdę nie przejęła się tym. Wielki Ocean był pusty, a obserwowany przez MetSata IV sztorm został już wprowadzony do modelu. Wyspy Czubate o nim wiedziały – w zasadzie już je opuszczał – a do kontynentu nie dotrze jeszcze przez cztery dni.

Druga funkcja MetSata IV, polegająca na wykrywaniu w atmosferze małych pojazdów, również nie martwiła Gumach. Tak naprawdę w systemie były jedynie okręty Zawodowej Służby Kosmicznej. Wrogie lądowanie musiałyby nastąpić z pokładu jednostki z głębokiej przestrzeni, a takich tu nie było. Zresztą po co martwić się wrogim lądowaniem? Polar 1, w tej chwili blisko południowego krańca swojej orbity, ma zestawy czujników służących do wykrywania wszelkiego ruchu z orbity, a MetSat IV stanowi tylko jego uzupełnienie.

Martin-Jehore wiedział, że MetSat IV musi pozostać nieaktywny przynajmniej przez pięć godzin. Nie wiedział czemu i wcale go to nie obchodziło. Prawdopodobnie chodzi o przemyt czegoś naprawdę wartościowego (biorąc pod uwagę jego dołę), a nie sądził, żeby przemyt mógł komuś zaszkodzić. No bo co się stanie, jeśli jakieś kostki z pornosami ominą kontrolę celną?

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Wyspy Czubate, Baza Trzy

Atak nastąpił w szare popołudnie, gdy deszcz siąpił z wiszących nisko chmur, a widoczność była tak ograniczona, że z biur administracyjnych widać było tylko plac spacerowy. Gelan Meharry miał służbę na zewnątrz. Kiedy sprawdził pierwsze trzy stanowiska, okazało się, że brakuje numeru cztery. Sięgając do kontrolki swojego radia, poczuł, jak jeżą mu się włosy na karku. A więc jednak nie w nocy, a przy pełnym oświetleniu, żeby mieć pewność, że jego ciało roztrzaskało się o skały.

– Tu Spiers – rozległa się odpowiedź na jego sygnał. Do tej pory Spiersa raczej nie podejrzewał.

– Numeru cztery nie ma na stanowisku – powiedział Gelan. – Czy Mahdal wezwał go do siebie?

– Nie, kapralu. Mam sprawdzić lazaret?

– Poproś o zastępstwo na ten posterunek. I wywołaj pozostałe, dobrze? Potem sprawdź lazaret.

– Jasne. – Głos Spiersa brzmiał całkiem normalnie i przebijała przez niego tylko troska o brakującego strażnika.

Gelan rozejrzał się wokół. Z posterunku numer cztery strażnik mógł obserwować plac spacerowy więźniów, blok wejściowy za nim, górną część bloku administracyjnego wychodzącego na plac apelowy, którego stąd nie było widać, i wznoszący się dalej szczyt wulkanu. Po lewej stronie widział hełm strażnika na posterunku numer trzy, a po prawej, w dole, przed blokiem wejściowym, powinien widzieć stanowisko numer pięć.

Ale nie widział go. Wychylił się przez parapet czwórki, żeby sprawdzić ścieżkę w dole. Tam, dużo niżej, dostrzegł żółtą plamę z białą kropką obok.

Znów włączył radio.

– Spiers, tu znowu Meharry. Na zachodniej ścieżce jest człowiek. Wywołałeś już numer pięć?

– Nie, kapralu. – Teraz Spiers był już zmartwiony. – Sierżant mówi, że już idzie. Mam skontaktować się z lazaretem?

– Lepiej to zrób. A ja zejdę i to sprawdzę.

* * *

Gdy padł cios, pochylił się, tak że uderzenie w głowę straciło na sile. Potem, wykorzystując zaskoczenie napastnika, mocno odepchnął się i skoczył poza krawędź

urwiska.

Przez krótką chwilę, wisząc w powietrzu nad wzburzonym morzem, poczuł euforię. Nie pozbawili go przytomności, przechytrzył ich. Udało mu się, jego plan zadziałał.

Potem, kiedy znalazł się tak nisko, że widział już fale – wyższe od niego i mocno walące w ostre skały – zdążył tylko pomyśleć, że nie ma hełmu, i wpadł w tak zimną wodę, że zaparło mu dech w piersi i niemal pozbawiło przytomności.

Wydostał się na powierzchnię dzięki instynktowi i pomocy wzbierającej fali. Nagle zobaczył pędzącą ku niemu czarną ścianę pokrytą ostrymi muszlami. Wyciągnął ramiona. Woda rzuciła go z olbrzymią siłą na skałę, ale rękawice OKO ochroniły jego ręce i ciało przed ostrymi krawędziami muszli, a nadgarstkowe haki zaczepiły się o powierzchnię skały. Kiedy woda cofnęła się, zwinął się i wbił buty w szczelinę, wysuwając dolne haki OKO.

Znów zalała go zimna woda, popychając w stronę ściany, a potem odpychając od niej... ale haki wytrzymały, choć bolały naciągnięte ramiona i nogi. W następnej przerwie odczepił haki nadgarstków, rzucił się w górę i zdążył je znów zaczepić tuż przed kolejnym uderzeniem fali.

Minuta za minutą wspinał się w górę, ścigając się z falami i własną słabością... Jego uwagę przyciągnął odległy hałas, na tyle silny, że przebił się nawet przez grzmot fal. Spojrzał w górę, ale w tym momencie uderzyła go w twarz fontanna zimnej wody.

Przywarł do skały tuż powyżej rozpryskujących się fal. Pomimo kombinezonu było mu zimno; bez niego prawdopodobnie już by nie żył. Czuł, jak ręce i nogi sztywnieją mu z zimna i zmęczenia, a tymczasem gdzieś tam... szukali go mordercy.

Gelan zerwał z siebie szponami haków resztki munduru. Miał nadzieję, że jeśli ktoś go zauważy, będzie wyglądał jak człowiek poszarpany przez morskie drapieżniki. Ukryty pod mundurem kombinezon przybrał barwę skały. Wiał silny wiatr, więc rozwinął kaptur i założył go na głowę. Natychmiast poczuł się lepiej. Potem założył jeszcze maskę. Nie było mu wygodnie, ale za to nie groziła mu już hipotermia. W każdym razie nieszybko.

Dotknął kontrolek na piersiach i obwody OKO zaczęły dostarczać mu wzmocnione dźwięki. Inny przełącznik wysunął antenę do odbioru transmisji radiowych.

– Przeleciał przez krawędź, sir. Nie zdążyłem go złapać. Poleciał prosto w dół, mógł walnąć głową w skałę...

* * *

Zapadła ciemność. Gelan widział światła w górze. Odczekał, aż znikły, a potem jeszcze trochę, bo obawiał się skanowania w podczerwieni. Choć kombinezon nie przepuszczał ciepła na zewnątrz, chroniąc ciało przed zimnem, czuły skaner mógłby

wyłapać poruszającą się postać. Jednak dobrze po północy ruszył – z początku sztywno, potem już gładko – w stronę kanału wulkanicznego, gdzie – miał nadzieję – wciąż czekał na niego zestaw ratunkowy.

Gdy znalazł się u ujścia krateru, zaryzykował zapalenie latarki. Rzeczy leżały nienaruszone.

A obok nich stała komandor Bacarion z bronią wymierzoną w jego pierś.

– Pomyślałam, że pewnie cię nie docenili – powiedziała. – Ale ja nie.

Nic nie odpowiedział.

– Z radością obetnę ci uszy – stwierdziła. – Może nawet wyślę jedno twojej rodzinie.

Myśl o reakcji Methlin, gdyby dostała w paczce ucho swojego młodszego brata, sprawiła, że pomimo strachu uśmiechnął się.

– Zrób to – rzekł.

Po czym rzucił latarkę w bok i skoczył w stronę jej wyciągniętej ręki, przyczepiając się hakami do podłoża. Broń wypaliła, ale igły poszły bokiem. Gelan zrobił obrót i walnął Bacarion obiema stopami w bok. Usłyszał chrzęst kości i jęk, ale kobieta wciąż żyła i z pewnością miała nie tylko tę broń.

Zaczął czołgać się w jej stronę, wymachując hakami kombinezonu. Pojawiła się cienka czerwona wiązka lasera celowniczego i rozległ się ostry huk strzelby myśliwskiej, a zaraz po nim stukot kamieni spadających w miejscu, gdzie trafił pocisk. Gelan wyczuł coś rękawicą i ostro szarpnął. Kobieta wrzasnęła, a potem coś uderzyło go w ramię. Zaczął walić na oślep łokciami, kolanami, stopami; sam, tylko trochę chroniony przez kombinezon, także obrywał uderzenia. Potem ciosy osłabły. Uderzył jeszcze raz i jeszcze raz. I jeszcze.

Zapadła cisza, w której słychać było tylko jego oddech i uderzenia fal. Jest martwa czy tylko udaje? Czy przyszła tu sama?

Zaczął obmacywać ziemię w poszukiwaniu latarki, ale w końcu zrezygnował i włączył reflektorek na czole.

Natychmiast poczuł w gardle supeł. Haki jego kombinezonu błyszczały w świetle żywą czerwienią – w ogniu walki praktycznie rozerwał jej twarz. Z czubka haka zwisało ucho. Strząsnął je na ziemię.

I pomyśleć, że to ona zbierała uszy.

Zabił oficera, który był jego dowódcą i który pełnił swoje obowiązki. Nie może po prostu zgłosić tego swojemu sierżantowi. Nie tym razem.

Methlin uprzedzała go, że mogą nadejść dni takie jak ten, nigdy jednak nie powiedziała mu, że może będzie musiał zamordować swojego dowódcę, a potem spróbować jakoś to wyjaśnić.

Musi przeszukać ciało Bacarion. Jeśli planowała poważne przestępstwo –

oczywiście poza zabiciem go – musi mieć przy sobie jakieś dowody. Na pewno nie zostawiła ich w biurowym sejfie. Ale nie może przeszukać jej tutaj, gdzie w każdej chwili mogą pojawić się jej wspólnicy, zaalarmowani jakimś sygnałem, o którym on nie ma pojęcia, albo po prostu jej nieobecnością na spotkaniu.

Do krateru wdarł się powiew lodowatego wiatru, rezonując jak w potężnej organowej rurze. Czyżby zbliżał się sztorm? Nie można czekać. Stękając z wysiłku, Gelan przeciągnął tratwę do wylotu krateru, a potem zaczął zastanawiać się, co zrobić z ciałem Bacarion. W końcu zdecydował się zabrać je ze sobą. Było cięższe niż myślał i trudno mu było wciągnąć je do tratwy, ale wreszcie się udało. Potem starannie je zabezpieczył, zanim przesunął tratwę na samą krawędź skały.

Gwałtowny powiew wiatru porwał ją i ciężko zrzucił na wodę. Gelan nawet przez OKO czuł zimno wody. Przekręcił zawór i nagle nad tratwą wyrosła nadmuchana nadbudówka.

Po jakimś czasie pojawiło się słabe światło dnia. Tratwa płynęła popychana wiatrem niosącym deszcz ze śniegiem. Fale już dawno pozbawiły Gelana zawartości jego żołądka, ale nie chciał używać latarki, aby odszukać pakiet medyczny, bo światło mogłoby zostać zauważone z bazy. Dopiero w szarym świetle poranka zobaczył makabrycznie sztywne ciało Bacarion, turlające się po pontonie wraz z każdym przechyłem, oraz przyczepiony do burty tratwy pakiet pierwszej pomocy. Ściągnął rękawicę OKO, otworzył pakiet i wyciągnął plastry przeciw mdłościom. Po kilku minutach było nieco lepiej, poczuł nawet głód. Najpierw jednak usunął pompą z pokładu krew i wodę, a dopiero potem odważył się wyrzucić na zewnątrz.

Nie widział niczego oprócz fal siekanych deszczem ze śniegiem, rozmywających się w szarości. Przynajmniej nie był już widoczny z Trzeciego Czubka. Zamknął klapę i zbadał resztę wnętrza tratwy.

Została ona zaprojektowana dla ośmiu rozbitków. W jednym z pojemników upchnięto podręcznik; uświadomił sobie, że jest taki sam jak ten, który kiedyś tak niedbale przejrzał. Na pierwszej stronie znalazł schemat tratwy z wyraźnie oznaczonym położeniem filtra do wody, urządzeń nawigacyjnych, zapasów jedzenia i pakietu naprawczego.

* * *

Komandor porucznik Vinet niecierpliwie czekał na sygnał. Bacarion powiedziała, że nadejdzie dziś lub jutro, w zależności od pogody. Musi być pochmurno, żeby skan satelitarny niczego nie mógł pokazać, i wystarczająco jasno, żeby mieć pewność, że Meharry faktycznie utonął. Tego wieczoru nadchodził sztorm i na Trzecim Czubku było dużo chmur – zachmurzyło się jeszcze dobrze przed świtem – a zanim nadszedł zmierzch, w szyby zaczęła uderzać lodowata mieszanka śniegu i deszczu.

Zjadł kolację najszybciej jak mógł. Gdyby tylko mógł się z nią skontaktować... ale zabroniła tego, a on doskonale wiedział, jak bezwzględnie postępowała z tymi, którzy łamali jej rozkazy. Coś musiało spowodować opóźnienie, w takim razie następny dzień będzie tym właściwym. W końcu usnął.

Ranek przyniósł potężną wichurę z deszczem i niebezpiecznymi falami. Przez trójwarstwowe okna czuł moc i zimno wichru. W południe znów niespokojnie chodził od biurka do okna i z powrotem, a potem korytarzem do małego zabudowanego balkonu, z którego miał widok na całą zachodnią część Czubka. Deszcz ze śniegiem już się skończył, wiał tylko wiatr. Dwa drzewa na dziedzińcu były gołymi gałęziami o osłaniającą go ścianę.

Pod wieczór sztorm odsunął się na południe i przez chmury zaczęło przebijać zimne zielone światło. Wciąż nic. Coś musiało się stać. Co powinien teraz zrobić? Nie mógł skontaktować się z innymi, gdyż Bacarion kontrolowała kody rozpoznawcze. Nie mógł też nic zrobić z grupami badawczymi i bronią bez dodatkowych sił. Bacarion wiedziała, że ma tylko kilku ludzi, na których może polegać. Wiedziała o tym, a mimo to... Zmusił się, by ponownie usiąść, ale nic nie mogło uspokoić jego myśli.

* * *

Gelan przywiązał ciało komandor do drugiego końca tratwy, naprawił rozdarcia, które powstały w wewnętrznej części kadłuba, zjadł i znów usnął. Sztorm złagodniał, ale nie miał pojęcia, gdzie się znajduje, jak daleko od Czubków. Strach przed zniesieniem go tam z powrotem przez fale walczył ze strachem przed dryfowaniem na potężnym oceanie aż do śmierci. Tak czy owak, czekała go śmierć; pytanie tylko, która jest gorsza.

Z pewnością komandor nie mogła wciągnąć wszystkich na planecie do swoich konspiracyjnych działań. Powinien móc liczyć na ludzi z ratownictwa, jeśli nawet na nikogo więcej.

Spojrzał na trupa Bacarion i zadrżał. Nie potrafił się zmusić do obszukania jej. No cóż, w takim razie może chociaż spíše relację z tego, co zaszło. W łodzi znalazł gruby plik wodoodpornych kartek i pisak. Galen od lat nie pisał niczego ręcznie, ale postanowił utrwalić wszystko, co zaszło, zanim uruchomi nadajnik lokacyjny. W ten sposób nawet jeśli zginie, zachowa się jakaś relacja zdarzeń.

Jeśli ktoś tego po prostu nie zniszczy.

Oparł tabliczkę na kolanie i pomimo kołysania fal próbował zapisać coś sensownego. Okazało się to jednak znacznie trudniejsze niż się spodziewał, i po trzech stronach zrezygnował.

* * *

– Komandor Bacarion nie ma w biurze, sir. – Sierżant Copans wyglądał na zmartwionego. – Nie odbiera też telefonów, a lokator jest wyłączony.

Podoficer Slyke był wściekły. Starannie przygotowane „samobójstwo” Meharry’ego odbyło się dokładnie według planu, łącznie z zamordowaniem majora Dumlina, najstarszego oficera nie stojącego po ich stronie. Ale Bacarion powinna już tu być, o ile nie prowadzi jakieś własnej gry... ale nawet wtedy powinna już wrócić. Jej gry zazwyczaj nie trwały długo.

Slyke był członkiem Lojalnego Bractwa Myśliwych już od szesnastu lat i pierwszym rekrutem wśród poborowych. Służył pod rozkazami Lepescu, gdy ten był jeszcze majorem, i podziwiał jego rozumienie prawdziwej natury wojny – jako testu przetrwania, najwyższej formy dostosowania. Wychowany na Calydonie przez Priorystów, którzy wierzyli, iż powodzenie w tym życiu uwarunkowane jest uczynkami w poprzednim życiu, Slyke czuł, że zasłużył na swoje umiejętności i pozycję.

Teraz, stojąc przed problemem zniknięcia Bacarion, zrozumiał, że nadeszła jego chwila. Choć nie został wprowadzony w szczegółowy plan misji, znał go lepiej niż pozostali podoficerowie i większość oficerów. Mógł więc – a właściwie musiał – przejąć dowodzenie.

Miał szczęście. Ciężkie warunki pogodowe przerwały komunikację niemal równocześnie ze zniknięciem komandor, dając mu czas na ukrycie śladów i przeszukanie budynków, podziemnych magazynów i kanałów wulkanicznych. Uparł się, że osobiście poprowadzi grupę poszukiwawczą, w której znaleźli się jego najbardziej zaufani ludzie, wszyscy członkowie Zakonu.

Komandor zostawiła identyfikator. Nad wyraz rozsądnie. Co takiego wiedziała, o czym on nie miał pojęcia, i czemu mu nie powiedziała? Odsunął od siebie tę myśl i stękając, wsunął się w wąski przesmyk.

Tam. Światło latarki odbiło się od gładkiej lufy strzelby myśliwskiej i zatrzymało na widocznej na ścianie małej czerwonej plamce. Celownik laserowy wciąż był włączony, a bateria jeszcze się nie wyczerpała. Znieruchomiał. Czyżby to była pułapka zastawiona przez komandor, aby sprawdzić swoich podwładnych?

Na zewnątrz grzmiało morze, wypełniając korytarz falą mokrego powietrza, ściany błyszczały od wilgoci.

Podszedł bliżej. Wilgoć na ścianach to była krew, a nie morska woda. Na ziemi dostrzegł kałuże krwi i kilka strzępków ciała... Coś ciężkiego ciągnięto stąd na brzeg morza, gdzie leżał zwinięty mokry brezent, powiewający przy silniejszych podmuchach wiatru.

Ten cholerny, pokręcony sukinsyn kapral Meharry musiał przeżyć upadek i wspiął się tutaj, aby się ukryć... nie, żeby wydobyć schowaną tu tratwę ratunkową. Komandor domyśliła się i czekała na niego, a potem jedno z nich zginęło w walce (wszędzie było

mnóstwo krwi), a drugie uciekło na tratwie.

Ale które? Logika podsunęła Meharry'emu odpowiedź: Bacarion by wróciła.

Jeśli to nie był element spisku. Jeśli nie postanowiła zdradzić ich wszystkich i uciec. W końcu zeszła tu na dół sama, nie mówiąc o tym nikomu. Może była pewna śmierci Meharry'ego, a tratwa była przeznaczona dla niej.

Zagryzł wargę, próbując rozwiązać problem, ale w końcu zdecydował, że to nie ma znaczenia. Najważniejsze, że siedzą w tym aż po szyję, a świadek uciekł. Ponadto pozostało zbyt wiele śladów, choć użył węża pożarowego do splukania ze ścian wszelkich dowodów zbrodni. Ale jeśli zdążą odlecieć z planety, zanim osoba na tratwie z kimkolwiek się skontaktuje, plan może się udać.

Pomacał ukryte pod pasem skrawki odciętych uszu. Był pewien, że to dopiero początek.

* * *

W ciągu ostatnich kilku dni napięcie wśród więźniów wyraźnie wzrosło. Skazańcy z niepokojem obserwowali strażników, którzy zachowywali się jak drapieżniki przyglądające się zwierzynie, a jednocześnie jak zwierzyna obserwowana otaczające je drapieżniki. Slyke doskonale wiedział, którzy więźniowie mieli zostać uwolnieni, ale w jego ocenie należałoby dodać jeszcze kilka nazwisk. Najpierw jednak musi skontaktować się ze spiskowcami na orbicie i upewnić ich co do swojej tożsamości.

Nawiązanie kontaktu okazało się łatwiejsze niż sądził.

– Słyszeliśmy. – Kontakt głosowy, generowany z różnych elementów syntetycznej mowy, był nie do pokonania dla programów rozpoznawania mowy.

– Jestem gotów do rozpoczęcia Kąpieli – powiedział Slyke.

Zapadła długa cisza.

– Ty?!

– Lepiej działać – powiedział Slyke, z trudem pomijając „sir”. – Śledztwo w sprawie śmierci majora...

– Potwierdzam. Czas rozpoczęcia pierwszego etapu?

– Slyke starannie to sobie wyliczył.

– Dwie do siedmiu minut plus planowany czas.

– Dobrze.

Teraz musi poinformować pozostałych. Sierzanci Copans i Vinus wyglądali na zmartwionych.

– Ależ, sir, po zniknięciu komandor służby bezpieczeństwa Floty opadną nas jak szarańcza.

– Tak, ale jeśli jeszcze poczekamy, jest spora szansa, że znajdą coś, co komandor

po sobie zostawiła, a co nas obciążą. Albo zrobimy to teraz, albo trafimy tam. – I wskazał kciukiem na drzwi bloku więziennego. – Tego właśnie chcecie?

– Nie, ale...

– Chcecie zasłużyć na swoje uszy, sierżancie?

– Tak jest, sir.

– Więc do roboty.

OSK *Bonar Tighe* poprosił Kontrolę Ruchu o pozwolenie na przećwiczenie zejścia bojowego nad Wielkim Oceanem. Wiele okrętów odwiedzających Copper Mountain korzystało z możliwości sprawdzenia swoich załóg szturmowych, więc Kontrola Ruchu zatwierdziła strefę zrzutu – 200 klików na południe od Wysp Czubatych – i poinformowała ich, że jedyną jednostką przebywającą w powietrzu jest samolot ratowniczy PIR na północnym zachodzie.

Załoga *Bonar Tighe* zgromadziła się wokół charyzmatycznego Solomona Drizha, bohatera Cavinatto, który podobnie jak Bacarion miał zbyt niski stopień, by po śmierci admirała Lepescu można było objąć go śledztwem prowadzonym przeciwko wszystkim jego protegowanym. Spiskowcy wyciągnęli wnioski z buntu na pokładzie *Despite'a* i odtąd liczba ludzi popierających Drizha była na każdym statku coraz większa, a struktura dowodzenia coraz lepsza. Tym razem nie działali dla *Benignity*, ale dla siebie samych... Dla Lojalnego Bractwa Myśliwych.

Drizh głosił, że Flota stała się zbyt słaba, a całe Familie Regnant są miękkie niczym gnijąca brzoskwinia. Gdyby dowodził nimi ktoś mający prawdziwą wizję, nie byłoby piractwa, żadnych ataków ze strony Bogobojnej Milicji Nowego Teksasu i z pewnością żadnych prób zachowania przy życiu tych drani, którzy porwali córkę Mówcy. Zdobyto by wszystkie światy Nowego Teksasu, pokonano ich milicję... choć Drizh musiał przyznać, że właściwie podziwia ludzi, którzy porywają się na atakowanie dużych statków małymi okrętami.

Lojalne Bractwo Myśliwych przetrwało śmierć Lepescu i w następnych latach znacznie się rozrosło. Jego przywódcy wykorzystywali każde wydarzenie polityczne, by dowieść potrzeby rządów twardej ręki, bardziej realistycznego podejścia do spraw wojny i większej lojalności towarzyszy broni. Uważali, że słabych przywódców – takich jak król, który musiał abdykować, a lord Thornbuckle, który nie upilnował swojej córki – trzeba zastąpić silniejszymi, bardziej agresywnymi.

Podobnie jak Lepescu, uważali siebie za bardziej lojalnych i oddanych Flocie niż inni jej członkowie, którzy okazali się nijacy, niezdecydowani i w ogólnym rozrachunku nieskuteczni. Prowadzili szeroko zakrojoną rekrutację, znacznie częściej niż za czasów Lepescu wśród podoficerów; jak mawiał Drizh, jeśli ich założyciel miał jakąś wadę, była nią niesłuszna wiara w wysokie urodzenie.

Usunięcie z Floty starszych podoficerów i admirałów z powodu problemów z

odmładzaniem było dla nich wielką szansą. Dzięki następującej gwałtownie fali promocji znów mieli w grupie członka z admirałskimi gwiazdkami. Wprawdzie był zaledwie młodszym admirałem, i to wyłącznie na czas sytuacji przejściowej, ale ta sytuacja miała trwać wystarczająco długo, by Drizh zdążył zrealizować swoje cele.

* * *

Trzy promy szturmowe z *Bonar Tighe* weszły w atmosferę pod okiem orbitalnej Kontroli Ruchu. Atmosferyczna Kontrola Ruchu Copper Mountain była minimalna, z wyjątkiem obszarów głównej bazy, a nad Wielkim Oceanem wcale jej nie było. Po zejściu poniżej 8000 metrów promy automatycznie zniknęły z ekranów orbitalnych.

Mimo to utrzymały kurs, dopóki nie osiągnęły pułapu 2000 metrów, po czym skręciły na północ, w stronę Wysp Czubatych.

* * *

Bosman Slyke nie wiedział, jak komandor Bacarion planowała postąpić z więźniami i strażnikami nie biorącymi udziału w spisku. Jeśli o niego chodzi, nie miał zamiaru pozostawiać żadnych świadków, nawet w tak odizolowanej bazie. Kiedy sztorm minął i usłyszał przez radio zwykłe żądanie codziennego raportu, postanowił – aby nie wzbudzać podejrzeń – zgłosić zaginięcie Meharry'ego i Bacarion jako prawdopodobnie porwanych przez fale. Zdawał sobie sprawę, że niedługo zostanie tu przysłana ekipa śledcza wraz z nowym dowódcą, dlatego wolał pozbyć się wszystkich świadków. Nawet jeśli buntownicy uzyskają poparcie bazy orbitalnej, nie zdążą opanować całej planety, zanim ktoś tu dotrze i napisze obciążający ich raport.

Jego towarzysze najpierw zajęli się członkami personelu, którzy nie brali udziału w spisku. Ich ciała pozostawili na miejscu. Miał nadzieję, że śledczy badający sprawę uznają, iż doszło do buntu więźniów. Zabicie niezaangażowanych w spisek skazańców to zupełnie inna sprawa. Kazał ich wyprowadzić na plac spacerowy, a następnie otwarto do nich ogień z broni do zwalczania zamieszek. Bosman miał nadzieję, że ich krzyki zmuszą wciągniętych w sprawę więźniów do większego posłuszeństwa.

Zanim promy wkroczyły w atmosferę, ustawił pozostałych więźniów na placu i najbardziej zaufanym rozdał broń i kombinezony ochronne. Kiedy pierwszy prom osiadł na zimnych kamieniach lądowiska Trzeciego Czubka, Slyke nawet nie czekał na otwarcie włączów – ludzie byli już w biegu. Prom poderwał się w górę i na jego miejscu osiadł następny. Na pokład wbiegło kolejnych sześćdziesięciu ludzi. Potem jeszcze jedna sześćdziesiątka, i jeszcze jedna. Slyke znalazł się w ostatniej grupie, która zdążyła wsiąść na prom tuż przed ogromną falą deszczu.

Deszcz obmył ciała rozrzucone na dziedzińcu i zmył krew z ziemi, a kiedy minął,

nadleciały morskie ptaki; przez jakiś czas potem nad placem więziennym krążyła ciemna chmura.

* * *

Promy szturmowe *Bonar Tighe* odleciały z rykiem na południe i wzniosły się z wyznaczonych stref na orbitę całe dwanaście minut przed tym, jak Martin-Jehore zlikwidował w końcu awarię MetSata IV.

Satelita zobaczył je na niskiej orbicie, ale właśnie odlatywały i miały sygnały rozpoznawcze Floty, w związku z czym SI oznaczyła je jako swoje.

* * *

Pierwszy prom wsunął się do doku *Bonar Tighe* i osiadł na podporach. Szeryf Anseli Markham, która zawsze postępowała zgodnie z wszystkimi zaleceniami instrukcji, wycelowała w kadłub ręczny bioskaner.

– Odłóż to – warknął jej przełożony, młodszy sierżant Prinkin.

– Ależ, sir, instrukcja mówi... – Anseli wpatrzyła się w odczyt. Prom wyleciał pusty, zabierając wyłącznie pilotów, a teraz jej przyrząd pokazywał całe tuziny małych zielonych kropek.

– Odłóżcie to, szeryfie, skaner jest uszkodzony.

– Aha. – A więc dlatego wykazuje obecność wojska na pokładzie pustego promu. Anseli odłożyła przyrząd. – Sierzancie Prinkin, czy nie powinnam go zanieść do warsztatu?

Rzucił jej ironiczne spojrzenie.

– Zróbcie to, szeryfie. I tak nie ma tu z was żadnego pożytku.

Anseli zdjęła bioskaner z półki i skierowała się do warsztatu.

Kusiło ją, żeby sprawdzić, czy zadziała, jeśli nie będzie musiał dokonywać odczytu przez materiał kadłuba, ale czuła na sobie wzrok sierżanta Prinkina. Nigdy jej nie lubił i zawsze jej dokuczał, choć tak bardzo się starała... Jak zwykle zaczęła marzyć o tym, jak dobrze będzie traktować szeryfów, gdy sama zostanie sierżantem.

Warsztat naprawczy drobnego sprzętu skanującego mieścił się w miejscu niewidocznym z doku promów. Gdy tylko Anseli znalazła się za rogiem, postanowiła sprawdzić skaner. Kiedy skierowała go na swoją stopę, na ekranie pojawił się zielony rozmazany obraz stopy. Gdy zwróciła go w stronę korytarza, zobaczyła na ekranie grupę ośmiu osób. Kiedy zaś skierowała skaner na ścianę, ujrzała za nią dwie poruszające się postacie... a potem usłyszała dźwięki, od których aż się zaczerwieniła. Nie chciała zrobić niczego takiego.

Urzędujący w warsztacie bosman Stockard wziął skaner i podał jej formularze do wypełnienia.

– Ale myślę, że teraz już działa – powiedziała Anseli, próbując zmieścić trzynastocyfrowy numer urządzenia w dwucentymetrową kratkę. W instrukcji kazano pisać wyraźnie, ale jak można pisać wyraźnie, mając tak mało miejsca? I czemu w ogóle musi wypełniać formularze, skoro skomputeryzowany system inwentarzowy może odczytać numer bezpośrednio z bioskanera? Ale miała dość rozumu, by o to nie pytać; nie była to jej pierwsza wycieczka do warsztatu. – Wypróbowałam go na ludziach idących korytarzem i zarejestrował ich prawidłowo.

– Skoro twój sierżant powiedział, że nie działa, to nie działa – stwierdził Stockard, wydymając wargi. – Może teraz już działa, ale przedtem nie działał. Co sierżant próbował zrobić, kiedy nie działał?

– On go nie używał, bosmanie. To ja dokonywałam odczytu z promu, który właśnie przyleciał, tak jak każą w instrukcji, ale on powiedział, żeby odłożyć bioskaner, bo nie działa. I chyba miał rację, bo pokazał, że na promie jest pełno ludzi.

– Na promach szturmowych zazwyczaj tak jest – powiedział Stockard, wykrzywiając kącik warg. – Nie rozumiem, co w tym dziwnego.

– Ale prom odleciał bez pasażerów – wyjaśniła Anseli. – Byłam tam i zgodnie z instrukcją przeskanowałam ich przed wylotem; mieli na pokładzie tylko pilotów. To był lot treningowy.

Stockard znieruchomiał z dłońmi opartymi płasko na ladzie.

– Mówi pani, że prom wyleciał pusty i wrócił pełen?

– No... właściwie nie. Nie mógł. To musi być wina tego bioskanera; skoro nie działa...

– Poczekaj tu chwilkę. – Stockard odwrócił się i Anseli zobaczyła, że rozmawia z kimś przez komunikator. Potem znowu odwrócił się do niej i rzucił jej smutne spojrzenie.

– Chyba jednak faktycznie coś z nim jest nie tak. Zapytałam bosmana Burdine, czy prom zabierał jakichś ludzi, i powiedział, że nie. Aha, kazał też, żeby w drodze powrotnej wstąpiła pani do administracji i zabrała przepustki dla całej sekcji. Za kilka godzin będziemy dokować.

– Tak jest, sir. – Z powodu antypatii sierżanta Prinkina nie było szans, żeby jej nazwisko znalazło się na liście, ale może on pójdzie na przepustkę i będzie miała chociaż kilka godzin spokoju.

* * *

Bosman Burdine z doków serwisowych promów podszedł do sierżanta Prinkina, jakby był w trakcie zwykłego obchodu stanowisk.

– Właśnie miałem telefon od Stockarda z napraw. Ta twoja durna szeryfka powiedziała mu o uszkodzonym bioskanerze, który pokazuje prom pełen ludzi. Myślę, że Stockard kupił moje zapewnienie, że jest pusty, ale boję się, że ta szeryf może jeszcze komuś o tym wypaplać.

– Prawie na sto procent – odpowiedział Prinkin. – Baba nie ma za grosz rozumu.

– Jest popularna?

– Ma sporo przyjaciół. Ciężko pracuje, wykazuje inicjatywę i zawsze jest gotowa do pomocy.

– Słodkie ciasteczko – rzucił z pogardą bosman.

– O tak, na sto procent.

– Wolałbym, żebyśmy nie mieli takich ludzi na pokładzie. Mogliby wieść szczęśliwe życie, dojąc gdzieś krowy. Po co oni wstępują do Floty?

– Żebyśmy mieli na kogo polować – odpowiedział Prinkin.

– To prawda. – Burdine uśmiechnął się. – Choć polowanie na kogoś takiego nie jest zbyt wielkim wyzwaniem.

* * *

Aby dotrzeć z warsztatu do administracji, Anseli musiała pokonać mnóstwo drabin, po których co chwila pędzili w dół jacyś oficerowie i grupy neurowspomaganych. Tak naprawdę wcale jej się nie spieszyło, ponieważ im dłużej przebywała z dala od sierżanta Prinkina, tym było jej lepiej, jednak stanie u podnóża drabiny nie było jej ulubionym zajęciem. Jej myśli znów wróciły do promu i bioskanera. Jeśli promy mogą zrzucić na powierzchnię planety desant... czemu nie mogą polecieć na dół puste i wrócić pełne? Ale jeśli nie dokonało się bioskanu, skąd można to wiedzieć?

– Z drogi!

Znowu przywarła do ściany, tak naprawdę nie widząc przemykających koło niej mundurów. A co by było, gdyby na tym statku byli ludzie nie należący do załogi?

Ale przecież wszyscy na planecie należą do Floty, więc to nie ma znaczenia, prawda?

Anseli wiedziała, że od szeryfów nie wymaga się myślenia, jedynie zapamiętania instrukcji z podręczników. Ale ją zawsze męczyło, jeśli wszystko nie było jasne. W jej bardzo uporządkowanym wszechświecie maszyny albo działały, albo nie. Bioskaner, który wykazywał obecność prawdziwych ludzi za ścianą, i to w sposób dający się zweryfikować, nie mógł nagle zacząć kłamać i zgłaszać obecność ludzi na promie, jeśli ich tam nie było! Ten sam skaner nie wykazał śladu ludzi, kiedy prom odlatywał... i ona wiedziała, że jest pusty. A skąd sierżant wiedział, że prom jest pusty, skoro bioskaner

twierdził, że jest na nim pełno ludzi?

Sierzanci wiedzą wszystko, ale... Zaczynała ją boleć głowa.

Tymczasem liczba członków załogi schodzących po drabinach wcale się nie zmniejszała. Nie ogłoszono alarmu, więc czemu ochrona statku biegnie w stronę doków promowych?

Zanim dotarła do administracji, w głowie brzęczało jej jak w ulu, a jedynym znanym jej sposobem poradzenia sobie z tym było zadawanie pytań. Ale bosman w administracji zrugął ją i przydzielił jej inną pracę. Jak ma się uczyć, skoro nikt nie chce odpowiadać na jej pytania?

* * *

Bonar Tighe zgłosił podjęcie promów i poprosił o pozwolenie na zadokowanie do stacji orbitalnej. Otrzymał je. Podobnie jak prośba o zgodę na przećwiczenie zrzutów, była to standardowa procedura, i Kontrola Ruchu przydzieliła *Bonar Hghe* priorytet dokowania na podstawie szacunkowego czasu jego przylotu. Zarządca stacji nie miał nic przeciwko opuszczaniu statków przez załogi za zgodą kapitana, więc przesłał im tylko okólnik informacyjny. Statki o masie *Bonar Tighe* nie mogą wykonywać mikroskoków tak blisko planety, więc krążownik musi cierpliwie lecieć po spirali, by dogonić stację, co zajmie mu kilka godzin.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Przed świtem Margiu Pardalt weszła na pokład dziwnie wyglądającego samolotu. Gdyby nie odprawy, nie miałyby pojęcia, że takie pojazdy w ogóle istnieją. Na Xavierze widziała tylko promy orbitalne, nisko latające samoloty i śmigacze. Lata na Akademii pozwoliły jej zapoznać się z pasażerskimi pojazdami suborbitalnymi w rodzaju tego, jakim przyleciała z Suchoziemi na wybrzeże. Jednak to dziwaczne skrzyżowanie samolotu z łodzią wyglądało jak pomysł jakiegoś szalonego naukowca: cztery silniki z wirnikami w solidnych gondolach na wysoko zamontowanych skrzydłach, a na końcach skrzydeł pływaki zwisające na długich prętach. Dolna część kadłuba miała nieco muszlowaty kształt z żebrowaniami kojarzącymi się jej z popękany szkłem. Aż trudno uwierzyć, że takie coś może latać.

Tym razem pojazd przewoził oprócz załogi tylko trójkę pasażerów. Jednym był siwowłosy major ze ściągniętymi ustami i rzędem baretek orderowych, wśród których rozpoznała nagrody za wydajną pracę. Najprawdopodobniej był z administracji. Przeszedł na czoło krótkiej kolejki czekającej w doku, jakby miał do tego prawo, po czym jako pierwszy wszedł na pokład, zagłębił się w fotelu w połowie kadłuba i natychmiast włączył lampkę i podręczny komputer.

Drugi pasażer zaprosił Margiu do środka teatralnym gestem, który doskonale pasował do jego wyglądu. W ostrym świetle portu jego skórzana kurtka płonęła jaskrawą żółcią, a metalowe dekoracje rzucały ostre błyski. Margiu weszła na pokład i zaraz omal się nie wywróciła, gdy zaskoczył ją łagodny przechył hydroplanu.

Wybrała fotel przy prawej burcie. Gdy się zapięła i podniosła wzrok, zauważyła, że mężczyzna przygląda się jej uważnie. Zdjął czapkę, odsłaniając siwe włosy otaczające łysinkę na czubku głowy; w tym świetle jego żółta kurtka wyglądała jak mundur w wersji jakiejś trupy teatralnej. Ramiona ozdobione były pierścieniami z zielonego sznura, a na kołnierzu lśnił rząd gwiazd. Pod kurtką miał zieloną koszulę; spodnie też były zielone.

– Mogę? – zapytał zdumiewająco ciepłym głosem. – Naprawdę jestem niegroźny.

Miała nadzieję na spokojny lot, a może nawet drzemkę, ale uprzejmość nakazywała wyrazić zgodę, więc kiwnęła głową.

Pojawił się dowódca załogi, żeby sprawdzić, czy wszyscy mają na sobie OKO i kamizelki ratunkowe i czy sprzęt ratunkowy znajduje się na swoim miejscu. Jak się okazało, mężczyzna w żółci nie założył kombinezonu, ale przebrał się bez słowa sprzeciwu, i to szybciej niż Margiu się spodziewała. Dziewczyna trochę latała między gwiazdami, ale jeszcze nigdy nad dużymi obszarami wodnymi, i teraz zaczęła sobie zdawać sprawę, że to poważna sprawa.

Pilot obrócił niezgrabną maszynę wokół osi, ożywił silniki i Margiu poczuła wgniatające ją w fotel przyspieszenie. Samolot zaczął przebijać się przez niskie fale

zatoki; rozbryzgi wody rozmywały światła na zewnątrz. Kilka chwil później byli już w powietrzu.

Oświetlona latarniami baza w Mrocznej Zatoce została w tyle, a w dole była już tylko ciemność. Gdzieś tam była także woda, niewidoczna, ale zimna i mokra. Margiu zadrżała. Ku jej uldze siedzący obok mężczyzna odsunął się trochę i niemal natychmiast zaczął pochrapywać. Gdy nadszedł świt i lecieli pod wysokimi chmurami, a woda w dole wyglądała jak olbrzymia płachta pomarszczonego jedwabiu, upstrzona nie zidentyfikowanymi plamami zieleni, błękitu i srebra, mężczyzna obudził się i posłał jej uroczy uśmiech.

– Mam nadzieję, że moje chrapanie nie przeszkodziło pani w drzemce – powiedział.

– Nie, sir.

– Nie jestem sir, madame. Jestem profesor Gustaf Aidersson, jeśli zechce pani poznać moje nieciekawe nazwisko, które wiąże się z nieciekawą pracą, o której nie wolno mi rozmawiać, bo inaczej oboje znaleźlibyśmy się w poważnych kłopotach. Może pani też nazywać mnie don Alfonso Dundee, wielce szanowny rycerz Zakonu Starej Ziemi, i możemy prowadzić przyjemną konwersację na dowolny temat.

– Przepraszam? – Nie miała pojęcia, o czym on mówi.

– Nie, to ja przepraszam. – Uderzył się teatralnym gestem w czoło. – Nigdy nie należy zajmować młodych dam przed śniadaniem dziwnymi opowieściami o dawnej mitologii. Słyszała pani o SPDS?

– Nie, sir.

– No cóż, to największy zbiór nieudaczników i odmieńców we wszechświecie, a skrót oznacza Stowarzyszenie Pielęgnacji Dawnych Sztuk, choć bardziej pasowałoby coś o świrze na punkcie historii. To dobra zabawa. Wpadliśmy na ten pomysł, gdy bogacze w Familiach pierwszy raz zainteresowali się starożytną historią i sztuką – na długo przed nastaniem pani czasów, milady – i pozwoliliśmy sobie na własną interpretację. Niech sobie ćwiczą z mistrzami szermierki taniec z szablami, tworzą dla siebie tytuły i wyobrażają sobie, że odtwarzają sceny z historii Starej Ziemi. Traktują to tak poważnie, że aż pozbawiają siebie przy tym dobrej zabawy.

Margiu słuchała płynącym nieustannym strumieniem słów i zastanawiała się, czy ten człowiek jest w pełni zdrowy na umyśle. Jego spojrzenie powiedziało jej, że złapał tę myśl w powietrzu, jakby była podrzuconą piłką.

– Zastanawia się pani, czy nie jestem stuknięty. Prawdę mówiąc, sam nie jestem pewien, a moja żona regularnie mi powtarza, że mam nierówno pod sufitem. Ale z drugiej strony faktem jest, że szaleństwo nie musi wykluczać geniuszu, a moje szaleństwo sprowadza się tylko do zanudzania na śmierć obcych ludzi, siedzących obok mnie w samolotach. Albo statkach kosmicznych. – Uśmiechnął się do niej tak promiennie, że Margiu odprężyła się.

– Co to za żółta kurtka? – zapytała.

– Dobre pytanie – odpowiedział tonem, który pozwolił jej uwierzyć w jego profesorski tytuł. – Była kiedyś taka kolonia planetarna – powstała podczas drugiej fazy kolonizacji ze Starej Ziemi – na której pojawiały się kolejne fale osadników. Nie umieli się ze sobą dogadać, więc oczywiście zaczęli walczyć. W tamtych czasach fabrykatory były dość prostymi urządzeniami i nie potrafiły wytworzyć żadnych ubrań, więc koloniści zaczęli używać skór hodowanego przez nich bydła. Ich barwa oznaczała przynależność do jednej ze stron. Moja kurtka jest dość wierną kopią munduru oficerskiego Missen-Asaya z czasów trzeciej wojny Missen-Asaya z Tangratami. Z wyjątkiem insygniów. Powinienem mieć małego drewnianego ptaka, ale nie mogłem go znaleźć przed wyjazdem – moja żona uważa, że musiałem go zostawić na ostatnim bankiecie po dekoracji – więc wziąłem po prostu gwiazdki z modelu okrętu kosmicznego. Także niezbyt dobrego; jednostki klasy Rose nigdy nie miały podwójnych baterii broni promienistej. Powiedziałem to Zachary’emu, kiedy pokazał mi model, a on obraził się na mnie i rzucił go w kąt, gdzie Kata odstawia brudne buty. Dlatego wiedziałem, gdzie znaleźć te gwiazdki, kiedy były mi potrzebne. Uznałem, że gwiazdki mogą nawet wywierać lepsze wrażenie, skoro mam podróżować z oficerami Floty, ale oczywiście jak tylko zobaczą tę żółtą kurtkę, z trudem powstrzymują się od śmiechu.

– Ale za dużo mówię o sobie. Proszę mnie walnąć w łeb, kiedy będę tak robił. Moja żona tak właśnie postępuje. Albo proszę mnie ignorować i wyglądać przez okno, jeśli pani woli. Widzę, że ma pani włosy dokładnie w takim samym kolorze jak moja bratanica, ale... Kim pani jest?

– Chorąży Margiu Pardalt – przedstawiła się dziewczyna. – Z Xaviera.

– Xavier! – Jego twarz rozjaśniła się, a jej serce zamarło. – Wie pani, analiza taktyczna ostatnich starć jest fascynująca. Bardzo zaimponowała mi kontrola ognia na statkach Benignity.

– Statki Benignity...

– Nie żebym nie szanował komandor... hmmm... Jak jej tam było?

– Serrano – podsunęła Margiu.

– Jednak sprawność sił Benignity była dużo lepsza od spodziewanej. Pojawiły się nowe informacje – nie z tej placówki, do której lecimy, tylko z bazy Copper Mountain – że ulepszyli jeden z naszych statków, który udało im się przejąć. Na przykład czas ładowania... Nie, nie wolno mi się w to zagłębiać. – Margiu widziała wysiłek, jakiego wymagało stłumienie tego entuzjazmu. – Wie pani co, porozmawiajmy o flotach morskich. Lecimy sobie właśnie nad wspaniałym wielkim oceanem, a założę się, że nigdy nie studiowała pani historii bitew morskich, prawda?

– Tylko troszkę – odpowiedziała Margiu. Zaczęła gorączkowo poszukiwać w pamięci, ale odnalazła tylko jedno słowo: Trafalgar. Nie pamiętała, czy było to

nazwisko admirała, statek, czy bitwa.

– Trafalgar – powiedziała.

– Oczywiście! – Mężczyzna rozpromienił się. – Faktycznie, była to wspaniała bitwa, ale chyba nieco zbyt odległa w czasie dla naszych celów. Zna pani zastosowanie zagłowej taktyki Nelsona w kolonialnych bitwach morskich?

– No... nie, sir.

– Proszę się przyjrzeć archipelagom Skinnera III. – Rozsunął ręce, jakby obejmował jakiś obszar geograficzny, a Margiu zaczęła się zastanawiać, czy powinna się przyznać, że nie wie, co to jest archipelag. Ale nie musiała. – To przynajmniej czterdzieści tysięcy wysp. Skolonizowanych ze względu na ich przydatność dla rolnictwa, ale jak zwykle niedofinansowanych i narażonych na piractwo. Mieli tam mnóstwo drewna, więc...

Komunikator Margiu ożył, więc wcisnęła klawisz odbioru.

– Chorąży... – Obejrzała się i zobaczyła, że drugi oficer prostuje się w fotelu. Spojrzał jej prosto w oczy. – Na Wyspach Czubatych pojawiły się jakieś problemy. Wygląda na to, że ktoś im zginął; przypuszczają, że jest gdzieś na morzu.

– Kto taki?

– Dowódca trzeciej bazy i jeden ze strażników, kapral. W hangarze samolotowym brakuje jednej tratwy ratunkowej i są ślady walki. Twierdzą, że kapral mógł zwariować i porwać dowódcę. W każdym razie przyłączamy się do poszukiwań. Nie mają tam żadnego pojazdu dalekiego zasięgu, a podejrzewają, że tratwa została porwana przez sztorm na zachód, do Prądu Północnego.

Margiu chciała powiedzieć, że dostała rozkaz niezwłocznego dostarczenia przesyłki dowódcy bazy, ale zrezygnowała z tego. Pilot wiedział, że jest kurierem, i jeśli ktoś tam w dole dryfuje na tratwie, z pewnością ma pierwszeństwo.

Znajdowali się przynajmniej o godzinę lotu od Czubków, ale Margiu nie mogła się powstrzymać przed skanowaniem morza w poszukiwaniu tratwy. Nie miała pojęcia, jak mogłaby wyglądać z tej wysokości...

* * *

Na morzu pojawiły się ciemne kropki.

– To Czubki – poinformował pilot. Margiu zobaczyła ogromne czarne skały, których wysokość nad poziomem morza trudno było ocenić z tak dużej wysokości. Samolot gwałtownie obniżył lot. – Nad Trzeci Czubek dolecimy za około godziny.

Góry wyglądały przerażająco: wysokie, z ostrymi szczytami, ponure. Czemu Flota postanowiła zbudować tutaj bazy?

Czytała na ten temat kostki, ale i tak wydawało jej się to niedorzeczne. Samolot

sunął przed siebie, a Czubki rosły i malały, pojawiały się i znikały... Według kostki w sumie było ich 98 widocznych w czasie przyprływu i 117 przy odpływie. Niektóre były tak małe, że nawet maleńki samolot nie mógłby wylądować na szczycie.

Zostawili Czubki za sobą i Margiu znowu zaczęła wpatrywać się w morze po swojej stronie samolotu.

– Sygnał! – krzyknął nagle pilot. – Mam sygnał z boi. I potwierdzenie z góry. – Samolot zakręcił, a Margiu ledwie wcisnęła swój żołądek z powrotem na miejsce. Kiedy przywarła czołem do okna, szkło wydało jej się zimniejsze niż wcześniej.

Major pierwszy zauważył rozbitków. Margiu usłyszała jego okrzyk, a zaraz potem pilot znów zawrócił maszynę. Teraz i ona widziała małą żółtą plamkę na szarzielonym morzu. Czy ktoś jest w środku? Żywy?

– Schodzimy w dół – poinformował pilot. Margiu mocno zacisnęła szczęki. Schodzą w dół? Czy coś jest nie tak z samolotem?

– Wszystko w porządku, chorąży – zapewnił major, patrząc jej w oczy. – Proszę pamiętać, że ten samolot może lądować na wodzie.

Margiu nerwowo wciągnęła powietrze. Tak, w osłoniętej lagunie, na płytkiej i spokojnej wodzie. Ale nie wiedziała, że samolot może wylądować na otwartym oceanie i nie utonąć. I nie była pewna, czy ma w to wierzyć.

– Założyć kaptury – rozkazał pilot. Margiu odpięła zwinięty wokół karku kaptur OKO i założyła go. Jeśli lądowanie jest tak bezpieczne, po co te środki ostrożności? Wsunęła też dłonie w rękawice i upewniła się, że haki na kostkach i nadgarstkach są zabezpieczone. Wyjrzała na zewnątrz. Byli już znacznie niżej i widziała, że powierzchnia oceanu marszczy się, a na falach unosi się jasnożółta mała tratwa.

– Czy to nie podniecające? – zapytał jej współtowarzysz. – Najwspanialsza przygoda, moje pierwsze lądowanie w wodnopłacie. – Wcale nie wyglądał na przestraszonego. Margiu była przerażona, choć nie miała zamiaru się przyznać. – Oczywiście jeśli zejdziemy na wodę zbyt szybko albo pod zbyt dużym kątem, możemy się rozbić, co byłoby bardzo smutne. Zobaczmy... Przyciąganie grawitacyjne tej planety wynosi 1,012 ziemskiego, a to oznacza...

Margiu zasłoniła uszy. Najchętniej zamknęłaby też oczy, ale nie mogła oderwać wzroku od powierzchni wody. Gładka z góry tafla z bliska nie wydawała się już tak spokojna. Potem zobaczyła fontannę wody za oknem i pasy bezpieczeństwa mocno wbiły jej się w ciało. Samolot zwolnił i usiadł na wodzie. Poczwała, jak falujący ocean zaczyna podnosić i opuszczać maszynę w leniwym rytmie. Wewnętrzny silnik po jej stronie wyłączył się. Przypomniała sobie, że w przypadku lądowania awaryjnego działają tylko dwa silniki z wylotami ustawionymi w taki sposób, by zminimalizować siłę podmuchu na tratwy ratunkowe.

Gdy wzniesli się na fali, dostrzegła w pewnej odległości żółty materiał pontonu. Poprzez ryk silnika przebił się głos pilota.

– Nie mamy aktualnych danych pogodowych – MetSat IV znów wysiadł – i choć w tej chwili wszystko wygląda spokojnie, nie zamierzam siedzieć na wodzie ani sekundy dłużej niż to konieczne. Będziecie robić dokładnie to, co każe wam mój szef załogi.

Szef załogi przywołał ich gestem. Profesor podniósł się z miejsca i przepuścił Margiu do przejścia między fotelami.

– Major, pan i chorąży będziecie musieli chwycić tę linę. Spokojnie.

Margiu owinęła sznur wokół osłoniętych rękawicami dłoni. Lina... Dla niej to był sznur, znany z codziennego życia na farmie. Stojący przed nią major zasłaniał jej widok, tak że widziała jedynie wodę i nic oprócz niej aż po horyzont. Pomimo kombinezonu zadrżała.

– Czemu nie przywiążemy po prostu liny do samolotu? – zapytał major.

– Sir, nigdy nie przymocujemy do samolotu czegoś takiego jak tratwa. Gdyby się wywróciła...

– To mała tratwa – przerwał mu major – i zrobiono ją tak, żeby się nie wywracała. Nie powinienem stać tutaj i trzymać tej głupiej liny.

– Racja, sir, proszę mi to oddać. – Szef załogi wziął linę od majora i podał ją Margiu i profesorowi.

Kłapa w tratwie otworzyła się i pojawiła się w niej głowa osłonięta kapturem OKO.

– Kim jesteście?! – krzyknął siedzący w środku człowiek.

– Bosman Stivers – przedstawił się szef. – A pan jest... tym zaginionym kapralem Meharrym?

– Zgłosili, że zaginałem? – Jego głos brzmiał dziwnie. Margiu widziała wysiłek na jego twarzy. – Miałem zginąć.

– Gdzie jest komandor Bacarion?

– Ona., jest... jest tutaj. – Meharry szerzej odsłonił klapę. Margiu nie widziała wnętrza tratwy, ale major zeszywniał.

– Ona jest ranna.

– Jest martwa, sir – wyjaśnił Meharry.

– Trzeba będzie przeprowadzić dochodzenie – zauważył major.

– Tak, sir. Ale najpierw...

– Żadnych „ale”, kapralu. Bosmanie... no... Stivers, niech pan aresztuje tego człowieka.

– Sir, on od kilku dni przebywa na tratwie. Potrzebuje opieki.

– Jest świadkiem, jeśli nie mordercą. Proszę natychmiast go aresztować, bosmanie.

– Najpierw musimy go wziąć na pokład.

– I zmarłą. Oraz tratwę.

– Sir, będę musiał zapytać pilota, oficera Balvana. Niełatwo będzie wciągnąć na pokład tratwę.

– Nie możemy zostawić tutaj cennych dowodów.

Pilot jednak miał inne priorytety.

– Po pierwsze, weźcie tego człowieka na pokład. Dryfuje już całe dnie w lodowatej temperaturze, i to cud, że jeszcze żyje. Majorze, niech pan trzyma tę linę. Profesorze, proszę wrócić na swoje miejsce.

Zgodnie z rozkazem pilota Margiu i major chwycili linę i owinęli ją wokół sterzącego w samolocie słupka. Pilot jakoś go nazwał, ale Margiu była zbyt zajęta trzymaniem naprężonej liny i przyciąganiem tratwy do samolotu, aby zapamiętać. Tymczasem drugi pilot i bosman pomagali kapralowi Meharry'emu wysiąść z tratwy i dostać się do samolotu.

Był wymizerowany i blady, ledwie trzymał się na nogach. Drugi pilot i bosman zanieśli go i ułożyli na dwóch fotelach. Profesor Aidersson zaczął coś mówić, ale przerwał mu major.

– Chorąży, proszę wejść na tratwę i przygotować ciało komandor do wyciągnięcia.

Margiu spojrzała na niego, ale powstrzymała cisnące się jej na usta pytanie „Ja, sir?”. Zerknęła na drugiego pilota w nadziei, że coś powie, ale on zajmował się kombinezonem kaprała.

Nigdy nie wyobrażała sobie, że będzie się wspinać do umazanej krwią tratwy na środku potężnego oceanu w celu wyciągnięcia ciała ofiary morderstwa. Ostrożnie przełożyła nogi nad napompowaną burtą i weszła do środka tratwy. Materiał uginał się pod jej stopami; czuła się bardzo niepewnie. Widziała już ludzkie trupy, i to nawet takie, które leżały kilka dni. Ale to było na stałym lądzie, w suchym i ciepłym klimacie rodzinnej planety.

Nigdy w życiu nie widziała jeszcze takiej ilości wody, a kołysząca się na środku oceanu mała tratwa z zimnym i sztywnym trupem bardzo ją przerażała. Spojrzała na samolot; wydał jej się znacznie za mały, by zapewnić jej bezpieczeństwo na tej otaczającej ją ze wszystkich stron wodzie.

Zaraz potem poczuła zapach; zimno spowolniło rozkład ciała, ale tkanina przeszła już przyprawiającym o mdłości smrodem ludzkich odchodów i śmierci. Kiedy tratwa zakołysała się na fali, Margiu z trudem zwalczyła wymioty. Najszybciej jak mogła odpięła zaczepy osłony i odciągnęła ją. Nawet spaliny samolotu były lepsze niż ten smród.

Ciało Bacarion... Próbowała nie patrzeć, zwłaszcza na strzępy twarzy. Ciało było ciężkie – kobieta była wyższa i potężniejsza od Margiu – i nie mogła go przesunąć.

– Niech się pani pospieszy, chorąży! – zawołał major. – Przepraszam, sir. – Pozbawiona tchu Margiu zmagala się z siatką, która utrzymywała ciało w miejscu.

Udało jej się wreszcie odczepić ostatni uchwyt i następny przechył spowodował, że ciało przeturlało się w jej stronę. Próbowwała je dźwignąć, ale dodatkowy ciężar spowodował, że elastyczna podłoga zapadła się i trup osunął się we wgłębienie. – Proszę ją owinąć liną, a my ją wyciągniemy – zaproponował profesor, który znów pojawił się we włazie samolotu.

– Niech pan nie będzie śmieszny! – krzyknął major. – Trzeba tylko podnieść ciało i przesunąć je...

– Nie, potrzebny jest kosz. Niech pani poczeka, chorąży. Zaraz wracam. – Bosman, który również pojawił się we włazie, znów zniknął w samolocie.

– Nie mam dobrego mniemania o pani pomysłowości – stwierdził major, a stojący za nim profesor mrugnął do niej. Znów pojawił się bosman trzymający w dłoniach pomarańczowy przedmiot przypominający długi koszyk. – Niech pani łapie, chorąży. – Rzucił go do środka tratwy. – Używała pani tego kiedyś? Nie? Cóż, niech pani wturla na to ciało, a potem przeciągnie nad nim te taśmy. – Odwrócił głowę do wnętrza samolotu i krzyknął: – Jeszcze chwileczkę, sir!

Margiu ustawiła koszyk obok ciała.

– Teraz niech pani przejdzie na drugą stronę i popchnie – polecił major.

– Nie, niech pani zostanie na miejscu – powiedział profesor. – Pani ciężar sprawi, że ciało samo się przeturla w tę stronę.

– Niech pan się w to nie miesza. – Major odwrócił się z gniewną miną do profesora.

– To prosta fizyka – odpowiedział tamten. – Dziecko by zrozumiało. Jej ciężar robi wgłębienie w podłodze tratwy, a ciało zsuwa się...

Łagodna fala podniosła tratwę w górę, a potem ją opuściła, i ciało wturlało się do koszyka. Margiu szybko zapięła zaczepy, a potem spojrzała na samolot. Pas ciemnozielonej wody oddzielającej ją od maszyny wyraźnie się poszerzył. We włazie stało dwóch kłócących się i wymachując rękami mężczyzn, a tymczasem lina gładko przesuwiała się między nimi. Przez chwilę poczuła atak paniki, tak silny, że nie mogła nawet krzyknąć.

– Durnie! – Bosman wskoczył między mężczyzn i chwycił linę. – Nie ciągnij! – krzyknął do Margiu. – Nie stracimy cię. – W chwili, gdy to mówił, koniec liny wysunął się i wpadł do wody. Znów ogarnęła ją panika, ale przypomniała sobie o linie przymocowanej do koszyka.

Z wnętrza samolotu dobiegł jeszcze jeden głos.

– Co tu się dzieje, Ker? Musimy wzbić się w powietrze jeszcze w tym stuleciu. Gdybyście tego nie zauważyli, fale przybierają na sile.

– Lina się wysunęła, sir. – Margiu zauważyła, że bosman tym razem nie odwrócił głowy. – Panie majorze, niech pan złapie linę, a potem pan, profesorze, i wciągnijmy ją tutaj.

Margiu sprawdziła zapięcia na koszyku, a potem zaczęła ciągnąć przyczepioną do niego linę. Coś mocno szarpnęło i rzuciło ją na dmuchaną burtę tratwy.

– Niech się pani pospieszy, chorąży – powiedział major. – Pilot chce wystartować.

– Tak jest, sir. – Znow poczuła szarpnięcie i upadła na śliską i śmierdzącą podłogę tratwy. Leżąc, wciągała linę do środka kawałek po kawałku, aż wreszcie tratwa stuknęła o kadłub samolotu.

– No dobrze, majorze. Gdyby puścił pan tę linę, sir, i złapał tę drugą...

Margiu starała się podnieść kosz ponad krawędzią burty, a major ciągnął za linę. Po kilku minutach ciało wreszcie znalazło się na pokładzie samolotu. Margiu wczołgała się w ślad za nim, czując, jak trzęsą się jej kolana. Samolot może i był maleńki w porównaniu z morzem, ale za to był znacznie solidniejszy niż tratwa ratunkowa. Podniosła się, mając nadzieję, że nikt nie zauważył jej strachu. Drugi pilot ruszył do przodu i wsunął się w swój fotel.

Pierwszy pilot odwrócił się i popatrzył przez ramię.

– Pospieszcie się. Nie podoba mi się wygląd horyzontu, a wciąż nie dostaję danych pogodowych z MetSata.

– Musimy jeszcze tylko wziąć na pokład tratwę – stwierdził major.

– Musimy wystartować, zanim dotrze tu szkwał – odpowiedział pilot. – A bosman mówi, że spuszczenie powietrza z tratwy i zwinięcie jej zajęłoby przynajmniej godzinę. Na dodatek jest mokra, więc groziłoby nam przeciążenie. Niech pan o niej zapomni.

– Do diabła, to jest dowód. – Major wyraźnie był wściekły. – No dobrze. Chorąży Pardalt zostanie na tratwie, aby zabezpieczyć dowody. Później zabierze ją następny samolot. Chorąży, proszę wracać na tratwę.

Margiu poczuła, jak żołądek zlatuje jej do pięt. Zostawić ją samotnie na oceanie przy zbliżającym się sztormie?

– Nie wydaje mi się... – zaczął profesor.

– Nie ma pan tu nic do powiedzenia – przerwał mu major. – Jest pan tylko cywilem. I tak narobił pan już dość kłopotów. Niech pan siada i się zamknie!

Brwi profesora powędrowały do góry i przechylił głowę na bok. – Widzę, sir, że jest pan bigotem.

– Chorąży, proszę wsiadać na tratwę i przygotować się do odbicia – powiedział major, nie patrząc na profesora. – Poinformujemy Poszukiwania i Ratunek, oni tu po panią przylecą.

Z kokpitu wyskoczył nagle pilot.

– Chorąży, niech pani siada. Pan też, profesorze. – Margiu szybko poszła za profesorem do kabiny. – Majorze, jeśli pan się nie zamknie, to pana wsadzę na tę tratwę. To ja dowodzę tą jednostką.

– Kiedy uzyskał pan swój stopień? – zapytał major. Widać było, jak gotuje się z

wściekłości.

– Jest pan tylko cholerną biurwą – odpowiedział pilot. – Nie jest pan oficerem liniowym ani moim dowódcą. Ma pan wybór: albo będzie pan siedzieć cicho, albo natychmiast wyjdzie pan przez ten właz, i nie obchodzi mnie, czy wyląduje pan na tratwie, czy w wodzie.

Margiu przyglądała się stojącym przy włazie ludziom. Czy major zdaje sobie sprawę, że stojący za jego plecami bosman jest gotów wypchnąć go na zewnątrz? Chyba nie, był zbyt wściekły na pilota.

– Złożę skargę do pańskiego dowódcy – oświadczył major, odwracając się. Margiu zauważyła, jak bardzo poczerwieniał, i spuściła wzrok. Wolą nie być świadkiem takiej sytuacji.

– Podobnie jak ja – stwierdził pilot. Bosman tymczasem zajął się już zwijaniem mokrej liny, którą tratwa była przyczepiona do samolotu. Potem zamknął właz, zabezpieczył go i zawiesił zwój kapiącej liny na kołku na ścianie. Ze swojego miejsca Margiu nie widziała tratwy, ale zobaczyła, że wylot silnika zmienia kierunek. Pojawiły się smugi błękitnego dymu, a potem rozbryzgi wody, gdy podmuch silnika zaczął smagać powierzchnię oceanu. Samolot zawrócił i poprzez fale wody zalewające okno mogła teraz zobaczyć jasnożółtą tratwę chwiejącą się na falach. Silniki ryknęły i samolot zaczął sunąć po wodzie, a po krótkiej chwili osiągnął prędkość startową i wznosił się w powietrze. Margiu obejrzała się. Żółta plamka była coraz mniejsza, a za nią widać było ciemną linię zbliżającego się sztormu.

Mogła teraz być tam na dole, kulić się na tej żalösnej, śmierdzącej tratwie, starając się przeżyć sztorm.

– Nie sędę, żebym polubił tego majora – stwierdził z niesmakiem profesor. – Nie można powiedzieć, żeby właściwie rozumiał priorytety.

Bezpieczniej było nie odpowiadać, zwłaszcza że jej żołądek buntował się wraz z każdą turbulencją.

– Dobrze się pani czuje? – zapytał profesor i zaraz sam sobie odpowiedział. – Nie, widzę, że nie. Proszę. – Przyłożył coś zimnego do jej policzka. – To plaster przeciwko mdłościom. Przykleiłem sobie taki, jak jeszcze się kłócili. Proszę zamknąć oczy i usiąść wygodnie; zadziała za jakieś pół minuty.

Margiu zaczęła liczyć, i gdy doszła do dwudziestu siedmiu, poczuła, że jej żołądek się uspokaja. Otworzyła oczy. Usłyszała, jak z tyłu major wymiotuje, ale nawet smród wymiocin nie zadziałał na jej żołądek. Profesor odwrócił się do mężczyzny.

– Majorze, proszę. Plaster przeciw mdłościom.

Nic nie mówiąc, mężczyzna wziął plaster.

– Należy zawsze być przygotowanym – stwierdził profesor i mrugnął do Margiu. – Mdłości nikomu nie pomagają w jasnym myśleniu i efektywnym działaniu. Lepiej pani?

– Tak – odpowiedziała i uśmiechnęła się niepewnie.

Gdy samolot ustabilizował lot, w interkombie rozległ się głos pilota.

– Wiem, że wszyscy macie pilne sprawy do załatwienia w bazach na Czubatych Wyspach, ale mamy parę problemów. MetSat IV nie działa, i to już od kilku godzin. Nie wiemy, jaka będzie pogoda, a dodatkowo pojawił się problem bezpieczeństwa na Trzecim Czubku.

Mogą sobie mówić, co chcą, ale wracamy do Mrocznej Zatoki.

– Idę zobaczyć, co mogę zrobić dla tego nieszczęśnika – rzekł profesor, odpinając pasy.

– Ale major...

– Nie ma nade mną władzy. Jak sam był nieuprzejmy zauważyć, jestem cywilem. A on nie jest oficerem, przed którym odpowiadam. Może wrzeszczeć, ale to wszystko. Zresztą... proszę spojrzeć. – Margiu odwróciła głowę. Major leżał rozwalony w fotelu i spał, z jedną ręką zwisającą nad pokładem. Profesor znów do niej mrugnął.

– Przeciw mdłościom są plastry i plastry – powiedział. – Będzie spał przez kilka godzin.

Uratowany kapral, zawinięty w koce z tyłu kabiny, wyglądał bardzo żałośnie. Jego twarz miała zielonkawy kolor. Tuż obok niego leżało przymocowane do pokładu ciało komandor.

– Co pan na to, aby dać mu plaster? – zapytał bosmana.

– Ja nie mam nic przeciwko temu. Widzę, że major spokojnie śpi..

– Mdłości są tak wyczerpujące... Proszę. – Profesor przyklepił plaster do policzka kaprala. – To powinno pomóc.

– Tak naprawdę potrzeba mu płynów i kalorii – zauważył bosman – jeśli jest w stanie utrzymać je w żołądku.

– Będzie mógł za minutę lub dwie – zapewnił profesor. – Jak pan to wszystko widzi?

– Straszny bajzel, sir. Ten facet to Meharry. Może to panu niewiele mówi, ale to rodzina, która przyniosła Flocie chlubę. Meharry są znani z tego, że zawsze są lojalni.

– Co, pana zdaniem, się stało?

– Nie wiem, sir. Major powiedział, żeby nikt z nim nie rozmawiał.

– Ale władza majora...

– No cóż, sir, on ma wyższą rangę. Tutaj dowodzi pilot, ale teraz jest zajęty samolotem i nie chcę mu zawracać głowy. Kiedy któryś z MetSatów wsiądzie, zawsze są problemy.

– Jak często to się zdarza?

– MetSat IV nawala od dwóch lat albo i więcej. Na Niebieskich Wyspach jest teraz jakiś nowy technik, który częściej utrzymuje go w ruchu, ale nawet jemu czasem nie wychodzi.

- Hmm... A od jak dawna on tam jest?
 - No... pewnie z osiemnaście miesięcy.
 - Czy MetSat IV to nasze łącze komunikacyjne?
 - Nie, to satelita ogólnego nadzoru. Od strony przestrzeni stanowi element pasywnych sensorów wokół planety, a od strony planetarnej to szerokozakresowy skaner optyczny i elektromagnetyczny. Gdyby działał, nie mielibyśmy na przykład problemu ze znalezieniem tej tratwy.
 - Ale jej nadajnik...
 - Ma bezpośredni sygnał do satelitów GPS, ale one nie są ustawione na skan optyczny. Nadajnik musi być włączony przez pasażera, po czym wysyła sygnał co dwie godziny. A przez dwie godziny można całkiem daleko zdryfować.
 - Niech mi pan powie, bosmanie, gdyby nie było tu tej tratwy i naszego lotu, a MetSat IV byłby nieczynny, czy ktokolwiek zauważyłby tutaj lądowanie?
 - Lądowanie, sir?
 - Lądowanie... na przykład promów z okrętu.
 - Na Copper Mountain? Cóż, Wielki Ocean to obszar treningowy, ale statek nie mógłby podejść tak blisko bez wykrycia go przez inne satelity, nawet gdyby MetSat IV nie działał.
 - A co z promami?
 - Gdyby znalazły się poniżej linii horyzontu... Przypuszczam, że nie ma tu nigdzie skanerów naziemnych. Ale czemu pan o to pyta?
 - Z całym szacunkiem dla Floty, bosmanie, ale jeszcze nigdy nie widziałem społeczeństwa samych świętych. Jeśli tylko można coś przeszmygłować i zarobić na tym, ludzie to robią.
- Bosman zaczerwienił się, ale po chwili szeroko się uśmiechnął.
- Cóż, sir, ma pan rację. Nigdy nie byłem na statku, który nie miałby na pokładzie przynajmniej jednego nielegalnego zwierzęcia, jednej osoby czy substancji.
 - A więc pytanie brzmi: co takiego szmyglowano, że brał w tym udział dowódca więzienia?
 - Nie wiem, sir.
 - Tak samo jak ja. Ale ponieważ i tak leciałem na Wyspy Czubate, naturalnie jestem tym zainteresowany. Szmygiel może iść w dwie strony – ludzi i przedmioty można dowozić i odbierać. Oczywiście przychodzi mi na myśl Placówka Badawcza Uzbrojenia.
 - Sir... – odezwał się kapral z wciąż bladą ale już nie zieloną twarzą. Głos miał słaby, ale mówił wystarczająco wyraźnie.
 - Potrzeba ci wody i jedzenia – stwierdził bosman. – Muszę powiedzieć pilotowi,

że jesteś w stanie mówić.

– Ja mogę mu coś dać – zaoferowała Margiu. Bosman podał jej samopodgrzewającą się zupę. Kiedy pasek ciepłny na opakowaniu doszedł do kropki na końcu, Margiu przystawiła tubę do ust kaprała.

Profesor poczekał, aż skończyła, po czym zapytał:

– Ma pan nam coś do powiedzenia?

– Tak, sir. Komandor Bacarion była uczennicą Lepescu. – Margiu poczuła nagły chłód.

– To nic mi nie mówi – przyznał profesor. – A wam? – Bosmanowi też nie, ale Margiu pokiwała głową.

– Admirał Lepescu używał więźniów jako zwierzyny łownej. Był członkiem tajnego stowarzyszenia, które organizowało polowania na ludzi. Używali ludzkich uszu jako znaków rozpoznawczych.

– Skąd pani to wie?

– Czytałam o komandor Heris Serrano – z powodu Xaviera, bo to moja rodzinna planeta, a ona nas uratowała – i dowiedziałam się, że po tym, jak zrezygnowała ze stanowiska, jej załoga została skazana i użyta jako zwierzyna. Przeczytałam więc wszystko, co mogłam, na temat Lepescu. Jest pan pewien, że Bacarion była jego człowiekiem? Myślałam, że wszyscy zostali aresztowani.

– Tak. Powiedziała mi to wprost, kiedy drugi raz próbowała mnie zabić.

– Drugi raz?

– Tak, pierwszy raz kazała zepchnąć mnie z urwiska. – Kapral Meharry zakaszał. – Wspomniała pani o komandor Serrano; moja siostra, Methlin Meharry, była w jej załodze. Była tutaj więziona, a potem na nią polowano. Ale przeżyła i wróciła do Floty. Kiedy więc dowiedziałem się, że Bacarion należała do personelu Lepescu, domyśliłem się, że coś knuje. Zacząłem węszyć, ale mnie dorwała. Ale to nie była tylko jej prywatna zemsta. Jestem pewien, że coś planowała, ale nie byłem w stanie dowiedzieć się co.

– Jednak teraz, skoro już o tym wiemy... choć jeszcze nic konkretnego...

– Więźniowie! – wykrzyknął Meharry. – Lepescu używał więźniów jako ofiar. A może ona chciała wykorzystać ich inaczej, jako żołnierzy?

– I co z nimi zrobić? – zapytał bosman.

– Nic dobrego – stwierdził profesor. – Może chciała ich sprzedać komuś, kto by na nich polował, a może planowała użyć ich do polowania na kogoś.

– Musimy o tym komuś powiedzieć. – Sądząc po wymianie spojrzeń, wszyscy pomyśleli o tym samym.

– Tak, ale komu? – Bosman potrząsnął głową. – Naszemu pilotowi ufam, ale wy go nie znacie. Prawdę mówiąc, mnie też nie znacie.

– Teraz już trochę za późno, żeby się o to martwić – zauważył profesor. – Ale ma

pan rację, pilot musi wiedzieć. I musi poinformować tylu ludzi, ilu tylko się da. Nie organizuje się dużego spisku w tak małej bazie jak Trzeci Czubek. Podejrzewam, że jest w to zamieszanych wiele osób.

– Bardzo wiele, jeśli byli w stanie wyłączyć MetSata IV – stwierdził bosman. – Użycie promów oznacza obecność spiskowców na statkach, na przykład wśród pilotów promów i oficerów na mostku.

– A jeśli faktycznie zabrali więźniów? A potem zaatakują stację orbitalną? Zyskaliby kontrolę nad całą planetą...

– I systemem obrony – dodał profesor. – Oraz nad laboratoriami badawczymi. Niezły początek, gdyby ktoś chciał wywołać bunt.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Gdy Margiu wraz z pozostałymi wylądowali w Mrocznej Zatoce, potwierdziły się ich najgorsze przypuszczenia.

– Przejęli stację orbitalną – powiedział im jakiś rozgniewany major. Zimny wiatr szarpał nogawkami jego spodni, gdy stał na nadbrzeżu. – Przekazaliśmy wasze ostrzeżenie do góry, ale już było za późno. *Bonar Tighe* zabrał na swoje promy skazańców z Trzeciego Czubka i uzbroił ich, wykorzystując jako grupy uderzeniowe. Myślimy – mamy nadzieję – że ktoś na stacji wysłał wiązkę i uruchomił alarm ansiblowy, ale nie jesteśmy pewni. Buntownicy odcięli z góry całą komunikację i kontrolują stamtąd system obrony. Wiemy o sześciu innych statkach w układzie; czy ktoś ma ochotę zgadnąć, ile z nich ma na pokładzie buntowników? – Nikt się nie odezwał.

– Co teraz możemy zrobić? – zapytał pilot.

– Cholernie mało. Polacek w głównej bazie oczywiście ogłosił stan wyjątkowy, ale na planecie nie mamy żadnych statków zdolnych do skoku, nawet najmniejszych. Nie mamy też pocisków, które mogłyby zestrzelić stację czy którykolwiek z okrętów w przestrzeni. Ugrzęźliśmy w studni grawitacyjnej. Jak ja nienawidzę planet!

Margiu słyszała to już wcześniej od wielu oficerów Floty, ale ona osobiście cieszyła się, że stoi na czymś solidnym.

– Myśli pan, że spróbują dokonać inwazji? – zapytał profesor.

– Nie wiem. – Major wzruszył ramionami. – Kto wie, co zrobią? Nie odzywają się do nas. Schrońmy się gdzieś i opowiedzcie mi, co jeszcze wiecie. Czy uratowany przez was kapral potrzebuje opieki lekarskiej?

– Nie, sir, mogę chodzić. – Kapral Meharry wciąż był blady, ale w miarę pewnie stał na nogach.

– Dobrze. Bosmanie, zabezpieczcie samolot. Przygotowałem już transport ciała. Będziemy potrzebowali od was oświadczeń. Gdzie jest ten wasz major?

– Przypuszczam, że wciąż nie do końca jest przytomny – rzekł profesor. – Obawiam się, że mogłem mu podać silniejszy plaster przeciw mdłościom niż to było konieczne. Jeśli można, chciałbym porozmawiać z dowódcą bazy.

Margiu spojrzała na niego ze zdziwieniem. Dopóki nie wiadomo było o buncie, był spokojny i radosny, ale teraz jego twarz zmieniła się w ponurą maskę. Zauważył jej wzrok i uśmiechnął się, ale w jego uśmiechu nie było wcześniejszego ciepła.

Major zaprowadził ich do biura dowódcy bazy. Komandor Ardsan patrzył na nich w milczeniu przez dłuższą chwilę.

– To nie wasza wina, ale bardzo żałuję, że nie dowiedziałem się o tym godzinę wcześniej – powiedział wreszcie. – Nawet godzina mogłaby dać nam szansę.

Margiu poczuła się winna, ale profesor najwyraźniej nie.

– Nonsens, sir – powiedział. – Godzinę temu zmagaliśmy się z trupem, rozbitkiem i nadciągającym szkwałem... i bardzo wątpię, żeby ta godzina coś dała. Buntownicy musieli mieć swoich ludzi na stacji, tak samo jak na Trzecim Czubku.

– Zapewne ma pan rację – odpowiedział Ardsan. – Ale to takie denerwujące. Nie mamy nigdzie łączności naziemnej, a z powodu buntowników kontrolujących górę nie możemy niczego wysłać przez satelity. – Przesunął kostkę danych po biurku. – Mamy tylko radio naziemne krótkiego zasięgu, ale mogą je przechwycić z góry. Odcięli nam też informacje pogodowe, co utrudni nam latanie z bazy do bazy. Polacek chce, żeby wszyscy zebrali się w głównej bazie, ale moim zdaniem będziemy tylko świetnym celem dla wroga.

– Jest pan pewien jego lojalności? – zapytał profesor.

– W tej chwili nie jestem nikogo pewien. Nigdy nie myślałem, że coś takiego może się wydarzyć, tak samo jak zaszokował mnie ten cały bałagan na Xavierze.

– Myślę, że teraz musimy się zastanowić, jakie podjąć działania – stwierdził profesor. – Mam na myśli bardzo konkretny problem. Jestem specjalistą od uzbrojenia; leciałem na Drugi Czubek w celu skontrolowania postępu niektórych badań. – Podał Ardsanowi swój identyfikator. – Oczywiście będzie pan chciał sprawdzić mój poziom dostępu.

– Oczywiście – wymamrotał Ardsan. Obrócił się na fotelu i wsunął kartę do szczeliny w czytniku kostek. – Cóż, jest w porządku – rzekł i zbladł. – Nie sądzę, żebym spotkał już kogoś – zerknął na Margiu i odwrócił wzrok – z tak wysokim poziomem dostępu.

– Zapewne nie – zgodził się profesor. – Tak się składa, że jest tam produkowana broń, która nie może wpaść w ręce buntowników. A byłbym bardzo zdziwiony, gdyby okazało się, że w tamtej bazie nie ma uczestników buntu.

– Czemu pan tak sądzi?

– Z jakiego innego powodu wszczynaliby bunt właśnie tutaj, w tym układzie? Czemu nie spotkali się w jakimś spokojnym miejscu na uboczu, gdzie nie groziłoby im wykrycie? Założę się, że gdyby komandor Bacarion nie zginęła i wszystko poszłoby zgodnie z planem, jeden z tych promów zabrałby ludzi i broń z Drugiego Czubka. Proponowałbym bardzo starannie sprawdzić kartoteki stacjonujących tam ludzi.

Ardsan zmarszczył brwi.

– Nie mamy takich możliwości, profesorze. Mogę sprawdzić, kto jest dowódcą, ale to wszystko. Nie jestem nawet pewien, czy mogę wyciągnąć listę personelu. Przez buntowników kontrolujących naszą łączność nie mamy nawet dostępu do teczek personelu w głównej bazie, a w Mrocznej Zatoce nie trzymamy ich kopii.

– Rozumiem. – Przez chwilę profesor stukał palcami w kolano. – Cóż, komandorze, na pańskim miejscu wysłałbym tam żołnierzy w celu zabezpieczenia bazy.

– Ale... jak?

– Już raz tam lecieliśmy. Nie możemy polecieć jeszcze raz?

– Ale nie mamy danych pogodowych; odcięli nam dostęp do satelitów meteorologicznych.

Profesor nachylił się do przodu.

– Komandorze, mówię panu, że jeśli nie zabezpieczy pan bazy i nie powstrzyma buntowników przed przejęciem broni, będzie pan żałował tego do końca życia, które prawdopodobnie nie potrwa zbyt długo. Teraz może się zdarzyć kilka rzeczy. Możemy tam polecieć, ale nie dotrzeć i rozbić się na morzu. Możemy tam polecieć i – jeśli bierze w tym udział wielu ludzi – mogą nas zestrzelić, jeśli nas zauważą. Możemy się tam dostać i nie być w stanie zabezpieczyć bazy, choć wierzę, że nie dojdzie do tego, jeśli wyśle pan tam dość ludzi. Możemy się tam dostać i przejąć bazę, a buntownicy na górze wyślą oddziały i nas pokonają... ale jeśli będziemy mieć dość czasu, zniszczymy przynajmniej najgorszą broń. Albo możemy wreszcie siedzieć tu beczynn timer i zginąć, bez szans na ratunek. – Wyprostował się. – Osobiście uważam to za najgorszą opcję.

– Ja... powinienem się skontaktować z komandorem Polackiem.

– Nie, komandorze, nie powinien pan. Sam pan powiedział, że nie jest pewien jego lojalności. Wie pan, że łączność jest spalona. Zna pan moje uprawnienia.

– On ma rację – odezwała się Margiu, zaskakując samą siebie. – Jeśli mamy tam wrócić, musimy to zrobić, zanim wyślą na dół promy.

Ardsan spoglądał to na jedno, to na drugie, marszcząc brwi. W końcu westchnął. – No dobrze. Niech pomyślę. Potrzebujemy środka transportu, który może wylądować na Drugim Czubku i przewieźć żołnierzy. – Sięgnął po komunikator. – Bosmanie, niech pan sprawdzi, co mamy na temat personelu Drugiego Czubka. I proszę podać mi informacje o naszych siłach bezpieczeństwa.

– Czy w tej bazie stacjonują jakieś ciężkie transportowce? – wtrącił się profesor.

– Mamy pojazdy o dużej ładowności, które latają wzdłuż brzegu, ale nie chcemy ich wypuszczać nad otwarty ocean. Jeśli zawiedzie zasilanie, toną jak kamień. Dlatego właśnie używamy wodnopłatów.

– Ile czasu może upłynąć, zanim buntownicy wyślą na dół promy?

– Zależy od tego, czy stacja ma jakieś promy krótkiego startu i lądowania gotowe do drogi. Zwykle promy wymagają dłuższych pasów startowych, a na planecie są tylko cztery odpowiednie lądowiska, z czego dwa wyłącznie na sytuacje awaryjne. Promy z *Bonar Tighe* oczywiście mogą tam wylądować, ale wymagają uzupełnienia paliwa i przeglądu, a to potrwa przynajmniej kilka godzin. A inne statki? Nie wiem, które z nich mają promy szturmowe i czy są gotowe do zrzutu. A i wtedy, jeśli okręt nie zszedłby naprawdę nisko, promy potrzebowałyby kilku godzin – tak naprawdę nie wiem ilu – żeby tu dolecieć. Jeśli wystrzelili dodatkowe promy natychmiast po przejęciu stacji, buntownicy mogą już być na wyspie. Albo, jeśli mają opóźnienie, mogą tam wylądować

dopiero jutro lub pojutrze.

– A czas lotu dostępnych tu pojazdów?

– W zależności od kierunku i siły wiatru – nie mamy teraz satelitów meteo – pięć, sześć godzin. Nie potrafię dokładnie powiedzieć.

W drzwiach pojawił się poborowy.

– Sir, na Drugim Czubku przebywa trzynastu cywilnych naukowców, pięciu oficerów i dwudziestu jeden poborowych. Dowódcą jest komandor porucznik Vinnet. Mamy piętnastu neurowspomaganych marines i trzydziestu zwykłych plus policja bazy.

– Dziękuję. – Ardsan skrzywił się. – Dość, by próbować tam się dostać, ale za mało, by sobie poradzić, ale jeśli wyślę wszystkich z Mrocznej Zatoki, nie będzie miał kto bronić tutaj ludzi... – Potrząsnął głową, jakby chciał uporządkować myśli. – Dobrze, przynajmniej wiemy coś konkretnego. Profesorze, przypuszczam, że będzie pan chciał lecieć.

– Oczywiście. Należy rozmontować broń, a naukowcy i inżynierowie mnie znają.

– Chorąży, ponieważ profesor wydaje się pani ufać, przydzielam mu panią do pomocy. Potrafi pani używać broni?

– Tak jest, sir. – Jako dziewczynka chodziła na polowania, i wiedziała, że jest dobra w strzelaniu, co potwierdzały jej wyniki na strzelnicy.

– Dobrze. Każę zbrojmistrzowi wydać wam broń. Chcę, żeby trzymała się pani profesora jak rzep i pilnowała jego pleców. Na wypadek, gdyby któryś z wysłanych przez nas ludzi nie był tak lojalny, jak nam się wydaje.

– Tak jest, sir.

– Profesorze, będziemy potrzebowali trochę czasu na zatankowanie transportera, odprawę dla załogi i zebranie oddziału. Lepiej niech pan coś zje i odpocznie. Chorąży, pani także. Ale proszę się go trzymać, zrozumiano?

– Tak jest, sir. – Nagle uświadomiła sobie, że jest bardzo głodna i zmęczona i że będzie musiała wrócić nad ten zimny i mokry olbrzymi ocean... po ciemku.

W mesie, gdzie jadła posiłek razem z profesorem, usłyszała ciekawą rozmowę.

– To ta cholerna sprawa z odmładzaniem – stwierdził starszy bosman. – Nie trzeba stratega z tytułem admirałskim, żeby zobaczyć, co się dzieje z karierą ludzi poniżej wieku odmładzania. Od dziesięciu czy piętnastu lat, kiedy zaczęli odmładzać starszych podoficerów, jest coraz mniej promocji. W końcu nie po to wydaje się tyle pieniędzy na odmłodzenie kogoś, żeby potem wysłać go na emeryturę, no nie? A ludzie, którzy czekają na zajęcie ich stanowisk, widzą, że nie będą mieli szansy. Pewnym rozwiązaniem jest ekspansja, ale do tego potrzeba dużych sił kosmicznych.

– Ale, bosmanie... żeby od razu bunt?

– Nie, nie od razu. Pojawiły się plotki, że coś poszło nie tak z odmłodzeniami podoficerów, a niektórzy ludzie – nie ja – wręcz twierdzą, że spieprzono to celowo. Ale

przede wszystkim mamy zbyt wielu staro-młodych admirałów, którzy nie chcą, żeby poborowi zaczęli myśleć.

– No, to już nie ma sensu – wtrącił się profesor. – Starsi poborowi to podstawa każdej sprawnej organizacji wojskowej. Zawsze tak było. – Znamy z historii przypadki, gdy popełniono ten błąd. Nadmiar kadry oficerskiej...

– Cóż, pracowałem kiedyś w rekrutacji kadr – odezwał się inny bosman. – Byłem wtedy jeszcze młodszym sierżantem. Widziałem prognozy zapotrzebowania na oficerów i rekrutów; przynajmniej wtedy planiści wiedzieli, że potrzeba więcej bosmanów niż admirałów. Nie sądzę więc, żeby świadomie sabotowali program odmładzania bosmanów.

– Ale ktoś to zrobił. Pamiętacie bosmana Wanga? Musieliśmy go cały czas pilnować, bo inaczej wsadziłby nit do dziury na śrubę i kazał wszystkim robić to samo. Nigdy nie widziałem niczego takiego, i muszę przyznać, że nie było to przyjemne.

– Ale mówiono o jakimś wirusie mózgu czy czymś takim, co złapał w czasie wyprawy w góry na ryby.

– Tak wtedy mówili, ale kiedy dostaliśmy tę dyrektywę o wycofaniu z aktywnej służby odmładzanych bosmanów do czasu przeprowadzenia badań lekarskich, od razu o nim pomyślałem. Oczywiście wtedy był już na emeryturze z powodów zdrowotnych, ale zapytałem Paula w szpitalu i powiedział, że to prawdopodobnie problem nieudanego odmłodzenia.

– Dzięki takim odmłodzeniom ludzie z dołu mogliby awansować... – powiedział cicho sierżant. – Nie żeby ktoś mógł celowo zrobić coś takiego...

– Może nie wiedzieli, jakie będą skutki. Pamiętam, jak kiedyś dałem sarri, ulubieńcowi mojej matki, ciasteczko, a on dostał konwulsji i zmarł. Nie miałem pojęcia, że one nie mogą jeść naszego pożywienia. Ale skutek był taki sam, jakbym go celowo otruił.

– To prawda. Nigdy nie należy tłumaczyć złośliwością czegoś, co może być wynikiem głupoty. Równie dobrze mógł to być skutek próby obniżenia kosztów przez zaopatrzenie lub producenta.

Margiu nie wiedziała nawet, że część personelu Floty poddawano odmładzaniu. Jakoś nie potrafiła sobie przypomnieć, żeby ktoś na Akademii o tym wspominał. Ciekawe, czy wśród obecnych na sali jest ktoś odmłodzony. I jak to można stwierdzić?

Kiedy profesor skończył jeść, dotknął jej ramienia.

– Chorąży, lepiej odpocznijmy, póki możemy. Czy pamięta pani, gdzie komandor Ardsan pozwolił nam się przespać?

Margiu pokazała przydzielony im pokój; najwyraźniej była to kwatera jakiegoś oficera, oddana im na kilka godzin. Skorzystali po kolei z prysznic i przebrali się w czyste ubrania. Jednak zanim zdolali usnąć, komandor poinformował ich, że transportowiec jest gotów.

* * *

Tym razem profesor założył OKO, a na wierzch swoją żółtą kurtkę.

– Moi przyjaciele ją rozpoznają – zauważył.

– Ale w ten sposób będzie pan świetnym celem. – Misją dowodził major, który wyszedł im na spotkanie na nadbrzeże. Margiu poznała jego nazwisko – Antony Garson. Samymi żołnierzami dowodził porucznik Lightfoot.

– To prawda, ale jeśli mamy lądować w obecności wroga, przynajmniej nasza strona będzie wiedziała, kim jestem. Margiu, która ustawiła swoje OKO na kolor granatowy, czyli standardowy kamuflaż nocny, dostrzegła zdziwione spojrzenie majora. Potem wzruszył ramionami i poszedł sprawdzić resztę grupy. Choć było dopiero popołudnie, gruba warstwa chmur i deszcz sprawiły, że wydawało się, iż jest znacznie później.

* * *

Zanim znów zbliżyli się do Wysp Czubatych, dzień przeszedł w ciemną noc. Przez całą drogę mieli nad sobą chmury, które ich chroniły, ale Margiu uważała, że lot między dwiema połaciami szarości jest bardzo nieprzyjemny. Po zachodzie słońca w transporterze nie zapalono żadnych świateł – z powodów bezpieczeństwa, jak jej powiedziano – ale wszędzie wokół siebie czuła obecność potężnych neurowspomaganych. Profesor usnął, chrapiąc równie rytmicznie, jak za pierwszym razem; Margiu oparła się ostrożnie o jego ramię, także pozwalając sobie na drzemkę. Obudziła się, kiedy maszyna zanurkowała w dół. Wyjrzała przez okno w noc.

– Uch! – Profesor obudził się, niemal dławiąc się ostatnim chrapnięciem. – Widać coś?

– Nie, wszędzie jest czarno. – Jak mają wylądować? Co będzie, jeśli rozbiją się o Drugi Czubek, zamiast na nim wylądować? Czuła, jak transporter obniża lot, a w uszach co chwila pykało jej na skutek zmian ciśnienia.

Potem gdzieś w mroku pojawił się promyk światła. Potem kolejny.

– Światła – powiedziała do profesora.

Gdy podlecieli bliżej, okazało się, że światła wyznaczają położenie pasa startowego i oświetlają pobliskie budynki. Wszystko wyglądało tak normalnie...

Transporter wylądował twardo, odbił się i złapał nawierzchnię, a potem zahamował tak, że Margiu poleciała do przodu. Zamiast podjechać do jednego z jasno oświetlonych budynków, maszyna zjechała na bok blisko końca pasa startowego. Neurowspomagani zerwali się na równe nogi zaraz po wylądowaniu. Margiu, której nikt

nie dał żadnych rozkazów, pozostała na miejscu. Oboje z profesorem mieli słuchawki ustawione na tę samą częstotliwość. Obok nich zatrzymał się kolejny transportowiec, i jeszcze jeden. W ciemności rozświetlanej tylko słabym światłem pasa startowego Margiu widziała sylwetki wysiadających z samolotów żołnierzy.

Potem ktoś otworzył właz ich maszyny i do środka samolotu wdarło się zimne morskie powietrze. Ktoś rzucił cicho rozkaz i żołnierze zaczęli wychodzić w noc. Głos majora Garsona w słuchawce brzmiał spokojnie.

– Profesorze, proszę teraz wyjść razem z chorążym. – Profesor podniósł się z miejsca, a Margiu poszła w jego ślady.

Na zewnątrz było chłodniej, ale nie aż tak ciemno. Margiu mogła odróżnić profesora od innych dzięki jego nieco jaśniejszej kurtce. Zaciągnęła kaptur kombinezonu, by ochronić się przed zimnem. Cienka czerwona linia wskazała im drogę; okazało się, że ktoś włączył celownik laserowy. Czuła pod stopami szorstką powierzchnię płyty startowej. Czy to jest bezpieczne? Nikt jeszcze nie strzelał, a żołnierze zdawali się wiedzieć, dokąd idą. Nie była pewna, gdzie podziały się pierwsze oddziały; nie było ich już widać.

– Na razie jest bezpiecznie, profesorze – usłyszała w słuchawce głos majora. – Niech pan wejdzie do środka.

Margiu bardziej wyczuła niż zobaczyła marines prowadzących ich w kordonie ochronnym do jednego z budynków obok pasa startowego. Drzwi otworzyły się, wypuszczając smugę żółtego światła. Zamrugła, ale w przyjaznym świetle widziała tylko idących z nimi żołnierzy i ciemną noc wokół.

Wewnątrz był major Garson i rozmawiał z komandorem porucznikiem. Obaj wyglądali na spiętych i niezadowolonych. Przy wyjściu stali uzbrojeni strażnicy. Margiu spojrzała na siedzących z boku cywilów, jak przypuszczała, naukowców.

– O Boże, to faktycznie Gussie – powiedział jeden z nich. – W tej brzydkiej żółtej kurtce i z uroczym rudzielcem do towarzystwa.

– To nie jest uroczy rudzielec do towarzystwa, to chorąży Pardalt. – Profesor kiwnął w jej stronę. – Okażcie trochę szacunku, to bardzo inteligentna młoda dama.

– To znaczy, że ty gadałeś do woli, a ona nie protestowała – stwierdził inny mężczyzna, posyłając Margiu uśmiech. – Jestem Helmut Swearingen.

– Kiedy nie pokazałeś się tu dziś rano, Gussie, a ci ludzie przejęli stację, baliśmy się, że zostałeś schwytany – zwrócił się do profesora.

– Jak dużo zrobiliście?

Jeden z mężczyzn skrzywił się i kiwnął głową w stronę oficerów siedzących przy drzwiach.

– Nic. Gdy tylko usłyszeliśmy – a Ty słuchał radia, próbując dojść, gdzie jesteś, więc usłyszeliśmy od razu – poszedłem do dowódcy bazy i powiedziałem mu, że powinniśmy zacząć rozmontowywać to, nad czym pracujemy, i niszczyć dokumentację.

Nie zgodził się; upierał się, że musimy czekać na rozkazy, że podlegamy dyscyplinie Floty. Powiedział nawet, że my też możemy być buntownikami. Trzymał nas w tym pokoju pod strażą...

– Jaki on jest? – zapytał cicho profesor.

– O wszystko się martwi. Jego jedyną zaletą jest to, że ma wykształcenie techniczne, więc przynajmniej rozumie to, co robimy. Dostał nawet wyższy stopień i studiował z Bruno w Instytucie Gradusa. Ale trzyma się ściśle przepisów; twierdzi, że nie pozwalają mu podejmować żadnych niezależnych decyzji odnośnie do obecnej sytuacji.

– Nie mamy czasu do stracenia. Jak się nazywa?

– Alcandor Vinet.

Dwaj oficerowie patrzyli teraz na siebie ponurym wzrokiem. Profesor podszedł do nich.

– Przepraszam – rzekł. – Komandor Vinet? Jestem profesor Aidersson, spodziewałem się pan mnie tego ranka.

– Spóźnił się pan, profesorze – odpowiedział Vinet – ale oczywiście jest to zrozumiałe w tych warunkach.

– Tak, i skoro już tu dotarłem, przejmuję dowodzenie nad jednostką badawczą. Musimy zabrać się do kasowania plików, zanim buntownicy będą mogli...

– Nie może pan tego zrobić – zaprotestował Vinet. – To nie podlega dyskusji. Nie dostałem żadnych rozkazów z dowództwa.

– W tych okolicznościach... – zaczął profesor.

– On ma najwyższy poziom dostępu i autoryzację – wtrącił się Garson. – A ja mam rozkazy z Mrocznej Zatoki, nakazujące panu pełną współpracę.

– Mroczna Zatoka nie znajduje się w mojej strukturze dowodzenia – stwierdził Vinet. – A pan nie ma wystarczająco wysokiego stopnia, majorze. Zresztą skąd mam wiedzieć, czy wszyscy nie jesteście buntownikami?

– Wszyscy? – Profesor uniósł brwi. – To interesująca hipoteza, ale czy ma pan jakieś dane na jej poparcie? Czemu buntownicy chcieliby uniemożliwić innym buntownikom dostęp do zaawansowanego uzbrojenia? Bardziej jestem skłonny podejrzewać kogoś, kto próbuje zachować nie tkniętą broń aż do czasu jej przejęcia.

Vinet zaczerwienił się.

– Oskarża mnie pan o to, że jestem buntownikiem?

– Absolutnie nie – odpowiedział profesor. – Wykazuję tylko, że odmowa wykonania bardzo rozsądnych sugestii moich kolegów albo rozkazów, które ja panu wydałem, mogłaby zostać źle zrozumiana w przyszłym dochodzeniu.

– To śmieszne! Ta instalacja jest niezwykle cenna, a sam sprzęt jest...

– Bezwartościowy dla Familii, jeśli dostanie się w niewłaściwe ręce. Gorzej niż

bezwartościowy. Rozumie pan to?

– Oczywiście, ale nie ma dowodów, że buntownicy chcą tu przylecieć. Mogą nawet o tym nie wiedzieć.

– Zakłada pan, że są głupi? Nie jest to najlepsza metoda traktowania wroga. Komandorze, obawiam się, że muszę nalegać na pańską współpracę.

Margiu zauważyła znak, jaki Garson przekazał żołnierzom. Podobnie Vinet.

– No dobrze, ale umieszczę w raporcie informację, że złożyłem stanowczy protest. Gdyby nie to, że wpadliście tutaj z przeważającymi siłami, trafilibyście za te bzdury do aresztu.

– Dziękuję – powiedział uprzejmie profesor. – Doceniam pańską chęć współpracy.

Potem zaprowadził Margiu z powrotem do grupy cywilów.

– Gussie, mamy pomysł – powiedział jeden z nich. – Moglibyśmy zamontować... – Ściszył głos i Margiu słyszała teraz tylko mamrotanie. – A potem zaatakować buntowników.

– Użyć tego na planecie? – Profesor zacisnął wargi. – To ciekawe... Właściwie mogłoby zadziałać, gdybyśmy mieli czas. Czy macie wystarczającą ilość materiałów na zmontowanie odpowiedniej osłony?

– Tak, jeśli rozmontujemy parę innych rzeczy. Aha, Ty pracowałeś nad włamaniem się do ich systemu komunikacji, zanim Vinet wyciągnął go z centrum komunikacyjnego i przyprowadził do nas.

Profesor zerknął na Margiu.

– Chorąży, usłyszysz pani tutaj wiele rzeczy, których pani nie powinna słyszeć. Radziłbym, żeby zapomniała pani o nich najszybciej jak to możliwe. Ma pani wykształcenie techniczne?

– Nie, choć w dzieciństwie montowałam różne potrzebne rzeczy. Podstawowa elektronika i stolarka...

– No cóż, to się może przydać. Chodźmy teraz do laboratoriów.

Rozpoczęli od krótkiego spotkania w sali wyglądającej jak pomieszczenie rekreacyjne; pod jedną ścianą stał rząd programowalnych dystrybutorów jedzenia, a wzdłuż pozostałych podniszczono krzesła i fotele oraz stoły. Na jednym stole leżał na wpół wykończony dziecięcy model stacji kosmicznej. Margiu nigdy nie podejrzewała, że naukowcy bawią się takimi rzeczami. Ktoś szybko odsunął go w odległy róg.

– Czym dysponujemy w zakresie komunikacji? – zapytał profesor. – Ty?

Z grupy wystąpił drobny człowieczek z grzywą czarnych włosów.

– Oni mają satelity, ale możemy połączyć się z kontynentem za pomocą czegoś, co udało mi się zmontować. Chcę im tam wysłać specyfikację, żeby mogli szybko zbudować własnego satelitę. Podłączenie się do komunikacji buntowników będzie trudniejsze, bo oni mają możliwość korzystania z ciasnych wiązek. Ale transmitowali

także poza tymi wiązkami – podejrzewam, że do swoich ludzi na dole – i mogę to przechwycić, jeśli będę miał dostęp do sprzętu. Mogę zmontować emiter wiązkowy, jeśli dacie mi jakąś godzinę – muszę tylko przekonfigurować moduły z jednego z laboratoriów – ale nie mamy do kogo tego wysłać.

– A co ze skanem? Czy możemy wykryć cokolwiek ponad atmosferą?

– Cóż, tylko to, co znajduje się nad linią horyzontu. Knurri miał teleskop z automatycznym śledzeniem, ale zabrał go ze sobą na urlop.

– Potrzebujesz kogoś do pomocy?

– Nie, raczej nie. Jest tu jeden przyzwoity wojskowy technik, którego mógłbym wykorzystać, ale boję się, że buntownicy mogą mieć w bazie agentów.

– Dobrze. Chorąży, odprowadźcie Ty z eskortą do baraku komunikacyjnego, dobrze?

Miała wprawdzie pilnować profesora, ale to zadanie wymagało tylko podejścia do drzwi. Na zewnątrz bowiem czekał porucznik Lightfoot, który wezwał dwóch neurowspomaganych, aby poszli z Ty.

– Dobrze. Cole, powiedziałeś, że masz jakiś pomysł?

– Tak, razem z Jenem uważamy, że można by ustawić wielkoluda na działanie ziemia-przestrzeń. Próbowaliśmy wymyślić najlepszy sposób namierzenia i śledzenia celu...

– Jakiego celu?

– No cóż... Jesteśmy prawie pewni, że możemy zestrzelić stację orbitalną i wszystkie zadokowane tam statki. Jakies dalsze obiekty byłoby trudniej bez skanów satelitarnych.

– A ja myślę, że moglibyśmy to zrobić – odezwała się kobieta. – Gdybyśmy zestrzelili stację, a potem podłączyli do nas satelity...

– Ile potrzebujecie godzin? – zapytał profesor.

– Sześć czy siedem na zamontowanie broni, ale potrzeba będzie sporo ludzi.

– Możemy nie mieć sześciu czy siedmiu godzin – powiedział profesor. – Musimy wiedzieć, czy tu lecą i jak szybko. Jen, jak wygląda skan atmosferyczny? Czy możemy podpiąć się do danych satelitarnych?

– W tej chwili nie. Mamy tu tylko radar starego typu do wykrywania i kierowania ruchem powietrznym oraz mały lokalny skaner pogodowy. Ich zasięg jest tak mały, że nie zdołalibyśmy wykryć nadlatujących promów wystarczająco wcześnie, żeby cokolwiek zrobić. Do tej pory nie potrzebowaliśmy niczego więcej, bo mieliśmy satelity do szerszego skanu. Naprawdę musimy mieć te satelity, a w tym celu trzeba złamać ich blokady. Nie będzie to łatwe i zajmie sporo czasu.

– Którego, powtarzam, możemy nie mieć. Bob, co z projektem Zed?

– Działa.

– Naprawdę działa?

– No tak. Gdyby to był statek, a nie wyspa, mógłbym wcisnąć klawisz i nigdy by nas nie znaleźli. To bardzo duży postęp w stosunku do wcześniejszych modeli. Niestety, ponieważ to jest wyspa, łatwo ją zlokalizować, niezależnie od tego, jaką chmurą się otoczymy.

Margiu ze zdumieniem odkryła, że mówią o nowym sprzęcie pozwalającym stać się niewidzialnym.

– Czy można tego użyć do ukrycia naszej ucieczki transporterem? Gdybyśmy zabrali dane i uciekli na kontynent?

– Przypuszczam, że tak. – Mężczyzna zamyślił się. – Nie wypróbowaliśmy go na pokładzie samolotu. Jaki udźwig mają te maszyny?

– Zapytam. – Profesor zerknął na Margiu, a ta znów podeszła do drzwi, aby przekazać pytanie Lightfootowi. W tym czasie rozmowa zeszła na techniczne tematy, których nie rozumiała, ale gwałtownie ucichła, gdy ktoś zapukał do drzwi.

– Wejść! – zawołał profesor.

W drzwiach pojawił się Ty.

– Odkryłem dwie rzeczy. Pierwsza to log z zapisami transmisji przychodzących na naszą wyspę z Trzeciego Czubka pięć dni temu. Od komandora Bacarion. Myślę, że ktoś tutaj jest na jej żołdzie.

– Najprawdopodobniej – zgodził się profesor. – Co jeszcze?

– Transmisja z orbity na stację; przyszła przed chwilą. Do komandora porucznika Vineta.

– Do Vineta! Nigdy bym się nie spodziewał, że będzie brał w tym udział – rzekł Swearingen. – To taki maruda. Odpowiedziałeś na nią?

– Nie, tylko potwierdziłem odbiór, używając tego samego kodu, który zapisano w odpowiedzi na wcześniejsze. Ale przyjrzałem się jej...

– Nie była kodowana? – zapytał ktoś.

– Była, ale kod był prosty i nietrudno było go złamać. Przekazali Vinetowi, że przylecą tu za dzień czy dwa i żeby się nie martwił. Chcieli zapobiec wysłaniu ze stacji alarmu. A więc nikt oprócz nas nie ma pojęcia, co się tu dzieje.

– Musimy jakoś wysłać ostrzeżenie! – wyrwało się Margiu.

Profesor spojrział na nią.

– Ma pani rację, chorąży. I nie możemy dopuścić, by ci na górze odkryli naszą obecność. Musimy mieć czas na wysłanie wiadomości i zniszczenie tego, czego nie możemy uratować.

Margiu zauważyła, że nic nie powiedział na temat bezpiecznej ucieczki.

– Będziemy potrzebowali żołnierzy, którzy z tobą przylecieli, Gussie, żeby nas ochraniali.

- Racja. Ty, czy twój strażnik wrócił razem z tobą?
- Nie, zostawiłem go tam, żeby pilnował sprzętu.
- Chorąży, będziemy potrzebowali majora Garsona. – Margiu przekazała to Lightfootowi, który oddalił się pospiesznie, a po minucie pojawił się Garson.
- Wysłuchał raportu Ty, marszcząc czoło.
- W takim razie aresztuję Vineta. Zastanawiam się tylko, ilu ludzi ma po swojej stronie.
- A ja jestem ciekaw, ilu zdrajców jest wśród pańskich ludzi – powiedział profesor.
- Mam nadzieję, że nie ma żadnego – odpowiedział Garson. – Czy możecie zająć się całą resztą?
- Możemy zbudować nadajnik wiązkowy o mocy wystarczającej, aby dotrzeć do statku w układzie. Możemy zbudować skaner do zlokalizowania takiego statku i zniszczyć bardziej delikatne prototypy i dokumentację. Ale na to wszystko potrzeba czasu, majorze. Jest nas tylko czternastu, a niektóre zadania są tak specjalistyczne, że może się nimi zająć tylko jedna osoba. Lepiej więc bierzmy się do dzieła. – Kiwnął głową do Garsona i major wycofał się. Profesor odwrócił się do grupy. – Jedna rzecz mnie martwi.
- Tylko jedna? – zapytał Swearingen, uśmiechając się.
- Jeśli nie wiedzą, że tu jesteśmy, nie będzie im się spieszyć z przylotem tutaj... ale kiedy zniknie warstwa chmur, będą chcieli się przyjrzeć, i wtedy zobaczą nasze transportowce.
- Moglibyśmy wysłać je z powrotem – zaproponował Swearingen. – Ale wtedy bylibyśmy tu uwięzieni. Zresztą na czułym skanerze podczerwieni i tak byłoby widać ślady ciepłe.
- Jeśli chcecie ukryć maszyny przed skanem – odezwał się Bob – możemy to zrobić Zedem. Ustawimy go po prostu na te parametry. Będzie to niezły test...
- Ale jeśli zawiedzie, to nie tylko dowiedzą się, że tu jesteśmy, ale dowiedzą się też o istnieniu Zeda.
- Można go rozmontować i zniszczyć znacznie szybciej niż wielkoluda – odpowiedział Bob.
- Ile nam zostało godzin ciemności? I czy ktoś ma pojęcie, jaka jest pogoda? – Profesor rozejrzał się po grupie.
- Lokalny wschód słońca będzie jutro o 8:13, ale oczywiście jeśli się przejaśni, to i wcześniej będzie trochę światła.

Elizabeth Moim

- Nie mamy satelitów meteo... ale zawsze możemy wyjść na zewnątrz i popatrzeć.

Kiedy otworzyli drzwi, okazało się, że czeka tam oddziałek żołnierzy. Profesor kazał Ty wrócić do centrum komunikacyjnego, i połowa oddziałku poszła z nim. Reszta naukowców wyszła na zewnątrz, aby przyjrzeć się pogodzie. Wiał zimny, wilgotny wiatr. Margiu trzymała się blisko profesora, podnosząc wzrok tylko po to, by sprawdzić, czy nie widać gwiazd.

– Nie potrafię tego ocenić – powiedział w końcu profesor. – Bob, idź i ustaw Zeda tak, aby osłonił samoloty. Zaczniemy rozmontowywać inne rzeczy...

– Profesorze... – Zbliżył się do nich major Garson. – Nie możemy znaleźć Vineta i kilku jego ludzi. Chcę, żebyście wszyscy wrócili do środka, do czasu, aż ich znajdziemy.

– To może zająć całe dni – odezwał się Swearingen. – Niektóre laboratoria znajdują się pod ziemią i łączy je sieć tuneli.

– Ty jest w baraku komunikacyjnym – powiedział profesor. – Ma ochronę, ale...

Nastąpił błysk światła, a zaraz potem rozległ się głośny huk. Jeden ze stojących na pasie startowym samolotów płonął, rozświetlając płomieniami dolne warstwy chmur.

– Świetnie – powiedział Garson. – Mogą to zobaczyć wprost przez chmury. Idźcie do środka i uważajcie na siebie.

– Gdzie jest porucznik Lightfoot? – zapytała Margiu.

– Nie wiem, nie odpowiada na wezwania. – Kolejny jasny błysk oświetlił twarz majora, a powietrze wypełnił grzmot następnej eksplozji. – Chorąży, przestawcie wizjer OKO na wzmacnianie i zabierzcie stąd cywilów. Ta żółta kurtka jest świetnym celem.

Margiu sięgnęła do kontrolki kombinezonu i przez pomyłkę ustawiła je tak, że jej strój zmienił kolor na srebrzysty, a potem znów na ciemnoniebieski. Wreszcie odnalazła właściwy zestaw przycisków i zamiast ciemnych chmur i ognia zobaczyła krajobraz namalowany przez kogoś wielbiącego odcienie bursztynu i pomarańczy. Wokół poruszały się małe pomarańczowe postacie. Płonący ogień wyglądał na czarny. Gdy jej wzrok się przyzwyczaił, zauważyła, że profesor oznaczony jest zielonym trójkątem, podobnie jak otaczający ich marines.

Potem przez jej pole widzenia przemknęła turkusowa krecha, przesuwająca się po ramieniu profesora ku jego głowie. Margiu rzuciła się na niego i podstawiła mu nogę; upadli razem na ziemię w momencie, gdy pocisk przeleciał nad nimi i trafił jednego z neurowspomaganych. Żołnierz zatoczył się, a wszyscy marines padli jak jeden mąż.

– Cel namierzony – powiedział ten obok Margiu. Dziewczyna odwróciła głowę i zobaczyła, że pomarańczowa postać ma nad głową czerwony kwadrat. Któryś z marines wystrzelił i postać padła. Margiu podniosła głowę, ale marine szybko ściągnął ją na dół. – Jeszcze nie, chorąży. Mogą być inni.

– Są straty? – rozległ się w komunikatorze głos Garsona.

– Nie, sir. To tylko strzały z broni ręcznej, nie przebiły zbroi.

Cywile są nieuszkodzeni.

– Kto pilnuje góry?

– Turak i Benits, raport!

I – Żadnej aktywności na dachu, sir, nic.

– Zabierzmy ich do środka.

Neurowspomagani utworzyli podwójny rząd pancerzy, a cywile ostrożnie przeczołgali się między nimi do budynku, ale nikt już nie strzelał. Margiu jeszcze raz się obejrzała; pomarańczowa postać wciąż leżała tam, gdzie padła. Potem pojawiła się siatka turkusowych linii wychodzących z różnych miejsc i zbiegających się na antenie centrum komunikacyjnego. Wychyliła się, by spojrzeć, ale marinę znowu ściągnął ją w dół.

– Chce pani dać się zabić? – zapytał kobiecy głos.

– Nie, ja tylko...

– Właź do środka, zostań tam i pilnuj profesora!

Margiu poszła za innymi do pozbawionego okien pokoju wypoczynkowego.

– Co robią? – zapytał Swearingen.

– Myślę, że próbują zniszczyć antenę – odpowiedziała. – Jest pod tą kopułą na budynku komunikacyjnym, prawda?

– Tak, i jeśli im się uda, nie będziemy w stanie użyć wiązki komunikacyjnej, nawet jeśli zbudujemy do niej urządzenie.

– Czemu wiązki? – zapytała Margiu.

– Ma większy zasięg, niesie więcej danych. Myślę, że moglibyśmy nawet sięgnąć do ansibla układowego, gdybyśmy mogli go namierzyć, i poinformować innych.

– Ale... czy zwykły nadajnik nie wypuściłby znacznie bardziej rozproszonych fal, które miałyby większe szanse ostrzeżenia statków nie biorących udziału w buncie?

Profesor zamyślił się.

– Ma pani na myśli staromodne nadawanie radiowe?

– Tak. Jeśli mamy dość mocy...

– A taką antenę znacznie łatwiej zrobić. Może uratowała pani więcej niż tylko moje życie, chorąży.

* * *

OSK *Vigor* wyszedł z punktu skokowego idealnie według przepisów. Mimo że wiedzieli, iż wchodzi w bezpieczny system, nie należało zachowywać się bez troski. Nikt z załogi nie narzekał; Satir był dobrym kapitanem, a jego konsekwentne trzymanie się przepisów do najdrobniejszych szczegółów już nieraz ratowało ludziom życie.

Vigor zwolnił, by przeskanować system obrony, mimo że nadajnik pokładowy automatycznie poinformował system o jego tożsamości. W miarę jak redukowali prędkość, oficer komunikacyjny odbierał jedną wiadomość za drugą, ledwie na nie zerkając; kapitan żądał wydruków, nawet jeśli potrzeba było na to mnóstwo papieru. Podał wiadomości gońcowi, aby zaniósł je Satirowi. Ten siedział w napięciu, przyglądając się skanerom.

– Byłem w Copper Mountain już osiem razy, ale nigdy nie widziałem tu tylu dużych jednostek. Zastanawiam się, co się tutaj dzieje. Tony, ogłoś alarm bojowy, ale nie uaktywniaj broni. – Na całym statku rozbrzmiały alarmy, a na aktywnych panelach sterowania rozblęły kolorowe światła. Satir zerknął na leżące na kolanach arkusze papieru. Kłopoty. Poważne kłopoty.

– Sir, odbieramy dziwny sygnał. Musi go pan sam zobaczyć.

– Czemu dziwny?

– Bo nie jest na zwykłych częstotliwościach. Jest emitowany z powierzchni, ale nie spójną wiązką; wygląda to tak, jakby nie dbali o to, kto go odbierze. Ale rozproszył się w szumie systemowym.

– A przekaz?

– Jest nie kodowany; twierdzą, że w Copper Mountain doszło do buntu. Buntownicy przejęli stację orbitalną i kontrolują system obrony. Błagają, żeby ktoś poinformował o tym Flotę.

Kapitan Satir spojrział na oficerów na mostku. Jeśli to kawał, a on potraktuje go poważnie, może to zakończyć jego karierę. Ale jeśli to nie jest wygłup...

Kiedy tak się wahał, na panelach skanu rozblęły całe rzędy światełek.

– Celują w nas! – wykrzyknął oficer skanu. – Namierzają nas...

– Cała naprzód, znajdźcie korytarz i wejdźcie w skok – rozkazał Satir. – Uciekajmy stąd, póki jeszcze możemy. – *Vigor* dysponował odpowiednią prędkością i właściwym kątem, więc żaden ze statków w głębi układu nie mógł ich dogonić; był nawet gotów do skoku na oślep, jeśli by okazało się to konieczne. System obrony obejmował pewne fragmenty przestrzeni, których oni łatwo mogli uniknąć. – Wykonać dodatkowe kopie wszystkich danych skanu i spróbować przesłać je do ansibla systemowego. Mogli go przeprogramować, ale warto spróbować.

Cztery dni później *Vigor* znalazł się w zasięgu ansibla w innym układzie i wysłał zestaw awaryjnych poleceń kontrolnych, po czym wyemitował wszystkie zebrane przez skan dane.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Sirialis Długa i wysoka sala mogłaby pomieścić dwadzieścia par szermierzy, i nieraz tak się zdarzało. Ściany nad lustrami miały kolor bladozielony, a złożony gzyms pod sufitem pasował do ram luster. Rząd balkonowych okien na wschodniej ścianie wychodził na różany ogród. Tego ranka otworzyło się tylko kilka róż – wczesna odmiana o białych jak gwiazdy kwiatach – ale ich aromat wypełniał całe pomieszczenie. Pośrodku wypolerowanego parkietu znajdowała się ciemnozielona plansza.

Miranda zakończyła ćwiczenia rozciągające i wybrała floret treningowy. Ćwicząc przed lustrami, widziała, że Pedar wciąż się jej przygląda. Wykonywała riposty gładko, lecz nie szybko, szukając rytmu, który najlepiej by jej odpowiadał. Tymczasem Pedar skończył ćwiczenia, ale nie wziął broni, tylko dalej stał i na nią patrzył. Spojrzała w jego oczy w lustrze, po czym się odwróciła.

– Co? Coś źle robię?

– Nie, moja droga. Myślałem o tym, jak uroczo wyglądasz, i jak w ogóle osobliwie wyglądasz piękna kobieta trzymająca w dłoni śmiertelną broń.

– To? – Miranda roześmiała się, dotknęła osłoniętego czubka floretu i zgięła bez trudu klingę. – Trudno byłoby tym kogoś zabić.

– To prawda, ale widziałem już w twoich rękach bardziej sztywne klingi.

Miranda skrzywiła się.

– Byłam wtedy młodsza.

– Byłaś mistrzynią kobiet we florecie... Nigdy nie zapomniałem, jak wdzięcznie wyglądałaś tamtego dnia.

– Miałam szczęście, Berenice zabrakło tchu; zawsze podejrzewałam, że miała grypę. Zazwyczaj mnie pokonywała.

– Mimo wszystko gdybyś w dawnych czasach miała w dłoniach żywą stal, nie wątpię, że byłabyś wspaniałym przeciwnikiem.

– Potraktuję to jako komplement – powiedziała Miranda. – Zaczynamy?

Nawet się nie poruszył.

– Chciałbym cię o coś prosić.

– Tak? O co?

– Widziałem, że masz tu w holu starą kolekcję Bunny'ego. Wiem, że nigdy nikomu nie pozwalał jej ruszać, ale jak myślisz, czy moglibyśmy spróbować?

Haczyk z przynętą zadziałał znacznie szybciej niż się spodziewała. Zmarszczyła brwi.

– Ależ, Pedarze, to jest stara broń. W niektórych przypadkach nie znam nawet jej wieku.

– Gdybym tylko mógł ją potrzymać i poczuć...

– Nie wiem nawet, czy należy do mnie – powiedziała Miranda. – Jest tutaj, bo przywiózł ją Bunny, ale to dziedzictwo jego rodziny. Sam powiedziałaś, że powinnam być uczciwa w stosunku do Harlisa.

– Harlis nie musi o tym wiedzieć. To po prostu... Najstarsza stal, jaką dotąd trzymałem w rękach, to był ten antyk Georga, wiesz który.

– Och, tamten starość. – Miranda prychnęła. – Cokolwiek mówi George, on nie ma więcej niż dwieście lat. Ta broń jest znacznie starsza.

– Wiem, dlatego cię poprosiłem. Mogę? – Przechylił głowę i złożył dłonie jak grzeczne dziecko.

– Przypuszczam, że to jej nie zaszkodzi, jeśli będziemy ostrożni. – Prowadząc go korytarzem, Miranda czuła, jak jej bezpiecznie ukryty za białą bluzą puls przyspiesza.

Otworzyła gablotę i odsunęła się. Pedar wyjął, tak jak się spodziewała, duży pałasz z ciężkim, zdobionym koszem. Przesunął kciukiem po klindze i pokiwał głową.

– Wciąż...

– Bunny mówił, że wciąż nadaje się do użytku – powiedziała Miranda. – Ale nie chciał ryzykować, że się złamie. Nie ma go czym zastąpić.

Pedar chuchnął na klingę, a potem wytarł ją rękawem. – Popatrz na ten wzór, to stal damasceńska! A to brzmienie... – Postukał paznokciem i klinga cicho zadzwoniła. Miranda mimowolnie zadrżała. Pedar odłożył broń na miejsce i wziął inną. – Nie wiesz, jak bardzo są stare?

– Bunny zawsze mówił, że ta szpada jest najstarsza, a zaraz po niej rapier. Twierdził, że to możliwe, iż pochodzą ze Starej Ziemi, z czasów, kiedy ich normalnie używano. – Używano do zabijania, tak, jak ona chciała ich dzisiaj użyć.

– To zdumiewające. – Pedar odłożył rapier i wziął szerokie, zakrzywione ostrze, którego nie potrafiła nazwać.

– A to?

– Nie wiem. Wygląda jak przyrząd do siekania bardzo dużych ziemniaków.

Mężczyzna zachichotał.

– Tak, to nie jest broń dla artysty. Może to broń kata z bardzo krwawej epoki. – Znów wyciągnął rękę, tym razem do floretu. – No dobrze, ten odpowiada ci masą? – Poglądził klingę i zgiął ją. – Nie jest tak elastyczny jak ten, którego używasz, ale zapewniam cię, że jest wystarczająco lekki.

– Prawdopodobnie, ale ja wciąż czasami ćwiczę cięższą bronią. – Musiała być uczciwa. Musiała go ostrzec i pozwolić, by to jego własna głupota wystawiła go na niebezpieczeństwo.

– Walczmy tą bronią, a nie nowoczesną.

– Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł. Nie wiem, co pomyśleliby...

– Pomyśleliby? Jacy oni? Przecież zapadł wyrok na twoją korzyść. Komu miałyby to przeszkadzać?

– Nie wiem, ale co będzie, jeśli klinga się złamie? A Harlis odwoła się od wyroku i okaże się, że zniszczyłam cudzy majątek?

– Nie musi wiedzieć. Nie jest szermierzem i pewnie nigdy nie zwracał uwagi na broń. Zresztą... wyjaśnię mu, że to był mój pomysł. – Pedar kiwnął w stronę hełmów. – Słuchaj, zrobmy to tak, jak należy. Użyjmy tylko starego sprzętu, również masek. – Zawsze lubił oryginalnie wyglądać; na balach, na których inni ubrani byli tradycyjnie, on nosił wyszukaną odzież. – Ale...

– Tylko ten jeden raz. Nikt nas nie zobaczy. Proszę. – Znów przechylił głowę z proszącym wyrazem twarzy i złośliwy uśmiechem. – Założę się, że zawsze miałaś na to ochotę, nieprawdaż?

Miranda uśmiechnęła się.

– Prawdę mówiąc... zdarzyło mi się kiedyś zabrać stąd ten floret. – Wskazała na broń w jego rękach. – Świadomość, że trzyma się w dłoni coś starego, czego używali ludzie, których już dawno nie ma na świecie...

– Taaak... – Pokiwał głową, przeciągając sylabę. – Tak myślałem. Tak samo jak podoba ci się stara porcelana czy biżuteria. Ludziom, którzy nie doceniają takich rzeczy, powinno się zabronić ich używać. A więc spełnisz moją zachciankę, Mirando?

Rozejrzała się, jakby chciała sprawdzić, czy nikt nie patrzy.

– No dobrze, jeśli któryś uszkodzimy, a Harlis się o tym dowie... Jak mówiłeś, on nie fechtuje, więc nawet nie potrafiłby mnie za to zabić.

– Cóż, moja pani, wybierz broń. – Pedar zaprosił ją teatralnym gestem, aby podeszła do gabloty.

Miranda wyciągnęła rękę, ale cofnęła ją, jakby nie była pewna, a w końcu wybrała klingę, którą właśnie odłożył, najdłuższy z floretów z obciążoną w celu zbalansowania głowicą. Pedar wziął taki sam floret.

– Bawmy się do końca – powiedział. – Do takich ostrzy jak te powinniśmy mieć odpowiednie hełmy. Od dawna wyobrażałem sobie siebie w jednym z nich; kazałem nawet płatnerzowi wykonać kopię, ale to nie to samo. – Przymierzył jeden hełm, potem drugi, aż wreszcie znalazł odpowiedni. Miranda doskonale wiedziała, że pozostałe mają pod wyściółką niewygodne grudki.

Uniosła brwi.

– To może być niebezpieczne, Pedar. Klingi są mocne, a te stare metalowe osłony...

– Wytrzyma niezbyt mocny cios, a jeśli nie będę potrafił obronić swojej twarzy, to kiepski ze mnie szermierz. Chodź, moja droga. Jeśli się boisz, możesz założyć zwykłą maskę, ale mnie pozwól na tę fanaberię. Jedyne, co może uderzyć w moje oczy, to twoja

uroda.

Tylko tego trzeba jej było, by rozwiać resztki odczuwanej do niego sympatii. Mogłaby go zastrzelić na miejscu, ale nie zamierzała stawać przed sądem za zamordowanie mordercy.

* * *

Po powrocie do sali oboje założyli osłony na czubki kling, a potem Pedar wyszedł z cienia i stanął w smudze światła. Biała postać w błyszczącym złotobrazowym starym hełmie... Miranda nie widziała jego twarzy. Z wnętrza jej maski świat skurczył się do pasa szermierczego i stojącego przed nią przeciwnika. Czy on widzi jej twarz? Pozwoliła sobie na lekki uśmiech.

Uniosła broń w salucie, a on uczynił to samo. Potem się zbliżył.

Zaczęli od formalnego wstępu – tak zwanych „Palców” – stworzonego przez mistrza szermierki Eduardo Callina dwa wieki wcześniej. Pozwalało to szermierzowi otwierającemu pojedynkę przekazać swoje intencje za pomocą dotknięć. Ostrze Mirandy zastukało energicznie, by zasygnalizować brak jakichkolwiek intencji, ale Pedar przesunął swoje wzdłuż jej ostrza – a przynajmniej próbował – pokazując, że dla niego to starcie jest metaforą zalotów.

Miranda zacisnęła mocniej usta i stłumiła wybuch gniewu. Musi zachować spokój. Przy czwartym dotknięciu czubek jej floretu trochę się zachwiał – propozycja została zauważona, ale jeszcze nie odrzucona. Być może ona zastanawia się nad nią. W piątym dotknięciu Pedar próbował wykonać spiralę wokół jej ostrza, ale nie pozwoliła na to, choć go nie zbiła. Sygnalizowało to nieśmiałość, ale nie odrzucenie.

Potem nastąpiła zamiana rąk na pięć kolejnych dotknięć. Czubek jego broni kontynuował spiralę w silniejszej próbie zalotów. Miranda pozwoliła swojemu ostrzu opaść w dziewiątym, przedostatnim dotknięciu. Niepewność. To ostatnia rzecz, jaką czuła, ale miała nadzieję, że on właśnie to będzie odczuwał przed końcem. Potem nastąpiło dziesiąte dotknięcie, oznaczające koniec tej części. Oboje zrobili krok w tył i przełożyli broń z powrotem do prawej dłoni. Wykonali ukłon i salut i wkroczyli w następną fazę. Miranda zaprezentowała całkiem zwyczajne otwarcie w czwartym dotknięciu, a Pedar je zaakceptował. W przyjacielskim starciu, takim jak to, nie było pośpiechu, więc przez jakiś czas krzyżowali klingi w prostych kombinacjach atak-odpowiedź.

– Jesteś taka wdzięczna – powiedział Pedar głosem stłumionym przez maskę.

– A ty taki szybki – odpowiedziała Miranda; chciała sprawiać wrażenie, że brakuje jej tchu.

– Dla ciebie chętnie zwolnię. – Jego następny cios był nieco wolniejszy, a ona przechwyciła go odrobinę za późno. Jeśli uda jej się narzucić tempo, które go uspi...

– Kiedyś byłam szybsza – powiedziała.

– To ta klinga, moja droga. Jest dla ciebie za ciężka.

– Potrzebuję czegoś... – Zablokowała jego pchnięcie i wyprowadziła własne, celowo zbyt wolno, a on łatwo je zablokował. – Przeciwno tobie potrzebuję jeszcze dłuższej i bardziej sztywnej broni.

– Cóż, nie zamierzam naciskać cię mocniej niż potrafisz wytrzymać. Powinnaś o tym wiedzieć, Mirando. Czy byłem kiedykolwiek nachalny?

– Nie, po prostu...

Cofnął się i opuścił broń.

– Proszę, zamieńmy się bronią. Ta została zrobiona dla mężczyzny, widać to po masie rękojeści.

– Zresztą chciałeś go wypróbować – powiedziała ze śmiechem.

– To prawda. Spełnisz moją zachciankę, moja droga?

– No dobrze. Ale zamierzam intensywniej ćwiczyć, przysięgam. Nie miałam pojęcia, że jestem w tak bardzo złej formie. Cały ten pogrzeb i przygotowania...

– Oczywiście. – Podał jej z ukłonem floret rękojeścią do przodu, a ona podała mu swoją broń z równym wdziękiem, po czym zamienili się miejscami na planszy, jak zawsze przy wymianie broni.

Miranda była pewna, że wie, który z tych starożytnych floretów przelał niegdyś krew. Wiedziała, że jej wiara jest irracjonalna, ale... poczuła, że floret odpowiedział na jej żądę krwi własnym pragnieniem, kiedy tylko pierwszy raz wzięła go do ręki.

Właśnie przyjęli pozycje szermiercze, gdy zadzwonił jej komunikator.

– Milady, dzwoniła lady Cecelia de Marktos. Zadokowała do stacji i wzięła jeden z prywatnych promów.

Cecelia tutaj? Ogarnęła ją furia. Jest już tak blisko, a może nigdy nie będzie miała drugiej takiej okazji. Czemu Cecelia nie pilnuje własnych spraw? Ile czasu zostało jej na wykończenie Pedara?

Z trudem uspokoiła się i znów skoncentrowała. Coś wymyśli... Może uda jej się to zakończyć, zanim Cecelia wejdzie.

Z początku trudno jej było ukryć, jaką szybkość dał jej floret. Cios, zasłona, zasłona, pchnięcie, pchnięcie... Serce mocno jej waliło, bardziej z podniecenia niż z wysiłku. Nie chciała zbyt długo czekać.

Cofnęła się o krok, potem następny, a później, po szybkiej paradzie, sięgnęła i zaliczyła trafienie. Wykręciła nadgarstek i pchnęła, przyjmując czubek klingi Pedara na lewe ramię. Poczowała, jak osłona ustępuje.

– Oboje jesteśmy już martwi – powiedziała z uśmiechem. Maską naprzeciwno niej nie zdradziła wyrazu twarzy Pedara. Cofnął się o krok, tak jak ona, zasalutował i zaczęli od nowa.

Czy osłona czubka już spadła? Chyba nie, floret prowadził się tak samo. Odbiła następne pchnięcie i kolejne, a potem usłyszała, jak osłona spada, wyrzucona w powietrze elastyczną klingą. Pedar znieruchomiał na ułamek sekundy, a potem zaczął się cofać.

– Obawiam się, że klinga pękła... – powiedział i zaczął oglądać swój własny floret.

Czekała, aż zobaczy spiralne pęknięcie na ostrym czubku jej klingi.

– Miranda? – W jego głosie po raz pierwszy pojawiła się niepewność.

A potem sparował błyskawiczne pchnięcie, które wyprowadziła na jego maskę, ale stracił rytm i odpowiedział o ułamek sekundy za późno. Czubek jej klingi – teraz sztywny i bardziej ostry – uderzył w cel. Słaby metal ustąpił i jej pchnięcie weszło głęboko w oko, a potem w mózg. Klinga znów pękła, tym razem na jego czaszce, więc szybko wycofała ostrze. Pedar już padał.

– Oooch... – Miranda czekała, wciąż czujna, dopóki jego dłoń nie upuściła broni. Dopiero wtedy rzuciła swój floret i chwyciła go za ramiona. – Nieee! Pedar, NIE!

* * *

Cecelia usłyszała krzyk zaraz po wejściu do sali i zobaczyła Mirandę – poznała ją po figurze i złotych włosach, które wysunęły się z tyłu spod maski – trzymającą za ramiona padającego na ziemię przeciwnika. Szybko ruszyła do przodu. Czy to Pedar, czy ktoś inny?

Miranda zmagiła się z maską tej drugiej osoby, próbując ją zdjąć.

– Miranda, pomogę ci. Wezwij lekarza.

– To nie chce zejść, to nie chce zejść! – Miranda jak oszalała szarpała coś w rodzaju zasuwki. Teraz Cecelia dostrzegła krew wypływającą spod maski i na złamanej części ostrza. – Mówiłam mu! Mówiłam, że to niebezpieczne! Bunny zawsze przestrzegał, żeby nie używać starych kling ani nie ufać starej zbroi, ale on nalegał...

Umysł Cecelii znów pracował na pełnych obrotach; bez trudu rozpoznała w zachowaniu przyjaciółki świetnie przygotowane alibi. Szybko zajęła się drugą stroną hełmu mężczyzny, zastanawiając się, czemu starożytni robili wszystko w tak skomplikowany sposób.

– Co się stało?

– Klinga się złamała. Zrobiłam pchnięcie... i maska po prostu pękła.

Cecelia spojrzała na nią, ale przez maskę widziała tylko niewyraźny zarys twarzy Mirandy.

– Wydawało mi się, że mówiłaś, iż szermierka jest bezpieczna. – Pedar też tak mówił na wyścigach.

– Bo jest. To... on chciał użyć starej broni, tej, której Bunny nigdy nie pozwalał

ruszać. Wiedział, że Harlis by się na to nie zgodził, ale... potem chciał jeszcze walczyć w tym starym hełmie. Wiesz, jaki jest Pedar. Dał mi w prezencie koronkowy szal. Zaczął walkę od zalotów...

Cecelii udało się wreszcie otworzyć jedną stronę hełmu, więc zajęła się drugą.

– Nie wezwałaś lekarza.

– Cece, kiedy klinga trafia w oko, nikt nie pomoże.

– W oko?

– Ten stary hełm zawiódł. Moje ostrze przebiło go i trafiło prosto w jego oko. Wiesz, jak to jest... No dobrze, nie wiesz, ale kiedy wykonuje się pchnięcie i klinga pęknie, to już nie można się zatrzymać. Próbowałam, ale to tylko pogorszyło sprawę.

– Jak?

– Ostrze przebiło jego oko, a kiedy próbowałam je wyciągnąć, okazało się, że już dotarło do mózgu. Nie miałam pojęcia... To było takie okropne...

Otworzyła wreszcie hełm z drugiej strony i ściągnęła go. Zobaczyła twarz Pedara; jedno oko było otwarte i już zmętniało z niedotlenienia, a w miejscu drugiego była krwawa dziura.

Spojrzała na przyjaciółkę, próbując dostrzec coś przez maskę. Ale światło odbijało się od metalu, a pod nim widniał tylko cień. Spojrzała na dłonie w rękawiczkach – jedna była ubrudzona krwią – i na szyję Mirandy, gdzie wysoki kołnierz stroju do szermierki osłaniał puls.

Drzwi otworzyły się z hukiem i do środka wbiegła grupa służących. Gdzie byli przez cały ten czas? Czyżby to był spisek?

– Milady! Co się stało?!

– Ćwiczyliśmy szermierkę i ostrze się złamało.

Miranda zdjęła trzęsącymi się rękami maskę. Po jej policzkach spływały łzy, była bardziej blada niż zwykle.

– Ty płaczesz... – powiedziała Cecelia.

– Oczywiście, że płaczę! – Miranda spojrzała na nią z wściekłością.

– Nigdy jeszcze nie widziałam cię płaczącej, tylko po Bunnym.

– Nie widziałas mnie, kiedy usłyszałam o porwaniu Brun. Albo kiedy urodziły się dzieci. – Odwróciła się do mężczyzny w szarym garniturze, którego Cecelia nie rozpoznała. – Sammins, choć wiem, że jest za późno, trzeba wezwać doktora i milicję. Ten człowiek jest... był ministrem spraw zagranicznych. Trzeba będzie przeprowadzić śledztwo.

Przez całe przesłuchanie, które potem nastąpiło, Cecelia siedziała cicho na uboczu, przyglądając się Mirandzie i wsłuchując w tembr jej głosu. Od czasu przybycia na Sirialis Pedar ćwiczył szermierkę dwa razy w tygodniu. To on zaproponował wspólne ćwiczenia. Przychodził też rozmawiać o interesach i... – zawahała się, a na jej policzki

wystąpił lekki rumieniec – o starej broni w holu. Kto ją odziedziczy? Chciał ją wziąć do ręki i nią poćwiczyć. Bunny nigdy na to nie pozwalał, ale Pedar błagał...

Ustąpiła mu, zgodziła się walczyć starą bronią, choć nie została sprawdzona.

Cecelia pomyślała, że Miranda musi mieć zapis ich rozmowy. Nie odważyłaby się wdawać w takie szczegóły, gdyby nie miała dowodów na poparcie jej słów. A w takim razie to mógł być wypadek, tak jak twierdziła Miranda. Albo sprytnie zaaranżowane zdarzenie...

Gniew ścisnął jej żołądek. Oto jej przyjaciele... a przynajmniej ludzie, których znała, ludzie z jej klasy. Bogaci, wytworni, wyrafinowani. Znała ich przez całe życie. Kolekcjonowali sztukę, wspierali artystów, kompozytorów i muzyków. Mieli piękne domy i urocze posiadłości. Bawili się tym czy tamtym – malowaniem porcelany, hodowlą koni, projektowaniem egzotycznych stacji kosmicznych – w przerwach między walką o władzę w Rodzinach, o coraz większą ilość pieniędzy, coraz większe posiadłości. Nosili piękne ubrania i angażowali się w wyszukane gry towarzyskie.

A teraz nawzajem się zabijają. Lorenza, która próbowała ją otruć. Kemtre godzący się na zgładzenie własnego syna. Ktoś – prawdopodobnie Pedar – organizujący zamach na Bunny'ego. Miranda zabijająca Pedara.

Czy oni wszyscy poszaleli?

A jeśli tak, to czemu? I kto na tym korzysta?

Nie potrafiła odnaleźć drogi przez ten labirynt, chyba że posłużyłaby się odniesieniem do jej ukochanego świata koni. Gdyby miała stajnię pełną wyselekcjonowanych koni, starannie wyszkolonych, wychowanych... i gdyby nagle zaczęły dziwnie się zachowywać, atakować stajennych i siebie nawzajem... co by wtedy pomyślała?

Że ktoś wkradł się do grupy stajennych.

No dobrze, ale bogaci ludzie nie mają stajennych.

Jej umysł wyhamował jak koń przed olbrzymią, nieznaną przeszkodą.

Ależ tak, mają stajennych i weterynarzy. Nazywają ich służącymi i pokojówkami oraz lekarzami i pielęgniarkami. Wszyscy uzależnili się od farmaceutyków do odmładzania. Wszyscy wielokrotnie się odmładzali. Lorenza, Kemtre, Pedar, Miranda, nawet jej siostra Berenice. Mieli też dostęp do zakazanych środków, takich jak neurotoksyny, którymi próbowała ją otruć Lorenza.

Od kiedy dowiedziała się, że Lorenza nie żyje, nie zastanawiała się nad pochodzeniem tego środka. Lorenza była wredną, jadowitą i sadystyczną kobietą. To ona była zagrożeniem, a nie trucizna. To nie broń jest niebezpieczna, lecz osoba, która się nią posługuje.

Wiedziała także o Patchcock, choć przestała o tym myśleć, gdy tylko Ronnie i Raffa bezpiecznie się pobrali. Złe leki. Złe środki do odmładzania. Kto wie, co jeszcze. A skutki uboczne mogą być poważniejsze niż ktokolwiek się spodziewa.

Czy Miranda jest zdrowa psychicznie? Czy ktokolwiek z nich jest? Wielka Rada Familii... Co teraz robi bez Bunny'ego u steru i Kevila Mahoneya jako doradcy, z Pedarem – choć był złym człowiekiem – martwym, leżącym na podłodze w sali do szermierki... Czy jest ktoś taki, komu mogłaby zaufać?

Ci, którzy nigdy się nie odmładzali. Albo ci, którzy odmładzali się, korzystając tylko z leków z pewnego źródła. Marta Saenz?

Ale czy to, że Marta sama jest biochemikiem i ma własne laboratoria, oznacza, że jej leki są dobre?

Nie. Ale musi komuś zaufać. Musi mieć kogoś po swojej stronie i kogoś po przeciwnej.

W końcu przesłuchanie dobiegło końca i Cecelia poszła z Mirandą do jej apartamentów. Błada pokojówka przyniosła im tacę zjedzeniem i gorącą herbatą. Miranda zdjęła biały strój do szermierki i wzięła prysznic, a przez ten czas Cecelia wyglądała przez okno na pagórkowate tereny do polowania. Zanim Miranda wróciła owinięta w gruby szlafrok, Cecelia miała już przygotowane pytania.

– Mirando, czy pamiętasz, co ci powiedziałam wkrótce po śmierci Bunny'ego?

– Oczywiście – odpowiedziała Miranda. – Powiedziałaś mi, że uważasz, iż Pedar wie, kto go zabił, i że to nie była Milicja Nowego Teksasu.

– Czy to...

– Cecelio, Pedar zawsze był prostakiem, wiesz o tym.

– Tak, ale...

– Uważał siebie za człowieka władzy. Chciał wzmocnić swoją pozycję w klanie Consellinów, więc naturalnie chwalił się wiedzą, której nie miał.

– Nie potraktowałaś tego poważnie.

– Z początku nie. Widzisz, przyleciał tu, aby się zalecać.

– Zalecać?!

Tak. Sugerował, że jeśli będę pod jego ochroną, nie będę I musiała obawiać się zakwestionowania przez Harlisa testamentu. Że będę mogła zatrzymać Sirialis; chodziło o to, że to on je będzie miał.

– Naprawdę uważał, że za niego wyjdiesz?

– Najwyraźniej. Zapytał, czy może tu przylecieć. Zbyłam go kilka razy, ale w końcu ustąpiłam.

– Dlaczego?

Miranda wzruszyła ramionami.

– Chciałam się dowiedzieć, co wie, czemu jest tak pewien, że może zrobić to wszystko, o czym mówi. To nie jest coś, o co można zapytać przez telefon: „Czy naprawdę masz taką władzę, jak twierdzisz?”. Pomyślałam, że jeśli tu przyleci, będę mogła lepiej ocenić jego możliwości i intencje.

– Ale nie zamierzałaś za niego wyjść...

– Na bogów, Cecelio, dajże spokój! Nie, nie zamierzałam za niego wychodzić. I nie zamierzam wychodzić za nikogo. Będę walczyć z Harlisem i ocalę dziedzictwo dla Buttonsa, ale nie będę wychodzić za męża. Przez większą część życia miałam najlepszego męża, czemu teraz miałabym się zadowalać odpadkami?

– Nie wiem, po prostu się martwię...

– Niepotrzebnie. – Miranda przeciągnęła się i podeszła do akwarium, w którym pływała gruba złota rybka.

– Nie jestem szalona, nie brałam leków do odmładzania od Morrellinów i nie zamierzam się więcej odmładzać. Gdy tylko dzieci się ustatkują...

– Myślałam, że ja nigdy się nie odmłodzę – powiedziała Cecelia. – I nie zrobiłabym tego, gdyby nie trucizna. Ale teraz nawet mi się to podoba.

– Rozumiem – stwierdziła Miranda. – Możesz teraz robić znacznie więcej rzeczy. Ale ja mam teraz czterdziestkę i przed sobą jeszcze sześćdziesiąt lat życia, nawet bez odmładzania. Sześćdziesiąt lat bez Bunny’ego to aż nadto.

– Możesz znaleźć sobie kogoś innego...

– Az nieba może zacząć padać złoty deszcz. Jeśli kogoś znajdę, to wtedy może się odmłodzę. Ale to nie jest coś, co można zaplanować. Cece, koniec dyskusji. Powiedz mi, byłaś już w stajniach?

– Nie.

– W takim razie powinnaś pójść. Na wypadek, gdyby coś się stało i Sirialis jednak trafiło w ręce Harlisa, powinnaś wiedzieć, czy jest tam coś, co chciałabyś mieć.

– Nie mogę uwierzyć, że byłby aż tak głupi, żeby zamknąć stajnie – powiedziała Cecelia.

– Kiedy był chłopcem, koń złamał mu stopę, a potem połamał kilka zeber, spadając na skały, kiedy próbował dotrzymać Bunny’emu kroku. Uważa, że konie to duże, śmierdzące obrzydlistwa, które tylko zjadają pieniądze, co w zasadzie jest prawdą. Nigdy nie zarabialiśmy na koniach.

– Mirando, zagadujesz mnie końmi, ale ja nie jestem aż taka głupia. Czy zaplanowałaś zabicie Pedara?

Miranda dłuższą chwilę przyglądała się jej w milczeniu.

– Myślisz, że zrobiłabym coś takiego?

Ja już nie wiem, co ludzie mogą, a czego nie mogą zrobić. Nie sądziłam, żeby Lorenza mogła mnie otruć, a potem chwalić się tym, gdy leżałam sparaliżowana. Nie sądziłam, że Kentre będzie chciał otruć własnych synów albo posunie się do klonowania. Nie sądziłam, że brat Bunny’ego może terroryzować starszą panią, żeby oddała mu swoje udziały. Albo że Pedar zabije Bunny’ego, żeby dostać tekę ministra.

– Nie odpowiem ci na to pytanie – stwierdziła Miranda. – Przypomnę ci tylko

pewną bardzo, bardzo starą zasadę.

– Jaką?

– Dama nigdy nie zachowuje się nieuprzejmie... przypadkiem. – Miranda posłodziła herbatę miodem i napiła się. – Właśnie tego mi było trzeba.

– Wepchnięcie ostrza w czyjś mózg wykracza poza zwykłą nieuprzejmość. – Cecelia była zła. Była pewna, że wie, co się stało – przynajmniej częściowo – a mimo to Miranda nie zareagowała tak, jak powinna.

– To prawda – zgodziła się Miranda – ale ta zasada pasuje do innych sytuacji. Cecelio, jeśli zamierzasz zrobić mi awanturę, proszę bardzo.

– Nie prosisz mnie nawet, żebym...

– Nie. Sama podejmujesz decyzje, tak samo jak ja.

– Co zamierzasz powiedzieć swoim dzieciom?

– Że Pedar zginął w wypadku podczas szermierki. Mają swój rozum, Cecelio, i wyobraźnię. Zinterpretują te fakty tak, jak będą chcieli.

Cecelia zjadła kolejną tartinkę z dżemem i znów zapatrzyła się w okno.

– Przypuszczam, że jest w tym ukryta wiadomość dla Hobarta... – powiedziała po dłuższej chwili milczenia.

– Mam nadzieję – odpowiedziała Miranda.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Esmay wpatrywała się ze zmarszczonym czołem w podaną jej przez recepcjonistę wiadomość. Myślała, że wszystko jest przygotowane. Czemu mają się spotkać w prywatnym pokoju, a nie w restauracji? Przyjrzała się rurom wind w poszukiwaniu odpowiedniego zakresu. Trzydzieści siedem do czterdziestu... Dziwne. Większość rur obsługuje przynajmniej dziesięć pięter. Wcisnęła klawisz.

– Proszę podać numer pokoju i nazwisko.

O co tu chodzi? Gdyby tu był Barin, walnęłaby go solidnie w głowę, ale go nie było.

– 3814 – powiedziała. – Porucznik Suiza.

Drzwi rury rozsunęły się; siatka podtrzymująca jarzyła się zielenią oznaczającą wznoszenie się w górę. Esmay weszła do środka i lustrzany cylinder pomknął gładko, bez ostrego szarpnięcia przy starcie, co zdarzało się w większości rur. Strzeliło jej w uszach, potem jeszcze raz. To tylko trzydzieści osiem pięter, co się tu dzieje?

Wyszła do foyer wyłożonego zielonym dywanem i ze ścianami pomalowanymi w subtelnych odcieniach kremowego beżu. Obrazy na ścianach... Wstrzymała oddech na widok śmiałych geometrycznych kształtów. To na pewno reprodukcja. Podeszła bliżej. Nie, gruby fioletowy klin, rzucający cień na każdej reprodukcji, tu wyglądał inaczej, oświetlony przez punktowy reflektorek na przeciwległej ścianie. Autentyczny Oskar Cramin. W takim razie to może być również prawdziwy Dessaline, którego delikatne kreski nie poddają się dominacji niemal brutalnej żywotności Cramina.

Potrząsnęła głową i rozejrzała się wokół. Z foyer prowadził krótki korytarz, w którym było tylko czworo drzwi, z których jedno były drzwiami służbówki. Barin musiał wydać fortunę... Drzwi numer 3814 mieściły się pośrodku korytarza. Weszła w stożek rozpoznawczy i czekała.

Drzwi otworzyły się i znalazła się twarzą w twarz z... kobietą w średnim wieku, której nigdy nie widziała. Zanim zdążyła ją przeprosić, kobieta odezwała się.

– Porucznik Suiza! Jak to dobrze wreszcie panią poznać. Jestem Podjar Serrano, matka Barina.

Matka Barina. Ogarnęła ją panika. Przygotowała się na spotkanie z Barinem, na kilka chwil wyłącznie we dwoje... Myślała, że zdążą porozmawiać, zanim spotka się z jego rodzicami.

– Wejdz, proszę – rzekła Podjar. – Nie możemy się wszyscy doczekać spotkania z tobą.

Wszyscy? Jacy wszyscy? W tym momencie dotarł do niej cichy szum rozmów i poczuła chęć ucieczki. Gdzie jest Barin? Jak mógł ją narazić na coś takiego?

Podjar ujęła ją pod ramię – to matka Barina, nie mogła się wyrwać – i wprowadziła

do pokoju, który zdawał się być wielkości planety.

– Nareszcie jest – powiedziała do niskiego, przysadzistego mężczyzny o uśmiechu Barina, ale bez jego wdzięku. Brat? Ojciec? Wuj? – To Kerin, mój mąż – wyjaśniła Podjar. Esmay miała nadzieję, iż to znaczy, że jest ojcem Barina, bo inaczej całkiem by się pogubiła.

Dopiero teraz do jej zszokowanego umysłu zaczęły docierać szczegóły. Pokój nie tylko był duży, ale było w nim mnóstwo ludzi, którzy zdawali się doskonale znać. Rodzina Barina?

– Esmay! – Jej serce żywiej zabiło. Wreszcie jest Barin i będzie mogła wyrwać się stąd, niezależnie od tego, co to wszystko znaczy. Podszedł do niej, wyraźnie rozpromieniony. Mogłaby go zabić, i miała nadzieję, że zrozumiał uczucia kryjące się za jej sztucznym uśmiechem.

– Przepraszam, że nie wyszedłem ci na spotkanie do windy – powiedział – ale miałem pilny telefon.

Esmay nie potrafiła zmusić się do powiedzenia, że to nie miało żadnego znaczenia.

– O co tu chodzi? – zapytała zamiast tego.

Barin skrzywił się.

– Wymknęło mi się to spod kontroli – powiedział. – Chciałem, żebyś spotkała się z moimi rodzicami, którzy przelatywali tędy w drodze do domu. Potem babka... – Esmay skierowała wzrok we wskazanym kierunku; zobaczyła w drugim końcu pokoju admirał Vidę Serrano, otoczoną sporą gromadką starszych ludzi. – Babka chciała o czymś z tobą porozmawiać i pomyślała, że to dobra okazja. A potem... zaczęli się tu zbierać, jakby spadali prosto z nieba.

– Hmm... – Esmay nie mogła powiedzieć na głos tego, co myślała, w każdym razie nie w obecności jego rodziców, stojących obok i uśmiechających się nerwowo. – Czy... będziemy mieć okazję porozmawiać? – Miała na myśli rozmowę we dwoje.

– Nie wiem – odpowiedział Barin. – Mam nadzieję, ale... – Przeniósł wzrok na matkę, która uniosła jedną brew.

– Barin, wiesz, że to poważna sprawa rodzinna. Musimy się naradzić.

Świetnie. Wygląda na to, że jedyny urlop, jaki zdołała wybłagać w aktualnym kryzysie, spędzi z jego rodziną zamiast ze swoją.

– Jak ci się udała podróż, Esmay? – zapytał ojciec Barina. Miał insygnia komandora porucznika ze specjalizacją techniczną.

– Dobrze, choć straciliśmy w Karpacie dzień na nie planowaną naprawę. – Nie potrafiła ukryć złości w głosie.

– Hmm, to typowe. – Ojciec Barina kiwnął głową w stronę drzwi. – Pozwól, że pokażę ci twój pokój.

– Mój...

– Oczywiście, masz tu swój pokój. Może i zwaliliśmy się tutaj przeważającymi siłami, ale nie jesteśmy do końca niecywilizowani. Gdzieś musisz się zatrzymać. – Kiedy pokazano jej mały apartament, z którego był widok na okolice stacji, nie była już w stanie dalej się dziwić. – To twój pokój; obsługa przyniesie tu twoje rzeczy.

– Mam tylko jedną torbę – powiedziała Esmay.

– No cóż. Przyjdź do nas, gdy będziesz gotowa. – Odwrócił się z uśmiechem i zamknął za sobą drzwi. Esmay opadła na krzesło w różowo-kremowe pasy. Miała ochotę objąć głowę dłońmi i krzyknąć, choć z pewnością w niczym by to nie pomogło. Co tu się dzieje?

Jej rozmyślenia przerwało pukanie do drzwi.

– Proszę – powiedziała. W drzwiach stał zmieszany Barin.

– Mogę? – zapytał. Esmay kiwnęła głową. Wszedł, zamknął za sobą drzwi i przyciągnął sobie drugie krzesło. Na chwilę zeszywniała, ale potem rozluźniła się i oparła o niego.

– Twoja rodzina... – zaczęła.

– Przepraszam. To nie był mój pomysł, tylko ich. Są... uparci.

– A ty nie? – Nie mogła uznać tego za zabawne. Chciała jeszcze trochę się dąsać, ale nagle wróciło jej poczucie humoru. Wyobraziła sobie Barina planującego spokojne spotkanie we dwoje, wykołowanego przez jego potężną i liczną rodzinę. Stłumiła rodzający się w niej chichot.

– Niewystarczająco – odpowiedział z żalnym uśmiechem. – Próbowałem im powiedzieć, żeby zostawili nas w spokoju, ale sama widzisz, co mi z tego wyszło.

Esmay nie mogła już dłużej opanować śmiechu.

– Nie jesteś zła? – zapytał z nadzieją.

– W każdym razie nie na ciebie. Jak widać, kilka dni we dwoje byłoby czymś zbyt wspaniałym.

– Wcale tak nie uważam – powiedział Barin. – Można by pomyśleć, że cały świat rzuca nam kłody pod nogi.

– Czytałam kiedyś, że kochankowie zawsze lądują w centrum wszystkich wydarzeń.

– Osobiście wolałbym wylądować z tobą w centrum łóżka, z dala od wszystkich – mruknął Barin. – Dotrzemy tam – zapewniła go Esmay i mocniej objęła rękami. Miała ochotę tak długo wtapiać się w niego, aż ich kości połączyłyby się w jedno. Ktoś zapukał do drzwi.

– Barin, jeśli nie pozwolisz jej się przebrać, nigdy nie siądziemy do kolacji. – Był to kobiecy głos, którego jeszcze nie słyszała.

– Och, zamknij się. Czemu nie urodziłem się sierotą? – wymamrotał Barin do ucha Esmay.

– To byłoby zbyt proste – stwierdziła. – Puść mnie, muszę się przebrać. Będziemy jeść tutaj na górze czy w restauracji? – Nie żeby cała rodzina Serrano nie była wystarczającą widownią.

– Tutaj. Wszystko zostanie dostarczone. – Puścił ją, podszedł do drzwi i otworzył je. Stała za nimi kobieta po trzydziestce, mniej więcej wymiarów Esmay, z rysami twarzy Serrano.

– Esmay, jestem Dolcent. Barin, idź stąd. Muszę z nią chwilę porozmawiać.

– Nienawidzę cię – powiedział Barin, ale posłusznie wyszedł. Dolcent uśmiechnęła się szeroko.

– Słuchaj, przypuszczam, że spodziewałaś się cichego wieczoru we dwoje, więc masz tylko jedną torbę. Gdybym ja sama znalazła się w takiej sytuacji, miałabym ze sobą tylko te ubrania, które niekoniecznie musiałyby pasować na rodzinne spotkanie... więc czy mogę cię czymś poratować?

Wróciła irytacja – za kogo oni się uważają? – ale szybko pomyślała o zawartości swojej torby. Ubrania na dzień czy dwa z narzeczonym i jedna sukienka na spotkanie z rodzicami... Niech szlag trafi tę kobietę, ma rację.

– Dziękuję – powiedziała Esmay najuprzejmiej jak mogła.

– Sama nie byłabym zadowolona z pożyczania ubrań, ale zdarzają się sytuacje... Zobacz.

Musiała przyznać, że ubrania Dolcent były lepsze od wszystkiego, co miała ze sobą, jej niebieska tunika i własne spodnie stworzą doskonały strój na tę okazję. Esmay jeszcze raz podziękowała.

– Nie ma za co. Może kiedyś to ja włamię się do twojej garderoby. To znaczy jeśli uszczęśliwisz mojego braciszka...

– W przeciwnym razie wysadzisz ją w powietrze, co?

– Coś w tym stylu – przyznała Dolcent. – Albo jeśli nazwiesz mnie Dolly. Ostrzegam.

Kolacja była mniej oficjalna niż się obawiała. Obsługa hotelowa ustawiła bufet, a ludzie sami się obsługiwali, siadając tam, gdzie mieli ochotę. Esmay zajęła róg dużej sofy w pobliżu stołu. Dolcent usiadła obok niej i zaproponowała, że będzie przedstawiać jej gości. Z gwaru rozmów wybijał się szczególnie jeden głos.

– Powiedziałem mu, że ta technika nie jest wystarczająco rozwinięta, ale uparł się...

– To Iones, daleki wuj. Jest w badaniach materiałowych. Rozminęłaś się z nim, gdy byłaś na *Koskiusko* – wyjaśniła Dolcent. – Jest okropnym nudziarzem, ale zna się na swojej dziedzinie.

Potem usłyszała głos kobiety, która była tak blisko, że mogła ją zobaczyć.

– ...a jeśli ona kiedykolwiek znowu przyjdzie z tym do mnie, zerwę stopień z jej...

– A to Bindi. Nie przejmuj się nią, nie jest taka zła, jak się wydaje.

Rzucona celnie krewetka trafiła Dolcent w głowę.

– Ładnie to tak podsłuchiwać?

Dolcent spokojnie podniosła z kanapy krewetkę i zjadła ją.

– Ja nie podsłuchuję, tylko mówisz tak głośno, że słychać cię trzy pokoje dalej.

Bindi wzruszyła ramionami i odwróciła się.

– Zawsze to tak wygląda? – zapytała Esmay.

– Zazwyczaj gorzej. Sama pochodzisz z dużej rodziny, prawda? Powinnaś wiedzieć.

Cóż, na dobrą sprawę sytuacja w tym pokoju przypominała układ panujący w jej rodzinie. Głośni wyznaczają swoje obszary wpływów. Cisi, ukryci w rogach, od czasu do czasu ironicznie unoszą brew. Bindi pasowałaby do ciotki Sanni. Matka Barina, tak jak jej macocha, sprawia wrażenie cichego mediatora.

Po drugiej stronie stołu pojawiła się Heris Serrano. Przysunęła sobie krzesło i usiadła, kładąc swój talerz naprzeciw talerza Esmay. Dziewczyna nigdy nie widziała komandor Serrano ubranej w coś innego niż mundur; teraz miała na sobie luźną tunikę z jedwabiu w srebrne wzory i miękkie spodnie.

– Esmay, nie wiem, czy mnie pamiętasz...

– Tak, komandorze.

– *Elizabeth Moott* Proszę, mów mi Heris. Ten pokój jest tak nabity oficerami, że nie dałoby się rozmawiać, gdybyśmy musieli wszyscy siebie tytułować. Nie wydaje mi się, żebym miała okazję osobiście podziękować ci za uratowanie naszej skóry na Xavierze, i nie tylko naszej...

– Heris, nie przy kolacji. Wiem, że kiedyś będziesz chciała to z nią omówić, ale nie teraz. – Dolcent podkreślała swoje słowa trzymaną w dłoni nogą kraba; takie zachowanie na Altiplano potraktowano by jako śmiertelną obrazę. – Ona zamierza wyjść za mąż, mogłabyś wybrać bardziej stosowny temat.

– A ty rozmawiasz z nią o sukienkach, Centa? Albo o kwiatach czy sposobie składania serwetek na przyjęciu?

– Lepsze to niż stare bitwy przy kolacji. – Dolcent nie wydawała się zakłopotana słowami Heris. Esmay przyglądała się im z zainteresowaniem.

– Wybrałaś już suknię ślubną, Esmay? – zapytała Heris z przesadną słodyczą w głosie.

– Nie, s... Heris. Brun powiedziała, że się tym zajmie.

– O rety, Brun?

– Ona po prostu... dowiedziała się, że nie mam pomysłów, i zaraz potem zaczęła mi przysyłać próbki materiałów i rozmawiać o projektantach.

– Jest wyjątkowa, prawda? – Heris zachichotała. – Powinnaś zobaczyć ją lata temu, kiedy była naprawdę dzika. Jeśli nie będziesz ostrożna, urządzi ci całe wesele.

* * *

Esmay czuła się już niemal odprężona, gdy zobaczyła idącą w jej stronę admirał Vidę Serrano; wyraz jej twarzy był znacznie mniej przyjazny niż otaczających ją ludzi. Podobnie jak wszyscy pozostali, miała na sobie cywilne ubranie. Esmay próbowała wstać, ale admirał osadziła ją gestem na kanapie.

– Jest coś, o czym musisz wiedzieć – powiedziała. – Nie mówiłam pozostałym, bo wydawało mi się, że to nie fair mówić za twoimi plecami. Nie są to sprawy powszechnie znane, właściwie bezpiecznie pogrzebano je przed stuleciami. Kiedy ci kretyni z medycznego wycofali większość admirałów z aktywnej służby na nieokreślony czas, kilkoro z nas postanowiło posprzątać archiwa Serrano i przenieść je na nowocześniejsze nośniki danych.

– Tak, sir? – Mogła mówić do Heris po imieniu, skoro nalegała, ale nie zamierzała tytułować admirał inaczej niż „sir”, niezależnie od tego, czy tamta ma na sobie mundur, czy nie.

– Znasz oficjalną historię Zawodowej Służby Kosmicznej? Wiesz, że powstała przez połączenie prywatnych milicji kosmicznych założycielskich Rodzin?

– Tak.

– Ale możesz nie wiedzieć, że pomimo podejmowania wysiłków, by wymazać z pamięci, którym Familiom służyły poszczególne Rodziny Floty, te fakty wciąż mają wpływ na politykę Floty. Może nawet większy niż powinny.

Zapadła długa cisza, w czasie której Esmay próbowała odgadnąć, która z wielkich Familii korzystała z usług Serrano.

– Nasza Familia została zniszczona – powiedziała w końcu admirał. – W trakcie kataklizmu politycznego, który unicestwił naszych pracodawców, my byliśmy daleko i pilnowaliśmy ich statków. Potem nie mogliśmy wrócić – z oczywistych przyczyn – a kiedy jakieś trzydzieści lat później tworzono Zawodową Służbę Kosmiczną, większość naszej rodziny poprosiła o przyjęcie nas na służbę.

Esmay milczała; nie wiedziała, co mogłaby powiedzieć.

– Tyle powszechnie wiadomo, przynajmniej starszym członkom Floty, ale mniej więcej raz na pokolenie jakiś mądrała z którejś z Rodzin Floty próbuje sugerować, że braliśmy udział w rebelii przeciwko naszej Familii i że powinniśmy za to odpowiadać.

Jeśli mamy szczęście, udaje się to załatwić na poziomie seniorów, ale kilkaset lat temu wraz z Barringtonami straciliśmy w pojedynku dwóch pepeków.

Admirał Serrano odchrząknęła. Esmay zauważyła, że w pokoju zrobiło się ciszej.

Niektórzy podeszli bliżej i słuchali.

– Rodzina, której służyliśmy, miała bazę na jednej planecie; wtedy było to dość powszechne wśród Familii. A ta planeta... – Znów zawiesiła głos, a Esmay poczuła na plecach zimny dreszcz. To nie może być prawda. – Ta planeta, Esmay, to była Altiplano. Twój świat.

Miała ochotę powiedzieć „Czy jest pani pewna?”, ale wiedziała, że admirał Serrano nie mówiłaby tego, gdyby nie miała dowodów.

– Tyle wiedzieli Serrano – wszyscy wiedzieli – i dlatego są między nami tacy, którzy sprzeciwiają się waszemu małżeństwu. Ja nie jestem przeciwna. Uważam, że będziesz dobrą partnerką dla mojego wnuka, i to powiedziałam.

Na sali rozległy się pomruki. Esmay spojrzała na Barina, bezskutecznie próbując odczytać wyraz jego twarzy.

– Jest coś jeszcze – mówiła dalej Vida Serrano – i myślę, że jestem pierwszą osobą od wieków, która się o tym dowiedziała. Byłam w archiwum rodziny, bo się nudziłam, i kiedy przyglądałam się rzędowi książeczek dla dzieci napisanych przez naszego pozbawionego talentu przodka, znalazłam to. – Wyciągnęła spłowiałą brązową książkę. – Nie sądzę, żeby to była książeczka dla dzieci. Uważam, że to czyjś prywatny pamiętnik. Konserwatorzy sądzą, że pochodzi z czasów, które opisuje, lub trochę późniejszych, a ilustrowana jest dwuwymiarowymi zdjęciami. Po powiększeniu i wyostreniu obrazu dostaliśmy coś takiego...

Wyciągnęła z książki pakiet zdjęć; nadal były nieostre. Esmay wstrzymała oddech. Altiplano... Nie mogła pomylić tej pary górskich szczytów. A budynek to stara część siedziby Gildii Ziemi, jak na obrazkach w książce do historii.

– Rozpoznajesz je? – zapytała Vida.

– Tak. Te góry tutaj to Smocze Zęby. – Pod nimi jest starożytny bunkier, ale nie chciała teraz o tym myśleć. – A budynek wygląda jak siedziba Gildii Ziemi, zanim rozbudowano go w czasach mojego pradziadka.

– Tak właśnie myślałam. Na jednym ze zdjęć znalazłam to. – Wyciągnęła kawałek papieru, który nie wyglądał na stary. – Oczywiście to nie jest oryginał; tamten został w rękach konserwatorów. To kopia, Esmay Suiza, która bardzo jasno daje do zrozumienia, że twoi przodkowie stali się wrogami moich przodków, gdy zbuntowali się przeciwko swoim patronom i wymordowali ich.

– Co?!

– Twoi przodkowie przewodzili rebelii, Esmay. Zmasakrowali rodzinę, którą przysięgali bronić.

– Skąd pani może to wiedzieć? Jeśli nikt nie przeżył...

– Posłuchaj: *tych obejmujemy naszą przysięgą: synów Simona Escandona, synów Bariosa Suizy i synów Mario Vicariosa, albowiem oni przewodzili rebelii przeciw naszemu Patronowi. Ich synów i synów ich synów, do najdalszego pokolenia. Niech ich*

Oblubienice będą bezpłodne, a kapłani niech płoną w piekle, bo zamordowali swego prawego pana i jego rodzinę, męża i żonę, ojca i matkę, brata i siostrę, do najmniejszego niemowlaka. Przysięga krwi dzieli nasze i ich dzieci do czasu, aż gwiazdy umrą i niebo spadnie. Podpisano: Miguel Serrano, Erenzia Serrano, Bominigues Serrano.

W pokoju zapadła cisza. Esmay niemal nie mogła oddychać i było jej zimno. Rozejrzała się wokół. Twarze, które godzinę temu były przyjazne, teraz zamknęły się przed nią, były twarde niczym kamień, a w ciemnych oczach był lód. Jedyne Barin wyglądał na oszołomionego, ale jej nie odtrącił.

– Nigdy o tym nie słyszałam – powiedziała w końcu.

– Nie sądzę, żeby się tym chwalili – stwierdziła Vida. – Jaką bajeczkę ci opowiedzieli?

Bajkę. A więc już jest pewna, że cokolwiek Esmay powie, będzie bajką, fałszem.

– W naszej historii... była wojna, ale również plaga, która zabiła jedną trzecią ludności, łącznie z Założycielami.

– Tak właśnie nazywacie Rodzinę?

– Tak... przypuszczam, choć nie miałam pojęcia, że to jedna z wielkich Familii.

– Nigdy nie słyszałaś nazwiska Garcia-Macdonald?

– Nie.

– A więc nie ma wątpliwości, że buntownicy zniszczyli wszystkie dowody. Aby nic nie świadczyło przeciwko nim, gdy trzysta lat później Altiplano dołączyło do Familii Regnant. Wszystko, co mogliśmy robić, to tylko się przyglądać; nie wiedzieliśmy, którzy ludzie z Altiplano byli w to zamieszani.

– Czy to była właśnie ta Rodzina? Garcia-Macdonald?

– Tak. Rodzina, której Serrano służyli jeszcze w czasach flot morskich na Starej Ziemi. Opowiedz mi o tej wojnie, tak jak cię uczono.

– Życiosercowcy i Starowiercy... – Esmay próbowała odgrzebać w pamięci to, co słyszała w dzieciństwie na lekcjach. – Założyciele chcieli sprowadzić kolonistów – nie uznających kontroli urodzin Tamidian – do pracy w kopalniach i w rolnictwie. Mieli wtedy tak zwane porozumienie, w którym obiecywano, że Altiplano zasiedlą tylko tacy ludzie, których będą mogli zaakceptować mieszkający tu wcześniej obywatele. Starowiercy sprzeciwili się liczbie Tamidian, których chcieli sprowadzić Założyciele; obawiali się, że za dwa lub trzy pokolenia tamtych będzie więcej. A Życiosercowcy chcieli, żeby rozwój postępował z poszanowaniem lokalnego ekosystemu. Jednak Założyciele chcieli szybkich zysków, więc sprowadzili statek pełen Tamidian, a ci przywieźli ze sobą nie znane na Altiplano choroby, i to takie, na które sami byli genetycznie uodpornieni.

– Śmiertelność noworodków pierwotnych Altiplañczyków rosła z zawrotną

szybkością w miarę, jak rozprzestrzeniały się choroby, a Tamidianie mieli szansę zdominować ich liczebnie w ciągu paru dekad, a nie pokoleń. Nowi osadnicy naśmiewali się z ich wiary, burzyli świątynie, niszczyli ikony. Założyciele przenieśli ludzi z otwartych terenów do miast, gdzie jeszcze szybciej zapadali na choroby. Praprababka mi powiedziała, że był taki rok, kiedy ani jedno nowo narodzone dziecko nie przeżyło tygodnia. To właśnie wtedy Oblubienica Ziemi rzuciła klątwę na niewiernych, narażając własną duszę.

– Bo Oblubienice nie przeklinają, one błogosławią. Ta jednak została zabrana ze swojej ziemi i jej dzieci umarły, więc uciekła w góry i tam z krwi, płwociny i włosów zrobiła *gieeim* i ofiarowała swoją duszę ziemi, jeśli zniszczy najeźdźców.

Nie wiem, co tak naprawdę zrobiła – powiedziała Esmay. – Praprababka nigdy mi tego nie powiedziała, nawet jeśli sama wiedziała. Jej zdaniem to pycha osadników rozgniewała Boga, który sprowadził na nich sprawiedliwą karę. Z gór, równin i morza przysłała plaga i Tamidianie zaczęli ginąć tak, jak wcześniej nasze dzieci, plując krwią i umierając jeszcze za życia. Mówiono, że błagali Założycieli, by pozwolili im odlecieć, ale ci sprowadzali ich coraz więcej, aż wreszcie sami zaczęli chorować.

– Broń biologiczna? – zapytał ktoś zza pleców admirała.

Esmay potrząsnęła głową.

– Nie... a przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo; obecnie nie używamy broni biologicznej. Kiedy Altiplańczycy chcieli opuścić miasta i wrócić na rolę, Założyciele zabronili im tego, i wtedy doszło do buntu... ale nie chodziło o to, by ich wszystkich zmasakrować, tylko aby mogli wrócić na ziemię, z której zostali zabrani.

– Nie tak to wygląda w naszym raporcie – rzekła admirał Serrano. – Nie tak tu jest napisane. – Pomachała kartką.

– To wszystko, co wiem – stwierdziła Esmay. – Jest pani pewna, że raport jest wiarygodny?

– Czemu miałyby nie być? Napisał go... ktoś, kto uciekł...

– Jak? Dokąd?

– Promem atmosferycznym na stację orbitalną. Niestety zaraził załogę stacji. Przeżyło ich tylko troje, ale przekazali to dalej.

– Nie wierzę w to! – Barin sięgnął po dłoń Esmay. – Jak możecie wierzyć strzępkowi papieru wetkniętemu w książkę dla dzieci!

– To nie jest książka dla dzieci.

– Wszystko jedno, jaka książka. Jak możecie wierzyć, że prawda była tak długo ukrywana i wychodzi na światło dzienne akurat teraz, by powstrzymać mnie od poślubienia Esmay?

Wszyscy zaczęli mówić jednocześnie, ale Barin przekrzyczał ich.

– Nie obchodzi mnie to! Nie obchodzi mnie to, że ona jest z Altiplano. Nie

obchodzi mnie, że ten kawałek papieru mówi, iż w jej rodzinie setki lat temu byli mordercy. A czy wszyscy Serrano są święci? Kocham ją i podziwiam, i zamierzam się z nią ożenić, nawet jeśli będę musiał wyrzec się rodziny!

– Barin, nie! – Esmay chwyciła jego drugą rękę. – Poczekaj, musimy się dowiedzieć...

– Ja już wiem wszystko, czego mi potrzeba – powiedział, patrząc jej w oczy. – Kocham cię, a ty jesteś wierna, szczerą i dzielną i kochasz mnie. Tylko to ma znaczenie, a nie to, co wtedy zaszło.

– Złożono przysięgę... – powiedziała Vida.

Barin odwrócił się do niej i teraz Esmay zauważyła rodzinne podobieństwo.

– Czy wszystkie przysięgi są warte dotrzymania? Nie to mi mówiłaś, babciu, gdy przysiągłem dotrzymać sekretu Misi. Powiedziałaś, że są przysięgi i przysięgi, i że mądra dusza przysięga tylko w słusznych sprawach. Dlatego tak rzadko to robimy.

Przez chwilę Esmay miała wrażenie, że Vida zacznie krzyzczeć, ale gdy się odezwała, jej głos był cichy.

– W takim razie musimy dowiedzieć się prawdy, wnuku, niezależnie od tego, czy prawdziwa jest wersja znana nam, czy Suizom. Jeśli bowiem wreszcie poznaliśmy nazwiska tych, którzy zabili naszych patronów, nie widzę możliwości trwania pokoju między nami.

– Ale obowiązuje nas przysięga wobec Familii – odezwała się Heris Serrano. – Wciąż przypominacie o tym innym rodzinom Floty. Czy chcecie, żeby Serrano zniszczyli Flotę, a może również Familie, tylko z powodu zemsty za grzechy sprzed wieków?

Zapadła nieprzyjemna cisza, w której Esmay niemal słyszała nie wypowiedziane na głos argumenty o randze, stanie służby i doświadczeniu bojowym. Przerwał ją Barin.

– To nie ma znaczenia. Ożenię się z Esmay niezależnie od tego, co powiecie.

– Pytanie brzmi, czy ona będzie chciała wyjść za ciebie, czy nie zdradzi cię tak, jak jej przodkowie? – zapytał jakiś starszy Serrano.

– Nonsens – ucięła Heris. – Pytanie brzmi, czy ona go kocha?

To spowodowało kolejną falę zgietku; najczęściej słysząc było stwierdzenie „miłość to nic więcej jak hormony” albo „miłość to coś więcej niż hormony”. Wszystko to niczym nożem przeciął przenikliwy sygnał alarmu z komunikatora.

Ktoś na drugim końcu pokoju podniósł słuchawkę i zapadła całkowita cisza, tłumiąc spory na temat miłości i honoru. Ludzie odwracali się w stronę rozmawiającego.

W końcu i Esmay zobaczyła Serrano, którego jeszcze nie miała okazji poznać. Stał z jedną ręką wyciągniętą w geście uciszenia i słuchał z poszarzałą twarzą. W końcu z przesadną starannością odłożył słuchawkę.

– Bunt. Doszło do buntu na Copper Mountain. Buntownicy mają już dziesięć statków.

– Co?!

– Cofnięto wszystkie przepustki, cały personel ma natychmiast zgłosić się do swoich jednostek. – Odszukał wzrokiem Vidę Serrano. – Sir, ściągają z powrotem zawieszonych admirałów. Ma pani udać się najszybszym statkiem do Dowództwa.

– Kto?! – zawołała Heris. – Dowiedziałeś się, kto to zaczął?

– Pierwszym statkiem był *Bonar Tighe*, ale zdobyli bazę orbitalną Copper Mountain dzięki więźniom z Trzeciego Czubka, gdzie komendantem była niejaka Bacarion.

– Bacarion... – Heris zastanawiała się przez dłuższą chwilę. – Służyła u Lepescu. Była jednym z oficerów w jego biurze. To znów ta banda, nasza mała prywatna Krwawa Horda. A wiecie, jak ci od Lepescu odnoszą się do Serrano.

Barin podniósł Esmay z sofy i otoczył ją ramionami.

– Kocham cię i ożenię się z tobą – wyszeptał jej do ucha. – I nie powstrzyma mnie ani babka, ani historia, ani bunty czy cokolwiek innego.

Ona też go objęła i stali tak długą, cudowną chwilę, obojętni na cały świat, nie zwracając uwagi na to, że po pokoju chodzą ludzie, a drzwi otwierają się i zamykają. W końcu ktoś głośno chrząknął.

– Już wiemy, co czujecie – powiedziała Vida Serrano – ale w tej chwili lepiej przebierzcie się w mundury i ruszajcie.

Esmay oderwała głowę od ramienia Barina i rozejrzała się. Wokół widziała same mundury; Serrano z walizkami i torbami jeden za drugim wyłaniali się z bocznych pokoi i kierowali w stronę wind.

– Kocham go – powiedziała, patrząc Vidzie prosto w oczy. – Nie jestem zdrajcą i nie skrzywdzę go.

Vida westchnęła.

– Stawka jest znacznie większa niż szczęście was dwojga – powiedziała. – Ale mam nadzieję, że wam się uda.

Barin skierował się do swojego pokoju, a Esmay do swojego, gdzie przebrała się szybko w wygnieciony mundur; nie miała nawet czasu wyprasować go. Popatrzyła na ubrania Dolcenty, zastanawiając się, czy zostawić je tu na łóżku, ale potem przypomniała sobie, że widziała ją wychodzącą w mundurze w towarzystwie jeszcze dwóch osób. Wpakowała je więc do swojej torby – może spotka się z Dolcentą na jakimś statku – przecesała potargane włosy i wyszła. Barin już na nią czekał. W korytarzu ostatni Serrano stali przy rurze windy.

– Nigdy więcej nie będę narzekała na konieczność wzięcia udziału w nudnym spotkaniu rodzinnym – powiedziała jedna z nich, kobieta około czterdziestki, i rzuciła

Esmay spojrzenie z ukosa. – Najpierw okazuje się, że zwykle poznanie potencjalnej małżonki przekształca się niemal w lincz nad odwiecznym wrogiem, a potem ten bunt. – Rozległy się nerwowe chichoty pozostałych. – Czy to ty, moja droga, czy zetknięcie się Heris i Vidy wygenerowało taki potencjał?

– O tak – zgodził się jakiś młodzieniec o wyglądzie mola książkowego. – Zdecydowanie mocno iskrzyło.

– Ona o tym wie. – Kolejne badawcze spojrzenie sprawiło, że Esmay zarumieniła się. Otworzyła się jedna z rur, więc wcisnęli się do środka i zaczęli opadać tak szybko, że Esmay poczuła, jak jej żołądek próbuje uciec przez gardło.

Hotelowe foyer pełne było kobiet i mężczyzn w mundurach ZSK; część próbowała się wymeldować w recepcji, a reszta tłoczyła się przy wyjściu.

– Nie martwcie się o wymeldowanie – odezwał się ten sam mężczyzna, co wcześniej. – Ja się tym zajmę. To moja praca.

– To kuzyn Andy – powiedział Barin. – Administracja. Chodźmy.

* * *

Całą drogę do bramy Floty przebyli w tłoku. Na wszystkich mijanych po drodze ekranach wyświetlano wiadomości; komentatorzy z zafrasowanymi minami mówili na tle scen z Copper Mountain. Koło każdego wyświetlacza zbierały się grupki ludzi.

Na kolejnych przystankach do środka kolejki wsiadało coraz więcej ludzi w mundurach. Esmay zaczęła nawet zastanawiać się, jak oni wszyscy dostaną się tam, dokąd lecą. Odpowiedź otrzymała przy bramie Floty.

W miarę jak przychodzący przekraczali bramę, dzieleni byli na załogi i tranzytowych. Załogi zadokowanych do stacji okrętów kierowały się bezpośrednio do swoich jednostek, a tranzytówców dzielono ze względu na specjalność i stopień. Po kilku godzinach Esmay i Barin mieli już nowe rozkazy. Wysyłano ich liniowcem cywilnym, by dołączyli do grupy bojowej tworzącej się na Copper Mountain. Przeszli do odpowiedniej poczekalni, gdzie zastali jeszcze osiemnaście osób z Floty czekających na *Cecily Marie*. Zanim weszli na pokład, przybyło jeszcze trzynaście osób, a grupka wściekłych cywilów zaczęła głośno skarżyć się agentowi przy bramie.

– Witamy na pokładzie, proszę zająć miejsca, później pokażemy państwu kabiny... – Steward wyglądał na spiętego, i miał ku temu powody. Trzydzieści trzy osoby z Floty zabrane w ostatniej chwili, bunt we Flocie i kto wie, co jeszcze? Esmay i Barin usiedli razem w sali widokowej i dziewczyna zaczęła się zastanawiać, czy on czuje się tak samo dziwnie jak ona. Pewnie nie. Zeszła ze statku niecałe sześć godzin temu i już jest z powrotem.

Najstarszym oficerem na pokładzie był komandor Deparre, który szybko zorganizował wszystkich tak, jakby statek należał do Floty, a nie był jednostką cywilną.

Esmay przez chwilę miała nadzieję spędzić trochę czasu z Barinem – czasu, którego wciąż nie mieli – jednak komandor Deparre chciał uświadomić im powagę sytuacji i upewnić się, że będą dbali o reputację Floty.

Zdaniem Esmay cywile na pokładzie *Cecily Mare* byli bardziej przestraszeni niż uspokojeni sposobem, w jakim komandor Deparre rządził swoją grupą. Sprawiali wrażenie spiskowców planujących przejęcie statku – zawsze razem w grupie, zawsze z dala od innych... Komandor Deparre był zachwycony możliwością przewodzenia; jak się okazało, normalnie odpowiadał za kontrolę żołądów w Dowództwie Sektora Cztery. Obarczył Esmay odpowiedzialnością za kobiecy personel – była najstarsza stopniem wśród kobiet – i uparł się, że należy postawić pod drzwiami ich kwatery strażników, żeby bronili je przed intruzami.

– Ależ, sir...

– Nie możemy pozwolić sobie na najmniejsze niedopatrzenie, poruczniku – oświadczył stanowczo. Stojący za jego plecami Barin przewrócił oczami, ale Esmay bardziej miała ochotę krzyczeć niż się śmiać. Dziewice, których czci miała pilnować, były, z wyjątkiem jednej ze stopniem starszego szeregowego, starsze od niej, a dwie z siedmiu podróżowały razem z mężami. Ale mimo to komandor Deparre upierał się, że byłoby „niestosowne”, gdyby dzieliły kabiny z mężami, choć właściwie nie chciał wyjaśnić przyczyny, a Esmay nie potrafiła jej zrozumieć.

Na szczęście starsze kobiety rozumiały, że za kaprysy oficerów w rodzaju Deparre nie należy obwiniać ich podkomendnych i że protesty są bezcelowe. Znacznie więcej kłopotów sprawiały kapral i sierżant, które wybrały sobie adoratorów spośród cywilów i nieustannie próbowały się z nimi spotykać.

Esmay i Barin siedzieli osobno nawet w czasie posiłków, ponieważ komandor uważał, że kobiety powinny jeść przy innym stole. Mogli rozmawiać dwa razy w ciągu dnia przez pół godziny, gdyż zdaniem komandora Deparre było to konieczne do podtrzymania kontaktów towarzyskich i odróżniało oficerów od poborowych. A tymczasem poborowi mogli rozmawiać do woli, bez obecności oficera. Co gorsza, Deparre... uważał za swój obowiązek porozmawiać z każdym ze „swoich” oficerów przynajmniej raz dziennie.

– Nic nie trwa wiecznie – powiedział Barin. – Nawet ta podróż kiedyś się skończy.

– Przy naszym szczęściu wylądujemy na tym samym statku, co komandor Deparre, do czasu zakończenia naszej kariery.

– Nie... Jestem pewien, że on wróci do księgowości.

– Mam nadzieję.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Stary pałac, Castle Rock

– Bunt?! – Hobart Conselline wbijał wściekły wzrok w twarz na ekranie. – Co pan ma na myśli, mówiąc o buncie?

– Copper Mountain, milordzie. Buntownicy przejęli cały układ.

– Copper Mountain jest bardzo daleko – Hobart nie miał pojęcia, jak bardzo – a poza tym to przecież baza szkoleniowa, więc pewnie chodzi o bandę niezadowolonych rekrutów, którymi nie warto się przejmować. – Kto dowodzi?

– Milordzie?

Otoczają go sami idioci.

– Kto dowodzi Copper Mountain? Tamtejszą bazą? – Najpierw było tępe spojrzenie, a zaraz potem paplanina o Bazie Głównej, jakimś obozie i jakiejś wyspie. – Nieważne, po prostu otoczcie ją kordonem.

– Kordonem, milordzie?

Czy naprawdę musi wszystko wyjaśniać? To rzekomo są wojskowi.

– Odetnijcie ich – powiedział stanowczo. – Blokada, kordon czy jak wy to nazywacie. Po prostu ich odizolujcie, a szybko skończą się im zapasy.

Na ekranie pojawiła się inna twarz, tym razem nieco starsza.

– Mówco, pan nie rozumie. Bunt rozpoczął się w Copper Mountain, ale buntownicy kontrolują już cały układ. Mają stację orbitalną i system obrony; wiemy o przechwyceniu co najmniej dziesięciu okrętów. To wystarczy, by zaatakować inne stacje orbitalne albo nawet jedną ze słabiej bronionych planet.

– Ale czemu mieliby to zrobić?

– Nie wiemy, lordzie Conselline, a nie znając ich planów, musimy podjąć kroki niezbędne do obrony najbardziej narażonych na atak skupisk ludności.

– Do diabła z nimi! Chcę wiedzieć, kogo reprezentują! I to natychmiast!

– Milordzie, podstawową sprawą jest zabezpieczenie...

– Założę się, że to Barracloughowie albo Serrano.

Twarz na ekranie zeszywniała.

– Nie mamy żadnych informacji...

– To się dowiedz. Mam niezwłocznie otrzymać raport. – Wyłączył komunikator i obrócił krzesło tak gwałtownie, że uderzył kolanem o biurko i aż zaparło mu dech. Do diabła z nimi. Zadowoleni z siebie, protekcyjnalni... Wszystko, czego chcą, to wymościć sobie wygodne gniazdko. Zawsze wyczuwał wokół siebie jakby lepłą sieć konspiracji, czyjąś wrogość i opór. To niesprawiedliwe. Czemu nie mogą zrozumieć, że

jest jedyną osobą, która może poprawić los prawdziwych Familii Regnant? Dlaczego nie pojmują jego wizji ciężko pracujących dam i lordów oraz wdzięcznych mniejszych rodzin i robotników, dla których on zapracowuje się na śmierć? Czemu zawsze muszą się kłócić, spierać, protestować i narzekać? Gdyby tylko robili to, co im każe, bez kłótni i protestów, rząd działałby sprawnie i szybko reagował na wszelkie kryzysy.

Ale nie. Oni pozwalają, by kierowała nimi nadmierna ambicja, samolubstwo i głupia duma. Sabotują wysiłki, które on podejmuje po to, by ocalić Familie Regnant. Poczul w oczach łzy. Miał ochotę zrezygnować, aby sami się przekonali, w jakim bagnie znajdują się bez niego. Bez wątpienia zrobił to, co mógł, i zasłużył na chwilę wytchnienia. Ale nie, pozostanie na stanowisku, wypełni swój obowiązek, jak zawsze. Pozbędzie się leniwych spiskowców, którzy śmieją się z niego za plecami, i ocali kraj choćby wbrew niemu.

Wywołał połączenie – nie będzie działał przez tego Poissona o kwaśnej twarzy – i zażądał od sekretarza ministra obrony rozmowy z jego przełożonym.

– To potworne – odezwał się tamten już w chwili, gdy jego twarz pojawiła się na ekranie.

– Nawet nie zaczynaj – uciął Hobart. – Nie dostałem żadnej pomocy z biura Głównodowodzącego.

– Są zdenerwowani. Wie pan, lordzie Conselline, że Głównodowodzący przed zawieszeniem pozostałych oficerów flagowych miał zaledwie jedną gwiazdkę.

– Nie tłumacz się, Ed! Buntownicy nie rodzą się z powietrza. Chcę wiedzieć, kto jest za to odpowiedzialny. Nazwiska, daty, wszystko. Polecą głowy. Słyszysz mnie, Ed?

– Oczywiście, lordzie Conselline. Jak tylko będę coś wiedział, zgłoszę...

– Wiesz, że mam wrogów – przerwał mu Hobart – którzy chcieliby mnie przedstawić w złym świetle. Mógłbym wymienić parę nazwisk.

– We Flocie, milordzie?

– Niezupełnie, choć z tego, co wiem, Serrano byli dość blisko lorda Thornbuckle'a i jego córki. Czy nie brali udziału w jej ratowaniu, rażąco nadużywając zasobów rządowych?

– Tak, milordzie. Ale wśród załóg statków biorących udział w buncie nie stwierdzono jak dotąd obecności żadnego Serrano. Prawdę mówiąc, spora ich grupa brała wtedy udział w spotkaniu rodzinnym.

– To oczywiste alibi.

– Z tego, co wiem, było to przyjęcie zaręczynowe. Milordzie, Flota poprosiła mnie o zgodę na przywrócenie do aktywnej służby wszystkich oficerów flagowych i oczywiście przystałem na to.

– Czemu?

Mężczyzna popatrzył na niego tępo.

– Ponieważ ich potrzebujemy, milordzie. Skoro część Floty się zbuntowała, potrzebujemy lojalnych oficerów, szczególnie w strukturach dowodzenia.

– Skąd pan wie, że są lojalni? Skąd pan wie, że nie przygotowali tego buntu tylko po to, żeby przywrócono ich na ciepłe posadki?

– Lordzie Conselline, nie ma żadnych dowodów...

– Jeśli zamierzasz się ze mną kłócić, Ed... – zaczął Hobart, czując narastającą wściekłość.

– Milordzie, nie kłóć się, zwracam panu tylko uwagę na znane nam fakty.

– I nie wiesz niczego, co byłoby warte złamanego kredytu! – Hobart przerwał połączenie i zaczął tak energicznie obracać się na fotelu, że o mały włos uderzyłby się ponownie w kolano. Otaczają go kompletni idioci. On stworzył tego człowieka. Uczył go, kształtował i wprowadził go do rządu, a teraz spotyka go taka niewdzięczność. Niesubordynacja, niekompetencja...

Oczywiście może go zwolnić, ale kogo miałby przydzielić na jego miejsce? Nikt nie spełnił pokładanych w nim nadziei. Zamiast pracować z nim, pomagać mu i go popierać, wszyscy zachowują się jak rozkapryszone primadonny. Czy mógłby znaleźć kogoś lepszego?

* * *

– Goonar, obudź się! – Goonar przeturlał się na drugi bok i spojrzał ponuro na kuzyna.

– Nie jestem na służbie. Ktoś inny zajmuje się statkiem. Odejdź.

– Goonar, słuchaj, właśnie przechwyciliśmy raport o najwyższym prioritycie.

– Czy Laisa zwariowała? Jeśli będziemy przechwytywać dane Floty, to oni...

– Doszło do buntu, Goonar.

– Buntu?

– Wiadomo o dziesięciu statkach; wszystkie są w układzie Copper Mountain. Kto wie, ile jest w innych miejscach.

– Jawny bunt? – Obudził się zupełnie, a żołądek ścisnął mu się w supeł.

– Tak napisali. Statek wysłał promy szturmowe do więzienia na planecie, wziął bandę niebezpiecznych kryminalistów i użył ich do zdobycia stacji orbitalnej. Potem przejęli systemy komunikacyjne i obronę, deklarując, że od tej chwili system stał się częścią Społeczeństwa Naturalnych Ludzi.

– I kto to niby miałby być? – Nie przypominało to niczego, z czym zdarzyło mu się zetknąć. Naturalni Ludzie? Co oni takiego robią? Biegają nago i jedzą surowe ryby?

– Przypuszczam, że to część tych krwiożerczych zbirów, którzy kręcili się przy admirale Lepescu. Pamiętasz tego łysego faceta w barze, który się upił i chciał nam

wtedy pokazać swoje trofea? I co powiedział nam Kaim?

– Lepescu nie żyje – przypomniał mu Goonar.

– Ale podłość nie znika wraz ze śmiercią jednego człowieka. – Basil niecierpliwie wzruszył ramionami. – Zastanawiam się, co z Kaimem, czy przypadkiem w to się nie wmieszał.

– Powiedziałby nam... rodzinie...

– Wyobrażasz sobie prawdziwych spiskowców wtajemniczających Kaima? Jest tak pewien, że nie można go oszukać, jak człowiek pokazujący kieszonkowcom, gdzie chowa portfel. Nie chciałbym, żeby Terakianowie byli w to zamieszani, nawet przypadkiem.

– Bardziej martwię się o resztę rodziny. Bunt we Flocie strasznie namiesza w harmonogramach dostaw, łącznie z naszymi. Już wcześniej sytuacja nie była ustabilizowana.

– Dlatego właśnie cię obudziłem. Bawimy się w przeskakowanie pętli z *Terakian Harvestem*, a Laisa mówi, że jesteśmy prawie w zasięgu więzki.

– Nie musimy podłączać rury, prawda? – zapytał Goonar. Nienawidził rur transferowych służących do przechodzenia między statkami jeszcze bardziej niż wrywania go ze snu.

– Nie. Albo raczej ty nie. Ja muszę. Ale chcę z tobą rozmawiać.

Goonar jęknął, stoczył się z koi i energicznie potrząsnął głową. Zdecydowanie nie wyspał się i mógłby walnąć Basila za sam jego rzeński i przytomny wygląd.

Stojąca na mostku *Flavora* Lisa uśmiechnęła się do niego.

– Interesujące czasy, Goonar.

– Nigdy nie modliłem się o interesujące czasy – burknął. Chciał tylko w spokoju przeżyć życie, móc wspominać obiad przy stole na Caskadarze, ciepłe światło lampy, zapach jedzenia, słodkie głosy dzieci... Westchnął i połączył się z oficerem komunikacyjnym *Hamesta*.

– Twoja ocena, Goonar?

Jak może zaprezentować swoją ocenę, skoro ledwie się obudził?

A jednak choć miał problemy z mówieniem, czuł, jak trybiki w jego mózgu coraz szybciej się kręcą.

– Jaki macie ładunek?

– Klasa D. Wolframowe łuski w ładowni numer cztery i plastyczne materiały wybuchowe w trójce, reszta bez znaczenia.

– Co jeszcze? – Nigdy nie chcieli mówić wszystkiego, ale to właśnie drobiazgi mogły mieć wpływ na jego przewidywania co do zysków.

– Najmodniejsze oprogramowanie, towary hydrauliczne – plastikowe złącza, trochę zaworów i spora paczka pomp zasilanych światłem słonecznym – kontener

kostek danych i dwie bele nie barwionego syntjedwabiu.

Goonar z doświadczenia wiedział, że kostki i jedwab nie znalazły się w manifeście. Osobista własność załogi, nie na sprzedaż... chyba że z odpowiednim zyskiem.

– Dobrze. Wasz cel i trasa?

Odpowiedź nadesłała wprost do jego komputera.

Przyjrzał się danym i pozwolił dalej pracować trybikom w mózgu. I nagle, gdy Basil – już w kombinezonie – pomachał mu od wejścia na mostek, oświeciło go.

– Xavier.

– Co? Wcale nie znajduje się na naszej liście!

– Wiem, ale założę się, że potrzebują klasy D, a w zeszlotygodniowych dyrektywach Floty zostali oznaczeni jako cel priorytetowy. Nikt nie chce tam latać.

– Ja też nie!

– Właśnie że chcesz. To daleko stąd i w przeciwną stronę niż do Copper Mountain. Tam nie ma niczego, co pociągałoby buntowników: żadnych statków do ograbienia, fabryk broni do złupienia ani handlu do oskubania. Jest tam obecna Flota, a po tym, co się stało ostatnio, założę się, że to tylko najbardziej zaufana załoga. To świat rolniczy, hodują zwierzęta i mają minimalnie rozwinięty przemysł. Xavier wciąż się odbudowuje; przyda im się wyposażenie hydrauliczne. Używają mnóstwa syntjedwabiu i mają własne farbiarnie. Później polecicie do Rotterdamu. To też świat rolniczy i handlują trochę z Xavierem.

– A co z oprogramowaniem dla projektowania mody? Trudno znaleźć na nie zbyt.

– Prześlijcie je do nas, a ja przekażę następnemu, którego spotkamy, kiedy sytuacja trochę się ustakuje.

– Jeśli kiedykolwiek to tego dojdzie. No dobrze, w drogę.

Liniowiec Double-Sun, Cecily Marie

Na stacji Chinglin surowy komandor został wysłany w jedną stronę, a jego podkomendni z ulgą skierowali się na inny statek. Barin i Esmay skorzystali z okazji, by zatrzymać się w kawiarni obok holu prowadzącego z sal przylotów po cywilnej stronie do bramy Floty, gdzie mieli wejść na pokład OSK *Rosa Gloria*. Mieli dla siebie niecałe dwie godziny samotności – o ile można było użyć tego słowa – ale i tak było to znacznie lepsze niż apartament pełen Serrano lub czujne oko komandora.

– Jesteśmy jak Rondin i Gillian – powiedziała Esmay. Czowała się jak dziecko, siedząc na wysokim stołku barowym, machając nogami i jedząc lody.

– Masz na myśli Romeo i Julię – poprawił ją Barin. – To Shakespeare, bardzo stare.

– Nie, wcale nie. Miałam na myśli Rondina i Gillian. Kim byli Romeo i Julia?

– Musiałaś o nich słyszeć; może w twojej wersji zmieniono imiona. Monteki i Capuleci, tradycyjni wrogowie. Pojedynki, wygnanie, a na końcu śmierć...

– Nie, wcale nie.

– Ależ tak, oni zmarli. Ona zażyła środek, który sprawił, że wyglądała jak martwa, a on pomyślał, że ona naprawdę nie żyje, i zabił się. Kiedy ona obudziła się i znalazła jego ciało, także popełniła samobójstwo. – Barin nabrał na łyżeczkę kolejną porcję lodów. – Tragiczne, ale głupie. Mógł zapytać lekarza, choć mój nauczyciel powiedział, że kiedy pierwszy raz opowiedziano tę historię, nie było jeszcze dobrych lekarzy.

– Rondin nie zginął – powiedziała Esmay. – Spotkałam go.

Barin wbił w nią zdumione spojrzenie.

– Ty mówisz o prawdziwych ludziach?

– Oczywiście. Rondin Escandera i Gillian Portobello. Ich ojcowie pokłócili się lata wcześniej i zabronili im się pobrać.

– Czemu?

– Nie wiem. Nikt mi nie mówił, jak byłam dziewczynką, choć myślę, że mój tata wiedział. To wszystko było takie podniecające... Rondin przejeżdżał przez nasze ziemie, żeby spotkać się z Gillian, ponieważ jej ojciec wysłał ją do mojej prababki, żeby wybiła jej chłopaka z głowy. Wtedy właśnie ją spotkałam. Byłam dzieckiem, a ona młodą kobietą. Potem którejś nocy przyjechał Rondin i ona uciekła przez okno.

– Skąd wiedział, gdzie jej szukać?

– Wszyscy wiedzieli, jej ojciec nie robił z tego tajemnicy.

– Była piękna?

– Miałam wtedy dziewięć, może dziesięć lat. Nie znałam się jeszcze na urodzie. Była dorosłą kobietą, która chciała ze mną rozmawiać, tylko tyle wiem.

– I co się stało?

– Och, jej ojciec przyjechał i nawrzeszczał na mojego tatę i prababkę. A prababka i wuj wrzeszczeli na niego. Ja przez cały czas chowałam się w swoim pokoju, żeby nikt nie zadawał mi niezręcznych pytań.

– A co ty wiedziałaś?

Esmay wyszczerzyła zęby.

– To ja dostarczałam im wiadomości. Nikt nie zwracał uwagi na chudą dziewięciolatkę, która lubiła samotnie włóczyć się po wzgórzach. I wiedziałam, dokąd uciekli. Moja prababka próbowała odwieść Gillian od tego – powiedziała, że to hańba dla obojga – ale w końcu dała im pozwolenie na zamieszkanie na naszych ziemiach na południu. W tym języku nie ma na to właściwego słowa, ale oni są pod ochroną Suizów i podlegają naszemu prawu. Nie posiadają ziemi.

– Są szczęśliwi?

– Nie wiem, nigdy więcej o nich nie słyszałam. Ale chodzi mi o to, że jesteśmy

właśnie tacy jak oni. Nasze rodziny sprzeciwiają się małżeństwu i musimy wybierać między rodzinami a nami.

– Nie chcę cię stracić.

– Ani ja ciebie.

– To niesprawiedliwe obwiniać ciebie za to, co zrobił jakiś twój przodek.

– Jeśli faktycznie to zrobił... – powiedzieli równocześnie.

– Z tego, co wiadomo – powiedziała Esmay – jestem w tej chwili ostatnią żyjącą osobą z tego rodu, niezależnie od tego, jak się nazywał. Może powinni się cieszyć zamiast mnie nienawidzić.

– Oni wcale cię nie nienawidzą, po prostu są zaskoczeni. Zresztą to wszystko i tak wina Personelu. – Wyciągnął rękę i dotknął jej włosów, tak delikatnie, że ledwie to poczuła. Było to ryzykowne w miejscu publicznym; czuła, jak się czerwieni.

– Wina Personelu?

– No cóż, gdyby nie wycofali z aktywnej służby odmłodzonych admirałów, babka nigdy nie nudziłaby się aż tak bardzo, żeby grzebać w rodzinnych archiwach. Wyobraź sobie, że zaczęła przeglądać książki dla dzieci.

Esmay nie mogła powstrzymać się od chichotu.

– Pewnie siedziała na ławce. Jest tam ławka?

– O tak, założę się, że siedziała na ławce i patrzyła na jezioro. Potem poszła na spacer. Potem przeczytała wiadomości, a później uznała, że powinna zrobić coś pożytecznego...

– Na przykład czytać książeczki dla dzieci. – Trudno było wyobrazić sobie budzącą respekt admirał Serrano czytającą książeczki dla dzieci. Faktycznie musiała bardzo się nudzić.

– Ale ja nie chcę czytać książeczek dla dzieci. – Barin posłał jej przeciągłe spojrzenie.

Zapatrzyła się w pucharek z lodami, starając się nie zaczerwienić. Doskonale wiedziała, czego oboje chcą.

– Esmay, wszystko sprzysięgło się przeciwko nam; obie rodziny, bunt, może wojna, cały wszechświat próbuje powstrzymać nas od pobrania się. Są tacy pewni, że wiedzą, czemu nie powinniśmy tego robić, a co powinniśmy zrobić, żeby być szczęśliwi za dziesięć, dwadzieścia czy pięćdziesiąt lat. Ale ja chcę się z tobą ożenić. Czy wciąż chcesz za mnie wyjść?

– Tak.

– W takim razie zróbmy to. Bez względu na rodziny, bunt, wbrew rozsądkowi... zróbmy to.

Zalała ją fala oszłamiającej radości.

– Tak, och tak! Ale jak?

– Jeśli nie uda się nic innego, potrzymamy dłonie nad świecą, ale mamy jeszcze godzinę – a może nawet więcej – zanim przyleci statek. Jeśli jej nie zmarnujemy...

– Chodźmy.

Kiedy sprawdzili na tablicy, okazało się, że do startu *Rosy Glorii* zostały jeszcze siedemdziesiąt dwie minuty. Siedemdziesiąt dwie minuty. Trzydzieści trzy minuty zajęło im znalezienie urzędnika mającego prawo przeprowadzać ceremonie. Przekonanie go, by to zrobił – oboje mówili naraz, pokazując swoje dokumenty i wszystkie druczki – trwało kolejne dwadzieścia sześć minut. Zostało tylko trzynaście minut... Stali, trzymając się za ręce, a urzędnik odczytywał formułki najszybciej jak potrafił, po czym dodał coś, co jak przypuszczała Esmay, było w jego religii błogosławieństwem. Podpisanie, opieczętownienie i poświadczenie różnych dokumentów zajęło jeszcze osiem minut, po czym oboje popędzili do sekcji stacji zajmowanej przez Flotę.

– Jesteśmy szaleni – powiedział Barin, gdy przepuszczono ich przez bramę Floty. Jego dłoń była jak przy spawana do jej dłoni.

– Kocham cię – wydyszała Esmay. – Ja... Niech szlag to trafi, jest już na żółtym...

– Biegiem. – Trzymając się za ręce, pognali przed siebie. Mijani ludzie oglądali się za nimi; niektórzy nawet krzyczeli, ale ich to nie obchodziło. Dotarli do drugiego końca rury wejściowej w chwili, gdy światło z żółtego zmieniło się na czerwone i mocno zde gustowana bosmanmat musiała zablokować wjazd, żeby ich nie zmiażdżył.

– Witam na pokładzie... sir. – Jej ton mógłby zamarynować rybę na całe stulecie.

Za nią zaś stał major. Esmay wyciągnęła dłoń z uścisku Barina i oboje zasalutowali.

– Pepek Serrano i porucznik Suiza, jak przypuszczam?

– Tak jest, sir. – Nie miała czasu zastanawiać się, czy powinna zmienić nazwisko.

– Dotarliście w ostatniej chwili. Już prawie zgłosiliśmy was jako potencjalnych buntowników.

– Nas? – zapytał z oburzeniem Barin.

– Was – potwierdził major. – W ten sposób traktujemy ludzi, którzy się nie zgłaszają. Czego się pan spodziewał?

– Sir, chcielibyśmy zgłosić zmianę statusu.

– My? – Uniósł brwi.

– My – odpowiedział stanowczo Barin.

– Podejrzewam, że ma pan na myśli zmianę statusu, która może mieć wpływ na zakwaterowanie – rzekł major i przewrócił oczami. – No dobrze. Na razie przydzielamy tymczasowo oficerom obowiązki na pół wachty. Będziecie na drugiej wachcie, od tej chwili za pół zmiany. Zobaczmy... Poruczniku Suiza, po sformowaniu grupy bojowej spotkamy się z *Navarino* i wróci pani na ten statek; w tej chwili jest w skoku. Pepek

Serrano, pan miał opuścić *Gryfakona*, ale statek, na który pana przydzielono, przeszedł na stronę buntowników, a więc pański przydział wciąż nie jest rozstrzygnięty.

– *Goshawk* przeszedł na ich stronę?

– Tak słyszałem.

– Ale on nie był nawet w pobliżu Copper Mountain.

– Serrano, nie wiem nic więcej niż wam powiedziałem. Teraz możecie poczekać na kapitana w mesie młodszych oficerów.

– Tak jest, sir.

Mesa młodszych oficerów przypominała mrowisko pełne chorążych, pepeków i poruczników, znacznie bardziej zainteresowanych ostatnimi wiadomościami niż osobistymi sprawami. Kiedy tylko dowiedzieli się, że Barin i Esmay nie spędzili dwóch godzin na stacji przed ekranami z wiadomościami, wrócili do powtarzania sobie plotek. Barin i Esmay mogli więc siedzieć razem w kącie pomieszczenia, ramię w ramię, i czekać w kolejce na wezwanie do kapitana.

– Co zrobiliście?! – zapytał kapitan Atherton.

– Pobraliśmy się, sir – powtórzyła Esmay. Jako starsza stopniem to ona poinformowała o tym kapitana.

– Ale... nikomu nie powiedzieliście.

– Nie, sir. – Nie miało znaczenia, że jej przełożony, tak samo jak Barina, doskonale wiedział o ich związku.

– Nawet nie wypełniliście wszystkich dokumentów.

– Nie, sir. – Wolą nie wdawać się w wyjaśnienia, podobnie jak wskazywać na fakt, że ich dokumenty nie zostaną uzupełnione w najbliższej przyszłości.

– Wiecie, że to może zostać unieważnione przez Personel.

– Tak jest, sir. – Personel może unieważniać wszystko, co chce, ale w swoim sercu jest poślubiona i nic nie może tego zmienić.

– Musicie oboje mieć siano zamiast mózgów, żeby wyciąć taki numer w takiej sytuacji.

– To jest właśnie powód, sir. Dzieją się różne rzeczy i chcieliśmy...

– To nie jest kostka z romanssem, poruczniku. Jesteśmy na okręcie w czasie wojny. Nie obchodzi mnie to, czy się kochacie, czy też ktoś nasypał wam czegoś do mleka. Nie mamy na to czasu. Nie powinniście nawet być na tym samym statku.

Esmay rzuciła ukradkowe spojrzenie Barinowi, który odpowiedział jej tym samym. Nie byli na tym samym statku od czasu *Koskiusko*.

– Czemu nie mogliście po prostu zaliczyć namiętnego seksu i dać sobie spokój? Czemu musieliście się pobierać? – Atherton zwrócił się do Barina. – Czy ma pan pojęcie, co zrobi ze mną pańska babka, kiedy się o tym dowie?

– To nie pańska wina, sir. – Barin miał nieco ponurą minę, i Esmay wiedziała, o czym myśli. To nie kapitan tego statku będzie musiał znosić gniew admirała Serrano.

– Nie, to nie jest moja wina, ale będzie mnie obwiniać o to, że was nie powstrzymałem. Wy... nie żartujecie, prawda?

– Nie, sir – odpowiedzieli.

– To dobrze. Nie lubię, kiedy ktoś się ze mnie śmieje. – Pokręcił głową. – Takie rzeczy zdarzają się w każdym kryzysie. Nie wiem, co takiego jest z wami, młodzikami – a pani, poruczniku Suiza, jest już trochę za stara na zaliczanie do tej kategorii – że za każdym razem, gdy dochodzi do kryzysu wojskowego, znajdzie się jakaś grupa, która kończy w małżeństwie. To musi być jakiś atawistyczny instynkt z wczesnych lat ludzkości.

– To wcale nie tak. Nie spieszyliśmy się. Czekaliśmy i czekaliśmy, wypełnialiśmy dokumenty i spieraliśmy się z rodzinami... – Esmay wiedziała, że mówi za dużo, ale tym razem nie mogła się powstrzymać.

– A potem babka powiedziała coś naprawdę paskudnego – dodał Barin. Esmay rzuciła mu ostrzegawcze spojrzenie.

– Zaraz potem dowiedzieliśmy się o buncie i wszyscy wokół zaczęli pędzić...

– Hmm... I pobraliście się, ponieważ wasze osobiste szczęście jest ważniejsze niż wszystko inne.

– Równie ważne – poprawił go Barin. – Sir, nie sądzę, że bycie nieszczęśliwym może czynić człowieka bardziej wydajnym, a my byliśmy bardzo nieszczęśliwi z powodu rozdzielenia nas i niemożności pobrania się.

– A więc będziecie lepiej pracować, pozostając razem?

– Tak myślę – odpowiedział Barin.

– Dobrze. Udowodnijcie to. Chcę was zobaczyć w chwili rozpoczęcia drugiej wachty. Jest tu tak gęsto, że musicie dzielić jedną kabinę. Ale jak tylko któreś z was chociaż raz ziewnie na służbie, przysięgam, że wyrzucę was przez śluzę. Zrozumiano?

– Tak jest, sir.

– I oboje natychmiast powiadomicie swoje rodziny, póki jeszcze jesteśmy w zasięgu systemowego ansibla. Zanim nadejdzie odpowiedź, bez wątpienia będziemy już w skoku, ale przynajmniej im to powiedzcie. Macie jeszcze godzinę.

– Tak jest, sir.

* * *

– Pozwalasz im spać razem? – zapytał pierwszy oficer.

– Oszczędzam czas. Jeśli umieszczę ich na różnych zmianach i w różnych kabinach, będą tracić czas i energię na polowanie na siebie. Sądząc po ich teczkach,

przypuszczam, że będą równie wydajni jak wszyscy inni.

– Rodzina Serrano nie będzie szczęśliwa.

– Cóż, jak powiedzieli, to nie moja wina. Nie przygotowałem tego ani nie wyraziłem zgody. Kiedy do mnie dotarli, było już po wszystkim. Poza tym nie jestem Serrano. – Jego twarz rozluźniła się na chwilę w uśmiechu. – Kiedy jeszcze byłem młodym chorążym na *Claremont* pod dowództwem Vidy Serrano, zrugła mnie za to, że spędzałem zbyt dużo czasu ze swoją dziewczyną. Powiedziała, że przerastam tę głupią smarkulę. Cóż, już od dwudziestu ośmiu lat jestem mężem tej „głupiej smarkuli”, i dzień, w którym przerosnę Sal, będzie moim ostatnim dniem. To sprawiedliwe, że jej wnuk zakochał się w kimś, kogo ona uznaje za niewłaściwą osobę, choć nie rozumiem, co ma do zarzucenia porucznik Suizie. Może ta dwójka będzie kiedyś bardziej wyrozumiała dla swoich dzieci.

* * *

Jak można było się spodziewać, kabina była ciasna, z wąskimi kojami umieszczonymi jedna nad drugą, i mieli ją dzielić jeszcze z czwórką oficerów. Należała do nich tylko w czasie wachty przeznaczonych na sen. Ale wtedy byli sami, a od reszty wszechświata oddzielały ich zamknięte drzwi. W tej chwili to było wszystko, czego potrzebowali.

– Przepraszam za pośpiech – wyszeptał Barin do ucha Esmay.

– Hmm?

– Ta piękna suknia, którą zaprojektowała dla ciebie Brun... I zamówiony przeze mnie pierścionek... I ceremonia...

– Jeśli będziemy mieć szansę, możemy to wszystko zrobić później. Wolę mieć to. – „To” zajęło im dłuższy czas.

– Mimo wszystko... – powiedział Barin, nabierając wreszcie powietrza.

Esmay dźgnęła go palcem w zębra.

– Nie rozpraszaaj mnie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Biuro Przewodniczącego, Benignity Współczującej Dłoni

Hostite Fieddi zawsze wiedział, że ten dzień nadejdzie. Przewodniczący siedział za biurkiem, na którym leżał nóż, antyczne ostrze o czarnej klindze.

– Hostite, byłeś dobrym i wiernym sługą.

– Sir.

– Długo byłeś u nas na służbie.

– Sir.

– Jesteś klingą, której ufam. – Intonacja sugerowała pauzę, więc Hostite czekał. – Mamy wroga, którego czas nie zniszczy.

– Sir.

– Jesteś moją klingą, Hostite.

– Do głębi serca, Przewodniczący.

– Do głębi serca, Hostite. – A więc zabójstwo, poza granicami, ale tylko jedno. Ucieszył się, że tylko jedno zabójstwo obciąży jego duszę w wieczności.

– Podejdź bliżej.

Już jest martwy; podejście bliżej nie zwiększy jego śmiertelności. Hostite czekał, a Przewodniczący przez dłuższą chwilę milczał.

Potem rzekł:

– To straszna rzecz skazać na śmierć kogoś, kto nigdy nie podlegał naszej władzy. Niechętnie wydaję ten rozkaz, Hostite, i nie tylko z powodu tego, co oznacza on dla ciebie i dla mnie, ale i tego, co znaczy dla ludzi. Ale nie ma innego wyjścia. Ten człowiek jest przepełniony chorą ambicją i będzie próbował wymusić na nas swoje bezbożne metody.

– To niewierni, sir.

– Nie wszyscy są tacy jak ten. Hostite, nakazuję ci zabić Hobarta Conselline'a. Nikogo innego z Rodziny, tylko jego.

Hostite pokłonił się.

– Metoda, sir?

– Sam zdecyduj.

Jego ostatnie zadanie. A na końcu jego śmierć. I śmierć Przewodniczącego, który nie będzie już miał osobistego Mistrza Miecza, strzegącego go przed niebezpieczeństwem.

Zrozumiał zaszczyt, jaki go spotkał, i to go rozgrzało. Śmierć od lat nie była mu

obca, od dawna nie czekało go nic innego oprócz czyjejś klingi, gdyby zawiódł. Mogę to zrobić dla swojego ludu i Wiary, pomyślał i niemal się uśmiechnął.

– Teraz idź – powiedział Przewodniczący i Hostite wycofał się, myśląc już o tym, jak to robi.

Stary pałac, Castle Rock

Hobart z gniewem rzucił ubranie na wieszak. Ci cholerni idioci są z każdym dniem gorsi.

Założył trykot do szermierki i rozpoczął ćwiczenia. Kiedy otworzyły się drzwi, zerknął ku nim, spodziewając się Iagina Persiusa. Jednak tego Mistrza Miecza nigdy nie widział. Starszy mężczyzna, bardziej krępy, w obcisłym czarnym stroju, śmiesznym czerwonym berecie i podobnych butach. W rękach trzymał miecz nie przypominający żadnego z używanych przez Hobarta.

– Już czas – powiedział głosem łagodnym jak deszcz.

– Gdzie jest mój Mistrz Miecza? Przyzwyczałem się do niego.

– Źle się poczuł, lordzie Conselline, i poprosił mnie, bym go zastąpił, abyś nie musiał rezygnować z ćwiczeń, czekając na jego wyzdrowienie.

Hobart przyjrzał się mężczyźnie.

– Bez wątplenia jesteś bardziej oficjalny od niego. Co to za klinga? Czy mam trenować czymś takim? Przypuszczam, że chcesz, bym zapoznał się z jeszcze jedną głupią archaiczną bronią.

– Nie, jeśli sobie tego nie życzysz. Jaką broń preferujesz?

– Rapier. – Hobart rozejrzał się i uświadomił sobie, że nie ma tu także jego trenera. Będzie musiał sam przynieść sobie sprzęt, bo nie spodziewał się, by ten starszy mężczyzna zechciał go obsłużyć. Jednak ku jego zaskoczeniu Mistrz Miecza szybko podszedł do stojaka i przyniósł mu rapier – jego ulubiony, jak zauważył – i maskę.

– Wydajesz się zły – zauważył mężczyzna.

– Jestem zły – odpowiedział Hobart, ale nie chciał o tym rozmawiać. Przyszedł na ćwiczenia po to, by zapomnieć na jakiś czas o swoich problemach.

– Czy ktoś źle cię potraktował? – zapytał Mistrz.

– Tak... ale jestem tu po to, by ćwiczyć.

– Oczywiście. Przepraszam, lordzie Conselline. Mistrz Iagin powiedział mi o twoim oddaniu sztuce walki.

– Naprawdę? – Hobart nigdy nie był pewien, czy Mistrz Miecza go docenia, choć zawsze był uprzejmy i zachowywał się z szacunkiem.

– Tak. Powiedział, że jesteś wyjątkowym człowiekiem, który wszystko traktuje poważnie.

– To prawda. – Hobart poprawił maskę i przez chwilę podskakiwał, aby rozluźnić kolana. – Nie uwierzyłbyś, jak wielu ludzi... Nie, to nieważne.

– Ależ jeśli musisz mówić w czasie rozluźniania mięśni, by rozluźnić umysł, to mów, milordzie.

– Och... no dobrze. – Hobart ostrożnie odłożył broń na matę i nachylił się, chwytając za kolano. – Mam nadzieję, że cię nie zanudzę; musisz mieć świadomość, że to poufne...

– Oczywiście. Musisz nieco bardziej wykręcić nadgarstek, milordzie.

– To ci kretyni, te mięczaki z sianem zamiast mózgów, których umieściłem na wysokich stanowiskach. Ja ich stworzyłem, prowadziłem, uczyłem i przygotowałem im stanowiska, a teraz, gdy mają władzę... nie chcą robić tego, co im każę.

– Aha. A teraz, milordzie, naciągnij się jeszcze o centymetr. Tak, teraz druga noga... Pamiętaj o wykręceniu nadgarstka... Tak.

– Nie wiem, o co chodzi, Mistrzu, ale gdy zaczynam z nimi pracować, zwracają się przeciwko mnie. Są nieposłuszni, aroganccy, samolubni...

– Gdybyś mógł teraz przechylić głowę... Tak, w ten sposób. Jeszcze troszkę.

– Powinni mnie popierać, a tymczasem odwracają się ode mnie i robią głupoty, jak choćby ten dureń Orregimos.

– I w drugą stronę, milordzie...

– To wszystko sprawia, że nawet święty by przeklinał – stwierdził Hobart. Zdumiewające, jak łatwo mówi się do tego mężczyzny. Może sprawia to ta ciepła, cicha sala, znajomy zapach skóry, stali, oleju, drewna sandałowego, cedru i spokojne, cierpliwe dłonie mężczyzny, wyginające go w jedną figurę za drugą, likwidujące skurcze, z których istnienia nie zdawał sobie sprawy...

– Nie jest łatwo, kiedy podwładni nie chcą być posłuszni – powiedział Mistrz Miecza.

– Właśnie. Próbowiałem przekonywać, łajać, nawet grozić...

– I wciąż się opierają.

– O tak. Gdyby tylko zrozumieli, że próbuję poprawić istniejącą sytuację.

* * *

Hostite przestudiował kartotekę Hobarta Conselline'a i wydawało mu się, że go zna, ale mężczyzna go zaskoczył. Był żaloszny, pełen gniewu, strachu i zawiści. Jego ciało było usztywnione i zdeformowane, a mięśnie twarzy wykrzywione wściekłością i strachem.

Był chodzącym workiem trucizny.

Jako Odmłodzeniec był nieśmiertelny, co obwieszczały światu srebrne i kobaltowe

pierścienie w jego uszach.

Jest tak stary, a równocześnie taki głupi, pomyślał Hostite. Te wszystkie dekady odmładzania niczego go nie nauczyły.

Tak, ten mężczyzna jest dumny, gorzki i zły, ale dlaczego? Hostite nigdy nie zabił człowieka bez próby zrozumienia, czemu zabijani są właśnie tacy ludzie.

Musi mu dać możliwość zrozumienia swoich błędów, pokajania się i skruchy, choć nie może zaoferować – nie wolno mu – szansy ucieczki. Musi dać szansę duszy, nie dając jej ciała.

Jednak jak to zrobić w przypadku niewiernych, którzy nie są świadomi własnej duszy, nie czują niczego oprócz ciała? Hostite przez lata studiował różne typy niewiernych i odkrył, że wszyscy w coś wierzą, tylko po prostu w niewłaściwe rzeczy. Wierzą w bogactwo, bezpieczeństwo, uprzejmość obcych czy coś jeszcze, a nie w Prawdziwą Wiarę. I to, w co wierzą, sprawia im w końcu zawód i zostają rzućeni na kolana...

To, co mówił lord Conselline, można uznać za spowiedź, jednak podczas prawdziwej spowiedzi grzesznik wie, że wyznawane uczynki są grzeszne. Hobart natomiast zdaje się wcale tego nie rozumieć. Wszystko, co złe, jest winą kogoś innego. Hostite poczuł falę sympatii dla tych głupich, niechętnych do współpracy ludzi, którzy tak rozgniewali lorda Conselline'a. Oni także są niewiernymi i wrogami, i kiedyś Przewodniczący może uznać za konieczne zabicie ich, ale wszyscy oni cierpieli na skutek długiego związku z lordem Consellinem.

Wysłuchiwał zwierzeń lorda, wyciągając z niego coraz więcej i więcej, wykorzystując swoją pozycję neutralnego słuchacza, niemądrze obdarzonego zaufaniem. Hobart zazdrościł swojemu bratu i wszystkim tym, których osobowość przyciągała ludzi. Zazdrościł właściwie wszystkim, w każdym znajdował coś, co niesprawiedliwie uzyskał. A sam był niemożliwie dumny, pewien własnej prawości i moralnej słabości innych, pełen złości na ludzi i chęci poniżania ich. A wszystko to zdominowane przez samozadowolenie.

Mistrz Miecza uświadomił sobie, że ten mężczyzna nigdy nie zrozumie swoich błędów, nawet w chwili śmierci. Jego biedna dusza jest pogrążona w mrokach i pozbawiona nadziei na lepszą wieczność. Ale Bóg daje każdej duszy dość czasu, jeśli zechce go wykorzystać, i dusza lorda Conselline'a miała już okazję – właściwie długie lata – by osiągnąć zrozumienie.

– Chodźmy, lordzie Conselline – powiedział w końcu. – Już czas na twoją lekcję.

– Tak, rzeczywiście czuję się lepiej. – Jego ciało było nieco bardziej rozluźnione, a umysł bardziej klarowny po wypowiedaniu się ze swoich grzechów.

– To nie twoi współpracownicy – powiedział Hostite. – To ty. – Był pewien, że Conselline nie zrozumie, ale musiał spróbować.

– Co? – Oczy lorda Conselline'a otworzyły się szeroko na widok Mistrza

biorącego zamach potężnym ciemnym ostrzem.

– Twoje porażki. – Ostrze wystrzeliło do przodu. Lord Conselline próbował odbić je rapierem, ale klinga rozcięła go. Conselline odskoczył do tyłu, otwierając usta do krzyku, a Hostite ruszył za nim, wybierając figurę taneczną zamiast bardziej pewnego kroku. W głowie słyszał ulubioną muzykę, *O wiosennym poranku śpiewają jasne trąbki Lamberta*. Strach pozbawił Conselline oddechu, i to, co miało być krzykiem, zmieniło się w słaby skrzek.

– Nie... Co ty... robisz? Pomocy! Stój! Ochrona! – Lord Conselline rozglądał się gorączkowo na boki, wyraźnie przerażony, po czym chwycił ze stojaka kolejną broń.

– Jam twoją śmiercią, twoje życie dobiegło końca. – Kolejny zamach skruszył treningowy floret, jakby zrobiono go ze szkła. – Poproś swego Boga o wybaczenie. – On nie ma Boga, ale musi dać mu szansę.

– Nic nie zrobiłem – wydyszał Conselline. – To nie ja. Nie... Hostite nigdy nie bawił się swoimi ofiarami, ograniczał się do dania im szansy na skruchę. Potężne ostrze jednym uderzeniem odcięło głowę lorda Conselline’a... i odór śmierci zastąpił słodki aromat cedru i sandałowca.

* * *

Przewodniczący Rady Benignity Współczującej Dłoni odwrócił się od biurka i spojrział przez wysokie okno na ogród. Porywista wiosenna bryza szarpała czubkami cyprysów i zrywała płatki z wczesnych róż, którymi obsadzono wysypane żwirem ścieżki.

Z tego miejsca nie widział fontanny, ale mógł sobie wyobrazić porywane wiatrem kropelki wody i długi, wilgotny welon moczący marmurowy parapet fontanny oraz stojące dalej ławeczki, na których stare damy w czarnych sukniach siadywały w ciepłe dni, przyglądając się morzu i bawiącym się dzieciom. Przeniósł wzrok na horyzont, na błękitne morze; błyszcząca mozaika odbijała światło słońca wprost w jego oczy.

Ogólnie rzecz biorąc, miał udane życie, a ponieważ dokonał właśnie ostatniej spowiedzi, był świadom swego życia jako całości, historii niemal ukończonej, z kluczowymi momentami tak wyraźnymi, jakby zostały namalowane przez wybitnego artystę. To i to zrobił dobrze, a tamto i tamto trochę gorzej. Kilkakrotnie łaska Wszchemogącego uchroniła go przed konsekwencjami jego błędów, a przy innych okazjach wziął na siebie winę za nie swoje przewinienia. Oczywiście nie w oczach Boga, ale w oczach Benignity. Nie żałował niczego, bo przeżył życie w ludzkiej formie i ludzkiej treści, i cieszył się z niego.

Gdyby żał stanowił element jego duchowości, mógłby żałować – choć to nie była jego wina – że Familie Regnant wpadły w ręce Hobarta Conselline’a i że został zmuszony do wydania na niego wyroku śmierci. Aby móc przewidzieć to wszystko, co

dało Conselline'owi władzę, uczyniło go tak niebezpiecznym i pozostawiło Benignity niewielkie pole manewru, trzeba by mieć umiejętności wieszacza. A nikt nie oczekiwał od Przewodniczącego ponadzmysłowych umiejętności.

Ale skoro zawiódł, musi za to zapłacić.

Mieszkańcy Benignity podlegali jego absolutnej władzy. Jeśli Przewodniczący oświadczył, że hodowca ziemniaków musi dla dobra wszystkich zginąć, to hodowca ziemniaków ginął w sposób nakazany przez Przewodniczącego. Mógł współczuć hodowcy, jego żonie i dzieciom, ale i tak skazałby go na śmierć bez skrupułów. To nie było nawet okrucieństwo. Po prostu śmierć wieńczyła każde życie, śmierć leczyła chorych i kaleki, otwierała bramy do życia wiecznego.

Ale poza Benignity... zasady były inne. Rywalizować, sprzeniewierzać, nawet podbijać – to było dozwolone. Korumpować i mieć sieć tajnych agentów dostarczających informacji i działających w interesie Benignity – to było nieuniknione. Ale kazać zamordować obcego króla – ci obcy nadawali swoim przywódcom wiele głupich imion – to dowód, że Przewodniczący zawiódł. Nie przewidział nadchodzących kłopotów, nie poprowadził odpowiednio spraw, nie zrobił tego – przez potajemne wpływy i zastraszanie – co trzeba było zrobić.

Mimo wszystko żadne metody nie są zabronione. Bóg w swej mądrości wie, że zdarzają się nadzwyczajne sytuacje. Jeśli warunkiem obrony Benignity jest śmierć obcego króla, Przewodniczący wyda taki rozkaz i tak się stanie.

Oznaczało to jednak także śmierć Przewodniczącego, który okazał się niegodny tego stanowiska. Nieważne, czy był głupi, stary i zmęczony, czy dał się zwieść doradcom – to nie miało znaczenia. Zawiódł swój lud i musi za to zapłacić wysoką cenę. Nie w sposób przypadkowy czy okrutny, ale pewnie i z całym ceremoniałem.

Niektórzy Przewodniczący nigdy nie musieli podejmować takich decyzji. Spodziewał się, że i z nim będzie tak samo, aż uświadomił sobie, do czego Hobart Conselline mógłby doprowadzić Familie Regnant. Gdy tylko to zrozumiał, pojął też własną głupotę i zaślepienie; mógł to dostrzec już lata wcześniej, niezależnie od tego, czy zmieniłoby to bieg zdarzeń, czy nie. Teraz nie miało to już znaczenia. Okazał się niedołągą. Zrobił, co mógł, by naprawić błąd, ale to nie wystarczyło.

Dzisiaj przystąpił do swojej ostatniej spowiedzi i jego serce było lekkie i radosne jak wiosenna bryza.

Odwrócił się, słysząc odgłos otwierania drzwi. Niektórzy woleli nie patrzeć, ale on nigdy nie bał się człowieka, który go zabije, tylko tego, który pozwoli mu zawieść jego ludzi.

Mistrz Miecza stanął przy jego biurku; był w oficjalnym stroju i trzymał ciemną klingę, której nie używano do szermierki.

– Znasz powody – powiedział Przewodniczący, nie patrząc mu w oczy. Byłoby to nieuprzejme, można by to zinterpretować jako błaganie.

– Tak.

– Wyspowiadałem się ze swoich grzechów – powiedział Przewodniczący.

– Tak. – Mistrz Miecza zrobił krok i uniósł klingę.

– *Fiat...*

– *Nox.* – Mistrz Miecza zamachnął się i klinga, która odebrała już życie szesnastu Przewodniczącym, przeszła przez skórę, kości i mięśnie jak gorący nóż przez masło. Trysnęła krew, głowa upadła na biurko i potoczyła się.

– *In nomine Patrem* – powiedział Mistrz, salutując swojemu Mistrzowi. Potem wytarł klingę w płachtę czerwonego jedwabiu i przykrył nią głowę Przewodniczącego.
– *Requiescat in pace.*

Następnie z obnażonym ostrzem w dłoni i plamami krwi Pietro Alberto Rossa-Votari na pelerynie wyszedł z jego biura, przeszedł przez przedpokój – gdzie sekretarz już wzywał służących i wkrótce będzie powiadamiał rodzinę – i ruszył do sali, gdzie Rada czekała na pojawienie się Przewodniczącego i otwarcie posiedzenia.

– Przewodniczący dokonał ostatniej spowiedzi – oznajmił bez wstępów. Wszyscy zbledli, ale nikt się nie odezwał. – Rada wybierze nowego Przewodniczącego. – Zebrani wymienili zaniepokojone spojrzenia. Niektórzy z nich nigdy nie brali udziału w wyborach Przewodniczącego; Rossa-Votari sprawował ten urząd od osiemnastu lat. Mistrz Miecza stał przy drzwiach i czekał. Rozległy się szepty; ludzie patrzyli na niego, odwracali wzrok i znów spoglądali... ale jego to nie obchodziło. Wiedział tylko, że nie opuszczą tego pokoju, dopóki jeden z nich nie zostanie wybrany Przewodniczącym przez aklamację.

OSK Rosa Gloria

Kapitan wezwał Barina i Esmay do swojego biura zaledwie parę godzin po wyjściu ze skoku.

– Dostałem wiadomości od waszych rodzin – oświadczył i nie czekając na ich reakcję, dodał: – Mówią, że w tej chwili mają na głowie znacznie poważniejsze sprawy niż wasza dwójka. Nie są zadowoleni i nie podoba im się to, co zrobiliście, ale w aktualnej sytuacji nie zamierzają robić niczego, poza rozmową na ten temat... między sobą.

– Między sobą?

– Tak. Podpisali to admirał Serrano i generał Suiza. – Podał im wydruk. – A właściwie wszyscy admirałowie Serrano i generałowie Suiza. Nie wiem, co chcieliście osiągnąć przez wspólną ucieczkę, ale wygląda na to, że zjednoczyliście przeciwko sobie znaczącą liczbę wysokich stopniem oficerów.

– Ale jesteśmy małżeństwem – stwierdził Barin.

– I warto było – dodała Esmay.

– Ale gdy wszystko się uspokoi i nie będzie już wojen, buntów, inwazji, ataków terrorystycznych, piratów i innych problemów, wasze rodziny spadną na was jak dwie zderzające się planety.

Zdaniem Esmay był to dość precyzyjny opis prawdopodobnego spotkania Serrano i Suizów.

– A teraz wynoście się stąd i bądźcie nadal tak irytująco kompetentnymi oficerami, jak byliście do tej pory.

Nie wybiegli od niego w radosnych podskokach tylko dlatego, że oficerowie nie podskakują.

– Kiedy wszystko się uspokoi, co? – powiedział Barin z uśmiechem. – To dopiero będzie dzień.

– Jeśli zaczekają tak długo – powiedziała Esmay, wyobrażając sobie ojca i wuja rozmawiających z babką Barina. – Jeśli nie pozabijają się nawzajem – a podpisane przez obie strony oświadczenie sugeruje, że nie – cóż to będzie za niebezpieczne połączenie!

– Przywykną do tego – zapewnił ją Barin. – W sumie nie jest aż tak źle, jak mogłoby być. Wyobraź sobie, że ożeniłbym się z Caseą.

Esmay popatrzyła na niego groźnie, a potem się roześmiała. Przez całą drogę do małej – ale odpowiadającej im aktualnym potrzebom – kabiny towarzyszyły im radosne śmiechy.